

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

1890.

TOM I.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVII.



WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY
ulica Senatorska № 29.

1890.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Марта 1890 года.



SPIS RZECZY.

I. Rzeczy społeczne i spółczesne.

str.

Mieszczaństwa znaczenie i potęga. Przez □ 1
Naukowo-społeczna działalność Profesora Tytusa Chałubińskiego. Przez *H. Dobrzyckiego*. 11
Wystawa starożytności w Warszawie. Przez *F. K. Martynowskiego*. 104
Charakterystyka narodów. Przez *K*. 181
Stuletnia rocznica 1789 roku. Przez *X*. 188
Listy Czeskie. XVIII. Przez *D-ra Gablera*. 243
Widoki handlu Królestwa na Wschodzie. Przez *Tadeusza Zaleskiego*.. . . . . 293, 460
Błędne koło. Przez *K*.. 349
Juliusz hrabia Andrassy. 412
Projekt niemiecki kodeksu cywilnego. Przez *S. A*. 484
Wspomnienie o Ottonie Hausnerze. Przez *T. Smarzewskiego*. . . 504

2. Nauki przyrodnicze.

Z teoryi i faktów przyrodniczych. I i II. Przez *Maksymiliana Flauma*. 118, 449

3. Literatura.

Z beletrystyki Zachodu. I i II. Przez *Tena*. 88, 227
Powieść egzotyczna we Francyi. Piotr Loti. Przez *Wilę Zyndram-Kościałkowską*. 356
„Lalka“ Bolesława Prusa. Przegląd krytyczny przez *Piotra Chmielowskiego*. 471

4. Beletrystyka.

Z pomroku. Przez *Elizę Orzeszkową*. 55
Z czyjéj winy? Przez *Cecylię Walewską*. 206
Głuchy Michał. Przez *Wincentego hr. Łosia*. 366

5. Psychologia i estetyka.

Sny ludzkości. Przez *Kazimierza Kleczkowskiego*. . . . 34, 271, 426
Z dziedziny psychologii. Przez *H. G.* 316

6. Sztuka dramatyczna.

Aloizy Żółkowski. Sztuka i scena. Przez *J. Keniga*. 73
Przegląd Teatralny. Przez *Maryana Gawalewicza*. . . . 128, 493

7. Rozbiory i sprawozdania.

Branki w Jassyrze przez Deotymę. Ocenił *P. Chmielowski*. . . 141
D-r Ludwik Finkel. Okopy Świętéj Trójcy. Ocenił *F. Bostel*. . 148
Seweryn Zarzycki. Stosunek ks. siedmiogrodzkiego Jerzego Rakoczego II do Rzplitéj Polskiéj. Ocenił *F. Bostel*. 149
Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rytmes par Maximilien Kawczyński — i tegoż: Porównawcze badania nad rytmem i rytmami. Ocenił *M. Rowiński*. 326
Statystyczno-ekonomiczne studya o drogach żelaznych Leona Paszkowskiego. Ocenił *St. Kłobukowski*. 509
Ernest T. Breiter. Bartosz z Wiszemburga. Ocenił *Kazimierz Józef Gorzycki*. 518
Nowości naukowe i literackie. 150, 333, 521

Kronika miesięczna. Przez *Lusa*. 168, 338, 527
Konkurs imienia Adama Chojnackiego. 176
Nekrologia. 177, 348, 539
Ogłoszenia. 179
Sprostowania. 540

ATENEUM

PISMO MIESIĘCZNE

NAUKOWE I LITERACKIE.

PIĘTNASTY ROK ISTNIENIA.

Prospekt na r. 1890.

Są społeczności, gdzie czytanie ogólniejszych pism peryodycznych, poświęconych nauce i literaturze, stało się potrzebą powszednią. Są społeczności, gdzie czytelników takich pism nieprzeliczone znajdują się zastępy. Nasze społeczeństwo, niestety, do rzędu podobnych jeszcze nie należy. Gdzieindziéj pisma miesięczne, raz stworzone, stają na niewzruszonéj podwalinie. U nas podstawy ich często się chwieją. Dłużéj niż chwile przypływu, trwają u nas godziny odpływu: stąd też zabiegi i prace osiadają na mieliźnie. Ani nas to dziwi, ani zniechęca, choć powodu do radości nie daje.

Wszakże niezrażeni tém, że nasz czytający ogół tłumnie się nie garnie do przybytku, jakim dla nauki i literatury u nas usiłuje być „Ateneum,“ ustępować bynajmniej nie zamierzamy ze stanowiska raz zajętego. Spełniamy obowiązek służby względem ogniska, któreśmy sami przed laty wzniecili. Właśnie piętnasty rok rozpoczynamy naszej działalności. Ufamy, że tak wytrwale, z niemałą ofiarą grosza czyniąc to, co zdało nam się być naszą powinnością, pobudzimy innych do uiszczenia się poniekąd z długu względem pracy, prowadzonéj wśród znoju i trudu nie dla zysku, ani dla poklasku.

Przewodniéj myśli, która dotychczas kierowała naszém pismem, i nadal bez zmiany wiernymi pozostać zamierzamy. Stanęliśmy u steru nie jako początkujący, ale z zasobem doświadczenia naukowego i życiowego; po tylu zaś latach pracy na tym samym zagonie, chyba pewniejszą jeszcze ręką, nie zmieniając dróg i celów, prowadzić możemy łódź naszę do wytkniętéj mety. Na wysokości wiedzy współczesnéj, „Ateneum" zawsze pragnęło utrzymać swych czytelników. Jeżeli niekiedy grzeszyło zbytnią powagą, to może dlatego, iż nie chciało podsycać dość powszechnéj u nas skłonności do powierzchownego dyletantyzmu. Tam, gdzie fale łatwo unoszą okręt na płytką wodę, nie bywa zbytecznym ciężar, który bieg statku pogłębia. Słusznym jednak wymaganiom przystępniejszego wykładu i powabniejszéj formy pismo nasze nadal według sił zadość czynić będzie.

Z szerokiego i urozmaiconego swego programatu „Ateneum" nie wyłącza żadnéj gałęzi wiedzy, któréj rozwój obchodzić może każdego ogólnie wykształconego człowieka. Zarówno postęp nauk, poświęconych zgłębianiu zjawisk duchowych, jak rozwój umiejętności, które świat przyrody badają, znajdować będzie właściwe odbicie w łamach naszego pisma. Nie hołdując wyłącznie krańcowym teoryom, do których prowadzi wrażliwe umysły jednostronność wykształcenia, „Ateneum" widzi normę rozumnego postępu w spokojném, rozważném i wszechstronném badaniu i ocenianiu zarówno zjawisk przyrody, jak i zjawisk duchowych.

Sprawom społecznym zamierza Redakcya „Ateneum" pilniejszą, niż dotąd, poświęcić uwagę, pragnąc ściśléj zespolić pismo swoje z potrzebami współczesnéj chwili. Zabierać więc będzie głos we wszystkich rzeczach, które żywiéj ogół nasz obchodzić mogą; ale nie dla tego, żeby sprowadzać rozstrój, lecz owszem, żeby różne głosy do harmonijnego dostrajać tonu. „Ateneum" nie traci z uwagi téj okoliczności, że harmonią stanowi nie jeden tylko głos wyłącznie, lecz cała skala słabszych i silniejszych tonów. W układzie społecznym, kierowanym rozumną zasadą, słabsze żywioły otaczać należy tarczą troskliwéj opieki mocniejszych. „Ateneum" nie podziela tych fałszywych uogólnień, które na grunt życia społecznego przenoszą zasadę, iż dla wątłych i osłabionych nie masz miejsca przy stole biesiadującéj ludzkości. Po nad prawami, które rządzą naturą, panują inne potęgi moralne wyższego rzędu.

Redakcya potrafiła w ciągu czternastoletniego istnienia „Ateneum" zgromadzić około swéj przewodniéj myśli najdziel-

niejsze siły polskie naukowe i literackie. Jéj dążności w zakresie programatu społecznego odzywały się głośném echem w kołach naszéj inteligencyi. Mamy to głębokie przekonanie, że z zastępem dawnych i nowych pracowników zdołamy wywiązać się należycie z podjętego zadania. Ufamy też zarazem, że do dalszego skutecznego oraz owocnego rozwoju działalności „Ateneum“ dopomogą nam liczni czytelnicy, którzy szczerze i gorąco ukochali sprawy naszego postępu.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **„Ateneum“** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI „ATENEUM.“ Obożna, 5.

UWAGA. **Redakcya „Ateneum“** po porozumieniu się z wydawcami uzyskała dla swoich prenumeratorów znaczne obniżenie cen kilku dzieł, pierwszorzędnéj wartości, które mogą być pojedyńczo nabywane za uiszczeniem należności.

Macaulay'a, **Dzieje Anglii** w 10-ciu tomach Zam. rs. 7, cena zniżona rs. 3, z przesyłką rs. 4 kop. 50.

Zeissberga, **Dziejopisarstwo polskie wieków średnich**. Tomów 2. Zam. rs. 4, zniżona cena rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 30.

Bain'a, **Logika.** (Przekład z angiel.). Tomów 2. Zam. rs. 5, zniżona cena rs. 2 kop. 50, z przesyłką rs. 3.

Matuszewicza, **Pamiętniki z czasów Augusta III-go i Stanisława Augusta**. Tomów 4. Zam. rs. 4 kop. 50, zniżona cena 2 rs., z przesyłką rs. 2 kop. 60.

Załęskiego, **Statystyka Królestwa Polskiego**, zam. rs. 2, zniżona cena 1 rs., z przesyłką rs. 1 kop. 25.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz współczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Wydawca ***Wł. Spasowicz.*** Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Декабря 1889 г.
Druk Jana Cotty, Senatorska, Nr. 29.



MIESZCZAŃSTWA
ZNACZENIE I POTĘGA.

Przed miesiącem jeden z historyków pokazywał nam niezmiernie ciekawe dokumenta z końca XVI-go wieku, odpisane z akt radzieckich Olkusza. Były to wyciągi z inwentarzy, spisanych po śmierci czterech obywateli tego niegdyś zamożnego, dziś tak bardzo upadłego miasta. Wyciągi te obejmowały tylko spis książek, znalezionych po każdym z owych czterech mieszczan olkuskich. Pierwsze miejsce ze względu na datę zajmuje spis ksiąg, znalezionych w sklepiku (zapewne w piwniczce), dokonany w 1555 r. na żądanie Reginy Hallerowéj, wdowy, a będących własnością zmarłego jéj męża, rajcy miasta Olkusza. Spis ten obejmuje kilkadziesiąt woluminów. Tytułów nie podajemy, bo te z naszym przedmiotem i celem nie mają nic wspólnego; zaznaczymy tylko, że owe tytuły świadczą, iż rajca Haller musiał być naukowo wykształconym i poważne księgi lubiącym wertować człowiekiem. Drugi inwentarz z 1582 r. po Kasprze Waśniowie, obejmuje tak znaczną liczbę ksiąg i takiéj rozmaitości, iż ten zbiór mógł na owe czasy stanowić istotną bibliotekę. Trzeci spis, utrzymywany od 1591 do 1598 r. przez innego mieszczanina olkuskiego jest mniéj liczny, świadczy jednak dobrze o poważnym kierunku umysłowym zbieracza i o troskliwéj nad sobą pracy. — Najwięcéj jednak zastanowił i zbudował nas inwentarz w 1585 r. spisany po Jerzym Szylkrze. Dowiadujemy się z niego, że po owym zacnym mieszczaninie olkuskim znaleziono „cztery skrzynie zielone,“ napełnione księgami, których długi katalog przebiegliśmy. Cytujemy z niego tylko kilka tytułów, które nas najwięcéj uderzyły i które na każdym zrobią z pewnością takież same, jak na nas wrażenie. W owych tedy czterech zielonych skrzyniach znajdowały się np. *Homeri opera omnia latine et graece*, Tucydydes, Xenofont, Kodex Justyniana, *Statuta Regni Poloniae* Przyłuskiego, etc.

Więc przed trzystu laty w Olkuszu, dziś ubożuchnéj mieścinie, znajdował się człowiek, który nie z obowiązków jakiegoś naukowego, akademickiego powołania, wczytywał się w niezrównane piękności Homera, zagłębiał się z Ksenofontem w Sokratesa filozoficzną mądrość, albo podziwiał geniusz wielkiego wodza, prowadzącego odwrót 10,000 greków z pod Kunaxy i gromiącego gnające za nim hordy wielkiego króla. Więc na tym partykularzu jakiś łyk olkuski, że użyjemy tego dziś zwyczajnego pogardliwego wyrażenia, porównywał *Kodexa* Justyniana z statutami Jagiellońskiéj Polski, a warcholstwo demagogii ateńskiéj przez Tucydydesa zaznaczane, z pierwszemi objawami warcholstwa i anarchiczności podjudzanego przez możnowładzców polskiego szlacheckiego gminu.

Jeżeli sławetny właściciel czterech zielonych skrzyń, podobnemi księgami napełnionych, posiadał tyleż bystrości politycznéj i krytycznego rozumu, ile mógł mieć erudycyi, jeżeli swego mieszczańskiego stanu ważność dla kraju dobrze pojmował, jakże bolesne mógł już wówczas przebywać w rozmyślaniach godziny. Wprawdzie wobec świetności i potęgi jagiellońskiéj i batorowskiéj Polski, nie mógł przewidywać, że za jakie lat sześćdziesiąt nastąpi ów straszny za Jana Kazimierza potop, zdrady i ambicya możnowładzców, anarchia, bezrząd, rozkład i ów zatruty owoc złotéj wolności szlacheckiéj, owo *liberum veto*, wprowadzone po raz pierwszy w polityczne życie narodu, na rozkaz Radziwiłłów przez ich najemnika Sicińskiego z Upity. Ale zacny mieszczanin olkuski znał już wojnę kokoszą, Zygmuntowskie kłopoty, pierwsze elekcye królów, dowody nieokiełznanéj pychy i .ambicyi ze strony Zborowskich, Górków i innych bliższych lub dalszych rodzących się królewiąt. Widział zresztą, i to z pewnością, coraz dotkliwsze ograniczanie najsłuszniejszych praw mieszczaństwa na korzyść przewagi i politycznéj i ekonomicznéj szlacheckiego gminu. Utracenie zaś tych praw, a przynajmniéj sprowadzenie mieszczaństwa do zupełnéj bezsilności i ubóstwa, następny wiek, jego straszne klęski i wzrastająca w kraju ciemnota ostatecznie przeprowadzić miał, ku całego ogółu i wszystkich jego stanów czy klaspowszechnéj zagubie.

Historyk, który nam te inwentarze pokazywał, nie jest zwyczajnym szperaczem, prostym odkrywcą ciekawych dokumentów. Dla niego dokumenta żyją i o życiu mówią. Ostrożniejszy od nas, nie oswojonych z podobnemi badaniami, może z owych inwentarzy olkuskich nie wyprowadziłby on tak daleko sięgających wniosków, jak my naszkicowaliśmy. Rozwaga i krytyka zawodowa trzyma u niego imaginacyą i zbytnią lotność myśli nieco hamuje. To jednak nie krępuje ani szero-

kości jego poglądów, ani głębokości i śmiałości wniosków. Na podstawie tych inwentarzy wywiązała się więc rozmowa na temata: o roli mieszczaństwa w naszéj historyi, o niezmiernéj a widocznéj w dziejach łączności tego stanu z pomyślnością i potęgą kraju, pomimo wszelakich tego mieszczaństwa w XIV-ym wieku i wcześniéj przeciwnarodowych cząstkowych zamachów, które się i późniéj w XVI-ym wieku w miastach pruskich ponawiały. Przyznając te stare, dawno zapomniane grzechy, doszliśmy jednak w rozmowie do przekonania, że, jak tylko kraj posiadał rząd silny, odpowiednio do epoki umiejący utrzymywać ład w państwie i prawo, a nie pozwalający na rozwielmożenie się anarchicznego egoizmu jednego stanu, czy jednéj klasy, mieszczaństwo u nas stawało się silne, zamożne i poważane. Zaczynając od Kazimierza Wielkiego, bośmy się daléj w tył nie cofali, przeszedłszy epokę Jagiellonów i Wazów, doszliśmy do wniosku, że z wzrostem rozkładu politycznego w kraju marniało także mieszczaństwo u nas, i że ten jego upadek oddziaływał wzajem na ów rozkład i powiększał jego rozmiary. Tak w organizmie człowieczym, choroba i zamieranie jednego poważnego organu sprowadza śmierć całego organizmu.

Od tych wywodów miejscowych, cofnęliśmy się daleko w tył w inne powszechniejsze sfery historyi, szukając śladów działalności dziejowéj miast i mieszczaństwa, a porównywając ją z śladami działalności innych stanów i czynników dziejowych w różnych epokach, śledząc to, co owe miasta zrobiły, co po nich pozostało, jakie było ich życie i o ile jeszcze na nasze dzisiejsze życie, na nasze idee, na naszę cywilizacyą, na nasze nawet w pewnych dziedzinach poglądy (Estetyka np.) oddziaływają. Przedewszystkiém schyliliśmy czoło przed tym grodem Pallady, przed Atenami, przed tém miastem wybranem ponad inne, które, licząc zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy obywateli, od przeszło dwóch tysięcy lat odgrywało rolę podziwianéj, ciągle przyświecającéj, a niekiedy przewodniéj gwiazdy, wiecznie jako miasto i jako mieszczaństwo zbiorowo wzięte, nie jako państwo zaborcze i rząd przebiegły występując.

Zawadziliśmy o Rzym, o owe *urbs*, owo także miasto nad miastami, które świat podbiło i sholdowało, które jednak pomimo swego ogromu dziejowego, zatrzymało nas krócéj, aniżeli Ateny. Bo w Rzymie więcéj ciągle się ma do czynienia z państwem aniżeli z miastem, z władzą więcéj aniżeli z ludem, z gminem a nawet motłochem, przez wielką arystokracyą rodową prowadzonym, więcéj aniżeli z samodzielném, zamożném, subtelnie wykształconém i kształcącém mieszczaństwém. Wielki i wspaniały, a niezmiernie w swém bogactwie rozmaity spadek zostawił po sobie Rzym; ale zostawił jéj więcéj jako mocarstwo po-

wszechne, z setki narodów w trzech częściach świata złożone, a scentralizowane nad brzegami Tybru, aniżeli jako miasto, więcéj jako rząd albo raczéj rządy, aniżeli jako mieszczaństwo samo w sobie.

Ale z jego nauk korzystając, gdy barbarzyńska pomroka, wędrówką narodów sprowadzona, rozjaśniać się zaczynała w wieku X-ym i XI-ym naszéj ery, na ruinach państwa staréj Romy, wzrastać zaczęły owe miasta włoskie, występujące jako małe rzeczypospolite, których czysto mieszczańskiego żywota ślady dziś wszyscy oglądamy, podziwiając siły ich ducha, ich pracowitość, geniusz, niesłychane zasoby ich energii, która im pozwoliła, pomimo ciągłych wojen domowych i postronnych, pomimo rewolucyi, zmian, upadków, zostawić po sobie tyle i takich pomników wszelakiego rodzaju. Któryś z niemców powiedział, że w jednym łokciu kwadratowym rzymskiego *forum*, czyli dzisiejszego *Campo Vacino*, więcéj tkwi dziejów ludzkości, aniżeli w tysiącach kwadratowych mil nie jednego z dzisiejszych wielkich państw Europy. Toż samo możnaby powiedzieć nietylko o Atenach, ale nawet o takich miastach włoskich, jak Florencya, Genua, Sienna, Piza, jak miasta lombardzkie, jak cały szereg innych, jak zwłaszcza owa Wenecya, wyrosła na błocie laguny, która dziś olśniewa każdego cudnością i bogactwem swych pomników, a więcéj jeszcze czynami swemi i znaczeniem w dziejach ludzkości zdumiewa tych, co się z jéj historyą mogli cokolwiek obeznać. To miasto, które przez czas jakiś było państwem bardzo potężném i w losach Europy nader ważną odgrywało rolę, pomimo wyrodzenia się w niém wielkiéj dziedzicznéj arystokracyi, zachowało jednak przez czternaście wieków, aż do końca, w swych instytucyach pewien charakter mieszczański. Charakter ten odbił się nawet w niektórych postanowieniach rządowych i prawodawczych po 1780 r., mających na celu ratunek państwa, którego ruina była widoczną i upadek konieczny.

Miasta i dawne mieszczaństwo włoskie pozostaną na wieki jednym z najświetniejszych wzorów. Im głównie Włochy winny swą cywilizacyą, wykształcenie swego języka, swe przodownictwo w sztuce wszelakiej, swe bogactwo, późniéj roztrwonione, gdy mieszczaństwa znaczenie i siła upadła. Sztukom wprawdzie i naukom nie brakowało protektorów bardzo wysokich i potężnych z innéj sfery; ale, by ci protektorowie, czy to późniejsi książęta, czy papieże, mieli kogo protegować, nad tém pracowało tylko mieszczaństwo, z którego energicznych lędźwi wyszło tyle i takich geniuszów i talentów. Gdy mieszczaństwo zmarniało i skarłowaciało, owi wysocy protektorowie zostali; ale zabrakło talentów do protegowania.

Niezmiernie pouczającém jest rozwijanie się mieszczaństwa we

Francyi. Z upadkiem zachodniego cesarstwa rzymskiego, wytwarzanie się drobnych związków ludzi wolnych, czyli gmin pod osłoną zamku baronów feodalnych, stało się początkiem mieszczaństwa, którego podstawą, tak jak wszędzie były wolność i praca. Jakkolwiek w południowéj Francyi pozostały jeszcze wspomnienia i niby tradycye starych municypiów rzymskich (w północnéj części innym rzeczy szły porządkiem) początki były bardzo ciężkie. Był to krwawy poród w walce nieustannéj z barbarzyńskiemi i drapieżnemi panami feudalnemi. Gminy owe, skutkiem tych walk ciągłych, stały się jakby obozem na pół cywilnym i pracy oddanym, na pół wojennym i w każdéj chwili do walki gotowym. Dopiero w X-ém stuleciu zaczyna się nieco spokojniejszy dla nich żywot. W XII-ém stuleciu mieszczaństwo już wywalczyło sobie znaczenie. Staje się ono siłą, na któréj królowie Francyi opierają się w swéj walce z feudalnemi swemi wasalami. Wówczas to z łona mieszczaństwa francuskiego występują owi legiści, czyli uczeni w prawodawstwie rzymskiém i kanoniczném prawnicy, którzy od XIII-go do XV-go wieku odgrywają rolę podobną do téj, jaką w w. XVIII-ym odgrywali filozofowie. Ci legiści, mieszczanie, byli głównymi doradzcami królów. Oni to już w dekretach Filipa Pięknego, albo Ludwika Dumnego, zamieszczali takie np. zdania: „Każde stworzenie jest wolném (*franche*) na mocy prawa naturalnego,“ albo: „Każdy chrześcianin jest równie odkupiony krwią Pana naszego Jezusa Chrystusa.“ Poprzednio krucyaty bardzo podniosły siłę mieszczaństwa, rujnując pieniężnie szlachtę feodalną, a bogacąc mieszczaństwo przez otwarcie nowych dróg handlowych. Za Filipa Pięknego już najwyżsi przedstawiciele mieszczaństwa wpływem i znaczeniem równali się szlachcie. Przy swobodzie, jaką zapewnia bogactwo, mieszczaństwo to zdobywało sobie światło, ukształcenie, naukę, w któréj zaczęło współzawodniczyć z duchowieństwem. Filip sprzedawał urzędy, co zresztą było powszechnym zwyczajem, mieszczaństwo je kupowało i za pomocą parlamentów, wyszłych z jego łona, stało się stróżem prawa. Organizacya korporacyi przez Ludwika Świętego wzmocniła je niezmiernie. Rzemieślnicy i robotnicy miejscy, skupieni i zjednoczeni, wytworzyli siłę zdolną stawiać czynny opór uciskowi i gwałtowi. „Jak tylko mieszczaństwo francuskie, — pisze jeden z jego historyków, — przestało ograniczać się na oporze przeciw naciskom i uciskom zewnątrz, objawiła się w niém wielka siła rozrostu. Od drugiéj połowy XIV-go stulecia mnożą się objawy dążeń do równości, do zastosowań prawa powszechnego. Pod względem prawa cywilnego mieszczaństwo, ulegając wpływom prawa rzymskiego, odróżniało się zupełnie od szlachty ziemskiéj. Zaprowadziło ono w swym stanie podział majątków

ojczystych i macierzystych, ruchomych i nieruchomych pomiędzy dzieci, uznawało równość podziałową braci i sióstr, i wspólność majątkową małżonków, co do mienia zarobionego przez czas małżeństwa.“ Szlachta ziemska aż do końca, to jest do wielkiéj rewolucyi, żyła pod systemem majoratów, fideikomisów, ograniczenia prawa spadkowego córek etc.

Od r. 1484-go w sejmach francuskich (*Etats generaux*), mieszczaństwo francuskie jako stan trzeci (*tiers etat*) zaczyna robić przedstawienia królom, ze względu na marnotrawstwo grosza publicznego, domagać się oszczędności, poprawy obowiązujących praw i uczciwego ich wykonania. Te przedstawienia i wymagania wzrastają w sile i nacisku aż do czasów, kiedy Ludwik XIV z sejmami owemi skończył i zwoływać je zaprzestał. Parlamenty jednak, wyszłe z mieszczaństwa, od czasu do czasu zdobywały się na przedstawienia, a nawet na stosunkowo wytrwałą opozycyą. Mieszczaństwo i bez tego rosło w siłę. Ludwik XIV-ty, który siebie tytułował pierwszym szlachcicem Francyi, bezwiednie pracował dla mieszczaństwa i jego przewagę przygotowywał. Największy z jego ministrów i najsławniejszy, Colbert, był mieszczaninem. Po długich i ciężkich walkach praca odnosiła przez niego zwycięstwo nad nadętém, chociaż gładkiém, próżniactwém. Jakkolwiek sławny obrońca arystokracyi, książę de St. Simon, oburzając się na to, nazywał w swych pamiętnikach panowanie Ludwika XIV-go „panowaniem podłego (*vile*) mieszczaństwa,“ już wówczas przewidywano, że pracę czeka władza i zaszczyty, a pogarda padnie na gnuśność i lenistwo. Już za czasów Ludwika XIV-go prawie wszyscy urzędnicy korony istotnie czynni, nawet najwyżsi (intendenci prowincyi), byli brani z sfer mieszczańskich, bo na tych urzędach trzeba było pracować i umieć pracować.

Przez trzy panowania Ludwików XIV-go, XV-go i XVI-go mieszczaństwo wzrastało ciągle w rzeczywistą siłę, znaczenie, powagę, a zwłaszcza wpływ na lud. Jeżeli lat temu właśnie sto Sieyès w swéj sławnéj broszurze napisał, że stan trzeci jest niczém, kiedy powinien być wszystkiém, chodziło mu o to, by ów *Tiers Etat* nietylko prawnie i formalnie został równy dwu drugim stanom (duchowieństwo i szlachta), ale by te dwa stany w owym trzecim roztopiły się, by w ten sposób *tiers etat* stał się wszystkiém i całą ogarnął Francyą. Wiadomo, że téj teoryi stało się zadość. Napoleon I-szy przeprowadzenie jéj uporządkował i oparł jéj stosowanie na podstawach tak niewzruszonych, że dotąd żadne rewolucye wstrząsnąć niemi nie mogły. Z Ludwikiem Filipem mieszczaństwo stało się klasą rządzącą. Nie potrzebowało piąć się wyżéj, owładnęło wszystkiém. Miało za sobą rozum, pracę, bogactwo, władzę polityczną, talenta wszelkie, energią i poparcie nau-

kowych teoryi. Tu jednak w historyi mieszczaństwa francuskiego zaczyna się zwrot nowy. W 1848-ym r. występuje jako siła na pół zorganizowana stan czwarty, któremu druga rzeczpospolita, a następnie drugie cesarstwo i trzecia rzeczpospolita dała w rękę bardzo potężny oręż polityczny, głosowanie powszechne. Ta nowa ewolucya jednak nie może nas w téj chwili zajmować; założeniem tego artykułu bowiem jest tylko wykazanie wzrostu i potęgi mieszczaństwa. Chodzi nam o zaznaczenie jego walk dawnych, jego postępowych zdobyczy, jego tryumfów; może kiedyś będziemy mogli powiedzieć coś o obowiązkach, jakie na tych zwycięzców z samego tryumfu spływają, a których zaniedbanie stać się może przyczyną ich upadku a wielkich dla ogółu klęsk. Zadośćuczynienie obowiązkom jest jedynym środkiem, by tryumfujące mieszczaństwo, zamknąwszy się samo w sobie i w swym stanowym egoizmie, nie podzieliło losu tylu innych arystokracyi, znanych w dziejach od dwudziestu czterech stuleci. Mogą to być rzeczy bardzo jeszcze dalekie; ale ostrzeżenia historyi są pod tym względem nieomylne, a wyroki jéj srogie dla tych, co z doświadczenia dziejów korzystać nie umieją.

Pozostają nam jeszcze dwa wielkie, i z wspaniałą historyą, mieszczaństwa: niemieckie i niderlandzkie, o tych jednak na teraz tylko pobieżnie wspomnieć możemy, zmuszeni się ograniczać. Historya mieszczaństwa angielskiego, które dziś przez parlament wielko-brytański rządzi losami państwa największego na świecie, oraz mieszczaństwa północno-amerykańskiego, które się powoli zabiera do kierowania losami największéj z pięciu części świata, rozwijało się na nieco innych podstawach, aniżeli historya mieszczaństw kontynentalnych.

W Niemczech rozwój mieszczaństwa był początkowo nieco różny od francuskiego; podstawy wszakże i cele były też same. Podbój rzymski nie zostawił tu za Renem takich tradycyi, jak w Galii. Germanowie pierwotni mieli wstręt do miast; uważali je za niebezpieczne dla ich wolności. Ale w wiekach średnich z potrzeb i wypadków w sposób bardzo naturalny utworzyło się wiele miast nowych, obok owych staro-rzymskich około Renu i od południa. Około X-go stulecia zaczął się i tam wytwarzać osobny stan mieszczan (*Bürger*, dawniéj *Burger*, po łacinie *Burgenses* od *Burgu* czyli grodu). Mieszkańcy tych grodów dla obrony swéj wolności, dla zabezpieczenia swéj pracy, łączyli się w gminy i korporacye, uorganizowane zbrojnie dla obrony życia, spokoju i mienia. Każdy urodzony w gminie lub do niéj przyjęty był wolnym człowiekiem, chociażby był zbiegiem i niewolnikiem, czyli poddanym, sąsiedniego pana feodalnego. W wielu ustawach miejskich, jak powiada Bluntschli, wstawiano wyraźnie to piękne zdanie:

„Powietrze miasta robi wolnym.“ Do końca XVII-go wieku te miasta i to mieszczaństwo wzrastały ciągle przez pracę, ład, energią, talent, wykształcenie, naukę. Miasta cesarskie (*Reichsstädte*) stały się samodzielnemi rzeczpospolitemi, z osobném w sejmie rzeszy przedstawicielstwem w tak zwaném kolegium ław miejskich, oddzieloném od zebrania książąt i panów. Przyzwolenie téj ławy miejskiéj konieczném było do wydania ogólnie całe cesarstwo obowiązujących praw. W terytoryach miasta krajowe podobny w sejmach udział miały, a bez ich przyzwolenia nowe podatki nie mogły być nakładane. Wszędzie mieszczaństwo występowało, jako stan zamknięty, obok rycerstwa. Wojna trzydziestoletnia (1618—1648) zniszczyła bogactwo miast, a z niém i polityczne ich znaczenie. Sejm cesarstwa stracił powagę. Sejmy krajowe nie były zwoływane, albo tylko dla formy. Wśród téj powszechnéj ruiny utrzymał się jeno nieograniczony despotyzm książąt. Mieszczaństwo jednak znowu dawnemi drogami wyrabiać się zaczęło z tego upadku. Przychodziło to z trudem, ale w końcu w. XVIII już było ono gotowém do przyjęcia nowych idei, a przez ostatnie lat sto po rozmaitych przejściach, doszło znowu do znaczenia i potęgi, która je robi pierwszym i najważniejszym z czynników państwowych, a pomimo rozmaitych oporów i przeciwnych usiłowań wpływ jego wzrasta raczéj, aniżeli maleje. Całe wykształcenie narodu niemieckiego otrzymało już dawno charakter mieszczański, w miejsce przeważającego do XVII-go wieku charakteru arystokratycznego. W życiu téż towarzyskiém także mieszczańskie przemagają formy.

Jakkolwiek na małéj działając przestrzeni i liczbą nie wielkie, historyą jednak swoją, po weneckiém, może najwyższe zajmuje miejsce mieszczaństwo holenderskie. Bohatérstwem w obronie wolności swojéj i kraju równa się ono weneckiemu, rozumem praktycznym przewyższając je, bo do téj pory kraj ten, po niezliczonych a srogich przejściach, swą niezależność zachował. I tu spotykamy także walkę z morzem, ale jakże kolosalną i jak nieustającą. Holandya jest krajem zdobytym na oceanie, który ciągle jéj grozi i który ciągle odpieranym być musi. I tu spotykamy w XVII-ym w. razem ze zdobytą wolnością kolosalny rozwój sztuki (malarstwa), niezrównane dla nauki poświęcenia, tysiące ludzi z tego mieszczaństwa wyszłych, a sławę i zasługi posiadających ogólno-światowe. I ten kraik mały, przez pracę, rozum, wytrwałość, patryotyzm i dzielność swego mieszczaństwa, które mu dostarczało równie znakomitych kupców, jak wielkich wodzów i admirałów, przez czas jakiś odgrywało rolę prawie wielkiego mocarstwa, łamało potęgę hiszpańską, nie ulękło się Ludwika XIV-go napaści, flotami swemi zagrażało Londynowi. Gdy zaś w XVII-ym wieku ta

świetna chwila minęła, mieszczaństwo holenderskie stało się bankierem całéj Europy, do którego drzwi pokornie, najwięksi stukali potentaci. Historya Holandyi jest głównie historyą jéj miast i mieszczaństwa; daje ona wszystkim wielkie nauki tak ze względu na wysokie mieszczaństwa przymioty, jak i na wady, ujawniające się zwłaszcza, gdy staje się klasą wyłącznie kierującą.

A teraz na zakończenie o naszém mieszczaństwie, kilka słów tylko. By losy jego opowiedzieć, by jego siły i wzrost wykazać, by jego roboty i zasługi ocenić, na to nie wystarcza ogólno-szkicowy artykuł. Na to potrzeba olbrzymiego dzieła, długiéj i sumiennéj pracy, téj zaś może się tylko podjąć albo historyk, który nam owe inwentarze olkuskie wykazywał, albo inny jego kolega, podobnie jak tamtem umiejący wysnuć obrazy życia z martwych dla każdego innego cyfr, czy innych suchych dokumentów, które dla niego są niby pulsacyą, siły życia miarę dającą. Tutaj jedynie powiemy, że mieszczaństwo nasze jak się powoli temiż samemi ideami co inne wznosiło, tak prawie z podobnych powodów i prawie w tymże czasie, jak inne sąsiednie, upadło, by następnie także prawie jednocześnie z niemi powoli się podnosić. W Niemczech upadek ich potężnego mieszczaństwa datuje się od wojny trzydziestoletniéj. U nas wprawdzie mieszczaństwo nigdy nie miało takiéj potęgi, warunki krajowe ułożyły się inaczéj, było jednak już w końcu XVI wieku bardzo poważnym w życiu krajowém czynnikiem. Klęski panowania Jana Kazimierza, błędne pojęcia ekonomiczne i rozkład polityczno-społeczny, jaki po owych klęskach nastąpił, podcięły ten, już poważny, zarodek miejscowego mieszczaństwa. Usług, jakie ono oddawać miało i mogło, podjęły się inne żywioły, bądź całkiem obce, bądź miejscowe wprawdzie, ale pomimo przebiegłości swéj i sprytu, nie posiadające naówczas warunków do wytworzenia poważnego i szacunek nakazującego mieszczaństwa. Żywioły te umiały prowadzić handel ale przekupniarski głównie, i stłumiły żywotność poważnego u nas mieszczaństwa. Pomagały im do tego przeróżne polityczne przesądy i fanaberye. Dopiéro w końcu XVIII-go stulecia zaczęto rozumiéć niebezpieczeństwo, widząc upadek miast, ich wyludnienie, ich bezsilność. Zaczęto się krzątać nad podniesieniem stanu mieszczańskiego. Było już zapóźno, by jakieś ważniejsze faktyczne osiągnąć wyniki. Robota była zresztą zbyt improwizowana. Ale nie zapominano odtąd już o konieczności wytworzenia silnego mieszczaństwa, przez podniesienie przemysłu krajowego. Od 1816 roku zwłaszcza, statyści nasi szczerze nad tém pracowali; nie wszystkie próby były szczęśliwe; ale praca nie poszła na marne, pomimo mnóstwa najrozmaitszego rodzaju przeszkód. Dziś, kiedy ekonomiczne warunki

bytu i takież sprawy stanowią najgłówniejszą dla społeczeństwa kwestyą, posługując się tą tylko miarą, w ocenie naszych stosunków, możemy powiedzieć, że wracamy znowu do posiadania mieszczaństwa poważnego i poważanego, opartego na tych podstawach, jedynie pewnych: na pracy, sumieniu, zabiegłości, ukształceniu, energii i tém zacném poczuciu, że praca nietylko własny pracującego, ale i kraju interes winna mieć na celu. Jeżeli weźmiemy tylko dwa nasze miasta: Warszawę i Łódź, jeżeli zsumujemy wartość nagromadzonego w nich nieruchomego i ruchomego kapitału, jeżeli dodamy do tego ów inny jeszcze, niby czysto moralny, a pomimo tego bardzo rzeczywisty, kapitał pracy, rozumu, energii, ukształcenia, sumienności i połączonego z nią kredytu, może suma ogólna wypadnie tak, iż stanowić będzie niezmiernie poważną, nie śmiemy powiedzieć, jak wielką część naszego krajowego mienia. Posiadamy do tego pewne cyfrowe dane. Owo wielkie, ratunkowe zaprawdę, pomnożenie naszego mienia winniśmy temu mieszczaństwu, które pod pewnemi względami już jako potęga ekonomiczna występuje. Sławetni i zacni rajcy olkuscy nie doczekali się bezpośredniego potomstwa; ale widząc to dzisiejsze, chociaż tak spóźnione, z pociechą w sercu, z nadzieją i dumą błogosławiliby jego usiłowaniom. □





NAUKOWO-SPOŁECZNA DZIAŁALNOŚĆ
PROFESORA
TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO.

...Tacy nie umierają całkowicie; czyny ich żyją i jak dobre ziarno krzewią się w następném pokoleniu, które często nieświadomie przyjmuje ten spadek i z niego pożytki ciągnie. Taki spadek zostawił po sobie Chałubiński.
(*Józef Kenig* w życiorysie Chałubińskiego, „Niwa“ Nr. 22 r. 1889).

W szeregu powołań, jakie z podziału pracy społecznéj wynikły, i cechę pewnych odrębności zyskały, najodrębniejszém jest powołanie lekarskie, i może najobszerniejsze do działania przedstawia pole. O ile bowiem niedola człowiecza, chorobą zwana, jest powszechną, i każdego bez wyjątku dotknąć może, o tyle zakres działalności lekarza jest obszernym, rzec można, granic nie posiadającym. Wielkiém i ważném jest zadanie tego, który ma łagodzić cierpienia, ratować życie i strzedz zdrowia społecznego od całego szeregu wpływów, które trwałość onego podkopać mogą. Że dla spełnienia podobnego zadania, potrzeba prócz specyalnego przygotowania, niemałego zapasu wiedzy i rozległego doświadczenia, rzeczą jest naturalną i konsekwentnie wynikającą, tak z wielostronności potrzeb jednostek i społeczeństw, jak i saméj trudności uczynienia zadość tymże potrzebom. Jeżeli jednak fachowe uzdolnienie i należny stopień doświadczenia w innych zawodach są wystarczającemi, to w zawodzie lekarskim nie są one wszystkiém. Istnieją jeszcze inne po za samą wiedzą czynniki, które zawodowi lekarskiemu nadają swoiste piętno, i wynoszą go do godności powołania, czynniki, które czerpiąc swe źródło w humanitarnych uczuciach człowieka, wkraczają już w sferę, leżącą po za ramami fachowego przygotowania. Tylko o lekarzu posiadającym obok specyalnéj wiedzy w sobie te czynniki, możemy powiedzieć, iż jest ideałem, godnym nazwy ideału lekarza-człowieka. Atoli ideały w powyższém

pojęciu zarówno w innych zawodach, jak i w lekarskim, nie są zjawiskiem powszedniém. Do szczupłéj ich liczby należy zaliczyć Tytusa Chałubińskiego, śmierć którego dała powód do całego szeregu wspomnień, oraz wyrazów czci i uznania w naszéj prasie, i wywołała żal niekłamany, w którym wziął udział kraj cały. Sam ten fakt dowodzi, iż zmarły musiał być osobistością niezwykłą i dobrze zasłużoną ogółowi, skoro na wiadomość o jego zgonie, całe społeczeństwo pośpieszyło ze złożeniem mu hołdu. Że Chałubiński zajął wybitne stanowisko w rozwoju naszéj umysłowości i w różnych pracował kierunkach, już to jako lekarz i przyrodnik, już téż jako profesor, pedagog, myśliciel lub działacz społeczny, powszechnie jest wiadomém. Rozpatrzéć przeto tę działalność i ocenić wpływ Chałubińskiego na otoczenie, wśród którego przeszło lat czterdzieści pracował, jest zarówno pożyteczném zadaniem, jak i spełnieniem obowiązku względem człowieka, który w sposób tak wyjątkowy potrafił cały ogół do siebie przywiązać.

Działalność swą rozpoczął Chałubiński bardzo wcześnie; bo gdy po ukończeniu studyów przyrodniczych i lekarskich, które rozpoczął w r. 1838 w Wilnie, a kontynuował w Dorpacie i w r. 1842 i 1843 Würzburgu, a wreszcie je uzupełniał w ciągu następnych lat trzech na różnych wszechnicach europejskich, przybył w roku 1847 do Warszawy, miał zaledwie lat 27. Dr. Dworzaczek, jeden z ówczesnych lekarzy warszawskich, może najwyżéj pod względem uzdolnienia i erudycyi stojący, a następnie dr. Wilhelm Malcz, rozgłośny praktyk, oceniwszy od razu zdolności Chałubińskiego, użyli całego swego wpływu, aby mu stanowisko naczelnego lekarza w Szpitalu Ewangelickim zapewnić i dać możność dalszego kształcenia się. Powierzenie tak młodemu, jak Chałubiński, lekarzowi kierownictwa szpitala, starającego się zawsze o jaknajlepsze siły, zwróciło powszechną na Chałubińskiego uwagę, a publiczność oraz lekarze, i to lekarze o wiele starsi, po niedługim czasie zaczęli uważać Chałubińskiego za osobistość, mającą wszelkie prawo do zajęcia wydatnego stanowiska. Ogrom wiedzy, zdumiewająca pracowitość i wytrwałość, i ta gotowość z jaką Chałubiński niósł pomoc każdemu bez wyjątku, wyrobiły mu wkrótce taką wziętość i rozgłos, że z najdalszych zakątków kraju się zjeżdżano, aby porady u niego zasięgnąć. Z dnia na dzień wzrastała jego popularność, a ludzie zamożni, którzy dawniéj tylko u zagranicznych lekarzy i profesorów szukali porady, poznawszy go, przestali już potém cudzych bogów szukać. Chałubińskiemu to zawdzięczyć należy, iż potrafił obudzić zaufanie ogółu do lekarzy krajowych, i przekonać, że i u nas zdolnych i sumiennych lekarzy, pomimo trudniejszych niż gdzieindziéj warunków, znaléźć można. Sława Chałubińskiego nie była

efemeryczną, owszem, z postępem czasu coraz bardziéj się utrwalała. Wkrótce też imię jego taki posiadało urok, tak potrafiło owładnąć zarówno publicznością jak i lekarzami, iż nie było ani jednego cięższego przypadku, któryby nie był przez Chałubińskiego leczony, lub w którymby Chałubiński przynajmniéj jako konsultant, decydującéj nie odegrał roli. Kluczem, który mu naoścież otwiérał wrota zaufania, talizmanem, co zjednywał serca wszystkich, była ta szczera i gorąca chęć przyniesienia ulgi, to głębokie przejęcie się obowiązkami swego powołania, jakie zawsze cechowało działalność Chałubińskiego jako lekarza. Nie było dlań położeń bez wyjścia, nie było przypadków rozpaczliwych; żaden chory nie usłyszał z ust jego, iż już dla niego nie ma ratunku.

Nigdy na duchu nie upadający, umiał Chałubiński wléwać otuchę w serca swych chorych, i do ostatniéj chwili ich nie odstępował, wiedząc ze swego i innych doświadczenia, iż nieraz wśród najgorszych warunków, mogą zajść takie korzystne zmiany, jakich najprzenikliwszy umysł przewidziéć nie jest w stanie. To wytrwanie na stanowisku wobec najcięższych przypadków, i szereg kuracyj do téj kategoryi należących, kuracyj, których inaczéj jak szczęśliwemi nazwać nie można, postawiły Chałubińskiego na stanowisku bez rywalizacyi, a niektórzy uwielbienie swe dla niego posunęli aż do bałwochwalstwa, przypisujące mu potęgę nadprzyrodzoną i możność robienia istnych cudów, jak tego świéżo w prasie mieliśmy dowody.

Jeżeli Chałubiński pracując nad sobą ciągle i nabiérając coraz więcéj doświadczenia, trafnością leczenia zdobywał sobie uznanie, to w równéj mierze umiał olśnić i przyciągnąć swém sympatyczném, prawie przyjacielskiém obejściem, które od razu znamionowało w nim człowieka wyższego, podniosłemi uczuciami ożywionego. Kto raz go poznał, ten już na zawsze pozostał mu wiernym, a podobny stosunek nie był dla pacyentów bez doniosłego znaczenia, gdyż tym sposobem Chałubiński miał możność robienia nad swymi chorymi dłuższych obserwacyj, mógł zbadać indywidualność pacyenta, widując go co czas pewien przez dłuższy szereg lat; mógł poznać wszelkie tak fizyczne, jak i psychiczne właściwości całych pokoleń, całych rodów, będąc ich stałym lekarzem. Praktykując blisko lat czterdzieści — gdyż ostatnich kilku, w których sam już był złamany chorobą, nie liczymy — léczył rodziców, dzieci i wnuki, kierował ich wychowaniem fizyczném, poznawał ich usposobienia, wady i t. d. Słowem, miał wszelką możność urobienia sobie dokładnego pojęcia o tém wszystkiém, co zawsze dla lekarza bardzo jest cenném, i czego zrazu najbystrzejsze oko, najprzenikliwszy umysł dostrzedz nie zdoła. W tym to warunku spoczy-

wała może w znacznéj części ta wyższość Chałubińskiego nad innymi, acz uzdolnionymi i sumiennymi lekarzami.

Wobec dziwnéj zdolności zatrzymywania w pamięci tego, co raz widział przed kilkunastu lub więcéj laty, a co mogą potwierdzić koledzy i uczniowie Chałubińskiego, oraz wobec wyżéj zaznaczonych danych pod względem możności długoletniego robienia obserwacyj, zdanie jego, szczególniéj w określeniu charakteru nieraz zagadkowego cierpienia lub przepowiedni dotyczącéj przyszłości chorego, miało stanowczą powagę i rozstrzygawcze znaczenie.

Z wiedzą, zdolnościami i doświadczeniem, szła zawsze u Chałubińskiego w parze energia i żelazna wytrwałość, jaką szczególniéj w chwilach, gdy społeczeństwu zagrażała klęska, gdy się srożyła epidemia, rozwijał. Niedość, że jako człowiek inicyatywy, organizował środki ku zwalczeniu złego, ale sam będąc wodzem, pracował jak prosty szeregowiec, zachęcał do działania, uczył spełniać najprostszych posług, i z widocznem, często nieuniknionem narażeniem się, cały oddawał się sprawie. Chałubiński nie umiał nic robić bez zapału, bez poświęcenia. Nie potrzeba dowodów na poparcie tego, gdyż Warszawa, która była prawie wyłącznem polem jego działalności, pamięta dobrze te chwile. Nie podobna atoli przemilczéć o zasługach jego w tym względzie, podczas jednéj z groźnych epidemii cholery, jaka w Zakopanem wśród górali tatrzańskich liczne zbiérała żniwo. Na widok pierwszych ofiar, wśród panicznego strachu, ludność rozpierzchła się na wszystkie strony, kryjąc się przed tą straszną chorobą. Nikt nie zdołał przerażonych nakłonić do powrotu, a ci którzy ulegli chorobie zostali w domach sami, opuszczeni i wystawieni na pastwę śmierci. Wtedy to Chałubiński, acz sam znużony całoroczną pracą, dniami i nocami biegał od chaty do chaty po chorych, umysły uspakajał, chorobie uległych sam ratował, był aptekarzem, siostrą miłosierdzia, wykonawcą najprostszych posług, dostarczycielem żywności, słowem wszystkiém, i dopóty nadludzkich używał wysiłków, dopóki nie zorganizował systematycznéj pomocy i nie zapewnił warunków ku zwalczeniu złego, będąc bez chwili wytchnienia jedynym opiekunem zakopańskiego ludu. Ten rys działalności Chałubińskiego starczy chyba za wiele innych, których tu dla braku miejsca szczegółowo opisywać nie możemy.

Opiérając się na danych faktycznych, możemy o Chałubińskim, jako o lekarzu powiedziéć, iż był to człowiek, który w ciągu całego swego życia dążył bezustannie do tego, aby zawsze i wszędzie nieść ulgę, bez względu na osobiste korzyści; który umiał odczuwać ludzką niedolę i walczyć z nią nietylko bronią nauki i doświadczenia, ale i zasobami, jakie w swém sercu miał dla każdego; że był to nakoniec czło-

wiek, dla którego najwyższą nagrodą za ciężką pracę było uratowanie życia zarówno maluczkiemu jak i temu, co go złotem obsypywał.

* * *

Chociaż Chałubiński znany był szerokiemu ogółowi jako lekarz lub profesor medyczny, wszelako pierwotną jego specyalnością, głównym przedmiotem, który mu cały czas po za zajęciami lekarskiemi zapełniał, było przyrodoznawstwo, a w szczególności badania na polu botaniki, od których rozpoczął i na których ukończył swą naukową działalność. Atoli studya przyrodnicze nietylko, że nie wpłynęły ujemnie, jako pochłaniające mu czas na jego dalsze prace z dziedziny medycyny, lecz owszem, zaprawiły umysł Chałubińskiego do badań, i nie mało przyczyniły się do zajęcia tego stanowiska pomiędzy lekarzami i profesorami, które późniéj jako pierwszorzędny lekarz i niezrównany kierownik kliniki zajął. W czasach, w których Chałubiński zaczął studyować medycynę, nauki przyrodnicze w tak szczupłym na wydziale lekarskim wykładano zakresie, iż zaledwie na tém się ograniczano, co miało tylko bezpośredni z medycyną związek. O nauki przyrodnicze, pojmowane jako całość, jako o niezbędną dla lekarza wiedzę przygotowawczą, oniemal, że się nietroszczono wcale. Dziś, pojęcia pod tym względem zasadniczo się zmieniły, i obecnie nie możemy sobie wyobrazić lekarza, któryby gruntownéj znajomości nauk przyrodniczych nie posiadał. Gdy Chałubiński, mając lat ośmnaście przybył do Wilna, mógł jeszcze pełną piersią oddychać w atmosferze czystéj nauki, wytworzonéj przez nieśmiertelnego autora „Teoryi jestestw organicznych“, który swe monumentalne dzieło wysnuł z podstaw ogólnéj biologii i badań nad przyrodą. Nic więc dziwnego, że umysł żądny przedewszystkiém niezależnych badań, nęciły podówczas więcéj nauki przyrodnicze niż lekarskie. To téż z zapałem zabrał się Chałubiński do badań przyrodniczych, a pierwszym ich owocem była wyczerpująca rozprawa, którą w r. 1843 w „Bibliotece Warszawskiéj“ ogłosił p. t.: „Historyczny przegląd mniemań o płciowości i sposobie zapładniania się roślin“, w któréj niepośledni zapas wiedzy, jak na owe czasy, oraz wysoce krytyczny umysł wykazał. Była to praca zdaniem specyalistów rzetelną wartość przedstawiająca, i pomimo swego kompilacyjnego charakteru, niejeden oryginalny pogląd, oparty na własnych badaniach autora, zawierająca. Zamiłowanie Chałubińskiego do botaniki objawiło się następnie w postaci przekładu wybornego dzieła Adryana Jussieu, w którém tłómacz wystąpił jako niepośledni znawca języka ojczystego, i znaczną liczbą poraz piérwszy do nauki wprowadzonych terminów, wiedzę botaniczną wzbogacił.

Gdy po upływie lat kilku, Chałubiński pracując już systematycznie nad medycyną, przekonał się, iż chemia w całéj obszerności dla myślącego lekarza jest konieczną, uznawszy swoje dotychczasowe wiadomości za niedostateczne, z całym zapałem, jakim się wszystkie jego naukowe zajęcia odznaczały, oddał się chemii. Wnet też pracownia, na któréj założenie potrzeba było bardzo znacznych funduszów, jego stanęła kosztem, bo odpowiedniéj dla niego w Warszawie naówczas nie było, i Chałubiński z dziełami pierwszorzędnych ówczesnych badaczy, jak Frezeniusa i Otto Grahama w ręku, przepracował kilkakrotnie wszystko to, co wówczas stanowiło podstawy chemii analitycznéj. Mając dzień cały zajęty, pracował Chałubiński nocami nad chemią w ciągu lat trzech, jak świadczą ówcześni jego koledzy.

Pomimo wzrastającéj z niezmierną szybkością wziętości Chałubińskiego i prac w szpitalach, co mu literalnie cały czas od rana do późnéj nocy zabiérało, umysł jego chciwy wiedzy bez końca, po studyach nad morfologią roślin i chemią, zapragnął poznać dziwy świata mineralnego. Prace na nieznaném sobie bliżéj polu rozpoczął od studyów nad krystalografią, nauką bardzo trudną, i całkiem odrębną od tych, jakiemi się dotąd zajmował. Zasobny w gruntowne wiadomości z chemii analitycznéj i obznajmiony wybornie z analizą dmuchawkową Plattnera, już w niedługim czasie doszedł do znacznéj biegłości w klasyfikacyi minerałów. Ufny w swą wytrwałość, zaczął Chałubiński tworzyć systematyczny zbiór minerałów, i odtąd nigdy nie opuścił żadnéj sposobności, aby go powiększyć i uzupełnić. Zawiązał obszerne stosunki ze specyalistami, i osobiście wystudyował najznakomitsze gabinety mineralogiczne w Europie. Korzystając z obszernych swych znajomości i nie oszczędzając ogromnych sum na okazy, których mu brakowało, po kilkunastu latach wytrwałych zabiegów, stał się Chałubiński posiadaczem pięknego i kompletnego zbioru, który mógłby być ozdobą pierwszorzędnych ognisk naukowych. Zbiór ten, mający tak pod względem czysto naukowym, jak i pedagogicznym, bardzo doniosłe znaczenie, zarówno uderza pełnością i ilością, jak i pięknością samych okazów, w liczbie których są takie, co jeśli nie są unikatami, to dziś już wielką rzadkość co do piękności stanowią, z uwagi, iż kopalnie z których one pochodziły, już dawno nie istnieją. Zbiory swe gromadził Chałubiński nie jako prosty amator lub dyletant, który tworzy zbiory dla zbierania, lecz jako prawdziwy badacz, świadom celu w jakim kosztowną i mozolną pracę podejmuje. Zbiór, o którym mowa, posiada wszelkie cechy ściśle naukowe. To też dołożyćby należało wszelkich starań, aby zbiór tak piękny, będący przedmiotem podziwu specyalistów oraz kompletnym obrazem znanych do dziś bogactw kopal-

nianych, nie przeszedł w obce ręce. Wyliczeniem białych kruków w tym zbiorze nie dodamy mu wartości. Powinien on się stać raczéj przedmiotem wyczerpującego dzieła opracowanego przez specyalistów miejscowych. Wtedy mieliby możność przekonania się wszyscy, czém jest zbiór ów dla nauki. Pozbyć się tego zbioru i wydać go z kraju, byłoby to samo, co wyprzéć się jego twórcy, który całe swe życie pracował dla nauki w tém głębokiém przekonaniu, że tylko za jéj pomocą można wyższe cele osiągnąć.

Spełniwszy w sposób tak świetny ważne zadanie na polu mineralogii, powrócił Chałubiński do swych ulubionych studyów botanicznych, których nie zaniedbywał nawet wtedy, gdy olbrzymia praktyka i profesorskie zajęcia cały czas mu pochłaniały. Owoce swych samodzielnych poszukiwań ogłosił w postaci dwóch prac. Jedna wyszła w r. 1882, w II-gim tomie „Pamiętnika Fizyograficznego“ p. t. *Grimmieae tatrenses ex autopsia descripsit et adumbravit* dr. T. Chałubiński, z 18 tablicami, rysowanemi przez autora wspólnie z prof. Augustem Wrześniowskim, i obejmuje szczegółowy opis 28 gatunków mchów flory tatrzańskiéj. Praca ta była wstępem do drugiéj, daleko obszerniejszéj w VI-ym tomie tegoż Pamiętnika w lat 4 ogłoszonéj i zawierającéj opis 422 gatunków tychże mchów, zebranych przez autora na różnych wysokościach Tatr. Jestto najkompletniejszy wykaz mchów liściastych, jakie dotąd w naszéj strefie zostały zbadane i zdeterminowane. Do drugiéj téj pracy dodał Chałubiński niewielką, lecz bardzo dokładną mapę Tatrów, która dla każdego, chcącego się oryentować w tym wspaniałym labiryncie gór, jest niezbędną. Obie prace napisane po łacinie, aby były dostępne dla ogółu badaczy, zyskały w kołach specyalistów wysokie uznanie, i wyrobiły naszemu profesorowi niepoślednie wśród botaników stanowisko. Gdy drugą tę pracę Chałubiński ostatecznie do druku opracowywał, a było to w r. 1885, nadwątlone siły już mu nieraz wypowiadały posłuszeństwo. Miłość przedmiotu sił mu dodawała, a badania naukowe taką były jego umysłu potrzebą, iż to, co dla kogo innego stanowiłoby mozolną pracę, on nazywał wytchnieniem po całodziennych zajęciach! To też rozpatrując się w działalności Chałubińskiego raz jako lekarza, drugi raz jako badacza przyrody, uderza nas przedewszystkiém ten fakt, iż był to człowiek, który wobec olbrzymich zdolności w różnych kierunkach, wyróżniał się nie mniejszą pracowitością, że praca szeroka, ciągła, była dla niego koniecznością, była wynikiem jego organizacyi umysłowéj. Był to człowiek, który przez życie całe przeszedł wedle zasady: *nulla dies sine linea.*

Atoli nie na zajęciach lekarskich lub przyrodniczych kończy się

działalność tego wytrwałego pracownika. Kto chce poznać tę niepospolitą osobistość, musi rozpatrzéć jeszcze najpłodniejszą sferę jéj działalności, musi się przyjrzéć, w jaki sposób Chałubiński wychowywał całe pokolenia polskich lekarzy, jak ich rozwijał i jak pojmował swe zadanie jako przedstawiciel nauki oraz pedagog.

* * *

Gdy w roku 1857 otwartą została w Warszawie akademia medyczna, obsadzenie katedr odpowiednio uzdolnionymi profesorami nie małe przedstawiało trudności. Wprawdzie nie zbywało podówczas na ludziach, którzy dla nauki z korzyścią pracowali, ale wytrawnych pedagogów brak był zupełny. Największe stosunkowo trudności przedstawiało zaopatrzenie nowéj instytucyi w zdolnych klinicystów. Szczęśliwy pod tym względem wyjątek stanowiła klinika terapeutyczna, czyli klinika chorób wewnętrznych; Warszawa bowiem posiadała Chałubińskiego, który pod względem biegłości w dyagnostyce i bardzo szerokiego filozoficzno-przyrodniczego przygotowania, nie miał sobie równego wśród naszych lekarzy. Nazwisko przeto jego dostateczną przedstawiało rękojmię, iż klinika, któréj ma się stać przewodnikiem, będzie posiadała ściśle naukowy, racyonalny kierunek.

Jak wszystko do czego Chałubiński rękę przyłożył, tak też i jego klinika miała swoje odrębne cechy, swoją wybitną indywidualność. Znamiennym jéj rysem było to, iż wszystko, co się w niéj działo, musiało być wynikiem ścisłego rozumowania, musiało się opiérać na szczegółowym rozbiorze wszelkich zjawisk i ocenieniu ich wzajemnego do siebie stosunku, na dążeniu do wytworzenia w umyśle każdego słuchacza pojęcia o całości zjawisk, jako obrazie klinicznym, a to wszystko, wobec jaknajściślejszego badania każdego chorego. Wróg wszelkiéj szablonowości i schematyzmu, wymagał Chałubiński, aby każdy z jego słuchaczy umiał myśléć, aby sobie zdawał sprawę z każdego zjawiska i poddawał ścisłéj krytyce własne rozumowanie. Za najważniejsze zadanie wziął sobie Chałubiński wdrożyć umysły do ścisłego badania, do rozumowania, któreby zawsze mogło znaleźć potwierdzenie w saméj naturze. Wychodząc z zasady, że nie masz dwóch przypadków ściśle do siebie podobnych, zawsze przestrzegał, aby nie zaniedbywać procesu myślenia, i poddawać bacznemu rozbiorowi nawet najprostsze z pozoru zjawiska, czyli inaczéj mówiąc: Chałubiński dążył do podania swym słuchaczom ścisłéj, na rozumowaniu opartéj, metody naukowéj, któraby o tyle o ile tylko prawa logiki na to pozwolą, chroniła lekarza od możebnych błędów. Powyższe zasady, będące, że się tak wyrazimy, środkiem ciężkości pro-

gramu klinicznego Chałubińskiego, były zarówno wynikiem jego pojęć o zadaniu, jakie każdy pedagog ma do spełnienia, jak i wynikiem kierunku jego naukowego przygotowania. Klinikę podobną mógł tylko stworzyć myśliciel i badacz-przyrodnik, jakim był Chałubiński.

Aczkolwiek Chałubiński ogrom dawnych i współczesnych autorów pochłonął, przy chorym jednak kazał o książce zapomnieć. Opisy bowiem książkowe, choć się na naturze wzorują, nigdy nie mogą wyczerpać téj nieskończoności odmian, jakie każda bodaj najprostsza postać chorobna, u różnych osobników badana, przedstawić może. Ztąd pochodzi, iż ci którzy chcą dany przypadek chorobny podciągnąć pod pewien książkowy schemat, dążą do wyszukania objawów, na których w danych przypadku może zbywać, lub przeoczają faktycznie istniejące, dla tego, że o nich w książce nic nie ma. Od podobnych zasadniczych błędów uwolnić może tylko ścisłe i niezależne badanie, przedsięwzięte w każdym bez wyjątku przypadku. Poczynający, jeśli o tém pamięta, już wkrótce się przekonywa, że jedna i ta sama sprawa patologiczna może u różnych osobników przybiérać najrozmaitsze charaktery, a to stosownie do właściwości osobniczych, do indywidualności danego chorego. Umiéć w każdym pojedyńczym przypadku należycie ocenić, w jaki sposób warunki indywidualne na przebieg choroby wpływają i częstokroć sam punkt wyjścia jéj modyfikują; umiéć sobie zdać sprawę z wzajemnéj zależności od siebie tych dwóch czynników, stanowi cały rozum lekarza, i jedynie daje podstawę do trafnego leczenia. Gdy więc wedle powyższego, indywidualizacya jest podstawą działalności lekarza, przeto miéć się winno na uwadze leczenie chorego, a nie choroby. Prosta ta teza, która niejednemu paradoksem wydać się może, stanowi jednak wyraz rzetelnego w medycynie postępu, jakiego u nas Chałubiński był najwybitniejszym przedstawicielem.

Gdy główném staraniem profesorów kliniki w wielkich miastach było zgromadzanie jaknajwiększéj ilości rzadkich bardzo przypadków, przedmiot ciekawości stanowiących, a to w tym celu, aby jaknajwięcéj słuchaczy przyciągnąć, to w klinice Chałubińskiego rzecz się miała całkiem inaczéj. Chałubiński nie starał się o niezwykłości, prowadząc swe zajmujące wykłady, na przypadkach najczęściéj napotykanych. Lekarz, mówił, powinien przedewszystkiém umiéć gruntownie leczyć najpospolitsze, najczęściéj się przytrafiające przypadki. Poświęcanie zaś czasu ze strony uczących się, którzy go nie mają za wiele, na przypadki, z któremi się może nigdy w życiu nie spotkają, nie ma celu. Lekarz, który sobie przyswoił naukową metodę badania, da sobie radę w każdym, najbardziéj zagadkowym przypadku. Poradzi się autorów i czas dłuższy obserwując, dojdzie do celu. W przypadkach

częstych, nie ma na to czasu; musi się szybko oryentować, jeśli chce większéj liczbie chorych udzielić pomocy i działalność swą o ile możności rozszerzyć.

Za niezbędne uważał Chałubiński, aby każdy przypadek, bez względu na zakończenie, obserwować od początku do końca, bo tylko taka obserwacya jest całkowitą i pouczającą, gdy inna jest połowiczną. Powinniśmy badać zjawisko w całości, z jego głównemi i pobocznemi następstwami. Niedość jednak było w klinice Chałubińskiego badać i spostrzegać dany przypadek do końca, trzeba było jeszcze zastanowić się nad nim w tak zwanéj epikryzie. O ile opisanie saméj obserwacyi winno było być jaknajwierniejszém odźwierciedleniem tylko wyłącznie tego, co w danym przypadku miało faktycznie miejsce, o tyle epikryza miała na celu wyczerpanie wszelkich możliwości, jakie z danego przypadku wywiązać się mogły, powinna była podać krytyczną ocenę zabiegów leczniczych, nakreślić plan dalszego postępowania i wogóle poddać analizie to wszystko, co z danym przypadkiem mogło mieć choćby najdalszy związek. Był to jakby rodzaj rachunku sumienia lekarskiego, jakby rodzaj wykładu klinicznego, dla którego punktem wyjścia był opisywany przypadek. W ten sposób opracowywane historye chorób były wielce pouczającemi i wyrabiały samodzielność w słuchaczach, na którą profesorowie zagranicznych klinik współcześni Chałubińskiemu, prawie że uwagi nie zwracali.

Gdy z rozwojem nauk przyrodniczych metody przedmiotowego badania chorych, jako to: auskultacya i perkusya, chemiczne badanie wydzielin, termometrya kliniczna, badanie za pomocą wszelakiego rodzaju wzierników i t. d., zyskały na ścisłości, badanie podmiotowe na drugi plan zostało zepchnięte. Chorzy stawali się przedmiotami do badań, a co ze zbadania ich przez lekarza wynikło, stanowiło jedyną podstawę dla postępowania lekarskiego. Tymczasem doświadczenie przekonywa nas codzień, że i to, co chory o początku swéj choroby, o sposobie jéj powstania i innych okolicznościach udzielić nam może, ma nieraz niezmiernie ważne znaczenie, i w wielu przypadkach nawet na sam sposób leczenia, i dalsze plany onego, może mieć wpływ stanowczy. Otóż, Chałubiński przeciwko podobnemu lekceważeniu badań subjektywnych jaknajenergiczniéj występował, wykazując na szeregu odpowiednich przykładów, że każda z tych metod ma swoje właściwości i jedna przez drugą zastąpić się nie da, że chociaż objektywne badanie jest ważniejsze i w wielu razach może być jedynie stosowane, to jednak pełny obraz badania lekarskiego osiąga się przez połączenie tych obydwóch metod, ile tylko razy współcześnie obie mogą znaleźć zastosowanie. Atoli o ile badanie przedmiotowe musi

być ścisłe i kilkakrotnie dla pewności powtórzone, o tyle podmiotowe musi być prowadzone ostrożnie i z pewną wprawą, jaka się tylko doświadczeniem zdobywa. Nie należy podsuwać chorym pojęć, które nam do uzupełnienia naszego obrazu mogą być potrzebne, nie trzeba w nich wmawiać, lecz dać im się samym wypowiedzieć. Często nawet niezbyt rozwinięci chorzy udzielają nam o naturze i charakterze swego cierpienia takich wskazówek, jakichbyśmy za pośrednictwem najstaranniejszego badania objektywnego nie zdobyli.

Jeżeli sposób prowadzenia kliniki przez Chałubińskiego był zupełnie samoistnym, to może najsamoistniejszą była jego „nauka o wynajdywaniu wskazań lekarskich“, z których wypływał „plan leczenia i jego wykonanie“. Aby ideę przewodnią Chałubińskiego w nauce téj zrozumiéć, potrzeba samemu być lekarzem i poznać dobrze wszystko, co w tym zakresie przez innych klinicystów zostało jako metoda, jako system przyjęte. Gdy rozwinięcie idei téj nie dałoby się w sposób dostateczny na tém miejscu uskutecznić, musimy się ograniczyć tylko na zaznaczeniu, że wskazaniem (*indicatio*) w lekarskiém zrozumieniu kliniczném, zowie się danie odpowiedzi na pytanie: co lekarz ma zrobić w danym przypadku, aby zadanie swe najskuteczniéj spełnić t. j. wyleczyć chorego, czyli, jakie obrać drogi, któremi idąc, osiągnąć może pewne lecznicze cele. Choroba ma swoją przyczynę, przyczyna ta wytwarza mniejsze lub większe skutki, czyli zmiany w pewnych narządach ciała; zmiany te mogą zagrażać bezpośrednio życiu lub ograniczać pewne funkcye — daléj, zmianom tym towarzyszyć może szereg zjawisk, czyli symptomatów niepokojących chorego, acz nie zagrażających życiu, wreszcie, rzeczone zmiany chorobowe mogą po sobie zostawić liczne następstwa, począwszy od wytworzenia w organizmie usposobienia do ponownych zachorowań, aż do zaburzeń trwałych, które już nigdy całkowicie nie znikają i tym sposobem szerokość zdrowia w większym lub mniejszym stopniu ograniczają. Otóż, zdawałoby się, że z tak przedstawionego łańcucha zjawisk, których punktem wyjścia była pierwotna przyczyna, wypływają sposoby leczniczego postępowania, to jest zadośćuczynienie pewnym wskazaniom, które stosownie do ogniw owego łańcucha zboczeń chorobnych, określają się jako wskazania: przyczynowe, chorobowe, objawowe, życiowe i t. d., albo innemi słowy, że one wyrażają dążenie do usunięcia przyczyny choroby, daléj, usunięcia zmian już wytworzonych, daléj, objawów niepokojących chorego i t. d. i t. d. Jeżeli jednak przyjrzemy się zawiłéj kwestyi wskazań bliżéj, to się przekonamy, że podobny schematyzm jest sztucznym i prawie nigdy nie znajduje w naturze potwierdzenia. Na wskazania lecznicze, i na ich sposób uzasadniania, Chałubiński zapatrywał

się całkiem inaczéj. Opiérając się na tym oczywistym fakcie, iż w większości przypadków przyczyna choroby jest niedosięgalną, co zarówno da się powiedziéć i o już wytworzonych w organizmie sprawach chorobnych, zastanawiał się Chałubiński nad tém, który z warunków, albo jak się wyrażał, momentów chorobnych, jest dosięgalnym. Z dosięgalnych znowu, który ma względnie najważniejsze znaczenie. Najważniejsze zaś znaczenie miał ten, zniesienie którego zapewniało możność otrzymania największéj sumy skutków, bądź to pośrednich, bądź bezpośrednich. Tym sposobem ujęty w pewną genetyczną całość szereg momentów, przeciwko którym działanie lecznicze było możebne, służył jako podstawa do nakreślenia planu leczenia. Aby system Chałubińskiego w sposób wyczerpujący przedstawić, i doniosłość tegoż systemu pod względem praktycznym wykazać, musielibyśmy przywołać na pomoc cały szereg typów, czyli obrazów klinicznych, co leży już po za granicami zadania, jakie możemy spełnić na tém miejscu. System swój ogłosił Chałubiński w r. 1874 p. t. *Metoda wynajdywania wskazazań lekarskich. Plan leczenia i jego wykonanie.* Dzieło to jest jakby zformułowaniem tego, co przez każdy samodzielny umysł w każdym pojedyńczym przypadku przechodzić musi. Jak na każdém miejscu, tak i tu, wyrobienie samoistności w lekarzu, wprowadzenie myślowego, krytycznego pierwiastku do postępowania lekarskiego było jedném z najważniejszych zadań, jakie sobie Chałubiński zakréślił. Z tego to punktu widzenia oceniana jego „metoda" posiada wszelkie dane, chroniące lekarza od możebnych błędów; może być uważana za drogowskaz do racyonalnego postępowania, i przez długi czas będzie zajmowała wybitne w dziedzinie myśli ludzkiéj stanowisko.

Wartość systemu nauczania stosowanego przez Chałubińskiego, systemu, opartego z jednéj strony na ścisłém obserwowaniu natury, z drugiéj zaś na rozumowaniu i krytyce własnego postępowania, nabierała jeszcze większego znaczenia, gdy na klinice pojawił się przypadek ciężki, skomplikowany, lub wogóle nie często spotykany. Wobec bystréj analizy Chałubińskiego, która nic nie pominęła i wszystko potrafiła złożyć w całość, wobec ścisłości w badaniu, najzawikłańsze przypadki stawały się jasnemi. Jasnemi? tak jest; ale to jeszcze nie wszystko. Ważniejszą nierównie rzeczą było to, iż dalsza, nieraz całe miesiące trwająca obserwacya, jaknajściśléj potwierdziła i przepowiedziany przebieg i zakończenie choroby, nie mówiąc już o trafności rozpoznania, czyli dyagnozie choroby, w któréj Chałubiński prawie się nie mylił.

Badając ogromne mnóstwo chorych i umiejąc z każdego przypadku odnieść naukowe korzyści, Chałubiński nabył takiéj wprawy

w ocenianiu każdego zjawiska, które się za pomocą zmysłów dokonywa iż bez przesady powiedzieć można, zmysły jego były czulsze i wrażliwsze, niż innych. Nadto, zawdzięczając temu, iż żadnego szczegółu nie opuścił, i umiał je w pewną całość ułożyć, nadzwyczaj szybko się oryentował. Jeden rzut oka, jedno wrażenie odniesione, było dla niego nieraz zupełnie wystarczającém, aby dany przypadek scharakteryzować. Tam, gdzie niedostateczny stan wiedzy współczesnéj nie mógł zapewnić możności rozwiązania kwestyi, gdzie zbywało na kryteryach, tam brak faktycznych danych zastępowała Chałubińskiemu intuicya. Ileż to razy na klinice, lub po za kliniką byliśmy świadkami nadzwyczajnéj przenikliwości jego umysłu, opartéj na czémś oderwaném, przenikliwości, dającéj się objaśnić tylko intuicyą? Szeregiem wykładów starał się Chałubiński uzasadnić, iż są przypadki, których rozpoznanie (*dyagnoza*) jest niemożebne, i w których błędy są nieuniknione. W lekarzu jednak, który dużo obserwował i umiał pewne zasadnicze w każdém cierpieniu uchwycić rysy, wytwarza się jakby oddzielny zmysł, pozwalający z wielkiém prawdopodobieństwem uchwycić jądro rzeczy. Nie da się to bliżéj określić, ale fakt pozostanie faktem. Nie długo trzeba było nieraz czekać, aby się zdanie Chałubińskiego sprawdziło. Możnaby to nazwać trafem, gdyby to dotyczyło jednego lub kilku przypadków, ale tam, gdzie się to częściéj powtarzało, trzeba przyznać istnienie pewnéj acz niedającéj się ściśle sformułować przyczyny. Talent, czy intuicya, czy téż wyjątkowa bystrość spostrzegawcza, lub czułość zmysłów, jak tam kto chce nazwać, szczególniéj na jaw występowały, gdy chodziło o przepowiednią, dotyczącą sposobu zakończenia się choroby, czyli o tak zwane rokowanie (*prognosis*). Były przypadki z pozoru pomyślne zakończenie obiecujące, które jednak dla Chałubińskiego od razu bardzo wątpliwemi lub stanowczo złemi się wydawały, a smutna rzeczywistość przekonała o prawdzie słów jego; odwrotnie, przypadki rozpaczliwe nieraz, przez wielu lekarzy określane jako fatalne, kończyły się pomyślnie i od pierwszego ich widzenia przez Chałubińskiego, za dające niewątpliwe szanse były uważane. Wobec podobnych faktów, których świadkami byli zarówno uczniowie, jak i ogół lekarzy, nic dziwnego, iż Chałubiński stał się bardzo wziętym konsultantem, że prawie nie było cięższego przypadku, w którymby go pominięto i jego nie zasięgano rady. Podobny stan rzeczy wyrobił mu wśród wszystkich najwydatniejsze, naczelne stanowisko.

Przymioty, które Chałubiński zarówno odziedziczył od natury, jak i nieustającą pracą w sobie wyrobił, stawiały go w rzędzie pierwszorzędnych klinicystów, w rzędzie osobistości, które same w sobie

mają dość warunków, aby stworzyć pewną szkołę, pewien kierunek wybitny. Był to klinicysta wielkiego pokroju, i przedstawiciel pojęć samoistnych.

Jakiego rodzaju szkołą była klinika Chałubińskiego, mogli jeszcze lepiéj ocenić ci, którzy zasobni pewném doświadczeniem, uzupełniali swe studya już jako lekarze, w najlepszych klinikach europejskich.

W ciągu swego zawodu nauczycielskiego, wykształcił Chałubiński do dziesięciu seryi polskich lekarzy, rozpocząwszy swe wykłady w 1859-ym roku, a skończywszy w r. 1871-ym. Jeżeli powiedzieliśmy, że Chałubiński kształcił lekarzy, powiedzieliśmy za mało; Chałubiński tworzył lekarzy, bo uczył ich nietylko leczyć; zniewalał on każdego ze swych słuchaczy do myślenia, zmuszał do tego, aby każdy stawał się jednostką samoistną, uczył więc tego, czego żadna książka nauczyć nie może.

Tak jest. Chałubiński nietylko uczył i kształcił w swéj klinice, lecz urabiał charaktery lekarskie w tym podniosłym duchu, w tém pojęciu etyczném, jakie stawiało każdego z jego przyszłych kolegów na stanowisku lekarza-obywatela, lekarza-człowieka, który po za swém powołaniem ma jeszcze inne cele do spełnienia, jako jednostka najszybciéj i najsilniéj mogąca się zżyć ze swém społeczeństwem, i mająca najwięcéj warunków do odczucia jego wszelkich potrzeb w najszerszém tego słowa znaczeniu.

Gdy Chałubiński opuścił zajmowane przez się w ciągu 12-tu lat stanowisko, był u szczytu swego rozwoju i swéj popularności, miał bowiem wtedy rok pięćdziesiąty pierwszy; mógł był więc co najmniéj z lat dziesiątek pracować daléj. Wieść, iż Chałubiński opuszcza stanowisko profesora kliniki, zrobiła bardzo przygnębiające wrażenie. Nikt się nie spodziewał takiego obrotu rzeczy, nikt nie przewidywał tego. Gdy jednak fakt stał się faktem, wdzięczność i przywiązanie, jakie wszyscy słuchacze jego mieli do niego, objawiło się bardzo gorąco. Z najodleglejszych zakątków kraju zjechali się uczniowie Chałubińskiego. Wręczono mu album i zebrano się na składkową wieczerzę, o któréj wspominamy tu tylko dlatego, że na niéj powstała myśl zebrania funduszu stypendyalnego imienia Chałubińskiego. Już w kilka tygodni fundusz drogą składek przez uczniów i kolegów Chałubińskiego złożony, dosięgnął dostatecznych rozmiarów i wkrótce też regulamin stypendyalny do zatwierdzenia przedstawiony został.

* *
*

Z przekonań, był Chałubiński wyznawcą idei spokojnego rozwoju, opartego na krzewieniu wiedzy, na wzniecaniu światła. Wierzył głęboko, że tylko za pomocą tego czynnika można dojść do wyższych celów, że chociaż dla osiągnięcia pewnych ideałów droga pracy umysłowéj i podniesienia intelektualnego poziomu mas jest najpewniejszą. Tą to drogą jedynie, acz w czoła pocie, zdobywała i zdobywa sobie ludzkość trwałe podwaliny bytu, oraz rozszerza granice praw, zawsze ręka w rękę z rozwojem umysłowości idących. Postęp duchowy ludzkości, bezustanny rozwój społeczeństw i różne postacie ich bytu, są takiemi samémi przejawami życia wedle niezłomych praw się dokonywającego, jakie dostrzegamy we wszechświecie, którego częścią składową jest człowiek. Różnice dotyczą tylko kształtu, postaci, ale nie istoty, nie treści. Prawa rozwoju wszelakiego bezwzględnie są jedne, a ich zakłócenie, lub zboczenie od nich, jest tylko pozorném, chwilowém. Nie istnieją przyczyny dostatecznie silne, aby ludzkość wykoleić z toru wszechprawem zakreślonego. Odczucie praw tych, świadomość dróg prowadzących do celu, stanowi punkt zwrotny, od którego datuje się wkroczenie ludzkości na ów tor wiodący do postępu, na tor rozwoju myśli ludzkiéj i badań we wszelkich kierunkach.

Tak się da sformułować ogólny pogląd Chałubińskiego na ludzkość, jéj cele i drogi do urzeczywistnienia celów tych prowadzące.

Jako wyznawca i przedstawiciel poglądów wyżéj streszczonych, Chałubiński żył życiem ogólném, społeczném, zawsze gotów z całém zaparciem się ponieść ofiarę z siebie, gdy chodziło o wywalczenie praw dla pracy i umysłowych swobód. Nie było téż ważniejszéj chwili w życiu naszém, w któréjby Chałubiński nie przyjmował czynnego udziału. Gdzie tylko mógł, zawsze walczył, aby wszelkiéj pracy normalny rozwój zapewnić, a pierwsze na tém polu wystąpienie, które na niego powszechną uwagę zwróciło, bardzo wczesną nosi datę. Gdy bowiem przybył na studya do Dorpatu i zauważył, że instytucya burszenszaftów, nietylko że nie służy do wyrażenia żadnéj podniosłéj idei, lecz jako zabytek średniowiecznéj ekscentryczności stanowi nie małą przeszkodę w pracy, i przez swój brutalny absolutyzm ogranicza swobodę osobistą, odrazu postanowił wystąpić z nią do walki. Z razu trudności były nie do pokonania, bo rygor w korporacyach burszowskich, godzien lepszéj sprawy, był tak wielki, iż następstwa wyłamania się z pod niego, dla niejednego były nieraz fatalne. Nie zraził się jednak temi trudnościami Chałubiński i po latach dwóch niespełna, jako wielce już wpływowy młodzieniec, tak potrafił znaczenie rzeczonych burszenszaftów obniżyć i nicość ich wykazać, że najprzód Polacy naówczas w uniwersytecie dor-

packim będący, a za przykładem ich i inni, całkiem się z pod ich jarzma wyemancypowali. Ci co znali dobrze ówczesne tam stosunki, twierdzą, iż był to fakt dla rozwoju prawidłowéj pracy bardzo doniosły, a całe ciało nauczające z najwyższém uznaniem tę korzystną zmianę przyjęło.

Idea walki w celu wytworzenia możebnie produkcyjnych warunków dla każdéj, a przedewszystkiém naukowéj pracy, przyświecała Chałubińskiemu przez całe życie. Celom pedagogicznym, jako ułatwiającym zdobywanie wiedzy, oddany był całą duszą i na tém polu wielkie położył zasługi.

Pomimo całodziennéj, jak rok długi pracy, nigdy Chałubiński nie odmawiał swego czynnego udziału, ile razy chodziło o naukę. Umiał wtedy podwoić siły, aby wszystkim potrzebom uczynić zadość. Przewodniczył téż czas długi kasie zapomogi imienia Mianowskiego dla pracujących na polu naukowém, był orędownikiem i współredaktorem jednéj z najpoważniejszych publikacyi w kraju, mianowicie „Pamiętnika Fizyograficznego,“ istniejącego od lat 10-ciu; czynną przykładał rękę jako współredaktor do utrwalenia bytu „Wszechświata.“ W okresie spodziewanych w kraju reform wychowawczych, pracował wraz z innymi w komitecie specyalnym, który pod przewodnictwem kasztelana Dembowskiego czynności swe rozpoczął. Chałubiński, bolejąc nad tém, iż wykształcenie filozoficzne prawie całkowicie u nas było zaniedbane, nosił się z projektem programu, któryby brakowi temu mógł uczynić zadość. Nie tyle mu chodziło o to, aby rezultaty badań na polu filozofii spopularyzować, ile o to, że same studya filozofii, sama, że tak powiemy, technika zdobywania wiadomości w tym kierunku, wybornie się nadaje do rozwijania i gimnastykowania umysłu.

Gdy w r. 1864-ym w miejsce Akademii medycznéj miała powstać Szkoła główna, władza nie pominęła Chałubińskiego, wezwawszy go na członka komitetu wyznaczonego do opracowania uniwersyteckiéj ustawy. Sam więc rodzaj zajęć powierzanych Chałubińskiemu, skłaniał go do wkraczania na pole pedagogiczne, które się dlań bardzo wdzięczném okazało.

Pedagogiczne zdolności Chałubińskiego bardzo się wcześnie objawiły. W krótkim czasie po swém przybyciu do Warszawy, poprzedzony jaknajkorzystniejszą o sobie opinią, wyrobioną mu przez kolegów wileńskich i dorpackich, potrafił Chałubiński skupić około siebie wszystkie młode elementy, dzieląc się z niemi chętnie wszelkiemi wiadomościami, jakie zdobył na różnych wszechnicach. Wytworzył się podówczas, jak wspomnieliśmy, rodzaj kliniki, któréj Chałubiński chcąc nie chcąc był kierownikiem, i wtedy to miał pierwszą sposobność ujawnienia swych zdolności w kierunku pedagogicznym. Widzieliśmy już,

jakim Chałubiński był pedagogiem, gdy zajął stanowisko aktualnego profesora kliniki. Atoli nietylko wyższe nauczanie było przedmiotem jego najżywszego zajęcia. Umysł Chałubińskiego zaprawiony na dociekaniach filozoficznych i studyach dzieł Descartesa, Spinozy, Leibnitza, Lockego, Kanta, Herbarta, Condillaca, Hegla, oraz swojskich autorów: Śniadeckiego, Trentowskiego, Kremera i Libelta, oddawna kwestyą wychowania i rozwijania umysłów uważał za jednę z najważniejszych i już wcześnie nad nią rozmyślał.

Jako przyrodnik zastanawiał się mianowicie, nad pedagogicznem znaczeniem nauk przyrodniczych w humanitarnem wychowaniu. Wyszedłszy z téj zasady, iż zadaniem humanizmu jest rozwijanie wszelkich zdolności myśli ludzkiéj, bez względu na przyszłe powołanie młodzieży, starał się Chałubiński rozwiązać pytanie: czy tak pojmowany, a wszystkiemi dotychczasowemi środkami rozporządzający kierunek humanitarny wypełnia swoje zadanie? czy w istocie wszelką zdolność umysłu dostatecznie rozwija? Pytanie, jak widzimy, bardzo doniosłe. Odpowiedź na to pytanie wysnuwa Chałubiński z porównawczego zestawienia dwóch głównych kierunków myślenia, jakiemi są jak wiadomo: syntetyczny i analityczny. Nie trudno jest dowieść, że kierunek syntetyczny bywa z konieczności poprzedzony przez analityczny, a w szczególności, że umysł młodociany, dziecięcy, naprzód nabywa świadomości pojedyńczych przedmiotów i bezpośrednich faktów; potém umysł ludzki powoli przychodzi do pojęć, to jest do pierwszych wytworów myśli, które umożliwiają dopiéro właściwe rozumowanie. Przeciwnie, kierunek syntetyczny, stawiający na wstępie każdego rozumowania pewną tezę, z któréj ma nastąpić wywód (dedukcya) i przejście od cech ogólnych danego zjawiska lub danych zjawisk, do szczegółów, wymaga już znacznego wyrobienia umysłu i znajomości całego szeregu faktów i pojęć, t. j. wymaga takiego przygotowania, które się tylko na drodze analitycznego kierunku myślenia zdobywają. Tymczasem zastanawiając się nad naukami dotyczas używanemi za narzędzia rozwijania i ćwiczenia umysłu, widzimy, iż one kształcą tylko kierunek myślenia syntetyczny, gdy kierunek analityczny całkiem jest zaniedbany i własnemu zostawiony losowi. Jeżeli tak jest z jednéj strony, a z drugiéj, jeżeli już w czasach Bakona dostatecznie stwierdzoném zostało, że jedynie nauki przyrodnicze mogą dla analitycznego kierunku myślenia stanowić najwłaściwsze narzędzie pedagogiczne, to zachodzi pytanie, dlaczego one dziś do tego celu nie są użyte? Dlaczego, jeśli nawet są objęte planami szkolnemi, wykładane są raczéj jako *realia*, nie zaś jako najwłaściwsze narzędzie do humanitarnego kształcenia umysłu?

Aby jednak nauki przyrodnicze odpowiadały swemu zadaniu w pedagogice, aby mogły być narzędziem humanitarnego kierunku, muszą być wykładane wcale w inny sposób, niż się to dzieje dotychczas. Najelementarniejszy nawet wykład zaczyna od określeń ogólnych, od różnic w tak zwanych królestwach przyrodniczych. Wykłady fizyki i chemii również wchodzą w też same ślady, poczynając od pojęć ogólnych, od praw ogólnych, a demonstracye i doświadczenia używane są tylko na poparcie tych z góry wygłoszonych praw, czyli, że wykłady te odbywają się ściśle w kierunku syntetycznym. Młody umysł ani pojąć tych ogólników należycie nie może, ani dojrzeć skąd one właściwie się biorą.

Otóż, wykłady elementarne nauk przyrodniczych, aby mogły spełnić na wstępie wyłuszczone zadanie, powinny być prowadzone wprost w odwrotnym kierunku, tak zwaną metodą genetyczną; a jest to ten sam właśnie kierunek, któremu same umiejętności przyrodnicze winny swe wykształcenie.

Historya naturalna zaczynać się powinna od stosownie wybranych przykładów, od przedstawienia odpowiednich okazów zwierząt, roślin i minerałów. Nauczyciel rozbiéra szczegóły budowy, oraz zaznajamia z głównemi objawami życiowemi; wykazuje różnice i podobieństwo narzędzi, oraz przeznaczenie każdéj funkcyi. Tym sposobem umysł młodociany przyucza się do otrzymania pojęć, najprzód szczegółowych, potém ogólnych, i coraz ogólniejszych, które zestawiając w dalszym ciągu, przychodzi do poznania budowy, organizacyi i życia, a w końcu ma pojęcie o całości. Tą samą drogą powinny kroczyć fizyka i chemia, oraz inne nauki przyrodnicze, a cel zostanie całkowicie dopiętym; sam zaś wykład, który dotąd przy największych zdolnościach nauczyciela musi być suchy i nużący, stanie się interesującym i wyda nieporównanie lepsze owoce.

Nie chcemy wchodzić w dalsze szczegóły, które rozwijają i uzasadniają pogląd autora. Sądzimy, że z podanego, choć doraźnego rysu, można sobie urobić pojęcie o téj doniosłéj kwestyi wychowawczéj, w imię któréj przemawiał Chałubiński.

W kwestyi obrania wychowawczego kierunku nie mało dzielnych umysłów głos zabierało. Nie można wszelako powiedzieć, aby kwestya ta, za całkowicie rozwiązaną uznana została. Chałubiński wierzył jednak silnie, że nauki przyrodnicze odegrają w tym względzie stanowczą rolę, że czas ten już nadszedł, i że niewątpliwém jest, iż doniosłe znaczenie nauk przyrodniczych w wychowaniu humanitarném, lada chwila powszechnie uznaném zostanie, i pragnął gorąco, aby to u nas nastąpić mogło.

Jeżeli się rozejrzymy w dzisiejszym systemie początkowego nauczania, musimy przyznać, że Chałubiński nie mylił się w tym względzie. Bo czyż dzisiejsza metoda poglądowa nie jest w gruncie rzeczy tąż samą metodą, jakiéj zarys podaje Chałubiński, z tą tylko różnicą, że gdy on ściśle się trzymał nauk przyrodniczych, to tu wszystko co stanowi rzecz, bez względu na swe pochodzenie, może być przez nauczyciela za przedmiot do wykładu użytém. Obie metody, ze względu na rezultat myślowy, są całkiem identyczne, gdyż wyrabiając analityczny kierunek myślenia, zarówno do tegoż samego prowadzą celu. Rozpatrywane jednak porównawczo, jako pewne systematy, nie stoją na równi. System Chałubińskiego przedstawia skończoną, organiczną całość, gdy system poglądowy ma raczéj charakter przygodny, okolicznościowy i współcześnie jako środek do zdobywania wiedzy, wtórorzędne ma znaczenie.

Aby wykazać, że Chałubiński się nie mylił, twierdząc, iż bliskim jest czas, w którym uznany zostanie kierunek wychowania przez niego broniony, nie trzeba się uciekać do porównania tegoż kierunku z metodą poglądową. Dziś bowiem istnieje już cały cykl podręczników przez najznakomitszych badaczy (szczególniéj w literaturze angielskiéj) z zakresu nauk przyrodniczych opracowany, który w literalném tego słowa znaczeniu, odpowiada ściśle idei przez Chałubińskiego wyłuszczonéj. Może to dla tego idea jego niektórym wydaje się nie całkiem nową. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, że od czasu, w którym Chałubiński obszerny memoryał w tym przedmiocie złożył b. Komisyi Oświecenia, upłynęło bez mała lat 30, a następnie rozejrzymy się jak kwestya początkowego nauczania w krajach ucywilizowanych podówczas stała, przekonamy się, iż prawo pierwszeństwa zostaje przy Chałubińskim. Nawet w roku 1876 gdy memoryał ten czytany był na drugiem ogólném posiedzeniu piątego zjazdu ruskich przyrodników i lekarzy w Warszawie, kwestya pedagogicznéj doniosłości nauk przyrodniczych w humanitarném wychowaniu, była nową. Dziś weszła ona na prawidłowe tory, a gdyby podówczas głos Chałubińskiego nie był głosem wołającego na puszczy, pierwsi zatknęlibyśmy sztandar odrodzenia na niwie pedagogicznéj. Rozprawę Chałubińskiego o danym przedmiocie, którą uwadze każdego myślącego człowieka polecić należy, pomieścił w całości „Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego“ w r. 1877 (Tom LXXIII, zeszyt I), oraz dziennik zjazdu przyrodników i lekarzy ruskich z r. 1876.

B. Komisya Oświecenia umiała memoryał Chałubińskiego należycie ocenić, skoro poleciła wygotowanie programów wykładowych we-

dle téj t. j. genetycznéj metody. Miało to miejsce w r. 1861. Przy następnych jednak organizacyach, projekt Chałubińskiego poszedł w niepamięć.

* * *

Odrębny rodzaj działalności rozwinął Chałubiński w Zakopanem. Kto słyszał o Zakopanem zanim Chałubiński obrał je sobie za miejsce wytchnienia po pracy, a następnie za miejsce ku spełnieniu całego szeregu obywatelskich czynów? Kto przedtém podziwiał ten uroczy zakątek, obfitujący do zbytku w piękne i groźne zarazem obrazy, co swą świeżością i fantazyą nęcą tak silnie do siebie, jak może żadne inne, choć rozgłośną sławę mające górskie kraje?

Do roku 1873, t. j. do chwili, w któréj Chałubiński po raz pierwszy przybył do Zakopanego, miejscowość ta prawie dla wszystkich była obcą. Ci, którzy łaknęli górskich wrażeń, robili wycieczki do Szwajcaryi, do Turyngii, Czeskiego lasu, w Pyreneje lub Apeniny i t. d. Nawet Czatyrdag miał więcéj szczęścia niż Giewont. Dopiéro Chałubiński zwrócił prąd ten ku Tatrom.

Jako turysta, który zwiedził wszystkie piękności, jakie posiada Europa, a pomimo tego Tatry ponad nie wynosił, miał Chałubiński za sobą wszelką powagę, a entuzyazm jego dla Tatrów udzielił się odrazu bardzo obszernym kołom. Wkrótce też wielkie mnóstwo lekarzy, artystów, literatów, przyrodników i t. d., dowiedziawszy się o tym Edenie, za przykładem Chałubińskiego podążało rok rocznie do Zakopanego, aby odetchnąć świeżém górskiém powietrzem, rozkoszować się powabami tak szczodrze uposażonéj w piękności natury, lub w górskich wycieczkach pokrzepiać swe siły. W niedługim czasie Zakopane stało się letnią kolonią Warszawy; zaczęto o niém coraz więcéj pisać, gdyż współcześnie nabrało ono znaczenia stacyi klimatycznéj; słowem, stało się bardzo popularném, a to wszystko zawdzięczając tylko Chałubińskiemu, który, jak to ktoś trafnie się wyraził, „odkopał Zakopane.“

Jeśli dla wszystkich, co tu przybywali, Zakopane stanowiło miejsce zachwytów lub wypoczynku, to dla Chałubińskiego stało się ono obszerném polem pracy i wielokierunkowéj działalności. Czém było Zakopane dawniéj, a czém jest dziś? mogą zaświadczyć ci, co na miejscu mieli sposobność przekonać się o płodnéj w następstwa działalności Chałubińskiego, wiedzą koledzy, wié kraj cały, co znał Chałubińskiego jako człowieka inicyatywy i czynu. Rozwój Zakopanego pod wielorakiemi względami, od chwili gdy doń Chałubiński zawitał, był tylokrotnie przez prasę naszą podnoszony, i tak dobrze jest ogółowi z osobistego przeświadczenia się znany, iż wszystko, co byśmy o tém

powiedziéć mogli, byłoby tylko powtórzeniem rzeczy już znanych. Atoli dla uzupełnienia całości niepodobna nam go tu choć w najogólniejszych rysach nie zaznaczyć.

Działalność Chałubińskiego w Zakopanem, to coś, co może służyć za społeczno-historyczny i ekonomiczny eksperyment, to coś, co na podobnie obszerną skalę nie da się w kronikach odszukać, coś wreszcie, co przez jednego człowieka dorywczo tylko wykonywane, wkracza w granice nieprawdopodobieństwa. Oto, do nieznanéj sobie krainy, któréj przyroda dała aż do zbytku piękności, ale bardzo poskąpiła powszedniego chleba, przychodzi człowiek. Człowiek ten zastaje na obszarach górskich ludność dziś już przeszło czterotysięczną, nawpół dziką, łaknącą wszystkiego, czego ludy, co już pierwszy szczebel cywilizacyi przekroczyły, mają dostatek. Lud ten mieszka w nędznych chatach, nie zna co to szkoła, nie ma komunikacyi, bez któréj jego produkcya, jeśliby jaka nawet była, nie mogłaby mu zapewnić korzyści; lud ten w latach ciężkich trapiony głodem, pomimo człowieczéj treści i uczciwych w sobie pierwiastków, pchany jest na drogę występku. Człowiek ten, poznawszy miejscowe warunki, widzi jak trudne ma przed sobą zadanie, aby lud ten umoralnić, rozwinąć w nim ludzkie przymioty i dać mu dobrobyt. Przed zadaniem tém jednak się nie cofa, bo wierzy głęboko, że praca jego nie pójdzie na marne.

Wielkie doświadczenie życiowe i znajomość ludzkiéj natury, a przedewszystkiém wielka, nigdy niegasnąca miłość, jaką Chałubiński miał dla ludzkości całéj, miłość, którą naturę i lud górski ukochał, oto dźwignia, zapomocą któréj podniósł on tatrzańskich mieszkańców z nizin półbarbarzyństwa do godności ludzi, i utorował im drogę do moralnego i materyalnego postępu. W kilkanaście lat późniéj jakież olbrzymie w Zakopanem widziémy zmiany. W ciągu tego czasu Chałubiński nauczył lud górski uprawiać ziemię i siać na niéj to, co największą korzyść przynieść może; tysiące odwiedzających Tatry, w których najbardziéj może przyciągającą siłą był on sam, wpłynęło potężnie na rozwój dobrobytu ludu zakopańskiego. Chałubiński zainicyował w ciągu tego czasu budowę dróg, z których najważniejsza, czteromilowa szosa dawno już ukończoną została; wyrobił dla Zakopanego u rządu przywileje, jakie przysługują stacyom klimatycznym i wypracował odpowiednią w tym względzie ustawę. Za jego wpływem powstała w Zakopanem szkoła snycerska, która dziś uchodzi za jednę z lepszych w państwie, a w któréj prócz właściwego snycerstwa przeszło stu uczniów uczy się stolarstwa, ciesielstwa, architektury w zakresie budowy z drzewa, oraz

wielu pomocniczych nauk. W lat kilka później powstała szkoła koronkarstwa. Szkoły te są państwowe i byt ich jest zapewniony. Ile na tém zyskała moralność ludu, ile kraj cały przez przyciągnięcie do Zakopanego tych, którzyby gdzieindziéj szukali bądź zdrowia, bądź wytchnienia, czyliż dowodzić potrzeba? A to wszystko zrobił jeden człowiek. Ale ten człowiek umiał przemawiać do ludu, umiał się z nim zżyć, umiał własnym przykładem zagrzéwać do pracy i prosto a jasno wskazywać mu cele, które dotąd ciemnéj téj masie były obce.

Zakopane, to dzieło Chałubińskiego, to państwo w którém go jednogłośnie „królem górali" okrzyknięto, to pomnik żywy jego zacnych dążeń. Złożyć swe kości na łonie pięknéj natury, któréj badaniu się poświęcił, pozostać wśród tych, których miłość umiał sobie zaskarbić, było ostatniém jego pragnieniem.

Działalność Chałubińskiego w Zakopanem, to treść bogata dla podań ludowych, które imię jego przekazywać będą z pokolenia w pokolenie; to materyał na legendy, które opowiadać będą o nim, jak o olbrzymie, co sam budował drogi, zakładał szkoły, orał ziemię i odganiał zarazę, co śmierć siała wokoło. Fantazya ludu przypnie mu skrzydła i jako orła osadzi na szczycie niedostępnéj skały, a potomkowie tych, co tyle dobrego osobiście doznali od niego, zwracać się w tę stronę będą z głęboką wiarą, że nad nimi czuwa duch opiekuńczy tego, który już dawno, bardzo dawno, wśród ich praojców jako żywy człowiek gościł.

Taką zapewne jest geneza każdéj legendy, która aby się mogła zrodzić, potrzebuje treści niezwykłéj. Treści téj szczodrą ręką dostarczył Chałubiński.

Szczupłe ramy, w jakich artykuł niniejszy zawrzéć musieliśmy, dozwoliły na zaznaczenie zaledwie najważniejszych naukowo-społecznych Chałubińskiego zasług. Z konieczności musieliśmy pominąć te, które tylko przez współczesnych mu świadków jego działalności mogłyby być w sposób należyty odczute i zrozumiane. To atoli, cośmy mogli nieco bliższemu poddać rozbiorowi i na faktycznym oprzéć materyale, wystarcza do urobienia sobie pojęcia o téj niepospolitéj postaci i przekonywa, że Chałubiński był człowiekiem inicyatywy, organizacyą zdolną do wszelkiéj umysłowéj produkcyi, umysłem na wskroś filozoficznym, ogarniającym całość życia ludzkości we wszelkich jego kształtach; że Chałubiński choć nie pisał wiele, lecz to co po sobie pozostawił i co wniósł do nauki, ma niezaprze-

czoną wartość, i ze względu na praktyczne wyniki zawsze będzie miało bardzo doniosłe znaczenie.

Społeczne i etyczne Chałubińskiego ideały, stanowiły niezakłóconą harmonią ze sferą jego uczuciową, i przyczyniały się do złożenia całości opromienionéj urokiem, jaki posiada człowiek co żyje tylko po to, aby czynić dobrze, co się nigdy nie przeniewierza swoim zasadom, i idzie przez całe życie „prawdą a pracą“.

H. Dobrzycki.





SNY LUDZKOŚCI.

I.

Bodźce zmysłowe.

1. Przemiana bodźców zmysłowych na senne obrazy.—Sny dając początek mytom religijnym, są zarazem pierwiastkiem sztuki.

Lazurowe, bez chmur, sklepienie Eteru, przyćmione wieczornym słońca odbłyskiem, wydało dyamentową wstęgę boskiego Erydanu. Zdala, na kresach niebieskiego widnokręgu, majaczeje ciemna Kimeryów kraina, od reszty świata odgraniczona bezdennym Kocytem, na swych falach kołyszącym wiecznie wahającą się łódkę Charona. Czarna, posępna skała, wyrzucając z siebie żar piekielny ognistych wód Piroflegetonu, przegląda się jak wieczność w niezmierzonych głębokościach rzeki. Buchające gazy z rozwartych wrót państwa Plutona, wód ognistych języki, piekielnych rzek rodzicy, dech w piersi zatrzymują, krwistym blaskiem oślepiając, zniewalają do zwrócenia wzroku w stronę, gdzie z Elizyum bijąca jasność niebieska ziemską opromienia nizinę. Na łące najświeższą zabarwionéj zielonością, bławatem, purpurą magnolii błyszczącéj, pod gajem odurzających wawrzynów, smętnych tuj i cyprysów, białém kwieciem obsiadłych pomarańcz i mirtów, stoi pełna uśmiechu i tęsknoty postać, w czarny przybrana całun, z białą we włosach rozkwitającą różą.

Po kwiecistym żywym kobiercu, promienna dniem wesela, biegnie postać owa ku swemu małżonkowi, piewcy Orfeuszowi. Ananke jednak, małżonka zamiary ludzkie niweczącego Charona, przybrawszy postać żmii, śmiertelném ukąszeniem truje ślubów słodycze.

W tém, zagrzmiał głos otchłani Hadesu. Na skrzydlatych nogach przebiega kwiecisty kobierzec Hermes, poseł nieubłaganego Plutona, z swego władcy rozkazem rozłączenia kochającéj się pary.

Słodkie upojenie Eurydyki zbudzi się za chwilę w otchłaniach Erebu. Jedną już dłoń w niewolą Hermesowi oddaje, drugą na ramio-

nach oblubieńca wspierając, szepce: nieszczęsny małżonku, miłość twa zgubiła nas oboje i na zawsze!

Na widok jak cień o zmroku znikającéj postaci, śmiertelna bladość pokrywa lica Orfeusza, drżące serca bicie z ręki poety wytrącając lirę, druzgoce ją o skałę Acheronu.

Łoskot o skałę strzaskanéj liry helleńskiego piewcy, a raczéj wysunięcie się z méj dłoni jakiegoś czasopisma i tym sposobem wywołany szelest, znów na pola Elizyum wygnał Orfeusza i jego nieszczęsną małżonkę.

Był to więc sen tylko.

Przedemną lampa naprzemian to raźniéj, to znów smętniéj świeci, gasnąc, konającym płomieniem, nizki i szczupły pokój, w którym przed chwilą gościły elizejskie cienie, duszącym napełniła dymem.

Przez otwarte okno wpada prąd powietrza nasyconego świeżo skoszonéj łąki zapachem, a księżycowe promienie zalewają pokój srebrzystym potokiem.

Pod wpływem tych czynników, na uśpione zmysły działających, powstało owo marzenie, które przytoczyliśmy powyżéj według znalezionego rękopisu.

Wpływ elektrycznéj barwy promieni księżyca, w starożytności jeszcze w postaci bogini marzeń, Artemis v. Luny, uosobione, dziś zjednał sobie sankcyą naukową. Zapach świeżo skoszonéj łąki, podczas zawieszenia we śnie innych organicznych funkcyi, działając na zmysły, w umyśle, przez reprodukcyjną fantazyą, upostaciował się kwiecistym kobiercem, obrazem gajów Elizeum. Dym z gasnącéj lampy przeobraził się w uśpionéj fantazyi reprodukcyjnéj, odźwierciedlił się w niéj jako obraz ognistéj, wyziewami nasyconéj piekielnéj rzeki Tartaru. Cała więc szkarada gospodarskich drobnostek, życia najpospolitsza proza, stała się sprężyną elizejskiego widzenia. Że takie i tym podobne bodźce zewnętrzne są źródłem sennych marzeń, przekonywa nas nie tylko własne doświadczenie, ale nadto oraz przedewszystkiém naukowe dowody prawdę tę stwierdzają.

Metamorfozy bodźców zmysłowych w obrazy senne, w umyśle naszym spłodzone, zależne są także od rodzaju zajęcia, wieku, temperamentu, osobistego uzdolnienia we śnie pogrążonych. Uderzenie np. wahadła zegarka kieszonkowego, w hypokondryku rozbudzić może złudzenie odgłosu dzwonów pogrzebowych, w muzyku złudzenie dźwięków sonaty, a zmateryalizowanego mieszczucha rozpromienia widok i odgłos na marmurowym kantorze rachowanych dukatów. „Uderzenia dzwonów—mówi Radestock — działają najrozmaiciéj. Przed zakochanym wywołują one obrazy zaręczyn, weselnych godów i wszystkie z te-

mi uroczystościami łączące się sceny. Troskliwy gospodarz zaś słyszy odgłos burzy i z nią kojarzący się pożar, rewolucyą ze wszystkiemi jéj okropnościami“ [1]).

Wymieniony autor przytacza mnóstwo faktów, wykazujących łączność zewnętrznego otoczenia z rodzajem sennych marzeń. Zapach np. kwiatu, lub aromatycznéj substancyi, wywołać może złudzenie widoku składu perfumeryi, lub postać mocno wypomadowanego eleganta. Z wysokiéj wieży rozlegający się odgłos trąby, jest dla śpiącego anielskim chórem.

Edward B. Tylor dowiódł, że pierwotnych mytów religijnych źródłem—we śnie spłodzone mary. Sen jest macierzą mytu o szczęśliwéj krainie Elizeum, po niém błąkające się cienie — to płód sennych marzeń, które, w jednym powstawszy umyśle, ustnie gromadzie całéj powtórzone, w krew téj gromady przechodzą. Na jawie doświadczone wrażenia, zewnętrznym bodźcem pobudzone, nadludzkie bohaterów, pół-bogów, potępieńców i zbawionych we śnie przybierają postaci. Według pojęcia dzieci natury, duch, cień nieboszczyka, podczas snu zjawia się na ziemi pozostałym krewnym i przyjaciołom; a po zaspokojeniu głodu zastawioną ucztą i oddaniu czci należnéj gospodarzowi domu, nagadawszy się z nimi dowoli, do świata umarłych powraca. „Tongan odwiedza swą szczęśliwą z gazów utworzoną wyspę Bolotu; Hellen udaje się do Hadesu i na Elizejskie pola“ [2]).

Plemiona Północnéj Ameryki, osobliwie Algonkinowie, bardzo często opowiadają, że ludzie podczas snu do zaziemskich krajów odbywają wędrówki. Mohawak-Indyanin opisuje raj według we śnie widzianego wzoru [3]).

Zarówno przed lat tysiącami, jak i dziś, nieukształcony człowiek patrzy na przyrodę jakby na istotę obdarzoną nieśmiertelną duszą. Człowiek naiwny gwarzy z psem lub z koniem, jakby z istotą rozumną. Zwierzę, roślina, kamień, na wzór duszy człowieka obdarzone jaźnią [4]). Dla tego też pierwotni krzewiciele nauki Buddy zacięcie spierają się o to, czy drzewa, jako obdarzone duszą, wolno ścinać bezkarnie, bez narażenia się na grzech świętokradztwa. Algonkinowie Ameryki Północnéj, mieszkańcy wyspy Fidży i Birmy, uważają rośliny, drzewa, rzeki i kamienie za uduchowione istoty. Pierwotne myty helleńskie po-

---

[1]) Paul Radestock: „Schlaf und Traum. Eine physiologisch-psychologische Untersuchung.“ Leipzig, 1879, str. 112.

[2]) Edward B. Tylor: „La Civilisation Primitive.“ Paris, 1876, T. II, str. 65.

[3]) Tylor, tamże, T. II, str. 32—64.

[4]) Porówn. także Chmielowskiego „Gienezę Fantazyi.“ Warszawa, 1873, str. 71.

wstały pod wpływem zjawisk przyrody. Glaukos — to reminiscencya śnieżnéj pieniącéj się głębi morza, Hermes, ze złocistym kaduceuszem w ręku, otwierając i opuszczając powieki śmiertelnych, symbolizuje długi na horyzoncie obłok przy zachodzie słońca. Atena z niezmiennym u Homera epitetem „jasnookiéj"—to lazurowe przestworze niebieskiego sklepienia. W głębokościach fal morskich widzi Hellen falistość łona nimf uroczych. Każda zresztą okolica, każdy krajobraz w postaci bóstwa uosobiony.

Późniéj występuje nowy typ personifikacyi: bohater, pierwotnie uosabiający siły przyrody, po tem całą rasę.

Zstąpienie Dyonizosa do Hadesu, aby stamtąd wybawić Semelę, Orfeusza, który w państwie Plutona swą najukochańszą małżonkę z piekielnych otchłani wyprowadza, Herkulesa z trzygłowym Cerberem, osobliwie zaś podróże Ulissesa na Wschód daleki, do grodu Kimeryów w obłokach zakrytego, kraju, którego już błyszczący Helios nie oświetla, gdzie noc straszliwa, bezdenna, jakby czarnym całunem zakrywa nieszczęsne ofiary Plutona,—wszystkie te myty pod wpływem codziennie powtarzających się zjawisk wschodu i zachodu słońca powstałe, są tych zjawisk symbolicznym znakiem.

Ale wszystkie te wędrówki żyjących ludzi są tylko cieniami bohaterów, bogów, podczas snu myśl nawiedzających myślowemi rewizytami. „Wiara w odwiedziny umarłych — mówi Tylor — na osobistém doświadczeniu i osobistych świadectwach polega. Wizyoner podczas snu lub w chwili ekstazy widzi ducha zmarłych, który mu z tamtego świata nowin udziela; albo też, duch jego może powędrować do owego innego świata, skąd powróciwszy, opowiada to, co widział w świecie umarłych" [1]).

Nie chcąc zbytkiem szczegółów zaciemniać przewodniéj myśli, która do założonego przez nas twierdzenia wiedzie, poprzestać musimy na kilku przytoczonych faktach, stwierdzających, że zjawiska przyrody w sennych reprodukowane marzeniach, są pierwiastkiem mytów religijnych; myty przeobrażają się w symboliczne postaci bogów i bohaterów. Myty więc z jednéj strony będą uosobieniem zjawisk przyrody, z drugiéj zaś we śnie powstają, sny takie, jako cząstka jaźni człowieka, za pomocą pędzla i dłuta utrwalone, są sztuk pięknych pierwiastkiem. Sztuki pięknéj zaczątki, za przedmiot główny i niemal wyłączny postaci bohaterów i bogów mające, przez to samo są snów skrystalizowaniem.

Widzimy więc już pierwsze ogniwo łączące senne z artystycznemi marami. Łączność tę dotąd zaznaczyliśmy tylko w zarysie ogólnym;

---

[1]) Tylor: „La Civilisation Primitive." T. II, str. 64.

teraz wypada nam szczegółowiéj nad nią zastanowić się i wykazać, że i w szczegółach łączność ta istnieje.

2. Sny wytwarzające się pod wpływem czystéj atmosfery i wzrokowych bodźców są wyraziste, pogodne, plastyczne; przykładem sztuka helleńska. Sny wytwarzające się w dusznéj atmosferze i w braku wzrokowych wrażeń są niepokojące, mętne, zawikłane; przykładem sztuka średniowieczna.

Pory roku, względne położenie planety naszéj do słońca, wywołują zmiany w naszym ustroju duchowym. Ciemny lub też jasny koloryt jaźni naszéj zależy od klimatu, atmosferycznych wpływów. Wrażliwość nasza wzrasta na wiosnę i w jesieni, wszystkim są znane wiosennym tchnieniem wywołane słodkie niepokoje i gwałtowne porywy. Zapach bzów, ciepły, łagodny wietrzyk, cichy szmer drzew i strumyków, śpiew słowika, to wszystko aż do znudzenia spożytkowane przez poetów motywy erotycznych pieśni. Jesień znów elegijnie, rzewnie usposabia. Gorąca pora najbardziéj sprzyja rozwojowi umysłowych cierpień, liczba samobójstw zwiększa się w miesiącach letnich. Pory roku, a zatem klimatyczne zmiany, jak to udawadnia Radestock [1]), wywołują w marzeniach sennych charakterystyczne zmiany. Już w starożytności wiedziano, że wiosna z sobą sny spokojne przynosi, jesień zaś wywołuje burzliwe widziadła senne.

Na ten postulat fizyologiczny, jako mający wprost w wyjaśnieniu artystycznych produkcyj zastosowanie, nacisk kładziemy. Pomiędzy bowiem sennemi a artystycznemi, pod wpływem otaczającego środka powstałemi marzeniami, tylko ta zachodzi różnica, że pierwsze stosownie do pory roku, drugie stosownie do rodzaju klimatu (co zresztą na jedno wynosi), podlegają zmianom. Umiarkowane strefy są wiosennéj, północne przedstawicielem zimowéj pory. Łagodny, wiecznie wiosenny zefir łagodzi wrażliwość nerwów, groźny boreasz na posępną nutę lirę naszego nerwowego systematu nastraja.

Według istniejącego na wschodzie pojęcia, sny na wiosnę nieokreślone, z jesienią plastycznéj nabierają wyrazistości [2]). Wyższość swéj kultury, w przeciwstawieniu do barbarzyńskich obyczajów i sztuki ludów zamieszkujących mgliste strefy, przypisywali Hellenowie łagodnemu klimatowi i przezroczystéj atmosferze tylko Helladzie właściwéj. Rodzaj snów przedewszystkiém zależy od pobudzenia tego lub owego zmysłu, a to stosownie do rodzaju bodźca, otoczenia fizycznego, którego miejsce późniéj zajmuje czynnik, bodziec moralny.

---

[1]) Radestock, str. 198.

[2]) Tamże.

Na tych opierając się pewnikach, po kolei będziemy analizowali sny powstałe pod wpływem działania na poszczególne zmysły, lub też na zmysł ogólny.

Według zdania fizyologów sny powstałe przez pobudzenie zmysłu wzroku, są zazwyczaj wesołe, miłe i wzniosłe. „Widzimy światła, barwy, ptaki, motyle, przebieramy w złocie i klejnotach, przebywamy we wspaniałych okolicach, a ludziom pobożnym zjawiają się zastępy niebiańskie w całéj gloryi“ [1]). Jeżeli więc do bodźców wzrokowych dołączymy działanie powietrza, jak eter czystego, wtedy we śnie pogrążone indywiduum wysnuwać będzie marzenia pełne prostoty i wesołości. Takim samym zupełnie wpływom fantazya artysty podlega.

W klimacie łagodnym, tam, gdzie otaczająca przyroda przeważnie obfitéj i nieskażonéj dla oczu karmi dostarcza, tam powstać muszą doskonale jasno, plastycznie skrystalizowane twory marzeń.

Takiém właśnie, we wzrokowe bodźce bogatém otoczeniem jest atmosfera helleńska, w najobszerniejszém tego wyrazu znaczeniu. Mgły i drobne deszczyki, charakteryzujące północne kraje, w Grecyi nie są znane. Słońce jak nigdzie cudownym świecąc blaskiem, chorych nawet w chwili skonu stoickim obdarza spokojem.

Z tego powodu główném znamieniem greckiego krajobrazu: nadzwyczajna wyrazistość. Niemasz tu, jak w krajach północnych, powikłania i widoków gęstą mgłą niepewności pokrytych. Niebo nie przedstawia tam jakby po niebieskiéj łące wałkujących się bałwanów, zawsze zachowuje barwę ciemnego szafiru, jak stal zbitego i ciemnego—bez plamki. Przy zachodzie słońca, niebieskie sklepienie wyłania z siebie karmazynowe wstęgi; barwy fiołkowe, żółte, łączą się tu z sobą nieznacznie, jak pod wpływem hartowania metalowa płyta.

Jestto widok wprost przeciwny temu, który północne niebo wydaje: mięszaninę jasności i refleksów, śmiertelnie białych, to znów chorobliwie różowych tonów, poprzecinanych maleńkiemi kłębiącemi się obłoczkami.

Sam już z natury swéj, ze skał złożony krajobraz, jak bukiety małemi drzewkami przystrojony, jasnym Heliosa ozłocony promieniem, jeszcze większéj wyrazistości nabiera: przez eterycznéj czystości kryształ atmosfery widziany.

Z przylądka Sunion można było podobno widzieć złocisty hełm

---

[1]) Dr. Fryderyk Scholtz: „Sen i senne marzenia.“ Przełożył Dr. H. U. Warszawa, 1888. str. 38.

posągu Ateny, na ateńskim akropolu wzniesionego. Z Aten znów, ludzi swą bliskością Hymet, o dwie mile od tego miasta oddalony.

Pod wpływem takich jasnych bodźców wzrokowych, drogą reprodukcyi powstałe obrazy, jasnością, wyrazistością, porządkiem będą się odznaczały. Do zawikłania téż, komplikacyi wszelkiego rodzaju, przeładowania szczegółami, nad którémi oko i myśl się trudzą, geniusz helleński w mitologii, poezyi i sztukach rysunkowych objawiający się, geniusz ten czuje wstręt nieprzezwyciężony.

Sny téż olimpijskie Hellenów, dłutem Fidyaszów i Praksytelów w kamieniu zaklęte, swą postacią do człowieka zbliżone, nie trwożą jego wyobraźni. Zeus, Apollon i Ares są szlachetnymi rycerzami, dobroczyńcami i starszymi braćmi zwykłych śmiertelników. Olimp Homera, to trybuna, z któréj bogowie przyglądają się ziemskiemu turniejowi swych zstępnych, czasami nawet zbyt powoli ciągnącą się ludzką komedyą znudzeni, dla jéj skrócenia sami aktorów rolę przyjmują.

Demokratyczni bogowie szukają przygód miłosnych wśród śmiertelnych. Piękna Latona obdarza Zeusa synem Apollinem, Eros tonie w uściskach Psychy, Artemis swém księżycowém spojrzeniem rozmarza wśród śmiertelnych najszczęśliwszego: Endymiona.

Hellen więc snuje tylko sny spokojne, wesołe, bo drogą wzroku powstałe; wszystko w jego marzeniach do zaspokojenia estetycznego poczucia wzroku zdąża, do wrażeń reprodukowania przyswojonych na jawie, wśród pełnéj spokoju i jasności widoków przyrody.

Lubo widziadło nigdy właściwéj sobie natury nie traci, jednak w snach Hellena jest on pełen naturalności tego, a nie z innego świata mieszkańcem. Promienny wesołością, ze zwykłymi ludźmi węzłami rodzinnemi zespolony, jest pierwiastkiem spokojnych marzeń. Człowiek z bóstwem spokrewniony, a bóstwo to lalka, którą kwefią, w szaty przyoblekają, w złote i z drogich kamieni naszyjniki i kolczyki stroją. Atena-Partenos z oczyma z białych kamieni w twarz ze słoniowéj kości wprawionemi, w długą, fałdzistą jakby kolumny żłobioną, ze szczerego złota kowaną chlamidą przystrojona. W uszach ma kolczyki na wzór tych, któremi zdobiły się niewiasty helleńskie. Bóstwo w postaci lalki, obraz potęgi przyrody, daje nam miarę, że senne widziadło w artystyczne ujęte kształty, jest wśród uspakajającego środka wysnutém marzeniem.

Taką samą prostotę pojęcia rzeczy widzimy w ziemskiéj bogów siedzibie. Świątynia to najprostszéj formacyi kryształ: równoległościan ze spoczywającym na jego górnéj pozioméj ścianie trójkątnym pryzmatem. Kontury dwuspadkowego trójkątnego dachu rysują się na szafirowym horyzoncie w prostéj nieprzerwanéj linii. Trzy ka-

mienne płyty w formie gradusów, podstawę budowli stanowią, z której jak z naturalnego gruntu wyrasta szereg kolumn cylindrycznych, prostą kamienną belkę i ściśle geometrycznych kształtów trójkątny fronton unoszący.

Wszystko w prostych nakreślone liniach, a jeżeli archeologowie w tych napozór prostych liniach rzeczywistą krzywiznę wykazali, to wykazali zarazem, że ta subtelna krzywizna miała na celu wyprostowanie linij, które na zasadzie optycznego złudzenia, prostokreślne, krzywemi-by się wydały [1]).

Przenieśmy teraz we śnie pogrążonego Hellena do innego otoczenia. Doświadczenie takie przekona nas o natychmiastowéj zmianie sennego widzenia.

W tym celu nasyćmy atmosferę zabójczemi miazmatami, na post skażmy badane przez nas indywiduum, nareszcie, by téj w myśli dokonanéj „*wiwisekcyi*" dopełnić, pozbawmy człowieka wzrokowych, pozostawiając mu tylko słuchowe wrażenia.

Doświadczenie takie przekona nas, że zarówno senne, jak i artystyczne widzenia, jakby czarodziejską laską wywołane, w mgliste, straszliwe przeobrażą się widziadła.

Pod wpływem bodźców tylko na zmysł słuchu działających, powstają sny nieokreślone w barwach i kształtach, sny niepokojącéj natury. Dowodem tego sny ociemniałych od urodzenia, którzy tylko słuchowym podlegają bodźcom. Łatwo to wytłumaczyć tém, że słowo nigdy tak jasnych, jak wzrokowe bodźce, nie dostarcza wrażeń. Niepewność zaś, jak to każdy na sobie łatwo sprawdzić może, przedewszystkiém jest główném źródłem i sprężyną duchowych udręczeń. Od urodzenia ociemniali są téż straszliwemi snami nawiedzani.

Ociemniały flecista Dulton, który w pierwszych latach życia wzrok stracił, za ociemniałego od urodzenia przeto mogący być uważanym, mówi, że śni wciąż o tych samych strasznych potwornych postaciach (*grässliche versetzte Gestalten*). Ociemniała kobiéta z pod Anspach uskarżała się, że nic jéj bardziéj nie dręczy, nad widok zwierząt i ludzi, we śnie widzianych [2]).

---

[1]) Linie świątyni dorychiéj, jakkolwiek prostemi się wydają, w istocie są wszystkie krzywe. O krzywiznach tych przekonano się za pomocą bardzo ściśle dokonanych pomiarów, do których posłużyły geodezyjne instrumenta. Celem w mowie będących krzywizn, jest zapobieżenie optycznemu złudzeniu, według którego długie proste linie poziome oku się wklęsłemi wydają, a więc wypukłość linii znów je dla oka wyprostowywa.

[2]) Te dwa szczegóły czerpiemy z wymienionego już kilkakrotnie dzieła Radestocka, str. 124.

Obok tych faktów przez oftalmologią stwierdzonych, któreśmy, zresztą, sami mogli sprawdzić, pamiętać należy, iż nawet od urodzenia ociemniali doznają wrażenia odbłysków światła, w postaci gwiazd, kółek i t. p. figur. Wrażenia te obdarzeni wzrokiem sztucznie za pomocą naciśnięcia gałki oka wywołać mogą.

Ztąd wniosek, że obok przedmiotowego pobudzenia wzroku, głównym sennych obrazów materyałem—reprodukcya na jawie doznanych wrażeń wzrokowych, wrażeń, których właśnie ociemniali są pozbawieni zupełnie. Dlatego właśnie ich senne marzenia są mętne, nieokreślone, ztąd, jak każda niepewność, uczucie trwogi wzbudzają.

Nim te fizyologiczne postulaty do artystycznych zastosujemy marzeń, przedewszystkiém rozpatrzyć musimy wywołane przez duszność, albo, co na jedno wychodzi, przez zakażone powietrze.

W takich warunkach sny są zawsze niepokojące. Cnotliwa kobiéta, pod wpływem duszności, śnić będzie, że ją w rażącym negliżu zastano, profesor będzie niepokojony myślą, że mając z katedry przemawiać, jest do wykładu zupełnie nieprzygotowany, student będzie truchlał, nie umiejąc lekcyi, a kochająca matka pod wpływem duszności śni, jakoby wyciągała ramiona ku dziecięciu, mającemu stać się za chwilę pastwą płomieni, lub téż nurtów rzeki. Białe i czarne demony, gnomy, zmory, są płodem dusznego powietrza.

Że tego rodzaju sny i, w takich powstałe warunkach, ogólnie są stwierdzone, za dowód posłużyć może powszechnie znany i często powtarzany sen całego batalionu żołnierzy francuzkich, który tu przytaczam.

Cały batalion francuzkich żołnierzy na kwaterę do opactwa Tropea w Kalabryi przybyły, o saméj północy nagle zbudzony, jakby na rozkaz wodza, w szalonych skokach na dziedziniec wybiega. Na zapytanie o powód tego niezwykłego ruchu, wszyscy żołnierze jednogłośną dają odpowiedź: że dyabeł w postaci wielkiego czarnego psa, z szybkością błyskawicy w jednych ukazawszy się drzwiach, po piersiach śpiących żołnierzy przebiegłszy, zniknął w drzwiach przeciwległych wchodowym.

Ta sama scena, pomimo wzmocnienia straży oficerów w noclegowéj sali, następnéj powtarza się nocy.

Niezwykłe to zdarzenie tłómaczy się w sposób bardzo prosty.

Po przebyciu w skwarny dzień czerwcowy uciążliwego marszu, żołnierze, stosownie do rozkazu, w ciasnych, krępujących mundurach, na garści słomy spoczęli w sypialni opactwa, obliczonéj na znacznie mniejszą liczbę osób niż batalion cały. Skrępowanie odzieżą, dusząca atmosfera, wpływ duchowy opowieści o dyable, który, według przekonania okolicz-

nych mieszkańców, w nocy miał nawiedzać opactwo, wpływy zarówno na każdą oddzielną działając jednostkę, jakby w jednym umyśle wywołały straszliwe piekielne widziadła. Przekonano się, że osławione gniazda strachów, stare domy i zamczyska, po należytém odświeżeniu w nich powietrza, upiorom wypowiadały w swych murach gościnność. Pasterze, a nawet trzoda, pod wpływem powietrza miazmatami zakażonego snom niepokojącym podlegają [1]).

Nareszcie posty wywołują rodzaje snów, o których mowa. „Suszenie, jak to najczęściéj bywa, z innemi umartwieniami, samotnością i długiemi na pustyni lub w lesie rozmyślaniami połączone, jest środkiem, który najskuteczniéj pomieszaniu zmysłów i nadzwyczajnym wizyom sprzyja. Myśliwiec, często zniewolony do mimowolnéj przez całe dni i tygodnie samotności, w tych warunkach doszedł do widzenia fantomów i rozmów z duchami, które dla niego są osobistemi widzeniami. Od chwili, kiedy nauczył się on wywoływać duchy, pozostaje tylko reprodukcya przyczyn, żeby doznać wrażeń“ [2]).

Rozbierając przytoczone fakta, przychodzimy do wniosku, że brak wrażeń wzrokowych (jak tego dowodem sny ociemniałych), zakażenie powietrza, wszelkiego rodzaju umartwienia wywołują mgliste, ciała pozbawione, jakby z czarnéj mgły zrodzone, straszliwe fantomy.

Przejdźmy teraz od snów pojedyńczego do marzeń zbiorowego człowieka, w podobnych postawionego warunkach.

Szukając takich w czasie i przestrzeni warunków, znajdujemy je w krajach północnych i dziejach średniowiecznych. Przezroczysty eter helleńskiego powietrza jest na północy jakby zasłaną atmosferą, utworzoną z par i gazów, przyćmiewających jasność barw i konturów otaczającego krajobrazu. Lazurowe sklepienie helleńskiego eteru, to na północy ciężka ołowiana opona, albo też płachta barwy mętnéj wody, kłębiącemi się pokryta obłokami. Wszystko tu pozbawione wyrazistości. Najpiękniejsze budowle klasycznéj architektury, w północnéj stolicy Rossyi wydają się najczęściéj jakby z czarnoksięskiéj latarni, na blado-niebieskie płótno rzuconemi cieniami.

Mytologia północnych krajów, niezależnie od właściwéj tego rodzaju opowieściom piętna niepewności, jeszcze bardziéj niż gdzieindziéj gęstą mgłą pokryta. Pogodne, uśmiechnięte wcielenie potęg przyrody helleńskiego Olimpu, bóstwo lub bohater ze zwykłym śmiertelnym spokrewniony, w mitologii germańskiéj jest straszliwym, huczącym olbrzymem. Porównane blaski helleńskiego Heliosu ze słońcem germań-

---

[1]) Porówn. z Tylor'em.

[2]) Tylor, II, str. 528.

skiém mają się do siebie, jak blask południowego do księżycowego oświetlenia. Wpływ zaś księżyca na fizyczne i psychiczne życie od dawna jest udowodniony. Bakon omdlewa pod wpływem tych blasków. Darwin twierdzi, że światło księżycowe obieg krwi zwalnia. Przekonano się również, że przez zasłonięcie okna grubą zasłoną, łagodzi się sny nerwowo i umysłowo chorych. Światło księżycowe jest bezpośrednią przyczyną rzewnego elegijnego nastroju duszy, tak we śnie, jak na jawie. Stąd też, człowiek pod wpływem bladych i względnie krótko działających promieni słońca północnego, podobnie jak człowiek uśpiony, na twarz którego padają blaski księżycowe, romantyczne, podczas gdy południowiec plastyczne (klasyczne) tworzy kształty.

Bodźce wzrokowe, w które tak bogato uposażona helleńska kraina, na północy i w wiekach średnich, nietylko przez naturę fizycznego środka, ale nadto przez abstrakcyjne myślenie, scholastycyzm, metafizykę i teologią wyrugowane. Abstrakcyjne myślenie przed wzrok gęstą zawiesza zasłonę; pokrywa oko na wpływy zewnętrzne znieczulającém bielmem.

Konkretne też, doskonale dające się w bryle marmuru skrystalizować ideały wiary, sztuki i wiedzy helleńskiéj, w wiekach średnich do tego stopnia stają się niepochwytnemi, że nie dadzą się ująć w odpowiednie formy. Nieskończoność, marzenia mistyczne tylko umysły helleńskich filozofów zaprzątając, stają się organiczną nicią średniowiecznego społeczeństwa.

Myśl za wzrokiem podąża, ale i na odwrót, myśl jest przewodnikiem wzroku. Człowiek średniowieczny, ogólnym abstrakcyjnego myślenia porwany prądem, wzrokiem dalekie, niedoścignione krainy przekroczyć usiłuje. Taki człowiek, lubo wzrokiem obdarzony, ale w myślach abstrakcyjnych zatopiony, w działalności swéj w zakresie plastyki do ociemniałego od urodzenia podobny.

Wzrost nauk w wieku Abelarda, Alberta Wielkiego, Bacona i Tomasza z Akwinu, czyni człowieka tego czasu nieczułym na wrażenia wzrokowe. Dodajmy do tego, że północne kraje same już przez się nie dostarczają zbyt bogatego dla wzrokowych spostrzeżeń materyału; pogarda dla wszystkiego co ziemskie, zmysłowe, wytwarza nieczułego na barwy i kształty myśliciela.

Fizyologowie nareszcie dowodzą, że pogoda miłemi, nieczysta atmosfera, pochmurne niebo, niejasnemi, straszliwemi snami nas darzą.

Z téj krótkiéj paraleli widzimy już, że usunięcie bodźców wzrokowych tak w pojedyńczéj, jak i w zbiorowéj jednostce, zamglone, smętne, senne i artystyczne marzenia za sobą pociągają.

Powyżéj przytoczyliśmy kilka naukowo stwierdzonych faktów,

udowadniających, że miazmaty nasycające powietrze są jedną z głównych przyczyn rodzaju snów, o których mowa.

Taka, miazmatami trująca, atmosfera jest jednym z najbardziéj znamiennym rysów średniowiecza. Ciasno zabudowane grody, wązkie, w nieporządku utrzymywane uliczki miejskie, w których nietylko sąsiednie domy, ale i przeciwległe przez nazewnątrz, jak ganki wyskakujące piętra stykały się z sobą, pozostawiając zaledwie wązkie pomiędzy domami szczeliny, nadto ciemna, niedostatecznie wentylowana siedziba człowieka, wszystko to sprowadziło niezdrową, trującą atmosferę. Dodajmy do tego całe wieki tak zewnętrznych, jak i wewnątrz Europy trwających, społeczny organizm wyczerpujących wojen, podczas których nikt o uprawie roli nie myślał, wślad zatem głód i epidemie, które stały się chroniczną chorobą wieku. W końcu XIII-go stulecia powstała najsilniejsza epidemia, czarna zaraza, swą straszliwą potęgą zawładnęła Sycylią, Prowancyą i Toskanią. Cała ludność Awinionu, Narbonny, Montpellier wymiera. Nigdy nie widziano i nie słyszano o takiéj śmiertelności. Już sam oddech zarażonego śmiertelnie raził otoczenie. Odwiedzający chorych na niechybną śmierć się narażali. Wilki zgłodniałe całemi stadami na miasta napadają, głód swój w kolebkach niemowląt zaspakajają. Matki nie mają dość siły, aby stanąć w obronie swych dzieci. Widziano nawzajem mordujących się synów i ojców, ludzi ściągających wisielców, aby sobie wstrętne zdobyć pożywienie. Osady znikają do ostatniego mieszkańca, trupów zaprzestano grzebać.

Jeżeli taka i w tych warunkach powstała atmosfera wypełnia zwykłą sypialną komnatę, lub też wielką przestrzeń, w któréj społeczeństwo całe oddycha, sny muszą być straszliwe, do głębi wzruszające. Typem ich t. zw. z m o r y, ród swój ze średniowiecza wywodzą. W tych czasach odwiedziny dyabłów są bardzo częste, a t. zw. s u c c u b i, bynajmniéj do osobliwości w wiekach średnich nie były zaliczane.

Kronikarz Grzegorz, zwany Turonensis od miasta Tours we Francyi, przytacza sen następujący. „Widziałem pewnéj nocy, już nad ranem, u mego łoża straszliwy maleńki dziwotwór, nieludzkiéj postaci. Wydawał mi się średniego wzrostu, z cienką szyją, chudy, z bardzo czarnemi oczyma i pomarszczoném czołem. Nos miał szeroki, usta duże, wargi nabrzmiałe, podbródek krótki, wielkie zaostrzone uszy, suche i brudne włosy, zęby psie, wystające piersi, garb na plecach etc.“

Jest to najdokładniejszy, jakby urzędowy rysopis postaci dyabła, na archiwolcie głównego wejścia kościoła Notre-Dame w Paryżu wyrzeźbionego.

Ślusarzowi Biscornet, autorowi ś c i e r z y wrót tego kościoła,

zjawia się dyabeł, który dopomaga mu w wykonaniu przedsięwziętego dzieła [1]).

Zestawiliśmy tu fakta z trzech oddzielnych czerpane źródeł: fizyologii, kroniki i historyi sztuki. Wszystkie te fakta stwierdzają, że postać dyabła tak często w średniowiecznéj rzeźbie powtarzana, w senném spłodzona marzeniu.

Człowiek średniowieczny na post skazany, od wrażeń wzrokowych abstrakcyjném myśleniem oddzielony, w trującéj atmosferze oddychając, śni to o strasznych i dziwacznych tworach, to znów jego senne artystyczne obrazy niepochwytne, jak koronka średniowiecznéj katedry. Sny więc pod wpływem duszności, pod wpływem poświęcenia wrażeń wzrokowych na rzecz abstrakcyjnego myślenia, zarówno u pojedyńczego, jak u zbiorowego człowieka, są niepochwytne, chaotyczne, zawikłane lub zgrozą przejmujące. Wszystkie tych snów znamiona są zarazem znamionami sztuki średniowiecznéj.

Myśl zapanowywa nad kształtem, najdrobniejsze architektoniczne szczegóły wyrażają pewną ideę, choćby ta idea była tylko fikcyą, pozorem. O estetyczne (zmysłowe zatém) zadowolenie wzroku nie dba architekt średniowieczny. Widzimy to zarówno w budowlach publicznego, jak pierwotnego użytku. Pod natchnieniem mgławych, nieokreślonych snów, widoczna wszędzie z materyalizmem kształtów zacięta walka. Ideałem wieku staje się filigranowa jakby z drutu uwita budowla. Im przezroczystsza, im jéj części składowe dla wzroku niedostępniejsze, do niepochwytnego snu podobne, tém doskonalsze. Okrywa się ona mgłą niepewności, czyni jakby z poza przezroczystego woalu widziane oblicze. Obliczu temu szczególniéj sprzyjają blaski księżycowe; południowe słońce ściera zeń charakterystyczne piętno jego rysów.

To jest jeszcze jednym więcéj dowodem łączności architektury średniowiecznéj ze snami, urok których znika z pierwszym jaśniejszym słonecznym promieniem. Pod włoskiém też niebem gotyk jest egzotyczną rośliną, przenika tam sporadycznie, jest obcą naleciałością. Katedra w Medyolanie ma tylko pozory gotyku, nie będąc właściwie gotykiem.

Wpływ postów na styl średniowieczny rzeźby wszędzie widoczny. Galen już zauważył, że sny przy pożywnéj dyecie stają się wyraźnemi [2]). Tylor zaś dodaje, że trochę chleba i mięsa rozpraszają niepo-

---

[1]) Porówn. Viollet-le-Duc: „Dictionnaire.“ T. V, str. 33.

[2]) Radestock, str. 61.

chwytne senne wizye [1]). Trochę więcéj chleba i mięsa wpłynęłoby także na odżywienie zwiędłych muskułów, na wypełnienie wychudłych twarzy i płaskich piersi niebianek, głęboko w oczodoły zapadniętych melancholijnych źrenic, postaci rzeźbiarza średniowiecznego. Pod wpływem lepszego odżywiania, snów bardziéj plastycznych, odżyłaby karnacya i blask oczu postaci na witrażach katedr przedstawionych. Umartwione, głodne, w dusznéj atmosferze cienie świata malarskiego z żalem na świat patrzą, o jaknajśpieszniejszém opuszczeniu téj doliny łez, umartwień i głodu marzą. Gwałtowne, ale krótkotrwałe serca uderzenia, mistyczne porywy, bóle męczeństwa, wszystkie jestestwem wstrząsające uczucia wyczytasz, oprócz uczucia żądzy zakosztowania ziemskich rozkoszy...

Wcielenie snów, piętrzą się postacie jedne nad drugiemi, mieszają się wzajemnie i z konstrukcyą katedry. Archiwolty drzwi wchodowych z niezliczonéj liczby najrozmaitszych postaci uwite. Pod liśćmi kapiteli gnieżdżą się najrozmaitsze, częstokroć w rzeczywistym świecie nieznane zwierzęta i rośliny, dyabły w tych liści ukryciu walczą z duszami potępionych. Rynny do odpływu wód deszczowych przeznaczone, w kształcie rogatych dyabłów, smoków, lub też szatanów porywających grzeszne dusze [2]).

Pomimo wszystkich dowodów racyonalności gotyckiéj architektury, udowodnieniu któréj Viollet-le-Duc dziesięć tomów swego „Dictionnaire" poświęca, widoczną jest także i przedewszystkiém dążność do wytworzenia z tego rodzaju dzieł sztuki, subtelnego, jak z gazów czarodziejskiego trójnogu powstałego, widzenia. Jest to kamienna illustracya mar sennych w dusznéj, pozbawionéj wzrokowych wrażeń atmosferze wysnutych.

Jeśli więc z jednéj strony artyzm helleński jest konkretnym obrazem marzeń pod wpływem bodźców wzrokowych i czystości atmosfery, to z drugiéj znów strony średniowieczna sztuka jest snem pod wpływem zakażonego powietrza, sfery wrażeń wzrokowych pozbawionéj, z abstrakcyjnego myślenia powstałych.

Jako kontrast średniowiecznego otoczenia, oprócz Hellady, jest Italia z epoki odrodzenia, jako zaś do pewnego stopnia analogia są czasy dzisiejsze. Włochy odrodzenia są areną najwspanialszych, ciągle powtarzających się festynów, w których książęta z liczną, bogato w jedwabie, aksamity, złoto i drogie kamienie przyodzianą świtą, dając swemi tryumfalnemi wjazdami przedstawienia, tym sposobem oczom

---

[1]) Tylor, II, str. 534.

[2]) Np. Saint-Nazaire w Carcassonne, w Clermont i wiele innych.

dostarczają karmi estetycznéj. Są to istne teatralne z wolnym dla publiczności wstępem dawane przedstawienia.

Dziś rzecz ma się wprost przeciwnie. Zamiast świetnych widowisk, od lat najmłodszych przesycają nas gramatycznemi abstrakcyami, przez zmysły do umysłu przemawianie z pedagogii wyrugowane, po tém schematyczne w dusznéj atmosferze biurowe zajęcia czynią z nas ociemniałych, nieczułych na wrażenia piękna.

Tak tedy porównanie dwóch rodzajów otaczającego środka i w nim stylów sztuki powstałych, przekonywają nas już o łączności sennych i artystycznych marzeń.

3. Sny pod wpływem bodźców powonienia i pod wpływem narkotyków. Przykładem pierwszych estetyczne uzdolnienie Negrów,—drugich sztuka maurytańska.—Równoczesne działanie na wszystkie zmysły wywołuje chaotyczne obrazy, — przykładem sztuka Indów. Różnica pomiędzy bodźcami, wywołującemi sny i dzieła sztuki, jest ilościowa, nie zaś jakościowa.

Przejdźmy teraz do snów, pod wpływem bodźców na zmysł powonienia działających.

Jakkolwiek zapach, np. świeżo skoszonego siana, może podczas snu wywołać obraz kwiatami zasłanéj łąki, zauważmy jednak, że obrazy takie powstać mogą w fantazyi artystycznie rozwiniętéj, w każdym razie takiéj, która przyswoiła już sobie pewne wzrokowe spostrzeżenia. Tu zwrócić należy szczególniejszą uwagę, że wrażenia powonienia tłómaczymy sobie zawsze wzrokowemi obrazami, — zamiast czuć np. zapach róży, widzimy jéj kształt i barwę. „Snów powonienia (*Geruchsträume*) nie mogę sobie przypomnieć — mówi Fechner“ [1]). Dlatego też wrażenia, wyłącznie drogą zmysłu powonienia przenikające, bez współdziałania wzrokowych bodźców, są zarówno dla artystycznych, jak dla zwykłych mar w swych skutkach niepłodne.

Społeczeństwo więc, czy też rasa, któréj zmysł powonienia przeważnie rozwinięty, są nieczułe na wrażenia piękna plastycznego. Dowodem tego murzyni. Mają oni osobliwie zmysł powonienia rozwinięty. Co pochodzi z budowy ich nosa, znacznie niż u kaukazczyków szerszego, a zatém większą powierzchnią błony zaopatrzonego. Nadto nos negra ma często cztery współśrodkowe przedziały, podczas gdy u innych ras tylko trzy takie przedziały się znajdują. Jeżeli więc nasza estetyka do wyjaśnienia wzrokowych i słuchowych wrażeń zdąża, to estetyka negra, gdyby ją posiadał, miałaby za przedmiot wrażenie powonienia.

---

[1]) Porówn. Radestock, str. 116.

Murzyn zupełnie na piękno malarskie nieczuły, osobliwie na jego najsubtelniejszą gałąź: malarstwo krajobrazowe. Nie umié on sobie zdać sprawy z obrazu, przedstawiającego burzę lub wschód słońca, nie wié, co taki obraz przedstawia, lubo codzień ma możność tego rodzaju spostrzegać zjawiska. Nie wié on, czy taki obraz należy ku sobie górą, czy też dołem zwrócić.

Sny powstałe pod wpływem narkotyków, jako to: koki, opium, a osobliwie haszyszu, są rozkoszne i w najwyższym stopniu fantastyczne. Pod wpływem haszyszu widzimy nieskończenie mieniące się gwiazdy, arabeski, lekkie, eteryczne wspaniałe zamki i całe niebo zmysłowych rozkoszy. Pod wpływem takiego upojenia myślimy „jak pod zwrotnikami podczas południowéj siesty“ — są słowa Montegazza [1]).

To porównanie wyświetla nam istotę fantazyi artystycznéj pod wpływem podzwrotnikowego nieba. Są one kalejdoskopowemi obrazami, jak je trafnie Montegazza określa [2]). Takich właśnie kalejdoskopowych obrazów, snów takich, przez narkotyk wywołanych, wcieleniem jest architektura maurytańska.

Ornamentacya arabska jest szeregiem, wciąż zmieniających się o świetnéj barwie i nieskończoném bogactwie kształtów, kalejdoskopowych obrazów. Kombinacya linii zaćmiewa wzrok, jak narkotyk odurza organizm cały. Cienkie kolumny, wspierające stalaktytowe sklepienia, kwatery koronkową wypełniane ornamentacyą, nieskończoność wciąż nowych widoków, czyni z tych budowli istną siedzibę skrzydlatych elfów. A gdyby nie zakaz Alkoranu odtwarzania w sztuce postaci człowieka, twierdzićby można, że te czarodziejskie budowle byłyby przepełnione całym zastępem postaci aniołów, uroczych hurys, byłyby ziemską siedzibą wybrańców raju Mahometa [3]).

Dotąd wyjaśniliśmy sny pod wpływem bodźców, na oddzielne zmysły działających. Teraz przejdziemy do tych fantazyjnych objawów, które powstają przez działanie na wszystkie zarazem zmysły i narządy organizmu naszego.

Wszystkie zmysły i organizm cały naraz pobudzony, wytwarza w umyśle obrazy chaotyczne, zarówno podczas snu jak i czuwania. Obra-

---

[1]) Montegazza: „Fizyologia Rozkoszy,“ tłóm. polskie F. Wermińskiego. Warszawa, str. 198.

[2]) Tamże, str. 194.

[3]) Porówn. także studyum moje p. n. „Szlakiem narodów,“ („Ateneum,“ zeszyty za lipiec i sierpień, 1889).

zy takie są do tych wrażeń podobne, których doznajemy, gdy słyszymy współcześnie z rozmaitych instrumentów wydobywane dźwięki. Indostan jest takim stekiem wszystkich najbardziéj jaskrawych kontrastów klimatu fauny i flory.

Podzwrotnikowe upały i deszcze ustępują w tym kraju chłodnym śniegom, a obfite kłębiące się pary — suchości powietrza. Pory roku w południowym Indostanie regulują się kierunkiem mussonu. Rodzaj i kierunek wiatrów ma wpływ na rodzaj snów. Mieszkańcy Jura tłómaczą zły humor i niepokój duchowy pewnemi kierunkami wiatrów. Godnym zaznaczenia faktem, że Indusi dla oznaczenia rozmaitych chorób nerwowych użyli nazw oznaczających kierunki wiatrów, w ich kraju panujących. Nigdzie też może gwałtowność i zmienność klimatu nie pozostawia tak wybitnych śladów, nietylko w marzeniach podczas snu powstałych, ale także w ich artystycznéj odmianie.

Taką samą, jak klimat, rozmaitością, odznacza się fauna i flora Indostanu. Drzewa na sto stóp wysokie, krzewy, które w oczach europejczyków za drzewa uchodzą, źdźbła kłosowe bambusu równają się naszym pniom drzewnym. Gaje drzew sandałowych, hebanowe i teakowe; najrozmaitsze gatunki palm, banany, drzewa kokosowe, muszkatołowe, cynamonowe, gwoździkowe,—wszystko to olśniewające europejczyka, odpowiedni także wpływ na wyobraźnią Indusa wywrzeć musiało. Wśród téj cudownéj dla nas, dzieci północy, mytycznéj, tylko z opisów i rysunków znanéj, rozmaitości czarodziejskich, powikłanych, zamęt sprowadzających widoków, istnieją jeszcze bardziéj dla nas dziwne żyjące twory.

Plantacye ryżowe są ojczyzną słonia, który ze względu na swe imponujące rozmiary i niezwykłą barwę, jest jakby przedpotowém zwierzęciem. Po gałęziach drzew tych dziewiczych lasów uwijają się szympanse, goryle i inne im pokrewne gatunki; jak nigdzie, dzikie, krwiożercze lwy i pantery dają krwawe widowiska. Po ziemi wiją się olbrzymie węże, z wód wyłaniają głowy krokodyle i inne ziemnowodne płazy. Jest to istny przedpotowy obraz.

Kiedy dziś jeszcze po europejskiéj gospodarce zachowała się taka barwność, rozmaitość i bogactwo widoków, łatwo wyobrazić sobie potęgę obrazów przed ośmioma wiekami, t. j. w chwili rozwoju sztuki indyjskiéj. Sztuka ta jest skrystalizowanym snem, z spostrzeżeń, jakiemi na jawie, w chwili realnego życia, Indus swą wyobraźnią karmił.

Indostan—to kraj cudowności, ojczyzna legend mistycznych, czarodziejskich bajek, przesądów, szalonego kultu religijnego. Potęga przyrody, która tyle świetnych widowisk oku Inda dostarczała, przygniatając go, stała się dla niego widomym niewidoméj potęgi obrazem.

Te wszystkie cuda, porywy duchowe, widokiem przyrody wywołane, ta nieokreśloność i nadzwyczajne bogactwo wrażeń, jak w senném marzeniu, jak w popękaném odbijają się zwierciedle; zwierciadłem tém jest sztuka na grucie Indostanu wyrosła. W niéj najprzód uderza nas rozrzutność, rzec można, marnotrawstwo w szafowaniu ornamentacyą, powikłanie oddzielnych motywów, które my, europejczycy, barokizmem nazywamy. Odbija się w téj sztuce bogactwo fauny i flory, burzliwość klimatu,—słowem, właściwości gleby i otoczenia, w którém rozkwitła architektoniczna roślina.

Filary t. zw. Wielkiego Mandapum w Seringhamie, przedstawiają olbrzymie, na kilkadziesiąt metrów wysokie dębem stojące konie, na swych grzbietach unoszące jeźdzców. Pod końskiemi kopytami grupa ludzi: mężczyzna, kobieta, kilkoro dzieci, jakby umyślnie szukają śmierci pod ciężarem olbrzymiego zwierzęcia. Cała ta grupa na rozmaite waryanty, przy każdym filarze powtórzona, na olbrzymich najdziwaczniéj rzeźbionych piedestałach wsparta.

W Ellora, olbrzymie w jednéj bryle kamienia wykute słonie, unoszą jakby tron władcy wschodu — kamienną świątynię. Gdzieindziéj znów, w Mahalaipur, cokół w kształcie nieistniejącego w rzeczywistości lwa, podpiera kolumnę o dziwacznych, jak jéj podstawa, kształtach.

Pilastry Tszulatri w Madusze, to postacie złożone nawpół z końskiego tułowia, nawpół z głowy słonia, któréj wzór w naturze nie istnieje. Monstrualna ta w kamieniu wykuta bestya, zaciętą toczy walkę z innym nieznanym w zoologii, nie dającym się bliżéj określić, w najrozmaitsze ornamentacye tatuowanym dziwotworem, wspinającym się na łbie słonia w czaprak przystrojonego.

Inne znów kolumny w kształcie beczek, na równoległościennych piedestałach ustawione. Kolumny, pilastry, mające prostą funkcyą podpierania wyrażać, w tak zawikłanych, niebywałych w naturze, niczém nieusprawiedliwione kształty ujęte, że tylko senną logiką mogą być usprawiedliwione. Kolumna, pilastr — to najbardziéj dla każdego profana zrozumiałe składniki architektoniczne, a jednak jak trudno za pomocą opisu lub żywego słowa dać o nich wyobrażenie.

Stokroć też trudniejszém, a nawet wprost niemożliwém, jest odtworzenie za pomocą słowa całości budowli indyjskiéj. Kto tych budowli na rysunku nie widział, temu jedynie owe bezładne, mętne, nieskończenie powikłane senne marzenia, wynik gorączki lub zaburzeń funkcyi organizmu, dać mogą o téj architekturze wyobrażenie. Tylko bowiem patologiczny stan organizmu może być źródłem tworów tego rodzaju. Są to w kamieniu skrystalizowane sny Indów, produkt najsamowolniejszego kojarzenia myśli, tego rodzaju kojarzenia, które po

ocknieniu niedorzecznością zowiemy. A jednak takie dziwactwa podczas snu widziane, nawet ucywilizowany europejczyk, zarówno matematyk cyfrą wszechświat mierzący, jak poeta wszechświat idealizujący, za bezwzględną prawdę uważają.

Ze świata sennych i artystycznych marzeń zdrowa logika na wygnanie skazana. Na objawy sztuki, które Ind za ucieleśnienie ideałów uważa, europejczyk patrzy jako na głupi sen w chwilę po ocknieniu. We śnie gotowiśmy przysiądz, że niedorzeczność jest niezbitą prawdą. Prawdą jest też dla oka i wyobraźni Inda, kolumna, co nic nie podpiera, albo właściwéj sobie funkcyi nie wyraża.

Nikt podobno dotąd nie zdołał opisać pagody w Tanżur, w któréj rozczłonkowanie, zawikłanie linii, nieskończona liczba posągów i posążków wzrok oślepia i zamęt głowy sprowadza. W świątyni Boro Budor samych posągów Buddy narachowano 400. Innych, czworo-ramiennych posągów Siwy, lub dziewięcio-ramiennych postaci Ramy w pomnikach architektonicznych, na chwałę tym bóstwom wzniesionych, nikt zliczyć nie zdoła.

Wszystkie zmysły Inda w ciągłém naprężeniu, jak struna, która za chwilę ma pęknąć. Oko jego karmione najrozmaitszemi krajobrazami, przepełnionemi tworami flory i fauny. Zmysł słuchu wystawiony na grzmoty gwałtowne, odgłosy huraganów, a organizm cały na szalone prądy powietrza, nagle zrywające się burze, jak potop ulewne. Bujna i wspaniała flora barwami swemi wzrok oślepia, wonią odurza. Wznosząca się, to znów opadająca temperatura na cały organizm działa przygniatająco. Takie otoczenie fizyczne najbardziéj sprzyja rozwojowi szaleństwa. Szaleństwem też jest kult i sztuka Indów.

Wszystko, co tylko obłąkany umysł spłodzić może, znajdujemy w religii Indów, tych mistrzów fanatyzmu. Spotkanie np. wołu na drodze, za szczęśliwy prognostyk uważane. Podróżnicy opowiadają, nietylko do wspomnianego podobne niedorzeczne przesądy, ale nadto natury wstrętnéj i ohydnéj, których tu przytaczać nie chcemy. Zabicie krowy uważane w Indostanie za większą zbrodnię, niż zamordowanie człowieka. Podróżnik francuski, de Saint-Barthélemy widział w Malabarze pięciu na drzewie powieszonych ludzi,—była to kara wymierzona na tych nieszczęśliwych za zgładzenie ze świata — jałoszki! Według przekonania prawowiernego Inda, trzymanie krowy za ogon w chwili skonu pomaga duszy w przejściu do stref wiecznego szczęścia.

Wszystkie te bezecne niedorzeczności, senne halucynacye, które my, europejczycy, do ciągłéj czujności umysłu przez łagodny klimat pobudzani, za płody umysłowéj alienacyi uważamy, dla Inda są niezachwianą prawdą, podobnie jak prawdą są senne mary, nim je

ocknienie rozproszy. Wszystkie te brednie stanowią rdzeń, osnowę, sprężynę życia i sztuki Indów.

Rozbiór otaczającego środka, w którym rozkwitła sztuka helleńska, gotycka, Indów i maurytańska, obraz poczucia piękna u negrów, przekonał nas o ścisłém pokrewieństwie sennych i artystycznych marzeń, powstających pod wpływem jednakich bodźców.

Tym sposobem dokonaliśmy przeglądu działań bodźców na oddzielne zmysły. Zauważmy teraz, że różnica w naturze bodźców, senne i artystyczne marzenia powodujących, jest tylko ilościowa, nie zaś jakościowa.

Lekkie muśnięcie powietrza działa na wyobraźnią uśpionego, jak wielkie atmosferyczne prądy na wyobraźnią społeczeństwa. Tlejący strzępek papieru, podobnie jak miazmatami zakażone powietrze, którém oddychało społeczeństwo średniowieczne, zarówno w fantazyi uśpionego pojedyńczego, jak zbiorowego człowieka, wywołuje straszliwe widziadła piekielne. Kropla wonnéj substancyi, albo zapach świeżo skoszonéj łąki, uśpiony utożsamia z kwiecistą łąką, egzotyczną roślinnością. Widzimy więc tu tylko ilościową nie zaś jakościową różnicę w działaniu bodźców zmysłowych [1]).

Podczas snu i w dziedzinie artystycznéj twórczości, sprowadzamy wszystkie wrażenia do reprodukcyi spostrzeżeń wzrokowych. Nie czujemy np. zapachu róży, ale ją widzimy. Tak samo dzieje się w świecie artyzmu, tylko to jest jego udziałem, co dla zmysłu wzroku dostępne, co barwą i kształtem da się ujawnić.

Bodźce zewnętrzne na fantazyą uśpionego działające, to na małą skalę zredukowane potęgi panujące w przyrodzie, w sztuce objawiające się arcydziełami. Arcydziełem też z punktu widzenia historycznéj estetyki jest zarówno sztuka Indów, jak Hellenów.

W świecie sennych i artystycznych marzeń zarówno, człowiek, nie mogąc sobie wytłómaczyć praw, światem fizycznym i duchowym rządzących, tworzy symbole dla uczuć jaźnią wstrząsających. Stąd powstaje świat nowy, który światem artyzmu nazywamy. Materyałem do budowy sennych i artystycznych marzeń są spostrzeżenia na jawie zebrane; w nich reprodukujemy to, czego doświadczyliśmy na jawie.

W tych dwóch napozór różnych, w istocie jednakich sferach życia duchowego, złudzenie do tego stopnia jest potężne, że niedorzeczności za absolutne prawdy przyjmujemy.

Ale nawet przy trzeźwości wszystkich zmysłów na jawie, nie jesteśmy zupełnie wolni od podobnych złudzeń. Groch np. na tekturę

---

[1]) Porówn. Chmielowskiego: Gieneza Fant. str. 84.

sypany, wywołuje złudzenie ulewnego deszczu na widzach, w sali teatralnéj zgromadzonych. Czyż tego rodzaju złudzenia, których więcéj można przytoczyć, nie są jeszcze jednym więcéj dowodem tożsamości pochodzenia sennych i artystycznych marzeń.

Nareszcie jedynym celem sennych i artystycznych obrazów zaspokojenie wyobraźni, uplastycznienie zewnętrznych bodźców wywołujących uczucia. Sny i sztuka wolne są od wszystkich materyalnych celów: sny dla snów—sztuka dla sztuki istnieje [1]).

(*D. c. n.*).

Kazimierz Kleczkowski.



[1]) „Słowem, w dziełach fantazyi nie idzie bynajmniej o ścisłość, o opis lub odmalowanie jaknajdrobnostkowsze, jaknajdokładniejsze i jaknajbardziej odpowiednie prawdzie przedmiotów lub zjawisk, które treść ich stanowią; lecz o to głównie, ażeby one zrobiły wrażenie“. (Chmielowski: „Gien. Fant.“ str. 93).



Z POMROKU.

„....Ta nieskazitelna i cicha pogoda letnia, to niebo tak błękitne, ta rzeka, po któréj wybrzeżu chodzę, te rosnące nad nią stare wierzby i zieleniejące za nią drogi, jakżeby mnie szczęśliwym czyniły przed laty! Dziś, sam nie wiem, po com tu przyszedł, ani po co stąd odejdę, bo gdziekolwiek się znajdę, wszędzie ze mną i we mnie pozostanie niepozbyte zwątpienie o prawdzie, piękności, wartości wszystkiego, mordercza zgryzota, która, jak dzieciożerczy Moloch, pochłania mi każdą, zaledwie zrodzoną uciechę. Daremnie pragnąłbym i usiłował okłamywać samego siebie; wiem, że nawet najnierozłączniejszym towarzyszom swoim, zmysłom własnym ufać nie mogę, bo wszystko co mnie otacza, a niegdyś cieszyło, jest tylko fałszywém odbiciem niewiadomego w ich zwierciedle. Ciemni tylko mniemać mogą, że natura w saméj istocie swojéj tak wygląda, jak oni ją w zwierciedle swoich zmysłów widzą. Ja wiem dobrze, iż gdybym milion lat poświęcił badaniu jednego drzewa, nie opadną z niego okrywające mi je zasłony. Ścisliwém i twardém jest ono, prawda? gdy czołem o nie uderzę, guza sobie nabiję, a jemu wcale nie zaszkodzę. Lecz kula armatnia przejdzie przez nie jak przez masło i strzaskawszy je, sama caluteńką pozostanie. Dla mrówki grudy ziemi są tak wysokie, jak dla człowieka Jungfrau lub Czimboraso i nie ma najmniejszéj pewności, czy dla oczu byka, tak wrażliwych na kolor czerwony, w najmniejszym stopniu istnieje zielony, albo błękitny. Dalecy nasi przodkowie mniéj niż my barw rozpoznawali; czy naturze ich przybyło? Gdzie tam! nasze to narzędzia wzrokowe przez wydelikatnienie i gimnastykę, popchnęły nas naprzód na drodze — złudzeń. A muzyka dzikich i arye Verdiego? My wzdrygamy się na pierwszą. Papuasy ani myślą zachwycać się drugiemi. Dla czegóż to? Bo w saméj istocie rzeczy, ich przeraźliwe dla nas bębnienie i piszczenie, a obojętne dla nich arye włoskie, czy sonaty i fugi niemieckie, to zupełnie wszyst-

ko jedno. Różnica spoczywa w słuchowéj zdolności dzikich i naszéj. W gruncie, najmniéj jeszcze łudzą się ślepi i głusi; pierwsi nie widząc pozornych i tylko dla oka w ten sposób co nasze uorganizowanego istniejących kształtów i barw, nie są narażeni na oszustwa przynajmniéj wzroku; drudzy słyszą to tylko, co naprawdę istnieje w naturze, to jest, uderzeniami fal powietrznych o nasz przyrząd słuchowy nie mąconą względnie do nas — ciszę. Ale co ja splotłem! „To co naprawdę istnieje w naturze“... Alboż ja wiem, co tam istnieje: cisza grobowa, czy gwar, z którego ani jeden dźwięk nie dolatuje do mnie? Ciemność otchłani, czy blask, z którego ani jeden promyk mnie nie dosięga? Pełnia, czy próżnia? Harmonia, czy walka? Wszystko, czy nic z tego, co dla mnie znane, zrozumiałe? Nie wiem; o niczém, prócz absolutnéj w stosunku do mnie względności wszechrzeczy, nie wiem. Z téj absolutnéj względności wynika, że człowiek najrozumniejszy, na równi z ostatnim głupcem, jest co chwila, przez wszystko co go otacza i przez wszystko, co w samym sobie posiada, oszukiwany. Na tym punkcie ludzka mądrość i głupota, stają się z sobą bliźniaczo równemi, tylko gdy na łonie wiecznéj i nieprzeniknionéj tajemnicy, pierwsza drży w męczarniach niepokoju i nadaremnych pragnień, druga w przywiléj obojętności owinięta, błogo usypia.

....Tajemnica. Nauka jest pochodnią, z którą spuszczamy się w męty tajemnic, aby z nich perły wiedzy wynosić. Ale niedawno czytałem książkę jednego z najuczeńszych w świecie ludzi, któréj całą połowę zapełnia dział „Nieznanego“. Początek i koniec materyi, czas i przestrzeń, nieskończona wielkość i nieskończona małość, niepodzielność atomu i pierwszy początek życia, hierogliwy na mózgu ludzkim wytłoczone, a których żadna cudowna woda nigdy ani zetrze, ani wyjaśni. Jest tych hieroglifów liczba daleko większa, niż ich jeden umysł ludzki, również nieczytelny hieroglif, pomieścić w sobie może. Są one rozsiane po wszystkich umysłach badawczych i rozważających, a każdy ma swoje i każdy wié, że nauka to studnia, mogąca gasić pragnienie wiedzy tylko do pewnego stopnia, po którego przebyciu basta! choćbyś mózgi wszystkich pomarłych i żyjących mędrców pożarł, nie dowiész się niczego, dla téj prostéj przyczyny, że oni sami o nieskończoném mnóstwie rzeczy nie wiedzieli nic oprócz tego, że nic o nich wiedzieć niepodobna. Jeżeli chcesz zdobyć wszystkie o wszystkiém wiadomości i pewniki, pytaj się głupców. Oni to posiadają stanowcze twierdzenia, przeczenia i na końcach swoich nosów stoją — jak na skałach. Szczęśliwi! Lecz cóż powiész o świecie, na którym trzeba urodzić się głupcem, aby doświadczać szczęścia, sprawianego przez zupełne zadowolenie umysłu?...

...Mniejsza jednak o to; bo bądź co bądź, niewiadomość o rzeczach jakkolwiek najważniejszych dla ludzi, lecz oddalonych, nie wielkiéj ich liczbie głębokie i stałe udręczenia sprawia, co nawiasem, posłużyć może za wcale piękny dowód lekkomyślności i płytkości ludzkiéj. Istnieje przecież w téj dziedzinie zjawisko powszechniéj odczuwane i bezpośredniéj mordercze. Myślę o użytku czynionym przez ludzi z dostępnego im i już zdobytego zasobu wiedzy. Słyszę! słyszę! Druk! proch! koleje żelazne! telegrafy! telefony! wieża Eiffla! A, dajcież mi święty pokój przynajmniéj z tą wieżą! Znajduję, że świat dostał bzika na punkcie Eiffla i jego wieży! Cóż to? Czy nakarmi ona głodnych, pocieszy strapionych, od ohydnego czynu powściągnie rękę zbrodniarza, ze śmiertelnego łoża podźwignie genialnego człowieka, stokroć wyższego od niéj, choćby mu tylko trzy cale wzrostu było? Cud rachunku i mechaniki, powiadacie. Chciałbym słyszéć, co o tym cudzie powiedzieliby faraonowie, gdyby go widziéć mogli z głębi wzniesionych przez siebie piramid, także cudów świata, które nie przeszkodziły temu, że po faraonach, zarówno jak po tłumach niezliczonych pokoleń Egipcyan, które wielce podziwiały piramidy, nie pozostało marnéj garści prochu. Neron miał także słynny wówczesnym świecie i niezmiernie podziwiany złoty pałac, lecz ludzkość wolałaby najpewniéj wyrzec się w przeszłości złotego pałacu, aby tylko za jednym zachodem pozbyć się wspomnienia, że spłodzić mogła Nerona. „Wszystko to już było“, mówi jedna z osób słynnego dramatu, a ja zapytuję: co z tego wynikło? Iglicówki, armaty, pancerniki, torpedy, udoskonalone przez elektryczność uśmierzanie skazańców, ułatwione znoszenie się z sobą czułych kochanków i biegłych szachrajów... rocznik telegraficznych depesz ukazałby nam pewnie na jedno pocieszone, lub uspokojone serce, milion wypchanych kieszeni. Teraz podobno powietrze — poetyczny eter starożytnych — w czynności wzajemnego mordowania się ludzi, zastąpić ma ołów, a niewinne gołąbki i poczciwe pieski najpewniéj już dziełu temu znacznéj pomocy udzielać będą.

Przypuszczam, że od Machiawela do Bismarcka, wszyscy dyplomaci byli poniekąd uczonymi ludźmi, jednak gdy o nich myślę, podzielam zdanie starego Rousseau'a, że świat, któryby fraki i proch utracił, ale zarazem pozbył się dyplomacyi, zrobiłby wcale dobry interes. Co do interesów, nauka o podziale bogactw namiętnie zajmowała młodzieńcze lata moje, lecz oddawna już spostrzegłem, że w stopniu najmniejszym nie przeszkadza ona lwom zjadać owce, aż do ogonów, a pomniejszym zwierzątkom zdychać z głodu przy ogryzaniu tych ogonów, ani zapobiega współczesnemu istnieniu na ziemi faraonowych krów tłustych i chudych i takiemu ich boksowaniu, że może

przez nie kiedykolwiek uwielbiane wieże Eifflów wywrócą śliczne koziołki.

Temida z mieczem sprawiedliwości w ręku, imponująco wygląda, lecz nie trzeba być nawet jednym z jéj kapłanów, aby wiedziéć, ilu to cielskom czarnym aż do szpiku kości, z pomalowaną na różowo lub pozłoconą skórą, pozwala ona tryumfalnie przechadzać się po świecie, a ile dusz spodem białych, z powierzchnią tylko uczernioną, smaży i topi w kotle potępienia. Druk jest rzeczą wielką, ach, jak ja go za młodu uwielbiałem! I teraz jeszcze nęci on mnie ku sobie, przyzwyczajenie! ale dużo z szacunku mego utracił, odkąd w najmodniejszéj gazecie naczytałem się opisów najmodniejszych balów, odkąd w rękę mi wpadło parę pornograficznych piśmideł, odkąd szczególniéj wszystkie drukarnie tego świata odbiły oświadczenie najznakomitszego mówcy najpoważniejszego z parlamentów, że na obronę prawa przeciw sile, na oszczędzenie milionom ludzi milionów mąk, nie warto złożyć w ofierze ani jednéj kropli krwi i ani jednego szterlinga. Mój Boże! a ja właśnie tylu przeciwnych zdań naczytałem się w drukowanych dziełach wieszczów, że od nich jak żużel głowa mi gorzała! Otóż to! Z jednéj strony wieszcze za pomocą téj stugębnéj trąby, kanalię ludzką do czerwoności rozpalają, z drugiéj statyści, przez nią także, zimną wodę na głowy jéj leją. Podżegacze i straż ogniowa, bardzo dobrze; tylko, że przytém świat wygląda jak wóz, do którego z przodu i z tyłu zaprzężono konie i który, w dwa przeciwne kierunki pociągany, trzeszczy i pęka tak, że aż trzaski lecą. Biedne gorejące trzaski, które szczątkami swemi usiałyście ziemię, ten ogień, który was pożarł, jest dla mnie, jakby w przebłysku widzianym, lepszym od tego światem! Cóż, skoro inni twierdzą, że imię wasze: szaleńcy i że nikt o was inaczéj jak z pośmiewiskiem i urazą wspominać nie powinien! Co zaś największym funtem pieprzu w gardle mi zasiada, to, że oskarżeniu przeciw wam wnoszonemu, całkowicie przeczyć nie mogę. Tak, tak, wspaniałe duchy, nigdy nie pamiętano o tém, że chcąc dobro zrządzić ludzkości, nie ku wysokim przybytkom ideałów porywać ją należy, ale zapędzać do chléwa. Tam tylko, na bezpiecznym barłogu, nad pełném korytem, wygoda i spokój. Ilekroć zaś przez was porwana, ludzkość zerwała się do lotu, ćwiczono ją potém i porcye strawy jéj zmniejszano. Lecz tu znowu zastępuje mi drogę pytanie: pocóż w wyobraźni ludzkiéj istnieją ideały, skoro za każdą próbę wydobycia się z niéj na szerszą przestrzeń rózgami dostawać i śpiesznie z powrotem do miejsca powstania swego uciekać muszą? Spytajcie Dedala, po co Ikarowi skrzydła do ramion uczepiał? Ażeby mógł latać, odpowié. Jednak Ikar zamiast latać, utonął, gdy tymczasem współczesny mu Midas w złocie

chadzał i na złocie jadał, choć jak wiadomo, miał długie uszy. Wypadałoby z tego, że Dedalów i Ikarów za głupców, a Midasów za mędrców poczytywać trzeba. Ale jest w nas coś, co sąd taki wstrętnym i często niepodobnym czyni. Znowu ogień i woda, albo, jeżeli kto woli, wóz w dwie przeciwne strony ciągnięty.

....Znałem raz waryata, który postanowił dojść koniecznie do tego punktu widnokręgu, na którym ziemia styka się z niebem. Uciekł z lecznicy i szedł bardzo długo, dziwiąc się niezmiernie, że do upatrzonego celu nie zbliża się wcale. Potniał nieborak, od zmęczenia oddech tracił, ale szedł, aż go dozorca lecznicy dopędził i odpowiednim kaftanem skrępowawszy, w osobnéj celi na klucz zamknął. Słusznie utrzymuje włoski uczony, że pomiędzy waryacyą a geniuszem zachodzi bardzo bliskie pokrewieństwo. Lecz w takim razie, zkąd cześć wasza dla geniuszów, usiłujących dotrzéć do punktu, na którym ziemia styka się z niebem, skoro to jest niepodobieństwem? Jednak, czcimy ich, a potrochu także, w skrytości serca, i litujemy się nad nimi, nieprawdaż?

....Ależ poleciałem! no, no, zstąpmy niżéj, do codziennych stosunków i pospolitych spraw ludzkich, u których wrót witają nas dwie zachwycające wieszczki: miłość i przyjaźń. O pierwszéj niewiele pochlebnych rzeczy, po rozmowie z doświadczeniem, do powiedzenia miałbym. Że kobiéta, którą bardzo kochałem, na pamiątkę wspólnéj naszéj po różach szczęścia przechadzki, zostawiła mi w sercu ranę, któréj ani czas, ani przeświadczenie o marności wszystkiego na ziemi zagoić nie mogły, o to mniejsza. Ale, że ja najpospolitszą gęś za najrzadszego łabędzia, a zgrabny szkielet, cienką skórą i modną suknią obleczony, za piękną duszę wziąłem i że podobne omyłki mnóstwo ludzi przed oczami mojemi popełniało i popełnia, to mnie już niewypowiedzianie upokarza, gryzie i do miłości zniechęca. Zresztą, ściśle rzecz biorąc, o co właściwie tu idzie? Pamiętam, że do 16-tu lat mego życia, czytając powieści, w których kochankowie rozpacznie walczą z niepozwalającemi im pobrać się przeszkodami, téj ich rozpaczy i tym ich walkom dosyć nadziwić się nie mogłem. Bo, proszę państwa, ponieważ nieustannie mówili pomiędzy sobą o wzlatywaniu w wyższe sfery, a dla rozrywki zbierali na łąkach kwiaty, nie mogliż i bez ślubu to samo daléj czynić? Co im tak bardzo zależało na pobraniu się? poco im ono było tak upragnioném i konieczném? To dziecinne zdziwienie moje zniknęło wtedy, gdy zrozumiałem, że miłość, eheu! nie polega głównie na wzlatywaniu. Co do przyjaźni, ilekroć ją wspominam, na myśl mi przychodzi zdanie starożytnego Rzymianina. „Z dzisiejszym przyjacielem, żyj jak z jutrzejszym wrogiem“. Jeden z przyjaciół moich, tak szczerze cieszy

się powodzeniem, którego w zawodzie moim doświadczałem, że bardzo pocichu usiłował ogłosić mnie za oszusta; drugi z kobietą, którą kochałem — wzleciał; trzeci, kiedy mu troski swoje powierzać zaczynam, śpiesznie mi mowę opowiadaniem o swoich przerywa; czwarty posiada prawdziwy talent znajdowania się przy mnie, gdy samotności potrzebuję, a ulatniania się nakształt eteru wówczas, gdy obecność jego od melancholii ratowaćby mnie mogła, jako też mówienia o rzeczach, nie obchodzących mnie w stopniu najmniejszym, a unikania wszelkiéj rozmowy, któraby mi pociechę, lub korzyść sprawiła. Co jednak nietylko mnie już zasmuca, ale i zawstydza, to że o sobie samym nic o wiele lepszego pod tym względem powiedzieć nie mogę. Wprawdzie, żadnego z przyjaciół moich jawnie ani skrycie za oszusta nie ogłaszałem i żadnego z nich żony nie porywałem z sobą w wyższe sfery, bo takie kwiaty nie wzrastały na gruncie charakteru mego, którym, jak wiadomo, nie ja sam miałem zaszczyt siebie obdarzyć. Ale zlać się z drugą osobą w moralną jedność tak zupełną, aby aż zapomnieć, że ona mną a ja nią nie jestem, aby jéj błędy i przywary nieść tak ślepo i lekko, jak się zazwyczaj niesie własne, aby przenikać najsubtelniejsze jéj potrzeby i umieć im czynić zadość, do tego wszystkiego na równi z przyjaciółmi mymi nie byłem zdolny. Mniéj może od wielu innych despotyczne, tkliwsze, uczciwsze, niemniéj przecież niepozbyte *ja*, było w najdroższych nawet stosunkach moich wiecznie obecném i więcéj niż połowy swoich wymagań, krytyk, nawet humorów, zrzec się nie mogło. Pomimo to, śmiem utrzymywać, że dosiągłem w téj mierze *maximum* mnie przynajmniéj znanéj możliwości, o ile bowiem spostrzegać i doświadczać mi się zdarzyło, wcale dobrymi już śmiertelnikami są ci, którzy jednéj czwartéj, dziesiątéj, setnéj swojego *ja* zrzekać się umieją, a gęsto można spotykać i takich, którzy nie zrzekają się go nigdy, w najmniejszéj części i w żadnym wypadku. Bywa owszem, że czułość jednego jest dla drugiego drożdżami, na których jego *ja* niepomiernie wyrasta w wysokość i szerokość. Wtedy spodem stosunku toczy się walka pomiędzy dwoma egoizmami, w któréj mniejszy ulega, lecz nie przepada i nad zgnębieniem swojém cierpi. Dzieje się tak w miłości, zarówno jak w przyjaźni; tu i tam strona mniéj o własny interes dbająca, mniejsze jego zadowolenie otrzymuje, a natury najsubtelniejszemi zaletami obdarzone, ulegają tym, które w wyższym stopniu posiadają energią samozachowawczego instynktu. Trudno zresztą, aby inaczéj było, skoro niezmiernie wyjątkowo wybieramy dla siebie najbliższych współtowarzyszy życia z pełnią rozwagi i woli. Najczęściéj namiętność, która oślepia, interes, który zwodzi, traf, który.....

....Traf! ach, mam cię najzłośliwszy z figlarzy, istoto, dla rozumu niepochwytna, a tak namacalna, że najkrańcowszy sceptycyzm o tobie nie wątpi, wszędobylski Figaro, który jednocześnie na milionach miejsc się zjawiasz, wszędzie i wszystkim płatając figle, najczęściéj bezsensowne, lecz za to okrutne. Od dzwonka u drzwi wchodowych i złego humoru kucharki, do spadającéj z gzymsu dachówki, gradowéj chmury i szkieletu śmierci, traf wszelkie postacie na siebie przybiera i sprawia, że znajdujemy się w towarzystwie naszych bliźnich wtedy właśnie, gdy po samotność pójść byśmy radzi pod kanapę, albo i pod ziemię, a samotni musimy być wtedy, gdy duch nasz od bliźnich otrzymać pragnąłby wsparcie, albo ich swoją uciechą obdarzyć; że na stole swoim znajdujemy lichy obiad przy psim głodzie, a wyborny przy zupełnym braku apetytu; że mucha, jad karbunkułu na ryjku niosąca, raźnie omija szpitalną babę, a całuje męża pełnego sił i zamiarów, lub rozkochaną w życiu i swoich marzeniach dziewicę. Ani spamiętać, ani wyliczyć podobna kolosów przewróconych, kwiatów zdeptanych, nosów stłuczonych i serc pękniętych—trafem. Dość powiedziéć, że traf stoi u dwu przeciwległych wrót życia, u początku jego i u końca. Nic nie objaśnia mię dla czego na tym, nie na innym punkcie czasu, przestrzeni, społecznéj i intelektualnéj drabiny przybyłem na świat, i nikt przewidziéć lub obrachować nie zdoła jakim sposobem, przez co i kiedy ze świata zejdę. Pomiędzy zaś dwojgiem tych wrót długa droga, wśród któréj co krok, co chwilę, jakieś cóś nieznane, niedojrzane, swawolne, stołek mi podstawia wtedy właśnie, gdy najprędzéj iść potrzebuję, kwiatami na mnie rzuca, gdy cieszyć się niemi nie mam czasu albo humoru, plącze najstaranniéj wyprzędzione przezemnie pasma, a na krośnach moich zasnuwa barwy i wzory, o których mnie nigdy ani się śniło. Wpatrując się najbaczniéj w łańcuch przyczyn, nie mogę odkryć téj, która sprawiła, że grad zniszczył zboże nie Pawła, ale Jakóba, że mój dobry znajomy zwichnął sobie rękę nie lewą, lecz prawą, że w najbliższém mojém sąsiedztwie zamieszkał człowiek nie ten, który byłby ozdobą dni moich, lecz ten, który stać się miał ich trucizną. Więc miéć uczucia, pragnienia, zamiary, w granicach ludzkiéj możliwości umiéć i wiedziéć wiele, w poczuciu ludzkiéj godności wysoko głowę nosić — i być w ręku nieznanego, swawolnego chłopczyka piłką—niewesoło!...

....Co prawda, godność człowiecza mnie bynajmniéj w pychę nie wbija. Gdybym był sędzią, skazałbym siebie samego na głęboką pokorę. Popełniłem parę błędów głównych i mnóstwo powszednich, a przybywszy na świat z większym od innych zasobem zalet, często nie umiałem ich ustrzedz od przemienienia się w przywary. Nic bo-

wiem nie ma pospolitszego nad przerabianie się w człowieku dobrych zalet w złe przywary, chyba takież przerabianie się w ludzkości pięknych teoryi w brzydkie zastosowania. Człowiek, który od przyrody otrzymał dar dobroci, albo wspaniałomyślności, zdolnym jest z pierwszéj uczynić mazgajstwo, a z drugiéj głupią rozrzutność. Ludzkość na drodze rozwoju swego, spotkawszy się z ideami wiary i miłości, pierwszą stosuje przez wzajemne wytępianie się różnych wiar, a drugą przez palenie żywcem mnóstwa cudzych dzieci, ku uczczeniu własnego molocha. Wszak wiadomą jest rzeczą, że póki sam silnie wierzę w Saturna, nie powinienem obok siebie znosić wiary w Neptuna, a jeżeli prawdziwie kocham to, co moje, największą dla mnie będzie chwałą, gdy spotwarzę, zdepcę, złupię to, co twoje. Znałem malca, który zabawki i przysmaki swoje rozdawał ubogim dzieciom i wróżyłem mu piękną, moralną przyszłość; jakże zmartwiony byłem, gdy ujrzałem go młodzieńcem, rzucającym przez okno pieniądze na muzykantów, którzy przygrywali uczcie, przez niego dla pasibrzuchów wydawanéj! Gościnne przyjmowanie pod pasterskiemi namiotami strudzonych wędrowców pustyni, wytworzyło z biegiem czasu salony, które całéj reszcie współczesnych nam namiotów odbierają możność zdrowego i trwałego ugaszczania samych gospodarzy. W młodości mojéj z kolosalną łatwością zawiązywałem z ludźmi bliskie stosunki i brałem się wnet do roboty przychylania ku nim nieba; gdy zaś zbliżeni okazywali się wielce dalekimi i za przychylanie ku nim nieba porządnego klapsa po ręku mnie dawali, wyrzekałem na rozczarowanie swoje i ludzką niewdzięczność. Niesłusznie. Sam sobie powinienem był wyrzucać, że dobrego pociągu do bliźnich nie zaprawiłem szczyptą ogłędności i że siedzącemu we mnie Donkiszotowi nie dałem na giermka pospolitego, ale zdrowego rozsądku. W ogólności, cnoty i idee, jakkolwiek niewątpliwie organiczną część istoty ludzkiéj stanowią, dopóty świetlanemi i niepokalanemi pozostają, dopóki w krąg działań ludzkich nie wejdą. Marzenia młodzieńca o przyszłych jego czynach, takie do samych czynów mają najczęściéj podobieństwo, jak nauka Sakia Muniego, do przedstawiać i urzeczywistniać ją mającego Lamy z tybetańskiego klasztoru. Ze wspaniałości owych marzeń i owéj nauki pozostaje wprawdzie cóś, jakiś cień chwiejny i ruchy olbrzyma naśladujący, jakieś błędne, świetliste kółka, do okruch rozbitego słońca podobne. To téż nieraz myślałem sobie, że aby ujrzéć doskonałego człowieka, trzeba go złożyć z oderwanych od ich całości zalet mnóstwa ludzi, i aby posiąść ideał, trzeba go sobie ulepić z drobnych jego urzeczywistnień, na ogromnych przestrzeniach miejsca i czasu rozproszonych...

....To, że wszystkie swoje własne błędy i głupstwa jasno przed

sobą widzę, pokuty za nie lżejszą mi nie czyni. Słyszałem nieraz pytanie: które z nieszczęść jest sroższém: to, które spadło na nas jak dachówka z gzymsu, czy to, któreśmy sobie jaknajstaranniéj własnemi rękami ulepili? Zastanawiając się nad tém, doszedłem do przekonania, że za najnieszczęśliwszego z ludzi uważać należy Jerzego Daudin, ilekroć naturalnie posiada on dość rozsądku i moralnego zmysłu, aby umiéć powiedziéć sobie: „sam tego chciałem!“ Człowiek, zraniony spadłą na niego dachówką, patetycznie załamuje dłonie i głośno, jawnie, ziemi i niebu o bólu swoim opowiada, co sprawia mu znaczną ulgę; Jerzy Dyndała, jeżeli obłudnikiem, ani ostatnim łotrem nie jest, pokornie nos spuszcza i truje się milczącą świadomością własnéj omyłki lub winy. Niewinność, jako rzecz pochlebna, przynosi chlubę, która dla wielu ran dość głębokich nawet jest niezłą maścią gojącą; uznanie własnéj winy, to pieprz i ocet srogiego dla wielu natur poniżenia przed samym sobą. W pierwszym wypadku, więcéj być musi żalu do przeznaczenia lub ludzi, ale w zamian więcéj zadowolenia z samego siebie; w drugim, rozsądny człowiek przychodzi do wniosku, że zawiódłszy się na samym sobie, nie ma dobréj racyi ufać innym, ani wymagać od innych tego, na co jemu samemu nie stało. Rdzeniem rzeczy zaś jest to, że każdego z żyjących oba te wypadki spotykać muszą. Spotykały i mnie, ale pod tym względem, jak pod każdym innym, za wyjątek siebie nie uważam i to mnie właśnie martwi. Wiem o tém bardzo dobrze, że moja historya jest jednym z rozdziałów historyi powszechnéj, wcale nie najsmutniejszym i w téj wiadomości nie znajduję dla siebie nic pocieszającego, bo wstrętną mi jest teorya zmniejszania własnych cierpień, przez widok równego, albo i większego cierpienia innych. Piękna mnie pociecha kąpać się, wraz z miliardem podobnych sobie istot, w powszechném gorzkiém morzu! Przeciwnie, gdybym w falach jego zanurzony widział wesołe towarzystwa, mile przechadzające się po hesperyjskich ogrodach, cieszyłbym się ich widokiem, chętnie zgadzałbym się w ich zastępstwie pić gorzkie wody, a może też moje niepozbyte, wiekuiste *ja* miałoby odrobinę nadziei, że samo także zerwie kiedykolwiek złote jabłko, nie to, to tamto. Ale zbiorowa nędza nasza kołace w mojém wnętrzu, jak serce dzwonu w jego kielichu, nie pozwalając ustalić się w niém nawet ciszy. Mógłbym wyrzec się za siebie, nie umiem wyrzekać się za innych, ani na widok umierających, płaczących, błądzących, głodnych, cieszyć się tém, że ja jeszcze nie umarłem, że ja nie tak gorzko płaczę, że ja nie tak bez ratunku zabłądziłem, że ja nie głodny... Na suche lasy z pociechą taką!

....Pociechę znajdować mógłbym w myśli, że bądź co bądź przez niezmiernie powoli i wahadłowo postępujące, lecz niezaprzeczenie

prawdziwe oddziaływanie człowieka na naturę i siebie samego, suma zła zmniejszać się, a dobra wzrastać może,—mylę się,—tamta zmniejszeniu, a ta zwiększeniu uległa. Tak, to prawda, postępowi zaprzeczyć niepodobna. Ani natura dla człowieka tak groźną i jałową, ani sam człowiek tak nieszczęśliwym i okrutnym nie jest, jak to było w zaraniu jego żywota na ziemi. Nie lękamy się już własnego cienia i odbicia własnego oblicza lub głosu w wodzie lub echu; jeden na drugiego patrząc nie myślimy o tém, jak smacznémi kąskami mogłyby być nasze upieczone nosy; nie zarzynamy ludzi na ofiarę bogom, ani ich ciałami ryb w sadzawkach nie tuczymy. Wprawdzie, z ich trupów układamy jeszcze pomosty do sławy, ale ilekroć sprobujemy czynić to dla pieniędzy — idziemy na szubienicę. W poznaniu prawdy, pełnieniu dobra i używaniu piękna zaszło wiele odkryć, ulepszeń i wysubtelnień, a te kręgi światła, bardzo długo stanowiące nimby dla głów nielicznych wybrańców, rozszerzają coraz swoje orbity i końcami swoich promieni sięgają coraz daléj. Ach, jaśniéj zrobiło mnie się przed oczami! Z nóg mi spadają ciężkie kule, z gardła ustępuje pieprz! Nadziejo, słodycz i skrzydła twoje uczuwam! Jeżeli spełnienie się téj nadziei pracą przybliżyć można, do pracy! do pracy! jeżeli męką, budujcie i zapalajcie stos, niech nań wstąpię!

....Dobrze. A ci, którzy przeszli, te niezliczone mnóstwa, które na wieki minęły, nasyciwszy się męczarniami nam już nieznanemi, nie skosztowawszy nam znanych rozkoszy? Z tego, cośmy zdobyli, im nic już nie przybędzie, ani to, czegośmy się pozbyli, brzemion przez nich przeniesionych, o jeden atom nie umniejszy. Gdyby jęki samych tylko niewolników, przez świat starożytny biczowanych, zlały się w jeden krzyk, a blaski samych tylko męczeńskich stosów, przez świat średniowieczny zapalanych, stały się jednym blaskiem, ogłuchłaby od pierwszego, a od drugiego oślepła, cała dzisiejsza ludzkość. Są to przecież tylko dwa gatunki tego smacznego wina, którém niezliczone mnóstwa upajały się, nim do grobów poszły, a wyliczenie wszystkich zapełniłoby grube tomy. I my nic już przeciw temu nie możemy. Pośród nabytków naszych, nie ma ani źdźbła maści do gojenia ran i ani szmatki tkaniny do otarcia łez — zmarłym. Za wcześnie otrzymali oni życie, aby użyć tego nawet wątpliwego bezpieczeństwa i tych zatrutych słodyczy, jakie życie dla nas wydało. Nie z ich woli stało się to przecież, nie oni wyznaczali termin urodzin swoich. Więc, gdzież sprawiedliwość? Zasiew uczucia i pojęcia sprawiedliwości, w ludzkiéj swojéj naturze na świat przyniosłem, wszystko co mnie człowiekiem uspołecznionym czyniło, do wysokiéj potęgi je podniosło, tak, że za niepodobną do naprawienia i pocieszenia przeszłość czuję obrazę ciężką i w pełni radować

się polepszeniem bytu potomków, w obec otchłani nędz, która pożarła przodków, nie mogę. Czémże tamci zasłużyli na swój los okrutny, a ci na łagodniejszy? Ależ owszem, nabytki tych są właśnie zasługą tamtych. Widzę obraz olbrzymiéj pracowni, w któréj ze zgruchotanych kości i udręczonych duchów jednych pokoleń, wypieka się chléb i wyciska wino dla następnych. Gdzież sprawiedliwość? Z rozkazu natury one same tego pragnęły, aby dla przyszłych pokoleń z ich mąk powstawało szczęście, z ich śmierci życie. To prawda. Jednak, ja także namiętnie pragnę szczęścia pokoleń, choćby oddalonych, a zarazem czuję, że jakieś cóś wkręca się pomiędzy mnie a przyszłość mojego rodu i na usta mi kładnie gorzkie pytanie: a dla czegóż ja nie urodziłem się już w Edenie. Z oburzeniem pytanie to z ust swoich precz zrzucam, ale nie mogę wyrzucić z myśli innego: dlaczego ci, których kocham, a nawet obojętniejsi, lecz zawsze od następców bliżsi współcześnicy moi nie urodzili się już w Edenie — jeżeli kiedykolwiek będzie Eden? Nie proszono nas, abyśmy datę naszych narodzin wyznaczali i żałujemy bardzo, że z jakiegoś niewiadomego wora wysypano nas na świat wtedy, gdy jeszcze nie jest na nim najlepiéj, jak być może!

.....Jeżeli kiedykolwiek będzie Eden? Jeżeli jest jakakolwiek rachuba nieomylna? Dwa a dwa cztery, pewnik nieomylny, powiecie. Tak, ale to pierwszy wyraz rachuku ludzkiego. Sprobujcie zliczyć wszystkie sekundy, przez które wszystkie znane ciała niebieskie dokonywają swoich obiegów i połączcie je z témi, przez które ich światła dobiegają ziemi, a potém przysięgnijcie, żeście w tym kolosalnym rachunku nie popełnili żadnéj omyłki. Z tém zaś tylko i tylko w pewnéj mierze, nie z dwa a dwa cztery, porównaną być może plątanina dziejowych zdarzeń i musów, która ludzkie wyrachowania i na nich oparte nadzieje psuje i zawodzi. Czy Marek Aureliusz, ten najdoskonaléj uspołeczniony człowiek, przewidział na tronie swoim dzikiego Alaryka? Jakiémże byłoby zadziwienie Lukrecyusza, gdyby mu ktoś w perspektywie przyszłości ukazał scholastę, wyskrobującego z pergaminu jego poemat o naturze rzeczy, aby go zastąpić swoją rozprawą o ilości aniołów, na główce szpilki zmieścić się mogących. Badacze, spostrzegający nieznane dotąd zjawisko, lub znajdujący nowe dla cierpień ludzkich lekarstwo, radują się, tryumfują; nie wiedzą, że w bliższéj, lub dalszéj przyszłości ktoś przyjdzie i dowiedzie, że to zjawisko było złudzeniem, a to lekarstwo trucizną. Gdyby z każdéj zdobytéj myśli i dokonanéj pracy, pasma odpowiednich następstw, aż do wyczerpania swego, wysnuwały się bez przeszkód i niespodzianek, świat mógłby stać się przybytkiem moralnego dobra, tak jakby stał się rajem nasycenia, gdyby wszystkie nasiona w ziemię

rzucane plon wydawały. Jednak rolnik sieje nietylko dla siebie, lecz jeszcze dla ziemnéj glisty, szarańczy, mrozu i gradowéj chmury. Siew myślicieli, wieszczów, bohatérów zjada wewnętrzne robactwo człowieka: głupota, występek, szał, i niweczą go burze dziejowe, które tę mają właściwość, że choć odzywają się coraz bliższym grzmotem, nikt bliskości ich nie spostrzega, ani domyśla się ich potęgi. Żadna z minionych cywilizacyi nie runęła nagle i każdéj starczyłoby sił i czasu, aby nadlatujący tuman odeprzéć, gdyby przenikała, że on ją pod sobą zagrzebie. Ale nie, społeczeństwa bawią się jaknajlepiéj wtedy właśnie, gdy dla ich dóbr najwyższych godzina zniszczenia wybija. Nic pospolitszego w dziejach, nad tańce na wulkanach i przedśmiertne orgie. Zkądże więc pewność, czy te zasiewy, które dokoła nas wcale nawet pięknie podrastają, nie staną się, jak tyle poprzednich, pastwą jakiéjś gradowéj chmury, jakiegoś gęstego tumanu, które już, już nadlatują, a my ich nie widzimy, lub widząc — lekceważymy? Zapewne, żaden zasiew nie ginie całkowicie, z tamtych zostały i z tego zostaną okruchy; lecz wielki Boże! czy słońce nie utraci wszystkiego ciepła swego, a jaki glob niebieski w spotkaniu z ziemią nie rozbije jéj wprzód—nim nieszczęsna Penelopa robotę swoję dokończy?

....Dość malowniczy zbieg dwóch zdarzeń historycznych, niegdyś dziecinną jeszcze wyobraźnią moję silnie uderzał. Kiedy Aleksander Macedoński podbił Persyą i dla oświetlenia orgii swojego zwycięskiego wojska, stolicę jéj zapalić rozkazał, patrząc na pożar starego Persepolis zawołał: zginęła Persya! Po setkach lat, rzymski zdobywca dla zwycięskiego swego wojska igrzyska wydając, oświetlał je pożarem góry, ułożonéj z broni pobitych Macedończyków i wołał: „Zginęła Macedonia!“ Ilekroć o dwóch tych pożarach, setkami lat z sobą rozdzielonych, myślałem, widziałem dwie łuny, ognistemi zgłoskami na niebie ludzkości kreślące: *Sic transit...*

....Tak przemija... Filozoficzna maksyma dodaje: chwała tego świata; każdy ziemski wędrowiec dodać może: wszystko. Kiedy oglądam się na własną przeszłość, widzę obraz drogi, zaludnionéj mnóstwem cieniów ludzi i rzeczy. Są tam postacie, które towarzyszyły mi u jéj początku, w pogodny poranek wiosenny, inne spotykałem przy skwarném słońcu, pod chmurami, wśród kwiatów, na ostrych kamieniach. Z tamtémi szedłem długo, z témi godzinę lub chwilę, tamte jeszcze rozminęły się tylko ze mną, lecz u każdéj uczepioną pozostała cząstka mojéj duszy: kropla przyjaźni, iskra sympatyi, chwila nadziei, boleści, zabawy, trochę lub dużo żalu, stałe lub lotne wspomnienie. Teraz widuję tylko ich cienie, gdy się za siebie obejrzę. Jedni poszli na inne, oddalone drogi; drudzy, jak krety, wsunęli się pod ziemię, zostawiając po sobie tylko nieco nad poziom wystające grudki ziemi;

innych, choć jak dawniéj obok mnie postępują, czas, lub rozwój mego własnego poznania tak odmienił, że w żaden sposób mniemać nie mogę, aby byli tymi samymi, z którymi szedłem niegdyś. Oprócz tych cieniów przeminionych dla mnie ludzi, na przebytéj drodze widzę jeszcze odbicia ponikłych obrazów. Ściany i pola, wody i drzewa, gniazda ludzkie i widoki natury, na których przez długie lub krótsze, ale pamiętne szeregi lat, lub chwil, wzrok zatrzymywałem, pośród których przeżyłem najwznioślejsze uniesienia i najgłębsze cisze, szlachetne godziny pracy i dręczące dni boleści, istniejecie kędyś i trwalsze od ludzi istnieć będziecie długo, ale nie dla mnie, bo ja was nigdy nie zobaczę. *Sic transit....*

....Co właściwie czuję, gdy pogrążam się w odmęcie tych ciemnych myśli? Gniew przeciw przeznaczeniom? pogardę dla ludzi? żal nad własnym losem? Nie, żadnego z tych uczuć nie odkrywam w sobie. Gniewać się na to coś olbrzymie, niepojęte, które skreśliło ogólny plan świata, nadało mu stałe prawa i bez uwagi na jednostki, nawet zbiorowe, do jakichś olbrzymich, niepojętych mi celów dąży, byłoby niedorzecznością, któréj nie popełniam. Miotać się przeciw niewiadomemu, kamienie ciskać w obłoki, szaleniec tylko może. Owszem, jedyną jeszcze dostępną mi pociechę czerpię w przypuszczeniu, że może jestem jedném z niezliczonych narzędzi, przez które buduje się coś doskonałego, jedną drobniutką cząstką dążenia, ku rozumnemu, niezmiernemu jakiemuś celowi. Gdybym to przypuszczenie w pewność mógł zamienić, byłbym szczęśliwym. Pogardzać ludźmi, rzecz śmieszna! Sam przecież jestem człowiekiem i patentu na najlepszość nie otrzymałem od nikogo. Co do własnego losu, cóżem to za figura, jaką tak wielką wyższość nad cierpiącym gatunkiem moim posiadam, abym miał przestrzeń rozdziérać jękami, dla tego, że także cierpię? Nie, ani gniewu, ani pogardy, ani żalu nad samym sobą nie czuję, tylko, ze wszystkiego com zgłębił i czegom przeniknąć nie zdołał, z tego com doznał i czegom nie zaznał, z dziejów świata i z maluczkości ludzkiéj woli, z nędz ludzkich i z moich zawodów, wybuchają tak gęste, ckliwe, dławiące opary melancholii i tak mnie całego ogarniają, że chwilami wydaje mi się, iż w nich tracę życie.

....Utracić życie, pozbyć się go... nieraz już o tém myślałem, ale powstrzymywało mnie zapytanie: co z tego wyniknie? Sam tylko otrząsnę się z niewygodnéj sukni, a więcéj nic, najzupełniéj nic nie sprawię, nie zbawię, nie naprawię. Pocóż więc? Dla siebie tylko, szkoda fatygi! Chociaż, kto wié, kilka kropel jeszcze z téj czary melancholii, z któréj oddawna pić nawykłem...“

Tu, wielki krzyk, z mnóstwa na raz piersi wychodzący, wyrwał go z odmętu myśli i zmusił do rozejrzenia się wokoło. Natychmiast zrozumiał co było przyczyną przerażenia zgromadzonych na brzegu rzeki ludzi. Przedtém, wzrok jego, bez udziału jego woli i wiedzy przesuwając się po błękitnym szlaku rzeki, spostrzegał na nim pospolite, lecz wdzięczne zjawisko. Było to czółenko małe, lekkie, w którém, z wiosłem w ręku i zaledwie niém wodę muskając, stało nie zupełnie jeszcze dorosłe chłopię, którego jednak postać już wysmukła i gibka, powabnemi zarysy odcinała się od pozłoconego błękitu powietrza, a twarz wśród złotych włosów i świéża jak jutrzenka, przedstawiała wyraz doskonałéj, niewinnéj radości. Ze swawolą dziecka, a siłą młodzieńca, popisywał się on przed widzami ścisłém przymierzem, łączącém go z płynnym, kapryśnym i niebezpiecznym żywiołem, po którego powierzchni igrał jak jaskółka. Widzami były same kobiéty, żony i matki rybaków, w rozsianych niedaleko chatach osiadłych, a to pacholę wesołe i śmiałe, było krwią z ich krwi i kością z ich kości, bo dzieckiem jednéj z nich, a ulubieńcem wszystkich. Jedna téż z nich, u saméj wody siedząca, często rękę z wrzecionem w dół opuszczała, a drugą naprzód wyciągając ze śmiechem, przed którym z twarzy jéj uciekały zmarszczki, wołała: „Patrzcie! patrzcie!“ Tamte patrzały i podziwiały: „Oto zuch!“ Młodziutkie zaś dziewczę, tak jak ów zuch rumiane, nakształt rybitwy porwało się z nad wody i klaszcząc w ręce brzegiem biegło, za niém stadem zerwały się, leciały i srebrem śmiechu przestrzeń napełniały jéj rówieśnice. Wtém, wszystkie te postacie znieruchomiały, jak wyprężone struny i ze wszystkich ich piersi wydarł się ów wielki, jednogłośny krzyk, który melancholika z odmętu ciemnych myśli wyrwał. Spojrzał na rzekę, spostrzegł czółenko dnem obrócone ku górze i z wolą fali pomykające daleko, a gdzieindziéj kołującą, wzburzoną, rozgniewaną wodę. Zrozumiał, z szybkością myśli, do upragnionego celu lecącéj, zwierzchnią swą odzież na piasek wybrzeża rzucił i ku owemu rozgniewanemu punktowi rzeki już płynął. Czy był dobrym pływakiem, czy dość młodości i sił posiadał, aby uniknąć podstępów wody, które tamtego w nurty jéj porwały, nikt z patrzących nie wiedział, ale grobowa cisza zapanowała na brzegu, gdy pod falą zniknął, a w ogromne westchnienie przemieniła się wtedy, gdy znowu ukazał się nad nią, wlokąc za sobą ciężar, z którego widać tylko było, mieniące się z błękitem wody złote smugi włosów. Nie; pływakiem bardzo biegłym i wprawnym on nie jest, bo żony i matki tych, dla których woda tajemnic nie ma, z drżeniem spostrzegają, że choć połowę ledwie drogi swojéj przebył, ręce jego pracują z wysiłkiem i pierś coraz szybciéj, mozolniéj powietrze chwyta.

Może zagrożonemu zginięciem nic nie pomógłszy, zginie sam? Może im obu w porę przybędzie pomoc, bo już rzeką, z całych sił rąk i wioseł popychane, z téj i tamtéj strony lecą czółna, a brzegiem, z chat najbliższych i pól sąsiednich biegną, pędzą ludzie. Ale on, ów śmiertelnie na wodzie pracujący człowiek, ma wolę, która siłom wyczerpać się nie pozwala. Spoczywa chwilę, potém płynie znowu, już, już ma zdrętwiéć i znowu zapał krew mu rozgrzewa, już razem ze swoim ciężarem spływa pod falę i raz jeszcze uparty, zawzięty z pod niéj się wydobywa, aż zwycięski na brzeg wyskakuje i omdlałe pacholę u stóp oszalałéj zda się kobiéty składa. Oszalała bólem, zmieszanym z niepewną radością, osypuje je ona siwemi włosami i łzami, a dokoła przybywa, ciśnie się, gwarzy tłum, aż go roztrąca silne ramię starego, lecz ogromnego człowieka, który z ponurą iskrą w oczach, komuś, kogo tłum najściśléj zasłania, krótkie, chrypiące zadaje pytanie: „Czy będzie żył?“ Dość długo odpowiedzi niema, bo umysł lekarza tak jest przez czyn pochłoniętym, że na słowo zdobyć się nie może. Potém, z długiém westchnieniem ulgi, tłum zaszeptał: „żyje!“

Wtedy człowiek, po przeniesionym trudzie na brzegu spoczywający, uczuł, że do kolan jego lgną jakieś usta wdzięcznością pijane i ujrzał siwe włosy, jak róże tryumfu, rozsypujące się mu u stóp. Na rękach jego spoczęło mnóstwo pocałunków i w mnóstwie wlepionych weń oczu wyczytał błogosławieństwo. Ale z pomiędzy tłumu innych, wyszedł jeden człowiek, stary lecz silny, ponury, lecz wezbraném uczuciem gorejący, wyciągnął do niego dłoń szeroką, twardą, grubą, w któréj mocno rękę jego zawarł i nie powiedział nic; tylko mu w twarz patrzał głęboko i tak długo, aż z ponurych oczu pociekła mu łza, jedna tylko, wielka i niema.

Znowu szedł wzdłuż rzeki, na pozór ten sam co wprzódy, lecz bardzo zmieniony. Całą jego istotę przenikała wielka słodycz i zadowolenie tak doskonałe, że źródła jego poszukiwać nie chciał i nie mógł. Długo nie myślał wcale, tylko cały był uczuciem radości i wdzięczności. Zmysły jego, z niewypowiedzianą rozkoszą kąpały się w widokach natury, któremi, jak złudzeniami, przed chwilą gardził. Czuł ciszę i ciepło pogody, szczebiot szczygłów wśród drzew wydawał się mu wdzięcznym, a wesołém, figlarném, wołanie kukułki za rzeką; starą wierzbę ze zwisającemi w dół gałęźmi porównywał do zawieszonego w powietrzu i ku wodzie spływającego strumienia rostopionego srebra. Czuł się lekkim, sprężystym, zachwyconym, szczęśli-

wym — z każdém szerokiém i swobodném odetchnięciem, z każdym obiegiem krwi w żyłach, czuł nowy strumień ciepła i energii.

Zanadto jednak przywykł wszystko, co czuł i spostrzegał, rozbiorowi rozumu poddawać, aby mógł długo, bezwiednie i bezmyślnie znosić stan nawet najrozkoszniejszy. Wkrótce więc znowu zanurzył się w myślach.

„....Piękną i wielką jest miłość téj matki i wdzięczność tych ludzi, ale najbardziéj wzrusza mnie i zachwyca ta jedna łza. Bo któżby się spodziéwał, aby w tém potężnie rozrosłém cielsku, istniało coś więcéj nad mięśnie, przez zjadany chléb odtwarzane, i troskę o chléb? Kości i muskuły jego, wśród trosk i trudów cielesnych, tak potężnie się rozrosły, iż łatwobym mniemał, że same jedne go stanowią. Tymczasem, patrzcie, on kocha, a to jedno ogniwo uczucia wywołuje do bytu inne. Wszystko to przecież jestże tym ideałem nieskazitelnym i wiecznotrwałym, którego pragnieniem płonąłem w młodości i którego nieznalezienie w odmęt melancholii rzuciło mój wiek dojrzały? Wcale nie; czas je osłabić, interes niemi zachwiać może, śmierć najpewniéj kres im położyć musi. Mniejsza o to; te okruchy ideału osłabną, zachwieją się, przeminą, ale były i dopóki ludzkość trwać będzie, na różnych punktach czasu i miejsca odradzać się nie przestaną. Znalazłszy się pośród zjawisk, znikomych i skazitelnych, ale naturze mojéj pokrewnych, doznałem takiego uczucia, jakbym odetchnął powietrzem dawno opuszczonéj, albo i wcale nie znanéj, lecz ukochanéj i uwielbionéj ojczyzny...

....Sam także przez chwilę wcielałem w siebie to, za czém tęsknota mnie trawiła. Doskonale, absolutnie pozbyłem się choć na chwilę swojego *ja*, do tego stopnia uczułem się jedną z komórek, składających organizm swojego rodu, że dla jego pożytku, gotów byłem samego siebie utracić. To mnie nieco większym, przedewszystkiém lepszym uczyniło w oczach własnych. Niezmiernie ułomny jestem, lecz dobrym być mogę, popełniałem błędy, lecz mogę dopełniać cnót — więc, w górę czoło!

....Cnota? cóż to? Mamże bezmyślnie pić jéj balsamy, nie dociekając jéj istoty? Nie... Wiem już: to dopełnione prawo natury, która pomiędzy mną a moim rodem, ku jego i mojéj korzyści, zadzierzgnęła nici sympatyi i współczucia. Rzecz prosta: gdyby ludzie na każdym kroku i zawsze szkodzili sobie wzajem, gatunek ich z niezmierną szybkością musiałby zmaléć lub zginąć. Gdyby znowu, bez wyjątku i przestanku, pełnili czynność wzajemnego wspierania się i wzmacniania, ludzkość olbrzymiemi kroki dążyłaby do olbrzymiéj pomyślności. Ani tak, ani tak się nie dzieje; chwiejności ludzkich stosunków pomiędzy

samolubstwem a współczuciem, instynktem samozachowawczym cząstek i całości, w znacznéj mierze przypisać wypada chwiejność postępu ludzkości. Gdy jednak cząstka spełnia czynność sprzyjającą pomyślnemu rozwojowi swojéj całości, czyni zadość prawu natury, wypisanemu w niéj zgłoskami własnych jéj skłonności, a otrzymuje w zamian zadowolenie, towarzyszące pełnemu i swobodnemu używaniu otrzymanych od natury organów, bądź fizycznych, bądź moralnych.

....W téj ścisłéj łączności, wiążącéj mnie z moim rodem i w téj sympatyi, którą dla niego uczuwam, spostrzegam też najgłębszą i zapewne najstalszą podstawę moralności. Mogę zwątpić o tém, że ktoś z wysoka postępki moje widzi i waży; mogę nie wierzyć, abym za nie, tu lub gdzieindziéj, dziś lub kiedykolwiek, jakąkolwiek otrzymał nagrodę; mogę nawet w niezmiernem powikłaniu sprzecznych wypadków, obyczajów, pojęć, nie wiedziéć, po któréj stronie znajduje się prawda i powinność, ale zawsze pewnym być muszę, że istoty mnie podobne, zdolne są tak jak ja cierpiéć, upadać, marniéć, albo radować się, zwyciężać, wzrastać, że pierwsze przynosi im mękę i ujmę, a drugie rozkosz i korzyść, że więc ilekroć pierwsze umniejszę, a drugich przysporzę, uczynię dobrze, w mniejszéj lub większéj mierze, na drobnym punkcie miejsca i czasu urzeczywistnię ideał dobra. Wszelkiemu zaprzeczeniu, któreby tę wiarę moję spotkało, odpowiedziéć mogę: wiem jak cierpienie dolega, jak walka nuży i jak poniża upadek.... Człowiekiem jestem.

....Minęło, i to jak wszystko minęło. Kilka cieniów ludzkich i jeden znikły obraz więcéj na przebywanéj drodze, za mną. Jednak czuję, że posiadania téj chwili we wspomnieniu nie oddałbym za nic i nawet, że myliłem się mniemając, iż ją za sobą pozostawiłem. Idealny jéj obraz towarzyszy mi i teraz, wiem także, że jak tarczą, nim się niejednokrotnie osłonię przeciw nacierającym na mnie odmętom melancholii. Więc poniekąd, przemijanie rzeczy, nie ich trwałość, jest właśnie złudzeniem człowieka, bo to co minęło, trwa w duchu ludzkim pod postacią słodyczy lub trucizny, pociechy lub zgryzoty, więc zapewne i w ogólnéj sumie ludzkiego ducha pozostaje przelaną do niéj kroplą dobra, lub zła.

....Ale co tam! Dość myśléć! Chcę patrzéć na piękną naturę i poić się jéj czarem, choć nie wiem wcale, jak ona wygląda po za sferą zmysłów moich! Chcę cieszyć się, że od zgaśnięcia uratowałem jedno młode życie, choć wiem, że nie będzie ono ani doskonale szczęśliwém ani całkowicie dla szczęścia świata pomyślném. Chcę pocieszać się dostrzeżonemi okruchami ideału, choć wiem, że są one drobne i znikome.

Chcę czerpać siłę z minionéj chwili, choć ona minęła. Chcę żyć, pocieszać, wspomagać, ratować... Do pracy! do pracy!...“

Cóż to? Czy był on szaleńcem, noszącym w głowie mnóstwo sprzecznych myśli, które go pogrążały w otchłań melancholii, to naprzemian napełniały radością i zapałem? Nie; szaleńcem nie był. Był jednym z tych, których melancholia zamienić się może w szczęście, przez pełny i swobodny rozwój energii, skierowanéj ku czynom miłości.

El. Orzeszkowa.





ALOIZY ŻÓŁKOWSKI.

SZTUKA I SCENA.

Po raz pierwszy występując w „Ateneum“ na skutek wezwania, które za niepośledni honor uważam, występując przytém z wspomnieniem o świeżo zmarłym wielkim i niezmiernie popularnym aktorze, winienem odpowiedzieć pokrótce na trzy pytania: Dla czego zajmujemy się sztuką? Dla czego zajmujemy się teatrem? Dla czego podajemy wspomnienia o Żółkowskim? Nie lekceważymy wcale zarzutu, jaki ktokolwiek może nam postawić, że tyle jest rzeczy bezpośrednio pożytecznych, tyle kwestyi ważnych, nawet niekiedy palących, których rozwiązywania a przynajmniéj rozjaśniania czytelnicy wyczekują, które zatém są pilniejszemi, aniżeli sztuka, teatr, Żółkowski. Ze względu na podobne zarzuty, stawiliśmy sobie owe na początku zaznaczone pytania. Na dwa pierwsze odpowiadamy krótko i od razu, na trzecie odpowiedzią będzie cały ten artykuł. Odpowiedzi te będą naszém usprawiedliwieniem i może zdołają nas usprawiedliwić.

Sztuką w ogóle zajmujemy się dla tego, że widzimy w niéj bardzo ważny pierwiastek etyczny, że poczucie i uczucie piękna niemało się przyczynia do wyrobienia uczucia moralnego. Przepraszamy za naszą błahą erudycyą, ale nadużywać jéj nie będziemy,—przepraszamy za tę cytatę z Platona: „Istota dobrego ominęła nas, ale się zlała z istotą piękna.“

Może dziś nie jest zupełnie tak, jak twierdzi wielki Grek, ale najnowsza nawet szkoła filozoficzna powoli coraz więcéj uznaje etyczną potęgę poczucia piękna, o którego wpływie tak się jeden z wyznawców téj szkoły wyraża: „Jedynie uczucie estetyczne jest zdolne przez żyjącą intuicyą piękna złagodzić to, co w moralności faktów jest suchego i zimnego. Człowiek nie jest wyłącznie taksatorem interesów, obliczającym je za pomocą buchalteryi podwójnéj na sposób Benthama; nie

jest także istotą zajętą jedynie kwestyą utrzymania życia. Jest to istota rozpatrująca się w koło siebie, badająca i podziwiająca...“

„Poczucie typu moralnego — czytamy w inném miejscu tego traktatu, — które z wspomnieniem przeszłych ewolucyi łączy przeczucie ewolucyi przyszłéj, zlewa się z poczuciem piękności moralnéj. Nie chodzi tu o maksymę postępowania oderwanego, abstrakcyjnego, ale o maksymę pojętą jako żyjącą wolę indywidualną, która się stała charakterem, wyrażającą jednocześnie rodzaj, do jakiego ten charakter należy. Bywają maksymy wilcze lub tygrysie, bywają maksymy ludzkie. Kant trzyma się „nakazującéj“ (*imperativ*) formy prawa, nie widzi tegoż prawa przekonywającéj piękności; jednak wprzód zostaliśmy przekonani przez cel tego prawa, a dopiéro następnie uznajemy się za obowiązanych niém...“

„Nietylko czyn moralny może w oczach naszych urzeczywistnić typ normalny rodzaju człowieczego, co mu nadaje cechę piękna, ale może nawet, przynajmniéj z pozoru, rozlać się szerzéj i przewyższyć ludzkość jegoczesną, urzeczywistnić ideał tak powszechny, że nam się zdaje nadludzkim. Zdarzają się czyny poświęcenia i miłości, wskazujące duszę pracującą dla celów wyższych, aniżeli pospolicie ludzkie, pracującą dla społeczeństwa powszechnego, bez względu na czasy, miejsca, formy i odmiany gatunków. Czyn tego rodzaju zyskuje w naszych oczach wartość nieskończoną, w obec któréj wszystko ustaje, wszystko niknie. Otóż czyn, przez który dana indywidualność poświęca się bezwarunkowo dla celu powszechnego, wywołuje także w nas uczucie estetyczne, uczucie szczytności...“

„Ludzie więc, tak w porządku moralnym, jak w porządku fizycznym, zawsze rozróżniać będą między pięknością, właściwie tak nazywaną, a pomiędzy szczytnością. Piękność jest porządkiem określonym, jest to wola, w ład i ścisłość ujęta; szczytność to najwyższa wielkość woli, która, poświęcając siebie dla jakiéjś idei powszechnéj, daje nam tém samém poczucie nieskończoności... Jeżeli czyn szlachetny i bohaterski przewyższa wszystko, na co nasze siły mogłyby się zdobyć, doznajemy uczucia podobnego temu, jakie wzbudza nieprzejrzana przestrzeń morza, góry niebotyczne lub firmament. Jesteśmy jednocześnie w naszych oczach upokorzeni obcą wielkością, a zarazem podniesieni przez poczucie sympatyczne téj wielkości, któréj zarody w sercu nosimy. Im potęga rozwijana w bohaterskich czynach zdaje się bliższą temu, czém byłaby absolutna i wszechwładna potęga nazywana wolnością, tém szczytniejszą wydaje się nam wola ludzka, bez względu na wszelkie metafizyczne teorye o jéj zakrytéj nam istocie...“

„Ale tak w porządku umysłowym, jak w porządku fizycznym,

spotykamy jeszcze rzecz piękniejszą aniżeli piękność, a w niektórych razach szczytniejszą aniżeli szczytność, tą rzeczą jest wdzięk, — wdzięk pod dwoma formami: niewinności i dobroci. Pierwsza z nich jego jutrzenką dobra, druga jego blaskiem. Bez względu na doktryny, jakie w przyszłości wezmą górę, czyż można wyobrazić sobie, że ludzkość stanie się nieczułą na wdzięk niewinności w dziecku, na tę samorzutność życia, dążącego do rozszerzenia się, do oddania siebie, nie świadomą jeszcze twardych wymagań istnienia i walki egoizmów... Na drugim znów krańcu życia, gdy niewinność a nawet sama cnota ustąpiły czemuś jeszcze piękniejszemu, gdy dobroć stała się drugą naturą, kiedy źródło wewnętrzne stało się tak obfitém, iż się rozlewa bez trudu; ten rozlew miłości przybiera tém samém charakter wdzięku...“

„Człowiek cnotliwy jest artystą, który pracuje nad sobą, zamiast pracować nad materyą zewnętrzną; jest wzorem piękności, który się urzeczywistnia przez samo pojęcie siebie; jest posągiem, który się rzeźbi sam, pojmując siebie pięknym; jest harmonią, która naprawdę jako ideał w myśli istnieje, przez to samo zdobywa sobie rzeczywistość i odbrzmiewa wewnętrznemi akordami...“

„Dlatego, oprócz Darwina wyboru przyrodzonego i płciowego, przypuszczamy jeszcze wybór społeczny, którego wpływ, naszém zdaniem, będzie wzrastał ciągle. Widzieliśmy, że wybór płciowy w rozmaitych gatunkach pracuje nad wyłączeniem szpetności i ułomności fizycznych; wybór społeczny pracować będzie nad wyłączeniem szpetności i ułomności psychologicznych. Ta siła wyboru jest dla moralności ekwiwalentem niezmiernéj wagi. Co więcéj, pomiędzy osobnikiem a społeczeństwem istnieć będzie zawsze rodzaj działania i oddziaływania mechanicznego, które dążyć będzie do zupełnego kojarzenia się piękności wewnętrznéj i osobistéj z poczuciem użyteczności społecznéj... Spencer, zachodząc jeszcze daléj, przypuszcza, że piękność fizyczna rysów i piękność duchowa dążyć będą postępowo do zupełnego zespolenia. Powszechnie panuje instynktowa wiara, która dotąd przetrzymała wszelakie zaprzeczenia, że pomiędzy przeważającemi rysami fizycznemi a moralnemi istnieje pewien mniéj lub więcéj odległy związek. Według Spencera wyraz jest to twarz w działaniu; otóż wyraz ma pewne znaczenie, forma więc, jaką powoli nadaje rysom, musi miéć także znaczenie...“

Tę stronę czysto społeczną piękna i sztuki wykazał bardzo dobitnie Guyau w jedném z swych dwóch wielkich dzieł pośmiertnych, noszącém tytuł „Sztuka z socyalnego punktu widzenia.“ Trzeba, by ludzkość znowu mogła zawołać: „Dobro wcieliło się w piękno i zamieszkało między nami.“ Według Guyau, wrażenie wywierane przez

sztukę jest wrażeniem socyalném. Sztuka przez uczucie ożywiająca wszystko, jest rozszerzeniem uspołecznienia do wszystkich istot w naturze, nawet do istności pojmowanych jako przewyższające naturę, nakoniec do istot stworzonych tylko przez imaginacyą ludzką. Następstwem wrażenia, jakie wywołuje, jest silniejszy rozwój życia indywidualnego, które za jéj pośrednictwem zlewa się z życiem szerszém i powszechném. Najwyższym celem sztuki jest wywołanie wrażeń estetycznych charakteru społecznego. Jeżeli widok boleści przedstawionéj np. w obrazie „Wdowa żołnierza" wzrusza nas, znaczy to, że jedna dusza została zrozumianą i przeniknioną przez inną duszą; pomimo fizycznych zapor nastąpił związek wspólności moralnéj pomiędzy geniuszem a boleścią, z którą on sympatyzuje, Istnieje więc tam związek, spółka dusz urzeczywistnioná, żyjąca przed naszémi oczyma, wzywająca nas do udziału, a do któréj faktycznie przystępujemy całą siłą myśli naszéj i serca... Czyż znane np. obrazy Grotgera lub inne nie wywierają na nas podobnego etycznego, to jest uszlachetniającego, umoralniającego i uspołeczniającego wrażenia.

„Wrażenia estetyczne, nawet najzupełniéj elementarne, najbliższe przyjemności czysto osobistéj, okalają jednak uczucie solidarnością organiczną, harmonią i spójnią wszystkich części naszéj istoty... Ale wrażeniem estetyczném najwyższém jest to, które nas porywa, i wynika z szerszéj solidarności społecznéj albo raczéj powszechnéj." Przyjemności nie mające nic nieosobistego, pisze Guyau, nie mają téż nic trwałego; przeciwnie przyjemność, którąby miała tylko charakter powszechny, byłaby wieczną. W negacyi egoizmu jedynie, w negacyi zgodnéj najzupełniéj z rozszerzaniem się życia, estetyka i moralność winny szukać tego, co nie zginie..."

Dość już tych cytat. Może ich nawet za wiele. Może spotka nas zarzut, że pomimo swéj uczciwéj treści, są one w formie swéj za ciężkie, za zbyt oderwane, za daleko sięgające, za mało przystępne dla umysłów nie nawykłych do tego rodzaju wywodów ogólnych, filozoficznemi zwanych, że zwłaszcza nie przystają do przedmiotu tak konkretnego, jak artykuł o aktorze, popularnym wprawdzie bardzo, ale tylko aktorze. Na te zarzuty pozwalamy sobie odpowiedzieć: że cytaty wybieraliśmy o ile się dało najprzystępniejsze, że staraliśmy się w nich o jasność jaknajwiększą, że może przeczytane raz i drugi przyniosą pewien pożytek, jednając u nas umysły, do téj pory obojętne, dla artystycznego piękna, dla estetycznego wykształcenia, sięgającego głębiéj aniżeli w ogóle sięgać zwykliśmy i nieograniczającego się na chwilowéj „czysto osobistéj" przyjemności. Według nas cytaty owe wskazują niezmierne znaczenie nietylko kształcące, ale i wychowawcze estetyki,

nietylko naukowe, ale i moralne. Są one zarazem protestacyą przeciw pewnemu rodzajowi literatury coraz bardziéj rozpowszechnianéj, w któréj brak zdrowia intelektualnego i moralnego, literatury pisarzy, którzy stracili czy tracą równowagę duchową, wyszukując w więzieniach lub szpitalach wyjątkowe, najjaskrawsze okazy zbrodniarzy lub neuropatów. „Prawdziwa piękność artystyczna jest zarazem moralizującą, bo jest wyrazem prawdziwéj społeczeństwości.“

Nie chcemy znowu wpadać w cytaty, ani rozszerzać téj odpowiedzi, poprzestajemy więc na tym aforyzmie. Nie będziemy wykazywać, ile szkód zrządziła i zrządza ciągle owa literatura, oparta wyłącznie na téj chorobliwéj i bolesnéj analizie, na tém udawaniu rozpacznego pesymizmu, na nieokiełznanéj niczém próżności i bałwochwalstwie siebie, na tém rozmiłowaniu w rzeczach ponurych, wstrętnych i przerażających, czém się dziś przed innémi odznacza literatura francuska, o któréj słusznie powiedział Guyau: „Do najważniejszych wad naszéj współczesnéj literatury wliczyć należy tę, iż coraz bardziéj zaludnia tę dziedzinę piekła, w któréj przebywają, wedle Dantego, ci, co całe życie swe przepłakali, mogąc być jednak rzeźkiéj myśli.“

Nie bez powodu téż pożyczaliśmy owe cytaty od poważniejszych przedstawicieli pozytywnéj szkoły filozoficznéj, na którą owa literatura tak się skwapliwie powoływać lubi, cytując teorye walki o byt, determinizmu, pesymizmu, potępienia ideału, jedyny cel widząca albo w ultra-poziomym utylitaryzmie, albo w rozbestwieniu użycia, w moralności nie chcąca widziéć żadnéj poezyi, któréj to poezyi wielkość a nawet społeczną ważność cytaty nasze wykazują.

To występujące teraz dążenie do nadawania większéj wagi estetycznym pojęciom i poczuciom, to ich wywyższenie przez łączność z etyką, zdaje się nam ważną w nowéj szkole ewolucyą. Może się mylimy, ale wygląda to jak zwrot ku owéj staréj helleńskiéj zasadzie łączności „piękna z dobrem“ (*Kalos kai agatos*), którą najwymowniéj wykładał Plato. Ta zasada nie jest zresztą wyłączną własnością Greków, spotykamy ją wszędzie, prawie bezwiedną, w formach językowych. Czyż w najzwyczajniejszéj potocznéj rozmowie zamiast branych z etyki wyrazów: „moralny,“ „uczciwy,“ „szlachetny,“ „zacny“ i t. p., nie używamy pożyczanych z estetyki wyrazów: „piękny,“ „wzniosły,“ „szczytny“ i t. p. Czyż z drugiéj strony w podobnyż sposób nie nazywamy szalbierza brudnym charakterem, jego działań brudami lub szpetotą moralną i t. p., jak byśmy chcieli powiedziéć, że wszystko, co jest uczciwém moralnie, jest zarazem estetycznie pięknem, wszelka zaś zdrożność, występek, wada charakteru, sprosność odstręcza nas brzydotą. Nie zagłębiamy się daléj.

Dlaczego jednak przyczepiliśmy te uwagi do teatru i do życia aktora? Dlatego, że teatr, który stał się już dość ważną dla naszego społeczeństwa potrzebą, stawać się będzie coraz ważniejszą w miarę postępu oświaty i kształcenia się naszego, że sztuka dramatyczna jest jedną ze sztuk dla ogółu najprzystępniejszych, bo działa bezpośrednio na tłumy, bo żadnych uprzednich przygotowań od publiczności nie wymaga, i działa zarówno na więcéj, jak na mniéj wykształconych, na tych ostatnich nieraz pono silniéj aniżeli na pierwszych, że działa pobudzająco i rozbudzająco.

Mówiąc zresztą o teatrze, aktorach i aktorze, zawadzamy zarazem o najwyższą ze sztuk, o sztukę słowa pisanego, o literaturę. Autor tworzy, aktor tylko myśl jego odtwarza, nadając jéj ciało, ruch i niby materyalne życie. Gdy jest wielkim aktorem nadaje jéj chwilowo potęgę taką, jakiéj niekiedy nie domyślał się sam autor. Widywaliśmy tego liczne przykłady w sztukach nieraz bardzo miernych, w przeróbkach z powieści średniéj wartości, w komedyach niekiedy na kolanie pisanych i na pół improwizowanych. Bywały przykłady, że bez pomocy gry, giestu, mimiki, a tylko umiejętnie zużytkowaną siłą swego głosu aktor z estrady koncertowéj elektryzował tłumy, to dreszczem je przejmując, to w zapał wprawiając. Takim bywał niedawno zmarły Królikowski. Moglibyśmy powiedziéć ciekawe rzeczy o ostrożności, z jaką każda taka deklamacya Królikowskiego przed koncertem kontrolowaną była poprzednio tam, gdzie ją kontrolowano. Jak usuwać musiano tę lub ową deklamacyą dlatego, że ją Królikowski mówić miał nie zaś kto inny. Wielka siła spoczywa w teatrze i wielkie jest jego oddziaływanie.

Więc jedyną twórczą na scenie siłą jest poeta, jest autor, którego słowo aktor przedstawia? Wcale nie. By twórczość poety uwydatniła się na scenie jak przystoi, by zyskała odpowiednie światło i życie, by wywarła zamierzone wrażenie, aktor także musi być twórczy. Tylko twórczość jego jest innego od twórczości autora rodzaju. Rozmiary téj twórczości stanowią miarę jego talentu a, w połączeniu z innemi wpływami, zapewnia mu ona wpływ i działanie na tłumy. Twórczość istotna tu, jak wszędzie, nie leży tylko w samym pomyśle ale i w pomysłu tego wykończeniu, to zaś znowu nie leży w samym głosie i umiejętném jego użyciu, chociaż ten jest najważniejszém dla aktora narzędziem, ale i w grze, to jest w plastyczném przedstawieniu stworzonéj przez niego postaci.

Piszemy to wspomnienie o Żółkowskim, bo był wielkim aktorem, był zaś nim dlatego, że w swoim czasie posiadał potęgę téj scenicznéj twórczości tak wielką, że nią nawet najznakomitszych aktorów zadzi-

wiał a wielu z nich znacznie przewyższał. Ta siła pozwalała mu nietylko godnie odtworzyć i przedstawić to, co autor stworzył, ale nawet tak uzupełnić autora, iż postać, przez aktora stworzona, w grze jego psychologicznie była bardziéj wykończoną i lepiéj się tłómaczyła aniżeli w saméj sztuce. Twórczość ta, ów główny zaród talentu, jest siłą daną, wrodzoną, aktor, jak każdy inny artysta, przynosi ją z sobą; ale siłę tę, jak każdą inną, tak samo można utracić niedbalstwem, lub bardzo osłabić, pracą zaś i czuwaniem nieustanném można ją wzmocnić i rozwinąć, zrobić posłuszną woli i wydobyć z niéj wszystko, co dać może. „Publiczność zwykle przecenia subtelną genialność aktora a lekceważy jego wyrobioną biegłość, pisze jeden z poważnych krytyków. Gotowa ona przypisywać mu przesądnie wielką moc intelektualnéj pomysłowości i poetycznéj twórczości, do których mniéj on posiada prawa, a zaniedbuje uznania wszystkich trudności, jakie zwyciężył zapomocą swego artystycznego wyrobienia. Zwyczajny widz odbiéra wrażenia, ale nie jest zdolny odkryć źródła tych wrażeń, zbyt często zespala on w jedno aktora z charakterem i aktorowi przypisuje efekta, które wyłącznie do dramaturga należą. Ta iluzya nie opuszcza owego widza, gdy go nie wzrusza ten sam aktor w jakiéjś innéj roli, przedstawiając tę samą namiętność, nie nakreśloną z estetyczną prawdą przez dramaturga. Tysiące ludzi wzruszali w „Hamlecie“ ciż sami aktorowie, których gra w innych rolach wywoływała tylko obojętność...“

Otóż Żółkowski łączył w najwyższym stopniu tę siłę wrodzoną z pracą a czujnością. Że mu ta praca może łatwiéj przychodziła aniżeli innym, że zwłaszcza w grze jego nie widziano żadnego wysilenia i roboty, a tylko prawdę i naturę, to zawdzięczał swemu talentowi. Ale widz zdający sobie poważniéj sprawę z téj gry, badający jéj szczegóły i niezmierne jéj a subtelne oświetlenia, pojmował, że obmyślenie tyleż do téj doskonałości przyczyniło się, co talent i dziwna intuicyjna genialność.

Że talent mógł odgrywać główną rolę, o tém świadczy niezmierna szybkość wyrobienia artysty. Pamiętamy go od lat pięćdziesięciu; wszystkie postaci, w on czas przezeń przedstawiane, zostały nam dotąd w bardzo żywéj pamięci silnie zarysowane. Gotowi jesteśmy prawie powiedzieć, że już wówczas Żółkowski był tak wielkim aktorem, jakim go widzieliśmy do śmierci. Sztuki były inne ale doskonałość gry była taż sama. Koledzy, którzy go znali od pierwszego wystąpienia, zapewniali nas, że od początku był takim, jakim go widzieliśmy wówczas, kiedy już lat ośm scenicznéj pracy liczył.

Zawód swój Żółkowski rozpoczął bardzo wcześnie. Urodzony

4 grudnia 1814 r., w 1832 zatém mając lat ośmnaście, już wstąpił na scenę, zrazu występując w chórach opery; w rok jednak późniéj (w 1833) już grał rolę samodzielną, i to w operze (Anglika w „Fra Diavolo“), zastępując chorego Zdanowicza i zrobił dobre wrażenie. Zadziwił zaś publiczność wkrótce po tém, także w operze („Zampa“), grając rolę Dandola. Pomiędzy temi dwoma operowemi wystąpieniami, grał w dwóch komedyach („Dwaj Sieciechowie“, „Ona mnie nienawidzi“). Stanowczym jednak zwycięskim krokiem była rola w „Zampie“. Odtąd nawet koledzy zaczęli patrzéć na tego młodego człowieka jak na skończonego artystę. Zdanie kolegów więcéj tu dla nas znaczy, aniżeli oklaski publiczności, któréj już wówczas Żółkowski zaczynał być ulubieńcem, a którą od razu mogło dobrze usposabiać bardzo jeszcze wówczas żywe wspomnienie jego ojca.

Zmarły bowiem przed miesiącem wielki artysta, był synem słynnego i pupularnego niezmiernie, nietylko w Warszawie, Aloizego Żółkowskiego, autora „Momusa“, aktora sceny warszawskiéj przez ćwierć wieku, powszechnie znanego i niezmiernie lubianego za dowcip i humor niewyczerpany. Rodzina Żółkowskiego idzie z Litwy, ojciec jego rodził się w Nowogrodzkim powiecie, zkąd wyrostkiem przewieziony został do Lwowa.

We Lwowie w owe czasy bawił z swém towarzystwem Bogusławski, który jednak, zmuszony finansowemi niepowodzeniami, w lat parę Lwów opuścił i przeniósł się do Warszawy. Były to czasy bohaterskich zapasów niedawno co powstałego teatru polskiego, epoka nieustannéj walki z niedostatkiem, bardzo często z obojętnością publiczności, która wszędzie zrazu wprawdzie objawiała dla teatru zapał wielki, następnie chłodła i obojętniała. Potrzeba istotna teatru jeszcze się nie zdołała w publiczności wyrobić. Aktorowie ratowali się wędrówkami, i wycieczkami z miejsc stałego pobytu (Warszawa, Lwów) do miast innych na letnie miesiące. Ten stan trwał dość długo, nawet w Warszawie, chociaż położenie stopniowo się poprawiało. Jeszcze w roku 1833 gaża czyli płaca artystów była po części nominalną, a w kontraktach zastrzegano, że gaża ta wypłacana będzie sposobem dywidendy w miarę „każdomiesięcznéj percepty, po zaspokojeniu nakładów przedgażowych“. Warszawa jednak posiadała zawsze pewną siłę przyciągającą, teatr też polski stał w niéj lepiéj, aniżeli we Lwowie, gdzie go zresztą przez lat kilka w końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia nie było.

Więc Żółkowski ojciec, na którego przedstawienia trupy Bogusławskiego niezmierne zrobiły wrażenie, porzucił kancelaryę, opuścił Lwów potajemnie i powędrował do Warszawy... piechotą, bo

prawie bez grosza na drogę. Przyjęty do trupy Bogusławskiego, stał się jéj bardzo użytecznym członkiem, nietyle może jako aktor, chociaż i tu wielkie oddawał usługi, ale jako pomocnik w kierunku artystycznym, w tłómaczeniu i przerabianiu sztuk, oraz jako człowiek dowcipny w układaniu przemówień do publiczności, które w owe czasy wielką w losach teatru odgrywały rolę, lub jako twórca okolicznościowych kupletów. Wspiérał też teatr jako człowiek towarzyski, bardzo poszukiwany dla swego dowcipu i wiecznie dobrego humoru. Czy ten humor wypływał z temperamentu, czy też był tylko, dobrze przez wolę i nawyknienie dopasowaną maską, pokrywającą smutne oblicze i usposobienie w gruncie rzeczy melancholijne, jak to się często u takich ludzi, zwłaszcza u komicznych aktorów, zdarza, nikt z spółczesnych Żółkowskiego ojca objaśnić nas nie mógł. Niektórzy z nich przypuszczali, że owa rozbawiająca wesołość była więcéj przybraną i wyrobioną, a stale jako towarzyski obowiązek w sobie hodowaną, że pokrywała podkład głębszy, poważniejszy, smętny. Do wniosków tych dochodzili tak z historyi młodości tego człowieka, z jego udziału w wojnie 1794, z jego zapału dla sztuki i teatru, nawet z jego różnych politycznéj natury figlów, które go wprawdzie robiły popularnym, ale z drugiéj strony przykre nieprzyjemności na niego ściągły, co jednak z dobrym humorem znosić umiał.

Około roku 1812, czy też 1813 (daty ścisłéj nie wiemy) Żółkowski ojciec ożenił się z Anną Ludwiką Ebel (ur. w Szczytnie na Pomorzu 1790) także aktorką sceny warszawskiéj. Ta w dniu 4 grudnia 1814 r. powiła mu syna, znanego nam wszystkim Aloizego. Panią Żółkowską pamiętamy jeszcze na scenie, z któréj zeszła dopiéro w 1844 r. Była to aktorka bardzo miernych zdolności, grywała matki szlachetne. Za młodu jednak mogła się inaczéj przedstawiać, chociaż śladów talentu w owych późnych latach nie można było dopatrzéć. Była tam dobra rutyna nic więcéj.

Aloizy Żółkowski syn, urodzony z ojca aktora i matki aktorki, dla teoretyków filozoficznych przedstawiałby szerokie pole do wywodów o prawie spadkowości témbardziéj, że i brat jego Lucyan, który wcześnie zmarł w Suwałkach, jako aktor trupy prowincyonalnéj, i siostra (późniejsza Kostecka), byli artystami nie małego talentu. O Lucyanie wiemy tylko ze słyszenia, Kostecką zaś dobrze pamiętamy na scenie. Była doskonałą w rolach przekupek, sekutnic, starych panien i t. p. Nie zapuszczając się w teorye, wolimy na teraz przypuszczać, że przestawanie od dziecka i życie nieustanne w towarzystwie teatralném i w teatrze mogło bardzo w Żółkowskim

wywołać nietylko zamiłowanie sceny, ale nawet rozwinąć pewne zdolności dramatyczne. Pierwiastkowo jednak o obraniu tego zawodu wcale nie myślał. Miał się kształcić w całkiem innym i to ściśle naukowym kierunku. Do teatru wstąpił z konieczności.

Ojciec odumarł Żółkowskiego wcześnie, zakończył bowíem życie w 1822 r.; opiekunami ośmioletniego chłopca i reszty rodziny zostali Ludwik Osiński i L. A. Dmuszewski, ówcześni kierownicy teatru warszawskiego. W rok po śmierci ojca oddano go do szkoły wojewódzkiéj księży Pijarów, którą skończył w 1830 r., przechodząc ją od pierwszéj do szóstéj klasy. W czwartéj tylko siedział dwa lata, z powodu choroby artretyzmu, który mu dolegał całe życie, pozwolił jednak dożyć do siedmdziesięciu pięciu lat. Choroba ta była najzupełniéj dziedziczna. Ojciec na nią umarł a matka bardzo często na nią zapadała.

Skończywszy szkołę wojewódzką, Żółkowski miał iść do uniwersytetu. Opowiadał nam bardzo dawno, że chciano zrobić z niego medyka. W 1830 r. zawód aktorski wcale nie zapewniał losu tak, jak to dziś ma miejsce w Warszawie, był zaś, jak i dziś, gdy o prawdziwy artyzm chodzi, i trudnym i bardzo niepewnym. Najwyższa gaża już nawet nieco późniéj, w 1834, gdy teatr stał się przedsiębiorstwem rządowém, dochodziła zaledwie do 8000 złp. (taką gażę pobierała sławna i wielbiona powszechnie pani Leduchowska). Nikt nie marzyłby wówczas, że aktor lub aktorka mogli kiedykolwiek dojść w Polsce do stałéj gaży 25,000 złp. rocznie, jaką w trzydzieści lat późniéj otrzymał Żółkowski, do gaży, równającéj się pensyi rocznéj dyrektorów wydziałów w ministerstwach ówczesnych, w dwójnasób przewyższającéj płacę prezesów trybunałów wojewódzkich, a w trójnasób płacę osiwiałych sędziów apelacyjnych, na któréj ci, do niedawnego końca istnienia dawnéj organizacyi poprzestawać musieli. Nikt zwłaszcza nie przypuszczał, że aktor w Polsce może zarabiać na rok 70 i więcéj tysięcy złotych, to jest prawie dwa razy więcéj, aniżeli ówczesny minister; tyle zaś zarabiał Żółkowski, kiedy po dosłużeniu się 25,000 emerytury, przeszedł na kontrakt i płacę od występów. Nic dziwnego, że Osiński i Dmuszewski, znając ciężkie położenie rodziny Żółkowskich, chcieli synowi zapewnić obfitszy i pewniejszy kawałek chleba.

Jednakże postanowiono umieścić Żółkowskiego w teatrze, ponieważ ten wówczas, podobnie jak inna służba publiczna czy rządowa, posiadał przywiléj uwalniania od wojska. Żółkowski był dość wykształcony muzykalnie, wyrostkiem jeszcze pobiérał lekcye fortepianu, doszedł nawet do pewnéj biegłości, którą do końca życia zachował.

Posiadał głos dobry barytonowy, chociaż niezbyt silny, postawę piękną, twarz przyjemną i oko wyraziste, które miało się późniéj tyle do jego tryumfów przyczynić. Nie zrobiono z Żółkowskiego od razu aktora, ale postanowiono zahaczyć go w chórach. Śpiéwał więc w chórach operowych i jako statysta występował w dramatach, pobiérając po złotemu od wystąpienia. Wkrótce jednak Dmuszewski podwyższył mu to wynagrodzenie do 2 złotych.

Takie były skromne początki tego wielkiego artysty. Tu jednak wspomniéć należy o pewnym dowodzie nie talentu jeszcze ale wielkiéj siły woli i wytrwałości, rzadko wielkim talentom, zwłaszcza u nas, towarzyszącéj. Zasmakowawszy w swobodniejszym żywocie aktorskim, Żółkowski postanowił poświęcić się nieodwołalnie zawodowi scenicznemu. Nie był to dotąd w nim nieprzeparty głos talentu, który stwarza powołania, bo celem jego marzeń była opera. Wprawdzie wówczas jeszcze większa część aktorów występowała we wszystkich rodzajach, w operze tak dobrze, jak w dramacie, ale Żółkowski głównie liczył na pierwszą. Występując więc w chórach, uczył się odpowiednich dla siebie ról w danych operach i uczył się pracowicie. Ponieważ nie posiadał fortepianu, na którym mógłby był sobie akompaniować, kupił gitarę i szkołę na ten instrument, wyuczył się sam gry na gitarze, i ta mu do akompaniamentu służyła. Być może, iż mu pomagano radami, ale głównie on sam się mozolił, idąc pono za radą swego opiekuna Dmuszewskiego, który niegdyś był jednocześnie i pierwszym kochankiem w dramacie i pierwszym tenorem w operze. Przed laty siedmdziesięciu publiczność mniéj była aniżeli dziś wymagającą.

W ten sposób przy gitarze Żółkowski, prawie samouk, wyuczył się komicznéj roli Anglika w operze „Fra Diavolo." Gdy Zdanowicz, który grał owego Anglika, zachorował, Kurpiński, dyrektor opery, znając muzykalne zdolności Żółkowskiego, zaproponował zastępstwo. I w d. 27-ym października 1833 roku nazwisko Żółkowskiego ukazało się poraz pierwszy na afiszu, który względom publiczności zalecał tego „syna zasłużonego artysty." Ten debiut powiódł się zupełnie, jakkolwiek Zdanowicz, aktor znakomity, którego debiutant zastępował, był ulubieńcem publiczności. Odtąd Żółkowski z chórów przeniesiony został w skład artystów, już zaś poprzednio otrzymał stałą pensyą 90 złp. na miesiąc. Jakkolwiek bardzo prędko przeniósł się stanowczo do dramatu, a właściwie do komedyi, długo jednak pozostał wiernym i operze. W ciągu całego swego zawodu śpiewał w 20-tu wielkich operach, a pomimo niewielkiego, a późniéj jeszcze latami osłabionego głosu, zwykle z powodzeniem. Wszyscy go jeszcze pamiętają w „Napoju

miłosnym," w „Cyruliku" Rossiniego i w „Hrabinie" Moniuszki. Muzykalnością, umiejętną dykcyą i niezrównanym humorem gry tak nadrabiał to, czego brakowało głosowi, że publiczność téż może z nawyknienia przenosiła go nad istotnych śpiewaków, posiadających i umiejętność i siłę i głos do roli odpowiedni.

Drugą rolę grał w komedyi „Dwóch Sieciechów," trzecią w komedyi „Ona go nienawidzi," czwartą w operze „Zampa" (Dandolo) z niezmierném także powodzeniem. Pomimo tego operowego powodzenia, w tym czasie zwrócił się stanowczo do dramatu, a ściśléj mówiąc do komedyi. Sprawiła to pani Halpert, wówczas jeszcze podobno panna Żuczkowska, wielka także artystka. Ona pierwsza odgadła ten wielki talent i właściwy jego kierunek. W ciągu pięćdziesięciu sześciu lat pracy aktorskiéj grał Żółkowski w dwustu kilkudziesięciu sztukach, to jest stworzył tyleż postaci. Bo prawie bez wyjątku każda przez niego przedstawiona postać nosiła odrębne piętno, była różną od innych charakterem do niéj zbliżonych, niepodobną do innych z nią pokrewnych.

Z razu dramat właściwy (tragedye grać na nowo zaczęto na scenie warszawskiéj dopiéro przed trzydziestu kilku laty) pociągał go do siebie. W „Mulacie" umiał nawet wzruszać, w „Muszkieterach" w krótkiéj roli Cromwella przejmował grozą, późniéj w tragedyi Hugona „*Marion de Lorme*" zadziwiał głęboko psychologiczném przedstawieniem postaci Ludwika XIII-go, tego króla znudzonego życiem i panowaniem, a jednak przejętego wielkością swego królewskiego majestatu. W tych dwóch zwłaszcza ostatnich rolach, chociaż mniejszych rozmiarem, Żółkowski wzniósł się na tragiczne szczyty i wyrył niezatarcie te kreacye swoje w pamięci tych, którzy je widziéć mogli. W innych jednak dramatach, jakkolwiek grał dobrze, nie wzniósł się tak wysoko. W „Życiu Szulera" nie zdołał zatrzéć wspomnień po Komorowskim, zwłaszcza w drugiéj połowie tego tendencyjnego, a niezmiernie w swoim czasie popularnego melodramatu.

W komedyi, jakkolwiek i tu mogą znaleźć w jego rolach stopniowania, z wszystkiego prawie, czego się dotknął, robił arcydzieła, czy to była farsa lub wodewil, czy komedya poważna czy lekka, czy oryginalna czy tłómaczona. W każdéj roli zdumiewał świeżością, rozmaitością pomysłu, oryginalnością, głębokością, wykończeniem i prawdą. Skąd jemu to przyszło? Pytali się nieraz ludzie, dobrze Żółkowskiego po za sceną znający, wiedzący, że nie wiele żyjąc z ludźmi, nie wiele czytając, oprócz polityki gazetowéj, którą się jako zabawką zajmować lubił, że po za teatrem życie prawie zamknięte prowadząc, nie miał dość pola do obserwacyi, do zbierania owych charakterystycznych szczegółów, które postaciom przez niego odtwarzanym dawały nietylko

najdoskonalszą zewnętrzną charakterystykę i sceniczną prawdę, ale za jéj pomocą psychologicznie nawet owe postacie jasno tłómaczyły. Każda jego postać żyła, a widz przekonany, że inaczéj żyć nie mogła, ni mówić, ni poruszać się, ni patrzéć, ni słuchać, zespalał się z tą postacią w ten lub ów sposób, śmiechem czy współczuciem, jak z istotnie żyjącą. Ona wnikała w niego, a on ją przenikał.

Dla objaśnienia damy dwa anegdotyczne przykłady. Jedną z najwspanialszych ról Żółkowskiego był margrabia de la Segliere w komedyi podobnegoż tytułu, która z jakie lat trzydzieści utrzymywała się w repertuarze zawsze z zapałem przyjmowana. Margrabia to stary arystokrata francuski, wykwintnych manier egoista, który wrócił z emigracyi w 1815 r. niczego się nie nauczywszy i niczego nie zapomniawszy. Przed kilku laty w Wenecyi w pałacu Wandremin Calergi, będącego dziś własnością księcia del Sesto, syna księżnéj Berry, a przyrodniego brata hr. Chambord, grono warszawian i warszawianek stało przed portretem Karola X-go, wypędzonego z Francyi przez rewolucyą r. 1830-go. Wszyscy zebrani, ujrzawszy ten obraz, zawołali jednomyślnie: jak on podobny do margrabiego de la Segliere! Aktor nasz portretu nie znał, o Karolu X-ym nie wiele wiedział. Jeżeli się owo podobieństwo znalazło, wypłynęło ono z intuicyjnie przeczutych psychologicznych przyczyn. Karol X-ty, tak samo jak margrabia, wrócił z emigracyi, niczego się nie nauczywszy, z dawném usposobieniem i przekonaniami, a swéj epoki zrozumiéć nie mogący.

Oto drugie anegdotyczne objaśnienie téj wielkiéj, niezmiernie głębokiéj, a w subtelne odcienia niesłychanie bogatéj gry. Przed kilkunastu laty znajdowaliśmy się na przedstawieniu „Marcowego kawalera“ z pewnym właścicielem ziemskim z głębokiéj Litwy, który nigdy Warszawy nie oglądał. W téj komedyi Żółkowski gra nieco podżyłego szlachcica, traktującego życie dość swobodnie przy pomocy młodéj swéj gospodyni pani Pawłowéj (grała ją Bakałowiczowa). W czasie gry nasz litwin kilkakrotnie, pomimo zajęcia, szeptał: gdzie on to podpatrzył? a to jak żywy! W późniejszéj rozmowie zapytany, jak mu się podobała ta gra? Czy była w niéj prawda? Czy spotykał takich szlachciców? Ależ, odrzekł, widziałem takusieńkich całe tuziny, z wieloma byłem zażyły. To tylko dziwne, że Żółkowski jakby z każdego coś wziął, więc niby nie jest ściśle podobny do żadnego, a jednak jest podobniusieńki do nich wszystkich i do każdego z nich. Jakim sposobem doszedł do tego? Musiał chyba dużo jeździć, dużo dworów i dworków odwiedzać, i być z szlachtą zażyły?—kończył nasz litwin. Wcale nie, odpowiedzieliśmy, z Warszawy prawie nie wyjeżdżał, raz czy dwa dla kuracyi. Mało ludzi widuje i tylko przelotnie. To dziwne!

to niepojęte! Taka prawda! — zakończył litwin swe uwagi proste, ale prawdziwe o tworzeniu typów. Istotnie dziwne i niepojęte, jak wszelkie dzieła prawdziwéj twórczości, jak aniołowie wzlatujący do nieba Rafaela, jak święci spadający na ziemię niby olbrzymie orły Tintoreta, jak wszysto, co nam daje owa tajemnicza siła zwana genialną twórczością, która widzi i odgaduje to, czego oko zwyczajne nie dostrzeże, czego umysł pospolity nie zrozumié, albo uchwycić i zużytkować nie zdoła, która nie widząc domyśla się i uzupełnia imaginacyą, a która w mniejszym posiadana rozmiarze nazywa się wielkim talentem.

Pytany przez nas sam Żółkowski o sposób tworzenia swoich postaci, odpowiadał: Naprzód czytam całą sztukę, przy tém czytaniu muszę ujrzéć postać przed sobą i to w niezbyt mglistych zarysach. Gdy ją ujrzę, już ją mam. Gdy nie ujrzę, znaczy, że sztuka i rola nie dla mnie. Gdy postać już mam w ogólnym zarysie, zaczynam się uczyć roli, to jest czytam całą po cichu. Za każdym razem przybywa mi do ogólnego zarysu jakiś szczegół, to z powodu sytuacyi, to z powodu opowiadania o téj osobistości, to z mojego domysłu o charakterze, wieku, życiu, nawyknieniach możebnych, o wynikających stąd ruchach, wyrazie twarzy, mimice, nawet ubraniu i t. d. Gdy tak kilkanaście razy rolę przeczytam, umiem ją na pamięć, a postać mam w sobie. Nie maluję się, nie tynkuję, nie robię sobie twarzy, to tylko do gry szkodzi, czyni twarz martwą, drewnianą. Kilka rysów lubryki wystarczy do pomocy i twarz sama się wyrobi jak potrzeba. Ale trzeba figurę graną mieć w sobie, bo inaczéj wyjdzie się z tonu i charakteru. Cała rzecz bardzo prosta, byle była prawda.

Istotnie prosta, jak wszystko, co w sztuce jakiéj bądź wielkiém jest, ale właśnie bardzo trudna, a dla pośledniejszych talentów niedościgła. Rozmaite zresztą bywają sposoby do chwytania czy odtwarzania prawdy nawet w téj saméj sztuce teatralnéj. Inaczéj dochodził do niéj Panczykowski, także wielki aktor, chociaż w szczupłym zakresie, inaczéj Żółkowski, dla którego wszystkie dziedziny komedyi stały otworem, ale tych różnic wyszczególniać nie będziemy, równie jak owych psychologicznych dopełniań, jakie autorowie wielkim zawdzięczają aktorom.

Wielkich aktorów bywało zawsze bardzo mało, dziś wszędzie jest ich mniéj, aniżeli w pierwszéj połowie naszego stulecia. Ci, co są, starzeją się, lub już się zestarzeli i do historyi swéj narodowéj sceny, a może i do historyi kulturnéj swego społeczeństwa należą. Czém dla dzisiejszych Włochów są jeszcze Salvini i Rossi, czém dla Niemców byli kiedyś Dewrienty, a dziś może jest Sonenthal wiedeński, tém dla sceny polskiéj był Żółkowski. Szkoły po sobie nie zostawił, jak nie zostawia

żaden z prawdziwie wielkich aktorów—przepisów na twórczość podać nie można, ani w podręczniki ująć, — ale zostawił w sztuce wspomnienie, a dla współczesnych wzór, nad zbliżeniem się do którego pracować powinni. Że zaś scena polska jest nam bardzo drogą, a jéj losy powinny nas wszystkich bardzo obchodzić, dlatego piszemy dziś o Żółkowskim i jego sztuce, w przekonaniu, że praca jego tak pojmowana przez jego młodszych towarzyszy, jak my ją pojmujemy, i w przyszłości usługi scenie naszéj oddawać będzie.

J. Kenig.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

I.

Romans realistyczny we Francyi i Guy de Maupasant. — Jego celniejsze powieści: *Une Vie*, *Bel-Ami*, *Pierre et Jean*, *Mont-Oriol*, *Fort comme la mort*, *Contes et Nouvelles*, etc.).

U wstępu do artykułów, co sobie stawiają jako cel zapoznawanie czytelników ze współczesnym ruchem poezyi, powieści i dramatu na zachodzie, wypadałoby może wszcząć poważną dyskusyę o charakterze realizmu w piśmiennictwie, skoro trafunkiem od realistycznego powieściopisarza przegląd ten rozpoczynamy. Tyle już jednak kopii skruszyła na tém polu krytyka, przedmiot stał się tak pospolitym i tak spłowiałym dla każdego wykształceńszego człowieka, że się wszystkie te oklepanki chętnie zostawia na stronie. Na przypomnieniu więc kilku zasadniczych punktów poprzestaniemy, a i to dla tego przedewszystkiém, ażeby zakréślić dla Guy'a de Maupassant, o którym pogawędzić chcemy, ramy, otoczenie, i więcéj jeszcze, jego genealogiczne drzewo.

Czyste to było niepodobieństwo chcieć powstrzymać powieściopisarstwo współczesne na pochyłości realistycznéj: musiało potoczyć się tą a nie inną koleją. Społeczeństwo całe w drugiéj połowie XIX wieku stanęło na gruncie realistycznym w dziedzinie religijnéj, politycznéj, gospodarczéj, naukowéj. W każdéj gałęzi działalności ludzkiéj fakta, doświadczenia, spostrzeżenia, cyfry stanęły na miejscu apriorycznych dogmatów, metafizycznych spekulacyi, młodocianych marzeń, przedwczesnéj syntezy. I jakżeż jedno tylko piśmiennictwo, właśnie rdzeń cywilizacyi— mogło się było ostać przeciw wszystko porywającemu prądowi? Przeciwnie, stało się nieuniknioném, że się i ono do tego stanu dostroić musi. I istotnie na miejscu szkoły roman-

tycznéj rozsiadła się realistyczna. Jeżeli się nawet przypuści — a piszący zdania tego nie dzieli — że wszechwładza realizmu w piśmiennictwie wiedzie za sobą obniżenie duchowego i artystycznego poziomu i że pod jego wpływem tracimy delikatność smaku, to nie należy zapominać, że w téj saméj epoce ewolucya demokracyi wzięła szturmem świat cały, a zatém i piśmiennictwo. Nie zwraca się téż ono wyłącznie do wyrafinowanych koteryi, ale do mas milionowych, i zaspokaja ich wymogi umysłowe. Nie ma się prawa pomijać w rachunku tak radykalnie odmiennych czynników.

Sądzimy, że i na punkt następny równie łatwo czytelnik się zgodzi. Społeczeństwa, przesycone emfazą, deklamacyjnością, naciąganym idealizmem, brakiem wewnętrznéj prawdy, w jakie wpadał przekwitujący romantyzm, uczuwały niepowściągniony popęd do przyjrzenia się nareszcie raz życiu takiemu jakiém jest, bez różu i bielidła, do pochwycenia go na uczynku w całéj nieskończonéj rozmaitości jego manifestacyi. I powieść o tyle tylko zadowolniała nasze duchowe potrzeby o ile odpowiadała temu dążeniu do wytworzenia przed nami obrazu rzeczywistości. Nie było żadnego niegodnego uwagi drobiazgu w tém śledztwie przedsiebraném wśród okólnego świata dla naszéj nauki i rozrywki. Mikroskop stał się niezbędném narzędziém dla trzymającego pióro beletrystyczne. Szkoła holenderska z malarstwa przeniosła się teraz do piśmiennictwa. Prym niezaprzeczony otrzymało powieściopisarstwo angielskie. A powieściopisarstwo to, czy je uosobimy w Dickensie, czy w George Eliocie, czy w jakimkolwiek z niezliczonéj rzeszy naśladowców i spadkobierców tych dwóch twórczych geniuszów, jest na wskroś i wyłącznie realistyczne.

I nie było też protestacyi przeciw realizmowi, dopóki stał na gruncie wielkobrytańskim. Protestować zaczęto, gdy go pochwycili i spopularyzowali Francuzi. Ale bo téż i prawda, że tutaj mamka zamieniła dziecko. Od razu inny nadali mu charakter. Pogrążając się w realistyczną twórczość z zapałem, z werwą, narodowemu swemu temperamentowi właściwą, od razu odjęli jéj ten charakter rozważny, spokojny jaki cechował Anglików. Ci z naiwną skrupulatnością kronikarzy nie czynią wyboru pomiędzy osobami i wypadkami, ale zapisują bez wyjątku wszystkie typy i charaktery, jakie im się napotkać przytrafiło w najbliższym swych spostrzeżeń promieniu. Bywało tam wiele niepotrzebnego materyału, wiele powtarzań, wiele typów pospolitych, ale takie nagromadzenie dokumentów wytwarzało samo przez się obraz społeczny dokładny, wierny, wielostronny; światło i cień, dobre i złe czynniki krzyżowały się, przenikały wzajemnie i drgało tam życie wewnętrzne. Dla artystycznego smaku Francuzów była taka twórczość

zbyt prostą, zbyt pospolitą. Tworzyć, to znaczy wybiérać, sortować. Przed swą *camerę obscurę* starali się stawiać jedynie typy ciekawe, rzadkie, wyjątkowe. I stało się, że schodząc szczebel za szczeblem po téj drabinie, uznali niebawem za jedynie godne swych studyów ułomności, wybryki i ohydy charakteru ludzkiego: uczciwe, dodatnie strony przestały ich do siebie nęcić. Grzęźli coraz głębiéj w kałuży. Szpital duchowy, rynsztok, gnojowisko, stawały się ich pracownią. Nie był to już realizm ale coś innego, odrębnego. Wiadomo, że się sam ukoronował pod imieniem naturalizmu.

Pisarze tego krańcowego realistycznego kierunku zuchwale oświadczyli, że oni dopiéro odkryli jądro natury ludzkiéj, zeszli do jéj psychicznéj głębi, zdarli i zdeptali tę maskę konwencyonalnych formułek i powijaków pod jaką się dotąd ukrywała. I im brudniejsze odkrywali w człowieku instynkta, chucie i namiętności, im dosadniéj wykazali w nim egoizm zwierzęcy i jego okrucieństwo, tém dumniejsi byli z odkrycia. Ci z tych naturalistycznych pisarzy, którzy od szkicowania i studyowania indywidualnych typów wznieść się odważyli do syntezy społecznéj, spostrzegli w ustroju towarzyskim także tylko brud, egoizm, wyzyskiwanie słabych przez silniejszych, podłość, przedajność, zdradę. Podczas gdy jedni z dogmatyczną powagą udowadniali, że każdy człowiek indywidualnie jest zwierzęciem, a towarzysko bydlęcą trzodą, drudzy z ironią zgryźliwą, z cyniczną poufałością pokazywali coraz nowe wrzody, coraz nowe hańbiące trądy, i wymagali ażebyśmy, w tém zwierciedle rozpoznali podobiznę naszą najzupełniejszéj wierności. Wobec takich wybryków fantazyi twórczéj, wobec tak skoślawionéj analizy, spotkanych wyjątkowo u jednego romansopisarza, wystarczyłoby ruszyć ramionami, odwrócić się w inną stronę i przejść do porządku dziennego. Ale gdy się ma do czynienia nie z jednym, wyjątkowym pisarzem, ale z tuzinami i setkami, z całą szkołą, gdy szkoła ta nie wykwitła efemerycznie ale istnieje jako organizm od całéj ćwierci wieku, to miało się obowiązek wziąć ten fenomen społeczny pod ścisłą uwagę i zapytać: jak się stać mogło, że jedno i to samo źródło bezpośredniéj obserwacyi życia było w stanie wydać na gruncie angielskim wonne, a na francuskim cuchnące kwiaty.

Nie należy, zdaniem naszém, szukać gdzieindziéj powodów téj różnicy, jak w moralno-filozoficznym nastroju każdéj z tych krain. Atmosferą duchową w Anglii jest ewangeliczne miłosierdzie, we Francyi, sceptyczny pesymizm. Na dnie pierwszego leży przeświadczenie, że człowiek ma w sobie boski pierwiastek, że mimo błędów i występków, jakie popełnia, nie zatraca w sobie nigdy tego wyższego znamienia, że między ludźmi istnieje solidarność węzłów i że nie spychać

w otchłań upadłych, i nie naigrawać się z nich demonicznie, ale podnieść ich należy. Stąd ta wypogodzona, serdeczna wyrozumiałość i tolerancya, ta sympatya ciepła, co krąży w głębi i która się rozciąga nie do ludzi tylko, ale i do zwierząt, do sprzętów, do domów, do krajobrazu, do całego zewnętrznego świata i łączy je w jakąś symfonią rodzinną, poufałą. Pisarz widzi błędy, usterki, śmieszności, i wytyka je z humorem i dosadnością, ale nie gubi się w nich, nie traci wśród nich całego wizerunku człowieka, nie traci perspektywy i utrzymuje równowagę sądu. Sąd ten jest optymistyczny, jak się to dzieje, gdy uczucie nie jest zeń wykluczone. Wrażenie, jakie z nich czytelnik wynosi, jest téż spokojne, dodatnie, podtrzymujące siły duchowe, promienne. Nie można się go spodziéwać od francuskiego romansopisarza. Autor jest tutaj pesymistą, widzi w świecie jedynie stek występków, zbrodni, ułomności, jedno pasmo krzywd, niesprawiedliwości, a wobec téj ludzkości tak wstrętnéj, serce jego nie drga współczuciem i drgać nie może. Narzucił się jéj jako sędzia, ale zerwał z nią związki pokrewne. Czuje się sam innéj natury istotą. Dla tych brzydkich i pohańbionych, dla tych skazanych na ciągłe krążenie w prozaicznym deptaku ma tylko słowa pogardy i ironię niewyczerpaną. Ironia, oto cecha téj szkoły. Wynajdują dziwolągi i potwory wśród społeczeństwa albo też pospolite, głuptasie natury i znęcają się potém nad nimi bezlitośnie, chłoszcząc je i smagając razami. Nie ma tu ani kropli owego *milk of human kindness*, co po drugiéj stronie kanału tak religijnie jest przechowywana, lecz za to żółć gryząca. Napróżno-byś szukał przewodniéj gwiazdy, celu wspólnego, jaśniejszéj krawędzi nieba, zielonéj oazy. Przeczytawszy z jaki tuzin powieści, z których każda znęca się nad ofiarami walki życiowéj, z których każda nowe odkrywa nam plagi, ma się prawo zapytać, po co nam żyć na takim wstrętnym świecie, na co się przyda bój z tą koalicyą ujemnych żywiołów i czuje się nieprzezwyciężoną chętkę cały ten świat nikczemny obrócić w perzynę, wysadzić w powietrze.

Łatwo tedy było zrozumiéć powszechną reakcyą przeciw tak pojętemu realizmowi. Sumienie publiczne protestowało z jednéj strony, dobry smak z drugiéj. Przedewszystkiém odmawiano tym powieściom téj zalety, którą windykować dla siebie nie przestawała—życiowéj prawdy, na dokumentach ludzkich się wspierającéj. Nie mogło być prawdy gdy się tendencyjnie wybierało jednogatunkowe, ujemne żywioły i w nich rozkoszowało a wykluczało systematycznie wszystkie inne. Obecnie można powiedziéć, że ten krańcowy kierunek dał wszystko, co dać był zdolny i że zawód jego skończony. Nie powiadamy bynajmniéj, aby

nie kreślono daléj jeszcze tych ohydnych, cynicznych obrazów społecznych, jakich mieliśmy już obfite żniwo, ale będą to już tylko waryacye na znane motywa, kopie typowych utworów. Maruderowie ciągnąć będą czas jakiś za armią, ale armia przeszła już niepowrotnie. Mina się wyczerpała. Pornografia znajdzie jeszcze i znajdzie zawsze tło do swych sprosnych malowideł, ale nie miała ona i nie może mieć nic z literaturą wspólnego. Pod względem artystycznym, naturalizm nie zdaje się już nam gotować najmniejszéj niespodzianki. Gmach cały stoi wykończony, a może już nawet w ruderę zapada. Dziwić się temu nie można: tak różnorodni pracowali nad nim architekci! Założycielem był wielki Balzac, olbrzym o syntetycznym umyśle, który obserwował wprawdzie świat, jakim był, ale chciał go téż umodelować na wzór swoich własnych koncepcyi. Po tym antenacie, istotnym ojcem realizmu, był Gustaw Flaubert, autor nieśmiertelnéj *Madame Bovary*, która będzie arcydziełem niespożytém tego literackiego kierunku. Prowincyonalne życie, typy powszednie, ciasny horyzont duchowy są tam oddane z taką potęgą, schłostane tak nieprzebłaganą ironią, że w ich malarzu uznać należy mistrza. Nie potrzeba zapewne przypominać, że Flaubert nie był w stanie napisać żadnego innego dzieła, któreby się z tém równać mogło, że się pogrązył w chorobliwy ideał sztuki dla sztuki, że mu brakło wszelkiego zmysłu dla prądów potężnych współczesnego życia i że zostanie przed potomnością jako autor znakomitego fragmentu, niczego więcéj. Pomiędzy jego następcami bezpośrednimi wymienić należałoby braci Edmunda i Juliusza de Goncourt, ale talenta te, skomplikowane, sztuczne, pozbawione szerokości, ugrzęzłe w afektacyi i manierze nie będą mogły nigdy, mimo swych roszczeń do przodownictwa literackiego być czém inném, jak wielkimi ludźmi w bardzo małéj parafii. Inaczéj Zola. On to jest niezaprzeczenie ojcem duchowym naturalizmu. Posunąwszy system do ostatnich możliwych granic, nie lękając się wywołania skandalów przez zupełne zerwanie z przyzwoitością i obyczajnością napisał szereg powieści, w których on sam i jego naśladowcy nie wahali się widzieć arcydzieł. Obecnie to przedsięwzięcie wielotomowe jest bliskiém końca i autor mówi: *exegi monumentum*. Nie tu jest miejsce, w przelocie, rozbierać owe utwory i piętnować je łatwymi do znalezienia epitetami. Jedno powiedzieć wystarczy: cykl już jest zamknięty! Daléj w tym samym kierunku iść już nie można. Pokazują to dowodnie jego uczniowie i naśladowcy: Henryk Ceard, Karol Huysmans, Leon Hennique, Franc. Poictwin, Rosny i kilkunastu innych. Mogą czasami napisać i nie bez talentu jakie studyum nad rynsztokowém życiem, jak np. w znanéj powieści

Soeur Vatard, albo stworzyć w pseudo-artystycznym wybryku coś potwornego, nigdy dotąd niepisanego, jak np. *A rebours*; ale cała ta produkcya jest jałową, pozbawioną prawdy życia, ani z niego ani ku niemu nie płynącą. Szeroka publiczność słucha z uśmiechem łagodnego politowania pochwał i okrzyków uwielbienia, jakie sobie ci literaci wzajemnie oddają, ale na seryo brać ich nie chce i nie może.

Jeżeliby realizm francuski nie był w stanie wykazać żadnego innego talentu, to możnaby było uważać go jako pogrzebany za życia i to przez tych, co dobrowolnie skrzywili i sfałszowali jego zasady. A wniosek to byłby tém smutniejszy dla przyszłości piśmiennictwa francuskiego, że, jakeśmy powiedzieli wyżéj, nie ma po za obrębem modły realistycznéj, żadnéj metody twórczości literackiéj chwilowo możliwéj. Na szczęście, żyzny grunt francuski nigdy całkowicie wycieńczony nie jest i obiecujące kiełkowanie nigdy długo na siebie czekać nie każe. Z pomiędzy grona młodych powieściopisarzy, co niezaprzeczenie do szkoły realistycznéj należą, kilku widocznie zawróciło i z manowców na bity kieruje się gościniec. W ich ręku twórczość beletrystyczna zapowiada się jako jędrna i zdrowa. Będziemy mieli zapewne nieraz w przyszłości sposobność scharakteryzować ich bliżéj. Obecnie jest zamiarem naszym zatrzymać się wyłącznie przed najpierwszym z nich, najpotężniejszym, najsympatyczniejszym, przed przywódzcą nowego realizmu, p. Guy de Maupassant. Z każdym nowym utworem, — a sypie je z godną podziwu obfitością po dwa, po trzy tomy na rok, — stanowisko jego literackie się wzmacnia. Z okazyi ostatniéj jego powieści *Fort comme la mort*, co wyszła na wiosnę r. z., powiedziano, że to prawdziwe arcydzieło. Nie będzie tedy bez interesu dla czytelników, jak sądzimy, przedstawić całościowy szkic jego piśmienniczéj działalności, wczorajszéj i dzisiejszéj, tém bardziéj, że z imieniem tém widocznie coraz bardziéj w literaturze rachować się będzie trzeba.

Guy de Maupassant od niecałych lat dziesięciu wystąpił na arenie literackiéj. Ma dopiéro lat trzydzieści pięć. Jest pięknym, energicznym, krzepkim młodzieńcem, zamiłowanym w ćwiczeniach fizycznych. Należy do staréj normandzkiéj rodziny i przedstawiony jeszcze młodzieniaszkiem Gustawowi Flaubert, który mieszkał w domu wiejskim pod miastem Rouen, zaczął mu pokazywać swoje próby piśmiennicze. W studyum krytyczném, które swemu pierwszemu i jedynemu mistrzowi poświęcił, uwiadamia nas p. Maupassant, że to terminowanie jego u Flauberta trwało lat siedm, że go wielki pisarz zachęcał do ustawicznéj pracy, że mu przedstawiał jedyny w téj upartéj i systematycznéj pracy sposób dojścia do talentu i wyrobienia go w sobie, że go wzywał do ciągłéj bezpośredniéj obserwacyi okalającego życia. Widocznie z rad

i wskazówek tych skorzystał, gdyż o pracowitości jego wątpić się nie ma prawa i z książek już wydanych i ze studyów i kultury intellektualnéj, o jakich świadczą. Samo z siebie wynika, iż młody pisarz nosił w pierwszych zaraz utworach świadectwo wpływu podwójnego: swego miejscowego otoczenia, atmosfery fizycznéj i moralnéj, w któréj wzrastał, oraz mistrza, na którym się wzorował. Guy de Maupassant jest synem Normandyi, téj prowincyi żyznéj, bogatéj, powabnéj, uśmiechniętéj, gdzie ziemia płynie mlekiem i jabłecznikiem, gdzie zboża w bród, gdzie na zielonych błoniach pasą się dorodne trzody, gdzie wsie są gęste i zamożne, miasta obfitujące w zabytki sztuki. Wśród tego ogólnego dostatku wyradza się pewien materyalizm mimowiedny, który u natur poetyczniejszych z łatwością przechodzi w panteistyczną cześć dla téj matki-natury o niewyczerpanych wymionach, w dostrojenie się do téj harmonii produkcyjnéj. U niektórych ten materyalizm, ten panteizm zaprawia się odcieniem erotyzmu pogańskiego. Tę stronę Guy de Maupassant posiada w wysokim stopniu, i powrócimy do niéj w następstwie. Obecnie chcemy wskazać mimochodem drugi rys charakterystyczny jego normandzkiego pochodzenia. Mieszkańcy téj prowincyi słyną z umysłu jasnego, praktycznego, z przebiegłości, przenikliwości, zamiłowania w prawowaniu się i procesach. Realizm jest tam rozlany w powietrzu. Znajdujemy jego oddźwięk pod piórem p. de Maupassant i nie można zaprzeczyć, że jasność, precyzya, ścisłość analizy, bystrość spostrzegawcza nie mogą być posunięte daléj.

Na tak przygotowanym gruncie i wśród takich naturalnych żywiołów nauki i rady Flaubert'a zaszczepiły się bez najmniejszego wysiłku. Młody pisarz postawił sobie jako ideał być prawdziwym i dać we wszystkich swych utworach wizyę namacalną, że tak powiemy, świata zewnętrznego. Być prawdziwym podług Flaubert'a, to znaczyło wniknąć w naturę osób i rzeczy opisywanych, wykazać ich rysy szczegółowe, te, które stanowią ich wyłączną indywidualność, i odźwierciedlić takową w formie plastycznéj. Bystrość spostrzegawcza, posunięta aż do najdelikatniejszéj analizy psychicznéj, łączyła się u Flaubert'a z artystycznym ferworem dla plastycznéj formy języka i stylu. Posuwał on, jak wiadomo, tę cześć dla formy aż do chorobliwości i zatruł sobie przez nią życie, wyjałowił swą twórczość. Zdrowa, jędrna natura p. de Maupassant ustrzegła go od tego nadużycia. Pisze on językiem jasnym, dosadnym, treściwym i obrazowym, czuje piękność melodyjną dobrze zbudowanego okresu, ale nie gubi się w tych drobiazgach formy. Wyssał esencyą żywotną z nauki swego mistrza, ale pozostawił nietkniętą zatrutą czarę sztuki dla sztuki, którą się tamten

odurzył aż na śmierć. I w tém pokazała się równowaga i siła pierwotna jego normandzkiéj natury.

Młody Guy de Maupassant został wprowadzony w świat literacki paryski przez swego mistrza Flaubert'a. Ten w ciągu zimowych miesięcy przebywał w Paryżu i zbierał u siebie co niedziela cały klan pokrewnych sobie pisarzy. Regularnie spotkać tam było można Turgeniewa, Edm. de Goncourt, Alfonsa Daudet, Emila Zolę, Pawła Alexis, Huysmansa, Hennique'a, Cearde, Cladel'a, wydawcę Charpentier, dziennikarzy, poetów, malarzy i rzeźbiarzy, uosabiających w sztukach plastycznych ten sam kierunek, co ci pisarze w literaturze. Ten rodzaj akademii, rozprawy i krytyki, które się tam wyradzały i krystalizowały w dogmata, był dla Guy'a de Maupassant upajającym haszyszem. Nic łatwiejszego do zrozumienia, że, chcąc zasłużyć na poklask swojéj koteryi, pisał on podług jéj kanonu i z zapałem młodości posuwał jéj teorye do ostatnich logicznych granic. Nawet dzisiaj, gdy wyrobił sobie po dziesięcioletniéj blisko twórczości samodzielną fizyognomią, można dopatrzéć się zależności i węzłów krewniaczych z tą szkołą. Nie wypiera się jéj ani na chwilę. Chociaż pochopny do samoistnéj twórczości, nie lubi się on bawić w abstrakcyjne teorye, w polemikę i w krytycyzm literacki, posiadamy jednak kilka prac jego, które nam pozwalają zrozumiéć jego piśmiennicze *credo*. Mamy tu na myśli małą broszurkę, gdzie kreśli portret Zoli, potém studyum literackie nad Flaubert'em, umieszczone w siódmym tomie kompletnego wydania dzieł tegoż i nakoniec rozprawę pod tyt. „Romans,“ umieszczoną jako przedmowę *pro domo* do jednego z jego ostatnich romansów: „Piotr i Jan.“ Wszystkie te trzy głosy wysławiają absolutną wyższość realizmu nad wszystkiemi innemi, dawniejszemi formami twórczości, w których widzi Maupassant jedynie pomniki historyczne. Krytyka nie ma prawa, podług niego, badać jakie są tendencye tego lub owego autora, ale domagać się, aby pisał stosownie do swego temperamentu utwory o ile można najdoskonalsze. Czysto indywidualne kryteryum! Autor w swém poszukiwaniu prawdy życiowéj nie potrzebuje nawet odsuwać żywiołów dlatego, że są wstrętne, albo że obrażają moralność codzienną, gdyż w każdych mieści się, jeżeli są zbadane i oddane wiernie, jądro prawdy, promień rzucający światło na życie. Wyniosła pogarda dla téj potocznéj moralności filistrów i pewien pesymistyczny pogląd na społeczeństwo dają się zauważyć w tych teoretycznych rozprawach młodego pisarza. Uprzedzamy czytelnika, że nie należy jednak do nich przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia, nietylko dlatego, że mając do czynienia z tak burzliwą naturą, należy jéj zostawić czas do wyszumienia się i ustatkowania, ale i dlatego, że Guy de Maupassant, jako prawdziwy pisarz

i artysta z temperamentu i powołania, czuje raczéj instynktowo teoretyczne pobudki, aniżeli jasno i chłodno zdaje sobie z nich sprawę. Zdawało się nam właściwém dać tu jego dyagnozę, ale najlepiéj będzie samych dzieł jego o nią zapytać.

Kilka pierwszych tomów wydanych przezeń było zbiorem drobnych nowel i powiastek. Pierwsza *Boule de suif* dała mu odrazu sławę w kołach literackich, a *la Maison Tellier* zamieściła go pomiędzy krańcowymi zuchwalcami literatury. Autor pokazał w tych nowelach niezaprzeczoną maestryą formy i to taką, iż odrazu pośpieszyli się oświadczyć niektórzy krytycy, iż nigdy nie będzie w stanie napisać większéj powieści: miało mu do tego, podług nich, brakować tchu, syntetycznego zmysłu i skazany został na drobne obrazki i szkice. Są one wyborne, powiadamy, w ogóle. W jakich dziesięciu ich tomach, które dotąd się pojawiły, nie ma najmniejszéj jednostronności. Autor, który przez czas jakiś ograniczał swe typy do warstw najprostszych społeczeństwa, i któryześrodkował swój dar spostrzegawczy nad instynktami i popędami najgrubszego materyalizmu, powoli się oczyszcza, uszlachetnia i widnokrąg jego zaludnia się jednostkami mniéj upośledzonemi. W dawniejszych nowelach był przerażająco zmysłowy, jakby nawiedzony lubieżnością i w niéj usidlony. Miłość zdawała się u niego sprowadzać do fizyologicznego zespolenia płci, i nie mógł przekroczyć tego koła czarnoksięskiego. Ale żywotność jego natury udowodniła się w ostateczném zerwaniu z tym poglądem jednostronnym, płaskim i cynicznym. Powoli pesymizm satyryczny ustąpił miejsca pewnemu wewnętrznemu wzruszeniu i pod piórem jego dawniéj nieubłaganém, ostrém jak brzytwa, znajdują się już nuty tkliwsze, boleśniejsze, bardziéj ludzkie. Autor zdaje się już rozumiéć, że można usłyszéć wydobywające się z głębi duszy ludzkiéj nietylko zwierzęce wycie Cybeli, ale i westchnienie łzawe ku uczuciom szlachetniejszym i czystszym. Nie twierdzimy, ażeby metamorfoza była całkowita i nie przypuszczamy, ażeby raz na zawsze zerwał z tym nałogiem młodocianym, nie radzimy, ażeby jego nowele były dawane do czytania panienkom, ale możnaby już w dotychczas wydanych zebrać kilkanaście, które mogą być uważane za prawdziwe klejnociki piśmiennictwa. Ci, którzy chcieliby się zapoznać z jednym z najświetniéj obrobionych, niechaj przeczytają *la Perle.* Uczuciowość i studyum nad miłością troskliwie pielęgnowaną i drzemiącą bezwiednie w sercu znużonéj życiem delikatnéj istoty, posunięte są do takiéj subtelności, a są wykonane z taką precyzyą mistrzowską, iż po latach nie podobna zapomniéć tego obrazu i że się go odczytuje zawsze z tém samém wzruszeniem.

Od nowel i powiastek przeszedł Guy de Maupassant do większych

utworów, nie zaniedbując wszakże bynajmniéj pierwszych i powracając do nich zawsze z tém samém zamiłowaniem, z tą samą świeżością fantazyi i jędrnością pióra. Ale można już sądzić go z szerszych jego powieści. Wypisaliśmy na wstępie ich tytuły w chronologicznym porządku. Pozostaje scharakteryzować je bliżéj.

Najmniéj zasługuje na pochwałę jego pierwsza powieść *Une Vie.* Autor był widocznie pod wpływem Flaubert'a, który w swéj słynnéj „Pani Bovary“ usiłował skrystalizować życie prowincyonalne w typach prozaicznéj pospolitości i wydobyć na jaw dramat spowity w duszy tych ślimaków. Maupassant także chciał dać nam obraz takich osobistości pospolitych, powszechnych i wlać interes dramatyczny w te szare maryonetki. Ale i plan téj powieści i jéj wykonanie nie odpowiedziało wymarzonemu z góry celowi. Joanna, żona vice-hrabiego de Lamarre, nie budzi w nas interesu ani jako dziewczę, ani jako żona, ani jako matka. Jéj martyrologia, prowadzona wytrwale i okrutnie przez dwie generacye, nie wywołuje współczucia, ale niecierpliwość. Czuje się plan pisarza otoczenia swéj bohaterki jednostkami z góry wybranemi do udowodnienia, że życie jest płaskie, brudne, niewarte łzy i przekleństwa; i ten gruby tom szary, bezbarwny, bez jednego promienia, bez jednego żywszego drgnienia serca i duszy, cięży na czytelniku, jak ołowiana mgła jesienna. Jedyne życzenie, które się żywi, jest przedrzéć się przez nią czém prędzéj i przejść do innego świata. Autor chciał przeciwstawić powieści romantycznéj takiéj, jaką pisywali George Sand, Oktawiusz Feuillet, Wiktor Cherbuliez inny model. Był on zniechęcający, powiadamy otwarcie.

Ale zaraz dwie następne powieści p. Maupassant udowodniły potęgę jego twórczego talentu i stanęły jako typ doskonały, skończony tego, do czego jest zdolną wznieść się szkoła realistyczna w powieści.

Bel-Ami jest, zdaniem naszém, arcydziełem tego pisarza, i ze swemi usterkami i zaletami, z których pierwsze są systematycznie posunięte do ostateczności, a z których drugie muszą być uznane nawet przez otwartych nieprzyjaciół, zasługuje na trwałe miejsce w beletrystyce współczesnéj. Powiedziano nieraz, że powieść Zoli *la Curée* dała obraz społeczeństwa za drugiego cesarstwa nieprześcignionéj prawdy i że zepsucie, rozkład towarzyski zostały tam napiętnowane rozpaloném żelazem satyry. Nie przeczymy słuszności tego zapatrywania, ale co nie pozwala całkowicie smakować w téj satyrze, to, że słyszymy autora piorunującego z wysokości swego kurulnego krzesła; brakuje temu obrazowi naturalności, swobody, prostoty. Te właśnie zalety posiada *Bel-Ami.* Autor nie uprzedza nas, że stawia pod pręgierzem społeczeństwo

obecne, ale czyni to z taką swobodą i bez najmniejszego kapłaństwa, że czytelnik staje się mimowolnym jego wspólnikiem i sam, zamykając książkę, wydaje nad społeczeństwem tak scharakteryzowaném sąd drakoński, którego sobie autor zabronił w swym obiektywizmie. Obiektywny jest autor, to prawda, ale nie może utaić swego pesymistycznego nastroju ducha. Pokazuje nam świat ohydny, sromotny. Ów George Duroy, jego bohater, przezwany Bel-Ami, jest najbezczelniejszym awanturnikiem i autor prowadzi go przez całą drabinę sukcesów, aż do ostatecznéj apoteozy. Dziennikarstwo jest dla niego zawodem urzędowym, a kobiety, które lgną do jego pięknych wąsików jak muchy i które się w nim rozkochują jedne po drugich, są narzędziami, któremi się posługuje, które wyzyskuje z cynizmem bez najmniejszego złagodzenia. Autor wprowadza nas za kulisy dziennikarstwa i chociaż po nieśmiertelnych szkicach, jakie się znajdują o niém w powieściach Balzac'a, po nowszych a ciekawych studyach, jakie zawiera powieść braci Goncourt *Charles Deligny*, nie można było powiedzieć wiele nowego, p. Maupassant potrafił w swéj lekkiéj karykaturze zamknąć rysy, o których prawdziwości wątpić nie ma się prawa. Nie przeczymy, że zarówno w tym obrazie świata dziennikarskiego, jak i świata politycznego, jest jaskrawość i przesada i że autor posługuje się tém tłem, ażeby uwydatnić możliwość powodzenia awanturnika, który świat ten uosabia; ale wadę i jednostronność widzimy właśnie w tém nagromadzeniu samych tylko ujemnych charakterów. Nie ma ani jednego uczciwego wśród tego zatrutego świata. Wszyscy mężczyźni gonią za pieniędzmi i są przedajni, wszystkie kobiety są albo wszetecznicami, albo upadają w błoto rynsztokowe. Są tam sceny pełne moralnéj sromoty, gdzie dusze ludzkie rozebrane do nagości wiją się w pandemonicznych kurczach. Jest istotne okrucieństwo w metodzie autora, który bez chwili odpoczynku, bez wytchnienia prowadzi nas od jednéj sceny ohydnéj do drugiéj, a to uwieńczenie tryumfalne awanturnika, pozwalające przeczuwać jego wejście do społeczeństwa regularnego, jako zachowawcy, jest kwintesencyą pesymizmu, urągającego się organizacyi społecznéj, normalnéj i wszystkim zasadom uznanym za podwaliny społeczeństwa ludzkiego. Nie ma więc prawdy w tym poglądzie i w tym wybryku ironii młodego realisty, ale są tylko sceny i epizody prawdziwe. Czytelnik jest oszołomiony, porwany tą werwą, tym dobrym humorem, żartobliwością, a przytém jasnością, zwięzłością, precyzyą metody opisowéj. Ani jednego rysu, ani jednego słowa zbytecznego: wszystkie promienie ogniskują się w punkcie środkowym. Od czasu Merimée'go nie było w piśmiennictwie francuskiém pisarza, któryby do takiego stopnia posiadał te zalety formy, jakiemi zabłysnął Guy de Maupassant.

Następna powieść jego nosi tytuł „Piotr i Jan.“ Jest to istotnie utwór znakomity w ścieśnionych ramach monografii jednéj mieszczańskiéj rodziny, jest to dramat krwawy i bolesny, pokazujący już nie powierzchowne, ogólnikowe poglądy na ustrój towarzyski, ale psychologiczne studyum przedsięwzięte nad duszą ludzką z dokładnością analizy naukowéj i z odwagą operatora, który w obec ludzi kraje pacyenta, pewnym będąc swéj ręki i swéj wiedzy. Autor wprowadza nas do rodziny paryskiego jubilera, który zarobiwszy mały majątek osiadł w Hawrze na starość wraz z żoną i dwoma dorosłymi synami, z których jeden jest doktorem, a drugi adwokatem. Ani fizycznie, ani moralnie nie ma pomiędzy Piotrem i Janem Roland najmniejszego podobieństwa: starszy jest naturą energiczną i szorstką, drugi wyrafinowaną i bierną. Domowy byt i prozaiczna egzystencya téj rodziny scharakteryzowane są po mistrzowsku, a postacie rodziców i niewielkiéj liczby przyjaciół naszkicowane tém piórem biegłém, gdzie z jaskrawego przedstawienia tonów wizya wydobywa się bez najmniejszéj trudności. Dramat rozpoczyna się od wiadomości, że na młodszego z synów spadł znaczny spadek po dawnym przyjacielu rodziny, od lat kilkunastu straconym z oczu. Z nadzwyczajną trafnością i precyzyą rysów autor wyłuszcza gammę uczuć, przez jakie przechodzi Piotr na wiadomość o tym nowym faworze, jaki spotkał jego brata. Małe z razu rozdraźnienie, podniesione jest materyalnemi okolicznościami do zazdrości, ale dopiéro gdy szlachetna, gorączkowa ta natura chce ją zwalczyć, świat dorzuca do niéj swe zatrute ziarno. Podejrzenie rodzi się zwolna w jego umyśle, wzmacnia mnóstwem drobnych spostrzeżeń i nareszcie jak lawa gorąca pierś jego zalewa. Nabiera on przekonania, że ów Marechal był kochankiem jego matki i ojcem jego brata. To straszne odkrycie oddźwięka w jego temperamencie i odtąd w sercu jego z synowskiém uczuciem dla matki walczy wstręt i odraza dla kobiety, co schańbiła łoże ojcowskie. Ta walka uczuć i ta tyrania, z jaką się obchodzi z biedną, cierpiącą, złamaną życiem kobietą, jest oddana po mistrzowsku. Biegły romansopisarz dochodzi do rozerwania węzła tragicznego, rzuca zbolałą matkę w ramiona i pod opiekuńcze skrzydła młodszego syna, który nie czuje najmniejszego popędu do potępienia jéj, a starszy syn, o sercu strzaskaném rozpaczą, wyrzutami sumienia, co mu pokazują niegodziwość postępowania względem matki, odpływa w świat jako lekarz okrętowy. Wskutek reszty téj ironii, któréj Maupassant oduczyć się nie może, przedstawia on ojca jako nicość, jako najzupełniejsze zero, około którego rozegrywała się dawniéj komedya miłosna bez jego wiedzy, około którego rozgrywał się obecnie dramat straszny skruchy, wyrzutów sumienia, walki na noże syna przeciwko matce, kłótni dwóch

braci, rezygnacyi, ucieczki jednego, tryumfu, małżeństwa drugiego, a to wszystko bez żadnego z jego strony udziału, bez żadnéj świadomości... I autor kończy, zostawiając wszystkie osoby swego dramatu w pełni swéj życiowéj akcyi. Jest to ulubioną teoryą szkoły naturalistycznéj, ów brak końca: w powieści, tak jak w życiu, nie ma być ani początku, ani epilogu. Nieraz naciągane, tutaj zakończenie takie ma istotnie poetyckie piękno. Po uraganie, co zamącił chwilowo życie téj rodziny, wszystko powraca na pozór do stanu codziennego: matka będzie rozpamiętywała jedyny promień słoneczny w swém pochmurném życiu, syn, co się skazał na tułaczkę, znajdzie uspokojenie w oddaleniu za zbrodnią na własnéj popełnioną matce. Jan z pogodném czołem będzie korzystał z uśmiechów życia, a ów ojciec będzie wiódł daléj swe życie próżne, żadne, aż umrze, nie zostawiwszy po sobie ni żalu ni wspomnień. Wrażenie, jakie ta powieść wywiéra, jest głębokie. Nie ma tu już goryczy, oburzenia i protestacyi, jakie wywołać musiał *Bel-Ami*, ale jest ból, sympatya wzbudzona cierpieniami odczuwanemi przez pokrewne nam ludzkie istoty. Czujemy wdzięczność dla autora, że się nie naigrawa z téj krzyżowéj drogi i że nie oszpeca nam umyślnie tych męczenników. To uszanowanie boleści jest dowodem, że pisarz wzniósł się o jeden szczebel wyżéj w swéj twórczości.

Trzecia z rzędu jego powieści *Mont-Oriol* ukazała się, gdy autor był już sławnym, i w przeciągu dwóch lat z łatwością pozyskała trzydzieści wydań. Ale jeżeli publiczność lgnęła już teraz z ufnością do poczytnego i utalentowanego pisarza, to nie szło zatém, aby talent jego zawsze na tych samych mógł był się utrzymać wyżynach. Łatwość, z jaką p. Maupassant pracuje, może nieraz jeszcze podobnego spłatać mu figla i każe mu uważać za skończony utwór, który jest zaledwie kartonem do obrazu. Akcya téj powieści jest bardziéj skomplikowana, aniżeli to ma zazwyczaj u niego miejsce, i liczba działających osób znaczniejsza. Ale nie udało się też autorowi dać im téj plastycznéj wypukłości, tego wewnętrznego życia, do którego nas był dotąd przyzwyczaił. Stacya wód mineralnych w Owernii i napływ gości dały autorowi sposobność pośpiesznego naszkicowania mnóstwa sylwetek, z których niejedna jest karykaturą. Za węzeł dramatyczny służy utworzenie nowego zakładu wód przez spekulanta paryskiego, żyda p. Andermatta, który jest wyprowadzony w pole przez chytrego wieśniaka miejscowego, Oriola. Ale wśród tych zachodów, intryg, które przypominają elegancką powieść Droz'a *Autour d'une source* i które zostawiają czytelnika dość obojętnym, autor umieścił dramat miłosny pomiędzy żoną owego prozaicznego bankiera Andermatta Krystyną a p. Pawłem Bretigny. Kobiéta, wielkoświatowa laleczka, w któréj

drzémały dotąd nietylko nierozbudzone namiętności, ale nawet instynkta, porwana jest w koło zaczarowanéj, gwałtownéj, bezgranicznéj miłości. Autor z wielką prawdą pokazał, jak się pod wpływem poezyi tego uczucia rozwija natura kobiéty i jak się jéj charakter rozszerza. Nieszczęście bohaterki miéć chciało, że ów jéj wyidealizowany kochanek nie był niczém mniéj jak bohaterem. Natura łatwa do entuzyazmów, ale bez żadnéj głębi, zmienna, szukająca zaspokojenia swych zmysłowych popędów i używająca dla dopięcia tego celu wszystkich swych umysłowych powabów, Paweł Bretigny jest rodzajem arlekina, wywracającego koziołki na linie miłości. Ten typ zbliża się do Bel-Ami, chociaż nie posiada jego cynizmu. Nie przeszkadza mu popełniać podłości: taką jest opuszczenie Krystyny i poślubienie rozkochanéj w sobie bogatéj córki Oriola. Autor nie wystudyował jednak téj natury dokładnie i czytelnik nie jest w stanie uczynić sobie o niéj dokładnego wyobrażenia. Jest kilkanaście charakterów drugorzędnych, naszkicowanych z werwą i z tym kolorytém błyszczącym, który Maupassant z łatwością znajduje na swéj palecie, ale nie jest to w stanie zasłonić braków psychologicznych u kilku głównych osób. Przechodzenie z jednych uczuć do drugich jest przedmiotem, który mógł zaciekawić bystrego spostrzegacza. W szerokich ramach, zapełnionych drobiazgami, autor nie znalazł dla niego miejsca. Można tego żałować i stąd też nie podobna téj powieści dać miejsca tak poczesnego jak innym w długim już jego katalogu.

Ostatnia powieść p. de Maupassant nosi tytuł *Fort comme la Mort*. Pojawiła się na wiosnę r. z. i ma do téj chwili powodzenie księgarskie olbrzymie. Krytyka potwierdziła sąd doraźny, wydany przez publiczność. Jest to powieść nie wielka rozmiarami, ale potężna koncentracyą talentu pisarskiego. Jak Julia de Trécoeur w pośród powieściowego żniwa Oktawiusza Feuillet przeważyła, chociaż drobna rozmiarami, wszystkie jego wielkie powieści z wyjątkiem *Monsieur de Camors*, tak samo ta powieść p. Maupassant przeważa nietylko *Mont-Oriol*, ale i *Bel-Ami*, i jest istotnie czystéj wody klejnotem wśród téj chaotycznéj jego piśmienniczéj produkcyi. Mamy tutaj kilka osób ale jak wystudyowanych, jak wycieniowanych! Bohaterem jest malarz, wielki malarz salonów, mistrz w portretach, członek akademii, syt zaszczytów towarzyskich. Autor pokazał w najdrobniejszych szczegółach, jak się utworzyła ta natura, gdzie pod lakierowaną salonową powłoką, starły się stopniowo wszystkie oryginalne porywy ducha artystycznego i jak wzięty on został w sidła wielkoświatowéj miłości. Pokochał i został pokochany przez powabną hrabinę, która w miłość tę włożyła wszystkie siły swe życiowe. Ażeby nie stracić tego kochanka,

któremu jest wyłącznie wierną, wprowadziła go do swego koła rodzinnego i towarzyskiego, zaspokoiła wszystkie jego potrzeby epikurejskie i artystyczne i trzymała tego lwa na uwięzi przez lat kilkanaście. Oboje stają się ludźmi dojrzałymi, ale ona kocha z gwałtownością młodości i siłą wyjątkowego uczucia, kiedy on idzie raczéj za głosem przyzwyczajenia. Naraz pojawia się trzecia osoba, córka hrabiny, Aneta, żywy portret swéj matki z lat jéj młodości i występująca teraz w świecie u boku powabnéj jeszcze matki. W szeregu silnie zarysowanych scen autor uwidocznił, jak się z razu bezwiednie wielki malarz zajmuje młodą panienką i jak w przywiązaniu do niéj, w czci dla jéj piękności widzi tylko hołd dla matki. Ale stopniowo to nowe uczucie zyskuje na samodzielności i na samowiedzy. Czuje, że kocha ją samę przez się z całą gwałtownością skomplikowanego uczucia, a więzy w jakich się znajduje, zaczynają mu ciężyć niepomiernie. Druga strona psychiczna tego obrazu jest niemniéj drastycznie skréślona. Kobiéta tracąca miłość, w któréj cała jéj istota byłaześrodkowaną, czépia się jéj uparcie, gorączkowo, cierpi i wije się z rozpaczy, kryjąc ból wewnętrzny. I tych dwoje męczenników idzie ze stereotypowym uśmiechem salonowym na ustach po swéj ciernistéj drodze. Właśnie dla tego, że nie ma scen tragicznych i awantur, wrażenie staje się potężném. Jako prawdziwy dowód już dojrzałego i umiejącego panować nad sobą talentu, widzimy ten rys, iż Aneta nie podejrzywa bynajmniéj téj miłości, któréj jest przedmiotem, że kroczy nad przepaścią nie marząc o jéj głębi, że wychodzi za mąż w swéj sferze towarzyskiéj i że nigdy sobie nie wyobrazi, iż jéj ślub spowodował śmierć człowieka, w którym widziéć była przywykła wiernego przyjaciela swych lat dziewczęcych. Gdyż ten rozkochany artysta nie może znieść dłużéj brzemienia życia i umiéra — umiéra z miłości. Uczucie zdruzgotało go: było silném jak śmierć. Scena jego śmierci, gdy u jego łoża czuwa kobiéta, która go ubóstwiała, ma istotnie grozę tragiczną. Niepodobna ani nic dodać ani nic ująć z tego całego opowiadania, w którém tętni prawda życiowa, w krwi i łzach kąpana, wyjątkowa może ale naturalna, występna, ale nie tarzana w kałuży i nie sprofanowana płaskiemi, trywialnemi szczegółami.

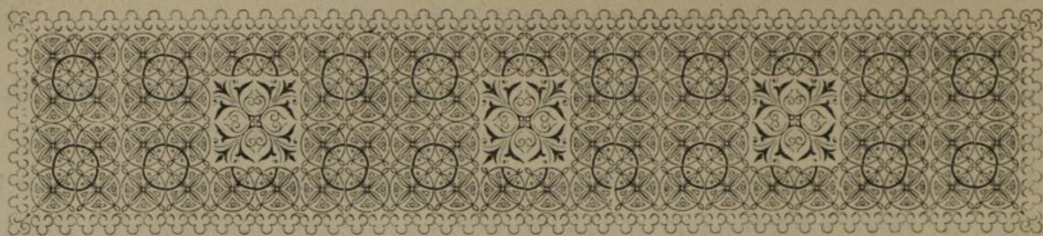
Fort comme la Mort jest silną i piękną powieścią. Szkoła realistyczna francuska może się po jéj autorze spodziéwać wiele. Wybawił on ją już z kompromitującéj zależności od naturalizmu, i udowodnił, że można nakréślić bez cynicznych wybryków dramat wyjęty z życia, najściśléj z nim związany, nie czyniąc żadnych ustępstw konwencyonalizmowi.

Gdybyśmy się nie obawiali znużyć uwagi czytelnika, zapoznalibyśmy go jeszcze z kilku innemi nowszemi utworami p. de Maupas-

sant. Jeden, *Horla*, opowiada jego wrażenia z żeglugi powietrżnéj; drugi, *Sur l'Eau*, z wycieczek morskich, jakie odbywa na swym jachcie, Bel-Ami. Ten ostatni tomik pozwala wniknąć w naturę młodego pisarza, wrażliwą na piękno w jakiejkolwiek się ono manifestuje formie, żądną ruchu, działalności, naturę gorączkową, energiczną, szlachetną... Ale tém śmieléj możemy te dodatkowe rysy do przyszłych odłożyć okoliczności, że już nam wydawcy p. de Maupassant, nowe jego zapowiadają utwory. Gdy nam o nich mówić przyjdzie, powrócimy do naszego autora, jak do starego znajomego.

Ten.





WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI

W WARSZAWIE.

Parę tygodni temu otwarta w pałacu Muzeum przemysłu i handlu „Wystawa sztuki starożytnéj i nowożytnéj, stosowanéj do przemysłu,“ ze względu na jéj cel i charakter przedmiotów, zasługuje na poważniejsze wyróżnienie wśród powodzi ekspozycyjnéj, nawiedzającéj Warszawę od lat kilku. O ile wyrozumiéć mogliśmy organizatorów téj wystawy, ma ona zadanie dydaktyczne i jednocześnie dążność do ujawnienia postępu w zakresie wytwórczości rękodzielniczéj artystycznego charakteru. Wskazanie zatém doskonałych wzorów do naśladowania i obrachunek pracy bieżącéj przyświecały powstaniu wystawy, co, mówiąc nawiasem, leży w bezpośrednim zakresie programu Muzeum. Z tego téż stanowiska rzucamy okiem na całość wystawy i szczegóły jéj ważniejsze, zastanawiając się tu i owdzie nad właściwościami artystycznemi zabytku lub nowego okazu, albo uwydatniając obyczajowo-pamiątkowe znaczenie niejednego pomnika przeszłości.

Jakoż wystawa, całość biorąc, przedstawia się bogato, powiedzmy nawet, imponująco, a w niektórych działach błyskotliwie, pociągając rozmaitością i wykwintem. To jéj charakterystyka ogólna. Bogactwo jakościowe uwydatnia się i w szczegółach, w osobno branych okazach, szkoda tylko, że zamało położono tutaj nacisku na dydaktyczny charakter ekspozycyi i na uwydatnienie postępu w pracy naszéj na niwie sztuki, stosowanéj do rękodzieł. Przecież dydaktyzm i obrachunek był celem wystawy, należało je przeto traktować odpowiednio.

Rozumiemy trudności w grupowaniu wystawy podług epok i stylów, gdyż na taki rezultat potrzeba o kilkakroć więcéj zabytków, ale nie pojmujemy, co skłoniło zarząd ekspozycyi, że publiczności dał w rękę katalog szematyczny, częstokroć zacierający w niéj

i tak nader słabe pojęcie o zabytkach przeszłości. Dydaktyzm np. wystawy nie pozwalał wcale na to, aby zabytki słowiańsko-polskiéj pogańszczyzny sumarycznie figurowały w katalogu, lub, ażeby pierwsza lepsza szabla, należąca do grupy „batorówek,“ była podawana jako „szabla Stefana Batorego“ (ob. nr. katal. 499, 500 i 501); pierwsze zjawisko niczego nie uczy, drugie zaś, dogadzające próżności i handlarstwu, w błąd wprowadza nieświadomych rzeczy.

W oddziale znowu okazów nowożytnéj sztuki stosowanéj, pozamieszczano przedmioty nie wiem już poraz który wystawiane i nagradzane, jak np. duże okno gotyckie (Nr. 105), szafa dębowa (Nr. 104) lub wyroby srebrne (Nr. 153), albo wreszcie szachy kościane, których wykonanie nie ma nic wspólnego z wystawą (Nr. 51 i 59). Takich przykładów wskazalibyśmy wiele, sądzę jednak, że już powyższe wystarczą do udowodnienia, jak zarząd wystawy mało troszczył się o poważne rozwinięcie przyjętego programu. Wystawianie oglądanych kilkakrotnie w tychże salonach przedmiotów, lub produkowanie rzeczy, Bóg wié kiedy i przez kogo wykonanych, obniża doniosłość saméj ekspozycyi i zarazem wyradza jéj lekceważenie przez rękodzielnika i publiczność, zawsze chciwą nowych wrażeń a zawodzoną często.

Wskazując tego rodzaju braki wystawy i katalogu, jestem pewny, żeby ich nie było przy czynnym współudziale znanych zaszczytnie na polu nauki i pracy społecznéj wielu z pomiędzy członków komitetu, urządzającego ekspozycyą. Żałować téż należy, że się tak stało, bo tym sposobem katalog nie ma żadnego naukowego znaczenia, a bieżąca nasza sztuka stosowana, nie wiem, czy się cokolwiek stąd zasili. Kiedy już robiono nakład, katalog warszawskiéj wystawy starożytności z r. 1856 powinien być wzorem dla niego.

Lecz przystąpmy do właściwego przeglądu wystawy.

Gdy ostatnie dwie wystawy starożytności, urządzone w Warszawie w latach 1881-ym i 1887-ym, mało zawierały w sobie zabytków kopalnych świata pogańskiego, — obecna szczyci się wcale poważnym ich zbiorem, zgromadzonym głównie przez pp. D. J. Samokwasowa, Tadeusza Dowgirda, K. hr. Przezdzieckiego, K. Wojciechowskiego i Józefa Przyborowskiego. Więc znajdujemy tu najróżnorodniejsze zabytki, wykonane z kości, rogu, kamieni, bronzu, muszli, bursztynu, złota, srebra, gliny i żelaza, a nawet i okazów szklanych dostatek, obok ziarn zboża, włosów i tkanin rozmaitych. Bez zaprzeczenia świat kopalny, kultura pogańszczyzny słowiańsko-polskiéj znalazły szeroką i niemal wszechstronną reprezentacyą.

To, co nam badania historyczne prawią o wpływie kultury grec-

kiéj na ziemie, znane dzisiaj pod nazwą Wołynia, Ukrainy i Podola jest doskonale stwierdzone przez tysiące przedmiotów, stanowiących kolekcyą cennych wykopalisk p. Samokwasowa. Zwłaszcza przedmioty z metalu, kości i gliny są najwymowniejszemi świadectwami wpływów greckich. Pierwsza lepsza skorupa, należąca do grupy scytyjsko-sarmackiéj, zaraz na pierwszy rzut oka wyróżnia się od ułamków i całych naczyń glinianych, wydobywanych tak licznie na dorzeczach Wisły, Warty lub Niemna. Gdy w pierwszych panuje linia miękka, falista, wiążąca się w pełne harmonijne i rytmiczne grupy, w drugich ornament zwykle biegnie linią gzygzakowatą, albo układa się z obwódek i wycisków geometrycznego kształtu, jak to np. widzimy na popielnicach z miejscowości Rusiec lub z Manieczek, Dobieszewka i t. p., zdobiących gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. I w ornamentyce bronzów scytyjsko-sarmackiéj epoki, wedle Samokwasowa, ciągnącéj się do V-go wieku po Chrystusie, znajdujemy tenże sam wpływ helleński, podczas gdy zabytki spiżowe późniejsze posiadają więcéj prostolinijne zdobienia.

Ale wśród téj rzeszy wykopalisk, oglądanych na wystawie, posiadamy i takie, które wykazują wpływ kultury rzymskiéj, jak np. ów hełm duży z grzebieniem i wypukłemi guzami, wykopany w Krzemiennéj obok wału Trajana (Nr. 10), będący własnością p. Pułaskiego. Piękny ten okaz nie dorównywa jednak kociołkowi bronzowemu (Nr. 27), znalezionemu w Słupcy pod Koninem i należącemu do p. Szaniawskiego starożytnika warszawskiego. Wśród perełkowych i gładkich obwódek uderzają na nim wyobrażenia słońca, koni i ptactwa, obok innych kołowych zdobień, niepodobnych w niczém ani do helleńskich, ani do archaicznych rodzimych, przypominających zdobienia na serach owczych, buławie bronzowéj znalezionéj w Grądach pod Tarnowem, lub te wypalane na naczyniach drewnianych ręką wieśniaka. W ornamentyce naszego kociołka widnieje typ epoki przedhelleńskiéj, powiedzielibyśmy wpływ fenicki, któremu podlegały silnie ziemie zajęte przez dzisiejszych Słowian północno-wschodnich. Piękny ten okaz ma wiele pokrewieństwa z zabytkami prof. Samokwasowa, zaliczonemi przez niego do epoki cymeryjskiéj. I tu i tam kult słońca w pierwotnych jego pojawach wycisnął swoje piętno.

Bogata kolekcya wykopalisk p. Tadeusza Dowgirda przenosi nas wyłącznie na ziemie litewsko-ruskie, dostarczając pięknych bronzowych naszyjników, zapinek, naramienników, sprzączek, klamer, guzów, pierścieni, grotów, medalionów i t. p. obok okazów ceramiki prymitywnéj i wyrobów z kamieni, jak np. młotów ładnie szlifowanych, narzędzi i wiórów krzemiennych. Ornament typu prostolinijnego i kolistego

przeważa w tych bronzach, badanych już dawniéj przez hr. Tyszkiewiczów, Kotlarewskiego, Kirkora i innych. Nasz kolekcyonista z zamiłowaniem gromadzi te skarby zamierzchłéj przeszłości, w któréj wielki Perkunas rządził niebem i ziemią, podobnie jak Światowid słowiański lub gromowładny Zeus helleński. Dając poklask owemu zamiłowaniu p. Dowgirda, nie możemy się zgodzić z jego poglądem na świat wykopalisk, poglądem zresztą wyznawanym powszechnie przez archeologów, streszczającym się w podziale kopalnych zabytków kultury pogańszczyzny naszéj na epokę kamienną, bronzową i żelazną. Zdaniem mojém, podział taki może miéć tylko teoretyczne znaczenie, podczas gdy bieg kultury nie wié nic o czémś podobném. Że to i owo cmentarzysko albo mogiła dostarczą zabytków wyłącznie bronzowych albo kamiennych, nie dowodzi to jeszcze jakiéjś epoki cywilizacyjnéj, skoro o miedzę natrafia się groby ze szczątkami narzędzi zarówno z kamienia, bronzu i żelaza, a charakter techniczny i artystyczny ceramiki nie uwydatnia żadnych różnic typowych. Podobna klasyfikacya wygląda jak monetarny system wyprowadzony z pomników bronzowych przez Kissa. Toż dzisiaj na jednych powierzchniach ziemi są w użyciu łyżki drewniane, żelazne i srebrne, albo guziki kościane, rogowe i metalowe, niechżeż więc kto na téj podstawie wykreśli epoki szlaków cywilizacyjnych? Jeżeli co, to tylko jakość techniki i charakter linii kształtów i zdobień mogą coś mówić o epokach cywilizacyjnych człowieka i to jeszcze z uwzględnieniem warunków geograficzno-przyrodniczych. Herodot np. opisując Traków, jednocześnie widzi mieszkańców nawodnych i osiadłych bezpośrednio na ziemi, nie przypuszczając pewno nigdy, że kiedyś archeogowie wymyślą palaficistów, jaskiniowców i t. p. zjawiska epokowéj kultury.

Zwróciwszy jeszcze uwagę na piękne okazy strzałek, grotów, nożyków, wiorów i t. p., wykonanych z krzemienia, a zebranych przez prof. Józ. Przyborowskiego nad Wisłą, Bzurą, Świdrem, Wieprzem i Tyśmienicą, zmierzamy do pomników zbroi i oręża, którymi przodkowie nasi pisywali bojowe traktaty, przejmujące nas dzisiaj dumą lub wstydem. Zwrot ten od zabytków kopalnych do okazów zbroi i oręża z doby historyczno-chrześciańskiéj, jest tém więcéj uzasadniony, że w pierwszych znajdujemy zjawiska, będące prototypem drugich. Niewątpliwie siekierka lub młot kamienny w epoce pogaństwa był tém, czém w dobie historycznéj buława hetmańska i berło królewskie, podobnie jak ładne spirale i naszyjniki cmentarzysk w stosunku do kolczug i pancerzy rycerskich. Koła bronzowe naszywane na kaftan łosiowy praojca Słowianina, były ozdobą i opancerzeniem zarazem; groby naszéj pogańszczyzny i zabytki ry-

cerskie, zebrane przez Lindenschmidta, doskonale ilustrują ono twierdzenie. Z biegiem czasu owe koła naszywane suciéj i wiązane ze sobą, wytworzyły średniowieczną kolczugę, koszulkę drucianą o dużych ogniwach, zmniejszających się stopniowo w epoce odrodzenia. Wśród kolekcyi prof. Samokwasowa, znajdujemy piękne fragmenty kolczugi razem z resztkami żelaznego oręża, zdaje się z XIII wieku, zniszczone na stosie ciałopalenia.

Przechodząc od tych świadków krwawego dramatu do wielkiéj sali Muzeum, zaraz na wstępie uderzą nas zastępy pancernych, husaryi i różnego autoramentu rycerskie zjawiska. Tu manekin od stóp do głów opancerzony kolczugą, tam w stal zakuty stoi, jak pomnik spiżowy, a ówdzie z naplecznikow żelaznych husarzy strzelające skrzydła zdają się szeleścić złowrogo, jak ongi, gdy przed nimi pierzchały pohańców zastępy. Inny świat wieje z tych zabytków, my wobec niego wydajemy się karłami. Nie wątpię, że żaden z nas nie ruszyłby się w boju, gdyby mu przyszło nosić taką zbroję stalową (Nr. 413), lub karacenę (N. 415), albo ono opancerzenie (Nr. 419) z godłem orderu orła białego: *pro fide, lege et rege*. Są to nader poważne zabytki, będące ozdobą zbiorów ordynacyi hr. Krasińskich, która najwięcéj dała na wystawę zbroi i oręża. Nie można tu również pominąć ani karaceny (Nr. 412) p. Millera i drugiéj hr. E. Czapskiego (Nr. 416), ani kolczugi p. Kolasińskiego (Nr. 420), albo przepysznéj zbroi (Nr. 428) husarskiéj ze zbiorów ordynacyi hr. Krasińskich. I owe wskazane dopiéro i drugich siła pancerzy i kolczug należą do tego rodzaju pomników przeszłości, żebyś z lubością o nich marzył i pisał traktat naukowy, wzmacniając go bojowymi rynsztunkami i orężem przechowywanym w Krasiczynie, Podhorcach i w Muzeum Lubomirskich we Lwowie.

Ale krótkie sprawozdanie nie pozwala na rozkosz taką, więc i o koncerzach i różnych gatunkach broni siecznéj, zaledwo nam przypada wzmiankę przelotną uczynić, tak samo jak i o szeregu buław i buzdyganów pięknych, zdobionych zamożnie sposobem inkrustacyi lub *niello*.

Każdy kto oglądał zabytki zbroi i oręża, zauważył pewno, że owe pomniki chociaż służyły utylitarnym względom, zawsze jednak uwydatniały w sobie charakter sztuki, linii artystycznéj, panujący w danéj epoce. Gdy np. buławy dawne posiadają pióra wielokątne, w XVII wieku przybierają formy esowate, lub spływają się w kulę w myśl renesansu i baroka. To téż np. hełmy i tarcze żelazne, z wykuwanemi wypukło figurami i ornamentyką a pochodzące z XVI w., noszą na sobie wszystkie znamiona piękne z epoki reformacyi. Trady-

cya przypisuje te wytworne zabytki Zygmuntom naszym, co być może w istocie, gdyż monarchowie ci żywo zajmowali się dziełami sztuki i artyzmu. Hełmy owe i tarcze są perłami zbiorów ord. Krasińskich.

Gdyby nie moc zabytków oczekujących naszego spojrzenia, zatrzymalibyśmy się przy szeregach broni palnéj, z zamkami kołowemi i łożami misternie wykładanemi w stylu odrodzenia, kością słoniową lub masą perłową, zastanowilibyśmy się i nad kuszami, rzucającémi mordercze pociski i nad różnego kalibru strzelbą i grupą rzędów na konie suto zdobionych srebrem, złotem i kamieniami, obyczajem polskim lub wschodnim. Rzędy te jednakże, acz wytworne i bogate, nie dorównywają rzędowi hetmana Jana Tarnowskiego, przechowywanemu w Dzikowie i takiemuż zabytkowi po dzielnym bojowniku z odsieczy wiedeńskiéj Stanisławie Jabłonowskim.

Ze wspomnieniem pięknéj kolekcyi ryngrafów, osłaniających niejako puklerzem piersi naszych rycerzy, zbliżamy się do zabytków sztuki kościelnéj, któréj wystawa zaprezentowała dobór wielki, zacząwszy od panowania pierwszych Piastów, aż do epoki saskiéj. Więc stuły, ornaty, kapy, kielichy, monstrancye, relikwiarze, ampułki, krucyfiksy, sukienki, puszki i t. p. przedmioty, dają wymowne świadectwo téj dbałości o dzieła sztuki i artyzmu, jaką tak chlubnie kościół odznaczał się w przeszłości naszéj i Europy.

Chociaż niewiele skarbców kościelnych obesłało wystawę, przecież i te zabytki, jakie tu widzimy wystarczą do utwierdzenia w sobie przekonania, że piękno, że jego głębokie poczucie było czynnikiem nierozdzielnym życia wieków minionych. Widzimy to choćby i na kielichu dużym, srebrnym, z XIII wieku, którym Konrad I, książę mazowiecki, udarował katedrę płocką. Dar to iście monarszy, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę czas, w którym go wykonano. Na patynie wyobrażono księcia na koniu, a wokoło niego cztery figury suplikantów, na czaszy dano imiona Piastowiczów, a na podstawie wyryto figury proroków starego testamentu. Wszystkie te postacie pomieszczono w otoczeniu architektonicznem kolumn i arkad panującego ówcześnie stylu romańskiego, a rysowano je tak grawerunkiem, że uwydatniają akcyą odpowiadającą duchowemu nastrojowi. Jestto zaleta wysoka, o czém bizantynizm nie myślał nawet, a co romanizm tylko w przedniejszych pomnikach sztuki ujawniał. Dramatyzowanie rzeźby i malowideł stanowi na XIII wiek rzadkie zjawisko, stąd ten kielich katedry płockiéj zajmuje bardzo poważne stanowisko w dziejach sztuki romańskiéj.

Lecz i syn romanizmu, gotyk niemniéj zamożnie wystąpił na wystawie. Kielich srebrny złocisty z r. 1492 po kanoniku płockim Janie

Załuskim i takiż zabytek z XV w., zdobiący kościół miechowski, nie przestaną należéć do najszacowniejszych utworów jubilerstwa średniowiecznego. Zwłaszcza ten miechowski, zdobiony figurami świętych, emalią i kamieniami, odznacza się świetną kompozycyą i dobrém wykończeniem. I kielich katedry włocławskiéj i monstrancya katedry płockiéj, dzielnie podtrzymują dobre imię sztuki ostrołukowéj. Ostatnia zdaje się pochodzi z początków XVI wieku, kiedy to filigrany gotyckie wstrząśnięte zostały i zdruzgotane przez raptowne wkroczenie do Polski sztuki odrodzenia. Na twierdzenie takie naprowadzają nas reminiscencye bliźnich okien środkowéj wierzyczki, przypominające niszowania schyłkowego ostrołuku w Polsce, oraz kostki renesansowe pod gotyckiemi kolumienkami i skrzydeł przezrocza, których linie arabesek mają już zacięcie renesansu.

Okoliczności powyższe jak i wizerunki książąt mazowieckich na romańskim kielichu płockim zdają się świadczyć, że zabytki te zostały wykonane przez jubilerów polskich, podobnie jak przesławny relikwiarz katedry na Wawelu, będący dziełem krakowskiego złotnika, co się Marcin Martinecz pisał. Nie możemy tego powiedziéć o wspaniałéj monstrancyi i krzyżu katedry warszawskiéj, najprawdopodobniéj są to utwory jubilerstwa niemieckiego z XVI stulecia.

Ostrołuk ma to już do siebie, że nie znosi kompozycy połowicznych, w każdém jego, czy to monumentalném, czy jubilerskiém dziele musi ujawnić się w całéj okazałości konstrukcya stylowa. Szczegół osobno brany, jest jak zwrotka niedomówiona, dopiéro w liczbie, w całości, razem z innemi daje dzieło skończone. Jak w życiu średniowiecza, tak i tutaj indywidualizm jednostek podporządkowany został zasadom ogółu. Okazy wystawowe, dopiéro co oglądane, potwierdzają to zjawisko charakterystyczne, którego w równym stopniu nie posiada sztuka odrodzenia, indywidualizująca swoje kreakcye. W renesansie zarówno kolumna, jak i arabesek zwykle stanowią całość zamkniętą, skończoną i równorzędną z postacią człowieka wprowadzonego do kompozycyi. Widzimy to na hr. L. Krasińskiego przepysznéj tacce srebrnéj z XVI w., zabytku włosko-francuskiego renesansu (Nr. 1430—10), spostrzegamy i na ołtarzyku polowym srebrnym, ofiarowanym katerze płockiéj 1618 r. przez żonę Zygmunta III, Katarzynę Austryaczkę (Nr. 187). Na pierwszym utworze wykuta i wycyzelowana jest scena: „Tryumf miłości“, na drugim takiéjże saméj roboty kompozycya religijna, oba zaś są arcydziełami w swoim rodzaju, godnemi pomieszczenia w pierwszorzędnych zbiorach. Zestawiamy te dwa przedmioty ze sobą, celem uwydatnienia indywidualizacyjnych przymiotów dzieł z epoki odrodzenia.

Niezawodnie pod względem artystycznym bardzo wysoko stoi płaskorzeźba srebrna (Nr. 1426—5), należąca do p. Lachnickiego, a przedstawiająca zwycięstwo chrześciaństwa, z tém wszystkiém nie zgodzilibyśmy się z jéj właścicielem, który utrzymuje, że ona pochodzi z pod dłuta sławnego Benvenuta Cellini. Zamało ma w sobie charakteru temu mistrzowi właściwego.

Zanim zanurzymy się w powodzi zabytków z XVII i XVIII w., zatrzymujemy się chwilkę nad zbiorami z dziedziny numizmatyki, sfragistyki, heraldyki i bibliografii, których wystawa stosunkowo zgromadziła bardzo wiele. Ciekawy to nader przedmiot dla zapalonych specyalistów w tym kierunku, choć i dla szerszéj publiczności przedstawia siła interesu, raz jako pamiątki dziejów i kultury, powtóre jako świadectwo oddziaływania sztuki na wszystkie kierunki życia naszego narodu. Taka kolekcya pieczęci p. Kazimierza Stronczyńskiego przedstawiająca okazy od czasów Konrada księcia mazowieckiego, t. j. od r. 1222 do Zygmunta Starego, czyli 1506 r., albo poważne zbiory pieczęci od XIII do XVIII wieku, wystawione tutaj przez bibliotekę ord. hr. Zamojskich i p. Ed. Diehla, nie przestaną żywo zajmować zarówno badaczy przeszłości Polski, jak i zwyczajnych profanów. Badacz sztuki i obyczajów znajduje tu zasób szczegółów charakterystycznych, zwłaszcza w zabytkach z doby piastowskiéj i pierwszych Jagiellonów. Kompozycya każdéj pieczęci średniowiecznéj, to miniaturowe dzieło architektury gotyckiéj w najdrobniejszych nawet szczegółach, podczas znowu gdy np. medale, zaczynające się w XVI w. aż do dni naszych, są wyłącznie utworami malarsko-rzeźbiarskiego rodzaju. Architektura jest tu zepchnięta na plan ostatni.

Musiałbym się rozpisywać wiele, gdybym chciał dać jakie takie wyobrażenie o przepysznéj kolekcyi medali, monet, orderów i znaków masońskich, zdobiących wystawę. Dość tu powiedzieć, że sam Emeryk hr. Czapski ze Stańkowa, wystawił 409 sztuk monet i medali polskich od Zygmunta Starego zacząwszy, aż do czasów Stanisława Augusta, a dr. Rewoliński z Radomia, błysnął z górą 400 sztukami medali polskich historycznych i religijnych. I p. W. Szaniawski i p. I. Weyssenhoff i paru innych zbieraczów stanęło do numizmatycznego apelu. Istotnie bardzo to bogaty i pouczający dział wystawy.

W dziale bibliograficznym najpoważniéj wystąpiła biblioteka ord. hr. Zamojskich, prof. Józef Przyborowski i p. I. K. Giejsztor. Więc między innemi spotykamy, tu arcy-rzadki druk krakowski z czasów około 1475 r. „*Joannis de Turrecremata Explanatio in Psalterium*“; statut Łaskiego z 1506 r., „Pieśni o Bożém umęczeniu“ z 1532 r.; „Xięgi Jezusa Syna Syrachowego Eklesyaticus rzeczone“, druk

krakowski z 1541 r. i t. p., iście białe kruki, często w bogatych krakowskich oprawach z XVI w., sporządzanych dla Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Zygmunta III i innych przodowników społeczeństwa naszego.

Miniaturowe malarstwo na pergaminach kiążkowych, które w naszéj przeszłości od XII do końca XVI w. zdobyło dla siebie ładną kartę, na wystawie naszéj jest słabo reprezentowane przez hr. K. Przezdzieckiego zaledwo, tak samo jak i sztuka drzeworytnicza, mogąca wskazać wszystkiego kilkanaście zabytków.

I znowu zaczynamy od kościelnych rzeczy, aby przez nie wejść w dziedzinę zabytków artystycznych z XVII i XVIII wieku, nadzwyczaj hojnie reprezentowanych na wystawie. Rozumié się, że już sama epoka wskazuje kierunek artystyczny, ujawniony w tych pomnikach przeszłości. Styl *barocco* i różne jego odmiany francuskie i niemieckie panują tu samowładnie, nie dopuszczając prawie reminiscencyi zasad i form sztuki dawniejszéj. Wyrażam się warunkowo, bo od czasu do czasu dolatuje nas echo odmienne z zamożnego Gdańska. Kiedy wiek XVIII wysila się na stworzenie w plastyce form najdziwaczniejszych i najbardziéj efektownych, wtedy Gdańsk często daje światu takie utwory artystycznego charakteru, jakby wiek XVI był ich rodzicem. Katedra warszawska posiada kielich, tackę i ampułkę z r. 1701 wykuwane ze srebra i zdobione emaliami, które odznaczają się miękkością form arabeskowych i spokojnemi a potoczystemi ich zwojami, o jakich prawie, że nie śni się nawet wszechwładnemu na onczas barokizmowi. Kościół paraf. w Rokitnie, pod Warszawą, wystawił tutaj duże *votum* srebrne (Nr. 147) z r. 1703, które z właściwości artystycznych zupełnie jest podobne do powyższych warszawskich zabytków. Z przyjemnością oko spoczywa na tych formach.

Lecz barokizm, ten niańczony w Gdańsku, nierzadko nam sprawia tego rodzaju zadowolenie. Zaledwo opuściliśmy *votum* z Rokitna, aż tu wzrok nasz zatrzymuje się na *tabernaculum* hebanowém, ubraném suto srebrnemi ornamentami, oraz postaciami aniołków i figur świętych. Jestto kompozycya nader bogata w szczegóły architektoniczne i dekoracyjne, powiédzmy nawet, wykwintna i harmonijna w całości. Każda forma ma tutaj konstrukcyjno-estetyczne uzasadnienie, jak to bywa w najpiękniejszéj dobie włoskiego renesansu. I to zabytek gdański wysokiéj wartości artystycznéj, będący ozdobą wystawy i kościoła pp. Wizytek warszawskich, tak nielitościwie zwandalizowanego przez antykwaryuszów warszawskich. Dobrze przynajmniéj, że on i dwa jeszcze *tabernacula* ostały się tam do téj pory, gdy kosztowne makaty

i inne przedmioty wydarły się po za mury klasztoru i świątyni. Szafa (Nr. 197) z zakrystyi kościoła Św. Anny pobernadyńskiego w Warszawie, roboty zakonnika Paschalisa Scholtza z 1722 r. z inkrustowanemi z drzewa figurami świętych i emblematami religijnemi, nie posiada już tego spokoju form i linii, jaki widzieliśmy na zabytkach gdańskich, albowiem tak w niéj jak innych urządzeniach zakrystyjnych owéj świątyni panuje charakter artystyczny *roccoco* i lekki odcień kształtów arabeskowych włoskiego barokizmu. Zabytek to bardzo przedni sztuki kościelnéj, szkoda tylko, że trochę niedbale restaurowany.

Być może, iż barokizm francuski, znany pod nazwą stylów Ludwika XIV, Ludwika XV (*rococo*) i Ludwika XVI, jest bardzo grymaśny i kokietujący, daleki od klasycznego spokoju i harmonijnéj rytmiki renesansu; z tém wszystkiém ma on wiele uroku i samodzielnego estetycznego wdzięku. Oparł on się wprawdzie w rozwoju swoim na motywach klasyczno-renesansowych, ale je przekształcił do tego stopnia, że trudno w nim doszukać się logiki pierwowzorów. On ma własną logikę i własny indywidualizm często napuszysty, obliczony na efekta sceniczne. Bądź co bądź, jak mówiliśmy, rozkapryszone formy barokizmu odznaczają się miękkością i wdziękiem właściwym salonowo-buduarowym urządzeniom mieszkań. Powiedzmy, że *rococo*, wraz z pokrewnemi formami, jest stylem salonów, jak renesans pałaców a ostrołuk zamczysk i katedr niebotycznych. Dla uzasadnienia tego twierdzenia spojrzmy na grupę mebli i sprzętów salonowych niegdyś królowéj Maryi Kazimiery, a obecnie będących własnością hr. Augustowéj Potockiéj w Wilanowie. Są to zabytki wyłącznie (Nr. 660—1 do 17) w stylu Ludwika XIV sporządzone, obijane gobelinami. Więc nogi foteli, kanapy i całe sprzęty powyginane w esowate kształty i obsypane rzeźbioną ornamentyką, również rozkapryszoną, jak ich pierwotna właścicielka. Owe ornamenta i formy napozór nielogiczne, po bliższém zbadaniu ujawniają konsekwencyą i prawa konstrukcyjne, uplastycznione artystycznie. Zwoje upudrowanéj peruki, linia muszlowa nie mogły znaleźć idealniejszego wyrazu nad ten, spotykany w zabytkach stylu Ludwika XIV-go i Ludwika XV-go. Jestto *sui generis* romantyzm, różniący się od średniowiecznego i tém, że natchnienia nie w mistycyzmie szukał, ale w życiu miękkiém, eleganckiém i rozgrymaszoném z końca XVII-go i w początkach XVIII-go stulecia. Taka np. konew duża srebrna (nr. 11) ordynacyi hr. Krasińskich, literalnie zasypana bogactwem ornamentyki i kompozycyą, przedstawiająca „obraz szczęśliwości arkadyjskiéj“, jest uosobieniem rozkwitłego barokizmu.

A podobnych zabytków pod względem charakteru stylowego wy-

stawa setki całe ukazuje. Dwa dzbany pękate wyobrażające popiersia pary mieszczańskiéj, puhary w rodzaju okrętów i łódek, roztruchany połykające garnce wina, dziwaczne wyszukanych kształtów kielichy, tace, drobiazgi toaletowe, sprzęty i sprzęciki domowe, zegary, szkatułki i t. p. przedmioty ze srebra i złota zgromadzone tutaj zostały w takiéj liczbie i doborze, że chcąc o najważniejszych jakieś słówko powiedziéć, przeszlibyśmy kolosalnie granice krótkiego sprawozdania. Jestto przedmiot wielce zasobny do bogatych bardzo studyów artystycznych i obyczajowych, które uczynimy na inném miejscu, spiesząc tymczasem do potrącenia bodaj o szeregi rozlicznych zabytków, jakie stoją przed nami. Tutaj nadmieniamy jedynie, że w rzędzie owych cacek galanteryjnych, klejnocików i zastaw stołowych, oprócz niemieckich, znajdujemy siła wyrobów krakowskich, poznańskich, gdańskich, królewieckich, toruńskich, a nawet i litewskich, że wspomnimy ową tacę srebrną rokokową, wykutą niezgrabnie w Kopylu. Z wyjątkiem tego zabytku, wszystkie inne, wykonane w miastach naszych, nie ustępują wcale pod względem zalet artystycznych sławnym wyrobom złotniczym Augsburga lub Norymbergi. Nie ma w nich oryginalnych motywów polskich, ale téż nie ma i niedostatków żadnych— naśladownictwo nasze nie ustępuje pierwowzorom niemieckim, co dowodzi, że mieliśmy w przeszłości dobrych rzemieślników w zakresie sztuki stosowanéj. Zwłaszcza możemy to powiedziéć z myślą o XVI, XVII i początkach XVIII-go wieku, kiedy jeszcze moda francuska nie była wszechwładną panią domowych ognisk, a poniekąd i świątyń.

Jestem pewny, że z całego zastępu mebli w stylu *rococo* i Ludwika XVI-go nie wybralibyśmy ani jednego okazu dawnego, któryby się pochlubił miejscowém urodzeniem. Tak owe meble i bronzy z pałaców królewskich w Warszawie po Sasach i Stanisławie Auguście, jak i sprzęty ks. Radziwiłła z Nieborowa, że nie wspomnimy innych obfitości, są po największéj części cackami meblowemi, pochodzącemi z Francyi, Włoch i Niemiec. Miasta nasze w XVIII-ym wieku upadły strasznie, rzemieślnik zmarniał, a panowie i w ogóle świat modny szukali swoich zadowoleń artystycznych wyłącznie po za granicami kraju. Więc choć piękne, bardzo nawet piękne owe zastępy bronzowych zegarów, kandelabrów i mebli z drugiéj połowy zeszłego wieku, a nawet i z epoki cesarstwa, nierównie więcéj obudzają w nas interesu niepokaźne tkaniny słuckie, kobyłkowskie, krakowskie i inne, które w postaci pasów, znanych dobrze z tradycyi, odzywają się do nas. Pasy słuckie rej tutaj wiodą, choć doprawdy nie przewyższają w niczém współbraci innych fabryk, mniéj głośnych pomiędzy nami. Do niedawna było w kraju tych zabytków bardzo wiele, lecz obecnie liczba

ich stopniała prawdopodobnie pod wpływem agentów antykwarskich zagranicy, gęsto uwijających się po kraju. Bezwątpienia tkaniny ówczesne francuskie, włoskie i niemieckie są gustowniejsze, pozbawione jednak zostały téj oryginalności wzorów i motywów, jaką widzimy w pasach polskich. Nie znajdziesz w nich nic takiego, coby aż przypominało rokokowe szlaki linii artystycznéj, częstokroć do szablonu schodzącéj; przeciwnie, wieje z nich świat inny, zalatujący od muzułmańskiego wschodu i naszych niw rodzinnych.

Mażarski, wprowadzając do radziwiłłowskiego Słucka fabrykę tkanin i pasów wzorowanych na tkaninach perskich, ani pewno przypuszczał, że to jego dziecko z biegiem czasu przyodzieje się w szaty z kwiatów rodzinnéj niwy dziergane. A jednakże tak się stało. Wzory perskie i tureckie, użyte do pasów słuckich, kobyłeckich, lipkowskich, gdańskich, krakowskich i t. d., przekształcone znakomicie zostały wplotem naszych kwiatów polnych. Niejeden bukiet na końcach pasa wygląda jak świeżo zerwany i przeniesiony tutaj ręką dziewoi wiejskiéj. W ogóle w roślinnych motywach ornamentacyjnych pasów polskich uwydatnia się kierunek naturalistyczny, — o stylizowaniu głucho tu całkiem. Z tych właśnie przyczyn ani pasów, ani małéj liczby makat i szpalerów naszych warsztatów słuckich, nie może pominąć żaden badacz polskiéj przeszłości artystycznéj, albowiem znajdzie w nich wiele pierwiastków rodzimych, mogących z czasem zająć to stanowisko w plastyce ornamentacyjnéj, jakie zdobyła pieśń gminna w utworach Szopena i Moniuszki, a poezya ludowa w nieśmiertelnych dziełach Mickiewicza.

Na wystawie widzimy sporo zabytków polskiego tkactwa z zakresu pasów litych, a nawet wyrobów jedwabnych, pochodzących z fabryk grodzieńskich, zaszczepianych w Polsce na wzór francuski przez Tyzenhauza.

Bierze nas wielka ochota do głębszego rozejrzenia się w gobelinach i makatach, których wystawa zgromadziła ładny poczet, bądź jako dywanów i szpalerów, bądź w postaci ornatów i okryć na meble; lecz i tutaj pióru nie możemy dać folgi, bo w takim razie dopominałaby się głośno szerszego uwzględnienia ogromna czereda okazów ceramicznych, co w postaci waz, talerzy, filiżanek, bombonierek, kandelabrów, figur, grup całych, koszyków, kwiatów i t. p. mizdrzy się do nas, zachwalając swoje malowidła i marki wiedeńskie, saskie, sewrskie, chińskie, angielskie, czeskie, berlińskie, polskie i wiele innych. Rzeczywiście, wiek XVIII-ty wysilał się w Europie na stworzenie pięknéj porcelany, zawsze nadzwyczaj wrażliwéj na kierunki linii stylowych i pa-

nujących prądów w sztuce. Jak w gobelinach, tak i w tych gracikach spotkasz się ze wszystkiemi znamionami i finezyą artystyczną tamtych czasów. Gdy w porcelanie przedniéj saskiéj styl *rococo* i *zopf* rej wiodą, to w wiedeńskiéj przeważają formy o reminiscencyach klasycznych.

Nasza porcelana korecka, ćmielowska i t. d. z Baranówki, jaką widzimy na wystawie, naśladuje najwięcéj francuską i saską ceramikę. Znamy okazy koreckie w zbiorach hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie, malowane obrazowo, mało co ustępujące zagranicznym, z przyjemnością zdobiącym się obrazami, czerpanemi z mytów i sielanek rokokowego świata.

Do rzędu najprzedniejszych okazów wystawowych bez zaprzeczenia należy dwanaście talerzy emaliowanych, z wyobrażeniem zajęć w ciągu miesięcy trwających, jak np. polowanie, strzyżenie owiec, żniwo, winobranie, grzybobranie i t. p. Na tyłach talerzy popiersia monarchów z XVI-go wieku. Jest to emalia limuzyńska (*Limoges*) z epoki naszych Zygmuntów, wykonana pysznie. Oprócz tych zabytków (Nr. 1354), będących własnością zbiorów wilanowskich, zasługują na uwagę: „Matka Boska“ i „Święta Rodzina“ również limuzyńskie emalie p. E. Blochowej (Nr. 1352 i 3); „Gra w karty,“ obrazek emaliowany berliński z XVIII-go w., własność ks. Michała Radziwiłła.

Mamy na wystawie i szkła stołowe pyszne, rznięte artystycznie, i majoliki ciekawe i fajansów wiele wykwintnych, lecz krótkie sprawozdanie nie pozwala na ich przegląd bliższy. Jedynie zwracamy uwagę na parę okazów tego działu, jako na wytwory naszego artystycznego przemysłu. Więc kufel fajansowy gdański (Nr. 1427), własność p. M. Bersohna, — dwa wazony i kilka talerzy (Nr. 1428) z fajansarni warszawskiéj, otwartéj przez Stanisława Augusta, wyróżniamy na tém miejscu jako rzadkie zabytki. Ostatnie są własnością p. M. Urbańskiego, który znaczną kolekcyą wzbogacił wystawę, podobnie jak: M. Berson, Kolasiński, Strzałeccy, Radziwiłł, Zawiszyna, L. Krasiński, Sulatycka, Meyet, Bloch, Przezdziecki, Aug. Potocka, Epstein, Laska, Gebethner, Stępiński, Trembicki, Lesser, Wrotnowski, Branicka i wielu innych, których nazwisk nie podobna wszystkich wyliczać na tém miejscu.

Nadmieniwszy wreszcie o egzystencyi na wystawie około 150 miniatur, często wysokiéj artystycznéj wartości, zebranych przeważnie przez ks. M. Radziwiłła, Maryę hr. Zawiszynę i A. Rosena,—zamykamy tém przelotny przegląd wystawy starożytności, któréj perłą estetyczną jest niezawodnie marmurowy biust mytycznéj

Niobe, prawdopodobnie dzieło wielkiego Skopasa albo Praxitelesa owych nieśmiertelnych potentatów rzeźby helleńskiéj. Ks. M. Radziwiłł może się szczycić posiadaniem tego pomnika sztuki.

Pozostawałby nam jeszcze do przejrzenia dział wytworów współczesnéj sztuki stosowanéj do rzemiosł, przedstawiający z górą 200 okazów, odkładamy to jednak do innéj sposobności, w któréj pomówimy specyalnie o współczesnych usiłowaniach, podejmowanych na różnych punktach kraju celem rozbudzenia artystycznego przemysłu. Za poważna to praca, by ją pozbywać lekkiemi dotknięciami pióra.

F. K. Martynowski.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

I.

Istota światła.—Co to jest elektryczność?—Poglądy Faradaya.—Teorya Maxwella.— Doświadczenia Hertza nad elektrycznością. — Identyczność światła i elektryczności. — Kilka słów o eterze wszechświatowym. — Fonograf Edisona i grafofon Taintera.

Jeśli mniéj więcéj półtora wieku temu Newton miał prawo wyrzec: „*Nihil obscurius luce*“ — „nic ciemniejszego nad światło“, — to ze stokroć większém prawem wyrzeczenie to mógłby odnieść fizyk bieżącego stulecia do innéj siły przyrody, mianowicie do elektryczności. Pozorny paradoks newtonowski zbladł w blasku, jaki rzuciła genialnie pomyślana i w najdrobniejszych szczegółach mistrzowsko wykończona teorya undulacyjna światła. Teorya ta należy dziś w nauce do rzędu prawie najpozytywniejszych faktów. Kto dziś nie wierzy w to, że światło jest zjawiskiem ruchu niezmiernie delikatnéj materyi — eteru, że w ruchu tym cząstki eteru drgają podobnie, jak cząstki wody, gdy na powierzchnią téjże rzucimy przedmiot jaki, że fale eteru przenoszące się w przestrzeni ze skończoną, dobrze nam znaną prędkością, bywają rozmaitéj długości, że od długości téj zależy rodzaj wrażenia barwnego, jakie odbieramy wówczas, gdy fale eteru oka naszego dosięgają, — kto, powtarzam, obecnie w to wszystko nie wierzy, dla tego wszechświat stanowi zamkniętą księgę, któréj treści w żaden sposób przeniknąć nie można. A wierzyć dziś w twierdzenia powyższe, dotyczące zjawisk świetlnych, bynajmniéj nie tak trudno. Możnaby nie zadawalniać się jedynie teoretycznèm wyjaśnieniem ruchów falistych Huyghensa, lecz trudno oprzéć się przekonywającym w téj mierze dowodom, złożonym, w genialnych doświadczeniach Younga, Fresnela i innych.

„Mówiąc po ludzku, teorya falista światła jest pewnikiem; ró-

wnież pewnikiem jest to wszystko, co z teoryi téj z konieczności wypływa". Wobec tego fizyk współczesny wierzy niezachwianie, że wszelka przestrzeń, dostępna dla naszych badań, nie jest próżna, lecz jest wypełniona materyą, zdolną do falowania, t. zw. eterem. Nie ma ani jednego spostrzeżenia, ani jednego doświadczenia, któreby poglądom powyższym przeczyło. Utrwalenie przy pomocy doświadczeń w nauce teoryi undulacyjnéj (wibracyjnéj) światła po wszystkie czasy należéć będzie do szeregu największych tryumfów umysłu ludzkiego.

Poglądy powyższe przeszły w krew i kości nietylko przyrodników, lecz stały się ogólném dobrem ludzi ukształconych. Każdy uczący się choćby tylko zasad fizyki koniecznie z twierdzeniami temi zapoznać się musi. Jeśli więc na tém miejscu przypominam to czytelnikowi, czynię to jedynie w celu powołania się na powyższe zdania w dalszym ciągu.

Wibracyjna teorya światła wyparła z nauki inną teoryą (Newtona), t. zw. emisyjną, według któréj światło miało być materyą, przenoszącą się od ciał świecących w przestrzeń, materyą nieważką, podobną do téj materyi, jakiéj istnienie obmyślili dawniejsi fizycy dla objaśnienia zjawisk ciepła. Nazywano „cieplikiem" tę substancyą, która, przenosząc się z ciała cieplejszego do zimniejszego, ogrzewała to ostatnie, „świetlikiem" zaś tę substancyą, która do oka naszego dochodząc, powodowała, iż ciało, ów świetlik wysyłające, widzimy. W istnienie świetlika i cieplika dziś nikt nie wierzy. Zjawiska ciepła i światła objaśniamy ruchem najdrobniejszych cząstek znanéj nam bliżéj ważkiéj materyi i ruchem owego, wszechświat wypełniającego eteru.

Gdy poglądy dotyczące natury ciepła i światła najzupełniéj już uzyskały prawo obywatelstwa w nauce, nieprzejrzyjsta prawie ciemność zalegała jeszcze w dziedzinie zjawisk innych, zjawisk, które od samego początku ich poznawania grubą okryte były zasłoną tajemniczości. Mam tu na myśli zjawiska elektryczne. Czém jest elektryczność? Na pytanie to najrozmaiciéj odpowiadano, lecz w odpowiedziach tych nigdy nie umiano odłączyć substancyi od siły. O tém, że istnieje pewien płyn elektryczny, a nawet dwa biegunowo różne płyny, przenikające ciała przyrody, że płyny te w odpowiednich warunkach z jednego ciała na drugie przenosić się mogą, mówiono wprawdzie jedynie w tym celu, ażeby samo zjawisko elektryczności ująć niejako w dostępną dla umysłu formę; lecz niemniéj pogląd ten starczyć musiał przez czas bardzo długi za wszystko, co o istocie elektryczności było wiadome. A pogląd taki nie zadawalniał niektórych umysłów już na początku obecnego stulecia. Najsilniéj wystąpił przeciw niemu „umysł

wielkiéj świeżości, nieuprzedzony, który za punkt wyścia przy badaniu zjawisk brał nie to, o czém słyszał, czego się uczył, lub o czém czytał, lecz to, co widział". Umysłem tym był Faraday. Słyszał wprawdzie Faraday o tém, że elektryzując ciało, wnosimy weń coś, lecz widział, że następujące wskutek tego zmiany, dają się spostrzedz tylko na zewnątrz, bynajmniéj nie we wnętrzu ciała. Uczono wprawdzie Faradaya, iż siły wprost przeszkakują w przestrzeni, lecz widział on, że na siły te znaczący wpływ wywiera ta materya, którą przebyta przez nie przestrzeń jest wypełniona. Czytał wprawdzie Faraday, że z pewnością istnieją elektryczności-materye, a jednakże widział on tylko jawne działania sił, samych zaś elektryczności nigdzie dostrzedz nie był w stanie.

Tak więc w umyśle Faradaya pomieścić się nie mógł pogląd na elektryczność jako materyą; dla niego istniały siły elektryczne, pewne ruchy, widoczne i bez udziału zwykłéj ważkiéj materyi. Lecz w jaki sposób siły te udzielają się w przestrzeni? Toż musi istniéć jakiś substrat, coś, coby siły elektryczne przenosiło z miejsca na miejsce. Tu wystarczyło przypomniéć sobie zjawisko światła i rolę spełnianą w przyrodzie przez eter. Eter drga i faluje, powodując wrażenia światła i ciepła promienistego. Czyżby ten sam eter nie mógł również powodować i zjawisk elektryczności?

Faraday nie rozwiązał powyższych kwestyi i sprawa pozostała przez dłuższy czas w zawieszeniu. Dopiéro pojawienie się innęgo angielskiego uczonego, Maxwella, pozwoliło postawić tu znaczący krok naprzód. Praca Maxwella ogłoszona w roku 1865, znana jest w nauce pod nazwą elektromagnetycznéj teoryi światła. Jest to praca dla ogółu ludzi interesujących się badaniami przyrodniczemi nieprzystępna, na wskroś przeniknięta rozumowaniami matematycznemi. A przecież zajmuje ona w historyi wiedzy jedno z najpoczesniejszych miejsc. Ucieleśnia ona poglądy Faradayowskie, dotyczące istoty elektryczności i ukazuje możliwość bezpośredniego przekonania się o prawdziwości tych poglądów.

Jeduém z najważniejszych zadań, które wykonać należało, aby dla teoryi Faradaya uzyskać trwałą podwalinę, było przekonanie się, czy zjawiska elektryczne, przenosząc się z miejsca na miejsce, używają na to czasu, i wrazie jeśliby odpowiedź na to twierdząco wypadła, określić tę prędkość. Rozumowania teoretyczne Maxwella tak były szczęśliwe, iż wypadało z nich jasno, że prędkość, z jaką przenosi się światło, stanowi wartość niezmiernie zbliżoną do téj, jaką otrzymujemy, gdy zjawiska elektryczne poczytujemy za analogiczne ze zjawiskami świetlnemi. W ten sposób udało się Maxwellowi we wzorach matema-

tycżnych, które ilustrowały badane przez niego zjawiska, dojrzéć coś, co najwyraźniéj przemawiało za możliwością istnienia ruchów elektrycznych falistych, podobnych do ruchów falistych świetlnych.

Nieprzystępność téj teoryi stała na przeszkodzie do pozyskania jéj dostatecznego zastępu wyznawców, a nieprzystępność ta tak jest wielka, iż pomimo ćwierci wieku, jaka od ogłoszenia teoryi upłynęła, dziś jeszcze teorya ta bardzo mało jest spopularyzowana. Jak każda zresztą teorya, tak i teorya elektromagnetyczna światła musiała cierpliwie wyczekiwać chwili ostatecznéj aprobaty aż do czasu, gdy założenia jéj i wnioski zostaną przez doświadczenia sprawdzone. A do doświadczeń tych zabierano się bardzo powoli; przedstawiały one niezmierne trudności. Jakkolwiek więc nic przeciw saméj teoryi nie przemawiało, jednakże doświadczenia z początku ograniczały się do pojedyńczych tylko jéj twierdzeń. Sam jéj rdzeń został dotknięty dopiéro w czasach najostatniejszych. Doświadczeniami odnośnemi zajął się przed czasem niedawnym obecny profesor fizyki uniwersytetu w Bonn, były asystent słynnego Helmholtza, Henryk Hertz. Z doświadczeń Hertza poglądy Faraday'a i teorya Maxwell'a wyszły najzupełniéj zwycięsko, a doba obecna z tego powodu należéć będzie w dziejach fizyki do najświetniejszych. Prace Hertza zamykają okres sporów i wątpliwości w kwestyach dotyczących istoty elektryczności i zamykają w duchu najzupełniéj zgodnym z panującemi obecnie poglądami wiedzy. Pośrednio doświadczenia te przyczyniają się do utrwalenia w nas przekonania, iż nauka kroczy obecnie po drodze pewnéj, na któréj dokładnie rozeznać i odróżnić można prawdę od błędu.

„Czyż rzeczywiście—zapytuje Hertz — tak trudno było dowieść, że siła elektryczna wymaga czasu do swego przenoszenia się? Czy nie można było wyładować butelki lejdejskiéj i bezpośrednio obserwować, kiedy następuje drganie odległego elektroskopu — jednocześnie z wyładowaniem, czy nieco późniéj? Czy w tym samym celu nie wystarczyłoby spoglądanie na igłę magnetyczną, podczas gdy na pewnéj odległości nagle zostaje wzbudzony elektromagnes?“ Doświadczenia podobne były rzeczywiście oddawna już wykonywane, lecz zawsze drganie elektroskopu lub ruch igły magnetycznéj spostrzegano jednocześnie z wyładowaniem elektryczności. Czyż należało z tego wnosić, że zjawiska te w rzeczywistości ściśle współcześnie się odbywają? Nie koniecznie. Pozostawało zawsze jeszcze przypuszczenie, że prędkość, z jaką siły elektryczne i magnetyczne się przenoszą, jest tak wielką, że różnicy w czasie pomiędzy przyczyną a skutkiem na miernych odległościach uchwycić nie można. To właśnie przypuszczenie kierowało Hertzem

w obmyślaniu sposobu doświadczenia i pokonywaniu olbrzymich trudności technicznych, jakie doświadczenia jego nastręczały.

Jest rzeczą niemożliwą—i zbyteczną zresztą—przedstawić tutaj szczegóły doświadczeń przez Hertza wykonywanych. Pouczającém wszakże być może bliższe zrozumienie zasady, na jakiéj doświadczenia te się opierają. Hertz, rzecznik gorący teoryi Maxwell'a i wyznawca najostatniejszych jéj wniosków, stara się dowieść, że istota elektryczności polega na ruchu podobnym do tego, który powoduje zjawiska światła. Ruch to ma być falisty, podobny więc poniekąd do ruchu cząsteczek ciał sprężystych, wówczas gdy ciała te przenoszą dźwięk. Wszak i powietrze faluje, peryodycznie zagęszcza się i rozrzedza wskutek drgań ciała elastycznego, i w ten sposób do ucha naszego drgania te przewodząc, daje wrażenia dźwięku. Jak każdy ruch, tak i ruch powietrza potrzebuje czasu na przenoszenie się z miejsca na miejsce. Jakże dowiedziemy tego? Oto w następujący, bardzo prosty sposób. Postawimy kamerton, wydający określony ton, w jakiemkolwiek miejscu w pokoju i za pomocą odpowiednich rezonatorów w rozmaitych miejscach dźwiękowi temu przysłuchiwać się będziemy. Nie wszędzie z tą samą siłą ton dochodzić nas będzie. Pochodzi to stąd, iż drgania kamertonu rozchodzą się na wszystkie strony i do danego miejsca jedno drganie przychodzi szybciéj niż inne, które późniéj z kamertonu wybiegło. Drgania te rozmacie długiemi drogami przybywają do danego miejsca. Fale jednakowe, spotykając się ze sobą, mogą się wzmacniać i mogą osłabiać wzajemnie. Stąd różna siła tonu w rozmaitych miejscach pokoju. Krótsza droga — widzimy z tego — przebytą zostaje w krótszym czasie, niż dłuższa. A więc przenoszenie się drgań wymaga czasu. Możemy daléj dowieść jeszcze, że miejsca, w których fale dźwiękowe zupełnie się znoszą, a więc, gdzie zupełnie tonu nie słyszymy, znajdują się w peryodycznych od siebie odległościach. Fale więc dźwiękowe, wnosimy z tego, mają pewne określone wymiary, — możemy je mierzyć. W zasadzie zupełnie tak samo można dowieść falistości drgań owego wszechświatowego eteru, które wywołują wrażenia światła. I otóż, w sposób znów analogiczny starał się Hertz dowieść falistości drgań, wywołanych przez siły elektryczne.

I udało mu się to w zupełności. Doświadczenia jego przekonywają w sposób dosadny, że podścieliskiem materyalném sił elekrycznych jest ten sam eter, który drgając daje zjawiska światła. Niedość tego. Eter ten drga w zupełnie taki sam sposób niezależnie od tego, czy przewodzi światło, czy elektryczność; mianowicie drga w kierunku poprzecznym do kierunku promienia. Mamy zatém promienie elektryczne, podobnie jak mamy promienie światła i ciepła. I promienie te

elektryczne niczém istotnie od promieni świetlnych się nie różnią. Zupełnie tak samo jak promienie światła i według doskonale tych samych praw odbijają się one, załamują, skupiają i rozszczepiają. A więc jakościowo niczém się one od promieni światła i ciepła nie różnią. Prędkość, z jaką elektryczne promienie w przestrzeni się rozchodzą, równa się dokładnie prędkości światła. Rzeczywista przeto identyczność pomiędzy światłem i elektrycznością została dowiedzioną. Gdy wszakże fale świetlne i cieplne niezmiernie są krótkie, mierzą drobne bardzo ułamki milimetra, nowo odkryte fale elektryczne posiadają większą znacznie długość, wynoszącą decymetry, metry i kilometry.

Jedność zjawisk przyrody występuje z tych doświadczeń w niezmiernie jasném świetle. Ciepło promieniste, światło, elektryczność—są to, jak widzimy, w istocie rzeczy jedne i te same objawy ruchu wszechświatowego eteru; jedynie długość fal w eterze wzbudzanych działa rozmaicie na nasz organizm, a w umyśle wywołuje rozmaite wrażenia.

Badaniami powyższemi, wykonywanemi w ciągu dwóch lat ostatnich i zakończonemi przed kilku zaledwie miesiącami, Hertz zyskał najpochlebniejsze uznanie świata naukowego. Ze wszech stron też słychać na cześć jego wygłaszane hymny pochwalne. Śmiało powiedzieć można, że jeśli zasługi Faraday'a i Maxwell'a w dziedzinie elektryczności odpowiadają zasługom Huyghensa w optyce, to doświadczenia Hertza postawić należy w jednym szeregu z wiekopomnemi doświadczeniami Younga i Fresnela.

Dziś trudno całkowicie przesądzać, co za dalsze odkrycia pociągną za sobą badania powyższe. Ze zlania się takiego zjawisk świetlnych i elektrycznych wynika w téj chwili pogląd na naturę zjawisk, pozwalający zjawiska te głębiéj i rozlegléj badać. „Dostrzegamy elektryczność—powiada Hertz — w tysiącu miejsc, w których dotychczas o jéj obecności nie wiedzieliśmy nic pewnego. W każdym płomieniu, w każdym świecącym atomie dostrzegamy proces elektryczny.“ I my w organizmie naszym mamy organ elektryczny—oko. Usuńmy ze świata elektryczność, a wraz z nią zniknie též światło; usuńmy ze świata eter świetlny, a wówczas i siły elektryczne i magnetyczne nie będą mogły przenosić się w przestrzeni.

Mimowoli wszakże nawija się nam tu pytanie inne, pytanie dotyczące nietylko poznanych już własności eteru, lecz w ogóle istoty téj zagadkowéj bądź co bądź materyi, któréj fizyka współczesna wyrzec się nie może, któréj istnienie koniecznie przyjąć musi, jeśli nie chce okazać zupełnéj swéj niemocy w objaśnianiu zjawisk przyrody. Pytanie též to nie od dziś zajmuje największych myślicieli. Wypowiadano

w tym względzie nie jeden już domysł, nie jedno przypuszczenie, które wszakże w nauce nie zupełnie się jeszcze przyjęły. Z logicznego biegu rozwoju nauki wnosić trzeba, że właśnie obecnie nastąpił czas, kiedy te kwestye wtrącone być powinny w zakres najważniejszych badań fizycznych. Wiążą się one zapewne najściśléj z kwestyami, dotyczącemi budowy znanéj nam ważkiéj materyi, a na rozwiązanie ich cierpliwie z najpiękniejszemi na przyszłość nadziejami czekać wypada.

My zaś, pozostawiając w téj chwili kwestye te na uboczu, przyjrzyjmy się temu, co w ostatnich czasach na inném polu dokonane zostało, na polu najwspanialszych zastosowań technicznych nauki. Przyjrzéć się temu wypada już choćby tylko z tego powodu, że dla wielu bardzo ludzi miarą rozwoju nauki jest jedynie postęp w kierunku wyzyskania jéj bezpośredniego w celach technicznych. Miara ta nie zawsze jest niezawodną. Spożytkowanie bezpośrednie nauki dla celów przemysłu i wygody ludzkiéj nie jest bynajmniéj jéj kwintesencyą. Pożyteczném wszakże i pouczającém jest wskazywanie i tego celu, zwłaszcza gdy w dziedzinie téj pojawia się fakt wyrastający nad zwykłą miarę.

Faktem takim z doby ostatniéj jest bezwątpienia udoskonalenie fonografu Edisona.

Sama myśl przejmowania i utrwalania w celu reprodukcyi głosu nie jest nową. W 1857 roku już Leon Scott obmyślił i wykonał przyrządzik, nazwany fonoautografem, który wszakże istotnie od obecnego fonografu się różnił. Fonoautograf w mechanizmie swym był naśladownictwem tylko ucha ludzkiego, a więc sztuczném uchem, przeznaczoném do zbierania dźwięków, i szematycznie niejako tylko odtwarzał drgania błony bębenkowéj i kosteczek słuchowych. W dwadzieścia dopiéro lat późniéj, w końcu r. 1877, słynny już wówczas Edison pokazał światu przyrząd pomysłu swego, prawdziwy fonograf, w formie wszakże bardzo jeszcze niedoskonałéj. Zasadę dla pomysłu swego zaczerpnął Edison z wspaniałego odkrycia Grahama Bella. W rzeczywistości bowiem, skoro błona telefonu drga pod wpływem dźwięków i to w ten sposób, że drgania te zostają odtworzone a dźwięk w ten sposób się przenosi, to należałoby tylko umiéć utrwalić w jaki sposób, zapisać niejako, owe drgania, by zachować obraz ich graficzny i w danym wypadku odczytać—a zagadka fonografu teoretycznie byłaby rozwiązana. Bo, przypuśćmy, że zapisane te drgania zostałyby odpowiednio wykonywane przez błonę podobną do téj, która pierwotnie bezpośrednio pod wpływem dźwięku drgała, a wówczas dźwięk téż w postaci swéj pierwotnéj musiałby być słyszany.

Pierwsze z przed dziesięciu lat egzemplarze fonografu nie mogły

zadowolnić najmniéj nawet wybrednych wymagań, jakkolwiek niewątpliwie dowiodły możliwości zbudowania odpowiednich celowi przyrządów. Sam Edison po pierwszych próbach nie wierzył w to, iż uda mu się fonograf udoskonalić; oto co pisał on wówczas: „Przyrząd ten waży 50 kilogramów, jest drogi, mogą się nim posługiwać jedynie tylko osoby eksperymentujące; ślad rylca stalowego nie pozostaje długo na blaszce cynowéj. Wątpię, czy mi się uda widziéć kiedykolwiek prawdziwy fonograf, zdolny do odtwarzania wszelkiéj mowy w sposób zrozumiały; to téż sądzę, iż lepiéj będzie, jeśli poświęcę się światłu elektrycznemu, pozostawiając następnemu pokoleniu trud udoskonalenia fonografu". Stało się jednak inaczéj niż przewidywał mistrz techniki współczesnéj. Sam on w ciągu krótkiego czasu, bo niespełna dwu lat ostatnich, tyle przezwyciężył trudności technicznych, jakie na drodze stały do udoskonalenia fonografu, że dziś przyrząd ten wszystkich, którzy mieli go sposobność słyszéć, w prawdziwy zachwyt wprowadza.

Obok nazwiska Edisona jednak ogólnie zapominanym bywa inny elektrotechnik amerykański, któremu w sprawie téj prawdziwa i bardzo znaczna zasługa w udziale przypada. Jest nim p. Tainter, który istotne wprowadził ulepszenie do budowy fonografu, zastępując dawniejsze niedogodne blaszki cynowe warstwą, składającą się z mieszaniny wosku i parafiny i powlekającą mały walec, zwany fonogramem. Fonogram zaś jest naistotniejszą częścią składową fonografu.

W zasadzie mechanizm fonografu bardzo jest prosty. Dźwięk głosu ludzkiego, instrumentu muzycznego, a nawet mieszane dźwięki wielu głosów, całéj orkiestry, wywołują drgania błony, do któréj przymocowany jest rylec, ostrym swym końcem dotykający małego walca obracającego się równomiernym ruchem. Na miękkiéj warstwie wosku i parafiny pokrywającéj walec, ostry koniec rylca pozostawia ślady, liczny szereg zagłębień najrozmaitszéj formy, zależnéj od wysokości tonu, jego natężenia i charakteru właściwego rozmaitym instrumentom i rozmaitym głosom ludzkim. Wyobraźmy sobie, że wzdłuż utworzonych w ten sposób na fonogramie śladów, znów porusza się ostry koniec rylca, zagłębiając się, to znów podnosząc; oczywiście wykonywać on będzie musiał zupełnie te same ruchy co i rylec, pierwotny, który ślady na walcu znaczył. Drugim końcem swym rylec, powtarzający ruchy, przymocowany jest również do błony, która zatém jednocześnie z nim drgania analogiczne z drganiami pierwszéj błony wykonywa. W ten więc sposób dźwięk doskonale może być odtworzony.

Fonograf Edisona najzupełniéj jest podobny do przyrządu zbudowanego przez wspomnianego p. Taintera. Ten ostatni, t. zw. grafofon, istotnie od fonografu różni się tém tylko, że ruch walca w inny

sposób uskuteczniony w nim zostaje. Fonograf Edisona wprawiany jest w ruch przez elektryczność, podczas gdy w grafofonie dokonywa się tego w sposób prostszy za pomocą pedału, zupełnie podobnego do pedału w maszynach do szycia. Należy nie zapominać, że ruch walca koniecznie musi być doskonale równomierny; prędsze w danéj chwili lub wolniejsze przesuwanie się jego wpłynęłoby ujemnie na ścisłe odtworzenie w nim śladów rylca. To téż w grafofonie bardzo sprytnie urządzony jest przyrząd regulujący szybkość ruchu. Łatwo zrozumiéć, na czém budowa tego regulatora polega. Koło, wprawione w bieg przez pedał, przenosi ruch swój na krążek. Równolegle z tym krążkiem znajduje się krążek inny, który już ruch bezpośrednio na walec przenosi. Drugi z tych krążków połączony jest z regulatorem najzupełniéj podobnym do regulatorów kulkowych w maszynach parowych. Gdy krążek obraca się szybko, obiedwie kulki regulatora oddalają się od siebie, a wskutek tego połączenie samych krążków rozluźnia się. To utrudnia osiągniętą szybkość obrotu, walec bieg swój zwalnia. Ruch przeto nie może przejść po za określoną prędkość. Jakkolwiek stosowanie elektryczności do ruchu walca w wielu razach bardzo może być wygodne, nie wymaga bowiem posługiwania się nogą przy używaniu fonografów, to jednakże z drugiéj strony w fonografach baczyć trzeba na utrzymanie ogniw galwanicznych w dobrym stanie, grafofon zaś téj specyalnéj obsługi nie potrzebuje. W prywatnym użytku grafofon przeto zdaje się, może okazać się dogodniejszym.

Szereg niezmiernie delikatnych, bardzo drobnostkowych udoskonaleń, których opis szczegółowy w tém miejscu wydaje mi się zbytecznym, uczynił z pierwotnego fonografu edisonowskiego tak doskonały instrument, jakim obecnie w całym niemal świecie się zachwycają. Dźwięki wydawane przez fonograf zarówno jak i przez grafofon prawie zupełnie są czyste, przyrządy oddają nawet z wielką ścisłością właściwości charakterystyczne wszelkiego głosu, jego intonacyą i t. d. W Stanach Zjednoczonych posługiwanie się fonografem wchodzi powoli w ogólne użycie. Pan A zamiast pisać do pana B, w domu u siebie mówi w fonograf i przesyła panu B fonogram (walec długości około 10 centymetrów, a średnicy około 3—4 centym.); pan B umieszcza otrzymany fonogram w swoim przyrządzie fonograficznym i ze wszelkiemi szczegółami słyszy mowę pana A. Przesyłanie fonogramu jest bezwątpienia mniéj rzeczą dogodną niż przesyłanie listów, lecz o ileż większą wartość posiada fonogram, aniżeli list. Daléj, 3 minuty wystarczają na wypowiedzenie tego, czego napisanie wymaga około kwadransa. A wreszcie, pomińmy prywatne porozumiewanie się, a po-

myślmy, co za dogodność wypływa z używania fonografu na zebraniach publicznych, wykładach, przedstawieniach i t. d.

Dotychczas sposób prywatnego korzystania z fonografów natrafiać musi jeszcze na dużo formalnych trudności. Fonografy zresztą zbyt jeszcze są drogie, a Edison przyrzeka sobie niejedno jeszcze w nich udoskonalenie wprowadzić.

Zdarza się tak, iż w pierwszéj mojéj niniejszéj kronice wypadło mi poruszyć dwie niezmiernéj doniosłości sprawy: jeden z największych tryumfów ściśléj wiedzy współczesnéj i jeden z największych tryumfów techniki. Fakty takie nie codziennie w nauce się powtarzają. By je wszakże dostatecznie ocenić i w zupełności zrozumiéć, należy koniecznie nie tracić z oczu owego powolnego, a świadomego celu pochodu wiedzy, którego ślady jasno w życiu obecnych społeczeństw się rysują. I tym przeto mniejszym ogniwom w łańcuchu zdobyczy współczesnéj wiedzy zbliska przypatrywać się będziemy musieli.

Maksymilian Flaum.





PRZEGLĄD TEATRALNY.

Nowy rok dla sceny warszawskiéj rozpoczął się bez sztuki oryginalnéj w nowym repertuarze i bez Żółkowskiego w komedyi; możnaby z tych dwóch faktów, z których pierwszy był rzeczą przypadku, a drugi smutnéj konieczności, wysnuwać przepowiednie w duchu taniego pesymizmu pewnych recenzentów, twierdzących, że ze śmiercią „genialnego komika“ skończyło się z teatrem polskim i ze sztuką dramatyczną u nas najzupełniéj.

Powiadam: możnaby, ale przezorni dodają zaraz: nie należy; nie należy bowiem powiększać ciosu, jaki ugodził w scenę warszawską i przeceniać straty, którą sztuka przez ubytek jednego, co prawda, z najcelniejszych talentów aktorskich naszego wieku, poniosła; nie należy wyjątkowéj — nawet najbardziéj wyjątkowéj — jednostki identyfikować z instytucyą, która swéj żywotności i swego przeznaczenia nie streszcza w tym lub owym wielkim komiku lub tragiku; nie należy wreszcie samowolnie a nierozważnie zniechęcać publiczności do sceny tak gwałtowném obniżeniem opinii jéj artystycznego poziomu. I przy Żółkowskim, zwłaszcza w ostatnich czasach, repertuar rozwijał się głównie bez jego udziału w nowościach, a w tym repertuarze zachowywały się tylko sztucznie, tylko dla niego pewne komedye, podtrzymywane jedynie popisowemi jego rolami; obok nich wszelako przewinęło się przez scenę warszawską mnóstwo sztuk dobrych, które doznały zupełnego nawet powodzenia w obsadzie i grze innych artystów, i zadawalały tę samą krytykę, co w jeremiadzie nad śmiercią Żółkowskiego rozdarła szaty, wołając wielkim głosem: „skończyło się z teatrem warszawskim!...“

Nie, nie skończyło się jeszcze, jakkolwiek skończyło się czasowo „z komizmem w wielkim stylu,“ z koncertowemi popisami genialnego solisty, z tradycyą najświetniejszych lat téj wzorowéj niegdyś sceny,

która świeciła ongi całą plejadą pierwszorzędnych talentów w komedyi, dramacie i operze.

Ten brak pierwszorzędnych znakomitości nie jest objawem jedynie na scenie warszawskiéj widocznym; zagranicą również wiele scen bez wyjątkowych talentów obchodzić się musi, epoka „gwiazd“ wszędzie mniéj więcéj przeminęła lub mija, natomiast ideałem dobréj sceny staje się harmonijna całość, dopasowana nawet z najmniejszych zdolności i sił na wzór świetnéj w tym rodzaju trupy meiningeńskiéj pod kierunkiem p. Chrönegka, którą przed laty mieliśmy sposobność podziwiać także w Warszawie. Przyznać trzeba, że reżyserya naszego dramatu skorzystała z tego wzoru i że dzisiaj z konieczności będzie musiała w tym kierunku zwrócić całe swe usiłowania, jeżeli zechce pokryć brak wyjątkowych jednostek w personelu i zainteresować zarówno publiczność, jak krytykę artystyczną stroną repertuaru.

Przy energii i doświadczeniu kierownika, a dobréj woli wszystkich artystów, zadanie to nie byłoby tak trudném; mieliśmy tego niejednokrotnie dowody, a świeżego dostarczyło wystawienie fantastycznego dramatu hr. Stanisława Rzewuskiego p. t. „Ostatni dzień Don Juana,“ który na przełomie starego i nowego roku ukazał się na scenie. Wyuczono się téj sztuki, wystawiono ją i grano z wielką starannością, z dobremi pomysłami reżyserskimi, z niemałym nakładem; — jeżeli mimo wszystkiego sztuka upadła, to winę tego upadku jedynie jéj saméj przypisać należy.

Pan Rzewuski jest autorem młodym, którego gorączkowa twórczość od samego początku miała w sobie coś chorobliwego; znać w niéj było pretensye wielkiego talentu przy zdolnościach temu nieodpowiednich, ryzykowne wysiłki do dopięcia za wysokich celów, pozowanie na oryginalność przy niezręczném naśladownictwie nowéj szkoły beletrystyków francuskich i dramaturgów russkich, a wreszcie zupełnie spaczone pojęcia o zagadnieniach życiowych, moralnych i społecznych, których młody, niedojrzały jeszcze umysł nie miał czasu przetrawić w treści, a zbyt powierzchowna obserwacya nie zdołała poznać z zewnętrznych objawów. Ten zawcześnie wysilony talent od początku zaczął iść po omacku, kierując się samym instynktem, wszedł na bezdroża, potykając się co krok; potknięcia te podrażniały wprawdzie wielką ambicyą w młodym autorze, ale nie nauczyły go szukać właściwéj drogi.

P. Rzewuskiego zaliczono do pesymistów w naszéj literaturze, nie zastanowiono się tylko, zkąd właściwie w początkującym pisarzu, który ani życia nie poznał, ani nie miał kiedy filozoficznych rozbierać teoryi, wziął się ów pesymizm tak krańcowy, a jednak na samym

frazesie oparty. Nie omylimy się chyba, przypuszczając, że źródłem owego czarnego na świat i życie poglądu w p. Rzewuskim, tak samo jak w wielu innych autorach jego miary, były właśnie owe niepowodzenia autorskie, owe potknięcia się niedojrzałego talentu, które wielką gorycz zawodu w nim wytwarzały i robiły go pesymistą. W tym żalu do świata, do życia, do ludzi młodego niby-myśliciela, musiał być na dnie żal do krytyki, co nie umiała się poznać na początkującym dramaturgu, żal do dyrektorów teatralnych, którzy jeden po drugim z jego utworów odrzucali, żal do publiczności, która pozwalała tym sztukom przeforsowanym na scenę upadać. Geneza wielu pesymistów bez wybitnego talentu i dojrzałego na życie poglądu dałaby się sprowadzić do osobistych zawodów zbyt wygórowanéj ambicyi, do owego „braku uznania,“ który chorobliwa podejrzliwość przypisuje zwykle cudzéj zawiści lub zakulisowym intrygom.

Pan Rzewuski zdradził się z tego rodzaju żalem w namiętnéj filipice przeciw całéj krytyce warszawskiéj i całéj literaturze współczesnéj u nas, wydrukowanéj przed kilku laty w paryskiéj *Revue indépendante.* Zbytek żółci i goryczy, wylanéj w tym artykule, był objawem chorobliwéj drażliwości, z któréj głównie, według naszego przypuszczenia, wypływa ów dziwaczny pesymizm autora „Potrzebnych grzeszków“ i „Doktora Faustyny.“

Nigdzie wszakże pretensyonalność do oryginalnego pomysłu, do postawienia tezy i jéj rozwiązania, nie objawiła się w utworach p. Rzewuskiego tak wybitnie, jak w jego „Ostatnim dniu Don Juana,“ wystawionym na scenie Wielkiego Teatru, a poprzedzonym rozprawą w kilku felietonach „Kuryera Warszawskiego.“ Na wzór Wiktora Hugo i Dumasa syna, hr. Rzewuski uważał za konieczne napisać rodzaj przedmowy do swojéj sztuki, w któréj przypuszczając, że płytkie i ciasne umysły nie zrozumieją dostatecznie jego idei i intencyi — rozwinął sam obszernie własne poglądy na swoje dzieło i swego bohatéra. Streściwszy wszystkie dramaty hiszpańskich, francuskich i niemieckich autorów, osnute na legendzie o słynnym uwodzicielu kobiet, Don Juanie, zapewnił nas, że jego bohater nie jest w niczém podobny do swoich poprzedników na scenie, bo jako figura jest wcieleniem „symbolu téj kategoryi umysłów, które prawdy bezwzględnéj szukają w rozkwicie wszystkich sił żywotnych, ale sił wyłącznie zmysłowych, a więc w miłości, która jest ich przejawem najwspanialszym i najzupełniejszym,“ zaś jako bohatér dramatu wnosi z sobą ideę szerszéj i swobodniejszéj etyki, dozwalającéj rehabilitacyi zbrodniarza i winowajcy za cenę jednego szlachetniejszego porywu.

Pozwólmy autorowi własnemi jego słowami wyjaśnić tę śmiałą

tezę, któréj motywa kończy następującą konkluzyą: „A zatém w jednym czynie szlachetnym zawrzéć się może odkupienie całego występnego życia, tak samo, jak mądrość kierująca wszechświatem jaśnieje w najdrobniejszém, na pozór również cudowném i niezrozumiałem stworzeniu lub zjawisku przyrody; piękna i głęboka moralność katolicka, obiecując rozgrzeszenie za jednę chwilę przedśmiertnego żalu, zgadza się tu najzupełniéj z duchem wielkiéj racyonalnéj filozofii, według któréj pojęcie czasu stanowi tylko subjektywną formę działalności naszego umysłu, samo zaś przez się nie ma żadnego przedmiotowego znaczenia; jednego dnia dosyć, żeby duszę ocalić. Ale raz jeszcze: ocalenie to znaczy zrozumienie sfery wyższéj, boskiéj, obowiązującéj dla każdego prawdy“...

Hr. Rzewuski się myli, jeżeli sobie wyobraża, że wymyślił coś zupełnie nowego i oryginalnego w idei i rozwiązaniu swego fantastycznego dramatu; przekarmiwszy się całą literaturą Don-Juanową przed napisaniem swéj sztuki, bezwiednie przeżuwa tylko składowe pierwiastki i motywa dramatów, od których jego utwór ma się odróżniać treścią i formą. Już pierwszy Tirso de Molina, który tylu innych autorów natchnął swoim prototypem scenicznego Don Juana, próbował nie w tym, ale w dwóch innych dramatach przeciągnąć do ostatniéj krańcowości swą katolicką ideę odkupienia; w pierwszym p. t. „*El condeńado por desconfiado*“ prosty zbójca, w drugim p. t. „*Quien no cae no se levanta*“ prosta hetera dostępuje zupełnego rozgrzeszenia i zbawienia duszy za jednę chwilę skruchy i pokuty. Wątpliwość bronionego morału, chociaż głoszonego przez mnicha i późniejszego przeora bonifratrów, jaskrawo przebija w samém założeniu drugiego zwłaszcza utworu, który nosi tytuł: „Kto nie upada, nie podnosi się“.

Idea rehabilitacyi tak popularna w ostatnich czasach nietylko wśród dramaturgów i powieściopisarzy, ale nawet w pewnéj szkole poważnych historyków, nie jest również oryginalnym pomysłem hr. Rzuwuskiego, w zastosowaniu jéj specyalnie do Doń Juana. Przed pięćdziesięciu blisko laty stary Dumas z całym romantycznym aparatem w swojém „*mysteryum*“ o Don Juanie de Marana wystawił tego bohatera pomiędzy aniołem złego i aniołem dobrego, który ostatecznie zdobywa zatraconą duszę wielkiego grzesznika i zbrodniarza. Coś podobnego dzieje się w dramacie p. Rzewuskiego, który w prologu każe dwom duchom, uwiedzionéj kochanki i ojca bohatera, starać się o zbawienie jego i wymodlić w niebie odkupienie dla zatwardziałego grzesznika pod warunkiem, że na jednę chwilę przed śmiercią ugnie się, zwalczy swą naturę, zaprze się jéj i — nie spełni na-

wet żadnego dobrego uczynku, tylko powstrzyma się od spełnienia złego. Doprawdy, cena odkupienia *in minus* najniższa, za jaką zlicytować można dla nieba duszę wielkiego grzesznika, do którego całe piekło ma najzupełniejsze prawo.

Pominąwszy zresztą spór o granice takiéj idei odkupienia i o wyzyskanie zasady etycznéj aż do nadużycia, nasuwa się nam inne pytanie, a mianowicie: dlaczego Don Juan ma być koniecznie zbawionym i rozgrzeszonym *à tout prix?...* dla czego autor wyrywa go gwałtem z piekła swojemi spekulacyami filozoficznemi, psując jednolitość tragicznéj w swoim rodzaju postaci, pacząc i wykoszlawiając typ stworzony na materyał dla genialnego poety lub dramaturga, którym niestety posługiwały się z wyjątkiem Byrona i Moliera nie dość wielkie do tego talenta.

Czy dla tego, aby dramat p. Rzewuskiego nie był podobnym do żadnego z poprzednich?... aby się wyróżniał niby oryginalnością rozwiązania, a właściwie sofistycznym eksperymentem?... Czy p. Rzewuski, jako dramaturg w swém przekonaniu, nie czuł tego, iż tą rehabilitacyą swego bohatera może go etycznie podnosi, ale pod względem konsekwencyi charakteru i miary tragicznéj, i dramatycznego efektu, obniża go bardzo i pospolituje?... nie widział tego, że ów płaczący i żałujący za swoje winy Don Juan maleje jako typ, i staje w rzędzie bohaterów melodramatycznych?... Że on jest większym w swojéj zaciekłości złego, czy demonicznego swego temperamentu i instynktów, poskromionych dopiéro kamienną ręką Komandora, jako wykonawcy wyroków sprawiedliwości, aniżeli ocierając łzy z oczu i bijąc się w piersi ze słowami: *mea culpa?...* W ten sposób możnaby wypaczyć wszystkie wielkie typy i charaktery, przestrajając ich zasadniczy ton w końcu i wbrew ich naturze rozwiązując akcyą, któréj byli bohaterami. Jakby się p. Rzewuskiemu wydał Faust,idący za namową Małgosi do spowiedzi i uznający wszystkie dogmaty kościola, albo Mefisto, dający się ochrzcić i wstępujący do klasztoru?

W tém forsowném przegięciu, w tém sztuczném rozmiękczeniu charakteru widzimy właśnie fatalny błąd i pomyłkę autora, który zepsuł typ świetny w swoim rodzaju, choć ujemny i niesympatyczny. P. Rzewuski okazał brak poczucia wielkiego stylu w dramacie, który przez swoje założenie miał właśnie zaimponować wzniosłością idei i bohatera.

Jeden z mniejszych, a przynajmniéj nierównych talentów poetyckich w Niemczech, Krystyn Dietrich Grabbe, autor „Don Juana i Fausta“, mógł był p. Rzewuskiego nauczyć, jak należy uszanować jednolitość i konsekwencyą pewnych kardynalnych typów w sztuce.

W filozoficznym dramacie poety niemieckiego jest scena, kiedy Komandor zaproszony na wieczerzę przez cynicznego rozpustnika i uwodziciela jego córki, upomina go, aby się poprawił i żałował za grzechy. Na to Don Juan odpowiada mu z dumą sobie właściwą:

> Was ich *bin*, das *bleib'* ich. Bin ich Don Juan,
> So bin ich Nichts, werd' ich ein Anderer!
> Weit eher Don Juan im Abgrundsschwefel,
> Als Heiliger im Paradieseslichte!
> Mit Donnerstimme hast Du mich gefragt,
> Mit Donnerstimme geb' ich dir die Antwort: Nein!

Takiego Don Juana, który wié o tém, czém jest i czuje to, że byłby niczém, gdyby się stał innym, który woli jako Don Juan smażyć się w smole i siarce piekielnéj, niż być świętym w jasności rajskiéj za cenę skruchy i pokuty, takiego można zrozumiéć. To potępieniec, ale to Don Juan, którego legenda wieków jako wzór uwodzicieli i rozpustników przekazała; całém życiem zasługiwał na piekło i do piekła należy i niemal wié o tém, że zbawienie jego zakrawałoby na ironią, na wyzyskanie sprawiedliwości i miłosierdzia najdobrotliwszego Boga.

Don Juan p. Rzewuskiego, ocierający łzy ukradkiem, pozuje tylko na wielkiego i niezłomnego bohatera występku, udaje prawdziwego Don Juana z jednéj sztuki, ale nim nie jest i być nie może.

Co gorsza, nie odpowiada on pojęciu swego prototypu w ogólności, ale i sprzeniewierza się typowi, jaki autor wytworzyć zamierzał w swym fantastycznym dramacie według szkicu, zarysowanego w autokrytycznéj rozprawie.

Zobaczmy, jak wygląda na scenie ten bohater, szukający absolutu w miłości,—dodajmy zmysłowéj jedynie,—dochodzący w końcu do przekonania, że pomylił się w środkach i szedł ciągle manowcami do celu, i że „tylko w syntezie materyi i ducha słowo zagadki znaleść się może".

Przy podniesieniu kurtyny Don Juan leży bez przytomności w klasztornéj celi, w któréj uwiódł siostrę Martę, zakonnicę, przed kilkoma godzinami i padł omdlały w téj saméj chwili, gdy ona martwa wysunęła się z jego objęć. Duch nieboszczki w bieli, jaskrawym oświecony blaskiem, klęczy na kamiennéj posadzce i rozmawia z duchem ojca Don Juana, ukazującym się na ciemném tle ściany. Obraz efektowny w stylu romantycznym. Oba duchy prowadzą bardzo długi i rozwlekły dyalog, z którego dowiadujemy się najprzód, że ponieważ Don Juan występków swoich względem bliźnich niczém nie zmazał i nie uznawał siły przebaczenia—zatém przebaczenia dla niego nie ma, ale

zaraz potém pociesza nas nieboszczyk ojciec bohatera, że Pan Bóg miłosierny postanowił cud uczynić dla siostry Marty, wskrzesić jéj kochanka i zostawić mu jeszcze jeden dzień życia ponad oznaczony termin, aby w ciągu tego dnia, jeżeli zechce, mógł wywalczyć sobie zbawienie. Don Juan ma tedy rozwiązać zadanie swego odkupienia na zadany z góry temat; oto powinien, zawsze z woli Boga, w ciągu téj ostatniéj doby, darowanéj mu w przyczynku do zmarnowanego życia, przebaczyć zniewagę śmiertelną. Jeśli krzywdy zapomniéć nie potrafi, dusza jego będzie zgubiona niepowrotnie; jeśli się opamięta— zostanie zbawionym, albowiem: „jednego dnia dosyć... by duszę odrodzić".

Po tym prologu, który nas uprzedza o dalszéj akcyi i pozwala domyślać się jéj wyniku, rozpoczyna się właściwy dramat; cienie znikają, scena się rozwidnia i mamy przed oczyma obszerny plac w Walencyi, na którym Sganarel, sługa umarłego Don Juana, popisuje się Molierowskim humorem i Szekspirowskim komizmem, przy akompaniamencie tłumu ulicznego, opowiadając długo i szeroko, nie zawsze z jednaką werwą i dowcipem, o wszystkich sprawkach swojego pana.

Ta ekspozycya jest za rozwlekła, ale znać w niéj sceniczny temperament młodego, choć niedoświadczonego pisarza.

Don Juan budzi się z pozornéj śmierci i dowiaduje od Sganarela, że nad jego mniemanemi zwłokami ukląkł ze słowem przebaczenia brat jego Don Luiz, którego przed szesnastu laty pchnął szpadą w pojedynku i uważał za zabitego i że Dona Olympia Sandoval, jedna z jego ofiar uwiedzionych, śmiała go publicznie przekląć. Ta Olympia została żoną jego brata Luiza, który poważył się niegdyś kochać ją a przez miłość zrehabilitować shańbioną i mimo wszystko poślubić po wyzdrowieniu. Próżność Don Juana jest podrażnioną, jego duma dotkniętą. Jakto, zabity brat śmié żyć, być szczęśliwym w małżeństwie z jego dawną kochanką, śmié go upokarzać swą szlachetnością, a ona nietylko, że oddała rękę innemu, lecz wobec wszystkich pamięć jego przeklina?... On, który dumny był dotąd ze swéj władzy nad sercami niewiast i nienawiści mężczyzn, nie może przenieść na sobie tych dwóch despektów, uwłaczających honorowi uwodziciela, ambicyi Don Juana,. więc postanawia się zemścić. Po raz drugi postanawia podbić swą niewierną kochankę i zemścić się na bracie, uwodząc mu żonę.

Przypadek chce, że planów téj zemsty rozsnuwanych przed Sganarelem, podsłuchuje Don Carlos, syn Dony Olympii, ujmuje się za honorem matki, wyzywa Don Juana i pada ugodzony śmiertelnie ręką własnego stryja. Sytuacya się wikła, ale Don Juan pozostaje jeszcze wiernym swojéj tradycyi, gdy pomimo uśmiercenia

syna, wybiéra się zuchwale na podbicie matki i wierzy w swój niezawodny czar i wpływ na kobiety. To jeszcze prawdziwy Don Juan, dążący z całym cynizmem do wytkniętego celu, jednę zbrodnię zacierając drugą, dla zadowolenia swojéj fantazyi, zmysłów i namiętności. Ta niezwykłość sytuacyi go podrażnia. Miał we śnie przestrogę, że jeden dzień życia pozostaje mu tylko dla uratowania swéj duszy, ale ten dzień poświęca nie sprawie własnego zbawienia, lecz potępienia dwóch innych dusz, które śmiały jego drażliwość zadrasnąć.

Trzeba w tém miejscu położyć nacisk, że bohater p. Rzewuskiego, który według założenia miał szukać bezwzględnéj prawdy w miłości, przyznaje sam, że nie kochał nigdy Dony Olympii i teraz nie miłość, ale wręcz przeciwne uczucia, bo zemsta i nienawiść kierują jego czynami i stanowią jedyne sprężyny całéj akcyi.

Don Juan wkrada się do domu brata i rozpoczyna starą sztuczkę uwodzenia powtórnie swéj ex-kochanki; przyszłoby mu to o wiele trudniéj w danych warunkach, gdyby Dona Olympia nie pozostawała przez lat szesnaście pod urokiem swego uwodziciela i nie kłamała przed mężem, przed światem, przed sobą samą nienawiści do niego; ona go jeszcze kocha i zapomniéć nie może, chociaż ma go już za umarłego. Trudno tylko zrozumiéć, co ją skłania do popisywania się z tą nienawiścią w chwili najmniéj stosownéj, t. j. nad zwłokami kochanka, kiedy rzucała na niego straszną klątwę publicznie i z wielkim patosem prosiła Boga, aby dla mniemanego nieboszczyka był nieubłaganym i nielitościwym, potępił, upokorzył, ukarał i zgnębił jego występną duszę.

Autor może nam wprawdzie odpowiedziéć banalnym frazesem: „Niekonsekwencyo, imię twoje kobiéta!...“ tylko, że od Dony Olympii rozpoczyna się cały szereg niekonsekwencyi i nielogiczności w jego tendencyjnym, fantastycznym dramacie.

Don Juan z pewną siłą brutalnéj namiętności odegrywa scenę uwodzenia przez zemstę Dony Olympii, która słabnie w jego objęciach i gotowa zawierzyć mu po raz drugi; godzi się na porzucenie męża i dziecka, jest gotowa do ucieczki z ex-kochankiem, do zdeptania wszystkich obowiązków, które z hypokryzyą najprzewrotniejszéj natury kobiecéj spełniała dotychczas przez lat szesnaście, ulega jego namowom i daje się opętać wspomnieniom dawnych roskoszy.

Jest w téj scenie z niewątpliwą siłą i talentem napisanéj jeden szczegół charakterystyczny, który znowu świadczy o organicznych wadach talentu p. Rzewuskiego, o braku poczucia miary i równowagi w używaniu dramatycznych efektów. Oto w chwili największego napręženia sytuacyi, kiedy Don Juan zamknięty sam na sam z Doną Olympią, kończy swój duet miłosny i roznamiętnioną ofiarę chwyta

w objęcia, daje się słyszéć nagle fatalne stukanie do drzwi. Naturalnie, któż inny, jeśli nie zdradzony mąż przychodzi instynktem, czy prostym przypadkiem sprowadzony, aby własnemi oczyma spojrzéć na swoję hańbę i spiorunować winnych na miejscu; chwila ta jest pełna grozy, przerażenia wiarołomnéj żony, która lęka się śmierci dla kochanka, idącego z całym cynizmem ale i rycerską butą otworzyć drzwi mężowi. Katastrofa wisi w powietrzu. Tragiczny nastrój sytuacyi opanowuje publiczność,—w tém drzwi się otwierają i zamiast groźnego mściciela swego honoru, zamiast zdradzonego Don Luiza wchodzi... komiczny Sganarel, przyjęty śmiechem Don Juana i śmiechem publiczności, którą ta niespodzianka przerzuca nagle z tragedyi do farsy.

Spodziewany Don Luiz przychodzi trochę późniéj, w następnéj zaraz scenie, ale to *intermezzo* ze służącym, który go poprzedził, osłabia znacznie wrażenie i obniża ton całéj sytuacyi. Publiczność, która się śmiała, nie łatwo znowu daje się nastroić na powagę, tém bardziéj, gdy odtąd coraz więcéj znajduje powodów do sceptycznego uśmiechu i wzruszania ramionami.

Dowiadujemy się tedy, że Don Luiz z gromadą ludzi zdąża ku domowi, że niosą za nim śmiertelnie rannego Don Carlosa, że trzeba uciekać jak najśpieszniéj, ale tego wszystkiego bardzo skrupulatnie, z zegarkiem w ręku, nie biorą nigdy bohatérowie hr. Rzewuskiego i pod względem rozliczania się z czasem podobni są do bohatérów i chórów operowych; trudno ich poruszyć z miejsca, muszą odśpiewać swoje partye ze wszystkiemi powtórzeniami. Mija tedy dość czasu, zanim nareszcie Don Luiz się zjawia, aby żonę i brata złapać na miłosnéj schadzce w chwili bardzo stanowczéj, bo właśnie gdy Dona Olympia w objęciu Don Juana gotuje się do ucieczki. Zdradzony mąż, mając najważniejszy argument do zatrzymania żony i ocucenia jéj z szału roznamiętnienia w wiadomości o śmiertelnéj ranie Don Carlosa, — z tém przecież przybiegł do domu, — używa wpierw całéj retoryki zrozpaczenia i zawodu, wyrzutów i refleksyi, aby na samym końcu wyjawić matce po długich dyalogach straszną prawdę, że syn jéj jest umierający, a umiéra z ręki Don Juana. Autor uwziął się przewlekać, ale i spiętrzać gwałtownie swoje niespodziane efekta.

— Patrzcie się ludzie!—woła Don Luiz do tłumu, który wypełnił jego komnatę—poraz pierwszy w życiu Don Juan zblednie i śmiać się przestanie. A! sądziłeś, żeś zabił mego syna! mylisz się — Don Carlos jest twoim synem.

Od téj chwili Don Juan, który nie uląkł się statuy mówiącéj Komandora i wyzywał niebo i piekło do walki, przestaje być sobą; nie-

tylko blednie i śmiać się przestaje, ale płakać zaczyna i mówić drżącym głosem: „Dziecko moje!... miałem syna!...“

Nic w życiu nie zdołało go jeszcze wzruszyć, jego, który zabijał ojców, braci, synów z krwią najzimniejszą, porzucał w rozpaczy uwiedzione kochanki, popełniające samobójstwo dla niego, który kochał jednę tylko kobietę z owych tysiąca i trzech uwiedzionych i porzuconych, a nie miał nawet przywiązania do Dony Olympii, — jego wzrusza wiadomość, że miał syna, jak gdyby mu się to pierwszy raz w ciągu całego życia zdarzyło.

Nie zapominajmy jednak, że mamy do czynienia z dramatem fantastycznym, w którym ta fantastyczność widnieje z każdéj sytuacyi niemal i z każdéj ważniejszej figury.

Od chwili wynaturzenia się swego, Don Juan sam dobrze nie wié, czém ma być i czego chcieć. Chciał się mścić na bracie — daje pokój; odmawia mu satysfakcyi honorowéj, bo „matka jego była niewolnicą,“ a rycerzowi nie wypada „bić się z bękartem.“ Zapomina, że mimo to uchybienie, skrzyżował już raz z nim szpadę przed laty szesnastu, a odmówiwszy mu stanowczo pojedynku, wyzywa go potém sam po chwili, aby stoczyć z nim walkę na śmierć... za co? „za hańbę swego rozrzewnienia,“ wywołanego wiadomością o ojcostwie swojém.

Don Luiz godzi się na pojedynek, ale żonę sromotnie z domu wypędza na ulicę.

Ten Don Luiz jest bardzo ciekawą figurą, jest chodzącą abstrakcyą, nadzianą samemi frazesami, jakiémś wcieleniem idei chrześciańskiéj miłości i przebaczenia, posuniętego do bezwzględnéj abnegacyi. Sierdzi się i oburza, wybucha i grozi, ale ostyga tyle razy, ile razy autor dmuchnie na niego. Możnaby o nim powiedzieć, że ze wszystkich figur dramatu jest najkonsekwentniejszym w swojéj niekonsekwencyi, bo stale nie dotrzymuje tego, co zapowiada. Miał się bić z bratem, nie bije się; miał szukać odwetu, nie szuka; miał wypędzić żonę, przyjmuje ją do domu; miał wzbronić przystępu Don Juanowi i Donie Olympii do łoża konającego dziecka, dopuszcza ich po długiém i nudném kazaniu na temat ewangieliczném miłości. Gotów przebaczyć wszystko i wszystkim w imię odwiecznéj sprawiedliwości, która wydaje się przez niego odwieczném niedołęstwem.

— Ach, jesteś świętym!—woła zachwycona nim Dona Olympia, ale on nie przyjmuje skromnie tego komplementu, przyznając się jedynie, że—„jest tylko chrześcianinem.“

W tym wypadku, jak w wielu innych, p. Rzewuski przebrał miarę i nie spostrzegł się wcale, że ten jego przeidealizowany chrystyanizm uświęca zasady jakiéjś bezwzględnéj bezkarności, że na tym

gruncie „szerszéj etyki,“ niedostępnéj dla płytkich i ciasnych umysłów, spodziewać się mogą właśnie, wbrew chrześciańskim pojęciom o sprawiedliwości, przebaczenia i odkupienia wszystkie najcięższe grzechy, nawet śmiertelne, nawet o pomstę do nieba wołające, że wreszcie w tém rozszerzeniu granic etyki leży wielkie niebezpieczeństwo zaprzepaszczenia wszelkich zasad i prawideł etycznych i podkopanie podstaw moralności nawet najswobodniéj pojmowanéj.

Ten sam błąd i ta sama nielogiczność upostaciowana w Don Luizie, jest właśnie wadą i ujemną stroną główněj idei, wcielonéj w fantastyczny dramat p. Rzewuskiego.

Nasze poczucie sprawiedliwości i etycznéj miary oburza się na rozwiązanie jego tezy; brak należytéj ekspiacyi w dramacie sprawia wrażenie przykre i nie przekonywa widza do sztuki, nie jest dla niego zakończeniem prawdopodobném.

Na czém bowiem polega owa rehabilitacya Don Juana i zmazanie win całego żywota?... oto na tém, że umierającego syna nie dobija podniesioną szpadą w chwili, w któréj konający dzieciak wymierza mu policzek, mszcząc się za zniewagę swéj matki i za swą ranę śmiertelną,

Niezaprzeczenie sceniczny efekt tego pomysłu jest silny, ale wstrętny zarazem; zawsze to syn policzkuje ojca, niedorostek dojrzałego mężczyznę i to w jakiéj chwili!... w chwili samego zgonu, uniesiony nienawiścią i pragnieniem zemsty, gdy „jako chrześcianin“ pojednał się z Bogiem i ludźmi, prosząc u bliźnich przebaczenia...“ „Jeśli kogo skrzywdziłem... darować mi proszę!“ — mówi konającym głosem do swego otoczenia, a zaraz potém sam wymierza policzek Don Juanowi, zwabiwszy go podstępnie łagodném słowem i chęcią pojednania do swego łoża.

Dziwny jest ten mały chrześcianin, jako antyteza dużego chrześcianina Don Luiza, szukający nasycenia swéj nienawiści i zemsty po akcie dokonanéj skruchy na łożu śmierci!...

Któryż właściwie z tych dwóch ma być prawdziwym przedstawicielem chrystyanizmu w pojęciu p. Rzewuskiego?

Don Juan, znieważony przez syna, rzuca się w pierwszéj chwili na niego z dobytą szpadą;—według informacyi autora: „tłum go zatrzymuje“ i przeszkadza spełnieniu ostatniéj zbrodni. Coby się stało, gdyby go tłum nie zatrzymał?... czy pchnąłby żelazo poraz wtóry w piersi dziecka własnego, czy powstrzymałby się sam w stanowczéj chwili? — téj wątpliwości nie możemy nawet rozstrzygnąć na pewno. Dość na tém, że w pierwszym rozmachu nie zabiwszy syna, taką sobie robi reklamę: „Gdyby inny człowiek się ośmielił... choćby w ostatniéj

chwili konania... mógłbym o kilka chwil skrócić jego nędzne życie... i zemścić się; ale ciebie... ale ciebie dziecko moje zabić nie zdołam... nie zdołam. Przebaczyć ci więc muszę.“

„Nie mogąc się jednak zemścić—konkluduje daléj — wolę umrzéć razem z tobą... Krew obmyje znamię hańby wypiętnowane dłonią twoją na mojéj twarzy,—a Bóg... Bóg przez litość nad ogromem mego nieszczęścia może przebaczy.“

Po tych słowach przebija się szpadą, zegar bije dwunastą, w jaskrawém oświetleniu ukazuje się w głębi komnaty w zakonnéj szacie duch siostry Marty, pierwszéj i jedynéj kochanki Don Juana i obwieszcza mu, że... jest zbawiony, że przebaczone mu są wszystkie winy, bo raz jedyny w życiu przebaczył.

Jak się to samobójstwo zgodzi z chrześciańską ideą odkupienia i z przykazaniami Bożemi, i z „szerszą etyką,“ nad tém nie zastanawia się p. Rzewuski i zapuszcza szybko kurtynę po „Ostatnim dniu Don Juana.“

Pobałamucenie pojęć i brak moralnego zmysłu tłómaczy nam jedynie te wszystkie niekonsekwencye dramatu, w którym fantastyczność pozwoliła sobie aż na... nonsensa, pretensyonalnie tezą osłonięte.

Co do oryginalności pomysłów, potrzeba również zrobić poważne zastrzeżenia. Pan Rzewuski sam w swoim artykule przyznaje, że się spotkał z Pawłem Heysem w pomyśle zrobienia Don Juana ojcem i sprowadzenia go z synem w zawikłanéj kolizyi, dodaje wszelako, iż Heysego: „Śmierć Don Juana“ przeczytał dopiéro po napisaniu swego dramatu. Nie mamy powodu powątpiewać o tém, ale to przypadkowe podobieństwo pomysłów wychodzi w każdym razie na niekorzyść p. Rzewuskiego, bo choć nie jest plagiatem, traci cechę oryginalności. Heysego Don Juan spotyka syna, którego przez miłość chce wyplątać ze stosunku z kochanką, na którą rzuca potwarz; syn popełnia samobójstwo, a Don Juan z rozpaczy, że przyczynił się niezręcznie do śmierci jego, rzuca się w krater Wezuwiusza i ginie, tylko bez pretensyi do zbawienia duszy, jak u p. Rzewuskiego.

Nareszcie co do owego fatalnego policzka, — niestety, i ten nie jest świeżą i oryginalną inwencyą autora. W hiszpańskim dramacie Echegeray'a p. t. „Galeotto“ patrzeliśmy już na tę samę brutalność z tą różnicą, że tam raniony śmiertelnie w pojedynku mąż policzkuje przed samym zgonem mniemanego kochanka swéj żony i umiera, nasyciwszy swą zemstę.

Cóż tedy pozostanie prawdziwą własnością p. Rzewuskiego w tym jaskrawym konglomeracie pomysłów, skoro idea wzięta jest z Tirso di Molina, fantastyczność i świat duchowy ze starego Dumasa, główniej-

sze efekta z Heysego i Echegeray'a, figury bohatéra i sługusa potroszę ze wszystkich, począwszy od Tirsa i Moliera?... zostaje chyba Don Luiz, karykatura chrześciańskiéj miłości i idei przebaczenia, ale ten nie przyniesie zaszczytu pomysłowości autora i narazi go na największe zarzuty; zostanie sceniczność, do któréj nerw niezaprzeczenie posiada p. Rzewuski w swoim talencie nierównym, błąkającym się zawsze jeszcze po manowcach, a wodzonym na pokuszenie nad siły przez pretensyonalność wygórowaną. Więcéj doświadczenia i znajomości życia, więcéj spokojnéj obserwacyi a ładu i porządku w myślach, mniéj gorączki w tworzeniu i fantasmagoryi w pomysłach, mniéj wreszcie sztucznego pesymizmu z egotycznych pobudek, a przy swoich zdolnościach i pociągu do pracy, mógłby w panu Rzewuskim dojść do dojrzałości dramaturg, którego dzisiaj uznać trudno przy tylu zastrzeżeniach.

M. Gawalewicz.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Branki w jassyrze przez Deotymę, z ilustracyami E. M. Andriollego, 3 tomy (str. 213, 422, 447 w 4-ce wielkiéj). Warszawa, S. Lewental, 1890.

Najświeższy ten utwór Deotymy jest nowością jako wydawnictwo, lecz nie jako dzieło sztuki. Przed laty dziesięciu goście salonu poetki mieli sposobność poznania go w całości, może częściowo w odmiennych nieco kształtach, pod względem jednak myśli i konstrukcyi ogólnéj był on niewątpliwie ten sam. Zadowolenie swoje i zachwyt wyrażali nawet niejednokrotnie w gazetach po każdym czwartku, na którym odbywało się czytanie. Gdy zaś czytanie dobiegło do końca, grono przyjaciół i wielbicieli talentu Deotymy złożyło jéj hołd przez oddanie darów pamiątkowych. Robiąc aluzyą do znamiennego szczegółu w powieści, ofiarowano jéj dwie róże. Jedna z nich złota, wyrastała ze srebrnego wazonu, spoczywającego na podstawie marmurowéj; „dwie łzy brylantowe perliły się jak rosa na rozwartych płatkach kwiatu“; napis wyryty na tym darze brzmiał: „Autorce Branek w jassyrze, od wdzięcznych brańców jéj talentu. 1880“. Gdy tę różę przy odpowiednim wierszu, wypowiedzianym przez Odyńca, oddano poetce, zbliżyło się grono panien, trzymających różę sztuczną, przez jednę z nich tak artystycznie wykonaną, że „zdawała się różą prawdziwą, tylko z krzaku zerwaną“, a Hajota, robiąc złośliwy przycinek mężczyznom, wyjaśniła śmiałość wręczenia tak skromnego daru:

Każdy się wedle swych gustów tłómaczy,
Panowie kruszcem, a my własną pracą.

Przy opisie tego wieczoru, pojawiły się w dziennikach ogólne oceny „Branek“, trzymane w tonie uwielbienia. Jeden z nich („Echo“) pisał: „Książka ta, oryginalna w swym szerokim pomyśle, formą zbliżona niekiedy do poematu epicznego, a niekiedy po powieściowym gościńcu posuwająca swoję akcyę, jest zarazem ciekawém i wyborném studyum historyczném, w którém erudycya i badania dziejowe, pełne głębokości,

kojarzą się wdzięcznie i wytwornie z natchnieniami najbujniejszéj wyobraźni, w którém psychiczna (!) analiza charakterów idzie w parze z szlachetną tendencyjnością. Słowem, Branki w jasyrze są niezwykłém zjawiskiem w piśmiennictwie naszém, a talent autorki roztoczył w niém wszystkie bogactwa męskich zdobyczy na polu wiedzy dziejowéj, oraz daru niewieściego, pełnego miękkiéj, wzruszającéj uczuciowości, właściwéj tylko poetom... obojéj płci.“

Przypomnienie to nie ma być jedynie notatką z ubiegłych chwil życia warszawskiego, lecz ma zarazem posłużyć za punkt wyjścia w ocenie „Branek“.

Istotnie, należy pamiętać, jak utwór ten powstawał, ażeby sobie wyjaśnić niektóre szczegóły jego wykonania.

Autorka, jako gospodyni swego salonu, zwracała się do swoich słuchaczów z pewną przyjazną poufałością, robiła wyjaśnienia, uśmiechała się, podkreślała głosem pewne wyrażenia, na które chciała położyć nacisk, słowem zachowywała się jak opowiadacz żywém słowém przedstawiający wypadki i biorący bezpośredni udział we wszystkiém, co się koło niego dzieje. Dzieło tu nie odrywa się od twórcy, nie występuje jako samoistna całość, ale ściśle jest zjednoczoném z jego osobistością, tak, że ta osobistość niejednokrotnie w niém ze swojém zdaniem objaśniającém, ze swojém wrażeniem, radosném czy smutném, wyraźnie się ukazuje. Traci się na tém oczywiście złudzenie przedmiotowości nakreślonego obrazu, bo się nie tylko czuje, ale nawet widzi, że przed nami przesuwają się ludzie i wypadki, dowolnie przez autorkę wybrane i w ruch wprowadzone, zależne zupełnie nie tyle od swojego charakteru, od przyrodzonych właściwości i oddziaływania innych ludzi lub zdarzeń, ile od woli swego twórcy. Uwydatnia się to szczególniéj w początkach powieści, gdzie najczęściéj takie zwroty osobiste, takie, że tak powiem, krygi przed słuchaczami się odbywają, gdzie się znajduje owa na wzór Arystofanesa podana parabaza, wraz z objaśnieniem, co znaczy ten termin z starożytnéj komedyi wzięty.

Gdy się „Branki“ czyta głośno wobec liczniejszego, a więc z różnych złożonego osób audytoryum, wszystkie te odstąpienia od wątku niezbyt rażą, a objaśnienia mogą być nawet dla niejednego słuchacza lub słuchaczki pożyteczne, bo zwracając uwagę na różnicę czasów dzisiejszych od dawno minionych, dopomagają wyobraźni do przeniesienia się w przeszłość, do zrozumienia jéj cech odrębnych od tego, co się widzi naocznie. Ale z punktu widzenia czysto artystycznego nie można odstąpień tych usprawiedliwić; samo bowiem przedmiotowe opowiadanie powinno być tak ułożone, iżby czytelnika przenosiło żywo w ten okres czasu, na tle którego się rozwija; wszelkie poboczne podpórki wyglą-

dają, jak te części dworków szlacheckich dobudowywane w miarę rozrastającéj się rodziny, lub jak te malowane wstęgi, na których w wiekach średnich wypisywano sentencye przy figurach aniołów i świętych.

Zdaje mi się, że i na zwiększenie obszerności dzieła wpłynął w znacznéj części sposób powstania utworu. Opowiadacz, zachęcony uwagą słuchaczów, nie zważa zazwyczaj na stosunek części do całości, ale daje się porwać przedmiotowi i wszystko, co wié o nim, wypowiada, wiąże swobodnie jedne epizody z drugiemi, choćby w bardzo dalekim związku będącemi z wątkiem głównym, dbając o to jedynie, żeby rzeczy te opowiedzieć interesująco.

I w „Brankach z jassyru“ nie brak takich luźnych epizodów, które bez szkody dla całości, owszem może na korzyść idei przewodniéj, mogły być pominięte, gdyby nie ta chęć autorki wyczerpania treści osnowy wybranéj do przedstawienia. Należą one, co prawda, do najpiękniejszych w powieści ustępów, lecz odrywają od historyi osób głównych, nie odgrywają żadnéj roli w ich losach, nie mają wpływu na wyrobienie ich charakteru, są jedném słowem obce dla myśli zasadniczéj.

Deotyma zamierzyla w powieści swojéj wystawić dwa różne cywilizacyjne światy, które się w wieku XIII po raz pierwszy ze sobą zetknęły wrogo, mając w przyszłości prowadzić długie i krwawe boje. Świat europejski, ze swą chrześciańską oświatą, ze swém rycerstwem, częścią szlachetném, częścią rozbójniczém, ze swą pobożnością, pielgrzymkami do ziemi świętéj i ascetyzmem z jednéj strony a przewrotnością, żądzą łupu, życiem zmysłowém z drugiéj, ze swymi uczonymi i błaznami, ze swemi jasełkami (misteryami) i turniejami, ze swemi misyonarzami i handlarzami, — naraz zostaje wstrząśnięty wiadomością o wkroczeniu na wschodnie swe krańce hordy strasznéj, dzikiéj, barbarzyńskiéj, o któréj ze strachu rozchodzą się najpotworniejsze wieści, ale która miała także właściwe sobie wyobrażenia religijne, urządzenia polityczne i społeczne, wielkich wojowników i rozumnych rządców, silne namiętności zarówno w dobrym jak i złym kierunku. Chwila starcia tych potęg — pełna dramatyczności, pełna grozy tragicznéj.

Obierając Polskę wieku XIII za widownią, na któréj miała pokazać przejawy cywilizacyi średniowiecznéj, autorka dla wystawienia ich jak można najwszechstronniéj, w całym blasku, zapomniała o tém, że Polska ta była uboga, „drewniana“, że w niéj kościoły tylko wznoszono z kamienia, rycerze zaś i książęta przebywali w domach i zameczkach z drzewa, że obyczajów zachodnio-europejskiego rycerstwa prawie nie znała i że miała pod tym względem odrębną, prostszą swą fizyonomią. Dla wyobraźni poetki większy oczywiście powab posiadały

wspaniałe zamki Europy zachodniéj, turnieje, obrzędy rycerskie, przysięgi na pawia, okowy miłosne, noszone przez wiernych kochanków, kunsztownie wyrobione jasełka i t. p.; wszystko więc to, o czém się naczytała w książkach opisujących życie wieków średnich w Europie zachodniéj, przeniosła do nas, nadając tylko nazwiska polskie miejscom i ludziom. Chcąc się temi opisami rozkoszować, potrzeba zapomniéć, że autorka mówi o Polsce, a wyobrazić sobie jakiś kraj daléj na zachód leżący, najprędzéj może francuski. Opisy te były niewątpliwie potrzebne dla przeciwstawienia ich późniejszym, przedstawiającym stosunki azyatyckie, szkoda tylko, żo ich za prawdziwie historyczne, odnośnie do Polski, poczytać niepodobna. Jedynie szczegóły malujące objawy pobożności wieku XIII, zwanego „wiekiem świętych polskich", za zupełnie trafnie dobrane i dobrze wykonane uważać można.

W napadzie na zamek żegnaniecki, Tatarzy uprowadzili w jasyr między innemi Elżbietę żonę rycerza Sulisława, Ludmiłę, która kochała dzielnego rycerza Przedwojowica, poległego w walce z hordą najeźdźców, oraz małego Jasia, synka Elżbiéty. Dzieje tych trzech osób stanowią zasadniczy wątek opowiadania, obejmującego przeciąg czasu blizko 50-letni.

Elżbieta to ideał kobiéty wytrwałéj, rozważnéj, przejętéj głębokiém poczuciem obowiązków chrześciańskich, znoszącéj z poddaniem się najzupełniejszém woli Boga ciosy, jakie na nią spadają, zyskującéj potulnością i cierpliwością uznanie nawet dziko usposobionych ludzi. Przez ciąg niewoli udochownia się coraz bardziéj i zyskuje przywileje świętych.

Ludmiła przywiązana całém sercem do Elżbiety, szlachetna, z pewném do samowoli usposobieniem, żywego i bujnego temperamentu, jest w zachowaniu się swojém trzpiotowatą, lecz pod wpływem Elżbiety przetwarza się i ona, chociaż nierychło, a nie tracąc swéj żywości i jakiéjś naiwności panieńskiéj, postępuje w doskonałości chrześciańskiéj. Stan jéj serca jest dosyć niezdecydowany. Unikając niemiłych ślubów, oddaje się pod opiekę królowéj Kingi i na jéj dworze poznaje pięknego rycerza Przedwojowica. Wzięta do niewoli, nadzwyczajną pięknością robi wrażenie potężne na „behadyrze" Ajdarze, człowieku gwałtownym, ale w gruncie szlachetnym i miękkiego serca. Naturalnie oświadczenia jego przyjmuje ze wstrętem, ale gdy się dowiedziała o śmierci swego rycerza, gdy nadzieja wyzwolenia rozwiała się, oddała mu rękę, częścią dla ocalenia Elżbiéty i siebie, częścią w nadziei nawrócenia Ajdara na wiarę chrześciańską.

Ocalenie życia branek leżało oczywiście w interesie powieści; inaczéj bowiem przeważna jéj część nie miałaby zupełnie racyi bytu; na-

wrócenie Ajdara jest sprawą podrzędną, o któréj Ludmiła bardzo łatwo pod działaniem nowych dla niéj w świecie azyatyckim wrażeń zapomina, a o któréj, co dziwniejsza, nawet Elżbieta przyjaciółce swéj od czasu do czasu tylko napomyka. Rzecz się przeciąga i w końcu zewnętrznie załatwia się nie za pośrednictwem wpływu miłości lub rozumowania, lecz za pomocą... kumysu. Kiedy Ajdar ujrzał, że prawdziwy ksiądz chrześciański pije kumys, oświadczył gotowość przyjęcia chrztu od niego, gdy poprzednio wzbraniał się, ponieważ mu ktoś powiedział, iż po przyjęciu chrztu musiałby się wyrzec ulubionego napoju.

Sprawa ta zresztą, jak powiedziałem, mało zajmuje miejsca w powieści, i ostatecznie żadnego wpływowego nie posiada znaczenia. Autorka, pociągnięta malowniczością i ciekawością tematu, użyła całego swego kunsztu pisarskiego na odtworzenie dziejów początku i wzrostu chanów, na skreślenie obrazu stolicy ich w Karakorum, wspaniałości przyjęć dworskich, obrzędów szamańskich, widoków natury nad Bajkałem i Angarą, wreszcie życia tych nielicznych europejczyków, co się różnemi pobudkami kierowani do stolicy chanów dostawali, a więc kupców włoskich, złotników francuskich i ruskich, posłów papieskich, jak Jan de Plano Carpino, Benedykt Polak, Rubruk. Szczegóły historyczne są traktowane trochę po kronikarsku, mało się więc w pamięci uwydatniają; jedna chyba tylko postać szlachetnego i rozumnego Jelju-Czusaja pozostanie w niéj na dłużéj; natomiast krajobrazy i opisy uroczystości dworskich z ich cudami i pieśniami są przedstawione malowniczo i plastycznie, a polotem wyobraźni, fantastycznością i nadzwyczajnością potęgują nieraz zajęcie do bardzo wysokiego stopnia. Ta część dzieła Deotymy, oparta na obszernych studyach dziejowych, a co do obrazów natury na zapamiętanych obserwacyach własnych, posiada największą wartość, jeżeli się ją naturalnie bierze samę w sobie, a nie jako zbyt obszerną część całości kompozycyi. Tu poetka była w swoim żywiole, mogła swobodnie popuścić wodze fantazyi, lubiącéj kąpać się w blaskach przepychu.

Ostatnia część „Branek w jassyrze“ ma znów odmienną od poprzedniéj barwę. W niéj idea zdobywania szczęścia, jeżeli nie ziemskiego, to wiecznego, przez bóle, cierpienia i zupełną rezygnacyą, zasnuwa pomroką widnokrąg powieściowy i sprawia wrażenie nie utworu artystycznego, lecz traktatu ascetycznego, w którym przykłady z życia świętych, powściągających naturalny wstręt dla zyskania zasługi przed Bogiem, są szczegółowo aż do znużenia skreślone. Poetka, z delikatném poczuciem estetyczném, musiała dla miłości idei, pokonać w sobie samé wstręt podobny, gdy jéj przyszło opowiadać uwolnienie się branek z niewoli wskutek zarażenia się trądem i wędrówkę ich kilkoletnią po

przez Azyą i Europę aż do kraju rodzinnego, w którym zrazu spotykają ich same zawody i klęski. Te dwa cienie wynędzniałych, trędowatych staruszek, snujące się na przestrzeni paruset stronic przed wyobraźnią czytelnika, to dwie zmory tak przygnębiające umysł, że nawet współczucie dla nich zamiera. To téż gotów już czytelnik łatwo uwierzyć w cud, który autorka sprowadza pocałowaniem trędowatych przez Kingę, byleby już raz pozbyć się niemiłego widoku.

Tu dopiéro spotykamy się z Jasiem. Ocalony z niewoli tatarskiéj, o mało nie został utopiony przez krewnego, który czyhał na zagarnięcie jego majątków. Wychował się wśród rybaków, wyrósł na dzielnego, rosłego i silnego, ale zupełnie nieukształconego człowieka. Podczas napadu tatarów na Kraków w 1283 roku, został on tym bohatérem, którego pamiątkę w Koniku Zwierzynieckim lud krakowski przechował. Poznany przez matkę, zajął się serdecznie losem trędowatych i dopóty dzielił ich niepowodzenia, aż wreszcie przy pomocy Kingi odzyskał majątek i odnalazł w zamku żegnanieckim różę jerychońską, daną Elżbiecie przez pielgrzyma, a rzuconą przez Jasia w skrytkę tajemną na chwilę przed napadem Tatarów.

Ani dla branek, ani dla Jana majątek sam przez się nie przedstawiał żadnego powabu. Obrócono zamek na szpital dla trędowatych. Obie kobiety pomimo starości oddały się na usługi nieszczęśliwych, zatapiały się w modlitwie, doznawały widzeń, wreszcie zapadły „w rodzaj nieustannéj, słonecznéj ekstazy,“ marzyły o niebieskiéj Jerozolimie, „gdzie mury są z opalu a baszty z hiacyntu,“ o tych tryumfalnych pochodach, „jakiemi aniołowie przyjmują bohatérów Cnoty,“ a nakoniec „o tych ucztach Miłości, w których dusza dopiéro poznaje, co to jest świętych obcowanie.“ A gdy słuchacze widzieli przed oczyma wyobraźni przesuwające się te widoki, „wszystkich aż brała oskoma do jaknajrychlejszego wynoszenia się z ziemi.“

Po śmierci „branek,“ Jan wszystkie ziemie zapisał na własność szpitala, zarząd jego polecił braciom franciszkanom, a sam wziąwszy tylko różę jerychońską, razem z listami matki wsuniętą pod kapicę, poszedł w świat służyć nieszczęśliwym. Dlaczego wolał pójść służyć gdzieindziéj, a nie we własnym szpitalu? Na pytanie takie odpowiada autorka: „Większa to nierównie ofiara pracować tam, gdzie się jest sługą, niżeli tam, gdzie się jest panem.“

Czytelnik, któryby na te słowa, jak w ogóle na całą ostatnią część dzieła Deotymy zwrócił wyłącznie uwagę, mógłby zrobić sprawozdawcy słuszny napozór zarzut, iż o idei zasadniczéj utworu, o tém wyrzeczeniu się siebie samego na rzecz bliźnich i Boga nie rozszerzył się w odpowiedniéj mierze, jakby ją zbywając lekceważąco.

Idea ta istnieje rzeczywiście w utworze naszéj poetki; ale nie została uplastycznioną z należytą siłą i konsekwencyą. Deotyma nie należy ani do tych, co wierzą poprostu i naiwnie, ani do tych, co namiętnie i fanatycznie, a więc z całych sił swoich pewne zasady wiary wyznają i propagują; przez jéj umysł przechodziły niejednokrotnie prądy wątpienia i rozbioru krytycznego; prądy te były zawsze pokonywane w końcu przez dogmat kościelny, ale przecież nie mogły nie pozostawić po sobie śladów w umyśle. Te ślady nie pozwalają poetce występować z całą bezwzględnością w przedstawieniu i obronie ascetyczno-mistycznego nastroju swoich bohatérek i osób z niemi najbliżéj duchowo związanych, hamują zapęd misyonarski i odbierają bezpośredniość uczuciu religijnemu. Co więcéj, czasami szatanki zwątpienia, a nawet złośliwości ukazują zlekka swe nastroszone główki z poza ramion aniołów i świętych, opromienionych aureolą. Robią to tak dyskretnie, że krytykowi trudno je za czubki pochwytać i wywlec z miejsc, w których tak zręcznie się ukrywają. Czasami nawet taki szatanek przyłapany mógłby udać minę aniołka i powiedzieć, że się tylko niezręcznie wyraził; ale dla każdego, który umié odczuć szczerość i głębokość uczucia, takie zachowanie się i takie tłómaczenie wydać-by się musiało trochę podejrzaném. Dość będzie chyba położyć nacisk na zacytowany trochę wyżéj frazes, iż wszystkich, co słuchali opowiadań staruszek marzących o niebieskiéj Jerozolimie, „aż brała oskoma do jaknajrychlejszego wynoszenia się z ziemi.“ Nieprawdaż, że ten frazes swoją poufałością nie bardzo jest dopasowany do podniosłości marzeń „słonecznéj ekstazy,“ że brzmi tak, jakby wychodził z ust troszeczkę skłonnych do sceptycznego uśmiechu?...

Nie myślę bynajmniéj na ten punkt nastawać; zaznaczywszy swoje wrażenie w tym względzie, spełniłem obowiązek krytyczny usprawiedliwienia się, dlaczego o idei utworu mało mówiłem. Potężnie wypowiedziane i z siłą przeprowadzone uczucia i poglądy muszą być dokładnie rozstrząśnione; ale tam, gdzie pewna niejasność w zasadniczéj myśli zachodzi, gdzie niedotrzymanie tonu się uwidocznia, można po zaznaczeniu takiego stanu rzeczy, dać pókój bliższemu rozbiorowi, bo w ten sposób przedstawiona idea sama się przez się krytykuje, sama się osłabia.

Uogólniając spostrzeżenia nad „Brankami w jassyrze“ zrobione, można powiedzieć, że nie celują one ani rysunkiem charakterów, gdyż nawet główne postacie robią wrażenie sylwetek, nie portretów, ani głębokością i subtelnością analizy psychicznéj, gdyż przebywając tak długo z temi ludźmi, bardzo mało rysów znamiennych ukazała nam autorka, ani żywością akcyi, gdyż bohatérki przez większą część po-

wieści są istotami całkiem biernemi, przypatrują się tylko widokom przed ich oczyma rozwijającym się, a nic nie działają; natomiast jest w nich dużo zajmujących obrazów życia nie tyle polskiego, ile europejskiego wogóle w wiekach średnich, oraz życia azyatyckiego, które tém więcéj zajmują, że są, w naszéj przynajmniéj literaturze, prawie zupełną nowością. Głęboko i serdecznie wzruszyć autorka nigdzie podobno nie potrafiła, chociaż używała środków bardzo silnych, ale zająć wyobraźnią i łagodnie zaspokoić uczuciowość zdołała niejednokrotnie. Dla umysłów młodych i wrażliwych książka ta może być ponętną i zajmującą zwłaszcza w téj części, która ma Azyę za widownią; dla dorastającéj młodzieży podarek to miły.

W porównaniu z dawniejszemi powieściami Deotymy, „Brankom w jassyrze" przyznać należy niewątpliwie pierwszeństwo. I ludzie są tu prawdziwsi i stosunki między nimi lepiéj wystudyowane, i mowa ich, choć w części przynajmniéj, zindywidualizowana, bo chociaż wogóle osoby średnio wykształcone przemawiają stylem autorki, to przecież drobne różnice zauważyć można w użyciu krótszych lub dłuższych zdań, w przyśpieszeniu lub zwolnieniu tempa rozmowy. Nawiasowo tylko dodać można, iż sztuczne tworzenie frazesów staropolskich nie udało się autorce; zazwyczaj jéj archaizmy są błędami językowemi. *P. Chmielowski.*

Dr. Ludwik Finkel. Okopy świętéj Trójcy. Dwa epizody z dziejów Polski. We Lwowie, 1889.

W widłach, jakie tworzy rzeka Zbrucz wpadając do Dniestru, piętrzy się potężna skała wysoko ponad przepaściste brzegi rzek, a na niéj widać ruiny dawnego szańca, zwanego Okopy św. Trójcy. Bardzo mało my dotychczas o téj warowni wiedzieli; drobny szkic dr. Antoniego J. i kilka w drukowanych źródłach porozrzucanych szczególików—oto wszystko. To téż opowiadanie d-ra F. przedstawia rzeczy wszystkie prawie nowe, gdyż oparte na wyłącznie niemal rękopiśmiennych źródłach; korzystał autor z aktów grodzkich i ziemskich, gdzie wiele znalazł ciekawego materyału, z rękopisów bibl. Ossolińskich, zkąd pierwszorzędnéj wartości dokumenty, odnoszące się do naszéj forteczki, umieścił *in extenso* w dodatkach, oraz z archiwum olawskiego znajdującego się w król. archiwum w Berlinie, wreszcie z papierów Schneidra będących własnością krak. akademii umiej. Pierwsze dwa rozdziały zajmują się ostatnim dziesiątkiem XVII-go wieku, najświetniejszemi czasami dla okopów. Powstały one we dwadzieścia lat po upadku Kamieńca, w r. 1692 za inicyatywą hetmana Stanisława Jabłonowskiego, a miały stanowić punkt oparcia w za-

czepnéj walce z Turcyą, jaka nie ustawała, miały być schroniskiem dla oddziału operującego przeciwko Kamieńcowi, przeszkadzającego mianowicie dowozu żywności dla twierdzy. Oddział ten był dość znaczny, bo wynoszący 4,000 piechoty, 400 jazdy i 30 dział, a komendantem mianowany został Michał Brandt, pułkownik arkabuzeryi. I ztąd prowadził on przez lat kilka bez wytchnienia, szczęśliwie walkę podjazdową, nękając i niszcząc nieprzyjaciela śmiałemi napadami, tak, że sława jego i okopów św. Trójcy „twierdzy cnoty“ rozniosła się szeroko po całéj Polsce, a szlachta podolska poleciła Brandta, jako cudzoziemca, w nagrodę za jego czyny, do indygenatu. Gdy on w r. 1696 dla nadwątlonego zdrowia opuścił warownią, komendę nad nią objął również cudzoziemiec Bartsch, który ją dzierżył aż do ewakuacyi Kamieńca po pokoju Karłowickim 1699 r. Kamieniec i Podole wróciły do Polski, a tém samém znikło też znaczenie Okopów, które głównie przeciwko owéj twierdzy podolskiéj działać miały. W XVIII w. Okopy coraz bardziéj upadały; rozpoczęto wprawdzie 1711-go roku, kiedy Turcy z Karolem XII-ym grozili napadem, restauracyą, a inwentarz ceukhauzu z r. 1713 wykazuje, że warownia była wcale nieźle zaopatrzona, ale dopiéro w drugiéj połowie XVIII-go w. zagrzmiały Okopy szczękiem wojennym i zajaśniały szeroką sławą. Podczas konfederacyi barskiéj 1768 r. zamknął się tu Kazimierz Pułaski, podczas gdy brat jego, Franciszek, obsadził sąsiedni zamek żwaniecki i bronił się walecznie przemagającéj sile wrogów, a nie mogąc jéj sprostać, wyprowadził szczęśliwie załogę tajną ścieżką z warowni.

Oto dwa epizody z naszych dziejów, związane z historyą Okopów św. Trójcy, opowiedziane nadzwyczaj zajmująco i barwnie w niniejszéj książeczce d-ra F. Oby osiągła cel, jaki autor w przedmowie wyraził. Dodać jeszcze należy, że w dodatkach znajdujemy pięć ważnych bardzo dokumentów do historyi Okopów od czasów jéj założenia aż do walki konfederatów, a dodatki te przyczyniają się do podniesienia i tak już ważnéj i pięknéj treści książki. Na czele mamy wreszcie udatny wizerunek cynkograficzny ruin kościołka znajdującego się w Okopach, którego zamierzona reastauracya była poniekąd podnietą do napisania tego szkicu. *F. Bostel.*

Seweryn Zarzycki. Stosunek ks. siedmiogr. Jerzego Rakoczego II do Rzpltéj Polskiéj od początku wojny szwedzkiéj do wyprawy tegoż na Polskę w r. 1657. (Sprawozdanie gimnazyum Kołomyjskiego za r. 1889).

O stosunkach Rakoczego II-go do Polski nie mieliśmy dotychczas żadnéj specyalnéj rozprawy w naszéj literaturze; jedynie tylko rozprawka wcześnie zmarłego ruskiego historyka Zaklińskiego: (Sto-

sunki Kozaków z kniaziem Juriem Rakoczym II-im), drukowana w Sprawozd. akadem. gimn. we Lwowie r. 1883, omawia te stosunki za czasów Chmielnickiego. Praca p. Zarzyckiego jest więc pierwszą monografią, w któréj mamy przedstawione stanowisko siedmiogrodzkiego księcia w obec Polski w czasie wojny szwedzkiéj, lecz nie w całości, ale w ułamku tylko, mianowicie w dwuleciu 1655—7. We wstępie daje nam autor ogólny pogląd na Siedmiogród, jego znaczenie i posłannictwo dziejowe, jako skutek geograficznego położenia, na dynastyą Rakoczych w ogólności, a w szczególności na stosunki Rakoczego II do Polski aż do wybuchu wojny szwedzko-polskiéj w r. 1655; w dwóch rozdziałach (str. 15—62) kreśli stosownie do tematu dalsze ich dzieje na podstawie wyczerpująco wyzyskanych źródeł drukowanych, oraz znacznéj ilości rękopiśmiennych. Dyplomatyczna akcya tego ambitnego księcia, który w czasie walki Szwecyi z Polską wahające i wyczekujące zajmuje stanowisko, patrząc tylko, gdzie i kiedy przyjdzie mu działać, po któréj stronie stanie zniewolony wypadkami, który poduszczany przez przychylne mu stronnictwo w Polsce, oraz nakłaniany przez Szweda, dąży wytrwale do korony polskiéj, przedstawione są w niniejszéj rozprawie jasno i przejrzyście, gruntownie i zajmująco, choć styl chwilami cokolwiek przesadny. Rakoczy długo wyczekujący, a pragnący koniecznie korony polskiéj i pod tym tylko warunkiem godzący się na działanie, zawiera wreszcie w listopadzie r. 1656 sojusz z Karolem Gustawem, oraz traktat rozbioru Polski, na mocy którego nadbaltyckie prowincye (z wyjątkiem Prus książęcych) i Kujawy miała wziąć Szwecya, Prusy książęce i Wielkopolska miały się dostać Brandenburgii, Ukraina miała utworzyć niezawisłe państwo kozackie, a książę siedmiogrodzki miał otrzymać jako król polski i w. ks. litewski resztę, t. j. Małopolskę z Krakowem, Ruś, Mazowsze, Podlasie i Litwę. Tak więc Polska, która po pierwszych klęskach ze strony Szwedów cokolwiek się podniosła była, stanęła powtórnie w obec niebezpieczeństwa jeszcze większego niż przedtém. Szkoda, że autor w tak zajmującéj chwili urywa swoję rozprawę, którą się z zajęciem czyta i którą oby wkrótce doprowadził do końca. *F. Bostel.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Z najobfitszą wiązką nowości „gwiazdkowych“ wystąpiła firma Gebethnera i Wolffa i w roku bieżącym podobnie, jak w poprzednich. Zaznaczyć w nich należy przedewszystkiém staranność o dobry, wyraźny druk, o mocny i czysty papier, o coraz lepiéj zrobione i wykonane ilustracye, — słowem, o nadanie powabu i istotniejszych zalet téj

sukience, w któréj uplastycznione myśli i uczucia wobec dzieci i młodzieży występują. Pod względem treści jest ona wielce urozmaicona i do wszystkich głównych stopni rozwoju umysłowego zastosowana. Nazwiska znanych dobrze w literaturze dziecinnéj autorek i autorów z góry już uprzedzają o wartości karmi duchowéj, przez nich młodym czytelnikom podanéj.

Najprzód zwracają na siebie uwagę trzy książki, napisane przez wielce utalentowaną a z wielką szkodą dla piśmiennictwa wychowawczego zmarłą M. J. Zaleską. Jedna z nich przeznaczona dla starszych jest naśladowaniem dzieła francuskiego Prévost-Duclos'a i przedstawia zajmujące przygody podróżników w Afryce środkowéj p. n. „Gwiazda Sudanu“ (str. 271 z 7-ma rycinami Juliana Maszyńskiego). Druga dla młodszych, 10—12-letnich, jest zbiorem powieści i opowiadań na tle historyczném i społeczném p. n. „Odgłosy gór i dolin“ (str. 302 z 7-ma obrazkami M. Kotarbińskiego). Wreszcie dla najmłodszych skreśliła powiastki i bajeczki p. n. „Iskierki“ (str. 214 z 8-ma rycinami De-Lavaux).

Druga autorka, znana już dobrze z kilku pożytecznych i interesujących prac dla młodzieży, p. Zuzanna Morawska, obdarzyła w tym roku dziatwę ładném, żywo prowadzoném opowiadaniem o dziecinnych i młodzieńczych latach Bolka przezwanego później Wstydliwym i o jego wiernym, pełnym poświęcenia towarzyszu Gosławie z Rożana. Opowiadanie ma napis: „Giermek książęcy“ (str. 353) i ozdobione jest ilustracyami p. Juliana Maszyńskiego.

Autorka głośnéj mapy poglądowéj Królestwa Polskiego, p. Jadwiga z Zakrzewskich Wójcicka, bardzo przystępnie spopularyzowała w formie opowiadawczéj wiele wiadomości z zakresu fizyologii zwierząt i roślin, objaśniając je stosownemi obrazkami. Przytém nie pomija uwag, mogących wpłynąć na uszlachetnienie uczuć i wogóle na rozwój duchowy czytelników. Książka jéj ma napis „Mój dobroczyńca“ (str. 379; dołączone ryciny wykonał Jan Owidzki).

W końcu parę słów o dziełku autora, który w literaturze dla dzieci dał się poznać z wielce zajmującéj i dobrze przedstawionéj „Bitwy pod Raszynem.“ Napisał on potém kilka powiastek z początkowych dziejów Polski; miały one wogóle znaczne powodzenie, chociaż krytyka musiała im wytykać niejednę niewłaściwość pedagogiczną. Obecnie ogłosił opowiadanie historyczne z XI-go wieku p. n. „Chrobry“ (str. 241 z 6-ma rycinami W. Łuskiny). Pod względem interesu, jaki obudzić ono może w czytelnikach, nic mu zarzucić nie można, lecz lepiejby było, żeby w umyśle ich pozostała jaśniejsza postać znakomi-

tego króla, aniżeli ta, jaką autor narysował; rubaszności i bójek tu zadużo.

Nakładem p. Edwarda Kolińskiego wyszła „Książeczka rymowana dla dzieci i piosennik dla młodocianego wieku przez dawnego „Przyjaciela dzieci", t. j. przez p. Jana Prusinowskiego napisana (str. 86). Nie wszystkie wprawdzie wierszyki tu zawarte mogą być dla młodszych dziatek zrozumiałe, a więc zajmujące, ale nawet najmłodsze wysłuchają z przyjemnością zabawnie przedstawionych „Strasznych przygód Wójcia," wypełniających przeszło trzecią część książeczki, i powtarzać będą niektóre udatne krakowiaki. „Piosennik" najmniéj podobno nazwie swéj odpowiada; mało w nim prawdziwego liryzmu przystępnego dla dzieci; ale niejeden obrazek może być odczytany z przyjemnością i pożytkiem, gdyż budzi spółczucie dla biedy, a poszanowanie dla pracy.

= *Maryan Gawalewicz*, **Komedye jednoaktowe i monologi.** Serya druga (Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, str. 311). Wszystkie, zdaje się, pomieszczone tu utwory, przeszły już próbę publicznego przedstawienia, czy na scenach zawodowych czy amatorskich; wszystkie mają zwykłe zalety swego autora: swobodę i potoczystość dyalogu, jasność myśli, niewymuszoność uczucia, styl staranny, gładki, miły, nieraz wykwintny i dowcipny. Tematem wspólnym jest miłość w najrozliczniejszych stopniach, fazach, przypadkach, miłość, któréj na przeszkodzie nie stają ani różnice majątkowe, ani społeczne, ani wyznaniowe, tylko etyka lub kaprys. Niekiedy temat ten wywołuje sytuacye pełne siły, jak np. w „Dzisiejszych" i częściowo w „Barkaroli;" zazwyczaj jednak rozwinięcie jego bywa spokojne, zabawne czy komiczne.

Z dramatów dwa najlepsze („Dzisiejsi" i „Figiel Benwenuta") były już w swoim czasie rozpatrywane w „Ateneum," gdy wychodziły w osobnych książeczkach; z innych głębszym pomysłem odznacza się „Lekcya deklamacyi," gdzie został uwydatniony bardzo zręcznie fakt przejmowania się utworami sztuki w takim stopniu, że już na uczucia życiowe nie pozostaje miejsca, a zgrabnie przeprowadzoną bluetką jest „Guzik." Wogóle utwory dramatyczne p. Gawalewicza mają raczéj charakter sztuk konwersacyjnych, niż akcyą nabrzmiałych; przyznać przytém należy, iż rozmowa nigdy u niego nie bywa banalną.

Monologi są wszystkie ładne i dowcipne; odwieczny motyw przekomarzania się Adamów z Ewami, a w mniejszéj części obrazki ze świata dziecinnego („Milusińscy." „Smok"), wyzyskany został przez p. G. umiejętnie z domieszką niedrażniącéj złośliwości, która owym przeko-

marzaniom się smaku dodaje. Za najlepsze poczytałbym: „Przy mazurku Szopena,“ „Śmieszka“ i „Optymista.“ Odrębną od innych cechą odznacza się „Jąkała,“ gdzie autor chciał okazać, że „w życiu częściéj forma niż treść sprawia wrażenie i że najtragiczniejsza sytuacya, zamiast grozy, może tylko śmiech wywołać.“

Pod względem języka, który jest piękny i poprawny, zwrócilibyśmy tylko uwagę autora na to, iż używanie wyrazu *więcéj* w zdaniach przeczących jest zanadto ulubionym przezeń galicyzmem i że lepiéj jest mówić przyrzec niż *przyrzeknąć* (str. 267).

= **Trefniś.** Nowele, obrazki i szkice *Wincent. Rapackiego.* (Warsz. nakł. „Echa muzycz., teatral. i artyst.“ 1890, str. 177). Bardzo różnorodną treść i wartość posiadają utwory pomieszczone w tym nowym zbiorku prac utalentowanego dramaturga i powieściopisarza. Jedne są tylko anegdotami lub wspomnieniami („Kartka z saskiéj epopei,“ „Kamień węgielny,“ „Na ołtarzu sztuki); inne prócz cechy anegdotycznéj przedstawiają znamienny jakiś rys charakteru, np. fałszywéj „Naiwnéj,“ lub zamiłowania w przedstawieniach scenicznych w „Lichwiarzu teatralnym,“ albo dobroć serca u kobiety pięknéj a płochéj („Złota Amelka“), albo poważnego i rozumnego traktowania zadań teatru w „Dyrektorze obywatelu“ t. j. Juliuszu Pfeifrze, albo robienia poważnie rzeczy błahych („Powaga gminy“); inne wreszcie są opowiadaniami, w których charakterystyka ludzi w akcyi się maluje. Najobszerniejszym w téj ostatniéj kategoryi jest „Romans Antka Grudy,“ który czytelnicy „Ateneum“ mieli sposobność poznać w tém piśmie. Z krótszych wymienić należy „Trefnisia,“ od którego cały zbiorek otrzymał napis; jestto historya Józefa Sroki, dziecka ludu, wziętego w pierwszym zaraniu wieku do zabawy przez biskupa lubelskiego, następnie wojaka w czasach napoleońskich, który temuż biskupowi życie ocalił. — Wogóle biorąc, najlepsze, najbardziéj charakterystyczne są zarysy „z za kulis,“ które z natury swego zawodu autor najlepiéj i najbliżéj mógł zaobserwować; na drugim miejscu położyć można opowieści „z życia,“ a w nich za najlepszą uznać „Powagę gminy;“ dopiéro na ostatku wymienić potrzeba szkice „z dziejowego pomroku.“ Styl prawie wszędzie prosty, naturalny, poprawny: w obrazku jedynie „Hundsfeld“ napotykamy pewną patetyczność, brzmiąco obco dla dzisiejszego czytelnika powieści. Język wogóle jest czysty, bez domieszki zwrotów cudzoziemskich.

= *Prof. dr. J. B. Oczapowski.* **Roztrząsania i rozbiory w naukach politycznych i ekonomicznych z lat kilkunastu zebrane** 1889. Oprócz oświadczenia autora na wstępie, że miał na oku w swém dziele „zadania dydaktyczne i krytyczne“, żadnego nie znajdujemy objaśnie-

nia co do myśli przewodniéj „Roztrząsań“ i nie byliśmy téż w stanie śladu jéj odszukać. Pierwsze trzy „monografie“ dotyczą świata starożytnego. Pierwsza ma na celu obalenie zdania Monteskiusza „jakoby kula ziemska za J. Cezara mieściła na sobie 50 razy więcéj mieszkańców, jak w zeszłém stuleciu“ (18); przy pomocy starych, hypotetycznych obliczeń de Jonnès'a udaje się autorowi z pomyślnym skutkiem w niwecz obrócić aforyzm z przed pół wieku. Rozprawa o „Monteskiuszu i jego uczniach“, pisana, jak powiada autor od 1875—1886 r. (8), jest, zdaje się, główną i najobszerniejszą. Jądro jéj stanowi ustęp o teoryi podziału władz, przeciw któréj oświadcza się autor (97—121). Wszakże niewiele naucza, traktując tę kwestyą w sposób zupełnie ogólnikowy; kiedy zaś w osobném „uzupełnieniu“ (116—121) uważał za stosowne „rozprawić się“ z drobną broszurką, występującą w obronie podziału, niepojętém jest, jak mógł w zupełności pominąć obszerne specyalne traktaty Fuzier-Herman'a (1880) i Saint-Girons'a (1881), nagrodzone we Francyi, a całkiem odmiennéj od autora tendencyi. Winniśmy bowiem zaznaczyć, że w sprawie téj, uważanéj przez prof. O. za „przesądzoną i pogrzebaną“ (116), paryska Akademia nauk mor. i pol. uznała za właściwe rozpisać przed kilku laty specyalny konkurs. Że zresztą ani o Monteskiuszu, ani o jego uczniach nic nowego autor nie mógł powiedziéć, wynikało już ze sposobu, w jaki niewolniczo trzyma sie przestarzałych komentarzy de Tracy'ego i Constant'a, ignorując w zupełności nowsze praca Sclopisa, Janssen'a, Schwartz'a, Sorel'a i innych. Upodobanie autora w odbieganiu od przedmiotu, objawiające się na każdéj niemal stronicy, staje się w „monografii“ o Mont. wprost szkopułem w czytaniu. Niepodobna np. dojść w żaden sposób, skąd z powodu starego Ferguson'a wzięło się na całych 4 stronicach (152—156) dowodzenie, że „konsekwentny ewolucyonizm prowadzi do barbarzyństwa wyrafinowanego, z tą różnicą, że Hunnowie nie znali dynamitu ani nauk przyrodzonych“, lub pioruny miotane na „etykę rozwojową lub epikurejską“. Studyum o „francuskiéj Radzie Stanu“ wyjęte z wykładów uniwersyteckich autora, oparte jest przeważnie na dawniejszych podręcznikach ogólnych; zaledwie w krótkim przypisku (207, 208) znajdujemy „wypisaną“ z Ducrocq'a treść nowéj ustawy 1879 r. Wobec tego nie winno dziwić paradoksalne zdanie autora, że „dzisiejsza Republikańska Rada Stanu“ niewiele różni się od poprzedniczek swych, które „umiały zarząd kraju w kleszczach administracyjnéj utrzymać przemocy“. Prof. O. nie dotyka wcale sprawy juryzdykcyi administracyjnéj w ogólności, któréj zniesienia zupełnego wraz ze zniesieniem „nicości pompatycznéj zwanéj Radą Stanu“ (D'Avenel) domagają się dziś we Francyi za przykła-

dem Belgii i Włoch. Powierzchowne artykuły o Erskine May'u, Sheldon-Amos'ie, z pominięciem głównych prac tych uczonych, omawiają pomniejsze ich rozprawy; ten sam charakter mają sprawozdania z Baudrillart'a i Eisenhart'a; najwięcéj stosunkowo zajęcia budzi końcowe studyum o Nax'ie, stanowiące podobno zaczątek większéj pracy o „fizyokratach polskich“ (531). Zrzekając się polemiki z dziwacznemi twierdzeniami autora na str. 86, 112, 348, 381, 395 i in., nie możemy nie zwrócić uwagi na osobliwy zaiste sposób traktowania przez autora najpierwszych uczonych europejskich. Na str. 53 czyni Laurent'owi zarzut, który zaledwie byłby na miejscu wobec egzaminowanego studenta, że „czytał „Politykę“ (Arystotelesa) chyba wyrywkami“; na str. 344 karci May'a, że „nie przyswoił sobie należytych informacyi“ o kwestyi socyalnéj i wyrzuca mu „brak należytych informacyi o włościanach francuskich“ (336); na str. 417 zapewnia, że „nieznane jest Sheldon'owi i rzadko komu z państwoznawców (!) dzieło Lieber'a“— wszystko oświadczenia najzupełniéj gołosłowne i dowolne. Najwięcéj jednak dostaje się Spencer'owi. „Nie mając pojęcia o literaturze fachowéj niemieckiéj; wogóle tak jak pozytywiści socyologiczni, nie wyłączając ich akolitów warszawskich, pozbawiony prawniczego poloru umysłowego i wiedzy odpowiedniéj,... nonszalancyę mógłby szan. autor (Spencer) zostawić blagierom dziennikarstwa pozytywistycznego“ (256). Naodwrót znów, a z równą bezkrytycznością, niezłą lecz wszelkiego samodzielnego znaczenia pozbawioną broszurę Lafitte'a mianuje autor „ostatniém słowem nauki“ (349) a autora „jednym z politycznych myślicieli najbystrzejszych i najroztropniejszych“ (343). Wreszcie nie wiemy, czy zastąpienie krytyki przez wykrzykniki „*bravissimo*“ (399) „aha“ (405), „*sapienti sat*“ (ciągle, 105, 287, 319, 344, 419 i t. d.), jest na miejscu w książce naukowéj. Niedbała korekta stała się powodem setek (literalnie) pomyłek drukarskich; wyrazy cudzoziemskie, greckie zwłaszcza, do niepoznania zostały poprzekręcane.—*Szymon Askenazy.*

= *Miakotin.* **Kwestya włościańska w Polsce w epoce jéj podziałów** (w języku ruskim). Petersburg, 1889, str. 229. Właściwym celem autora, jak to zresztą tytuł wskazuje było skreślenie położenia włościan w dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj, pod koniec XVIII wieku, oraz ocenienie reform ówczesnych dążących do polepszenia bytu stanu włościańskiego. P. Miakotin zebrał skrzętnie ośmdziesiąt kilka broszur z ówczesnéj epoki, przejrzał ważniejsze dzieła zastanawiające się nad położeniem włościan w XVIII wieku i na téj podstawie oparł swój sąd historyczny, który dla dawnych rządów republikańskich nie bardzo pomyślnie wypadł.

Przedewszystkiém zaznaczyć należy, że p. Miakotin nie zamknął

się w granicach monografii. Mając zamiar skreślić obraz stosunków włościańskich w XVIII wieku, rozpoczął od samego początku dziejów polskich a do wykonania takiego zadania nie posiadał odpowiedniego naukowego materyału. Pobieżność też szkicu historycznego włościan polskich, w jaki p. Miakotin niespodziewanie zaopatrzył swoję pracę, jest bardzo widoczną. Przytwierdzenie do gleby włościan polskich jest oznaczone na wiek XV, a rozszerzenie się sielskiéj uprawy na wiek XVI. Zdaniem p. Miakotina instytucya przytwierdzenia panowała już wszechwładnie w Polsce XV wieku a następstwem jéj była wielka uprawa XVI wieku. Wywodów swych nie popiéra autor żadnemi przekonywającemi dowodami a w dodatku nadmienić należy, że nie znał najważniejszych prac polskich, odnoszących się do historyi włościan w dawnéj rzeczypospoiitéj. Nawet cenne studya księcia Tadeusza Lubomirskiego nie zostały należycie wyzyskane przez autora, który, jak się to z toku pracy pokazuje, czytał je tylko pobieżnie.

Położenie włościan w XVIII wieku, a zwłaszcza w drugiéj jego połowie, jest skreślone daleko staranniéj, choć i tu źródła dziejowe nie zostały poddane należytemu kryteryum. P. Miakotin nie pamięta bowiem o tém, że dowody historyczne czerpał głównie z broszur politycznych stronnictw, które torowały drogę reformom sejmu czteroletniego. Broszury powyższe, choćby nawet pisane były przez uczonych téj miary co Staszyc, musiały poddać się przewodniéj tendencyi politycznéj i służyć w pierwszym rzędzie celom reformy. Jakkolwiek więc broszury XVIII wieku są materyałem dla historyka niezmiernie cennym, jednakże za dowód dziejowy bezkrytyczny służyć nie mogą. Nasamprzód brak im spokoju, towarzyszącego pracy uczonego, a następnie prawda nie jest ich wyłącznym celem, lecz raczéj dążą do takiego przedstawienia barwnego i zręcznego prawdy, aby programowi stronniczéj reformy, jaknajlepiéj usłużyć. Zwykle też broszury polityczne przedstawiają przeszłość czarno i odstraszająco, aby tém lepiéj wyszedł różowy obraz stworzony w przyszłości reformami. Publicyści najpoważniejsi ani wahali się z pojedyńczych wypadków anormalnych wysnuwać ogólnych teoryi, aby tylko usłużyć stronniczym tendencyom. Tymczasem zadanie dzisiejszego historyka spoczywa w odszukaniu i odtworzeniu prawdy dziejowéj, nie zaś w przejmowaniu się zbyteczném prądami, ogarniającemi publicystów XVIII wieku.

P. Miakotin zebrał skrzętnie publicystyczną pracę XVIII wieku, lecz nie zawładnął nią należycie. Dla tego też w skreśleniu położenia włościan w drugiéj połowie XVIII wieku, przeważa jaskrawy koloryt w pesymistycznym kierunku, zapożyczony wprost od publicystów XVIII wieku. Dążenie do polepszenia bytu włościan ujawnione

przez szereg magnatów, następnie zbiór praw sądowych kanclerza Zamojskiego, daléj ustęp IV konstytucyi 3 maja, doznały od p. Miakotina bardzo surowego sądu. Jeden tylko uniwersał Połaniecki Kościuszki, mógł się pochlebnym poszczycić sądem, lecz i tu pośpiesza p. Miakotin z sądem pozbawiającym wszelkiéj illuzyi. Jeżeli bowiem Kościuszko pragnął polepszenia doli ludu wiejskiego, sama szlachta stawiła zacięty opór jego reformom, które przeszły bez śladu i nawet zostały przez naród zapomnianemi.

Opracowanie faktyczne monografii p. Miakotina jest dość pełne, lecz dalekie od doskonałości. Za to historyozoficzne sądy są powierzchowne i zdradzają na każdym kroku brak studyów porównawczych i niezbędnéj rozwagi. W każdym razie uwzględnić należy niewprawne doświadczenie w autorze występującym z pierwszą pracą naukową, oraz pewną staranność w zebraniu źródeł. Pragnąćby należało jednak, aby zasada, którą przyjął p. Miakotin jako przewodnią, a mianowicie studyowania *sine ira et studio*, była w przyszłych jego pracach staranniéj przeprowadzoną. *A. R.*

— *Źródłowski.* **Szkolnictwo i zarząd takowego** (Das Schulwesen und seine Verwaltung). Lipsk. 1889. str. 84. Autor powyższéj monografii zdobył sobie poważne stanowisko w dziedzinie nauki prawa rzymskiego, oraz cywilnego austryackiego. Jakkolwiek wykładał w uniwersytecie lwowskim na wydziale prawa w języku polskim, jednakże prace swe uczone publikował przeważnie w języku niemieckim, co sprawiło, iż mimo wysokich zalet mało były znane naszemu społeczeństwu. Rzecz o szkolnictwie zawiera program reformy szkół niższych, średnich i wyższych w Austryi, przyczém znajduje się krytyka istniejących stosunków w krajach Habsburgów.

O ile dr. Źródłowski zajmuje się reformą szkolnictwa, o tyle uwagi jego nie pozbawione są wartości naukowéj. Znać, że autor zastanawiał się nad szkołą i jéj zadaniem a z nowemi prądami w Niemczech zapoznał się dokładnie. Nie zawsze jednak ton spokojny i przedmiotowy odnaleść się daje w jego pracy. Ile razy téż przychodzi mu mówić o stanowisku kościoła w szkole, tyle razy ogarnia go gniéw, skłania do wycieczki namiętnéj, nie licującéj z powagą uczonéj pracy. Lecz nietylko kościół pozbawia dr. Źródłowskiego równowagi umysłowéj, ile razy bowiem wypada autorowi mówić o ministeryum oświaty w Austryi lub o uniwersyterach w Galicyi, tyle razy znać w nim nerwowe rozdraźnienie.

Dr. Źródłowski jest przeciwnikiem czesnego, czyli opłat za wykłady pobieranych przez profesorów uniwersytetu i przytacza w udowodnieniu bardzo poważne motywa. Przy téj sposobności zarzuca je-

dnak profesorom uniwersytetów galicyjskich, że spekulują na pobieraniu czesnego i dyet i dla tego zaniedbując naukę, starają się o mandaty poselskie lub do rady państwa. Niewątpliwie pożądaném jest, aby działalność profesora skupiała się głównie w uniwersytecie: z tém wszystkiém zarzut uczyniony przez dr. Źródłowskiego profesorom galicyjskim jest przesadzony i mylnie komentowany. Nie spekulacya osobista, lecz brak ludzi, a więc potrzeba publiczna, wciąga ludzi nauki do życia publicznego. Uniwersytet cierpi na tém niezaprzeczenie, lecz stan dzisiejszy należy uważać za przejściowy i mieć nadzieję, że rzeczy zmienią się na lepsze. Takich namiętnych zarzutów, jak przytoczony, znajduje się w pracy dra Źródłowskiego więcéj. Dziwić one mogą słusznie tych, którzy przywykli w pracach poprzednich cenić w autorze niezwykłe wykształcenie prawnicze i zdolności. *A. R.*

= *Łuczakowski.* **Niemiecki język w szkołach średnich Galicyi.** (Die deutsche Sprache an den Mittelschulen Galiziens). Lwów. 1889. str. 54. Pracę powyższą należy uważać za wymotywowaną odpowiedź na zarzuty uczynione przez profesora uniwersytetu lwowskiego, Wernera, stanowi nauczycielskiemu w Galicyi za to, że zaniedbał naukę języka niemieckiego w szkołach średnich téjże prowincyi. Dr. Łuczakowski przedewszystkiém przypomina prof. Wernerowi, że język niemiecki nie kwitnął bynajmniéj przed 1868 r. w Galicyi, pomimo to, że o owych czasach wspominają zwolennicy germanizacyi z nigdy nieutulonym żalem. Następnie autor wykazuje, że stan nauczycieli w Galicyi zasłużył sobie na częste pochwały, oraz na uznanie władz rządowych, które z rozwoju nauki języka niemieckiego w szkołach galicyjskich zadowolone były.

W celu zaś doprowadzenia w tym względzie szkół do wyższego stopnia rozwoju proponuje autor następujące wnioski: 1) konferencye dyrektorów w celu zastanowienia się nad potrzebą reformy nauki języka niemieckiego; 2) dodatek do dotacyi dla bibliotek nauczycielskich, przeznaczony specyalnie dla germanistyki; 3) reformę rady szkolnéj krajowéj, jako ciała samoistnego, odłączonego od władzy politycznéj, w skład któréjby także wchodził jeden profesor języka niemieckiego na wszechnicy; 4) ułatwienie egzaminów przez opuszczenie rozprawy filozoficzno-pedagogicznéj; 5) zaprowadzenie nanowo nauczycieli klas niższych (*Gramatikallehrer*) dla klas najniższych.

Dr. Jahner w czasopiśmie „Muzeum" (zeszyt 11, rok 1889) wyraził przekonanie, że praca p. Łuczakowskiego odpiéra znakomicie zarzuty, podniesione przeciwko stanowi nauczycielskiemu w Galicyi i w tém polega jéj prawdziwa zasługa, idzie jednak w obronie istniejących stosunków niekiedy za daleko. I tak p. Łuczakowski zaznacza

z należytym naciskiem te gimnazya, które liczą po kilka sił kwalifikowanych dla języka niemieckiego, lecz pomija milczeniem zakłady, w których wcale nie ma germanisty, lub gdzie nawet nauczyciel kwalifikowany języka niemieckiego nie udziela. Do uczenia języka niemieckiego, zdaniem autora, wystarcza chodzić jakiś czas na wykłady w Czerniowcach, Pradze, Wrocławiu i t. d.; do tego grona dolicza autor tych starszych nauczycieli, którzy przed r. 1868 gimnazya pokończyli, mimo iż na inném miejscu przytacza poważne świadectwa, że i wówczas nie szczególnie po niemiecku umiano, i otrzymuje w ten sposób zwyżkę *(Ueberschuss)* sił zdolnych do uczenia języka niemieckiego.

Pomimo jednak licznych zastrzeżeń dr. Jahnera w jakie zaopatrzył swą krytykę, wyraża on p. Łuczakowskiemu wdzięczność za podjętą pracę i poleca ją gorąco wszystkim kolegom. *A. R.*

= **Algoritmus** t. j. nauka liczby, polską rzeczą wydana przez księdza Tomasza Kłosa 1538, wydał dr. Maryan A. Baraniecki profesor uniwersytetu Jagiellońskiego. Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie (Biblioteka pisarzów polskich). Kraków. 1889, 8-ka mała, str. XXIV, 56. Jest to bardzo staranne wydanie pierwsze arytmetyki polskiéj, któréj zaledwie trzy egzemplarze zachowały się do dnia dzisiejszego. Wstęp wydawcy zawiéra objaśnienia językowe i metrologiczne; do tekstu dodane są przypisy miejsc trudniéj zrozumiałych. Dzięki temu wydaniu książeczka Kłosa stała się przystępną dla badaczy naszéj przeszłości naukowéj.

= *Dr. Jan Kowalczyk.* **O sposobach wyznaczenia biegu ciał niebieskich.** Praca uwieńczona w roku 1883 nagrodą z fundacyi imienia Mikołaja Kopernika, ustanowionéj przez gminę miasta Krakowa. Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków. 1889. 8-ka większa, str. 414 i LXXIII stron tablic. Jest to pierwsze dzieło w języku polskim traktowane o sposobach wyznaczenia biegu ciał niebieskich. Zgodnie z programem konkursu, ogłoszonego przez Akademią, zajmuje się zadaniem o wyznaczeniu orbit bez uwzględnienia perturbacyi. Rozpada się ono na 7 rozdziałów; w pięciu pierwszych mowa jest o orbitach planet, komet, w szóstym o drogach gwiazd podwójnych, w ostatnim o orbitach gwiazd spadających. Liczne przykłady objaśniają teoryą. Wydanie bardzo staranne.

= **Prace matematyczno-fizyczne,** wydawane w Warszawie przez *S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Edw.* i *Wł. Natansonów.* Tom II, zeszyt I. Warszawa. 1890. 8-ka większa, str. 244 i 1 tablica litografowana. Zeszyt ten tomu II-go przewyższający objętością tom I-y, wydany przed rokiem, zawiéra 14 rozpraw z dziedziny matematyki, fizyki i chemii teoretycznéj, a mianowicie: J. Sochackiego „Uwagi o roz-

winięciu pewnych funkcyi na szeregi", Wł. Kretkowskiego: „Przyczynek do teoryi eliminacyi", M. P. Rudzkiego „O rytmicznych oscylacyach morza", J. Ptaszyckiego: „O sprowadzeniu pewnych ciałek Abelowych do postaci normalnéj; Wł. Natansona „O teoryi cynetycznéj zjawiska Joule'a"; J. Kowalskiego: „O hartowaniu szkła", oraz „O warunkach, którym stale przewodnictwa cieplnego kryształów czynić zadość powinny". Następuje przekład rozprawy Helmholtza p. t.: „Termodynamika zjawisk chemicznych", dokonany przez F. Tomaszewskiego, artykuły S. Dicksteina „O prawie najwyższém Hoene-Wrońskiego w matematyce" (artykuł I); S. Kępińskiego „Wartości szczególnych trójek punktów trójkąta"; M. A. Baranieckiego „O pewném wnioskowaniu analityczném w tomie I „Prac"; Wł. Gosiewskiego: „Dowód prawa Gaussa, które dotyczy błędów przypadkowych"; M. Ciemniewskiego: „Z dziedziny rachunku całkowego"; wreszcie J. J. Boguskiego i J. Zaleskiego: „O prędkości działania chemicznego pomiędzy glinem metalicznym i ługami alkalicznemi".

= *J. Todhunter.* **Algebra początkowa**, tłómaczył z angielskiego *Wł. Kwietniewski*, b. docent szkoły głównéj. Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego". Warszawa. Gebethner i Wolff., 8-ka mała, str. 800. Dobry przekład pożytecznego dziełka z dodaniem nie znajdujących się w oryginale rozdziałów o podzielności liczb, o ułamkach ciągłych, o równościach nieoznaczonych i o logarytmach.

= *Feliks Kucharzewski.* **O początkach piśmiennictwa technicznego w Polsce,** z 1-ą tablicą podobizn drzeworytów podanych w dziele „Architekt Polski" z r. 1690. Warszawa, 1889, 8-ka, str. 40. Rozprawka niniejsza jest interesującym przyczynkiem do słabo u nas uprawianéj historyi wiedzy. Autor rozbiera w niéj głównie dzieło jezuity Solskiego, które jest pierwszą mechaniką praktyczną po polsku wydaną i zestawia prócz tego wiadomości o pierwszych pracach technicznych w Polsce. Za pierwszą książkę z téj dziedziny poczytuje dziełko geometryczne Grzepskiego (1556); oderwane wszakże wiadomości techniczne napotykają się, jak pokazuje p. K. w niektórych dziełach z pierwszéj połowy XVI go stulecia.

= W roku ubiegłym 14 listopada s. s. Ces. Odeskie Towarzystwo historyi i starożytności obchodziło 50-letni jubileusz swego założenia. Na uczczenie tego obchodu jeden z rzeczywistych członków tego towarzystwa, prof. uniwer. odeskiego p. Władysław Jurgiewicz wydał bardzo interesujący „Zarys historyczny 50-lecia Ces. Odes. Tow. hist. i staroż. 1839—1889". W zarysie tym znajdujemy dwie jego rozprawy: 1) „O poszukiwaniach i odkryciach archeologicznych w Rosyi południowéj, dokonanych przed utworzeniem Odes. Tow. hist. i star."

2) „Zarys hist. działalności Odes. Tow. hist. i star". Nadto: „Wykaz artykułów zamieszczonych w zapiskach Tow. od 1844 po 1889 r."

Oprócz tego wydało Towarzystwo na uczczenie téjże pamiątki jubil. XV tom swych „Zapisek" niemniéj ciekawy i obfity w treść archeologiczną. Znajdujemy tu pomiędzy innemi artykuł W. Smirnowa, pod tytułem „Chaństwo krymskie pod zwierzchnictwem Porty otom. w XVIII w.", oraz E. Felicyna „Poczet tamh, czyli znaków rodowych górali zachodnio-kaukaskich", chociaż wzory rysunkowe jedynie.

Pomiędzy nekrologami zaś zgasłych niedawno członków Towarzystwa, znajduje się wspomnienie dość sympatyczne J. I. Kraszewskiego przez prof. W. Jakowlewa, w którém wszakże mylnie podany Turyn, jako miejsce jego śmierci.

Przy okoliczności, nie możemy tu się powstrzymać od wypowiedzenia: jaki to żal, że tacy pracownicy dla nauki, jak prof. Jurgiewicz w Odesie, podobnie jak najczynniejszy może członek towarzystwa archeol. w Tyflisie p. Zagórski, nie zaznaczyli dotąd jeszcze swéj działalności jakiém sprawozdaniem choćby w piśmiennictwie własném!

= *Kondakow* i *hr. Tołstoj.* **Starożytności ruskie** (po rusku) zeszyt I i II (1888, 1889) 4-o. Eleganckie, tanie i nader ważne dla archeologów i historyków wydawnictwo szybko postępuje naprzód; wydawcy zapowiadają już trzeci zeszyt. Ze względu na ściśle naukowe przedstawienie rzeczy, na powagę autorów i ich sumienność, dzieło to godne jest wszelkiego uznania. Znawcy zapewne znajdą tam ważne przyczynki i dla historyi naszéj sztuki. Bajeczna taniość (zeszyt w oprawie karton. in 4-o 147 rys. i 160 str. kosztuje 1 rs.) przyczyni się do popularności tego wydawnictwa. *L. Sz.*

= Dr. A. Sempołowski, kierownik Stacyi oceny nasion przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, ogłosił sprawozdanie z czynności téj stacyi od d. 1 lipca 1888 do d. lipca r. 1889. Obejmuje ono wyniki 714 prób nasion, a więc o 268 prób więcéj aniżeli w roku poprzednim. Rzecz ta powinna zainteresować każdego rolnika, który nie uważa staréj rutyny za alfę i omegę wiedzy agronomicznéj.

= Na posiedzeniu Wydziału **histor.-filozoficznego** Akademii umiejętności w Krakowie 22 października r. z. sekretarz zdawał sprawę z wydawnictw Wydziału i Komisyi: 1) „Pamiętnik," tom VII-my; 2) „Scriptores rerum Polonicarum." Tom XIV-ty: Dziennika domu zakonnego Tow. Jezusowego u św. Barbary w Krakowie, lat jedenaście 1609—1619.

Prof. Smolka czytał ustęp swéj pracy: „O najdawniejszych pomnikach dziejopisarstwa rusko-litewskiego." Autor zwraca uwagę na stosunek pomiędzy Latopisem W. Książąt Litewskich a tekstem ła-

cińskim, niedawno odkrytym w Metryce koronnéj przez dr. Prochaskę p. n. „*Origo regis Jaggelo et Wytholdi ducis Lithuanie.*“ Nie podziela zdania dr. Prochaski, jakoby należało uważać *Origo* za fragment przekładu Latopisu z języka ruskiego na łaciński. Jest to przekład osobnego pomnika, który miał za przedmiot historyą wojny domowéj między Jagiełłą a Kiejstutem. Zastanawiając się nad właściwościami i tendencyą tego pomnika, autor wykazuje, że powstać on musiał niezawodnie w kołach blizkich Witołdowi, pod jego bezpośrednim wpływem i z jego polecenia. Witołdowi zależało snać na tém, żeby tak a nie inaczéj pojmowano sprawę domowych zamieszań w rodzie Gedymina, w których on sam brał udział tak wybitny. Rezultat ten stwierdza się przez porównanie tego pomnika z memoryałem Witołda, który spisano około r. 1390 dla Zakonu Niemieckiego, w czasie powtórnego pobytu Witołda u Krzyżaków.

Na posiedzeniu tegoż Wydziału 12-go listopada r. z. sekretarz zdawał sprawę z wydawnictw Akademii i czynności Komisyi. Od ostatniego posiedzenia wyszły następujące wydawnictwa: 1) „Rozprawy i Sprawozdania“ z posiedzeń Wydziała historyczno-filozoficznego. Tom XXIV-ty i 2) „Scriptores rerum Polonicarum,“ Tom XIII-ty: Archiwum Komisyi historycznéj, Tom V.

Dr. Bronisław Dembiński streszcza wyniki swego dzieła p. t. „Rzym i Europa przed rozpoczęciem III okresu Soboru Trydenckiego. Celem niniejszéj pracy jest przedstawić tę chwilę, w któréj Rzym ostatnie czynił usiłowania, aby przez sobór przywrócić i utwierdzić jedność Kościoła, w któréj katolickie rządy i dwory, zaniepokojone wewnętrznym rozstrojem państw i wojen domowych, pomimo wszelkich podejrzeń i wątpliwości zawsze jeszcze po soborze wyczekiwały pokoju i usunięcia rażącéj przepaści między światem katolickim a reformacyą czy rewolucyą. Praca obliczona na dwa tomy.

W Komisyi historycznéj na posiedzeniu 4-go listopada 1889 roku, sekretarz, zdając sprawę ze stanu wydawnictw, oznajmia o wyjściu tomu II-go Dyaryusza Wielewickiego w wydaniu ks. dr. Chotkowskiego i V tomu Archiwum Komisyi; przedstawia także 2 pierwsze arkusze wydrukowane Bibliografii historycznéj polskiéj, wydawanéj przez dr. Finkla i dr. Sawczyńskiego.

Prof. Smolka składa Komisyi w 6 tekach i paru konwolutach odpisy archiwalne z Rzymu, zebrane w ciągu wyprawy roku 1888/9. Zawierają one korespondencyą nuncyusza Hannibala z Kapuy z lat 1586—1591 i legata nadzwyczajnego, kardynała Hipolita Aldobrandini z lat 1588 i 1589. Nadto zgromadzono uzupełnienia do poprzednio zebranych materyałów, jako to *Posseviniana*, sprawozda-

nie o nuncyaturze niemieckiéj i t. d., także wiadomości o samém archiwum watykańskiém, notaty z archiwum florenckiego.

P. Smolka podaje wiadomość o dotychczasowych badaniach dr. St. Krzyżanowskiego w archiwach głównie klasztornych nad dyplomatami dawniejszemi polskiemi, zaznacza konieczną potrzebę podjęcia prac przygotowawczych regestów polskich i radząc, aby z obecnéj podróży archiwalnéj dr. Krzyżanowskiego, skorzystać w tym celu, wnosi, aby go wezwać do rozszerzenia jéj zakresu, oraz uchwalić ponowną subwencyą dla umożliwienia całego zadania; komisya zaś wniosek ten uchwala.

Sekretarz zawiadamia o odezwie ze Lwowa w sprawie drugiego Zjazdu historyków polskich, który urządza Towarzystwo Historyczne lwowskie, a który się ma odbyć w lipcu 1890 roku we Lwowie, i oznajmia o krokach porozumienia się dotychczas przedsięwziętych.

W Komisyi **archeologicznéj** na posiedzeniu 4-go listopada 1889 roku, dr. Łepkowski otwiera posiedzenie wspomnieniem zgonu ś. p. Ignacego Bema, wieloletniego współpracownika Komisyi. P. Ziemięcki zdaje sprawę z wycieczki do Boczowa w powiecie bocheńskim, gdzie znajduje się kopiec, zajmujący powierzchni 632 sąż. kw., około 8 metrów wysoki. Sprawozdawca doszedł do rezultatu, że nauka nicby nie zyskała na rozkopywaniu tego kopca, gdyż mogiłą w ścisłém znaczeniu tego wyrazu nie jest, lecz jest częścią daléj ciągnącego się wzgórza, które odcięto z umysłu kopanym stawem. W razie, gdyby kopiec sięgał o wiele odleglejszéj przeszłości, mógłby być kopcem wskazującym kierunek brodu przez rzekę Szreniawę przechodzącego, jakie to kopce w Poznańskiém i Prusach Zachodnich, znajdują się w sąsiedztwie dawnych brodów na starożytnych szlakach handlowych.

Następnie p. Ziemięcki odczytał rozprawę: „Dobczyce pod względem archeologicznym.“ Autor stwierdza, że zamku tego nikt inny stawiać nie mógł, jak Sebastyan Lubomirski, pierwszy z téj rodziny starosta dobczycki. Pod względem planu i konstrukcyi architektonicznéj zamek ten najbardziéj zbliżonym był do zamku w Iłży. Z pozostałych zabytków sztuki, przechowanych mianowicie w dolnéj, drewnianéj kaplicy w mieście, p. Z. wnosi, że kościół w Dobczycach miał w przeszłości dwa peryody: peryod gotycki i renesansowy. Z pierwszéj epoki przechowało się kilka obrazów na złoconych tłach, stanowiły one jeden tryptyk, będący wielkim ołtarzem pierwotnego kościoła. Główna środkowa część tryptyku z drugiéj połowy XV w. przedstawiała Najśw. Maryę Pannę w pośrodku między Ś-tym

Janem Chrzcicielem i Ś-ym Janem Ewangelistą. U spodu obrazu jest herb Zadora. Do tego samego peryodu należały dwa stacyjne obrazy na złoconych tłach; piękna Pietà rzeźbiona w drzewie i polichromowana, oraz monstrancya srebrna złocona z wieżyczkami czyli gotycka. Do epoki przejścia między gotycyzmem, a renesansowym późniejszym kościołem Sebastyana Lubomirskiego, należą dwa dzwony pięknemi napisami opatrzone, z których jeden niemiecki gotycki, drugi rzymskimi majuskułami bardzo pięknéj, wczesnéj renesansowéj formy, fundowany był przez Pawła Czernego w r. 1540. Sebastyan Lubomirski wystawił nowy kościół z kamienia i cegły, z którego przechowały się: ołtarz wielki, chrzcielnica z czerwonego marmuru, rzeźbiona w cherubiny, i nagrobek również z czerwonego marmuru, który wystawił Sebastyan Lubomirski swemu półrocznemu synowi, także Sebastyanowi, w r. 1594.

Na posiedzeniu tegoż Wydziału 29-go listopada r. z., sekretarz zdał sprawę z pracy dr. Witołda Rubczyńskiego p. t.: „O stałych czynnikach w rozwoju duchowym człowieka.“ Dzieli się ona na dwie główne części. W pierwszéj autor zajmuje się znaczeniem badań nad czynnikami rozwoju wobec ogólnego filozoficznego poglądu na świat. W drugiéj, zastanowiwszy się nad osobną metodą badań takich w dziedzinie rozwoju ludzkiego, zaznacza dwa jego elementarne czynniki kształtujące sympatyą i wrażliwość dla formy, w ich sposobie objawiań się i wzajemnéj zależności.

Na posiedzeniu ściślejszém Wydział uchwala pracę powyższą umieścić w XXV-ym tomie „Rozpraw“ i zatwierdza na członka Komisyi historycznéj dr. Stanisława Krzyżanowskiego, na członków komisyi archeologicznéj: dr. Adryana Baranieckiego, p. Władysława Bartynowskiego, dr. Włodzimierza Demetrykiewicza, dr. Ant. Karbowiaka, p. Leonarda Lepszego, p. Józefa Pollera, dr. Stanisława Tomkowicza i p. Michała Żmigrodzkiego.

Tegoż dnia na posiedzeniu Komisyi historycznéj zastanawiano się ogólnie nad programem wydawnictw Komisyi na r. 1890, przyczém prof. Smolka podniósł potrzebę wydania rychłego materyałów do panowania Stefana Batorego, zebranych w archiwach rzymskich. Uchwalono zaś, że dyrektor zbiorów i wydawnictw ma przedstawić Komisyi szczegółowy program dalszych wydawnictw. Przystąpiwszy do wyborów, wybrano przewodniczącym Komisyi hr. St. Tarnowskiego, dyrektorem zbiorów i wydawnictw prof. W. Zakrzewskiego, a sekretarzem prof. A. Lewickiego. Nakoniec toczyła się dłuższa dyskusya z powodu przyszłego Zjazdu historycznego we Lwowie.

= Wydział **filologiczny** Akademii odbył posiedzenie 18 października r. z. Sekretarz zawiadamia o wyjściu z druku VII-go tomu „Pamiętnika Akad. Wydz. filol. i histor.-filozof.,“ który zawiera następujące rozprawy: d-ra J. Kallenbacha: Czwarta część „Dziadów,“ studyum porównawcze; d-ra Wierzbickiego Daniela: „Żywot i działalność Jana Heweliusza;“ d-ra Smolki St.: „Kiejstut i Jagiełło;“ d-ra Kawczyńskiego Maks.: „Porównawcze badania nad rytmem i rytmami.“ III. Rytmika romańska; d-ra Tretiaka: „Ślady wpływu Mickiewicza w poezyi Puszkina.

Dr. Kallenbach odczytał zapisek o nowych materyałach do historyi dramatu w Polsce, na podstawie dzieła P. O. Morozowa p. t.: „Historya teatru ruskiego.“ Tom I (Do połowy XVIII-go wieku). Bardzo staranna monografia ta o początkach i rozwoju poezyi dramatycznéj w Rosyi, zawiera wiele cennych wskazówek dla badaczów polskiéj literatury. Objawem charakterystycznym starego teatru ruskiego jest zupełna zależność od zachodniéj cywilizacyi. W literaturze dramatycznéj ruskiéj znać systematyczne spóźnianie się: bierze ona to z Zachodu, co już tam przekwitło i zestarzało się. Dramat ruski przechodził fazę zależności od dramatu polskiego (jezuickiego, szkolnego), komedyi niemieckiéj, wreszcie pseudo-klasycznéj francuskiéj. Nas przedewszystkiém obchodzi faza polsko-łacińskiego wpływu. Poświęcił jéj Morozow wiele trudu. Do utworów scenicznych, zwłaszcza małoruskich, odszukał on w rękopisach Biblioteki Petersb. pierwowzory polskie lub łacińskie, pochodzące przeważnie z kolegiów jezuickich. Wpływ utworów polskich jest tak silny, że Mor. w wielu ustępach swéj książki raczéj historyą polskiéj, a nie ruskiéj dramatycznéj poezyi traktuje. Wobec zaginionych wielu utworów scenicznych polskich z XVII w., zdumiewa ilość odszukanych przez Mor. rękopisów polskich z XVII w., nieznanych nam zgoła, nie uwzględnionych dotychczas w tak ubogiéj literaturze dramatu polskiego. Mor., szukając głównie pierwiastków ruskiego dramatu, zbyt skąpe podał wyjątki z rękopisów polskich, abyśmy mogli nabrać dokładnego pojęcia o znaczeniu tych sztuk dla literatury naszéj. Będą to przeważnie dramata szkolne, grywane w kolegiach jezuickich, słabe pod względem budowy i intrygi—ważne zawsze jako pomniki języka polskiego. W kilku wyjątkach, podanych przez Mor., zdaje się, że mamy do czynienia z zabytkami starszemi (z XVI wieku), które w kopii późniejszéj z XVII lub XVIII w. się przechowały. Morozow zna najdokładniéj dramata i dyalogi polskie, ogłoszone przez Wójcickiego, Kraszewskiego i Chomętowskiego i dokładnie zaznacza, co bierze z druku, a co z rękopisu nieznanego. Sygnatury rękopisów są tak dokładne, że wynalezienie ich

w Bibliotece publicznéj w Petersburgu nie powinno być trudne. P. Kallenbach przedstawił inwentarz tych zabytków dramatycznych, godnych uwagi, sporządzony na podstawie książki Morozowa.

Na posiedzeniu tegoż Wydziału 8-go listopada r. z., prof. Wł. Łuszczkiewicz odczytał rozprawę p. t.: „Przyczynek do historyi architektury dworu szlacheckiego w XVI-ym wieku w Polsce.“ Autor zbadał pewną liczbę zabytków architektury domowéj wsi polskich i przyszedł do przekonania, że typ drewnianego dworu polskiego z ubiegłych wieków, odznacza się brakiem warunków estetyczno-architektonicznych, a to wskutek przerwy w tradycyi średniowiecznéj budowli drewnianych. Przerwa ta, zdaniem autora, nastąpiła w wieku XVI, kiedy pod wpływem rozwijającéj się kultury renesansowéj zaczęto budować dwory murowane zamiast drewnianych. Autor wyróżnia dwie kategorye zabytków mieszkań szlacheckich téj epoki, obie noszące nazwę zamku: do 1-éj należą grody, to jest warowne miejsca, służące do obrony i schronienia dla całéj okolicy; do 2-éj murowane, w sobie zamknięte budynki, dwory szlacheckie. Autor zastanawia się nad charakterystyką tych zabytków, biorąc za podstawę studya swe, wykonane w Dębnie, Drzewicy, Szymbarku, Jeżowie, Korabnikach, oraz widoki dworów z publikacyi Raczyńskiego i Puffendorfa.

Następnie prof. Morawski złożył rozprawę d-ra Zygmunta Celichowskiego p. t.: „Przyczynek do życiorysu Marcina Kwiatkowskiego alias Płachty z Różyc,“ oparty na kilku listach z archiwum królewieckiego. Pokazuje się z nich, że pisarz ten, który także na polu nowatorstwa religijnego znaczną odegrał rolę, przebywał w r. 1561 na uniwersytecie w Lipsku, wysłany tam kosztem Albrechta, księcia pruskiego. Następnie, wskutek polecenia króla polskiego, przyjął go książę pruski na tłómacza i sekretarza do spraw polskich. Kwiatkowski, na tém stanowisku pozostając, dorobił się znaczniejszych pieniędzy, za które nabywa około roku 1577-go wioskę Kwiatków. Z listów królewieckich wynika daléj, że Kwiatkowski „*illegitimo toro*“ był zrodzony, co nam tłómaczy poniekąd dwoistość jego nazwiska.

Następnie sekretarz przedstawił pracę p. Ed. Porębowicza p. t.: „Nazwy plemion i ludów słowiańskich w staro-francuskich Chansons de Geste,“ którą Wydział uchwalił przesłać dr. Maksymilianowi Kawczyńskiemu we Lwowie z prośbą o ocenę.

Na posiedzeniu 2 grudnia r. z., p. Morawski zdał sprawę z pracy p. Gustawa Lettnera p. t.: „Istota, budowa i stanowisko agonu w komedyach Arystofanesa.“ Rozprawa jest wypadkiem samodzielnych badań autora nad kwestyą, o ile szczegółowym twierdzeniom i teoryom, zawartym w dziele d-ra T. Zielińskiego: „Gliederung der altattischen Komödie“ (Lipsk, 1885) istotnie odpowiadają Arystofanesowe utwory.

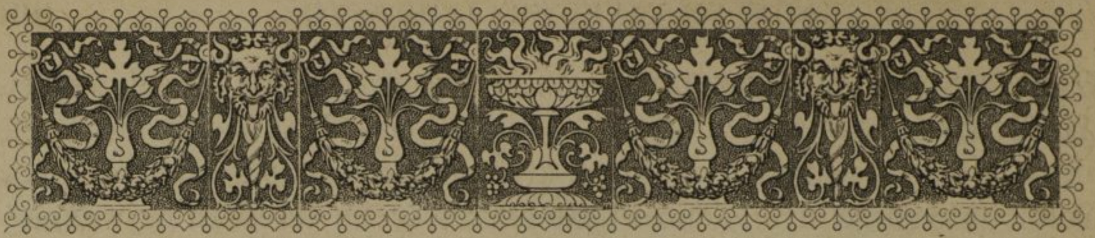
Właściwy przedmiot rozprawy odnosi się wprawdzie przedewszystkiém tylko do jednego ich działu, wymagał on jednak dokładnego rozważenia całego ustroju genialnych kreacyi ateńskiego komedyopisarza. Autor przyznaje dr. Zielińskiemu słuszność co do kilku najważniejszych spostrzeżeń i wywodów, stanowiących podstawę jego dzieła.

Następnie prof. Morawski złożył pracę p. dr. St. Windakiewicza p. t. „Protokóły nacyi polskiéj w Padwie.“ Jest to opis księgi, obejmującéj przeciąg czasu od r. 1592 do 1733 i wypisy protokółów. W końcu odbyło się posiedzenie ściślejsze, na którém uchwalono wzmiankowaną rozprawę p. G. Lettnera odesłać do komitetu wydawniczego, pracę zaś p. Windakiewicza odstąpić komisyi historyczno-literackiéj.

== Wydział **matematyczno-przyrodniczy** odbył posiedzenie 21-go października r. z., na którém sekretarz przedstawił już w t. XVII-ym „Pamiętnika“ wydrukowaną pracę d-ra J. Siemiradzkiego: „Mięczaki głowonogie brunatnego jura w Popielanach.“ Prof. Olszewski zdał sprawę z dwóch prac prof. Br. Pawlewskiego, jednę: „O działaniu kwasu chloro-sulfonowego na olejek fenylo-gorczyczny,“ drugą: „O kwasie orto-tolylo-β-imidomasłowym.“ Sekretarz odczytał sprawozdanie prof. E. Godlewskiego o pracy p. K. Miczyńskiego p. t.: „O zmarzaniu tkanek gruszy.“ W dyskusyi nad rezultatami téj pracy zabierali głos pp. Rostafiński, Janczewski, Karliński i Olszewski.

Na posiedzeniu ściślejszém sekretarz zawiadomił, iż na konkurs z fundacyi ś. p. ks. A. Jakubowskiego, którego termin kończy się dopiéro d. 31 grudnia 1890 r., nadesłano już na temat: „Sposoby suszenia jarzyn i owoców“ jednę pracę pod godłem: „Mrówka XXIX.“ Rozprawy pp. Pawlewskiego i Miczyńskiego, zgodnie z wnioskami referentów, uchwalono przesłać do komitetu wydawniczego, prace zaś świeżo nadesłane oddano do opinii członków Wydziału. Wreszcie sekretarz przedstawił preliminarz dochodów Wydziału na rok 1890-ty w kwocie 17,285 złr. 70 ct.

Na posiedzeniu 29-go listopada r. z. prof. Franke zdał sprawę z pracy p. Gosiewskiego: „O ciśnieniu kinetyczném w płynie nieściśliwym i jednorodnym.“ Prof. Godlewski przedstawił rozprawę p. Prażmowskiego: „Brodawki korzeniowe grochu. I. Etiologia i historya rozwoju brodawek,“ nad którą zabierali głos: pp. Cybulski i Godlewski; oraz pracę p. Oleskowa: „Teoretyczne podstawy uszlachetniania drzew. I. Budowa i sposób wzrostu pędów gruszy.“ W tym przedmiocie przemawiali pp. Janczewski i Karliński. Sekretarz odczytał opinią pp. Nowickiego i Kreutza o rozprawie p. Siemiradzkiego: „Fauna kopalna brunatnego jura w Popielanach, Część druga.“ Powyższe rozprawy uchwalono przesłać komitetowi wydawniczemu dla ogłoszenia ich w pismach Wydziału.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pod koniec wieku.—Czego się spodziewamy od ostatniego lat dziesiątka. — Wojownicy, poeci, myśliciele. — Mgławica w życiu i literaturze. — Prawo mechaniczne w prasie.—Pismo pedagogiczne i ogół. — Kto odpowiada za wartość pisma nauczycielskiego, czyli lepienie garnka z suchego piasku.—Zmiana w redakcyi. — Zadanie p. Dawida. — Jakie książki mamy dla dzieci? — Miałki morał i niezdrowa fantazya.—Wielcy beletryści dla małych czytelników. — „Pamiętnik chłopca.“ — „Serce“ Amicisa. — Złota oprawa i brylanty. — Choroba Włoch i książka Amicisa.—Przekład. — Sprawozdanie i bilans roczny Banku ziemskiego. — Uwagi o emigracyi.

A więc docieramy do ostatniego dziesiątka wieku XIX-go.

Dziwny bo wiek. Czasami, niby pajac, stroił się w zbyt nań przestronne szaty swego poprzednika, czasami udawał chłód filozofa, który trzeźwość posuwa do cynizmu, a rozsądek do bezdusznéj negacyi. Obok świetnych zdobyczy naukowych—ostateczny zamęt pojęć. Jedni przeklinają kończący się wiek, drudzy — błogosławią, bo dla jednych jest zaprzańcem, co się zrzekł świętego spadku idei, dla drugich dobroczyńcą, który dał więcéj, niż śmiałe nadzieje pożądały.

W zbliżającém się dziesięcioleciu przypadnie cały szereg rocznic wiekowych. Wszak sto lat temu rodziła się wśród potoku krwi, szczęku żelaza, przy odgłosach porywającego marszu Francya dzisiejsza. Od końca do końca Europy kilkakrotnie, niby zaraza, przeszła druzgocząca stopa wojny. Wiek XVIII-ty kończył się, jak dramat efektowny, nadzwyczajnie, przy fajerwerkowym blasku zapału, uniesienia.

Jak się skończy wiek XIX-ty? Czy będzie miał co do przekazania swemu następcy?

Dziś właściwie ludzie od starego wieku spodziewają się tylko jednéj jeszcze—wojny, ale wojny takiéj, na jaką nie stać było ani ojców, ani dziadów, ani pradziadów naszych. Nie mieli oni ani tylu lu-

dzi na zmarnowanie, ani prochu bezdymnego, ani dział rewolwerowych. Nie będzie to już efektowny finał z przed laty stu, kiedy jeszcze było miejsce na uniesienie i bohatérstwo. Jest pewne, bo konieczne, że nigdy w tak krótkim czasie nie zginęło tylu ludzi, ilu ich zginie prawdopodobnie w ostatniém dziele kończącego się stulecia. Potomstwo, mówiąc o nas, przedewszystkiém ten objaw przypominać sobie będzie.

Niegdyś walczyli klasycy z romantykami — dzisiaj poza wydawniczemi i osobistemi konkurencyami trudno dopatrzéć wybitnych kierunków literackich, trudno dopatrzéć skupienia. Kilka wielkich talentów stoi odosobnionych, czasem wywołuje lichych naśladowców, ale nie są oni sztandarem, nie są przywódcami, nie mają towarzyszów broni. Nie ma stronników realizmu i idealizmu, nie ma „naturalistów,“ nie ma „dekadentów“ — wszystko zatarte, zamglone, wszystko idzie luzem, wszystko się rozsypuje na ziarnka pojedyńcze, jak piasek pozbawiony ożywczéj wilgoci. Taką jest literatura, takiém jest życie całe.

Prasa posiada niby monopol wyłącznego dostarczania strawy umysłowéj, szpalty jéj wymija nie wiele dzieł i te, jak roślina deszczu i słońca, potrzebują poparcia prasy. Ale nie wszystkie jéj organy są jednakowo potężne i szczęśliwe. Układ dziennikarstwa warszawskiego dostarczyłby poważnego argumentu stronnikom mechanicznego poglądu na świat: prawa fizyczne znalazły tu najściślejsze zastosowanie. Im treść lżejsza, témbardziéj idzie w górę. Pisma poważniejsze, chociażby bardzo nawet popularne, biedują i koło każdego Nowego Roku występuje kwestya ich bytu.

Do takich pism należy „Przegląd Pedagogiczny.“ Nie może być sporu o to, czy pismo takie jest potrzebne społeczeństwu? Potrzebuje go ta garstka szkół i nauczycieli, jaką posiadamy, a jeszcze więcéj rodziny. Kosztuje tylko pół rubla na miesiąc. Zdawałoby się, iż mieć powinien prenumeratorów tysiące. Tymczasem nawet liczba setek jest bardzą niską i bez udziału starań i nacisku pewnego, byłaby jeszcze niższą.

Kto temu winien? Przedewszystkiém publiczność szersza nie czuje dotąd *potrzeby* czytania czegokolwiek bądź innego, prócz artykułów politycznych i powieści. Naturalnie zdarzy się, iż przy sposobności ten i ów przeczyta jakiś artykuł inny, ale to już uważa za wyjątek i za zasługę niejako. Zrozumienia, iż we wszystkich sprawach życia można się czegoś dowiedzieć od nauki, wcale nie ma. Co więcéj, wszelkie „nowinki“ poczytywane są za przesąd niedorzeczny. Dotąd ludzie się bez tego obchodzili i dobrze było. Zdarzyło mi się widziéć energiczny opór ze strony osoby, skądinąd inteligentnéj, gdy temperaturę wody na kąpiel dla dziecka mierzono termometrem, nie zaś łokciem własnym.

Wychowanie jest trudną rzeczą; każdy ojciec i każda matka wiedzą o tém: bębny krzyczą, nie słuchają, jeden wlezie gdzieś i oko sobie podbije, drugi majtki połacha na nic, trzeci objé się i zachoruje. Ustrzedz od tego wszystkiego trudno, kłopotów co niemiara — ale cóż na to wszystko książka zaradzi? To téż ogłoszenia o istnieniu „Przeglądu Pedagogicznego" przesuwają się mimo oczu, jak wiadomość o sprzedaży owsa, gdy kto wcale nie ma koni. Nikt o tém nie słyszał, i nikomu na myśl nie przyszło, żeby przy wychowaniu dzieci radzić się książek lub pisma. Przepowiednie pogody w kalendarzu lub „Kuryerze Porannym," odsłonięcie tajnych myśli Bismarcka — to co innego. Nie jestto nawet lekceważenie, ale poprostu niewiadomość, myśmy cywilizacyjnie nie dorośli do tego, iżby czytywać pismo pedagogiczne, zupełnie jak partacz w Kikole nie będzie, bo nie może, korzystać z organu, poświęconego ślusarstwu.

Nie koniec na tém. „Przegląd pedagogiczny" przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk i był zawsze—przepraszam—dość słaby. Słowo to nie jest bynajmniéj zarzutem dla redaktorów, to streszczenie trudności tego rodzaju wydawnictwa. Żaden redaktor, najgenialniejszy, nie potrafiłby wydawać dobrego dziennika w kraju ubogim w piszących. „Przegląd pedagogiczny" mógłby być pismem dobrém, gdyby był rzeczywiście organem ogółu nauczycieli, gdyby ci nauczyciele za obowiązek swój uważali utrzymanie go na pewnéj wysokości, gdyby każdy pojedyńczo i wszyscy razem słabość pisma poczytywali za swoję własną winę, gdyby istniało poczucie odpowiedzialności całego ciała za jedyny organ wychowawczy, jakiego społeczeństwo ma prawo oczekiwać od specyalistów-pedagogów. Tymczasem nigdy tak nie było. Gdy jedni brali się do pracy, drudzy uprzedzali z góry, że nic z tego nie będzie, gotowali się do krytyki, i z radością niemal witali każdą rzecz nieudolną. Taka krytyka w redakcyi byłaby przykładaniem ręki do wspólnego, a pożytecznego dzieła, po za nią była dawaniem folgi zgryźliwości, o którą w pedagogu nie trudno.

Pewien stroiciel fortepianów rodem z nad Wisły, ale przez lat wiele zamieszkały w Paryżu, tłómaczył mi, iż Francuz każdy pojedyńczo to baran, ale w kupie tworzą siłę rozumną i zdolną do czynu; Polak każdy ma i rozum, i pogląd pewien na rzeczy, i pojęcie co w jakim wypadku zrobić należy, ale Polacy razem zebrani—barany. Prostemu rzemieślnikowi wybaczyć należy małą wybredność w doborze słów, ale bodaj czy on racyi nie miał. Niech, co chcą, mówią pesymiści, u nas jest wiele talentów, wiele głów otwartych, co więcéj, napotkać można charaktery imponujące, cnoty hartowne, wysokie poczucia obowiązków obywatelskich, ale to wszystko błyszczy, gdy chodzi o pracę,

o stanowisko indywidualne. Wszelka wspólna robota jest lepieniem garnka z suchego piasku. Wszędzie jak w literaturze. Sienkiewicz jest wielki talent, ma swoje literackie ideały, występuje z niemi energicznie i umié ich bronić, ale osobiście wpływu Sienkiewicz nie wywiera żadnego, nie skupia koło siebie zastępu współbojowników, ani on się do nich nastroić, ani oni go znieśćby nie potrafili.

Wspólna robota wymaga ustępstw, wymaga niejednokrotnie zaparcia się pewnych cząstek siebie samego. U nas, gdy kto upatrzy w sobie coś np. do pana X, to już za nic w świecie w jednym szeregu z nim nie stanie i ma to sobie za zasługę. Nie ma co mówić, to stałość i moc przekonań, ale sprawa publiczna leży odłogiem, obsiewa się złém ziarnem. Gdy kto chce przyjść z pomocą „Przeglądowi Pedagogicznemu“, to udział swój tak z góry owaruje, że inni, również samodzielni ludzie, na żaden sposób przystać nie mogą: albo będziecie tak robić, jak ja sobie uplanowałem, albo „*veto*“, usuwam się od wszystkiego. Cóż tu zrobić, kiedy każdy zdanie swoje ma za prawdę przeczystą i niewątpliwą, a wszystko inne za hańbę.

Ostatnim redaktorem „Przeglądu“ był p. Łagowski; wytrwał, albo ściśléj przemęczył się na tém stanowisku lat kilka. Obecnie usuwa się i ciężar bierze na młodsze barki p. Dawid. Osoba redaktora jest całkiem odpowiednią. Należy on do szczupłéj u nas garstki pedagogów, którzy zadanie swoje traktują ogólnie, nie zaś z punktu pojedyńczego przedmiotu, jest w poważnym stylu uczonym, który bardzo czynnie zajmuje się sprawami praktycznemi wychowania. Można być pewnym, że na nowém stanowisku gwiazdą przewodnią będzie dlań nie sporna jakaś doktryna, lecz istotne potrzeby społeczeństwa. Chodzi więc o to, czy p. Dawid potrafi pokonać dwie przeszkody, o których mowa: czy zdoła przemówić tak donośnie, aby go usłyszano daleko, w miasteczkach prowincyi i w dworach wiejskich; czy potrafi ugłaskać drażliwość kolegów, czy potrafi zjednoczyć ich w swojéj redakcyi do wspólnéj pracy nad spełnieniem wspólnego obowiązku?

Pierwsza trudność dałaby się może pokonać, gdyby najpopularniejsze organy prasy użyczyły swego poparcia, druga — niewiem jak z nią sobie p. Dawid poradzi. To coś jak przeciśnięcie się przez ucho igielne, jak spojenie ognia z wodą, jak konieczność wprzęgania do jednego wozu raka, łabędzia i szczupaka. Zdarza się jednak, że zamiłowanie do dzieła, że wytrwałość i energia łamią przeszkody, napozór niepokonalne, szczerze życzymy szanownemu redaktorowi, aby mu się powiodło jaknajświetniéj, a jeżeli zdoła postawić „Przegląd Pedagogiczny“ na mocne nogi, poczytamy, mu to za wielką zasługę.

Jeśli wśród ogółu jest jakie zapotrzebowanie pedagogiczne, to

tylko na książki dla dzieci. Nie można jednak powiedzieć, abyśmy posiadali wielką obfitość tego produktu w dobrym gatunku. Jest kilka rzeczy, istotnie mogących zainteresować małego czytelnika i przynieść mu korzyść, ogromną ilość jednak porównałbym — przeprosiwszy znowu — do sieczki. Na dnie dosyć ckliwych powiastek zwykle dziecko znajduje jakiś miałki morał, przestrzegający ruszania szklanych przedmiotów, lub plamienia odzieży. Naturalnie starszym cokolwiek i bardziéj rozwiniętym dzieciom to nie wystarcza. Rodzice, pragnący wszczepić jakieś pojęcia szersze, obywatelskie, a wszczepiać je można i należy bardzo wcześnie, znajdują niewielką pomoc w literaturze, bo książek takich jest niewiele. Najpopularniejsze przekłady przenoszą dzieci gdzieś poza oceany, do równika lub pod bieguny, aby podniecić w sposób niezdrowy fantazyą, a uwagę oderwać od rzeczy otaczających. Naturalnie byłoby niesprawiedliwością oskarżać o wszystko biedną naszą literaturę, to jednak jest zdaje się pewną przyczyną, że bardziéj utalentowani pisarze nie wpadają na myśl skomponowania téż czegoś dla dziatwy. Z czasem to może przyjdzie, kilku głośniejszych beletrystów zgodziło się już naginać swe pióro do pojęć ludowych.

Jaką zaś książkę dziecinną stworzyć może wielki talent dał dowód Edmund Amicis dziełem, które na język polski przełożyła niedawno pani Marya z Siemiradzkich Obrąpalska p. t. „Pamiętnik chłopca“.

Rzecz się dzieje w Turynie. Uczeń klasy trzeciéj szkół niższych, 8-io czy 9-cio letnie dziecko z inteligentnéj sfery mieszczańskiéj spisuje swój pamiętnik. Na ławie szkolnéj wraz z nim siedzą chłopcy różnych stanów, różnych usposobień, różnéj wartości moralnéj: są tam dobrzy i serdeczni koledzy, śmieszni i bardzo biedni, dzielni i niedołężni, źli i złośliwi. Bohater pamiętnika jest sprytnym i dobrze wychowanym malcem, sam umié robić właściwy wybór pomiędzy kolegami i zachować się właściwie względem tych, co warci sympatyi, i tych, co na nią nie zasługują. Ile zaś razy się potknie, skrzywdzi kogo lub obrazi, rozumni rodzice umieją skierować go na drogę właściwą. W tém wszystkiém nie ma ckliwego morału, bo czytelnika porywa akcya, lubi on wraz z autorem pamiętnika i nie lubi pewnych postaci, razem z nim oburza się i unosi, żałuje niewłaściwego postępku bohatera, gdy ten sam żałuje.

Cała jednak moralna i obyczajowa strona w wybornéni dziele Amicisa to tylko złota oprawa, misternie wykuta w tym celu, aby autor miał gdzie poosadzać brylanty. A brylanty skrzą się, ile razy jest sposobność mówienia o... Italii.

Najwięcéj jednak światła jasnego odbijają w sobie opowiadania, małe powiastki, jakich stary nauczyciel dostarcza co miesiąc uczniom. Są to poprostu arcydzieła. Nietylko dziecko, ale osoba dorosła bez silnego wrażenia, bez łzy w oku przeczytać ich nie zdoła. Są tam opowiedziane czyny bohaterskie chłopców z różnych stron Włoch, najczęściéj za treść służą wypadki wojenne z niedawnéj przeszłości.

Prócz tego, że śliczną książkę Amicisa pragnąłbym zalecić wszystkim rodzicom i poradzić, aby rozdział po rozdziale czytali ją swoim dzieciom (dla dzieci samych może nieraz być zatrudną, zresztą należy ją czytać częściami, zbyt wiele kartek mogłoby zanadto wstrząsnąć nerwy dziecka).

Jeszcze parę słów z powodu Amicisa. Nie mogę powiedzieć, żebym miał wielkie zaufanie do Włochów. Wreszcie ten Crispi jest jakiś taki niewyraźny. Tysiące potrzeb niezałatwionych, a oni rujnują się na wojnę, chociaż nikt ich dziś naprawdę nie krzywdzi. Wszystko to wygląda trochę podejrzanie. W literaturze panowali jacyś chorzy mistrze — pesymiści. Mówcy parlamentarni większości, przywódzcy partyi rządowéj, znaczna część prasy— wszystko to chwilami zakrawa na karykaturę Francuzów, dobrodziejów, którym, Bóg wié za co, wygrażają. Kręcą się tam wszyscy niby zarażeni gorączką influenzy, zdrowia narodu na dorobku mało jakoś tam było widać.

Książka Amicisa stanowi dowód przeciwny. Za dni upadku Rzymu nie znoszono barw jaskrawych, ubierano się w jakieś kolory wyblakłe, zgniłe. Ten drobny szczegół jest bardzo charakterystyczny, świadczy niewątpliwie o braku zdrowia. Dziś téż naśladownictwo zwiędłych lub zgniłych liści jest bardzo modne, a coś podobnego panuje w literaturze. Silne szarpnięcie uczuć wyższych poczytywane jest za coś niewłaściwego. Doskonałością—lot nizki, dotykanie spraw poziomych; drażnienie słabostek mizernych. Taka moda, tego wymaga gust panujący. Tymczasem Amicis zwrócił się śmiało w stronę inną, nie uląkł się tematów wzniosłych, nie uląkł się tonu wysokiego. Czuć siłę, czuć zdrowie. Autor jest zwykle odbiciem stanu otoczenia swego.

Miałbym tylko to i owo do zarzucenia przekładowi, nie jest on może niepoprawny, ale tłómaczka nie dotrzymała kroku autorowi. Stąd miejscami nuty fałszywe, stąd jakieś nienaturalne frazesy, jakby wystrugane niezdarnie z drzewa. Włosi bardziéj gustują w przesadzie niż my; ustęp piękny po włosku, w dosłowném tłómaczeniu razić będzie; takie arcydzieło trzeba było przelać artystycznie.

Wyszło w tych czasach „Sprawozdanie i bilans roczny (do 30 czerwca r. z.) Banku ziemsk. w Poznaniu". Dotychczas są to zawiązki,

dla tego w sprawozdaniu znajdujemy więcéj wywodów teoretycznych i spostrzeżeń niż cyfr i danych dokładnych. Ogólna suma, jaką mógł rozporządzać bank, sięgała prawie 600 tysięcy marek. Pieniądze leżały w papierach publicznych; to też dywidenda wynieść mogła zaledwie 1%, któréj nie wypłacono, lecz dopisano do zysków przyszłorocznych.

Zadaniem banku jest i będzie: 1) zasoby, znajdujące się już dziś w stanie włościańskim, racyonalnie zużywać na pożytek rolnictwa krajowego przez zwrócenie ich ku ziemi rodzinnéj; 2) „wytwarzać nowe zasoby w stanie włościańskim przez danie sposobności do nabywania ziemi i tworzenia nowych, coraz liczniejszych osad rolnych". Do tych zaś celów prowadzą dwie drogi: *a*) „regulowanie stosunków hypotecznych stanu włościańskiego, *b*) parcelacya folwarków i osadnictwo".

Dotychczasowa praktyka dowiodła, że ziemi, szukającéj nabywców, jest dużo w rękach właścicieli większych. Nabywców, szukających ziemi, również jest dużo w stanie włościańskim. Pośrednictwo pomiędzy tymi dwoma prądami stanowi właśnie pole działania banku. Nie jest to jednak tak łatwém, jak się komuś na pierwszy rzut oka zdawać może. Właściciele, zgadzający się na sprzedaż, są to zwykle bankruci, którzy pragną otrzymać sumy olbrzymie, aby z rozbitéj fortuny cośkolwiek uratować. Dotychczas jednak polecono bankowi do sprzedania przeszło 82,000 morgów magdeburskich.

Z drugiéj strony spotyka się przeszkodę w trudnościach porozumienia się z nabywcami-włościanami. Zresztą rzecz jest nowa, dosyć nieznana, nie wypróbowana. Z biegiem czasu, gdy się już maszyna należycie rozpędzi, te drobne opory znikną. Niemało téż jest przeszkód ze strony władz. Zakładanie nowych budynków wymaga pozwolenia. Wprawdzie odmowa nastąpić może tylko w wypadkach, ściśle przez prawo określonych, pomimo to wszelkie przeszkody, a nawet zwyczajne opóźnienie, nieraz rzecz całą burzą. Pomimo tak krótkiéj praktyki i słabéj działalności z rąk banku, z przyczyny odmowy władz, wysunęło się 4,200 morgów, W jednym wypadku właściciel, nie mogąc uzyskać pozwolenia na kolonizacyą, sprzedał w końcu swój majątek landratowi miejscowemu, z którym się właśnie prawował o pozwolenie; inny z tych samych przyczyn udał się wprost do komisyi kolonizacyjnéj niemieckiéj. Nabrało szczególnego rozgłosu postępowanie władz ze spółką kolonizacyjną w Pinczynie: udzielono pozwolenia na kolonizacyą, a odmówiono na wzniesienie zabudowań, dopiéro wyrok ministeryum absurd ten usunął.

Ciekawe są ustępy w sprawozdaniu o emigracyi. Sądzę, że poznaw-

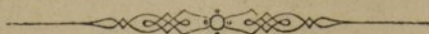
szy się szczegółowiéj z tą sprawą w dwu ostatnich zeszytach, czytelnicy „Ateneum“ z ciekawością przeczytają kilka następujących wierszy:

„Skonstatować należy — czytamy w sprawozdaniu — że Prusy Zachodnie stosunkowo znacznie większy dostarczają kontyngens popytu na ziemię, niż Księstwo. Ludność tamtejsza jest zamożniejsza, samodzielniejsza i więcéj przedsiębiorcza, niż włościanin wielkopolski, a emigracya z Prus Zachodnich do Ameryki stosunkowo o wiele silniejsza od emigracyi z Księstwa. Podczas gdy z Księstwa w roku 1888 wyemigrowało do Ameryki 12,434 osób tj. 0,7% ogólnéj liczby mieszkańców prowincyi, z Prus Zachodnich wyemigrowało równocześnie 12,616 osób, tj. 0,9%. Różnica uwydatnia się jeszcze więcéj, gdy uwzględnimy, że prawie tylko katolicka ludność emigruje; w stosunku bowiem do téjże procent emigrantów z r. 1888 z Księstwa wynosił 1,1%, natomiast z Prus Zachodnich 1,8%.

„Nie ulega prawie wątpliwości, że trudność nabycia kawałka ziemi jest jednym z motywów emigracyi ludu wiejskiego; a zatém liczba emigrantów jest dla nas na odwrót miarodajną w kwestyi popytu na ziemię i uzasadnia skonstatowany właśnie fakt, że w Prusach Zachodnich reflektantów na ziemię wśród włościan jest znacznie więcéj niż w Księstwie. Tłomaczy się to innym objawem charakterystycznym, że w Księstwie jak dotąd, popyt na ziemię występuje prawie wyłącznie tylko tam, gdzie są zamożni gospodarze, jak w Kościańskiem lub niektórych okolicach Kujaw; podczas gdy w okolicach takich, w których swego czasu grasowało niefortunne skupowanie gospodarstw włościańskich przez dziedziców, popyt jest bardzo słaby. Natomiast w Prusach Zachodnich popyt we wszystkich okolicach, przeważnie polskich, jest dość równy, albowiem tam głównymi nabywcami ziemi są, nie zasiedzieli już gospodarze, tak zwani gburzy, lecz ludzie, którzy dopiéro osiedlić się pragną, a dotąd żyli z najmu lub przemysłu bez stałéj siedziby.

„Podczas gdy w Księstwie parcelacya, jak dotąd, ma szanse powodzenia tylko tam, gdzie zamożni sąsiedzi grunta rozkupić lub dokupić mogą, w Prusach parcelacya jest prototypem istotnéj kolonizacyi tj. tworzenia się nowych zupełnie osad i mnożenia się samodzielnych posiadłości włościańskich.

W Księstwie osadnictwo potrzebuje jeszcze metody wychowawczéj, w Prusach materyał osadniczy jest więcéj gotowy“. *Lus.*



— Wskutek wynikłych w prasie nieporozumień co do treści konkursowego tematu z zapisu Adama Chojnackiego, Cesarski Warszawski Uniwersytet poczytuje za obowiązek rzeczony temat powtórnie ogłosić.

TEMAT PODANY PRZEZ FAKULTET FIZYKO-MATEMATYCZNY
dla ubiegania się o nagrodę *Adama Chojnackiego*
w latach *1889 — 1891* za dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu

„Warunki urodzajności roli“.

Praca przedstawiona na powyższy temat zawierać powinna, w formie przystępnéj dla ludu prostego, odpowiedź na następujące kwestye: 1-sze, rola pod względem geologicznym (mineralogicznym), chemicznym i fizycznym; po 2-gie, uprawa i użyznianie roli; po 3-cie, jaki klimat i jaki grunt sprzyjają uprawie rozmaitych roślin pastewnych i zbożowych; i po 4-te, roślinność ziemi jako wskazówka, że dany grunt odpowiedni jest do uprawy tych lub owych roślin pastewnych albo zbożowych.

Wyciąg z warunków konkursu. Nagroda przyznaną będzie w ilości 900 rs. Dzieło powinno być nadesłane nie późniéj, niż 30 Kwietnia 1891 r. Powinno być napisane w języku ruskim i przez ruskiego poddanego; bądź to już drukowane, bądź téż w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku ruskim lub polskim, pozostawia się uznaniu autora.

— Sprawozdanie z czynności Biblioteki polskiéj w Rumunii za r. 1889. Mimo wciąż uszczuplającéj się liczby rodaków w ogólności, zwłaszcza mogących lub chcących korzystać z biblioteki, zawsze znalazło się jeszcze 39, którzy w ciągu r. b. przeczytali 985 dzieł, nie licząc czasopism. Tak samo stan finansowy instytucyi jest zadawalniający. Dochód: składki 39 członków, z których 15 uwolnionych od taksy fr. 253,50, dochód z funduszu żelaznego 769, dochód nadzwyczajny 16,30; razem fr. 1038,80. Rozchód: zakupiono książek i czasopism za fr. 339,45, oprawa książek 93 fr., pomieszkanie, opał i światło 420, porto listów i paczek 58,85, rozchód nadzwyczajny 22,50, do żelaznego funduszu dano 51 fr., na rachunek druku książki pamiątkowéj 54 fr., razem fr. 1038,80. Fundusz żelazny na r. 1890 wynosi 7,500 fr., książnica zaś składa się z 4,770 tomów. Jak zawsze tak i w r. b. szczególną opiekę otaczało Bibliotekę dziennikarstwo nasze. Redakcye: „Tygodnika ilustrowanego“, „Wędrowca“, „Słowa“, „Gazety świątecznéj“, „Roli“, „Dziennika dla wszystkich“, „Przyjaciela zwierząt“, „Wieczorów Rodzinnych“, „Prawdy“, „Ateneum“, „Kroniki rodzinnéj“, „Muchy“, „Gazety Narod.“, „Muzeum“, „Zgody“ (z Ameryki), „Gońca“ i „Iskry“ przysyłały swe czasopisma gratis (3 za zwrotem porta); zaś za pół ceny: „Kłosy“, „Biesiada literacka“, „Przegląd tygodniowy“, „Głos“, „Przegląd pedagogiczny“, „Kuryer lwowski“, oraz dzieła nakładowo księgarń warszawskich. Z całą ufnością zwracamy się do prasy naszéj, aby nas poparła w r. 1890, w którym Biblioteka polska w Rumunii święcić będzie 25 rok swego istnienia. W miejsce zwykłych obchodów jubileuszowych zamierzamy wydrukować książkę pamiątkową, zawierającą kronikę biblioteki, oraz artykuły literackie, o które przedewszystkiém opiekunów naszych a potém każdego oceniającego należycie znaczenie téj instytucyi upraszamy.

Jassy 25 grudnia 1889 r. Zarząd Biblioteki polskiéj w Rumunii: prezes dr. J. Łukaszewski; członkowie: ks. B. Chwała, dr. Lippe, A. Gąsiorowski, E. Beldowicz.



NEKROLOGIA.

† **Mieczysław Bierzyński,** ur. 1857 w Kielcach, gdzie téż nauki gimnazyalne odbywał. Chodząc na wydział prawny w uniwersytecie warszawskim, który ukończył r. 1881, poświęcił się dziennikarstwu naprzód w „Wędrowcu“, „Ekonomiście“, gdzie drukował rozprawę „Z dziejów miast polskich“ i „Kuryerze Warszawskim“, po tém w „Nowinach“ za redakcyi Bolesława Prusa i „Gazecie Polskiéj“. Pojechawszy następnie w r. 1884 do Kielc, zajął się adwokaturą i pod pseudonimem Czernedy pisał i drukował utwory powieściowe, między innemi: „W zamkniętéj chacie“, „Niepłakany“, „Odmieniec“ (w „Tygodniku ilustrowanym“), „Z pod strzechy wiejskiéj“, „O zmroku“, „Kancelista“, „Warchołek“, „Złodziéj“. Tyfus sprowadził zawczesną śmierć młodego a uzdolnionego pisarza, a zarazem gorliwego działacza w dziedzinie społecznéj. Umarł 9/10 grudnia 1889 r. w Kielcach.

† **Stanisław Smoleński,** urodzony około r. 1850, kształcił się w Krakowie, gdzie skończył wydział medyczny. Pracował naukowo w klinice prof. Korczyńskiego. Prace jego z téj dziedziny są: „Doświadczenia nad działaniem chlorku pilokarpinu“ (Warsz. 1879), „Trzy przypadki następstw ograniczonego przewłocznego zapalenia otrzewny i tkanki podtrzewnéj“ (Warsz. 1880), „Inhalacye rozpylonych płynów, jako sposób wprowadzania leków do miąższu płucnego“ (Krak. 1880), „Hydroterapia a suchoty płucne“ (Krak. 1881). „Sposoby leczenia Celsa“ (1885), „O podstawach hydroterapii“. Był lekarzem zdrojowym naprzód w Gleichenbergu, potém w Jaworze, a w końcu w Szczawnicy. Po stracie żony bolał wielce i wpadł w rozstrój umysłowy. Zmarł 22 grudnia 1889 r. w Krakowie.

† **Stanisław Przyborowski,** urodzony około r. 1844 w Domaszowicach pod Kielcami, do pióra wziął się stosunkowo dość późno, dopiéro około r. 1876. Pisywał artykuły dziennikarskie w różnych czasopismach; próbował i studyów w zakresie literatury polskiéj; jedno z nich o „Maryi“ Malczewskiego pomieściło w swoim cza-

sie „Ateneum“. Nie mogąc znaleźć w dziennikarstwie warszawskiém dostatecznego zajęcia, przeniósł się na prowincyą i pracował przy „Gazecie Radomskiéj“. Umarł w Radomiu w końcu grudnia 1889 r.

† **Ludwika z Zieleńskich Leśniowska,** zmarła w Krakowie w 75 roku życia d. 11 stycznia 1890, zmarła była w bardzo gorliwéj działalności na polu literatury ludowéj, mianowicie od 1859 do 1868. Ogłosiła kilkanaście powiastek historycznych i popularnie przedstawione dzieje Polski dla ludu“, wydawała przez 4 lata „Kolędę dla ludu“, a od 1 kwietnia 1862 do 1 lipca 1868 r. z kilkoma przerwami, „Nowiny ze świata“ w Krakowie. Z powiastek wymienimy: „Cudowna obrona Częstochowy“, „Obrona Wiednia“, „Wojak jakich mało“ (z czasów Stefana Batorego), „Wiśnicz spalony czyli prośba za braćmi Izraelitami“ (1863), „Wytrwałość w pracy i wpływ losu“.



Wydawcy **W. Spasowicz** i **Adolf Pawiński**.—Redaktor **P. Chmielowski**.

OGŁOSZENIA.

ZAPOWIEDŹ „KRAJU."

Redakcya.

Istniejące od r. 1882-go pismo polskie „Kraj“ wychodzić będzie w Petersburgu w roku 1890-ym pod tą samą redakcyą i w dotychczasowym kierunku.

Oprócz Włodzimierza Spasowicza i redaktora „Kraju“ Erazma Piltza, stałymi członkami redakcyi są: Ludomir Grendyszyński (zarazem sekretarz Redakcyi i referent prawny „Kraju“), Tokarzewicz-Hodi (w dziale literackim), Leon Połoński (w dziale polityczno-społecznym) i Wład. Żukowski (referent ekonomiczny „Kraju“).

W Petersburgu korzystamy również z miejscowego współpracownictwa pp. Wilh. Bogusławskiego, Henryka Glińskiego, Jana Łosia, Leona Okręta, Józefa Poznańskiego, Fel. Stronczyńskiego i Fr. Szymańskiego. Po za Petersburgiem „Kraj“ posiada przeszło 200-tu współpracowników i korespondentów.

„Działy Kraju.“

1. *Artykuły wstępne*, pióra Wł. Spasowicza, Leona Połońskiego, Ludomira Grendyszyńskiego, Tokarzewicza-Hodi, Wł. Żukowskiego, Lud. Straszewicza, Ign. Łychowskiego, Er. Piltza, Wład. Wścieklicy i innych.

2. *Artykuły bieżące* współpracowników i korespondentów „Kraju,“ traktujące o bieżących sprawach politycznych i społecznych.

3. *Felieton* zbiorowy z życia bieżącego, politycznego, społecznego i literackiego. Biorą w nim udział wszyscy członkowie redakcyi i wybitniejsi felietoniści warszawscy i zagraniczni.

4. *Dział zagraniczny*, mieszczący w sobie: *a*) *Echa Zachodnie*—listy i informacye od korespondentów „Kraju“ ze Lwowa (Nota), z Krakowa (Średnik), z Poznania (Domarat), ze Szląska (Resurrectus), z Berlina (Konrad), z Wiednia (Tertius), z Paryża (Caro i Zyzma) z Londynu (Latarnik), z Ameryki (Kapral), z Konstantynopola (St. Janczar) i t. d.; *b*) *Ziemie Słowiańskie:* listy korespondentów „Kraju“ z Czech, Słowenii, Chorwacyi, Słowacyi, Serbii, Bułgaryi, oraz „*Echa rusińskie*“ (Taras i Budrys—literackie); *c*) *Kronikę zagraniczną; d*) *Dział polityczny:* Przegląd tygodniowy, informacye i telegramy.

5. *Dział wewnętrzny:* „*Z tygodnia*“ (Słowo wstępne od redakcyi), „*Wiadomości urzędowe,*“ „*Wiadomości petersburskie*“ (Wiadomości Administracyjne, Życie ruskie, Kronika petersburska), „*Kronika Warszawska*“ (listy o sprawach bieżących, listy o literaturze i sztuce; wiadomości bieżące i t. d.), *Rozmaitości* (drobne wiadomości krajowe).

6. *Dział prowincyonalny*. Listy korespondentów „Kraju“: z *Piotrkowa*—Palestranta, z *Lublina*—Juniusa, z *Radomia*—Zrzędy, z *Kalisza*—bina, z *Płocka*—Witimira, z *Łomży*—Tom Fila, i z różnych miejscowości Królestwa; z *Wilna*—St. Wil., Ign. Ludgewskiego, Vestera, Letuwisława i in., z *Białegostoku*—Fr. Glińskiego, z *Grodna*—

Heloty, z *Kowna*—E. G., z *Mińska* — Al. Jelskiego, Servusa i in., z *Witebska*—Fed., z *Mohylowa*—A. S., z *Żytomierza* — B. Markora, z *Kamieńca Podolskiego*—R. P., z *Kijowa*—M. Trzaski i in., z *Odesy*—Wieniawy, Habera, z *Dorpatu*—Świadka, z *Moskwy* — Światowida, z *Tyflisu*—Ks. Dobkiewicza, oraz z różnych miejscowości Kraju Zachodniego, Rosyi Europejskiéj, Kaukazu, Syberyi i w ogóle całego państwa.

7. „*Kurjer Prawny*“: sprawozdania sądowe, informacye prawne; „*Kurjer Kościelny*“: wieści z Rzymu, zmiany w duchowieństwie; drobne wiadomości krajowe; „*Kurjer Szkolny*“: sprawy ogólne życia akademickiego, wyższe i średnie zakłady naukowe; szkoły początkowe.

8. „*Ekonomista*“: przegląd tygodniowy, artykuły ekonomiczne, listy korespondentów „Kraju,“ pośrednictwo w pracy, ruch własności ziemskiéj, drobne wiadomości ekonomiczne, sprawozdania giełdowe, rynki zbożowe i towarowe.

9. *Doniesienia*, odpowiedzi od redakcyi, zaślubiny, nekrologia i ogłoszenia.

„Przegląd Literacki“ (Dodatek do „Kraju“).

Od lat dwóch wychodzi przy „Kraju,“ bez oddzielnéj dopłaty, osobny dodatek (16-cie stronic) z charakterem samodzielnego pisma—„*Przegląd Literacki*“. „Przegląd Literacki“ stawia sobie to samo zadanie w sferze literackiéj, co „Kraj“ w dziedzinie polityczno-społecznéj: być systematycznym, wiernym i żywym sprawozdawcą ruchu literackiego polskiego.

Warunki przedpłaty:

„*Kraj*“ z „*Przeglądem Literackim*“, wychodzi raz na tydzień w piątek. Prenumeratorzy prowincyonalni w Królestwie, Kraju Zachodnim i Nadbaltyckim otrzymują go w niedzielę rano. „Kraj“ wraz z „Przeglądem Literackim“ składa się z 40-tu stronic.

Przedpłata „*Kraju*“ wraz z „*Przeglądem Literackim*“ wynosi w Petersburgu: rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie 2 rs. 50 kop. Na prowincyi w Cesarstwie i Królestwie rocznie rs. 12, półr. rs. 6, kwart. rs. 3. Przedpłatę najlepiéj wysyłać bezpośrednio pod adresem: Petersburg „Kraj“.

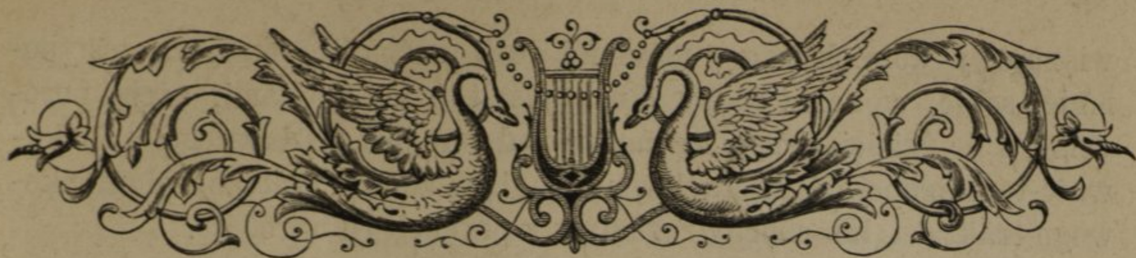
Warszawscy prenumeratorzy mogą składać przedpłatę w Księgarniach: Gebethnera i Wolffa, M. Orgelbranda, E. Wendego, G. Sennewalda, K. Prószyńskiego, G. Centnerszwera, T. Paprockiego oraz w Biurze ogłoszeń Rajchmana i Frendlera, Senatorska, 26.

O G Ł O S Z E N I A.

Ogłoszenia do „Kraju“, jako do pisma najbardziéj ze wszystkich pism politycznych rozpowszechnionego, przedstawiają interes dla przemysłowców, kupców i t. d.

CENNIK OGŁOSZEŃ: 15 kop. od wiersza drobnym drukiem, 30 kop. od wiersza reklamy w rubryce „Doniesień“. Ogłoszenia do „Kraju“ przyjmuje Biuro ogłoszeń Rajchmana i Frendlera w Warszawie, Senatorska, 26. Prenumeratę i ogłoszenia składać i przesyłać należy pod adresem: Petersburg „Kraj“, Kazańska, 26.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 12 Января 1890 года.



CHARAKTERYSTYKA NARODÓW.

Jest w nas skłonność do obserwowania wybitniejszych znamion indywidualnych lub zbiorowych i tworzenia stąd uogólnień, mogących charakteryzować jednostki, stany, klasy i całe społeczeństwa. Skłonność tę widzimy u starożytnych i spółczesnych pisarzów; każdy z nich ma swoich portrecistów. Charakterystyki takie i wartość ich zależą od ilości obserwowanych znamion wybitniejszych czy to indywidualnych, czy zbiorowych, i od bystrości oraz doświadczenia samego obserwatora. Jeżeli te warunki zeszły się w charakterystyce, nie stanowi ona jeszcze prawdy bezwzględnéj; ale jako przybliżone ku prawdzie uogólnienie, może nam poniekąd odkryć charakter indywidualny lub zbiorowy. Porównywając następnie te portrety różnych czasów, możemy wnioskować, o ile taż sama osoba w ciągu swojego życia uległa zmianie dodatniéj lub ujemnéj, o ile pewne społeczeństwo zmieniło się na lepsze lub gorsze w ciągu wieków.

Zapewne nie w celu utworzenia psychologii narodów, o któréj dawniejsi pisarze nie myśleli, ile raczéj folgując satyrycznéj i moralizatorskiéj żyłce jak niemniéj antypatyi plemiennéj i międzynarodowéj, literatura starożytna i nowożytna mieszczą sporo takich charakterystyk plemion, prowincyi, ziem, narodów, nawet miast pojedyńczych. Gdybyśmy mieli pewność, że te uogólnienia były czynione na podstawie mnóstwa dobrze obserwowanych znamion wspólnych większym lub mniejszym zbiorowiskom ludzkim, byłby to materyał bardzo przydatny dla psychologa, etnografa i socyologa. Pewności téj wszakże nie mamy; satyryczna i luźna forma tych postrzeżeń, przechowanych u dawnych obcych i naszych pisarzów, odejmują im wartość naukową. Nie są to obiektywne, spokojne postrzeżenia lub poszukiwanie przyczyn pewnych znamiennych rysów; lecz namiętne inwektywy przeciw nienawistnemu dla piszącego społeczeństwu. Znając tedy kruchy materyał, z którego urobiono charakterystyki narodów, nie wielką przy-

wiązujemy do nich wagę; niemniéj jest rzeczą interesującą przypomniéć sobie, co nasi i cudzy o nas pisali przed wiekami, ażeby porównać, o ile dzisiejsze społeczeństwo podobne jest do dawnego. Ciekawość-to najzupełniéj literacka, nie mająca żadnéj pretensyi do naukowego traktatu, lub choćby rozdziału z psychologii narodów.

Materyału do charakterystyki narodu znajdujemy sporo u naszych pisarzów począwszy od XVI w. Każdemu zapewne przychodzą na pamięć dzieła Reja, Fr. Modrzewskiego, Skargi, Starowolskiego, króla St. Leszczyńskiego, Włodka i nareszcie Klina (Moi kochani rodacy). Gdyby kto zrobił wypisy z dzieł tych autorów, okazałoby się, że jesteśmy najgorszym narodem na kuli ziemskiéj. Niemasz występku lub wady, któréjby w nas ci moraliści nie dojrzeli. Wszystkie grzechy główne, cudze i wołające o pomstę do nieba, wyliczają owi satyrycy i moralizatorowie gwoli duchowemu obrokowi swoich spółziomków. Intencyą ich rozumiemy, nawet grubo i jowialnie nakreślone obrazki gotowiśmy przebaczyć dla téj właśnie dobréj intencyi; ale to mamy za pewne, że z takiego materyału żadnych naukowych wniosków wyciągnąć niepodobna. Na wszystkie tony powtarzają ci poprawiacze wad narodowych, żeśmy byli lub jesteśmy opoje, żarłocy, próżniacy, niechluje, łakomi, marnotrawcy, służalcy, pyszni, fanatycy i t. d. Tę litanią naszych grzechów możnaby recytować do końca świata i niezawodnie do starych przybyłyby nowe. Nie pytamy się w téj chwili o to, czy te morały kogo poprawiły, lecz o ile one wiernie odbijają charakter narodu? Pod tym względem nie mają one prawie żadnéj wartości. Jest to bajką powtarzaną dotychczas, jakoby z nich można sobie było utworzyć fizyognomią wieku, lub oddzielnych stanów, klas narodowych. Zdania rzucane o ludziach lub narodach po pierwszém ich spotkaniu, na uczcie, zabawie, w podróży, albo w przystępie żalu, oburzenia na wyrządzane nam krzywdy, muszą być, z natury swojéj, jako pobieżne, bardzo zawodne. Ażeby sobie utworzyć sąd sprawiedliwy o człowieku trzeba z nim długo przestawać, widziéć go w rozmaitych okolicznościach i warunkach, umiéć obserwować, porównywać rozmaite indywidua i dopiéro wniosek o jego charakterze wyciągnąć. Wielką prawdę zawiéra Ewangelia mówiąc: nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni. Wstrzymać się zupełnie od sądu o ludziach i rzeczach jest niepodobieństwem, póki czujemy i myślimy. I nie o to w owych słowach chodzi. Oczywiście chodzi tam o sądy doraźne. Wystudyować należycie, nie mówię znakomitego człowieka, ale chociażby drwala, na to trzeba niemało i nie przygodnych postrzeżeń, jakie nam życie jego nasunie. A cóż dopiéro pewną klasę i témbardziéj pewien naród! Dla-

tego-to, gdy czytamy charakterystyki ludzi a zwłaszcza narodów, rażą nas swoją powierzchownością i płytkością zawarte w nich sądy.

Ignacy Włodek, który zebrał ze starożytnych i nowożytnych autorów niezliczone mnóstwo takich charakterystyk, przytacza téż charakterystykę mieszkańców rozmaitych miast naszych. „Poznańczanie poważni, ale skąpi; Naklanie cisi, ale niechluje; Płocczanie prędzéj uderzą, niż połają; Sieradzanie szczodrzy, ale z cudzego; Warszawianie z sercem otwartém, rękami skurczonemi i t. d. („O naukach wyzwolonych“). Co komu, pytam się, z takich charakterystyk przyjdzie? Nie jest-że to czcza gadanina? Takąż samą gadaniną są charakterystyki narodów. Oto tenże Włodek przytacza o nas zdanie francuskiego autora, nie podając wyraźnie nazwiska ani czasu (prawdopodobnie z XVII-go w.). Według owego Francuza są tedy Polacy „silni, średniego wzrostu, odważni, żarłocy i pijacy; Litwacy zaś są obżarci i podobni do rosomaka, zwierzęcia niepożytecznego. Chłopi tam są nędzniejsi, niż w Polsce. Polacy bardzo się kochają w pieniądzach i nie masz żadnego rodzaju upokorzenia, któregoby nie czynili tym, u których pieniędzy chcą dostać. Ale kto się na tym pozna, nie pożycza więcéj, tylko to, co odważy na wieczną stratę. Albowiem oni mają zwyczaj nie oddawać nigdy tego, co pożyczają. I gdy się od nich kto upomina o to, co im pożyczył, żartują sobie z niego mówiąc: doświadcz i ty téj biedy i przykrości w odebraniu, któréj ja zażyłem w dostaniu. I dziwna rzecz, że może trwać kupiectwo i handel między temi ludźmi, którzy co winni nie oddają. I lubo mają Polacy wielkie przywiązanie do pieniędzy, i nie masz, coby dla nabycia ich nie czynili, z tym wszystkim tych pieniędzy nie zażywają ani na kupowanie dóbr, ani na wystawienie dobrego mieszkania, ale na sukna, jedwabie, futra, piękne konie, piękną broń, a nadewszystko na dobre wino węgierskie.“ *Mutatis mutandis*, mógłby się na tym portrecie podpisać Klin, charakteryzujący moich kochanych rodaków w r. 1888. I cóż z tego? Przecież w starożytności za pijanice i żarłocznych uchodzili Sybarytowie, Partowie i Scytowie; za chytre—Grecy, Kreteńczykowie „złe zwierzęta, brzuchy leniwe“ i Żydzi. Takie uogólnione, z kilku lub kilkunastu egzemplarzy zdjęte charakterystyki świadczą o nadzwyczajnéj lekkomyślności piszącego. Jednemu nie oddano pożyczonych pieniędzy, drugi widział wesołych biesiadników, innego oszukano i wnet-że ogarnia swojém potępieniem cały naród. Czyliż te doraźne sądy o nas obcych i swojskich autorów mogą służyć za materyał do wysnuwania tak daleko sięgających wniosków, czy mogą dać poznać duszę społeczeństwa, barwę jego umysłu, dostarczyć rozdziału do psychologii naro-

dów? Zgorzknieliśmy wszyscy, pojeni piołunem przez obcych i swoich. Zapominamy, że nie było i nie masz idealnie doskonałych ludzi i narodów, że wady nasze są wady wspólne wszystkim narodom w większym lub mniejszym stopniu. Ażeby wszakże sąd był sprawiedliwy, potrzebaby innéj metody badania charakteru narodów, potrzebaby ściślejszych danych nietylko ujemnych, lecz i dodatnich, potrzebaby wielu porównań rozmaitych narodów i w rozmaitych fazach ich rozwoju, a nadewszystko zebrania objawów wszechstronnych, jakiemi o sobie znać daje psyche narodowa. Satyrę łatwo pisać; cel jéj może być chwalebny, ale nie tą drogą dochodzi się do charakterystyki narodów.

Powié kto może: a cóż to szkodzi społeczeństwu, że jakiś gryzmoła ochlapie je błotem? Zapewne; wartość narodu nie zależy od opinii skwaśniałych literatów, lecz od tego, co on robi, czego się nauczył, co i ile waży wśród sąsiadów. Z tém wszystkiém, nie można zaprzeczyć, iż takie pesymistyczne narzekania do reszty paraliżują już na poły sparaliżowane serca i ręce. Co ważniejsza, z gruntu są fałszywe, bo jeden lub dwa rysy i to ujemne pochwyciwszy, rozdymają je w maszkary. Tutaj i dobry cel, jaki im przypisujemy, nie osłoni fałszu i przesady; strzały padają za metę.

Porównywując charakterystyki naszego społeczeństwa, pisane w XVI, XVII i XVIII wiekach z temi, jakie dzisiejsi autorowie piszą, widzimy, że te same komunały powtarzają. Naród, mówią, jest żarłoczny, pijacki, karciarski, marnotrawny, anarchiczny, pożądliwy na cudze, płaszczący się w nieszczęściu, wyniosły w powodzeniu, leniwy, zmysłowy i t. d. i t. d. Miałyżby wieki i doniosłe przekształcenia polityczne, ekonomiczne i umysłowe tylko na nas nie zostawić wpływu? Skądże znów mielibyśmy stanowić wyjątek, i to jedynie w złém, pośród wielu społeczeństw? W to nikt nie uwierzy. Jesteśmy tém, czém być musimy wobec takich a takich warunków zewnętrznych, i z takim a nie innym organizmem umysłowym. Gdyby inne społeczeństwa postawiono w takich samych warunkach i dano im taką samą duszę, można byłoby się przekonać, czy byłyby innemi. Przybyliśmy na pole dziejów o kilka z górą wieków późniéj od społeczeństw zachodniéj Europy i jesteśmy o tyleż lat zacofani, a tego dystansu nie można przebiedz lokomotywą. Za pomocą satyry przyśpieszyć ruchu narodów niepodobna. Dobra wola pozostaje bezsilną wobec konieczności dziejowéj; ani wymysły, ani pochlebstwa sypane społeczeństwu nie stanowią motoru historycznego postępu. Po co więc narzekania? Jest, co być musiało. Nie jest to fatalizm muzułmański, jedno konieczne z premis następstwa. Otóż, między premisami

znajduje się i wola człowieka; wpływać na tę wolę możemy i powinniśmy, ażeby poprawiwszy ją, poprawić i następstwa. Dzieje ludzkie tylko do pewnego stopnia są sprawą ludzką; reszta zawisła od czynników, których wola ludzka przerobić nie zdolna i poddać im się musi.

Tymczasem satyrycy nasi chłostając społeczeństwo czy to niegdyś, czy teraz, zdawali się być tego mniemania, że byle gromada ludzka chciała, byłaby inną, lepszą, rozumniejszą, rządniejszą. Jest w tém żądaniu coś podobnego, jak gdy do indywiduum mówimy: byleś chciał, możesz przestać pić, próżnować. Ale właśnie w tém nieszczęście, że on téj woli, tego chcenia nie może w sobie znaleźć, a tymczasem inny je znajduje i bez morału. W tych morałach, zachętach i satyrycznych przymówkach społeczeństwu właściwie leży nasze życzenie, żeby tak a tak było. Nalać ludziom krwi, zamiast limfy, do żył i arteryi nie umiemy; i z woli bawełnianéj stalowéj uczynić nie zdołamy, pomimo wszystkich jeremiad. Jeden się urodził na lwa, drugi na barana; taka już ich dola.

Więc nie mamy w tych pozostałych z dawnych czasów portretach naszéj psychy narodowéj nawet materyału na jeden rozdział psychologii i etnologii narodu; a z tego, co dzisiejsi napisali, widać, że nie zdawali sobie sprawy, czego taka psychologia wymaga. Nietylko nie znaleźli w naszym zbiorowym charakterze nic dodatniego, lecz i w inwektywach kopiowali jedni drugich, aż do dni dzisiejszych. Portrety narodów przez nich malowane, z bardzo maleńkiemi różnicami, podobne są do siebie po wszystkie czasy.

Czy taka psychologia etnologiczna jest możliwa i potrzebna obok psychologii indywidualnéj? Psychologia indywidualna zajmuje się umysłem jednostkowym; przedmiot jéj dość ściśle określony; ale psychologia etnologiczna, będąca młodą jeszcze gałęzią badań, nie ma tak wyodrębnionego przedmiotu. Według jéj twórców (Lazarus i Steinthal) ma się ona zajmować mitologią, religią, obrzędami, poezyą ludową, pismem jako podstawą świadomości historycznéj narodu, sztuką, życiem praktyczném, obyczajami, prawem pisaném, życiem rodzinném i t. d. Słowem, psychologia etnologiczna powinna badać ducha ludu (*Volksgeist*). Otóż wiadomo, że i etnologia i socyologia zajmują się temi samemi przedmiotami. Zdawałoby się zatém, że ta nowa umiejętność jest i niemożebna, jako pozbawiona odrębnego przedmiotu badań i niepotrzebna, gdyż ją wyręczają inne umiejętności. Nie tak, mówią jéj obrońcy. Konstytutywne jéj czynniki, powyżéj wymienione, stanowią przedmiot badań dość określony i psychologia ras nie jest złudzeniem. Chodzi jéj o poznanie ducha pewnego narodu, o ile on daje znać o sobie temi objawami; o wykrycie praw, wedle których

rozwija się jego życie idealne w praktyce, umiejętności i sztuce; o wskazanie przyczyn powodujących jego wzrost lub upadek. Nie powinna zatém poprzestawać na nikłych i dowolnie utworzonych obrazach psychicznych własności narodu, lecz odnaleźć źródła, skąd one płyną. Należy jéj zatém badać nie przypadkowe, zmienne, jednostkowe objawy tego ducha zbiorowego, lecz ich całość i prawa rządzące ich rozwojem.

Trochę niejasny jest tylko ten duch narodu, ten *Volksgeist*, który wygląda na istotę metafizyczną, *ens rationis*. Nie jest on bowiem dodaniem i sumą duchów, czy umysłów, pojedyńczych; nie jest też żadném indywiduum, a więc czémś wielce nieujętém. Otóż zobaczymy, jak z téj trudności można wybrnąć.

Naród, uważany w gromadzie, np. podczas obrad lub zabaw publicznych, okazuje pewne objawy, pewien sposób zachowania się, tak zwane *maniére d'être*, jakich jednostki sam na sam uważane, nie okazują. Ta wspólność interesu, który je zgromadził, wytwarza w nich coś nieokreślonego, jakiś nastrój umysłów odrębny, prawda, że nieujęty, niemniéj widoczny. W gromadzie ludzie nieraz dopuszczają się takich czynów złych lub dobrych, na jakieby się każdy z osobna nie zdobył. Otóż to coś, jest owym duchem zbiorowym, czy ludowym. Przykład lepiéj rzecz objaśni. Hiszpanie, mówi jeden z twórców psychologii etnologicznéj, uważani indywidualnie, odznaczają się dobrotliwością; nie brak im porywów szlachetnych, a nawet wzniosłych; uważani jako naród, okazali się pozbawionymi uczucia sprawiedliwości i okrutnie srogimi. Jako naród spustoszyli i wyludnili Amerykę i Niderlandy; sami wewnątrz u siebie szarpali się za mniemania polityczne i religijne. Narodowość ich reprezentują Pizzaro i książę Alba. Naród więc jest czém inném, niż jedynie sumą indywiduów.

Rzeczywiście, w większych poruszeniach masy ludowe okazują nam co innego, niż pojedyńczy ich członkowie. Nikomu np., lub prawie nikomu, nie przychodziło do głowy, żeby pospólstwo warszawskie mogło się było rzucić na Żydów, rozbijać sklepy, rozpruwać pierzyny. A jednak widzieliśmy i to barbarzyństwo. Ten sam ulicznik, stróż, czeladnik, którzy w gromadzie okazywali dzikie instynkty, wzięci sam na sam byliby jak barany lub cielęta potulne. Wiele daleko gorszych faktów mieszczą dzieje dawne i spółczesne, a wszystkie świadczą, że ten duch ludowy, czyli zbiorowy istnieje, i że zatém psychologia etnologiczna, skoro tak chcą uczeni, mogłaby stanowić coś podobnego do odrębnéj umiejętności.

Jeżeli określenie i warunki tak pojmowanéj psychologii etnologicznéj zastosujemy do portretów naszych, które namalowali literaci

swojscy, okaże się, że trzebaby im było długo jeszcze do szkoły chodzić, zanim się brać do roboty. Trudno oczywiście żądać, ażeby Rej lub Modrzewski rachowali się z wymaganiami psychologii etnologicznéj, która wówczas jako odrębna gałąź badań nie istniała; ale od dzisiejszych przyganiaczów możnaby wymagać więcéj oględności, gdy się zabawiają w charakteryzowanie stanów i klas społecznych, gdy jedne dekretują na zagładę, a drugim pochlebiają upatrując w nich wszystkie cnoty. Dla jednych Żydzi, dla drugich Niemcy są zmorą; tym szlachta, innym duchowieństwo jest solą w oku, a wszystkie te elementa społeczne są z gruntu złe i nic niewarte. Jest-to mielenie językiem własnéj śliny. Ryczałtowe pochwały zarówno jak i przygany kierowane ku stanom, klasom, a tymbardziéj ku narodom, świadczą jedynie o wielkiéj niedojrzałości i przyganiaczów i chwalców.

K.





STULETNIA ROCZNICA 1789 ROKU.

(Le centenaire de 1879. — Evolution politique, philosophique, artistique et scientifique du l'Europe depuis cent ans, par Georges Guéroult. Paryż, 1889.

Rocznica wielkiéj rewolucyi, uświetniona bezprzykładném powodzeniem wystawy, przeznaczonéj do jéj uczczenia — upamiętniona, w historyi spółczesnéj nawet, walnym tryumfem porządku republikańskiego nad zagrażającą mu koalicyą żywiołów monarchiczno-anarchicznych, wywołała całą literaturę poświęconą omawianiu nastręczonych przez się wspomnień. W tym szeregu artykułów, broszur a nawet dzieł specyalnych, — że wymienimy noszące prawie ten sam tytuł z książką pana Guéroult, popularniejsze, ale też powierzchowniejsze dziełko pana Goumy („*La France du Centenaire*“), — pierwsze miejsce należy się bezprzecznie utworowi, któremu przeznaczyliśmy tutaj obszerniejsze sprawozdanie. Autor kilku monografii, sięgających w bardzo rozmaite dziedziny naukowego świata [1]), współpracownik „Przeglądu Filozoficznego“ („*Revue philosophique*“) i jeden z bardzo rzadkich dziś umysłów encyklopedycznych w téj Francyi, która przed stu laty wydała szkołę encyklopedystów, p. Guéroult powołanym był niejako do podjęcia zadania, z którego próbował się wywiązać. Może nie porachował się dostatecznie z jego trudnościami, polegającemi głównie na równéj potrzebie uniknięcia dwóch szkopułów, jakiemi są z jednéj strony zbyt sucha drobiazgowość, z drugiéj — zbyteczna wyłączność, poświęcająca całość obrazu dla szczegółów. Osobliwa syntetyczność pojęć i zrodzona z niéj zdolność do szerokich uogólnień zdają się w podobném przedsięwzięciu nieodzownym postulatem. Może nie odpowiedział mu w zupełności nasz autor. Drobiazgowości uniknął; ale tu

[1]) „*Les théories de l'Internationale.*“ Paryż, 1872.—„*Théorie phisiologique de la musique.*“ (Przekład z niemieckiego dzieła Helmholtz'a). Paryż, 1873.—„*Esquisse d'une théorie générale des lampes électriques à arc.*“ Paryż, 1886, i t. d.

i owdzie przypomniał nam sam tych artystów z potępionéj przez się (str. 142, 148) szkoły pierwszego cesarstwa, którzy, malując bitwę pod Jena, ograniczali się na pokazaniu nam „trzech generałów paradujących na cyrkowych koniach.“ Może nie potrafił także uczynić należytego wyboru między rolą prostego sprawozdawcy, a rolą ponętniejszą samodzielnego myśliciela: niektóre rozdziały jego książki zapełniły się krytycznemi rozprawami, które mogłyby miéć wielką wartość, ale na inném miejscu. Czy nie zgrzeszył nakoniec zbytkiem ambicyi i nie przecenił sił swoich, układając zamierzony przez się obraz cało-wiekowéj społecznéj i umysłowéj ewolucyi w szerokie ramy wszech-europejskiego życia? Czy, tak czyniąc, nie zbliżył się znowu niejakiém podobieństwem do astronoma, który, siedząc w pokoju o jedném oknie, zamierzyłby zdjąć wizerunek całego widnokręgu niebieskiego? Czytelnicy osądzą. Nam osobiście zdało się, iż poświęciwszy np. dziesięć kartek powieściopisarstwu francuskiemu od Wolterowskiego „*Candide'a*“ do Maupassantowskiego „*Bel-Ami*“ (str. 208—218), zbyt szybko załatwił się autor w trzech wierszach z odpowiednim działem literatury niemieckiéj, oświadczając, iż „od Werthera nic godnego uwagi nie doszło w tym dziale do jego wiadomości“ (str. 218). Angielskiemu powieściopisarstwu dostało się cztery wiersze, włoskiemu półtora, ruskiemu natomiast ośm, naszemu zaś nic zgoła. Ale nam nie dostało się nic w żadnym dziale. Nawet przez lufcik nie wyjrzał p. Guéroult w naszą stronę. Nawet w bilansie wypadków politycznych, które od 1789 do 1889 r. przekształciły kartę Europy, pominął autor, jako *quantité négligeable*, drobne międzynarodowe zajście, za którego sprawą jednak, w znacznéj części, monarchia pruska zajęła obecne swoje europejskie stanowisko. Prawda, że jednocześnie znalazł się historyk, któremu to samo zajście zdało się „prostém uregulowaniem granic“ (ob. „Dzieje Polski“ p. Bogusławskiego, str. 193, 225), co dowodzi chyba, że brak dostatecznego oświetlenia pozostaje nawet dzisiaj, w sto lat po wielkiéj rewolucyi, któréj dodatnie rezultaty wziął przed się uprzytomnić nam p. Guéroult, nader rozpowszechnioną ułomnością umysłowych konstrukcyi.

Nie powinno to nam być jednak przeszkodą do korzystania z książki, która bądź co bądź zawiera bardzo znaczną liczbę pouczających wskazówek, a choćby tylko jako wyraz specyficznego francuskiego poglądu na całość społecznych stosunków europejskich, zasługuje na naszę uwagę. Przebiegniemy razem z autorem rozmaite, bardzo nierównym zresztą, prędszym lub powolniejszym przezeń krokiem zmierzone pola działalności społecznéj i umysłowéj, w polityce, w filozofii,

religii i etyce, sztuce i literaturze, naukach matematycznych i eksperymentalnych i wreszcie w naukach społecznych.

I.

Historykiem nie jest stanowczo p. Guéroult. Mając do przedstawienia tezę, podług któréj następstwem rewolucyjnego kataklizmu, obalającego na schyłku XVIII-go stulecia podwaliny starego porządku europejskiego i dziełem nowéj przez tenże kataklizm otwartéj ery byłoby, na gruncie politycznym, zbliżenie wszystkich społeczeństw europejskich do jednego i tego samego typu organizacyi wewnętrznéj, chcąc przedstawić tezę tę, która może być trafną, zaczyna on od obrazu przedrewolucyjnych stosunków politycznych, w którym przedstawia je jako ujednostajnione już — w kształcie monarchii absolutnéj. Jest to zarazem poróżnienie się z logiką filozoficznego myślenia i z prawdą rzeczywistości historycznéj. Autor nie wyjrzał znowu przez swoje okienko na rozmaite okolice, w których, jako to w Szwajcaryi, w Niderlandach, w Holandyi, w Szwecyi, w respublikach włoskich, w niemieckich miastach wolnych, o naszéj rzeczypospolitéj już nie wspominając, to jest w dobréj połowie zachodnio-europejskiego kontynentu, monarchia absolutna nie była bynajmniéj formą panującą. Poruszając z jednéj strony spruchniały zrąb bardzo różnolitéj, owszem, mozaikowéj budowy europejskiego zachodu, a popychając z drugiéj strony luźne jego składowe pierwiastki do zbliżenia się i sprzęgnięcia w pewną organiczną całość dla stawienia czoła niszczącym zapędom rewolucyjnego żywiołu, kataklizm ów rewolucyjny dał początek istotnie unifikacyjnym dążeniom, na których owoc patrzymy obecnie. Przyswojony z Anglii, według słusznéj uwagi pana Guéroult, a przez francuską filozofią spopularyzowany typ monarchii parlamentarnéj, narzucił się większości dzisiejszych europejskich organizmów państwowych; skądinąd zaś rozpowszechniające się konwencye celne, pocztowe i monetarne, zdają się być zawiązkiem ściślejszego jeszcze ogólno-europejskiego uspołecznienia.

Równomiernie jednak z tym ruchem rozwinął się ruch drugi w innym i wręcz, z pozoru przynajmniéj, przeciwnym kierunku. Ta sama epoka zobaczyła bezprzykładnie silny i bezprzykładnie szybki rozwój dążeń narodowościowych, energiczniejsze niż kiedykolwiek zamanifestowanie się jednych i pojawienie się, albo przynajmniéj rozbudzenie się do życia innych odrębności etnicznych. Obok jednoczących się i coraz twardziéj pod sztandarem samoistności narodowéj występujących Niemiec i Włoch, powstały Grecya, Rumunia, Serbia, Bułga-

rya, Czechy, Węgry, zakładając byt swój przyszły na tym samym gruncie separatyzmu plemiennego. Nie uszło to zjawisko uwadze naszego autora, który tłómaczy je — wzrostem nauk historycznych, udzielających rozmaitym narodowościom samopoczucia własnéj indywidualności. Jest to podobno tłómaczeniem słońca przez światło dzienne. Jeżeli się nie mylimy, Szafarzyk nie dlatego był wielkim patryotą czeskim, że był wielkim historykiem, ale chyba raczéj na odwrót. Więcéj téż od dziejoznawstwa, niezbyt rozwiniętego pośród nich, poruszyły i do upominania się o niepodległość zachęciły południowo-zachodnich Słowian proklamacye rewolucyjne Napoleona I-go. W rzeczywistości zaś, sprzeczność zachodząca między dwoma równoległemi kierunkami, w ten sposób wyłonionemi z jednego i tego samego źródła, okazuje się tylko pozorną przy bliższéj analizie. Wyszły one z tego samego, ludzkość całą i całość jéj życiowych stosunków ogarniającego prądu emancypacyjnego i poszły do tego samego celu, t. j. do wyzwolenia wszystkich gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób przez stary porządek ugniecionych, uciemiężonych i zduszonych pierwiastków indywidualizmu osobistego czy narodowego. Słusznie przeto zaznacza p. Guéroult, iż popęd narodowościowy, tak silnie akcentujący się w współczesném życiu europejskiém, nie stanowi żadnéj przeszkody do osiągnięcia ideału, który jednocześnie zabłysnął na widnokręgu hołdujących temu popędowi społeczeństw, do którego zbliżyły się one i zbliżają się ciągle nieznacznemi etapami, a którego ostatnim wyrazem, w mniéj lub więcéj odległéj przyszłości, okaże się ich uniwersalne zjednoczenie. Narodowość bowiem jak nie jest jedyną, tak nie jest także najwyższą formą naturalnych stowarzyszeń, do których przyroda sama zniewala rodzaj ludzki. Obok związków krwi istnieją łączniki intelektualne, moralne i wreszcie przemysłowe lub handlowe; te ostatnie zaś przeznaczonemi się być zdają do zajęcia z czasem pierwszéj w społecznych stosunkach i przewodniéj roli.

„Ludy europejskie,—pisze p. Guéroult,—idą do jedności, ale do jedności zgoła odmiennéj od téj, którą urzeczywistnił w starożytności świat rzymski, świat katolicki zaś w średnich wiekach. W starożytności ludy zamieszkujące brzeg morza Śródziemnego i Atlantyku połączone zostały pod jarzmem narzuconém im przez jedno miasto. W średnich wiekach jedność zapanowała także na téj saméj przestrzeni europejskiego kontynentu, ale tylko w umysłach połączonych rodzajem federacyi intelektualnéj i moralnéj. Pod względem prawnym, przemysłowym i naukowym masa europejska pozostawała niejako w stanie chaotycznym, narażona na hazardy siły i brutalności. Jedność, do któréj Europa dąży dzisiaj szybszemi niżby sądzić można

krokami, jest to stowarzyszenie grup odrębnych, niezależnych, mających byt, żywotność i oryginalność samoistną, tyle i więcéj nawet niż prowincye, które dziś stanowią naród, ale zniewolonych do połączenia się gwoli pewnym narzucającym się ich przedsiębierczości celom, dla uczynienia zadość niezliczonym interesom wspólnym. Jedność ta ma swoję nazwę w terminologii politycznéj: nazywa się, albo nazywać się będzie federacyą europejską.

Być może, iż autor przecenia w pewnéj mierze szybkość określonego w ten sposób ruchu, którego rzeczywistości zaprzeczać nie chcemy, i żywi co do bliskości osiągnąć się mających za jego sprawą rezultatów iluzye, których podzielać nie jesteśmy w stanie. Jakoż, spotykając się w swych optymistycznych przewidywaniach z zarzutem, którego dostarczają kolosalne uzbrojenia spółczesne, nie zdające się być bynajmniéj zapowiedzią pokojowéj ery, pieszczonéj przez jego wyobraźnią, załatwia się on z nim kategoryczném orzeczeniem, iż stan rzeczy wytworzony przez to spotęgowanie militarnych wysileń, nie da się przeciągnąć stanowczo po za krótki termin — „dziesięciu lat na przykład.“ Kwestya to optyki właściwéj bardzo potężnym nawet umysłom w téj złudzeniami zapełnionéj sferze dalekonośnych horoskopów. Z podobnemi krótkoterminowemi wnioskami odzywał się już przed stu i więcéj laty Montesquieu.

II.

Po ruchu politycznym analizuje p. Guéroult ruch filozoficzny, do téj saméj ewolucyi umysłowéj należący, i poświęciwszy kilkadziesiąt kartek rozbiorowi głównych, uwydatniających się w nim prądów, od Kanta i jego szkoły do Darwina, Stuarta Milla i Herberta Spencera, o Hartmanie i Schopenhauerze nie zapominając, dochodzi do następujących wniosków, które streszczają, w jego oczach, pracę bieżącego stulecia na tém polu:

1. Świat zewnętrzny dostępnym się staje naszéj świadomości jedynie za pośrednictwem wrażeń naszych, ulegających przeróbce umysłowéj, która podnosi je do znaczenia pojęcia (Kant);

2. Rzeczywistość tego świata zewnętrznego (a przynajmniéj téj jego części, z którą wchodzimy w styczność), nie podlega żadnéj wątpliwości, ponieważ przy wysileniu z naszéj strony, które wywołuje w nas wrażenie oporu, mamy jednocześnie poczucie woli naszéj i poczucie siły zewnętrznéj, która staje z nią w przeciwieństwie (Maine de Biran, Sully Prudhomme). Co dowodzi jeszcze, że nietylko świat zewnętrzny istnieje, ale że jest jednéj z nami natury;

3. Wola nasza, w ten sposób nam się objawiająca, zdaje się być esencyonalną częścią naszéj istoty (Maine de Biran, Schopenhauer). Niezależność jéj wszelako nie godzi się z pojęciem przyczynowości, która to przyczynowość stanowi specyficzną energią nanaszego rozumu (Helmholtz). W jaki więc sposób powstały pojęcia i wyrażenia moralności, obowiązku, zasługi i występku, złego i dobrego, które wszystkie wiążą się z przypuszczeniem takowéj niezależności? Odpowiedzi na to pytanie dostarcza nam tylko przyjęty przez ogół nowoczesnych teoretyków prowizoryczny postulat, podług którego rzeczy odbywają się tak jak gdyby wola nasza miała istotnie swobodę zupełną poruszania się i kierowania sama sobą w pewnych granicach;

4. Niemasz żadnéj przyczyny, któraby odstręczała nas od wniosku, iż między siłami, z których jawnym oporem spotykamy się przy każdém wysileniu z naszéj strony, istnieją inne pierwiastki woli podobne zgoła do woli naszéj i obdarzone tą samą swobodą działania, czy tym samym pozorem swobody;

5. Pierwiastki te, siły te, zostają w ciągłéj między sobą walce, która podlega trzem i tylko trzem następującym możliwym fazom: tryumfu tych zbiorowych sił świata zewnętrznego, to jest wypadkowéj, z nich wypływającéj siły, nad nami, naszego tryumfu nad tą wypadkową siłą, i wreszcie równowagi między temi antagonistycznemi siłami. Pojęcia sprawiedliwości, harmonii, odpowiadają temu stanowi równowagi;

6. Kombinacye sił, w których przeważa równowaga, trwalsze są od innych, jako mniéj narażone, przynajmniéj z naszéj strony, na przygody omdlewającéj, albo znowu buntującéj się woli naszéj;

7. Kombinacye przeciwne oddalające się od stanu równowagi, sprawiedliwości, harmonii zdradzają się cierpieniem, wywołaném w nas i w otaczających nas istotach;

8. Ostateczna przewaga tamtych, trwalszych kombinacyi nad temi ostatniemi, z natury swojéj więcéj znikomemi, jest konieczną; skąd wynika, iż świat w całości swojéj dąży do stanu równowagi, harmonii sprawiedliwości.

Wnioski powyższe zdają się panu Guéroult co najmniéj tak pewnemi, jak zasady, na których opierają się tak zwane nauki ścisłe. Co najmniéj dla tego, że podstawą ich jest świadectwo własnego naszego poczucia, podczas gdy w astronomii np., najwięcéj matematycznéj z wszystkich nauk fizycznych, kiedy mówimy i dowodzimy czegoś o Syryuszu czy o innéj odległéj gwiaździe, gwiazda ta, być może, zgasła już w chwili, w któréj zdaje się nam, że ją widzimy; w fizyce

zaś siły nieznane jeszcze, w chemii nieodkryte dotąd ciała, wywierać mogą skutki różne od tych, na które powołujemy się obecnie. Nie cofa się też autor przed wyciągnięciem z tychże wniosków całego szeregu konkluzyi praktycznych, które zakrawają na prawdziwy kodeks etyki filozoficznéj.

Zadaniem ludzkości jest ustawiczna praca nad sprowadzeniem i utrwaleniem owego stanu równowagi, będącego ostatecznym celem jéj przeznaczeń. Ztąd względem nas samych obowiązek bronienia naszéj godności, naszéj osobistości, naszéj wolnéj woli przeciw wszelkim naruszeniom; względem drugich zaś obowiązek pomagania im wszelkiemi sposobami i oszczędzania im wszelkich cierpień, nawet kosztem własnego naszego cierpienia, byle bez narażenia godności i osobistości naszéj. Tak np. w powieści p. t. „Więzienie w Edymburgu", Jenny Deans naraża życie swoje ale cofa się przed kłamstwem dla ocalenia siostry swojéj. Ascetyzm, to jest ofiara z samego siebie bez pożytku dla drugich, wykluczonym zostaje z tego kodeksu, jako niemoralny. Natomiast obowiązki altruizmu, według wyrażenia Comte'a rozciągnięte być powinny, „w rozsądnéj mierze", do całości świata „całego". Czyli, że bezpożyteczne dręczenie zwierząt, ścinanie drzew, niszczenie lasów podpada pod kategoryą uczynków występnych.

Jak widzimy, p. Guéroult dochodzi do całkiem zadawalniającego dlań w téj materyi, poglądu, bo rozwiązującego kategorycznie wielką zagadkę przeznaczeń naszych i rozwiązującego ją w sensie nader optymistycznym. Nie jest zaś to w jego pojęciu, pogląd osobisty, ale wspólny i spółczesnemu jakoby pokoleniu narzucający się dorobek całowiekowéj pracy wytwórczéj w tym kierunku. Jednak szanowny autor czytał Schopenhauera, a jeżeli go nie czytał, co może poniekąd pozostawać wątpliwém, tedy nasłuchał się z konieczności do syta tych wręcz przeciwnych wniosków, z któremi noszą się liczni w jego otoczeniu czytelnicy, a liczniejsi jeszcze bez czytania adherenci, *de auditu*, słynnego nirwanisty i jego negacyjnych doktryn. Zaiste w najświetniejszéj nawet epoce saint-simonizmu, którego duchowym wychowańcem zdaje się być p. Guéroult, nigdy altruizm nie miał podobno, przynajmniéj na bruku paryskim, tylu zwolenników, ile ich ma dzisiaj szopenhauerowski pesymizm. Ale, jak to już czytelnicy nasi zauważyć mogli, p. Guéroult ma właściwy sobie sposób załatwiania się ze zjawiskami, które mu wadzą. Z pesymizmem przeto i odpowiadającemi mu doktrynami filozoficznemi załatwia się on, odmawiając im wręcz nietylko naukowéj wartości, ale nawet pretensyi do naukowego charakteru. Zabawka to umysłowa poprostu, albo poza towarzyska. Sam Schopenhauer, który skądinąd wykazał tyle przenikli-

wości w dokonanéj przez się analizie woli naszéj, „bawił się oczywiście“ pisząc o swojéj nirwanie i wszyscy dzisiejsi szopenhauerzyści bawią się albo pozują za jego przykładem.

Natomiast przyznaje autor, iż wywdzięczając się skąinąd tak obfitym i dodatnim plonem, praca filozoficzna kilku ostatnich pokoleń nie dopisała w rozwiązaniu jednego z nastręczających się jéj problematów, mianowicie „dręczącéj i bolesnéj“ zagadki życia przyszłego. I na tym jednak punkcie właściwy jego umysłowi optymizm nie opuszcza go w zupełności. Zdaje mu się bowiem, że i w tym kierunku jeden przynajmniéj rezultat osiągnięty został, przynosząc z sobą pojęcie pełne doniosłego i dodatniego zawsze znaczenia.

„Wszystkie stworzenia, a osobliwie stworzenia wchodzące w skład rodzaju ludzkiego, tworzą całość solidarną, w któréj pokolenia przyszłe wiążą się z teraźniejszemi i przeszłemi nieprzerwanym łańcuchem; w któréj, skroś całkowiekowych przestrzeni czasu, to co jest najlepszego, najdroższego w nas, pojęcia, aspiracye i dzieła nasze, w posiadaniu względnéj wieczności, dokonywają swojéj ewolucyi ku sprawiedliwości i prawdzie; w któréj dobre i złe uczynki odnajdują się, niosąc nagrodę lub karę indywiduom, narodom, ludzkości całéj, podług najsprawiedliwszego wymiaru“. Z tém pojęciem solidarności nie może być już mowy o poszukiwaniu zbawienia o własnych siłach i dla siebie samego. „Kłaść życie swoje w drugich, w dzieci swoje, w przyjaciół swoich, w swoich współobywateli, w ludzkość, w myśli i dzieła dla niéj pożyteczne, jest najskuteczniejszym środkiem uwiecznienia go“.

O ile wieczność ta, która nie zdaje się zadawalniać w zupełności samego pana Guéroult, skoro jéj filozoficzne pojęcie stanowi w jego własnych oczach połowiczne tylko i tymczasowe rozwiązanie „dręczącéj i bolesnéj“ zagadki, o ile, mówimy, wystarczającą być ona może dla drugich, rozbierać tutaj nie chcemy, poprzestając na naszém zadaniu sprawozdawczém.

III.

Zaraz w następnym zresztą rozdziale autor sam spieszy ze sprostowaniem domysłów, które nasuwaćby nam się mogły odnośnie do jego stanowiska wobec téj zasadniczéj kwestyi. Zaczyna od zaznaczenia tego faktu, iż pod względem religijnym, wiek zbliżający się obecnie do swojego końca, nie dotrzymał obietnic czy gróźb, które towarzyszyły potężnemu rozwojowi pojęć filozoficznych w epoce jego narodzin. Ruch, wytworzony w tym kierunku, nie zatrzymał się wprawdzie, i za jego sprawą tenże wiek upamiętnił się „najdonioślejszą re-

wolucyą religijną, jaką widziała ludzkość od roku 300", mianowicie „całkowitém zniszczeniem nadprzyrodzonéj, cudotwórczéj powagi przypisywanéj Pismu Świętemu i Ewangeliom". Gdy jednak w r. 1788 skroś całego cytającego i myślącego świata europejskiego, „od Monteskiusza do Diderot'a, przechodząc przez Lessing'a i Fryderyka", wszystkie formy religijne przekazane się zdawały bliskiéj zagładzie, w roku 1888 wszystkie te formy istnieją jeszcze, katolicyzm zaś w szczególności nietylko nie uległ żadnemu osłabieniu, ale odzyskał raczéj „formy", jeżeli nie rzeczywistość dawno nie widzianego życia i ruchu. Po trzechwiekowém przeszło uśpieniu ogłosił on dwa nowe dogmaty, ustanowił nowe obrządki („Serca Jezusowego"), uświęcił nowe cuda. Kościół utrzymał się całkowicie na dawném swojém stanowisku; papiestwo zaś, jakkolwiek ogołocone ze swéj doczesnéj władzy, zachowało a raczéj zdobyło sobie napowrót moralną i polityczną nawet powagę, która przypomniała czasy Grzegorza VII-go i Inocentego III-go. Uwydatnia się więc tutaj przed badaczem téj podwójnéj „ewolucyi" nowa „pozorna przynajmniéj" sprzeczność wchodzących do jéj zakresu zjawisk umysłowych. Owóż jak tłómaczy ją sobie i nam p. Guéroult:

„Cokolwiek powiedziéć mogła szkoła pozytywistyczna i materyalistyczna, człowiek jest zwierzęciem religijném. Jest to jedną z najwięcéj nieodzownych potrzeb jego natury czuć się związanym z podobnemi do siebie stworzeniami i z całością stworzenia przez jakąś umysłowi jego narzucić się mogącą teoryę; miéć możliwe wyjaśnienie początków złego i dobrego; definicyę przystępną zbiorowych i indywidualnych swoich przeznaczeń... Owóż potrzebie téj filozofia właściwa nie jest w stanie dać zupełnego zadośćuczynienia. W rzeczy saméj zwraca się ona prawie wyłącznie do rozumu naszego. Owóż... dla przeważnéj większości ludzi... być przekonanymi nie wystarcza; trzeba im być pociągniętymi, wzruszonymi; wzruszenie zaś nie jest rzeczą analizy filozoficznéj i rozumowania, ale sztuki. I tu prawa swoje odzyskuje religia, która może być nazwana syntezą estetyczną danego systematu filozoficznego". Możliwém skądinąd jest chwilowe przynajmniéj, harmonijne zespolenie naukowych i estetycznych pierwiastków, których wspólne działanie niezbędném staje się tym sposobem dla zupełnego zaspokojenia tych różnych potrzeb naszéj natury duchowéj. Jakoż harmonia takowa urzeczywistnioną została raz, i raz jeden zresztą w całéj historyi — mianowicie w XIII wieku i w spółczesném społeczeństwie katolickiém, kiedy: „Filozofia Platona i Arystotelesa, znalazła godnych przedstawicieli i tłómaczy w Św. Augustynie i w Św. Tomaszu...; niebiosa, w których

teologia pomieściła swoich błogosławionych, swoich aniołów i swoich cherubów, odpowiadały ściśle astronomicznym i geograficznym danym spółczesnéj nauki;... nakoniec, dzięki niezmiernie artystycznym formom panującego obrządku, transcendentalne wnioski filozofii i metafizyki oblekły kształt popularny, dostępny dla wszystkich".

Od owéj pory cała ta kunsztowna budowa zachwiała się w swoich podstawach. Tak silnemi jednak są naturalne popędy, które znajdywały w niéj zaspokojenie, że dla jakiego takiego uczynienia im zadość, człowiek skłania się do „największych ofiar", usiłując bodaj kosztem logiki wytworzyć linią demarkacyjną między naukowemi pewnikami narzucającemi się jego pojęciu a religijnemi twierdzeniami schlebiającemi jego uczuciom, i naśladując owego duchownego astronoma (Ojca Secchi), który zwykł mawiać: „W mojéj kaplicy zapominam o mojém obserwatoryum i na odwrót". Nie potępia stanowczo p. Guéroult tych kompromisowych dążności, uznaje owszem ich „naturalność", i prawie usprawiedliwia je; ale zdają mu się one zarówno „bolesnemi" jak „niemożliwemi" do urzeczywistnienia. Kresem ich koniecznym jest dylemat do Hamletowskiego dylematu podobny. Trzeba wierzyć albo nie wierzyć. W pierwszym zaś przypadku ofiara poniesiona jest ofiarą najcenniejszego z darów udzielonych nam przez naturę: myśli samodzielnéj. Jakoż „w ogromnéj liczbie wynalazków, któremi pochlubić się jest w stanie wiek teraźniejszy, nie ma może jednego, któryby był dziełem katolika wierzącego i praktykującego". W drugim przypadku, oddalając się od wszelkich metafizycznych pojęć, „uczony przyprawia się często o utratę tego zmysłu filozoficznego, bez którego sam naukowy postęp jest niemożliwy".

Znajdujemy się przeto w pełni niezmiernie drażliwego i tragicznego kryzysu moralnego. Gdzie jego koniec? Autor nie odpowiada wprost na te pytania. Przypomina jednak sobie wobec niego swój duchowy rodowód i ten dostarcza mu wniosku, do którego garnąć się zdają jego własne „zbolałe" uczucia. Jeden z weteranów szkoły saint-simonistów, zmarły przed kilku zaledwie laty G. d'Eichtal żywił głębokie przekonanie, iż ludzkość wyrwaną zostanie ze śmiertelnego uścisku dręczących ją i dławiących niepewności przez interwencyą genialnego papieża, który użyje swojéj nieomylności dla pogodzenia katolicyzmu z nowoczesném społeczeństwem. „Myśl należąca do najśmielszych — mówi p. Guéroult — jeżeli nie do najwięcéj chimerycznych. Wiek przesądów, tradycyi a nawet dogmatów stoi jéj na wstręcie. A jednak!..."

Autor zadawalnia się tą hypotetyczną formułą i przechodzi do bilansu etycznych pojęć w teoryi i praktyce życia publicznego i pry-

watnego. Zali moralność ogólna i indywidualna wyższa jest w r. 1888 albo też niższa od poziomu, na którym znajdowała się w r. 1788? Postawiwszy to pytanie, autor dochodzi natychmiast do téj konkluzyi, że jego rozwiązanie przedstawia niezmierną trudność, że brakuje mu zupełnie danych do rozwiązania go w stosunku do całości społeczeństwa europejskiego, i że w stosunku do Francyi saméj, porównanie dwóch poziomów wymaga rozróżnienia między „rozmaitemi kategoryami obowiązku publicznego i prywatnego. Jakoż na ustępach, które próbowaliśmy streścić poprzednio, kończy się poniekąd ogólna i najwięcéj też zajmująca treść zawierającéj je książki. W drugiéj części, za wyjątkiem ostatniego rozdziału, autor nie wyziéra już prawie po za próg swojskiego, francuskiego, życia społecznego i umysłowego, albo obejmuje tylko po za tym obrębem nader ciasny i krótkiém spojrzeniem mierzony widnokrąg.

Co rozumie właściwie p. Guéroult przez pierwszą z wymienionych przez się k a t e g o r y i, kategoryę „obowiązków człowieka względem obywateli“, tego domyśleć się dość trudno. Ustęp odnośny zaczyna się zaznaczeniem tego faktu, iż kategorya owa „nie istniała jakoby w r. 1788“, ponieważ na mocy panującéj teoryi politycznéj, król był „właścicielem swoich państw i panem swoich poddanych“, kończy się zaś stwierdzeniem faktu drugiego, który przez Tocquevilla po raz pierwszy zauważony został, a mianowicie tego iż nowoczesna organizacya administracyjna, funkcyonująca we Francyi od czasów Napoleona I, skopiowana została na wzorach należących do starego, przedrewolucyjnego porządku. Jednak, pod wpływem zapewne wykształconych pojęć o znaczeniu państwa, pewien postęp osiągnięto na tém polu nietylko w mechanizmie administracyjnym, ale w poczuciu obowiązków władzy państwowéj, w moralności profesyonalnéj przedstawiających ją urzędników. Zdaje się więc, iż „człowiek“, o którego obowiązkach mówi na tém miejscu p. Guéroult, wyobraża w jego myśli państwo czy urzędowych przedstawicieli państwa. Zrozumialszy jest ustęp drugi, dotyczący obowiązków obywateli względem państwa. Przeobrażenie pojęć, dokonane tutaj w po-rewolucyjnéj epoce, polegało na tém, iż przywiązanie do ojczyzny i poczucie należących się jéj obowiązków przestało mieszać się z przywiązaniem do osoby monarchy. Nie iżby patryotyzm, w charakterze zasady i cnoty, obcym pozostawał przedrewolucyjnym nawet stosunkom, ale „kiedy monarcha był szalonym, jak w XIV wieku, nieletnim, jak na początkach panowania Ludwika XIII i XIV, albo osobiście godnym pogardy, jak pod rządami Ludwika XV, węzeł ten rozprzęgał się do takiego stopnia, o jakim na szczęście wyobrażenia już dzisiaj nie mamy“.

Co się tyczy moralności prywatnéj, mniema p. Guéroult, iż idealny typ przedrewolucyjnego społeczeństwa, zbyt często przeciwstawiany „zepsuciu spółczesnemu“, opiera się na legendowych a bynajmniéj nie historycznych danych. Pod względem obyczajowym, czytelnicy pamiętników wiedzą „ile brutalności i wszelkiego grubiaństwa kryło się pod zewnętrzną i przysłowiową wytwornością dworu Ludwika XIV“. Pod względem prawnym, tortury i bezlitosna srogość kar cielesnych pozostają hańbiącém znamieniem owéj epoki. W życiu towarzyskiém szachrowanie w grze uchodzi zaledwie za drobny grzeszek, który nie przeszkadza kawalerowi de Gramont odgrywać roli bohatera (ob. Pamiętniki Hamiltona). Inny, sceniczny bohater téj epoki, wyidealizowany przez Regnarda i Dancourt'a, kawaler Ménechme, nazywałby się dziś Panem Alfonsem. W życiu rodzinném, „na dwudziestu panów dworskich, jak opowiada Bezenval, piętnastu jest takich, którzy opuszczają stale żony swoje dla metres“. Córka Diderot'a, pani de Vendeul, ogłaszając drukiem korespondencyą ojca z panną Voland, która to korespondencya uszłaby dziś za skandaliczną, unosi się nad tym wzorem wszystkich cnót domowych“. Talleyrand uczy nas, iż nie zdarzyło mu się spędzić jednéj nocy pod tym samym dachem z matką albo ojcem, nawet w dzieciństwie. Jakoż rodzice nie zajmują się wychowaniem swego potomstwa. Synów wychowują lokaje, a córki — panny służące. Władza ojcowska jest surowa, pozbawiona wszelkiéj tkliwości. Całość tych stosunków uległa dziś bardzo znacznemu i bardzo dodatniemu przeobrażeniu. „W Paryżu mianowicie, gdzie wychowanie rodzinne weszło w nader rozpowszechniony obyczaj, wzajemne uczucia między matkami i córkami zwłaszcza oblekły charakter, któremu bezimienny autor angielski oddał w książce p. t. *French home life* hołd nie ulegającego podejrzeniu podziwienia“.

Pod jednym jednak względem przyznaje p. Guéroult pokoleniom należącym do epoki, która poprzedziła bezpośrednio rewolucyą, „niezmierną wyższość moralną“ nad następnemi pokoleniami, osobliwie zaś nad pokoleniem obecnie żyjącém. „Chcę mówić—pisze—o tym wzniosłym entuzyazmie, który unosił pokolenia owe na drodze postępu, o téj głębokiéj wierze w przyszłość, któréj składały one bez wahania i bez żalu największe ofiary“. Dziś, „zranieni bolesnym porodem nowéj cywilizacyi“, przyszliśmy aż do zwątpienia o rzeczywistości już dokonanych postępów!

IV.

Ustęp poświęcony przeglądowi sztuk pięknych i literatury nadobnéj, najobszerniejszym jest w książce p. Guéroult (blisko 100 kartek),

ale najsłabiéj opracowany, przynajmniéj z ogólno-europejskiego stanowiska, na którém chciał postawić się autor. Najkrócéj też zatrzymamy na nim uwagę naszych czytelników. P. Guéroult nie wié nic, albo prawie nic o ruchu artystycznym w sąsiadujących z jego ojczyzną krajach i przyznaje się nawet do tego (s. 127). Wié, iż Canova „naśladował antyk w tak fałszywym kierunku jak spółcześni mu Francuzi“, Rauch zaś i Thorwaldsen zostawili dzieła pełne wyrazu“. Odwiedził także przed kilkoma laty wiedeńską galeryą obrazów, i zauważył obrazy Makarta i Brozika, „które mimo wyższéj biegłości technicznéj i sumienności wykonania, były niezaprzeczenie daleko mniéj żyjące ze wszech miar“ niż dzisiejsze utwory malarzy francuskich. W jaki sposób załatwia się autor z angielską i niemiecką literaturą powieściową, o tém wspomnieliśmy już. O włoskiéj literaturze tyle tylko dowiadujemy się od niego, że „Manzoni jest najlepszym uczniem Walter-Scotta“ (s. 218). Bardziéj uniwersalne, jak tego spodziewać się było można, są wiadomości autora z dziedziny muzyki, któréj kosmopolityczny charakter mniéj stawiał przeszkód jego francuskiemu krótkowidztwu. Wié on tym razem o przewodniéj roli, którą na początku bieżącego stulecia odegrali w rozwoju muzyki instrumentalnéj Emanuel Bach, a po nim Haydn i Mozart, i o wpływie Wagnera na dzisiejszych instrumentalistów francuskich. Wié nawet o Szopenie i Rubinsteinie, których umieszcza pod jednym mianownikiem, jako przedstawicieli ras słowiańskich między wynalazcami frazesów muzykalnych, noszących znamię geniuszu“. W téj części też i w téj części tylko swojego przeglądu sięga p. Guéroult do niezbyt jasno zresztą sformułowanego pojęcia właściwéj ewolucyi artystycznéj, dokonanéj między 1788 a 1888 rokiem, i postępów osiągniętych za jéj sprawą. Postępy te, bardzo mało znaczące pod względem melodyi, okazują się bardzo wielkiemi, zwłaszcza w ostatnich czasach, pod względem harmonii i instrumentacyi. „Kompozytorowie ośmieleni i słuchacze przygotowani przez natchnione zuchwałości Bethowena, odważyli się z jednéj strony na próbowanie i skłonili się z drugiéj strony do przyjęcia takich nowych kombinacyi tonów, których dawniéj ucho byłoby nie ścierpiało“. Jednocześnie zaś dzięki wydoskonalonéj fakturze narzędzi muzycznych i podniesionemu poziomowi mechanicznego między wykonawcami wyrobienia, dział instrumentacyjny osiągnął wyższy jeszcze stopień rozwoju.

Wogóle jednak pojęcie postępu nie zdaje się autorowi, w téj sferze i w zastosowaniu do ruchu artystycznego, przedstawiać równie konkretnego znaczenia jak w innych sferach działalności umysłowéj. Zdaje się nawet, bo myśl jego w tym względzie (ob. s. 117—118) jest

dość niejasną, jakoby nie przypuszczał on właściwego ustopniowania między następującemi po sobie fazami twórczości artystycznéj, uznając niemożliwość wynalezienia dla nich jakiejkolwiek wspólnéj miary porównawczéj (str. 118). „To, coby nazwać można częścią naukową sztuki i literatury, jest dokładniejsza znajomość materyałów używanych, bardziéj racyonalne odróżnianie rodzajów, wydoskonalona niejako gramatyka i składnia języka, nie mówiąc już o rozszerzającéj się pojętności lepiéj oświeconego ogółu, wszystkie te czynniki towarzyszą postępowemu pochodowi nauk. I w tym sensie sztuka osiąga za każdém pokoleniem obszerniejsze rozmiary.“ W tym więc sensie tylko, jak wnosić wolno. Jakoż nie widać, aby autor przyznawał dzisiejszemu poziomowi artystycznemu bądź we własnym kraju, bądź gdzieindziéj, rzeczywistą w jakimkolwiek kierunku wyższość nad zeszłowiecznym poziomem. W muzyce nawet zaznacza uwagę Helmholtza, podług któréj zaniedbanie gammy naturalnéj pociągałoby za sobą, w kierunku wstecznym, utratę pewnych delikatnych akordów i odcieni (str. 157). W architekturze zapisuje bez entuzyazmu pojawienie się nowéj formy, którą przyswoiły sztuce nowoczesnéj konstrukcye żelazne, a któréj ostatni wyraz zresztą, urzeczywistniony w żelazno-ceramicznych budowach Placu Marsowego, uszedł jego uwadze. W malarstwie ruch, któremu przewodniczy dzisiejsza szkoła francuska, doprowadził wprawdzie sztukę, podług jego myśli, do „zupełniejszego objęcia w posiadanie swego właściwego języka, języka wrażeń.“ Malarze „patrzą więcéj i widzą lepiéj niż dawniéj;“ ale „zbyt wielka ich liczba, nawet pomiędzy najbieglejszymi, nie widzi nic zajmującego.“ W literaturze nadobnéj nakoniec, najnowsza szkoła powieściopisarstwa francuskiego zdaje się autorowi zarażoną „błędem kapitalnym,“ którym jest rozczarowanie, pesymizm. Powiedziałby on chętnie o jéj najświetniejszych przedstawicielach to, co Mac-Duff mówi o Makbecie: *They have no children!* Są to pisarze bezpotomni!

V.

Od literatury nadobnéj przechodzimy jednym skokiem, bo tak nam każe autor, do nauk matematycznych i eksperymentalnych. Znajdujemy zaś w tym rozdziale bardzo wiele ciekawych rzeczy, ale już wcale a wcale nie znajdujemy żadnego syntetycznego poglądu, jakiegokolwiek uogólnienia olbrzymich rezultatów, których obraz nastręczał się autorowi na tém polu i których ogrom odstraszył go widocznie. Autor postępuje ze swoimi czytelnikami tak, jak szwajcarski przewodnik, który, mając pokazać turystom górę Mont-Blanc, powiedziałby im

przed rozpoczęciem wycieczki: „Wiecie co, góra to bardzo wysoka, zmęczylibyśmy się srodze pospołu. Ale pokażę wam kamyk przyniesiony z samego wierzchołka...“ Mając tedy mówić swoim czytelnikom o odkryciach dokonanych w matematyce przez kilka pokoleń genialnych mężów, od Lagrange'a do Gauss'a, Riemann'a i Helmholtz'a, poprzestaje p. Guéroult na pokazaniu im bardzo ciekawego i mało jakoby znanego dotąd, choć nie wczorajszego odkrycia generała Peaucellier (str. 228). W gałęzi nauk eksperymentalnych (mechanice, astronomii, fizyce, chemii) zdobywa się na jeden ogólniejszy wniosek, podług którego wyrobione w ciągu bieżącego stulecia pojęcie o „jedności substancyi“ byłoby tylko rozwinięciem kartezyuszowskiéj teoryi o istocie wszechstworzenia. „Świat składa się z eteru i ruchu, *in eo vivimus, movemur et sumus.* Ma się rozumiéć jednak świat ten stanowi jedynie całość tych rzeczy, ktore dostępnemi są dla naszego pojęcia i dla naszych zmysłów... Jeżeli zaś po za tą uprzystępnioną nam sferą istnieją inne grupy zjawisk, są to światy na zawsze zamknięte dla nas“ (str. 259). Jak zaś mieszczą się, i czy zmieścić się mogą, w tak zarysowanych ramach naszego wszechbytu, ujednostajnione z innemi zjawiskami zjawiska życiowe i intelektualne? Autor odpowiada na to pytanie, oznajmiając, iż spróbuje w następnym paragrafie wskazać drogę, którą być może zagadka nasunięta przez nie naszemu umysłowi otrzymuje rozwiązanie. Paragraf ten jest paragrafem poświęconym fizyologii. Oto zaś w jaki sposób streszczone w nim znajdujemy owoce całowiekowéj pracy, któréj „teorya ogólna świata“ stała się przedmiotem w tym ostatnim kierunku naukowych badań, „pracy kolosalnéj i przenoszącéj bez żadnego możliwego porównania wszystko, co dokonaném zostało na tém polu przez minione stulecia.“ Pierwiastkami dostępnego naszym zmysłom i byt nasz obejmującego świata są:

„Jedna substancya, eter, którego atom każdy skupia w stopniu nieskończenie małym rozmaite czynniki, nazywające się siłą, masą, powinowactwem, życiem, z których każdy znowu uzmysławia się dopiéro w kombinacyach złożonych z pewnéj zmiennéj ilości atomów ożywionych danemi ruchami i podlegających danym kierunkom;

„W téj substancyi specyalne wirowate ruchy tworzące ciała (Kartezyusz, Helmholtz, Thomson);

„Eter służący po za temi kombinacyami do utrzymania związku między niemi, od mikroskopijnych międzycząsteczkowych do przestworów niebieskich, śród których zapalają się najodleglejsze gwiazdy, a to za pomocą środka, który zdaje się uniwersalnym i którym jest drganie (*vibration*);

„Co się tyczy zjawisk życia fizyologicznego, komórki pierwotne,

raz uorganizowane, łączące się między sobą w rozmaitych kombinacyach;

„Między niemi w pierwszym rzędzie kombinacye oparte na zasadzie rozdziału pracy, tworzące w pewnym gatunku polizoizmu (Durand de Gros) stowarzyszenia, które spełniają pewne ewolucye, wydoskonalają się albo uzupełniają się z każdém nowém pokoleniem i którym dajemy nazwę istot żyjących.“

Nie chcemy oczywiście przyjmować żadnéj odpowiedzialności za wykład tego systemu, który, według uwagi autora jest w gruncie systemem Leibnitz'a, i przechodzimy do ostatniéj części jego dzieła poświęconéj naukom społecznym.

VI.

Powiedzmy zaraz, iż zdaje się jakoby autor czuł się znowu więcéj u siebie na tym grucie. Widzimy go też obejmującego daleko jaśniejszém i przenikliwszém spojrzeniem rozciągające się przed nim przestrzenie i dochodzącego do konkluzyi, którym można odmówić trafności, ale w których, w kształcie próby przynajmniéj, przejawia się syntetyczny kierunek myśli. W dziedzinie nauk historycznych np. zaznacza autor jako dorobek bieżącego stulecia z jednéj strony dokładność, pewność i śmiałość zarazem podjętych badań, które po raz pierwszy nadały erudycyi i krytyce historycznéj prawdziwie naukowy charakter, z drugiéj strony zastosowanie do tychże badań poglądu filozoficznego, za pomocą którego, starając się odkryć w następujących po sobie wypadkach pewien ciąg i sens logiczny, próbowało dziejopisarstwo dźwignąć się do pojęcia uprzystępniającego ogólne przynajmniéj wnioski względem przyszłych przeznaczeń ludzkości.

Mniéj dodatniemi zdały się autorowi rezultaty osiągnięte na polu prawodawstwa. „Tocqueville wykazał już, że wewnętrzna praca konsulatu i cesarstwa polegała głównie na przechrzczeniu i przebraniu podług nowéj mody większéj części instytucyi należących do starego porządku.“ Jednak w prawie cywilném, kodeks Napoleoński stał się wielkim postępem, nie tyle treścią swoją co ujednostajnieniem prawodawstwa europejskiego, którego był narzędziem. W prawodawstwie karném, dzięki ostatecznemu zaniechaniu „barbarzyńskiéj tortury“ i „zdradzieckiéj procedury tajnéj,“ postęp dokonany jest „ogromnym.“ W prawie międzynarodowém nakoniec zaznaczony już na wstępie kierunek unifikacyjny, którego rozpowszechniające się związki celne, pocztowe i telegraficzne są wyrazem, zbliża przewidywaną i wzywaną z utęsknieniem przez autora erę pokojową ogólną-europejskiéj federa-

cyi. W jego przekonaniu nawet, wszystkie narody europejskie, z jednym może wyjątkiem, będąc w posiadaniu instytucyi parlamentarnych, posiadają *eo ipso* pierwiastki potrzebne do utworzenia trybunału międzynarodowego, któremu poddane byłyby najpierw wszystkie istniejące lub pojawić się mogące między rozmaitemi państwami kwestye sporne, a który następnie byłby zawiązkiem ogólno-europejskiéj organizacyi politycznéj (str. 355).

Na polu ekonomii politycznéj zaznaczone mamy współistnienie od 1789 r., a zwłaszcza od 1812 roku, i współmierny rozwój dwóch szkół, zostających w skrajnym antagonizmie. Szkoła liberalna, wywodząca się z XVII-go wieku od Vaubana, a w XVIII-ym od Quesnay'a i Adama Smitha, zapatruje się na badane przez się zjawiska z punktu widzenia czysto indywidualnego, i zwracając głównie uwagę na wytwórczość rozporządzalnych w naturze sił i wynikające z niéj bogactwa, obstaje przedewszystkiém za ubezpieczeniem indywidualném usiłowaniom w tym kierunku jak największéj swobody. Przeciwnie, szkoła socyalistyczna zaprząta się nie tyle produkcyą, co rozdziałem bogactw, żąda osobliwie uprzystępnienia takowych najbiedniejszym klasom społeczeństwa i w tym celu nie cofa się nawet przed poświęceniem wolności umów i wymian, i saméj wolności pracy, a żądaniem interwencyi państwa, w charakterze sprawiedliwego rozdawcy, poprawiającego naturalną nierówność społecznych kondycyi, lub nawet głównego wytwórczego czynnika. Ta druga szkoła rozpada się zresztą na dwie grupy: w pierwszéj Saint-Simon, Fourier, Cabet, Owen, Ludwik Blanc występują z rozmaitemi rozwiązaniami wielkiéj agitowanéj przez się kwestyi społeczno-ekonomicznéj. W drugiéj — Lassalle, Karol Marx cofają się przed obmyślaniem systematów naprawić mogących budowę społeczną, która w ich oczach nie dopuszcza żadnéj naprawy. Trzeba, w ich pojęciu, obalić najpierw z gruntu gmach cały, a następnie pomyśléć o odbudowaniu go na nowych podstawach. Anarchiści zaś nie przyjmują nawet téj drugiéj połowy wspólnego programu. Ich ideałem jest projekt prawa, którego myśl pożyczył Rochefort od dziennikarza z epoki dyrektoryatu:: „Art. 1. Niema już nic. Art. 2. Nic się nie kładzie na miejscu tego, co było."

Autor, który jest stanowczo optymistą, nie traci jednak wiary w możliwość, a nawet w blizkość innego dodatniejszego rozwiązania, które pogodzi wszystkie obozy. Dostarczą go fakta same, za pomocą tajemniczego mechanizmu tych harmonii, których rzeczywistość przeczuł geniuszem swoim Bastiat. I zapowiadają je rezultaty już osiągnięte, a mianowicie:

1. Za sprawą niezmiernego od lat stu powiększenia się kapitału,

którym rozporządza społeczeństwo europejskie, talent uzyskał już nie widzianą nigdy pierwéj łatwość w uzyskaniu środków, których brakować mu mogło dawniéj, dla zapewnienia sobie odpowiedniego wynagrodzenia;

2. Dzięki uprzystępnionéj wszystkim inteligencyom i rozpowszechnionéj odpowiednio oświacie, przeciętna skala talentów podniosła się, przynajmniéj co do téj połowy talentu, która może być nabytą;

3. Niesłychany rozwój środków komunikacyjnych prowadzi już coraz widoczniéj do zupełnego prawie unicestwienia renty gruntowéj, to jest téj części dochodu gruntowego, która, podług analizy Ricarda, przypada dotąd właścicielowi niezależnie od kapitału i od pracy włożonych w ziemię.

4. Ta ostatnia ewolucya, któréj następstwem musi być obniżeżenie ceny artykułów spożywczych, daléj już posuniętą została odnośnie do przemysłu trudniącego się wyrobem odzieży, któréj cena spadła znacznie a spadnie więcéj jeszcze.

Autor przypuszcza nadto, iż osiągnięte w ten sposób zrównanie siły produkcyjnéj rozmaitych krajów europejskich sprowadzić musi inną ewolucyą, za któréj sprawą nie znajdująca odpowiedniego zużytkowania obfitość europejskich kapitałów, wiadomości i talentów popchnięta będzie do użyźnienia po za Europą innych więcéj zacofanych okolic.

X.





Z CZYJÉJ WINY?

Miała lat pięć, kiedy czytała już dobrze. Rodzice wołali ją zawsze, gdy byli goście. Wchodziła z książką w obydwóch małych rączkach, rozglądała się dokoła dużemi oczami, z głębi których przebijały zarodki cichego i ciągłego myślenia.

— Przeczytaj, Celinko, tę powiastkę o róży, którą niegrzeczny chłopczyk zerwał w ogródku—mówiła matka — albo podaj książkę téj pani, może ci sama co wybierze.

Dama, do którój się zwracano, wskazywała jedną z powiastek.

Całe towarzystwo słuchało cichego szczebiotliwego głosiku.

Gdy skończyła czytać, matka kazała jéj mówić bajki Jachowicza lub Krasickiego.

W siódmym roku życia Celinka umiała na pamięć całą „Lirenkę“ Lenartowicza.

Gdy ją uczyli „Wiochny“ lub „Po brzozowym cichym lesie“, płakała: tak jéj było smutno mówić o drzewach i kwiatkach, o tym braciszku, do którego siostra siérota pisała na brzozowym listku.

Kazano jéj deklamować wiersze przed każdym, kto tylko przyszedł. Ojciec lub matka zadawali jéj pytania, na które musiała odpowiadać. Gdy nie miała chęci mówić, pieszczotami i łakociami zachęcano ją do tego. Po każdym takim popisie jedno z rodziców brało ją na kolana. Goście zaczynali rozprawiać o jéj przyszłości.

— Będzie z pewnością uczoną—odzywał się ktoś z obecnych.

Matka słuchała.

Ojciec kiwał głową twierdząco i dodawał:

— Wykieruję ją na człowieka.

Wpadał następnie w zamyślenie, z którego tylko natrętne pytania sąsiada lub sąsiadki były w stanie go wyrwać.

Marzył o zawodzie literackim dla córki.

Sam niegdyś posiadał trochę twórczych zdolności. Nie rozwinął

ich, gdyż nie miał po temu czasu. Od najmłodszych lat musiał ciężko pracować na zapewnienie sobie bytu.

Samouczek, potém już nie miał wiary w siebie. Czuł brak gruntu pod stopami Koleje talentu jednak każdego artysty lub poety, zajmowały go żywo.

Myślał nieraz: „do czego byłbym ja doszedł, gdyby nie moje wykolejenie?“

Często bawił się w filozofowanie. Książki, które czytał i wybierał na „chybił trafił“, popchnęły umysł jego na drogę czysto metafizycznych refleksyi.

Lubił zastanawiać się nad zagadką bytu i przeznaczeniem człowieka. Po paroletnich rozmyślaniach doszedł do wniosku, że duch każdéj pojedyńczéj jednostki musi przebywać fazy przekształceń.

Obudziwszy się w ciele dzikiego, zezwierzęconego murzyna, jeden i ten sam umysł po licznych na świecie wędrówkach, po mozolném wdrapywaniu się za każdą śmiercią i każdém ożyciem swéj zewnętrznéj powłoki, na coraz wyższe szczeble drabiny społecznéj, gaśnie jako wielki talent, zostawiając twórcze swe arcydzieła na pokarm dla tych, co są dopiéro w fazie przeobrażeń.

Sam siebie uważał za poczwarkę talentu, który zabłyśnie dopiéro w następném odrodzeniu.

To téż na teraźniejszość zapatrywał się jako na stan przejściowy. Nie martwił się bardzo smutkami, które go spotykały, nie przejmował zawodami, nie cieszył zbytecznie powodzeniem, mówiąc sobie:

— To minie, minie bardzo prędko!...

Spełniał wiernie należące doń obowiązki; nie buntował się przeciwko powszedniości, nie dążył do działania na szerszém polu społeczném, powtarzając:

— To później!

Zagłębiony w sobie, żył tylko pragnieniem tego przyszłego, wymarzonego życia, w którém myśli jego, dziś przyćmione, rozwiną się, jak kwiaty.

Ożenił się w trzydziestym roku. Gdy po dziesięciu latach bezdzietnego pożycia, losy obdarzyły go córką i gdy ta córka zaczęła rozwijać się umysłowo przedwcześnie, zmienił swe teorye.

Powiedział sam do siebie:

— Nie, człowiek, czujący w sobie zarodki wielkich zdolności, a nie mający pola do ich rozwinięcia, odradza się w potomstwie swojém. Dzieci wchłaniają lepszą część naszéj istoty: jeżeli my mamy talent, a nie tworzymy, to one muszą tworzyć za nas i wsławić nasze imię zrodzone do sławy...

Z pod szafirowych okularów przypatrywał się Celince, jak mając lat cztery, w kąciku, sama jedna składała litery, które on jéj pokazywał rodzajem zabawki.

Uczył ją bajeczek, wierszy, a potém, z czasem, długich ustępów kremerowskiéj lub libeltowskiéj prozy, które koniecznie kazał jéj zrozumiéć.

Nie grymasił w wyborze: czytał Celince i nawoływał ją do powtarzania wszystkiego, co tylko wpadło mu pod rękę: to poezye z wypisów, to ustępów z pierwszéj lepszéj książki, jaką mu kto pożyczył.

Do lat ośmiu był sam jéj nauczycielem. Po powrocie z biura i po półgodzinnéj poobiedniéj drzémce, brał dziecko na kolana i kazał mu czytać, pisać, uczył je czegoś na pamięć do samego wieczora.

Czasami pytał jéj:

— Czy ci nigdy nie przychodzą do głowy takie historyjki, których nie czytasz nigdzie, a które sama sobie opowiadasz po cichu?

Dziecko minką i giestami odpowiadało:

— Tak!

Ojciec pytał daléj:

— A co ci chodzi po głowie: smutne czy wesołe rzeczy!

Dziewczynka posępniała. Zwracała wzrok w jeden punkt nieruchomo. Źrenice jéj rozszerzały się. Paluszkiem rysowała jakieś figury po stole.

Nie chciała mówić.

Gdy ojciec nalegał, schodziła mu z kolan i ginęła w jakim ciemnym kąciku drugiego pokoju.

Płakała, gdy ją kto śledził...

Kiedyś ojciec podszepnął jéj, aby opisała jaką historyjkę z tych, co jéj chodzą po głowie.

Parę dni była bardzo roztargniona, nie chciała się uczyć wierszy na pamięć, chowała się przed ojcem, gdy wracał z biura.

W saloniku pod stołem, przykrytym ciemną serwetą, któréj rogi spuszczały się na ziemię, siedziała całemi godzinami z ołówkiem w ręku i z kajetem od dyktanda.

Wreszcie raz ojciec przyszedłszy z biura, zastał na biurku trzy kartki, wydarte z kajetu i gęsto zapisana niezręcznem, dziecinném pismem.

Była to historyjka prozą o małych ludziach, o których zawsze opowiadała jéj niańka, kołysząc ją do snu, a których potém widywała na obrazkach w jakiejś książce z bajkami.

Myślała o nich nieraz, siedząc w ciemnym kąciku. Zdawało jéj się, że słyszy ich rozmowę i widzi, jak się dokoła niéj ruszają.

Ci ludzie są wszędzie— pisała— za ścianami, pod podłogą, w suficie. Dawniéj, często wyjeżdżali na środek pokojów w brylantowych karetach z wysadzaną ametystami, uprzężą dla koni takich samych małych, jak i oni.

Lubili zawsze zatrzymywać się tam , gdzie na podłogę padało dużo słońca i błyszczeli złotem, srebrem, drogiemi kamieniami, których mieli na sobie mnóstwo.

Raz dwoje takich liliputów, którzy się bardzo kochali, zsunęli się w dyamentowym powozie, z wysokich, żółtym atłasem wybijanych ścian wielkiéj sali, gdzie stały wysokie krzesła rzeźbione, stoły ze złotemi i kryształowemi świecznikami. Przez okna, zasłonięte tylko do połowy żółtemi atłasowemi firankami, padały smugi słońca: błyszczące pyłki drgały w nich, jak małe brylanciki, zawieszone w powietrzu na niewidzialnéj niteczce.

Mała para zatrzymała się tam, gdzie najwięcéj świéciło i ruszało się promieni. Patrzyli oboje na kryształowe świeczniki, w których przebijała tęcza, patrzyli na żółte ściany, jasne, jakby złote. Ubrani w topazy i brylanty, połyskiwali sami, jak słońce. Mały człowieczek pokazywał swojéj żonie coraz to coś nowego: w oczach im skakało wszystko, co widzieli. Całowali się i cieszyli bardzo, tak że nie spostrzegli, jak na środek sali wszedł duży prawdziwy człowiek i spojrzał na nich.

Mali ludzie nie znoszą wzroku dużych: ci odrazu umarli, a powóz ich i brylanty zniknęły, jakby odrazu zapadły się w ziemię.

Inni lilipuci od tego czasu boją się i nigdy już teraz nie wychodzą ze swoich kryjówek za ścianami, pod podłogą, na suficie.

Ojciec, przeczytawszy bajkę, zdjął szafirowe okulary, przetarł je chustką, potém włożył na powrót na oczy, schował rękopism i chodził po pokoju wolnemi krokami, mrucząc sam do siebie:

— Tak, tak, wyobraźnia jest, poczucie dramatycznego rozwiązania jest: reszta rozwinie się. Trzeba tylko pilnować młody talent, żeby wykiełkował i nie zmarniał...

Matka, wysłuchawszy pierwszy utwór swéj córki, który jéj ojciec głośno przeczytał, rozpłakała się. Do wieczora nie można było jéj uspokoić.

Próżno Celinka całowała ją po rękach i prosiła:

— Nie płacz mamo, nie płacz!

Przez łzy powtarzała ciągle:

— Żeby z nią nie było, jak z tą Urszulką Kochanowskiego: ja się boję!...

Ojciec zżymał się. Z początku usiłował tłómaczyć, że to zupeł-

nie co innego, lecz widząc, iż słowa jego nic nie pomagają, trzasnął drzwiami, wyszedł i nie wrócił aż późno w nocy...

W kilka dni przeszła „dziecinna“ trwoga matki: oboje potém wraz z mężem odczytywali po nieskończoną ilość razy utwór córki, dopatrując się w nim coraz to świéżych zalet i w końcu dodając:

— Będzie to umysł nielada...

Celinka słyszała ich pochwały i marzenia o jéj przyszłości.

Miała wtedy lat ośm, a już budziły się w niéj tajemnicze podszepty natchnienia.

Całemi godzinami nieraz czuła w uszach, w głowie szelest wyrazów. To goniły się, ścigały, jedne przeskakując drugie; to znowu sunęły się po mózgu spokojnym i równym szeregiem jak stado żórawi. Każdy wpijał się w pamięć i mogła była je spisywać odrazu.

Chwilami brzęczały, huczały wszystkie gromadnie, jak komary obsiadając jéj głowę.

Nieraz znowu słowa przycichały, a budziły się myśli, oderwane, ciemne, szukające formy.

Świadomość mozoliła się, by je odtworzyć; dziecko ich nie rozumiało: były to zwiastuny przyszłości...

Gdy rodzice sami ze sobą, albo z gośćmi rozmawiali o tém, czém Celinka z czasem zostanie, coś rosło w jéj piersiach, jakiéś gorączkowe pożądanie, którego ona sama jeszcze nie pojmowała, a które może miało się późniéj przerodzić w pragnienie sławy.

Jak jéj pilno było wówczas do wszystkiego. Ręce drżały, gdy brała książkę, aby odbyć z ojcem lekcyą. Czytała z chciwością kartkę po kartce: chciała się ich wszystkich nauczyć do wieczora, aby jutro dostać drugą nową, pojutrze trzecią, a za rok umiéć na pamięć wszystkie książki, jakie są na świecie...

Ojciec podniecał tę gorączkowość.

— Pracuj, moje dziecko, pracuj gorliwie — powtarzał— bez pracy niczém nie zostaniesz, choćbyś miała największy talent. Im trudniéj ci przyjdzie się czegoś nauczyć, tém dłużéj to zapamiętasz i tém większą korzyść stąd osiągniesz...

Miała umysł bardzo wrażliwy. Pamięć jéj nasiąkała jak gąbka, morałami i przestrogami, które słyszała. Od niemowlęctwa okazywała wielką, dziwną, jak u dziecka, sumienność w stosowaniu się do nich. To téż za każdém powiedzeniem ojca: „pracuj!“ byłaby chciała połknąć wszystkie książki. Nic dla niéj nie zdawało się trudném:

— Już to umiem—mówiła do ojca, przeczytawszy jeden tom gawęd Pola lub tłómaczeń Syrokomli i prosiła o coś nowego.

Ojciec do dziesiątego roku jéj życia przeszedł z nią całą historyą

starożytną, geografią szczegółową Europy, liczby wielorakie i ułamki dziesiętne. Kazał jéj, jako ćwiczenia stylistyczne, pisać coraz to nowe opowiadania z głowy, które późniéj pokazywano gościom na zebraniach.

Matka miała polecone odczytywanie z nią arcydzieł prozy i poezyi polskiéj. Do języków i muzyki przychodziły nauczycielki z miasta.

Do lat jedenastu kształciła się w domu. Zacząwszy rok dwunasty, zdała po wakacyach egzamin do czwartéj klasy na pensyi.

Ojciec był zdania, że jedynie szkoła może dać podstawę systematycznéj wiedzy, któréj się inaczéj nie nabędzie, a bez któréj giną najświetniejsze umysły. Miał na myśli siebie, nie wypowiadał tego jednak nigdy głośno.

Na pensyi Celinka, przyzwyczajona do ciszy domowéj, do swoich kącików, w których myślała i marzyła, znalazła się, jak w otchłani.

Gwar, chaos, cogodzinne dzwonienie, nawoływanie nauczycielek, piski i skoki koleżanek podczas pauzy przygniatały ją. Zdawało jéj się, że wszystko, co przemarzyła o ludziach, którzy się kochają, o cudownych krajach, do których serce jéj się rwało, gdy o nich czytała, że wszystkie myśli, jakie dotąd przebiegły jéj po główce pierzchną odrazu w tém hałaśliwém piekle.

Szła rano, pełna niechęci; wracała z bólem głowy.

Nie skarżyła się jednak, ponieważ ojciec twierdził, iż przejść musi przez niejednę trudność, zanim się czegoś dobije.

Im była starsza, tém więcéj ją męczyła przymusowa, nudna, szematyczna praca szkolna.

Trudno jéj było oddychać duszném, przez kilkadziesiąt ust z jednego niewielkiego pokoju czerpaném powietrzem.

Ciężar padał jéj na piersi, gdy wchodziła do klasy; siadała w ławce przed pulpitem i przez pięć godzin z rzędu, z małemi przerwami, musiała słuchać jednostajnego, po większéj części nudnego i męczącego wykładu profesorów, kulawéj przełożonéj lub roztargnionych dwóch nauczycielek.

Z początku starała się bardzo pilnie uważać. Mogła była powtórzyć każde słowo najnudniejszego ze wszystkich nauczyciela geografii. Po pewnym czasie wyczerpał się zasób natężonéj uwagi. Myśli odbiegały od tego, co było mówione w klasie, i tworzyły sobie swój własny, odrębny kierunek.

Rozpoczęła się dla niéj epoka filozofowania.

— Co znaczy nasze życie?— pytała sama siebie. — Do czego nas ono doprowadzi? Czy ze śmiercią kończy się ono na prawdę czy tylko pozornie.

Jeden z nauczycieli podsunął jéj raz w klasie myśl o światach, zaludnionych w przestrzeni nadpowietrznéj istotami, o których wiedza nasza nie może sobie dotąd wytworzyć nietylko ścisłego, ale nawet przybliżonego pojęcia.

Odtąd zaczęła rozważać: „Czy te istoty są doskonalsze od nas, czy potrzebują tak, jak i my, odżywiać się pokarmami, na które ciężko trzeba pracować? Może tam powietrze samo nasyca je i wzmacnia, zastępując im sen, który tyle czasu zabiera?“

Jak one wyglądają? Jak przychodzą na świat? Jak mieszkają? Jak się ubierają? Jaka roślinność i jaki klimat u nich?

Myślała o tém podczas nudnych wykładów geografii i niemieckiego, podczas zadawanych w klasie ćwiczeń arytmetycznych i tłómaczeń z ruskiego na francuski.

Najczęściéj—albo nie zdążyła skończyć zadania, albo gdy ją wywołał nauczyciel do lekcyi, — otwierała oczy szeroko, jakby zbudzona ze snu, i prosiła o powtórzenie pytania.

W cenzurach miała przy piątkach ze sprawowania dopisane: „roztargniona.“ To jéj przeszkadzało do otrzymywania nagród.

Ojciec rozpaczał.

— Ze swemi zdolnościami—mówił do niéj—powinnaś być pierwszą we wszystkiém. Pracuj i panuj nad sobą. Za kilka lat będziesz zupełnie swobodna: będziesz mogła myśléć, ile zechcesz. Tymczasem—staraj się być pierwszą w szkole: to ci zapewni dalszą karyerę...

Pomimo zachęcania jéj do pracy szkolnéj, napędzał ją do spisywania myśli, gdy mu się skarżyła, że jéj one mózg oblegają, że nie może ich odpędzić nieraz, choć walczy z niemi, by uważać na lekcyi.

Wróciwszy z pensyi, siadała przy stoliczku swoim i pisała; pisała nieraz do późnego wieczora. Już rodzice spali i na ulicach było zupełnie spokojnie, gdy zaczynała się uczyć lekcyi na dzień następny.

Notowała to w formie pamiętnika, albo listów do przyjaciółek urywki swego filozofowania; to tworzyła legendy o doskonalszych od człowieka istotach, owiane mistyczną wiarą w postęp nauki i pracy.

Chowała drobno zapisane arkusze papieru, myśląc sobie, iż z czasem obrobi je dokładniéj.

Ojciec wynajdywał je i odczytywał pokryjomu znajomym, którzy, kiwając głowami, powtarzali:

— To rzeczywiście coś niezwyczajnego!...

Na pensyi zaczęto się zachwycać jéj wypracowaniami.

Nauczyciel polskiego zadał kiedyś temat: „Poranek na wsi.“

Opisała drżenie i tęczowo-dyamentowy połysk rosy na krzaczastych łodygach szparagów. Rumianki o owalnych, białych języczkach

i wypukłych żółtych główkach rozmawiały z macierzanką, wrzosem, jaskrami i liliową cykoryą o przeobrażeniach w przyrodzie. Białe motyle, tylko co wyklute z poczwarek, i pszczoły, przerabiające na miód kwiatowe pyłki,—wtórowały echem. Drgający promień słoneczny szeptał o przechodzeniu ruchu w ciepło, ciepła w światło.

I tylko rosa, kwiaty, motyle, słońce pytały: „Skąd życie? Skąd siła ruchu? Skąd niezmienne, stałe, prawidłowe w swéj nieprawidłowości prawa przyrody?...“

Nazwano ją filozofką. Koleżanki mówiły do niéj:

— Jakaś ty mądra! Dlaczego żadnéj z nas nie przyjdzie to, co tobie do głowy?...

Jedna z nich, marzycielka Ania, napisała do niéj list podczas lekcyi robót.

„Jesteś dla mnie gwiazdką — zaczęła — któréj blask olśniewa mnie i upaja. Migoce ona coraz to nowém światłem, a zawsze uroków pełném...“

„Bądź moją przyjaciółką — kończyła, — poznawszy ciebie, nie mogę już kochać innéj. Będę się starała zgadywać twoje myśli. Kiedyś staniesz się sławną: pogardzisz może mną wtedy, ale ja zawsze kochać i uwielbiać cię będę...“

Profesorowie mówili o niéj do przełożonéj: „tęga to głowa.“ Damy klasowe wyróżniały ją na każdym kroku.

Celinę te pochwały czasami niecierpliwiły. Słuchając ich, mówiła sama do siebie: „tak mało jeszcze umiem. Tyle trzeba pracować, żeby się czegoś nauczyć!...“

I zdawało jéj się, że nigdy nie przyjdzie dla niéj ta chwila, w któréj zrzuci z siebie jarzmo szkolnéj nauki, stanie samodzielnie i zasłuży sama w swojém własném pojęciu na hołdy uwielbienia.

Wpadała wtedy w straszne zniechęcenie. Odrabiała lekcye z musu. Pisała wypracowania, przystosowane ściśle do danego szematu, nie wybiegające żadnym zwrotem po za wskazany zakres.

Ani, która jéj powtarzała często: „jakaś ty mądra, jak ty wszystko umiész!...“ odpowiadała opryskliwie: „daj mi święty spokój z temi nudnemi i głupiemi hymnami uwielbienia!...“

To znowu—innym razem—usłyszane w przelocie słowa podziwu dla jéj zdolności, odurzały ją jak narkotyk. Doznawała wrażenia rozkoszy. Przymykała oczy i całemi godzinami myślała o swéj przyszłości.

Czuła, że przerosła umysłem o wiele wszystkie swoje koleżanki i rówienniczki. Czuła w sobie natchnienie. Wiedziała, iż z czasem imię jéj stanie się głośne. Widziała się w salonach literackich. Ci

i owi składają jéj hołdy, szukają znajomości z nią: uważają za zaszczyt każde otrzymane od niéj słowo...

Z marzeń takich budziła się albo senna, ociężała, z głową zwisającą na piersi, z zamglonemi oczami, z wypiekami na twarzy, jak po zażyciu opium... Albo też wpadała w gorączkową chęć czynu i wiedzy.

Przerzucała wszystkie książki w bibliotece ojca.

Umiała już prawie każdą na pamięć: nic jéj do nich nie ciągnęło. Szkice Szajnochy, Listy Kremera, Estetyka Libelta, poezye Krasińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Ujejskiego, i cały szereg przebrzmiałych już dawno powieści historycznych...

Chciała czegoś nowego, czegoś, coby ją odżywiło i dało nowy prąd myślom...

Zwierzyła się z tém kiedyś Ani. Ania przysłała jéj zaraz nazajutrz piętnaście tomów najświeższych wydawnictw.

Były między niemi: „Dzieje cywilizacyi“ Buckla, „O powstawaniu gatunków“ Darwina—Schmidta, kilka luźnych odczytów z dziedziny przyrody, „Wielość światów“ Flammariona, a wreszcie „Krytyka czystego rozumu“ Kanta.

Rozpoczęła się dla Celiny mrówcza praca od wczesnego rana do późnéj nocy.

Na lekcyach pod stołem czytała. W domu podczas obiadu, po obiedzie, przy kolacyi nie wypuszczała książki z rąk.

Rodzice z dumą pokazywali sobie wzrokiem zaczytaną córkę. Matka tylko prosiła jéj, aby nie zaniedbywała muzyki. Ojciec przypominał o odrabianiu zadań szkolnych.

— Przedewszystkiém szkoła — powtarzał kilka razy w ciągu dnia—to pierwszy stopień zawsze i wszędzie. Kto go ominie,—niczém w dalszém życiu nie zapełni wielkiéj szczerby.

Chcąc dogodzić matce, grywała całą godzinę gamy z książką, rozłożoną na pulpicie.

Chcąc dogodzić ojcu, uczyła się lekcyi na pensyą, gdy już nie mogła czytać, gdy umysł, znużony, już nie przerabiał chwytanych myśli, gdy zmęczony wzrok mylnie nieraz wskazywał literę.

Siedziała nad książkami długo w nocy; połykała każdy rozdział; kończąc jeden, pytała z rozognionemi policzkami: „co będzie w drugim?...“

Tysiące myśli z pomiędzy tych, co się przed nią w książce odsłaniały, już miała przedtém sama w głowie, tylko mniéj jasno sformułowane, niedomówione, czasami zupełnie ciemne, jakby zaledwie przeczuwane...

Serce jéj biło; oczy pałały; doznawała uczucia rozkoszy i dumy

na widok wydrukowanych, przez głębokich myślicieli wypowiedzianych pojęć, które ją w głębi mózgu nurtowały...

Gdy przeczytała coś zupełnie nowego, coś, co jéj dotąd nie przeszło jeszcze przez wyobraźnią,—zastanawiała się nad tém długo. Przerabiała myślą tysiąckrotnie zdania lub całe okresy, które ją uderzyły, szukając przykładów na ich potwierdzenie.

Przetrawiła około trzydziestu tomów bez najmniejszego wyboru. Chwytała to, co jéj przynosiła przyjaciółka i połykała całe dzieło, nie patrząc czasami na jego tytuł.

Płakała, jeżeli czegoś nie była w stanie zrozumiéć.

Doszedłszy do ostatniéj książki, jaka leżała na półkach jéj nad szkolnemi kajetami, zaczęła przerzucać kartki obojętnie, biernie.

Nie mogła w nich znaleźć już nic nowego: myśli, dawniéj znane, powtarzały się.

Powiedziała sobie, że wszędzie mniéj więcéj czyta się jedno i to samo z małą zaledwie odmianą formy i stylu: poznać jednę książkę — jest to znać ich tysiące. Jeden autor okrada drugiego; późniejszy przerabia to, co powiedział przed nim wcześniejszy.

— Czy warto pisać?

Pytanie to po raz pierwszy przeszło jéj przez głowę i utkwiło w niéj, jak ćwiek, wbity w mózg silną ręką.

— Nie—odpowiadała sama sobie powoli, marszcząc brwi i patrząc w jeden punkt nieruchomo — bo i cóż nowego możemy stworzyć, my, którzy jak pasorzyci żyjemy myślami i teoryami tych, co przed nami działali i tworzyli?

Straciła chęć do czytania zupełnie. Potrzeba pisania stawała się dla niéj katuszą: byłaby stokroć szczęśliwsza, nie znając jéj wcale. Bo i cóż mogła stworzyć takiego, czegoby ktoś przed nią lepiéj i dokładniéj nie przedstawił?...

Z całym wysiłkiem zgnębionego umysłu rzuciła się do szkolnéj pracy.

Siebie tém nie zadowolni, lecz dogodzi ojcu przynajmniéj.

Termin ostatecznych egzaminów już się zbliżał. Ania przychodziła do niéj codzień: razem przygotowywały się, razem powtarzały gramatykę, składnią i literaturę, przerabiały z podręczników zadania arytmetyczne, wypisywały historyczne daty i przesłuchiwały jedna drugą.

Pracowały po szesnaście do dwudziestu godzin na dobę. W dzień orzeźwiały się krótką przechadzką; w nocy piły szklankami mocną czarną kawę lub wyciąg herbaty, aby nie zasnąć.

Ania przed czwartym egzaminem zachorowała i musiała wyjechać na wieś z polecenia lekarzy.

Celina w dalszym ciągu uczyła się sama.

Nieraz w nocy, pochylona nad książkami, usypiała na chwilę. W tém—cóś ją podrywało. Doznawała przykrego uczucia, jakby ktoś w samo jéj serce zapuścił ostrze cienkiéj igły. Krew tętniła mocno i pozostawał drażniący ból. Chciała go przerwać, oddychając długo, ale pozostawał głęboko i coraz bardziéj męczył.

Czasami, siedząc przy otwartém oknie, wśród takiéj ciszy, usłyszała puls własnych skroni, — kładła książkę na kolana i patrzyła w gwiazdy nad dachami domów.

— Jak się tam oddycha? Czy ludzie naszéj planety znajdą kiedy sposób porozumiewania się z mieszkańcami tych światów, o których mówimy, że „błądzą wśród eterów?...“

Pytania biegły za pytaniami. Patrzyła ciągle to w błękit, to w głuchą nadpowietrzną próżnią, póki powieki, zmęczone, nie opadły.

Budził ją szelest.

Matka, nie słysząc przez sen szmeru przewracanych kartek książki, wstawała z łóżka i przychodziła do córki. Całując ją w czoło: pytała: „dużo masz jeszcze do przeczytania?...“

Litowała się nad nią, gdy pokazywała szereg nieprzejrzanych pytań. Przynosiła z szaf łakocie i pocieszała, mowiąc: „już niedługo. Za parę tygodni będziesz odpoczywała. Pozwolę ci wtedy spać do południa i zapowiem wszystkim w domu, aby ciebie nie budzili...“

Odchodziła, wzdychając ciężko. Do męża, który, przebudzony odgłosem jéj kroków, pytał: „co to jest takiego?“ — mówiła: „to biedne dziecko jeszcze siedzi nad książką. Żebyż już raz z tém skończyć!...“

Celina przed ostatnim egzaminem dostała ataku nerwowego płaczu na pensyi. Przełożona zaprowadziła ją na dół do siebie i kazała jéj odpocząć. Gdy się uspokoiła, wezwano ją napowrót na górę, aby odpowiadała na wyciągnięte pytania.

Mówiła z wysiłkiem. Zdawało jéj się, że w mózgu miała próżnię, jak gdyby zeń wywiano wszystkie myśli.

Chwilami jakieś niedorzeczne słowo cisnęło jéj się na usta: musiała walczyć sama z sobą, aby go nie wypowiedziéć...

Zdała zaledwie na czwórkę.

Wróciła do domu rozgorączkowana. W uszach jéj huczało. Mózg coś rozpychało. Czuła w nim jakby obracający się świder.

Rodzice robili przygotowania do popisu. Po skończonym akcie obiecywali jéj mnóstwo przyjemności.

Jéj to nie cieszyło. Była zmęczona. Chciałaby zasnąć na rok

cały bez przebudzenia, a nie mogła spać, gdy się położyła, choć było cicho dokoła niéj.

Czasami, choć oczy miała otwarte, leżąc, i nawet nie drzémała,— szereg widziadeł obsiadał jéj wzrok.

Powykrzywiane twarze nauczycieli, kulawa noga przełożonéj, wysokie szpilkami najeżone mikado damy klasowéj,—wszystko to tłoczyło się na nią. Chciała wstać, aby odpędzić od siebie nieznośne obrazy.

Nie mogła. Była, jak w letargu, przykuta do łóżka, bezwładna. Szarpał ją tylko bol w kościach ostry, przeciągły, jak przed długą, ciężką chorobą.

W dzień popisu z rana już nie wstała zupełnie. Każdego, co wchodził do niéj, prosiła o wodę. Trawiło ją niczém nie ugaszone pragnienie. Zdawało jéj się, że grzbiet języka suchy, sztywny i ostry, jak ściągnięta zgrubiała skóra przyrósł do podniebienia. Głowa jéj pałała. Ręce drżały. Na twarzy miała wypieki. Bredziła nieprzytomnie o małych ludziach, co się gnieżdżą za ścianami, w suficie i pod kołdrą jéj, — o wysokich ludziach z drugiego świata, w długich, prostych sukniach, jak koszule; o tym panu brzydkim z potarganą brodą, co człowieka wyprowadza od małpy.

Siadała na łóżku nieprzytomna i wołała Ani lub matki, lub ojca, nie poznawała, gdy które z nich podeszło ku niéj.

Lekarze uznali tyfus w połączeniu z zapaleniem błon mózgowych.

Miesiąc trwało niebezpieczeństwo; drugi miesiąc — zupełna bezwładność choréj.

Gdy zaczęła cokolwiek przychodzić do siebie, — sadzano ją na łóżku, opierając o całe stosy poduszek i tak, jak dziecku, dawano kawałek gałganka lub papieru w rękę, by się bawiła i nie narzekała na nudy.

Po paru tygodniach wpadła w szalony, żarłoczny apetyt chorych, których przetrawiła gorączka.

Leżąc bezczynnie, długiemi godzinami rozmyślała nad tém tylko, co będzie jadła i piła za godzinę. Obliczała każdą minutę, zbliżającą ją do téj godziny. Tupała nogami o poręcz łóżka, rwała sobie włosy z głowy, gdy się spóźniono z przygotowaniami obiadu, śniadania, podwieczorku, albo kolacyi. Płakała, gdy jéj nie dawali tego, na co miała chęć.

Przez całe dwa miesiące zajmowała ją wyłącznie myśl o pokarmach, jakie spożywała.

Już organizm był nieźle odżywiony, już chora chodziła po pokoju

i za tydzień miała wyjść na ulicę,—gdy ojciec któregoś popołudnia zapytał jéj: „Czy nie chcesz, żebym ci co przeczytał?“

Pierwszy raz dopiéro od czasu choroby przyszło jéj na myśl, że książki istnieją na świecie. Z wysiłkiem starała się sobie przypomniéć, co w nich jest?

Zaczęła myśléć i myśléć; w końcu uczuła ból w głowie taki, jak przed chorobą. Położyła się na kanapie, płacząc.

W kilka tygodni później wzięła sama książkę do ręki. Spróbowała czytać: litery skakały przed jéj oczami, jak męczące mroczki. Nic nie widziała, nic nie rozumiała.

W kilka dni potém chciała napisać list do Ani, która wyjechała na wieś, aby odpocząć po pielęgnowaniu przyjaciółki w chorobie.

Pióro drżało w jéj ręku. Nie wiedziała, od czego zacząć, na czém skończyć.

Z mozołem skreśliła kilka słów.

W nocy miała gorączkę. Przez kilka dni było jéj gorzéj: czuła ciągle ciężar w głowie, jakby ktoś do czaszki przywiązał jéj worek piasku, który ją ciągnął ku tyłowi.

— To przejdzie, to przejdzie — mówił ojciec, chcąc ją pocieszyć; ale sam pokryjomu wzdychał ciężko, zdejmował z oczu okulary i obcierał chustką wilgotne od łez powieki.

Rekonwalenscencya trwała długo. Już Celina była dosyć silna, wychodziła z rodzicami na spacer, do teatru, przyjmowała wizyty, oddawała je sama z matką, a czytać i pisać zawsze jeszcze nie mogła.

List do Ani dyktowała ojcu i to ją męczyło.

Rodzice, gdy jéj nie było w pokoju, mówili do siebie: „kiedy to się skończy? czy jéj to aby przejdzie?...“

Matka płakała.

Oboje pielęgnowali ją troskliwie.

W lecie obiecywali sobie pojechać z nią na hydropatyą.

Celina z początku nie narzekała na swój stan. Zdawało jéj się, że nie mogło być inaczéj, że po takiéj chorobie, jaką ona przeszła, polepszenie musi następować leniwie. Powtarzała sobie ciągle: „za rok będę zdrowa...“

I wyczekiwała tego roku spokojnie, pewna, że nakoniec przyjdzie.

Nie usiłowała czytać, nie rwała się do pracy umysłowéj.

Chwilami miała złudzenie, że drugi raz żyje na świecie: tak ją zajmowało to, na co dawniéj nie zważała.

Karmiła wróble, gromadzące się przed jéj oknem; śledziła całemi godzinami pająka, snującego przędzę w kąciku jéj pokoju i nie dawała go spędzić służącéj. Oddychała pełną piersią rzeźwém po-

wietrzem jesieni i nieraz mówiła do rodziców: „dobrze żyć na świecie!...“

Z czasem jednak zaczęły jéj wracać porywy dawnych natchnień. Brała się wtedy do pracy: chciała pisać... W uszach szumiało trochę wyrazów; w myśli migały przelotne obrazy. — Usiłowała je pozlepiać: chwytała pióro do ręki, po kilku minutach rzucała je jednak...

Mózg nie mógł kombinować: czuła w nim straszny ciężar...

Mgła zasłaniała jéj oczy; coś rozpychało czaszkę z wewnątrz, jak gdyby w środek głowy włożoną miała sprężynę, która się rozkręcała i rosnąc, rozluźniając się, dotykała skroni, chcąc ją w bólu rozerwać...

Łzy napływały jéj do oczu: zrywała się, darła papier, zasłaniała oczy i płakała, łkając głośno...

Nieraz—po ciężkim śnie—budziła się rano z przykrém uczuciem niedopełnionego, a ciążącego na niéj zadania.

Miała talent, którego nie spożytkowała; miała chciwość wiedzy, któréj nie wyzyskała; każdy przechodzień uliczny mógł pokazywać ją palcami, jako pasorzyta społecznego, bo żyjąc na świecie lat siedmnaście, jeszcze nic takiego nie zrobiła, by się komuś mogła stać pożyteczną.

Nie tłómaczyła sobie, z czyjéj to winy; nie usprawiedliwiała siebie kosztem smutnych okoliczności: wpadała w głuchą, beznadziejną rozpacz...

Całemi godzinami siedziała wówczas milcząca, w jeden punkt wpatrzona, nie słysząc pytań, jakie jéj zadawano, nie widząc kręcących się dokoła niéj ludzi...

Po kilku dniach stan ten przechodził; budziła się znowu do życia i nie znając dawniéj nigdy drobnych, powszednich, gospodarskich zajęć, rwała się do nich, nie chcąc być bezczynną...

Sprzątała, szyła trochę, pomagała matce w krzątaniu się po kuchni z zapałem.

Po pewnym czasie jednak buntowała się znowu jéj ambicya.

Być niczém w obec tego, co przemarzyła od lat dziecinnych,—to okropne, straszne, nie do zniesienia!...

Opanowywał ją słaby odblask dawnéj gorączki wiedzy: otwierała szafę z książkami i zaczynała szperać między niemi.

Sama nie wiedziała, do czego się weźmie, ale musi coś robić; codzienne zajęcia koło domu nużą ją, męczą i nudzą niesłychanie. Musi się raz od nich uwolnić, musi się wydostać z zaklętego koła powszedniości, w którém żyć nie może.

Przychodziło jéj do głowy opracować jedną z filozoficznych le-

gend, które miała u siebie w biurku między szkolnemi książkami i kajetami.

Myśl ta ożywiała ją.

Brała pierwszy z brzegu rękopism i z ołówkiem w palcach zaczynała go czytać.

Po przetrawionych kilku pierwszych kartkach uczuwała zamęt w głowie, potém — już nie rozumiała wyrazów, które przebiegała oczami...

Z głośném łkaniem rzucała się na kanapę.

Niecierpiała życia w téj chwili. Co jéj po takiém ciągłém szamotaniu się z sobą? Może je przerwać każdéj chwili...

Podnosiła głowę. Łzy wysychały na jéj powiekach. Patrzyła przed siebie w jeden jakiś punkt, którego nie widziała...

Serce jéj zaczynało bić gwałtownie.

Przecież starganie życia tylko od niéj saméj zależy. Kto prócz własnéj jéj woli może jéj w tém przeszkodzić?

Wstawała i chodząc po pokoju myślała, jak się zabić?...

Widziała się na katafalku. Ludzie ją oglądali, mówili o niéj, pisali we wszystkich dziennikach o jéj samobójstwie...

Doznawała wzruszenia: zaczynała płakać sama nad sobą—to jéj przynosiło chwilową ulgę...

Mówiła sobie: „poczekam do jutra, może mi będzie lepiéj...“

Coby zrobili rodzice, gdyby ją tak nagle stracili?

Żal jéj dwojga staruszków; ma obowiązki względem nich. Musi żyć dla nich, choć żyjąc tak strasznie się męczy...

Powtarzała sobie, że poczeka do jutra i jeżeli jutro nie będzie lepiéj, to przedsięweźmie coś stanowczego... Zdarzało się, że po tym podobnych walkach szła nieraz z rodzicami wieczorem do teatru na jakąś komedyą, zaopatrzoną w mnóstwo komicznych epizodów.

Publiczność śmiała się do rozpuku. Po skończonych aktach wywoływano artystów bez miary i bito im huczne brawo.

Ogólna wesołość i jéj się udzielała; śmiała się również do łez, a śmiech ten, jak płacz przed kilkoma godzinami, przynosił jéj ulgę,— czuła lekkość i wstępującą w siebie nadzieję...

Po powrocie, położywszy się do łóżka, marzyła z otwartemi oczyma o przyszłéj swojéj literackiéj pracy, o tryumfach, jakie ją będą spotykały...

Zasypiała wśród marzeń tych mocno niespokojnym snem chorego, zmęczonego umysłu.

Nazajutrz wstawała z głową ciężką i z uczuciem obciskających się około skroni żelaznych obręczy.

Znowu patrzyła na wszystko, jak przez mgłę. Myśli przycichały.

Zaczynała się dla niéj bezczynność jednostajna, długa, w ciągu któréj doznawała chwilami nudy; ale już się nie buntowała, nie usiłowała porwać i zdeptać gnębiących ją pętów umysłowéj niewoli.

Spokojna, zrezygnowana, myślała sobie:

— I cóż mam począć? Los chce, żeby było tak, jak jest: nie może się stać inaczéj.

W głębi jéj umysłu powstawała silna, niezbita wiara w ślepe *fatum*. Jak muzułmanin osładzała sobie złą dolę tém *credo*.

Jeżeli los zechce, to ozdrowieje, i będzie mogła uczyć się daléj, pisać, zostać kiedyś sławną, a jak nie, to widocznie w tém życiu nie daném jéj jest dotrzéć szczytu wszystkich swoich marzeń.

Mimowoli myśli, błądzące po głowie leniwie, zbiegały się w niejasne wyobrażenie przyszłego życia, przez które ona, jak człowiek, przejść jeszcze musi, i w którém jéj będzie lepiéj niż teraz...

Przychodziły potém długie tygodnie, w ciągu których mózg jéj nie pracował zupełnie: nie myślała o niczém i nie tęskniła za myśleniem.

Wstawszy z rana, sprzątała swój pokoik, szyła trochę, trochę grała, podczas obiadu śmiała się z łysiny ojca, aby ją potém ucałować i upieścić. Po obiedzie wychodziła z matką na spacer albo za sprawunkami. Wieczorem oddawała wizyty z rodzicami, albo wraz z niemi bawiła gości w domu zupełnie swobodnie, bez wyrazu troski lub zamyślenia w twarzy.

Zdawało jéj się wówczas, że nie jest sobą, że za nią mówi i chodzi inna jakaś, całkiem do niéj niepodobna istota, istota bez czucia i mózgu...

Nie było wrażenia, któreby nią mogło wstrząsnąć wówczas do głębi. Kręciła się, jak automat o dużéj sile.

Otoczeniu swemu w tym stanie wydawała się najsilniejsza i najzdrowsza. Matka mówiła do ojca:

— Celince jakoś lepiéj. Może téż Bóg da...

— Może Bóg da...— odpowiadał ojciec.

Oboje wzdychali, nie domawiając celu tych westchnień. Każde z nich w duszy myślało sobie:

— Może jéj talent odżyje; może nas nadzieje nasze nie zawiodą...

Kiedyś, po kilkotygodniowém takiém zobojętnieniu, na nowo zadrżała żądzą twórczéj pracy.

Cały dzień krążyły po jéj mózgu obrazy i myśli, przyciemnione, jak coś, co się ma wykluć dopiéro z zarodka.

Przymykała oczy i pieściła je, jako zwiastunki czegoś dobrego.

Umysł jéj zaczął żyć: coś się w nim poruszało.

Wieczorem, wróciwszy ze spaceru, po herbacie, zamknęła się w swoim pokoju.

Postanowiła dziś spróbować pisać. Usiadła przy biurku. Drżącą ręką położyła przed sobą arkusz papieru i wzięła pióro w palce.

Skupiła całą uwagę, aby z chaosu krążących po głowie od rana myśli ułożyć jakiś wątek.

Przed kilkoma laty wypisała z jakiegoś dzieła historycznego opowiadanie o wielkim muzyku, który tak jak ona, przez długi czas nie mógł tworzyć.

Dziś, wspomnienie o nim opanowało umysł jéj od rana. Opisy cytrynowych, pomarańczowych gajów, wśród których przemarzył młodość swoję, szemrały jéj po głowie.

Zaczęła pisać. Po pierwszych kilku zdaniach jednak uczuła, że nie jest w stanie dotrzéć do jądra obrazów, tkwiących w zakątkach jéj własnego mózgowia: chwytała je powierzchownie. Niewyraźne, przyciemnione, zaledwie zlepiały się w słowa.

Rzuciła pióro i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

— Co warte takie życie?

Myśli jéj ogarnął jeden bunt szalony. Nerwy drgały. Skronie pulsowały, serce biło mocno i szybko: czuła tętno jego aż w krtani, którą coś ściskało i dławiło.

Rodzice spali już oddawna. Nikt nie mógł jéj usłyszéć. Płakała coraz bardziéj: głośne łkanie rozrywało jéj piersi.

Ściskała skronie rękami, i biegając po pokoju, szeptała sama do siebie ciągle, prędko, bez końca:

— Czy warto żyć? czy warto żyć?...

Naraz stanęła. Wstrzymała oddech; serce jakby bić przestało: nie słyszała już jego uderzeń. Łzy z oczu przestały spływać; uczuła nagłą jasność w głowie. Połysk nieoczekiwany, niespodziewany, przebiegł przez mózg i rozświetlił każdy jéj zmysł.

Oczy widziały wszystko wyraźnie, nie jak za mgłą: mogłaby czytać w téj chwili dwutomowe dzieło bez zmęczenia. Czuła tak dokładnie, że mogła była wskazać palcem kierunek fal powietrza, przenikającego przez szpary okien.

Zbliżyła się do jednego z nich i z pod zielonych, blaszkowatych liści, małéj, przysadzistéj roślinki poobrywała czerwone jagódki, osadzone na cienkich, króciutkich szypułkach.

Palce jéj trochę drżały, ale to tylko chwilowo. Zresztą, czuła zupełny spokój.

Zgasiła lampę i łykała jednę jagódkę po drugiéj, nie rozgryzając grubego purpurowego naskórka.

Znowu serce zaczęło bić: znowu ogarnął ją niepokój.

Połknęła wszystkie, a za godzinę, może za dwie—umrze...

Przed dwoma tygodniami Ania ze wsi przysłała jéj doniczkę z kwiatem, a któraś z pań znajomych powiedziała, że czerwone jagody zawierają mocną truciznę.

Może za chwilę będzie się wiła w strasznych męczarniach?

Położyła się na kanapie:

Zamknąwszy oczy, czuła taką ciszę wewnątrz siebie, jak gdyby była już w grobie,

Myślała trochę o rodzicach: będą na razie bardzo rozpaczali, ale się z czasem przecież może pocieszą.

Wężmą do siebie Anię, którą matka, mając więcéj dzieci, pewnie im odda: Ania zastąpi ją we wszystkiém, będzie ich bardzo kochała...

Płakała spokojnie. Łzy spływały po policzkach jéj do ust, to na brzegi szyi.

Lepiéj, że umrze: po co żyć na świecie? Nie ma w sobie już nic takiego, coby ją do bytu na ziemi zachęcało: jest strasznie zmęczona. W głuchéj grobowéj ciszy odpocznie.

Koniec, koniec, koniec...

Zdawało jéj się, że zapada w letarg. Niby jeszcze czuwa, śledzi bieg myśli, krążących po głowie, chwyta jakiś szelest, może spuszczanie się ulubionego pająka po ścianie, a nie może się poruszyć.

Leży nieruchoma jak kłoda drzewa...

Po pewnym czasie zaczęła oddychać równym miarowym oddechem człowieka śpiącego smacznie.

Po północy wstała bezwiednie, rozebrała się i przeszła na łóżko.

Nazajutrz już było późno, kiedy matka stanąwszy nad nią, obudziła ją wzrokiem.

Otworzyła oczy, nieprzytomna. Na razie nie wiedziała gdzie jest, co się z nią dzieje?

Powoli przypomniała sobie wszystko...

Co to znaczy? Miała nie żyć: czy może śmierć jest złudzeniem? Może człowiek umiéra tylko dla świata, dla otoczenia swego, dla tych, co go widzą na marach, co go chowają w ziemi? A sam dla siebie może żyje w dalszym ciągu takiém samém, jak poprzednie życiem?

Ale skąd otoczenie to samo, co i przedtém? Skąd warunki bytu do tamtych dawniejszych podobne?

Spojrzała badawczo w twarz matki: żaden rys jéj nie jest inny od tych, jakie wczoraj widziała. Rozejrzała się po pokoju. Wszystko tu tak samo, jak było.

Wstała powoli i podeszła do lustra.

Ona się też nie zmieniła: powieki jéj tylko trochę nabrzękły, ale to ze snu ciężkiego.

Ubierała się leniwie, pytając sama siebie ciągle:

— Co to jest? co to znaczy?...

W mózgu aż się coś przewracało od tego pytania, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi. Głowa jéj ciężyła i oczy ją paliły.

Matka pomogła jéj w czesaniu, nagląc o pośpiech.

Za godzinę mieli iść wszyscy troje do teatru na przedostatnie południowe przedstawienie trupy francuskiéj, która odjeżdżała nazajutrz.

Ojciec wcześnie wrócił z biura: zjedli razem śniadanie i wyszli.

Ostre, chłodne powietrze owiało głowę Celiny.

Wydało jéj się naraz, że cały wczorajszy wieczór był snem tylko, że jéj nie spotkało nic złego i nic smutnego.

Wzięła ojca pod rękę, żartując i śmiejąc się, że go odbija matce.

Rozmawiała wesoło, zachwycała się słońcem, odbijającém jaskrawo od tła gładkich, wyszlifowanych płyt kamieni, po których stąpali.

Nie czuła bólu głowy. Ogarnął ją tylko dziwny niepokój. Pociągnęła ojca za sobą i przyśpieszyła kroku, chciała jaknajprędzéj usłyszéć artystkę, którą się świat cały zachwycał.

Teatr był pełen. Celina wraz z rodzicami przyszła już po podniesieniu zasłony.

Scena była zastawiona ogromnym stołem, przy którym ucztowali panowie i panie w strojach balowych.

Jedna z artystek, najszczuplejsza i najwyższa, w białéj sukni, z białemi kameliami na piersiach i we włosach, podniosła toast dźwięcznym, pełnym wibracyi głosem.

Ta sama artystka w następnym akcie po wybuchach zdenerwowania, gniewu i szalonéj wesołości, gdy nikogo nie było przy niéj, oparta o framugę okna, zapatrzyła się na gromadkę rozbawionych dzieci w mieszkaniu biednego wyrobnika naprzeciwko.

— Czemu ja nie mam dzieci?—mówiła.—Jaka to rozkosz gładzić małe, pachnące główki, całować oczęta, ciekawie na wszystko patrzące. Czemu jestem samotna, wydziedziczona, nieszczęśliwa?

Taki żal, taka rozpacz była w jéj słowach, że wszyscy płakali. Przyćmione światła kinkietów nawet zdawały się drżéć łzami roztęsknionéj, smutnéj kobiety.

Po pieszczotach jéj z kochankiem, po wielkiéj, świetnéj scenie balowéj, przyszedł nakoniec akt piąty, a w nim agonia choréj, zmęczonéj życiem suchotnicy.

Artystka cichym lecz wyraźnym głosem przeszła całą gamę uczuć rzewnéj tęsknoty za nieobecnym ukochanym.

Po wielkim jéj, w połowie przedartym okrzyku radości na widok Armanda, który w końcu przyjechał — po sztucznėm, nerwowém podnieceniu chwili, po uściskach i pocałunkach z kochankiem, Małgorzata—skonała.

Celina nie słyszała słów jéj ostatnich, gdyż były wyszeptane zaledwie gorączkowo, prędko, prawie do ucha Armanda, lecz widziała ją, jak wyrwawszy się z objęć ukochanego, postąpiła szybko naprzód sceny, wydłużyła się, jakby urosła w oczach publiki, a potém wyprężyła się nagle, zesztywniała i padła na ziemię z trupią bladością na twarzy, z bezmyślnym, szklistym wyrazem pół przymkniętych oczu...

Część publiczności zaczęła wychodzić; reszta — wywoływała artystkę, bijąc głośne brawo, tupiąc nogami, laskami i parasolami uderzając o podłogę galeryi i paradyzu.

Celina od chwili pierwszego ukazania się przed spuszczoną zasłoną zmartwychwstałéj artystki nie odrywała wzroku od sceny.

Patrzyła nieruchomie w jeden punkt: w oczach jéj widniało zdumienie i osłupienie.

Rodzice kilka razy już wołali na nią:

— Celinko, wstań, musimy wracać do domu!

Zdawała się albo wcale słów ich nie słyszéć, albo téż wstrząsała tylko głową przecząco, patrząc w dalszym ciągu na scenę uporczywie, natrętnie, jak gdyby wzrokiem chciała przebić draperyą spuszczonéj zasłony.

Gdy wychodziła oklaskiwana artystka, źrenice Celiny rozszerzały się, przebiegał je nagły błysk; wychylała głowę za oparcie loży, biła rękami i poruszała ustami, jak gdyby mówiła:

— Ty i ja umarłyśmy, a żyjemy...

Artystkę wyprowadzano bez końca. Kłaniała się publice; podnosiła oczy w górę i powłóczystem spojrzeniem dziękowała za uznanie i zachwyt, jaki sobą wzbudziła.

W bocznéj loży drugiego piętra dwoje staruszków wołało ciągle:

— Celinko, chodźmy już: spóźnimy się na obiad!

Zaczęto gasić światła; publiczność z galeryi i z paradyzu schodziła tłumnie; pozostawał tylko jeszcze tu i owdzie ktoś szukający jakiejś zguby; zawieruszonéj gdzieś w kącie mufki, czapki lub parasola, gdy Celina poruszyła się i wstała z krzesła.

Matka włożyła jéj czapeczkę na głowę; ojciec ubrał ją w futerko: poddawała się machinalnie temu, co z nią robiono.

Wyszli na ulicę.

Ciemno było zupełnie. Śnieg gęstemi płatami zasypywał ulicę. Co się zrobiło ze słońcem? Co się stało z czystemi, gładkiemi, błyszczącemi płytami, po których szli w tamtą stronę?

W oczach Celiny drgały światła teatralnych kinkietów i żyrandoli, poruszała się też cała fala pstrych głów, na które patrzyła z loży.

Na ulicy otoczył ją zmrok zupełny. Gdzieniegdzie dopiéro zaczęto zapalać latarnie.

Ojciec otworzył parasol i wziął ją z jednéj strony pod rękę; matka zaś—z drugiéj.

Nagle w uszach Celiny zabrzmiały słowa:

„A prowadzą mnie pod rękę, idę tak wygodnie.
Same prawie się podnoszą zatrętwiałe nogi.
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą — nie znam żadnéj drogi.“

Śpiewny, dźwięczny, jak muzyka głos Małgorzaty powtarzał zwrotkę bez końca. Wyrazy opanowały mózg: nie mogły oderwać się od niego; gniotły go pod czaszką: zdawało się, że głowa od nich pęknie...

Wróciwszy do domu, Celina nie chciała jeść obiadu. Zamknęła się w swoim pokoju. Wieczorem, gdy rodzice do niéj weszli, zastali ją leżącą na kanapie z rękami złożonemi na piersiach. Mówiła szeptem wiersz Ujejskiego:

Na atłasie piękna, cicha,
Ręce trzyma w krzyż...

Zobaczywszy matkę i ojca, kiwnęła ręką, żeby się zbliżyli: spojrzała na nich dużemi oczyma z pod szeroko rozwartych powiek i rzekła:

— Ja już nie żyję od wczoraj. Umarłam, tylko mogę chodzić tak, jak Małgorzata na scenie po śmierci.

I późniéj, nie patrząc na nich, powtarzała bez końca.

— Ja już nie żyję od wczoraj; umarłam, tylko mnie jeszcze nie pochowali.

Albo znowu deklamowała:

— „Na atłasie piękna, cicha...“

Gdy znów spojrzała na rodziców, zdawało jéj się, że płaczą, że powieki mają czerwone i nabrzękłe.

Ojciec, podnosząc ją z łóżka, dotknął czołem jéj policzków.

Uczuła wtedy coś chłodnego na twarzy, jak gdyby krople zimnego potu spadły na nią ze skroni ojca; ale wszystko było pewnie tylko złudzeniem, jak to, że niby żyje, a przecież umarła od wczoraj...

Rozpoczął się cichy, spokojny obłęd, dla choréj niebolesny, ale męczący, ciężki, beznadziejny dla tych, co ją otaczali...

Cecylia Walewska.



Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

II.

(Dwa zbiory poezyi angielskich: *Asolando*, Roberta Browninga i *Demeter a. other poems* Alfreda lorda Tennysona. Charakterystyka ich poetycznéj twórczości).

W dniu 13 grudnia zdarzył się w rocznikach piśmiennictwa angielskiego niezwykły wypadek. Dwóch wydawców londyńskich, Smith, Elder & C. i Macmillan wypuścili w świat dwa nowe zbiory poezyi, obydwa wyszłe z pod pióra sędziwych wieszczów, *dii majores* narodowego parnasu, Roberta Browninga i lorda Tennysona. Jeden z nich liczył 78, drugi 80 lat życia i obaj stawali przed publicznością ze świeżymi, nieznanymi dotąd utworami poetycznymi. Miłośnicy poezyi zawczasu składali ręce do oklasku i zapowiadali sobie duchową biesiadę, wysławiając płodność niwy, co nie przestaje rodzić kwiatów, naigrawając się z mroźnych zimy podmuchów, gdy naraz żałobna wieść się rozeszła. W przededniu pojawienia się z druku ostatnich jego poematów umarł w Wenecyi Robert Browning. Było tragiczne przeciwieństwo w tych narodzinach duchowych i téj cielesnéj śmierci. Tę ostatnią uznała Anglia za klęskę narodową, za zaćmienie jéj gwiazdy cywilizacyjnéj. Nietylko że pod wpływem tego zgonu Browninga zbiór poezyi jego przyjaciela i współzawodnika, Tennysona, zeszedł chwilowo na drugi plan, a krytyka i publiczność zespoliła się przed przemawiającym z po za grobu *Asolando*, ale obok niego postawiono jednocześnie dawniejsze utwory głębokiego wieszcza, wywołano urocze wizye wszystkich wytworzonych przezeń postaci, zliczono klejnoty jego skarbca poetycznego. Jakichkolwiek przeciwników liczył poeta za życia, zamilkli oni teraz i byliśmy świadkami apoteozy bez żadnéj sprzecznéj nuty, a zakończonéj pogrzebem w Westminsterskiéj katedrze, w „*poets corner:*“ najwyższy to hołd jaki Anglia składa narodowym wielkościom.

Zdaje się nam właściwém uczynić w téj okoliczności tak, jak to uczyniła krytyka angielska i nie oddzielać ostatniego, pogrobowego głosu poety od strof jego dawniejszych. Jest to niezbędném, gdy się chce zestawić w kilku syntetycznych rysach fizyognomią literacką, co obejmowała swą działalnością całe pół wieku, a szczególniéj gdy się zwraca do czytelników, mających o niéj tylko mgliste i pobieżne informacye.

Robert Browning był mało znany po za obrębem anglo-saksońskiego świata. Ostatnim poetą angielskim, co się zespolił z duchową atmosferą cywilizacyjnéj publiczności, był lord Byron. Namiętności, jakiemi płonął i zapał, z jakim je wypowiadał, znalazły łatwo drogę do sympatyi powszechnéj. Ale ani Shelley, ani Landor, ani Colridge, ani Keats, ani Wordsworth, ani Rosetti, — to jest szereg poetów pierwszorzędnych, co odźwierciedlili kolejno rozmaite fazy ducha angielskiego, — nie zlali się, nie zjednoczyli z rozwojem umysłowym Europy i pozostali wyłącznie narodowemi, swojskiemi wielkościami. Nie można się dziwić, że ten sam los był spotkał Browninga, tém bardziéj, że nawet w swéj ojczyźnie, wśród swoich, nie był on przez długie lata dostatecznie znany i ceniony. Pierwsze jego poezye „Paulina“ i „Paracelsus“ datują się z 1836 roku, a chociaż pisał i wydawał prawie corocznie nowe zbiory liryków, pisał dramata i tragedye, publiczność szeroka mało go czytywała. Stopniowo i powoli dobijał się wziętości i sławy wśród wykształconych warstw społeczeństwa; u masy popularnym nie był i być nie mógł. Nie rozumiała ona tego wieszcza głębokiego, poważnego, pełnego wiedzy, najeżonego dziwaczną erudycyą, traktującego przedmioty i wybierającego jakby umyślnie epizody dalekie od swojskiego ogniska i całkiem mu obce, piszącego w sposób abstrakcyjny, trudny do zrozumienia dla niewtajemniczonych i językiem nieraz szorstkim, gardzącym ułudą formy i melodyjnością dźwięków. Ale społeczeństwo angielskie jest bezwątpienia jedyném jeszcze, gdzie się cześć i miłość dla poezyi przechowała, gdzie się nie ograniczają krytycy urzędowi do wzmianek i panegiryków o niéj wśród publiczności stanowczo dla niéj obojętnéj. W Anglii poezya jest czytaną i odczytywaną, stanowi składową część umysłowego kapitału narodu, i nie ma poety, któryby nie miał swych wyznawców, czcicieli swojéj parafii i swojéj kapliczki. I Browning z biegiem czasu wyrobił sobie swoich i to nawet fanatycznych wielbicieli, którzy utorowali mu drogę do sympatyi ogólnéj. Zdarzyło się zapewne słyszéć czytelnikom o licznych i siecią swą pokrywających anglo-saksońskie kraje *Browning societies*. Pierwsze z tych towarzystw literackich utworzone zostało w 1881 r. przez p. F. J. Furnivall'a, długoletniego sekretarza Towarzystwa filo-

logicznego, założyciela kilku innych, jak np.: Chaucer'a, Ballad, nowo-szekspirowskiego Towarzystwa, etc. Celem jego było wspólne odczytywanie, studyowanie, komentowanie utworów poetów, wynajdywanie w nich przewodniéj myśli, moralnéj i psychicznéj doktryny. Rzecz się mogła w pierwszéj chwili wydawać dziwaczną, gdy się brało na uwagę, że poeta był żyjącą, nie zaś dawno zmarłą osobistością; ale widocznie instytucya odpowiadała wewnętrznym potrzebom, skoro w krótkim przeciągu czasu powstały Towarzystwa Browninga w miastach uniwersyteckich i wszystkich większych ogniskach umysłowych. Dzięki agitacyi w ten sposób prowadzonéj, społeczeństwo angielskie coraz bardziéj zbliżało się do poety, wnikało w jego ducha i oddawało mu hołd spóźniony, ale serdeczny, tém serdeczniejszy, że był w nim wyrzut sumienia za popełnioną niesprawiedliwość, za brak uznania dla jednego z najoryginalniejszych geniuszy.

Była także w saméj osobistości Browninga okoliczność, która go czyniła interesującym, drogim dla każdego miłośnika poezyi. Był on mężem Elżbiety Barrett Browning, najznakomitszéj poetki angielskiéj, nieśmiertelnéj autorki „Sonetów Portugalskich" i wielce sławionego poetycznego romansu „Aurora Leigh." Pełne melodyi, światła, woni, opromienione urokiem czystego natchnienia, poezye pani Browning używają w najszerszych kołach społeczeństwa niezatartéj popularności; wszystkie kobiety-literatki w Anglii, — a wiadomo, że jest to armia nieprzejrzana, — są jéj bezwarunkowemi czcicielkami. Pomiędzy Robertem a Elżbietą Browning panowała w czasie ich kilkunastoletniego pożycia małżeńskiego niczém niezakłócona harmonia, i z florenckiéj ich rezydencyi sypały się kaskady najczystszych ich pereł; po jéj śmierci poeta otaczał jéj pamięć czcią nieledwie religijną. Poświęcając jéj cieniom najznakomitszy swój zbiór rapsodów epicznych *The Ring and the Book*, poprzedził takowy dedykacyą *Lyric love*, będącą istotnie natchnionym, uroczym kwiatem poezyi, który sam jeden wystarczyłby do unieśmiertelnienia wieszcza. Nic dziwnego, że rodzaj aureoli opromieniał skroń Browninga, że był dla publiczności nietylko przedstawicielem swéj własnéj twórczości; ale dziedzicem owéj pokrewnej sobie a przedwcześnie strzaskanéj liry. Nawet jego tajemniczość, głębie psychicznéj analizy, w któréj się zanurzał i — gubił, przyczyniały się do zrobienia zeń istotnego *vates sacer*. W rzeczywistości nie był on bynajmniéj podobny do tego druidycznego typu, w jakim go skrystalizowała legenda. Piszący miał zaszczyt być przedstawionym poecie przed kilku laty w jednym z salonów londyńskich. Przybywający z Włoch, gdzie prawie stale przemieszkiwał u syna, malarza i snycerza, na „*season*" do Londynu, Robert Browning był rozrywany przez

najwykwintniejsze koła towarzyskie. Czerstwy ten, okrągły staruszek, pełen salonowéj układności, rozmawiający barwnie o muzyce i malarstwie, nie tykając nigdy swéj osobistéj twórczości, był światowcem i pod tą maską ukrywał swoję prawdziwą wartość umysłową i moralną.

Nie podobna o całości jego twórczości poetyckiéj, ciągnącéj się przez lat pięćdziesiąt i wyrażonéj w siedmnastu grubych tomach, wydać sąd treściwie a doraźnie. Trzebaby tu nietylko wyróżniać światła od cieniów, ale obracać się w nader delikatnych, nikłych półcieniach. Bezwątpienia, wśród tego obfitego żniwa potomność uczyni wybór i odłoży na stronę tylko ciężkie snopy. Rączy prąd jego poezyi był mętnym dlatego już choćby, że był rączy i toczył pospolite kamyki wraz z innymi o szczerozłotych żyłach. Bądź co bądź, wyrok o nim będzie dodatni, a usterki, niezaprzeczone, ogromne, nie będą w stanie zaćmić pierwszorzędnych jego zalet. Przy najwyższéj rozmaitości poruszanych przedmiotów i kalejdoskopowéj zmienności form, posiada on zawsze w gruncie, na dnie ducha, jednę i tę samę etyczną podstawę—spirytualistyczny pogląd na życie, optymistyczną wiarę w jego wysokie posłannictwo i cele. Ciepły, gorący prąd sympatyi wiedzie go do cierpiących i upośledzonych, ale ponieważ nigdy nie traci z oka wyższych, ostatecznych celów, nie nadaje nigdy przesadzonéj doniosłości cierpieniom indywidualnym i bankructwom wielkich przedsiewzięć. Przeciwnie, służyć one mają do dzieła postępu i zbawienia, tak samo jak te, które zostały uwieńczone natychmiastowém powodzeniem, a często daleko więcéj jeszcze. Pod tym względem pozwolimy sobie zwrócić uwagę specyalnych miłośników poezyi angielskiéj i myślicieli na jeden z mniéj znanych, a zdaniem naszém, wysoce ciekawy zbiór jego poezyi p. t.: *Parlaying wilt certain people of importance in their day*. Autor prowadzi tam rozmowy z rozmaitemi osobistościami, co się rzucały na wielkie przedsięwzięcia historyczne lub naukowe i których życie strzaskało nieubłaganie, jako działaczy przedwczesnych, niezrozumianych przez swych współczesnych. Jest to wprawdzie przyczynek do martyrologii ludzkości, ale gdy się w jéj ducha wniknie, nie goryczą i zniechęceniem, ale nadzieją napawa serce.

Opromieniony tą skrzydlatą wiarą w posłannictwo ludzkości, Robert Browning zeszedł do głębin natury duchowéj i lubował się w analizach psychicznych. Podług słów jego własnych żadne inne zadanie nie jest warte tego jednego: śledzić za rozwojem duszy. Żadne też, najdelikatniejsze, migotliwe przebłyski uczuć nie uszły jego mikroskopijnych dociekań,—często czytelnik gubi się w tych subtelnościach kazuistyki oderwanéj. Posunąwszy tę stronę analizy psychicznéj do

ostatecznych możliwych granic, wykluczał z nich *ipso facto* — akcyą, czyny. W lirykach i w epicznych rapsodach mogło to być rzeczą podrzędną, ale nie w dramatach i tragedyach. A w nich to się właśnie lubował poeta. Obdarzony nadzwyczajną bystrością, z łatwością i odrazu wynajdywał sytuacye dramatyczne bądź na tle historycznėm, bądź wśród wytworów swéj fantazyi. Lecz gdy przychodziło wysnuć z téj sytuacyi następstwa, pokazać jak się z duchowych zarodków wyłaniały czyny i jak owe czyny jedne na grzbiecie drugich, niby fale oceanu, wznosząc się i dobijając do brzegu, są manifestacyą życia, — tego Browning nie był w stanie dokonać. Ani „Strafford,“ ani „Sordello,“ ani „Plama na tarczy,“ ani „Król Wiktor i król Karol,“ ani żaden inny z jego utworów dramatycznych, nie wyjmując nawet tego klejnotu poetycznego „*Pippa Passes*,“ nie są w stanie wytrzymać krytyki jako utwory dramatyczne. Te, które były wystawione na scenie, utrzymać się na niéj nie mogły. Panegiryści, co go dawniéj a szczególniéj w pośmiertnych wspomnieniach postawili nietylko obok Shakespeare'a, ale nawet wyżéj od niego, widocznie nieodpowiedni dlań cokół wybrali. W téj lub owéj dyagnozie charakterów działających może on przewyższać dokładnością, precyzyą i głębią genialne szkice Shakespeare'a, ale są to epizody tylko, lecz nie całość drgająca życiem wewnętrznėm i zewnętrznėm.

Jeżeli niepodobna uważać Browninga za dramatyka, to nie można wszelako odmówić mu wysoce dramatycznego nastroju. Mimowolnie, nawet w rapsodach epicznych, nawet w lirycznych poezyach, uderza go przeciwieństwo duchowych pierwiastków i w ich starciu znajduje osnowę do pieśni. Często forma dyalogu jest najodpowiedniejszą do oddania toku myśli. Choć ukrytą, czuć wszędzie tę dramatyczną potęgę. Nigdzie nie uderza ona wydatniéj, jak w zbiorze poezyi „*Men und Women;*“ są tam utwory, jak: „Doktór Arabski,“ albo „*Fra Lippo Lippi*,“ które uważać można śmiało jako arcydzieła nieposzlakowane. Ale na wyższy jeszcze stopień dramatycznegoześrodkowania się, skoncentrowania, wzniósł się poeta w swoich „*Dramatis personae.*“ Oddawna bezstronna krytyka postawiła te poezye na wyżynie, gdzie się tylko geniusze przedostać mogą. Kto czytał „*Prospice*“ albo „*Rabbi Ben Ezra*,“ ten bezwątpienia nie będzie w stanie zagładzić ich w pamięci. Zbiór ten datuje się z 1864 r. i wraz z następnym, o parę lat późniejszym, „*The Ring a. the Book*“ może być uważany jako najdoskonalszy utwór poety, owoc jego pełnéj dojrzałości. Są i tutaj zapewne ustępy ciemne, które czytać i odczytywać należy, zanim się do ich jądra przeniknie; ale nie ma tego nadużycia abstrakcyjności, w które tak często popadał. Browning w następstwie zapominać się zdawał, że poezya

jest kwiatem, który czarować i zachwycać powinien, że działa na uczuciową stronę natury naszéj, że chwytać i porywać winna imaginacyą w zaświaty, lecz widział w niéj surową mistrzynię prawd metafizycznych. Pracą się stawało i mozolną czytanie wielu jego poezyi, a rozumowanie, nawet najściślejsze, najgruntowniejsze napotykało w utworach fantazyi i w formie wierszowanéj trudności prawdziwie niezwalczone, subtelność posunięta do ostatnich kresów stawała się torturą umysłową. Napróżno ostrzegano poetę o niebezpieczeństwie téj metody, coraz się głębiéj w nią zapuszczał, podtrzymywany w niéj przez fanatyków, którzy zazwyczaj w mistrzach wysławiają usterki i słabe strony, manierę i jednostronność.

Głębokość analizy psychicznéj i rozległość jego wiedzy, jego erudycyi: oto rysy charakterystyczne, które uderzają każdego wykształconego człowieka. Zamieszkując przez wiele lat we Włoszech, pokochawszy je jak drugą swą ojczyznę, Browning poznajomił się z ich historyą polityczną i municypalną w najdrobniejszych szczegółach. Co chwila pod piórem jego pojawiają się nazwiska osobistości nieznanych albo znanych zaledwie specyalistom, co jak on długo po starych szperali kronikach. Ale nietylko do Włoch erudycya ta się ogranicza. Z wyjątkiem cywilizacyi pierwotnych nie było żadnéj, któraby się nie stała dlań przedmiotem usilnych studyów. Nikt lepiéj nie wniknął w ducha Aten z czasów Sokratesa i Eurypidesa, nikt nie przedstawił plastyczniéj walki starego poganizmu z chrześciaństwem, nikt nie zżył się bliżéj ze światem feudalnym. A epoka Odrodzenia! Dla niego, co był artystą na wskroś i do szpiku kości, ten świetny rozkwit sztuki plastycznéj i wskrzeszenie tradycyi klasycznych Hellady, epoka ta posiadała niezwalczony urok. Powracał do niéj raz po raz i skrystalizował ją w swych rapsodach epicznych. Wizya poetycka była u niego tak jasną i tak magiczne światło rzucała na rozmaite typy i postacie żyjące w jego poezyach, że nabierały one dla czytelnika kształtów posągowych. Addington Symonds, jeden z najznakomitszych krytyków, powiada dosłownie: „Nie można znaleźć u Shaekespeare'a takiéj rozmaitości odrębnych charakterów, obdarzonych życiem wewnętrzném, i nawet u Shaekespeare'a nie ma takiéj nowości i różnorodności warstw społecznych. Nie ma epoki w dziejach nowoczesnych, któréjby Robert Browning nie dotknął, a zawsze z tą sympatyą doraźną i głęboką, płynącą z ich znajomości dokładnéj. Królowie i żebracy, święci i zakochani, żołnierze, poeci, malarze, muzycy, księża, papieże, żydzi, cyganie, derwisze, wszetecznice, księżniczki, tancerki, czyste małżonki, kumoszki, mężowie stanu, rycerze, apostołowie ludzkości, tyrani, filozofowie, heretycy, rabini, mędrcowie, złoczyńcy, ludzie wysokiego

i najniższego świata—wszyscy się roją w jego poezyach i są tacy jakby wyszli z pracowni natury saméj“. Urywamy tu cytatę. W dalszym jéj ciągu krytyk wykazuje jak poeta, bez żadnego z góry oznaczonego planu skreślenia wszechhistorycznéj legendy, celu tego dopina dla tego poprostu, że przyswaja sobie typy instynktowo, że jako artysta szuka w nich świateł i cieniów, że jako mędrzec stawia każdy fragment dziejowy we właściwych dlań ramach. Nie można ani trafniéj, ani wyraźniéj scharakteryzować wielkiego tego poety.

Znakomici wieszczowie są wielostronni i napięte struny ich harf srebrnych drżą za lada podmuchem, którego natury pospolite nie domyślają się nawet. I Browning ma też w sobie inną stronę, któréj dotąd nie tknęliśmy jeszcze. Nietylko jest uczonym erudytem, magikiem w rogatym birecie i profesorskiéj todze, ale jest także, jednocześnie lekkim, śpiewnym, świeżym, natchnionym lirykiem, składającym jak nikt inny miłosne rymy, rzucającym pęki róż i słonecznych promieni pod stopy swéj ukochanéj. Jeżeli najwyższém, jedyném zadaniem poety jest, jak powiedziano, być mistrzem miłości, to pojął on w całéj pełni to zadanie i sprostał mu, jak nie wielu. Samo przez się rozumié się, że nie erotyzm i nie lubieżna zmysłowość stanowią nuty przeważne w jego miłosnych strofach, a że przeciwnie podnosi on, oczyszcza, uduchownia pierwiastki ziemskie, choć ich bynajmniéj nie wyklucza w ascetycznéj jednostronności. Jest porywający zapał, jest promieniejąca namiętność w jego lirykach, którym się oprzéć nie można; łatwo zrozumiéć, że go kobiety czciły bezgranicznie. Ten co dla nich zbudował tron podniebny i umieścił go „w księżycowych, nikłych tęczach“, ten co przeniknąwszy do głębiny ich dusz, znalazł tam skarbiec nieprzebrany klejnotów, był godzien śpiewać dla nich i o nich. A że się umiał dostroić do tego dyapazonu, pokazuje mnóstwo jego liryków. Nie wyziębiły lata tego uwielbienia dla kobiét. Aż do ostatnich jego utworów, aż do poezyi zawartych w *Asolando*, pośmiertnym głosie, nuty te dźwięczyć nie przestają, a przez całe pasmo jego twórczości snuje się ta nić złocista. Uczyniliśmy już wzmiankę o *Lyric love* zwróconéj do jego natchnionéj towarzyszki życia; ale ileż innych symfonii miłosnych możnaby przytoczyć! Jaką tęsknotą, jaką melancholią zaprawne są strofy *The Last Ride Together* albo *Love's Immortalities!* Kto potrafi oprzéć się wiośnianemu czarowi, co wieje z duetu miłosnego *In a gondola*, albo pokrewnemu natchnieniem *On a balcony*. A owa fantazya dramatyczna: *Pippa passes*, azaliż nie jest jednym hymnem na cześć miłości? Idea przewodnia sama przez się jest apoteozą kobiecości: dziewcze niewinne, Pippa, jest mimowolnym świadkiem ponurych wypadków, i sama jéj obecność, wrażenie, jakie sprawia, wy-

starcza do zażegnania burzy i sprowadzenia pokoju w pośród zwaśnionych...

Moglibyśmy iść dalej w wyliczaniu utworów poety, ale sądzimy, że czytelnik będzie w stanie zdać sobie sprawę z osobistości, którą straciło piśmiennictwo angielskie. Jeżeli w reakcyi przeciw bajronizmowi, reakcyi nieubłaganie surowéj, i powiemy, nawet przesadzonéj, krytyka i publiczność wyrzucała mu brak filozoficznéj głębi; niedostatek wewnętrznéj prawdy, przesadzoną patetyczność, powierzchowną tylko znajomość ludzi, melodramatyczność i dziecińśtwo opiewanych przedmiotów, oraz bogactwo formy pokrywające ubóstwo treści, to jest widocznem, że Browning właśnie stanowi przeciwieństwo całkowite, zupełne przeciwko poezyi swoich poprzedników. Nie da się nawet zaprzeczyć, że poszedł w kierunku odwrotnym, aż do ostatnich kresów, aż do punktu, gdzie zaleta staje się, przez nadużycie, wadą. Filozoficzne zagłębianie się w naturę duchową jednostek, poszukiwanie źródeł i sprężyn działalności ludzkiéj przerodziło się u niego w manią i pokryło utwory jego mgłą czasami nieprzejrzaną. Forma jego wiersza pełna oryginalności, nowych rytmów, niespodziewanych zwrotów, była nieraz jakby umyślnie szorstka, pozbawiona wdzięku: chciał do rozumu przemówić a nie do smaku estetycznego. Szczególniéj w początkowych utworach swoich odstraszał on poprostu czytelników. Gdy napisał dramat *Paracelsus*, rodzaj „Fausta“ Goethego, w którym poeta przedstawił mędrca średniowiecznego, szukającego szczęścia naprzód w wiedzy, późniéj w miłości i uznającego się za niezdolnego do rozwiązania zagadki życia, gdy napisał ten poemat dramatyczny, gdy go przerobił w kilka lat późniéj i dopełnił, a mimo tego nie znalazł powodzenia, wtedy mogło go ogarnąć zniechęcenie. Ale poeta nie zwątpił o swojéj misyi i na wstępie do następnego poematu *Sordello* wzywa do słuchania swéj opowieści już nie ludzi, co słuchać nie chcieli, ale wielkie, tajemnicze duchy, błąkające się na pozagrobowych, polach elizejskich. Jeżeli kiedy, to właśnie czytając ten utwór, przydałoby się nadprzyrodzone światło: ten epizod z walki Gibelinów z Gwelfami, wprowadzający w chaos średniowiecznych zatargów nieprzebrane mnóstwo osobistości drugorzędnych, nieznanych, oślepia i ogłusza poprostu. Lecz stopniowo oswoili się, przywykli czytelnicy do sposobu, w jaki Browning traktował postaci historyczne, i nie potrzebował pisać dla pogrobowych duchów: żyjący stali się jego zwolennikami i żaden z utworów w drugiéj połowie jego zawodu nie przeszedł bez wywołania głębokiego, trwałego wrażenia. Postać poety nabrała z latami, posągowych kształtów i zdawało się naturalnem

oczekiwać od niego coraz nowych utworów. *Asolando* stało się jednakże jego testamentem poetycznym.

Jaka jest treść i jaka wartość tego zbioru? Co znaczy sam tytuł jego? Nieraz wyrzucano Robertowi dziwaczność jego tytułów, a między innymi *Bells and Pomegrenates.* Dzwony i kwiaty granatu, w któréj to nazwie chciał on usymbolizować muzykę i myśli abstrakcyjne. *Asolando* jest także w pierwszéj chwili do zrozumienia trudna nazwa. Czytelnicy dawniejszych jego utworów przypomną sobie jednak, że już niektóre z jego poematów i dramatów odgrywały się w Asolo, miasteczku nadmorskiem położoném niedaleko od Bassano w prowincyi Wenecyi, i że „*asolando*“ znaczyć może po prostu tutaj zbiór poezyi, co się wykluły na uroczych wybrzeżach ukochanego przezeń Adryatyku, albo téż jak nas naucza świéży komentarz, neologizm ten „*asolare*“ ukuty przez kardynała Bembo, znaczy rozkoszne wyciągnięcie się w słońcu, lazarońskie jego używanie. Ale mniejsza o zbiorowy ten tytuł, obejmujący, jak sam autor powiada, fantazye i fakta. Ci coby zabrali znajomość z poetą z tego dopiéro zbioru, skarżyćby się nie mieli prawa. Mieści on w sobie wzory i typy wszystkich jego form poetyckich dawniejszych, a mistrzowstwo wykonania i świeżość natchnienia nie pozwalają podejrzywać nawet najmniejszego osłabnięcia jego twórczéj potęgi. Są tu widocznie poezye odłożone przez śpiewaka na stronę oddawna, z któremi rozstawać mu się było ciężko, pieszczochy duchowe. Nie wiedziéć doprawdy, który kwiat wybrać z téj błyszczącéj wiązanki. Jest jeden, który prawdopodobnie wkrótce stanie się popularnym. Poeta dał mu tytuł: „*Humility*“ — pokora. Dziéwczę niesie snop kwiatów dla swego ukochanego i po drodze upuszcza niedbale pączek jeden; podnosi go przechodzień i w tym odblasku miłosnéj dani, mimowolnie sobie przywłaszczonym, znajduje rozkosz i skarb. Równie pięknych liryków jest tu kilka a między innymi *Dziewcze-perła* i *Summum Bonum.* Niektóre z nich, jak *Which*? (który?) mają w sobie niejakie podobieństwo do Heinego. Trzy damy, księżna, markiza i hrabina, opisują ideał swéj miłości. Opat, który je sądzi poważnie, wydaje wyrok, że najwyższą jest miłość wyłącznie tylko do jednéj zwrócona istoty. Nie do takiego wniosku dochodził wprawdzie śpiewak *Romanzero* w swych ironicznych strofach: *Sie sassen u. tranken am Theetisch, Und sprachen von Liebe sehr viel*, etc., ale bo przy tożsamości ram, wiał w nich duch całkiem odmienny!

Nie same jednak liryki tom ten zawiéra. Są tam humorystyczne satyry jak *Ponte dell' Angelo*, skierowane przeciwko sądownikom, poemata opisowe, jak *Lady and the Painter* i *Beatrice Signorini*, rymowane anegdoty, jak ta, gdzie potężny papież, Syxtus V, je miskę fasoli pod

strzechą ubogiego domostwa. Najpoważniejszym utworem jest poemat p. t. „*Imperante Augusto natus est*“ i traktuje o deifikacyi Cajusa Oktawiusza Cezara przez Luciusza Variusa Rufa. Cezar, przez dziesięć lat triumwir, po trzynaście razy konsul, imperator, ojciec ojczyzny ogłoszony jest bogiem. Poeta opiéwa jego wielkość i widząc koronę, zapytuje kiedy przyjdzie krzyż, pokuta za tę wielkość — i pokazuje w oddali, w Judei, rodzącego się tego, co tę wielkość i ten majestat wszechświatowy skruszy inną, duchową potęgą. Jest prawdziwy wiersz epiczny w tym rapsodzie, przypominającym te, któremi się wsławiło *the Ring and the Book*, wyższy natchnieniem i moralnym nastrojem od *Legendy Wieków* Wiktora Hugo, a stanowiący niezaprzeczony tytuł Browninga do nieśmiertelności.

„*Asolando*“ poprzedzone jest prologiem, gdzie poeta czyni melancholiczną wzmiankę o swych podeszłych latach, a zakończone epilogiem o kilku silnych, pięknych strofach, gdzie siebie samego słusznie charakteryzuje jako tego: „który nigdy się nie cofał i szedł z piersią naprzód, który nigdy nie wątpił, że pękną chmury, który nigdy nie wierzył w tryumf niesprawiedliwości, nawet gdy prawo było pognębione, który silnie obstawał przy tém, że jeżeli upadamy, to dla tego, aby się podnieść, że jeżeliśmy pobici, to dla tego, aby się do walki zaprawiać, że śpiemy dla tego, aby się obudzić!“

Ten podniosły idealizm, który go ożywiał aż do ostatniego tchnienia, to dostojeństwo charakteru i myśli stanowić będą jego cechę osobistą w dziejach poezyi angielskiéj. Potrafił on zawsze niemi galwanizować czytelników. Nie umysł jego był mglisty, ale w formie, przez jaką swoje uczucia, wrażenia i poglądy wypowiadał, była pewna pośpieszność, umyślna krótkość, zupełne lekceważenie wycackanéj, upomadowanéj elegancyi. Być może, że sobie tą porywczością w rozumowaniu, i tém przypuszczeniem, że go wyższe umysły i dusze bratnie zrozumíeją *quand même*, być może, że sobie szkodził czas długi. Ale obecnie, gdy całość jego dzieła objąć się daje syntetycznem spojrzeniem, wady i usterki schodzą do podrzędnych rozmiarów a Robert Browning śmiało zająć może miejsce pierwszorzędne pomiędzy poetami wszech krajów i epok.

Że miejsce to od lat wielu zajmuje jego brat po lutni, Alfred Tennyson, i że je zajmuje nietylko wśród swoich ale w piśmiennictwie powszechném, jest rzeczą dobrze znaną. Byłoby ubliżeniem dla wykształconych czytelników chcieć im mówić o nim jak o świéżo odkrytéj wielkości. Nie dawno poeta doszedł do 80 roku życia, trzymając od pół wieku przodownictwo w pośród piewców swéj ojczyzny, niby pień odwiecznego dębu puszczający ciągle świeże, zielone gałązki. Nie

było żadnego wahania, żadnéj protestacyi w ciągu lat kilkudziesięciu, że mu się to pierwsze miejsce należy. Gdy został poetą-laureatem, poetą urzędowym, pensyonowanym przez skarb publiczny, gdy go monarchini podniosła do godności lorda i wprowadziła do dziedzicznéj Izby panów, nie wzbudziło to zazdrości i szemrania, nie powiemy wśród szerokich warstw narodowych, które w Anglii schylają się bez wahania przed urzędowemi godnościami i arystokratycznemi wielkościami, ale nawet wśród literackiéj rzeszy, skłonnéj wszędzie do rokoszu przeciwko narzucanym powagom, nie widziano nic innego, jak hołd oddany piśmiennictwu w osobie najdostojniejszego jego syna. Obecnie, można powiedzieć, iż Tennyson jest w Anglii taką samą instytucyą narodową, jaką był we Francyi Wiktor Hugo w ostatnich latach swego życia. Wprawdzie rezydując w wiejskiéj posiadłości, Farringford, na wyspie Wight, nie miesza się on do literackiego życia Londynu, ale każdy śpiew, co spływa z jego lutni, jak ów marsz jubileuszowy przed dwoma laty, witany bywa przez cały naród, jako wysoka manifestacya geniuszu poetyckiego. Wystarcza wiedzieć, że śpiewak *Idylli Króla* stoi już o wiele po za przeciętną długością ludzkiego życia, aby mimowolnie w każdéj jego strofie nowéj przeczuwać śpiew łabędzi. Z prawdziwém wzruszeniem powitała tedy Anglia zbiór świeżych, nieznanych dotąd poezyi, które wydał na widok publiczny w zeszłym miesiącu i z zachwytem uznała, że *Demeter and other poems* nie okazują bynajmniéj by ogień przygasał a natchnienie wyczerpywało się.

Ta sympatya niezachwiana i nigdy nie słabnąca, jaką świat anglosaksoński uczuwa do Tennysona, jest dowodem, iż pomiędzy nim a narodem, dla którego pisze, istnieje duchowa harmonia całkowita, że jest poetą nie pewnych wybranych jednostek ale całéj masy społecznéj, że odźwierciedla jéj wysokie dążenia, lotne ideały, że urzeczywistnia i krystalizuje dla niéj piękno i dobro bez żadnego z tych nadzwyczajnych wysiłków, na jakie ona wzdobyć się nie potrafi. Mają Anglicy w swéj po-bajronowskiéj epoce poetów wielkich—dość będzie wymienić Keats'a, Wordsworth'a, a w ostatnich czasach Danta Gabriela Rosetti—mają obecnie wśród nowéj generacyi innych tak genialnych, jak Swinburne i Morris, a mimo tego zawsze i ciągle powracają do Tennysona, i on jest równie popularny w pałacu magnata, w pracowni artysty lub uczonego, jak w skromnym *cottage*'u wieśniaka. Żaden poeta dawniejszy lub współczesny nie potrafił lepiéj wcielić abstrakcyjnych idei w formie malowniczéj, dotykalnéj, materyalnéj, żaden nie był tak prosty, tak zrozumiały, tak pospolity, bez najmniejszéj gminności i prozaiczności. Są poeci, którzy zajmują podniosłe miejsce w tradycyi krytycznéj, są mandarynami w historyi literatury, ale nie posiadają

życiowego piętna: Tennyson posiada i to ostatnie i dla tego uważany być może słusznie za największego z poetów angielskich. Byłoby zbytecznem dowodzić, że nie posiada żadnéj wyjątkowéj oryginalności w pomysłach, w treści i osnowie swych poematów, czuje to każdy wykształcony czytelnik; byłoby zbyteczne wykazywać, że nie zeszedł nigdy do ostatnich pokładów duszy ludzkiéj i że dramat duchowy z powierzchownéj nieraz bierze strony, że jest daleko więcéj artystą, aniżeli myślicielem i filozofem—bo właśnie w tém jest dowód, że umiał zakreślić sobie pole działania, że ocenił należycie swe siły i że się z zadania swego wywiązał jak niewielu innych. Ma on daleko więcéj wdzięku i powabu, aniżeli wielkości natchnienia, wyjątkowo tylko szybuje pod obłokami na orlich skrzydłach a zazwyczaj lot ma krótki, ziemi nie spuszczający z oka, ale umié poczuć piękno plastyczne i moralne jak nikt inny, pochwycić je we wszystkich jego manifestacyach, dać jego wizyą tak dokładną, a razem tak wiotką, eteryczną, że oczarowany czytelnik, boską harmonią tego wiersza ukołysany, widzi w nim prawdziwego wieszcza, i niczego więcéj odeń nie pragnie, jak żeby go nadal kołysał i czarował. Jest on wcieleniem harmonii, piękna, olimpijskiego spokoju, równowagi sił moralnych z materyalnemi, wysokiego etycznego nastroju. Azaliż to dola nie godna zazdrości?

Szukając przyczyn téj spójni duchowéj, jaka istnieje pomiędzy Tennysonem a jego społeczeństwem, znajdujemy ją daléj w ścisłém a misterném zjednoczeniu dwóch pierwiastków, nieodłącznych u Anglików: idealistycznego nastroju i realistycznéj podstawy. Dla tego, że umiał je pogodzić i że brzmienie obudwóch daje się usłyszéć w każdym dźwięku jego liry, jest on tak drogim ich sercu. Nie ma prawdopodobnie nikogo z poezyami jego spoufalonego, któryby sie zawahał w wyborze: palma pierwszeństwa oddawaną bywa poematowi *In Memoriam*. Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że straciwszy uniwersyteckiego kolegę, Arthura Hallam, syna historyka, młodzieńca wyjątkowo obdarzonego, młody Tennyson popadł w rodzaj melancholii i że pamięci tego idealnego przyjaciela poświęcił poemat, gdzie rozpamiętywanie jego przymiotów połączone jest z wysokim spirytualizmem, podniesieniem ducha do szczytnych medytacyi o nieśmiertelności na łonie Stwórcy. Ten idealizm, który się wyrażał w tym poemacie o 131 oderwanych strofach nieporównanéj piękności poetyckiéj i który nadał Tennysonowi niezatartą cechę ducha religijnego—oto co mu utorowało drogę do serca publiczności. Ale jednocześnie nie trzeba zapominać, że poeta pisał sielanki i idylle, że do wielu ze swych poematów czerpał typy z życia wieśniaków, rybaków, ogrodników, młynarzy, wyrobników, że sceny te dobrze znane, dające ubarwione, ale tchnące rzeczy-

wistością widziadło życia realnego, znajdowały same przez się drogę do serca czytelników. Takie poezye jak *the Gardeners Dautghter*, jak *the Grandmother*, takie poemata jak świeży i drżący wewnętrzną boleścią obraz rodzinnego życia *Enoch Arden*, zrobiły, tak samo jak wiele innych w pokrewnym duchu napisanych, dla sławy Tennysona, dla zjednania mu niewygasłych sympatyi wszystkich, tyle co ów eteryczny poemat *In Memoriam*.

Trzeba oddać hołd téj wielostronności poety. On, ów arystokratyczny śpiewak poematu *The Princess*, on, poeta dworu królewskiego i magnatów, on przywykły do obcowania wśród najwyrafinowańszych umysłów klasycznéj starożytności, czujący się jak na własnym gruncie wśród mytów greckich i spokrewniony niezaprzeczenie z Wergiliuszem, nietylko nie czuł w sobie żadnéj kastowéj wyłączności i pogardy dla prostaczków umysłowych, ale przeciwnie garnął do swego serca wszystkich biednych, wydziedziczonych, upośledzonych, starał się odkryć skarby ich ducha, poziome a tak do spełnienia trudne codzienne ich cnoty. Ta gorąca sympatya nie do abstrakcyjnéj ludzkości, ale do człowieka takiego, jakim jest: oto co masa poczuła w poecie, oto za co mu serce swoje oddała. Tennyson często posuwał to uznanie dla żywiołu ludowego do granic ostatecznych, a mianowicie zamiast pisać językiem ogólnie zrozumiałym, pisał te lub owe balady i powieści w narzeczų, w dyalekcie prowincyonalnym, zupełnie niepodobnym do zrozumienia po za granicami prowincyi lub miejscowsści, gdzie się tym dyalektem lud prosty posługuje. I tak słynny *Northern Farmer* a nawet *Owd Roä*, który się znajduje w ostatnim teraz dopiéro ogłoszonym zbiorze, tracą dla niewtajemniczonych swą wielką wartość. Ale wystarczy pomyśléć, że te poetyczne twory idą wprost do serca prostaczków, co innéj poezyi jak pisanéj w ich dyalekcie nie rozumieją, ażeby zrozumiéć, że poeta chciał być ich dobroczyńcą i żeby im téj karmi duchowéj nie skąpić.

Od lat już wielu Tennyson używa téj ustalonéj pozycyi na parnasie angielskim. Zostawiwszy wspomnienia Shelleya, Colridgea i Wordswortha, którym bezwiednie hołdował w pierwszych swych latach, zdobył sobie samodzielność zupełną. Będąc istotnie twórczym jedynie w formie, w nowych rytmach, pełen uczoności, wiedzy, nie miotany nigdy uraganem namiętności, ale zazwyczaj pełen olimpijskiego spokoju, nie zapominający nigdy o attyckiéj czci dla miary, unikający patosu i przesady, posuwając melodyjną śpiewność wiersza i kunsztowność formy do nieznanéj przedtém doskonałości, Tennyson ma prawo spojrzéć na dokonane przez siebie dzieło z pogodą mistrza. Gdziekolwiek sił swych próbował, wszędzie zostawił utwory niespożyte. Są

między lirykami jego klejnoty drogie każdemu estetycznemu umysłowi, każdemu wrażliwemu sercu. Wybór między nimi trudny, a chociaż *Talking Oak* albo *Human Cry* są uważane jako arcydzieła wyjątkowe, nie byłoby trudno znaleźć im siostrzyc. Jeżeli wśród większych jego poematów *The Princess* nie pozyskała sobie, i słusznie, téj saméj wzięłości co inne, jak np. *Maud*, monodram, to nie trzeba zapominać, że Tennyson wzniósł się do epiki i że *Idylle of the King* żyć będą we wdzięcznéj pamięci narodu, póki będzie istniało życie narodowe. Poeta pisał te rapsody z cyklu Arthura w ciągu lat trzydziestu z górą, zawsze wierny swéj przewodniéj myśli, ale bez zewnętrznéj, materyalnéj jedności. Są to sceny, momenta bohaterskie, epizody charakterystyczne, a nie ma na szczęście żadnego usiłowania do powiązania ich w sztuczną jedność monotonną i bezbarwną. Twierdzono nieraz, że brakło Tennysonowi siły do odtworzenia tego świata gotyckiego, tych krwawych legend i że dawał tylko ich dalekie echo, ich blade widziadło. Nie chcemy téj staréj poruszać waśni. Jakiekolwiek zdanie o tych epicznych rapsodach wypowié potomność, nie można wątpić, że wywarły one na społeczeństwie angielskiém naszych czasów wrażenie głębokie, i że cała rzesza artystów i poetów rzuciła się na szlaki otwarte przez Idylle Króla. Z dramatycznéj twórczości Tennysona *Harold* i *Becket* nie wytrzymują krytyki z czysto scenicznego stanowiska, ale zarówno one, jak i wielki dramat historyczny *Queen Mary*, ten ostatni nieposzlakowany pod wielu względami, znajdą prawdopodobnie ocenę, na jaką zasługują w chwili, gdy całkowite dzieło poety stanie w swéj organicznéj formie.

W ostatnich kilku latach Tennyson dał nam dwa zbiory poezyi. Jeden, *Tiresias*, poświęcony był Robertowi Browning, którego geniusz i genialność, jak powiada autor w dedykacyi, oceni dobre a usprawiedliwi słabe strony; drugi nosił dobrze znany tytuł *Locksley Hall*. Poemat pod tym tytułem napisany był przez Tennysona w pierwszych latach młodości i opowiadał dość powszednią, ale zawsze tragiczną historyą wiośnianéj miłości, zerwanéj zdradą ukochanéj. Posłuszna rozkazom ojca, Amy złamała wiarę swemu wybranemu zaprzysiężoną i wyszła za bogacza. Należał poemat ten, zwięzły, energiczny, do najpopularniejszych utworów wieszcza i tytuł nowego utworu: *Locksley Hall po latach sześćdziesięciu* zaciekawił nie mało. Był to epilog do owéj wiośnianéj miłości, podobny rytmiczną formą, ale jakże inny duchowym nastrojem! Ośmdziesięcioletni starzec powraca do zamku, co był teatrem tego dramatu, rozmyśla nad grobem owéj pierwszéj ukochanéj, wysnuwa ostatnie zwrotki żalu, ale już bez zaciekłości i mściwości, przebacza, błogosławi. Horyzont myśli szeroki jest u starca:

wplata do osobistych swych dziejów dzieje społeczeństwa, ludzkości, zastanawia się nad problematami, co czekają wszech mieszkańców ziemskiéj planety i wobec takich zagadnień indywidualny zawód, doznany przed 60-ciu laty, blednieje, maleje, schodzi do pyłku. Są głębokie i pyszne dwuwiersze w tym poemacie Tennysona i trzeba było przyznać, że nie inaczéj przystało śpiewać sędziwemu wieszczowi.

Nie można powiedziéć, ażeby dla jego sławy było lepiéj, iżby był tym poematem twórczość swą zakończył, bo i zbiór, co się obecnie pojawił, nie okazuje bynajmniéj drżącéj ręki i osłabionego wzroku. Są w nim niektóre poezye artystyczniejszéj formy, największéj melodyjności i wdzięku, jakimi się kiedykolwiek odznaczał. *Demeter*, poemat, który daje tytuł całemu zbiorowi, jest jednym z tych czystych, klasycznych poematów, gdzie twórczość autora, chociaż obracając się wśród postaci oddawna należących do legendy mitologicznéj, jest w stanie ożywić je i wlać w nie nowe tchnienie. Demeter wyrywająca córkę swą Persefonę z zagrobowych cieni, nie zdaje się już w stanie być źródłem świeżego natchnienia. A przecież dzieje się to u Tennysona. Czytając ten straszny opis świata tajemnicy, mroku i zimna, i znajdując przeciwstawiony mu świat ziemski, drgający ciepłem, światłem, uczuciem, rozkoszą, jest się głęboko poruszonym i szuka się napróżno innego poety, któryby był w stanie oddać z równą potęgą, wyrazistością i zarazem spokojem przeciwieństwo pomiędzy życiem a śmiercią, i któryby oddał głębię macierzyńskiego uczucia, odzyskującego utracone dziecię w równie uroczysty sposób! Są wprawdzie niektóre utwory w tym zbiorku, które nie przynoszą żadnéj nowéj nuty, jak np. *The Ring*, ale są za to, zaraz obok, drugie, których czytać bez głębokiego wzruszenia niepodobna. Do takich liczymy *The leper's Bride.* Nic okropniejszego jak owa choroba, która z człowieka robi paryasa odstąpionego przez wszystkich, skazanego na śmierć wolną, ale niezawodną, przedmiot wstrętu i zgrozy. A u wezgłowia krzyżowca dotkniętego zarazą stawia poeta uroczą postać kobiety, co go ukochała i która woli z nim umierać, aniżeli żyć bez niego i która się dobrowolnie na najstraszniejsze skazuje cierpienia. Apoteoza takiego, iście niewieściego poświęcenia natchnęła Tennysona do prawdziwie pięknych strof kilku.

Perłą całego tego zbioru jest kilka liryków, jak *Forlorn*, jak *Romney Remorse*, gdzie się mieszczą kołysanki urocze, delikatne, harmonijne, a przedewszystkiém wiersz pod tyt.: *Crossing the bar*. Poeta ze spokojem i wzruszeniem mówi tam o swéj bliskiej śmierci, słyszy dzwony, co ją zapowiadają i bez czułostkowego roztkliwiania się posyła ostatnie pożegnanie dalekim i bliskim.

Nie byłoby trudném, stając u grobu takiego wielkiego poety, jakim był Browning i będąc uprawnionym do uważania zawodu Tennysona, najharmonijniejszego ze śpiewaków za skończony, nie byłoby trudném, powiadamy, przeciwstawić jednego drugiemu, wykazać ich różnice zasadnicze i odmienną ich formę poetycką. Porównania takie były już nieraz dawniéj czynione, a w obecnéj chwili sypnęły się gradem. Nie uważamy ich ani za właściwe, ani za potrzebne, przeświadczywszy się, że krytyk-sędzia z trudnością utrzymuje się w sferze bezwzględnéj sprawiedliwości i daje się swym własnym powodować sympatyom. Klasyfikacye takie zresztą i dyplomy na geniuszów nie mogą miéć najmniejszego znaczenia. Czytelnicy pójdą zawsze do tego poety, ku któremu duchowe powinowactwo ich nęci. Nie ma powodu dla wyniesienia jednego wieszcza zdzierać lauru ze skroni drugiego. Jest na stopniach Parnasu miejsca dość dla tych i owych Homerów i dla Anakreontów, dla Browningów i dla Tennysonów. Otoczyć ich można czcią równie szczerą, jeżeli nie jednakową.

Ten.





LISTY CZESKIE.



XVIII.

Sine ira et studio.

Ponieważ w tym liście mam zamiar skreślić te wypadki, które rozgrywały się w drugiéj połowie 1889 r. i które wywołały głęboko sięgające zmiany w stosunkach publicznych naszéj czeskiéj ojczyzny, niech mi będzie wolno zwrócić uwagę czytelników pokrótce na to, co w ostatnim liście mówiłem o stanowisku narodu czeskiego w wielkiéj rodzinie ludów europejskich, jako przygotowanie do tego, co obecnie nastąpi.

Sądzę, że nie będzie od rzeczy powtórzyć to zwięźle, ma to bowiem wielką wagę w przedmiotowém sądzeniu wszystkiego, co pragnę w tym liście w pełném przedstawić świetle.

Zaznaczyłem to mianowicie, że naród czeski, jako taki, został z urzędowéj listy ludów europejskich przed 50-ciu laty wykreślony, i że wówczas nie liczono się z nim w politycznych i państwowych stosunkach Europy. Zwróciłem daléj uwagę na to, że właściwie żadne z dzisiejszych państw europejskich nie przywiązywało istotnego interesu do egzystencyi Czech i że Czechy musiały wziąć sobie za główne zadanie, za *conditio sine qua non* swéj egzystencyi i zapewnionéj przyszłości, wywalczenie sobie stanowiska trwałego i niezaprzeczalnego pośród narodów europejskich. Wspomniałem, że do tego wiodło jedynie rozumne, obmyślone, świadome celu działanie połączonych ściśle wszystkich sił narodowych, i żeśmy się byli powinni wstrzymać od wszelkich zbytecznych ekstrawagancyi i wszelkich koziołków politycznych, aby nie przeszkodzić osiągnięciu zamierzonego celu.

Dziś przedewszystkiém muszę zaznaczyć, że nie wszyscy u nas są tego zdania i że obecnie istnieje w łonie narodu czeskiego dość

znaczna partya polityczna, która sądzi, że na innéj drodze i innymi środkami wytkniętego celu dopnie; nie mogę jednak przemilczéć, że bardzo słuszne wątpliwości żywi obóz staroczeski, czy to nieoględne szamotanie się zbyt porywczych burzycieli i demagogów nie doprowadzi tylko do ogromnego utrudnienia w ziszczeniu nadziei narodowych, jeśli ich całkiem nie unicestwi.

Jesteśmy drobnym narodem, jesteśmy dotąd zawsze, jeśli zechcemy spojrzéć jasno i bez złudzeń na położenie nasze, zaledwie cierpianym narodem, nasza narodowa egzystencya jest zawsze jeszcze dość niepewna, mielibyśmy zatém wszelkie powody połączonemi siłami pracować nad tém, aby skłonić publiczną opinią Europy do poważania nas, aby każdy z wykształconych narodów Europy mógł powiedziéć, że mały naród czeski dzielną pracą i rozumném postępowaniem wywalczył sobie stanowisko w rodzinie ludów europejskich i że nikt nie ma prawa zaprzeczać mu tego dobrze zasłużonego stanowiska.

A cóż my robimy zamiast tego? Dwa stronnictwa stoją przeciwko sobie i to nie dlatego, że oba chcą współzawodniczyć szlachetnie w wynajdywaniu najlepszych, najwłaściwszych dróg i środków, aby tylko któremu z nich przyznano pierwszeństwo w osiągnięciu zamierzonego celu; nie, one żywią ku sobie niechęć i gorycz, przeszkadzają sobie nawzajem, gdzie się tylko uda, i jeżeli kiedy stare przysłowie mogłoby znaleźć swoje pełne zastosowanie, to z pewnością dziś u nas: „*Duobus litigantibus tertius gaudet.*“ Pracujemy teraz niezmordowanie w interesie naszych przeciwników, a zaiste ku prawdziwemu *gaudium* Niemców dowodzą dziś codzień młodoczesi, że staroczesi są do niczego, a niemniéj udaje się wybornie staroczechom dowieść, że młodoczesi są do niczego, co prowadzi do tego tylko, iż Niemcy mają zupełne prawo powiedziéć, że wszyscy Czesi razem wzięci są do niczego! Pracujemy obecnie połączonemi siłami nie na korzyść narodowego wzmocnienia, lecz tak, jak gdybyśmy byli zapłaceni przez Niemców za naszą narodową hańbę i poniżenie w ich służbie i, jeśli w końcu ulegniemy w walce pod każdym względem bardzo nierównéj z naszym nieprzyjacielem, z Niemcami, to będzie to tylko wyłącznie naszą winą.

Aby uczynić zrozumiałém, jak do tego przyszło, aby wyraźnie przedstawić, jak się te, dla nas tak stanowczo nieprzychylne stosunki, kolejno wytwarzały, muszę cofnąć się do przeszłości i wskazać, jak zgubne zielsko zawiści stronniczéj w łonie narodu czeskiego zaczęło kiełkować i w jaki sposób mogło aż tak wyróść, że głuszy rokujący najlepsze nadzieje posiew rzeczywistéj pracy narodowéj i upragnione żniwo podaje w wielką wątpliwość.

My starsi patryoci czescy z tak zwanéj epoki przedmarcowéj,

którzyśmy byli czynni na polu pracy narodowéj przed r. 1848, którzy z własnego doświadczenia znamy dobrze ówczesne socyalne i polityczne stanowisko narodu naszego, my, którzy wiemy od czego zaczął naród czeski i w jak krótkim czasie, w ciągu 40-tu lat, zajął stosunkowo miejsce poważne pod względem socyalnym i politycznym; my możemy dziś tylko z uczuciem najgłębszego smutku wspominać owe czasy, kiedy wszyscy synowie Czech, podawszy sobie dłonie, dążyli do wzniosłego celu odrodzenia swojéj narodowości. W porównaniu do szalejącego dziś a morderczego boju braterskiego, była to epoka idylliczna przyjacielskiéj, pełnéj poświęcenia, lecz i nadziei, pracy, przy któréj śpiewano oddawna zapomnianą pieśń: *Tys bratr náš*, *tys vlastenec!* dziś bowiem braterska zgoda patryotów czeskich jest u nas wprost niemożliwa. Dziś zajmujemy zupełnie inne stanowisko, bardzo zbliżone do stanowiska owych dzikich ludów, które starców zabijają poprostu dla tego, aby się pozbyć niepotrzebnego ciężaru. Dziś pewne stronnictwo, które występuje, jako stronnictwo przyszłości, wszelkich sił dokłada do tego, aby starych patryotów, jeśli już nie fizycznie, to przynajmniéj moralnie zabić; dziś istnieje u nas stronnictwo, o którém śmiało można powiedzieć, że niewdzięczność uczyniło głównym czynnikiem programu swojéj działalności.

Nie chcę tu wcale roztrząsać pytania, czy podobne postępowanie odpowiada wymaganiom i zasadom pojęć ludzkich o moralności wogóle i chcę teraz z całkiem praktycznego stanowiska wykazać, czy istotnie jużeśmy tak daleko zaszli, że z kapitałem naszéj narodowéj inteligencyi tak rozrzutnie możemy postępować, co się szczególniéj odnosi do pewnéj partyi w ostatnich czasach; czy, przeciwnie, nie powinniśmy się usilnie starać o połączenie wszystkich zasobów narodowéj inteligencyi do wspólnéj pracy i egzystencyę naszego małego narodu, otoczonego zewsząd wrogami, zapewnić i utrwalić na przyszłość?

Nasza porywcza młodzież z kretesem zapomniała o tém, czém byliśmy jeszcze przed laty 50-ciu i bardzo jest na czasie przypomnienie jéj o tém. Autentyczny dokument niech tu będzie zamiast kłamliwych wywodów wzięty pod uwagę i służy za jaskrawy dowód, że jeszcze przed 50-ciu laty najlepsi mężowie czescy mieli bardzo ugruntowane wątpliwości co do żywotności swego narodu. Chodziło wówczas o założenie Maticy czeskiéj, instytucyi, mającéj na celu wspieranie i rozwijanie literatury narodowéj, niezmiernie wtedy na słabych stojącéj podstawach. Następujące pismo rozesłano natenczas między znanych patryotów:

„Wielmożni Panowie! Mamy zaszczyt przedłożyć W-nym Panom do łaskawego przejrzenia plan, po części wprowadzony już w ży-

cie, tyczący się pewnéj fundacyi przy Muzeum narodowém. Celem jego jest wspieranie literatury czeskiéj, krępowanéj w swoim rozwoju z wielu stron. Jakiekolwiek zapatrywania mogą istniéć co do dróg wiodących do utrzymania i wlania życia w czeską mowę: niezbędność jéj nie może być przecież podawana w wątpliwość u ludzi miłujących ojczyznę. Oddawna nieledwie sam język tylko nadawał Czechom piętno samoistnego narodu, narodu, który mimo swéj nieliczności, umiał przecież więcéj, niż kiedykolwiek, siłą swego ducha zwrócić na siebie oczy świata. Mowa jest jeszcze zawsze odróżniającą właściwością narodu. I jakkolwiek mogłoby to leżéć w zamiarach Opatrzności, że mowa, a wraz z nią i naród, zniknął z listy ludów, co nie jest niemożliwém, jeśli się weźmie pod uwagę usiłowania germanizacyi kraju, trwające od lat 50-ciu, to przecież ta wysokość, na któréj niegdyś stanęła nasza literatura, będzie po wszystek czas najlepszą miarą wartości samego narodu i jego stopnia oświaty, czém jest i dziś wobec zagranicy. Cieszymy się więc nadzieją, że W-ni Panowie zaszczycą swoją łaskawą uwagą i pomocą zamiar, tak ściśle związany z duchowymi interesami i z samą nawet godnością narodową.

Z komitetu Muzeum czeskiéj mowy i literatury.

Praga, dnia 17 marca 1832 roku. — Józef Jungmann, Franciszek Palacky, Jan Swatopluk Presl.

Sądzę, że pismo to, ogłoszone dopiéro dzisiaj, nie potrzebuje żadnego komentarza. Imiona Jungmanna i Palacky'ego reprezentowały wówczas najwyższą inteligencyą narodową i najwłaściwsze, najgorliwsze dążenie do podźwignięcia narodu czeskiego z głębokiego poniżenia, w którém się znajdował.

Jeśli tacy mężowie jeszcze przed 50-ciu laty mogli powiedzieć, że zupełne zniknięcie narodu czeskiego z listy ludów żyjących nie jest bynajmniéj niemożliwém, to mogliby sobie i dziś jeszcze wszyscy dobrze myślący patryoci postawić następujące pytanie: Czyż rzeczywiście zaszliśmy już tak daleko, że możemy bez troski o jutro oddawać się nieoględnemu trawieniu czasu i czy możemy wszelkiemi siłami dopomagać do rozrostu narodowego rozdwojenia? czyż rzeczywiście jesteśmy już tak opancerzeni przeciw naszym narodowym wrogom, Niemcom, którzy dziś jeszcze więcéj, niż kiedykolwiek, godzą na naszę zagładę, że możemy uważać za rzecz zupełnie niepotrzebną i zbyteczną, skupienie wszystkich naszych sił w boju, który się nie prędko jeszcze rozstrzygnie? A jakże postępuje tak zwana partya młodoczechów?...

Ponieważ stronnictwo to w najnowszych czasach dobiło się stanowiska wpływowego, możnaby niemal twierdzić, że w jego rękach spoczywają losy narodu w najbliższéj przyszłości i, aby zapobiedz ja-

kiemukolwiek nieporozumieniu, natychmiast wskażę, jak to rozumiem. Rozważniejsze stronnictwo staroczechów, stronnictwo wypróbowanych patryotów z dr. Riegerem na czele, które nie zapomina o tém, w jakich stosunkach znajdowały się Czechy jeszcze przed laty 50-ciu, patrzy z niekłamaném uczuciem zadowolenia na wszystkie te kroki naprzód, które wówczas naród uczynił i nie lekceważy zdobyczy, które stały się natenczas jego udziałem, zdobyczy, które nadały wagę jego dążeniom i prawom społecznym, socyalnym i politycznym. Stronnictwo to przyznaje, że Czesi w tym względzie, w czasie stosunkowo krótkim, uczynili wielkie, ba... zdumiewające postępy. Stronnictwo to hołduje najzupełniéj rozumnemu postępowi i nie czuje się nigdy skłonném do przebijania muru głową; nie przecenia ono sił społeczeństwa czeskiego, i dlatego nie lekceważy téż różnych aliansów z tymi, którzy mieliby ochotę popierać czeskie interesy narodowe, lub których możnaby w tym celu dla siebie pozyskać. Stronnictwo to nie uważa za stosowne stawać w ostrém przeciwieństwie do duchowieństwa w kraju, w wielkiéj jeszcze części katolickim i stara się nadto o dobre stosunki z katolicką szlachtą krajową. Ponieważ daléj rząd austryacki wywiéra bezwarunkowo potężny wpływ na wszystkie stosunki publiczne całego państwa, uważa więc to stronnictwo, w dobrze zrozumianym interesie narodu, że korzystniéj jest stać z rządem austryackim na stopie pokojowéj, niż w otwartéj z nim sprzeczności, która bardzo problematyczne dla Czech korzyści obiecywać może. Ponieważ w końcu tylko takie stanowisko względem rządu austryackiego w radzie państwa umożliwia porozumienia się ze wszystkiemi frakcyami ministeryalnéj większości, wynika z tego, niezaprzeczenie często porządnie nudna procedura ciągle trwających kompromisów z wszystkiemi temi frakcyami. Jednėm słowem, stronnictwo staroczechów liczy się ze wszystkiemi danemi okolicznościami i czynnikami publicznego życia i, nie tracąc swego celu z oczu, stara się w interesie kraju wszystko to osiągnąć, co z tych okoliczności i za pomocą tych czynników jest do osiągnięcia. Wprost przeciwnie rzecz się ma z zapalczywymi młodoczechami. Ci, jako husyci, uważają za stosowne względem duchowieństwa katolickiego stawać na arcy-wrogiém stanowisku, szlachtę przy każdéj sposobności obrażać w najbardziéj grubiański sposób i podawać ją w pogardę, a przeciw rządowi austryackiemu występować z opozycyą *quand même*. Politykowanie z innemi frakcyami rady państwa uważają za zbyteczne, a nawet poniżające, droga zaś kompromisów jest w ich oczach drogą wiodącą do narodowéj hańby.

Skoro więc w najnowszych czasach stronnictwo młodoczeskie zyskało bezsprzecznie na znaczeniu, możliwém jest, że nastąpi to, co już

dziś młodoczesi utrzymują, a mianowicie, że większość narodu czeskiego istotnie stanie po ich stronie i że w następstwie stronnictwo to chwyci w rękę ster narodowéj polityki.

Czy tedy Czechy otwarcie nieprzyjazne katolicyzmowi, znajdujące się w stanowczéj roztercе z własną szlachtą, w jawnéj opozycyi przeciw rządowi i nadto w otwartéj wojnie z Niemcami, którzy zawsze jeszcze nie chcą uznać naszéj egzystencyi narodowéj, zatém otoczone nieprzyjaciółmi, utrzymają się o własnéj sile, jaką zamierzają zająć pozycyę i jaką drogą dojść do niéj i umocnić się na niéj: to są czcze pytania, które tylko chciwych walki młodoczechów mogą jeszcze wzruszać i na które oni zaledwie jakąś ogólną odpowiedź daćby mogli.

Stoimy przeto, jeśli stronnictwo młodoczeskie przeważy, w oczekiwaniu jakiegoś fatalnego skoku, niedającego się przewidziéć, jeżeli nie patrzy się na to, jak na rzecz pewną, iż ostatecznym rezultatem będzie stanowczy *finis Bohemiae.* Czy można miéć nadzieję, że młodoczesi opamiętają się zawczasu?

Zastanówmy się trochę nad tém, jak powstało u nas stronnictwo młodoczeskie; znajdziemy może w historyi genezy młodoczechów odpowiedź na to pytanie.

Kiedy w r. 1860 druga era konstytucyjna rozpoczęła się w Austryi, wówczas dziennikarstwo narodowo-polityczne w Czechach, egzystujące od r. 1848, oddawna było martwém i pogrzebaném wskutek ucisku rządu reakcyjnego, wrogiego narodowym dążnościom czeskim. Każdy objaw życia politycznego, każdy objaw jakiéjś myśli politycznéj tłumiono i unicestwiano zawzięcie od r. 1851, roku, w którym poprzednia ustawa została cofniętą i rozpoczęło się prześladowanie wszelkiemi sposobami, lub przynajmniéj piętnowanie, jako niegodnych służby państwowéj, wszystkich tych, którzy w r. 1848 chociażby najlegalniéj i najbardziéj umiarkowany wzięli udział w wypadkach publicznych. Każdy patryota czeski był w oczach ówczesnéj władzy uważany za niebezpieczne indywiduum, nawet choćby to był najwierniejszy zwolennik dynastyi i najkonsekwentniejszy bojownik w duchu prawdziwie austryackiego programu. Ja sam byłem w 1848, jako sekretarz wydziału krajowego, w najlepszych stosunkach z cesarskim namiestnikiem, hr. Thun; hr. Thun chciał mi powierzyć redagowanie dziennika politycznego, który miał bronić umiarkowanych przekonań, czego jednak nie przyjąłem ze względu na bezpożyteczność podobnego przedsięwzięcia w owéj epoce; byłem zresztą, o czém wiedzieli komenderujący generałowie, od początku walki barykadowéj w dniu 12 czerwca 1848 z małym zastępem ochotników z gwardyi narodowéj (wogóle 25 ludzi) przed barykadą, aby, jeśli się tylko uda, doprowadzić

do zniesienia jéj: dałem tedy w r. 1848, wszelkie potrzebne dowody, że nie jestem bynajmniéj rewolucyonistą z profesyi, a mimo to i mnie zaszczycono w tych latach reakcyi ustawiczném prześladowaniem. Kiedy w r. 1852 przyjąłem miejsce wychowawcy w domu serbskiego księcia Aleksandra Karadżordżewicza, zasłużyłem sobie wprawdzie na najszczersze podziękowanie ówczesnego serbskiego prezydenta ministrów Garaszanina za rzeczywiście nadzwyczaj pomyślne rezultaty w wychowaniu; ale dzięki zabiegom austryackiego konsula generalnego Radosavljewicza, książę uwolnił mnie od obowiązków. Jeżeli jednak panowała podówczas w wyższych kołach rządowych austryackich osobliwa choroba, ogólna trwoga przed demokracyą i wietrzenie jéj wszędzie, która to choroba wymagała swoich ofiar: to czescy patryoci byli w pierwszym rzędzie na indeksie.

Ten, kto to wszystko wie i rozważy, nie zdziwi się temu, co powiem.

Dnia 20 października 1860 r. ogłoszono tak zwany dyplom październikowy, który podawał do wiadomości ogólne zasady nowéj ery konstytucyjnéj. Dnia 20 lutego 1861 r. nastąpiło ogłoszenie ustawy politycznéj (tak zwanéj „lutowéj“) i ordynacyj, obowiązujących poszczególne „królestwa i kraje“.

Ogłoszono wolność prasy, zwołano wybory do rady państwa i sejmów, z których wówczas członkowie rady państwa z pojedyńczych królestw i krajów zostali wybrani; nowa epoka rozpoczęła się dla życia politycznego.

Stronnictwo narodowe czeskie, na którego czele stali wówczas Palacky i Rieger, nie miało żadnego organu publicznego: trzeba więc było organ taki założyć.

Nie jest możliwém poprostu, aby władza urzędowa mogła w jednéj chwili zmienić oddawna żywione poglądy i sposób postępowania oddawna praktykowany; nie stało się téż to i w Austryi w r. 1861 po opublikowaniu nowéj ustawy. Patryotów czeskich uważano jeszcze zawsze za indywidua niebezpieczne dla państwa, a ustawa lutowa przedewszystkiém nie w tym celu została stworzoną, aby czeskim żądaniom i prawom nadać poważne znaczenie.

Nic więc dziwnego, że żaden ze znanych już naszych patryotów i pisarzy nie mógł uzyskać pozwolenia na wydawnictwo dziennika politycznego; wszyscy, jeden po drugim, otrzymywali na swoje przedstawienia w téj mierze, odpowiedź odmowną.

Wielki tedy kłopot pośród patryotycznych kół w Pradze; czas naglił, co było robić?

Pewien podówczas młody jeszcze człowiek, dzisiejszy dyrektor czeskiéj akademii handlowéj w Pradze, poseł na sejm krajowy i członek rady państwa, Emanuel Tonner, wpadł na dobry pomysł i udzielił go d-rowi Riegerowi. „Jeden dobry mój przyjaciel i kolega z ławy szkolnéj — powiedział Tonner — mógłby nas może wyratować z biédy. Jest on do dziś dnia jeszcze całkiem nie znany w życiu publiczném, nosi nazwisko niemieckie Greger, jest doktorem praw, a obecnie pracuje u pewnego adwokata Niemca, w niemieckiém miasteczku Friedlandzie. Nic na nim nie ciąży, możeby się mu udało uzyskać upragnione zezwolenie.“

Dr. Rieger napisał natychmiast do d-ra Juliusza Gregera do Friedlandu, udzielił mu wszelkich potrzebnych wiadomości, dał mu wszystkie konieczne wskazówki i nakłaniał go, jeśliby miał zamiar podjąć się zadania, aby w jak najkrótszym czasie wystosował podanie w celu otrzymania wymaganego przyzwolenia. Dr. Greger zgodził się na to i koncesyą otrzymał.

Uwiadomił on natychmiast dr. Riegera o szczęśliwym wyniku, oświadczył, że jest gotów porzucić swoje miejsce we Friedlandzie i przybyć do Pragi i starał się o fundusz na spłacenie niektórych drobnych długów i na przesiedlenie się do stolicy. Dr. Rieger posłał mu 50 guldenów ze swojéj prywatnéj kasy i Greger przybył do Pragi.

Kaucya, którą trzeba było złożyć, chcąc wydawać dziennik polityczny w sumie 10,000 fl., jak i inne potrzeby nieodzowne przy wydawaniu dziennika, zostały pokryte przez konsorcyum patryotów i niebawem ukazał się pierwszy numer „Narodnich listów“, nowego organu czeskiego stronnictwa narodowego. Rozumié się samo przez się, że wyższe kierownictwo dziennika powierzono doświadczonym naczelnikom ludu czeskiego, Polacky'emu i Riegerowi i rozumié się téż samo przez się — że dr. Juliusz Greger złożył najuroczystsze przyrzeczenia i zapewnienia, że będzie prowadził dziennik zupełnie w duchu tych mężów, stosownie do ich zasad i według ich wskazówek.

Nowy dziennik „Narodni listy“ z programem ułożonym przez Palacky'ego i Riegera, dostał się w ręce społeczeństwa czeskiego i wkrótce, dzięki powadze imion tych dwóch mężów, liczono abonentów 5,000. To zabezpieczyło od początku byt dziennika i „Narodni listy“ mogłyby jeszcze dziś być głównym organem polityki czeskiéj, gdyby nie pewne rzeczy, które się nigdy stać nie były powinny, a których nader łatwo było uniknąć. Aby przy omawianiu tych rzeczy pozostać na możliwie najbardziéj przedmiotowém stanowisku, pragnę używać jaknajwzględniejszych wyrażeń; ale powiedziéć przecież muszę to, co jest koniecznem,

aby postawić je we właściwém świetle i wszystkie ich zgubne skutki ocenić.

„Narodni listy“ były nowym organem publicznym staréj narodowéj partyi w Czechach i jako taki, zostały przyjęte ze strony narodu na podstawie ogólnie uznanéj powagi doświadczonych wodzów politycznych, Riegera i Palacky'ego; dziennik opiérał się się na funduszu złożonym przez wypróbowanych patryotów i wiernych sprzymierzeńców stronnictwa; komitet redakcyjny z Palacky'm i Riegerem na czele, kierował polityką; komitet administracyjny miał powierzoną stronę materyalną przedsięwzięcia. Dziennik liczył 5,000 abonentów, których liczba mogła bezwątpienia urosnąć. Wszystko więc, co się tyczyło tego nowego pisma, w najlepszym znajdowało się porządku. Jednéj tylko rzeczy brakło, co prawda dosyć potrzebnéj.

Dr. Juliusz Greger, uprzywilejowany na wydawnictwo dziennika, nie był człowiekiem tego pokroju, jakim przedstawił się, przybywszy do Pragi d-rowi Riegerowi i Palacky'emu; nie należał on do niesamolubnych, bezinteresownych, pełnych poświęcenia patryotów, którzy uważali za najwyższe i jedyne zadanie swego życia pracę dla dobra kraju, nie myśląc wiele o nagrodzie za trudy. Dr. Juliusz Greger należał już z tego względu do nowszéj, praktycznéj generacyi, która tak zwany „zdrowy egoizm“ uznaje za najlepszą i najpraktyczniejszą zasadę rzeczywiście rozsądnego działania i można o nim z wszelką słusznością powiedziéć, że od pierwszego debiutu w życiu publiczném aż do dnia dzisiejszego reprezentował on zawsze b a r d z o z d r o w y egoizm, a jego poglądy na życie i na świat możnaby tak mniéj więcéj określić: dr. Juliusz Greger nie jest na to, aby pracował dla Czechów, tylko Czesi są na to, aby pracowali dla dra Juliusza Gregera.

Nie będzie się tedy nikt dziwił, że uprzywilejowanemu pozwoleniem wydawania pisma człowiekowi tego pokroju, musiało przyjść na myśl: „miejsce prostego wydawcy nie jest dla ciebie odpowiedniém wcale a wcale. Powinieneś się postarać zostać nieograniczonym właścicielem dziennika; dziennik się już opłaca, bezwarunkowo przynosić będzie znaczne dochody, a zagarnianie tych dochodów, wyłącznie dla siebie samego, jest niewątpliwie najlepszém, „co można zrobić“.

Łatwo pojąć jak wykonanie takiego pomysłu musiało być sprawą trudną, i z pewnością mogę twierdzić, że nie udałoby się po raz drugi drowi Gregerowi. Udało mu się jednak w r. 1862. Rieger wierzył mu na słowo, nie zbadawszy dokładnie stanu rzeczy, że pismo się opłaca niedostatecznie, że cały aparat redakcyjny trzeba uprościć, coby się najlepiéj dało zrobić, oddając całe kierownictwo przedsiębior-

stwa jednemu człowiekowi. Rieger przekonany był w swojéj *bonhomie*, że tylko dr. Juliusz Greger narodową polityką kierować może, co on sam twierdził i co zresztą przyobiecał kiedyś: i stało się to, co w życiu polityczném stronnictwa trzeba napiętnować, jako *horrendum*: Dr. Rieger z wszelkiemi formalnościami oddał nowozałożony organ stronnictwa byłemu uprzywilejowanemu wydawcy na jego wyłączną własność i zrzekł się dalszego wyższego kierownictwa dziennika.

Stosunki pieniężne odpowiednio ułożono i dr. Greger w r. 1862, jako nieograniczony właściciel i pan, wszedł w posiadanie jedynego, powszechnego i za taki uznanego, publicznego organu czeskiéj partyi narodowéj. Skutki wkrótce się okazały. Dadzą się one bardzo krótko i jasno przedstawić, są bowiem naturalnym wynikiem głównéj zasady w postępowaniu pana dra Gregera, t. j. jego egoizmu.

Dziennik stronnictwa narodowego musiał być jego własnym dziennikiem, polityka narodowego stronnictwa musiała być jego polityką, całe narodowe stronnictwo musiało być jego stronnictwem. Naturalnie zwolennicy tego jego stronnictwa musieli się trzymać jego polityki, i co za tém idzie, dziennik abonować, o co właściwie głównie chodziło.

Możnaby racyonalnie przypuszczać, że dr. Greger, jako jedyny właściciel dziennika, zadowolni się tém, że będzie miał zapewnionych wszystkich abonentów z kół narodowych; ale tak rozumując, zapomniałoby się o pewnym ważnym względzie, który już niejednego zawiódł na bezdroża, a mianowicie o nagle pozyskaném przeświadczeniu, że się ma w ręku wielką siłę.

Iluż ludzi znajduje się pomiędzy tysiącami milionów od stworzenia świata, którzy nie użyliby w sposób niewłaściwy, nagle spadłéj im z nieba wielkiéj potęgi? Dr. J. Greger nie należał tu do wyjątków. Dr. J. Greger nie mógł, jeśli się weźmie pod uwagę jego usposobienie, czuć się zadowolonym czysto materyalnemi korzyściami, jakie mu jego nowe stanowisko wyłącznego posiadacza „Narodnich listów“ bezwarunkowo przynieść musiało; świadomym on był doskonale potęgi, jaką mu daje prawo niezawisłości w kierownictwie organu politycznego, za pomocą którego można było publiczną opinią Czechów rządzić, a był on właśnie stworzonym na to, aby téj potęgi nadużyć. Jakąż wartość mogły mieć dla dra J. Gregera zasługi położone dla narodu przez Riegera i Palacky'ego, kiedy właśnie o to chodziło wówczas, aby ich w opinii publicznéj zdyskredytować, usunąć na bok i na ich miejsce wystąpić, jako nowy polityczny przywódzca ludu czeskiego? Czy istotnie miałby potrzebne ku temu zdolności, nie wchodziło w grę, gdyż

jako jedyny pan opinii publicznéj dzierżył w ręku środki, aby ludzi skłonić do uwierzenia, że mu na nich nie zbywa. A więc nowe stronnictwo, nowa polityka, nowy przywódzca; to było pokrótce nowym programem działalności nowego władcy publicznéj opinii w Czechach, i to jest téż prawdziwa geneza młodoczechów, albowiem nowém tém stronnictwem są młodoczesi, nową polityką jest polityka młodoczeska, a nowym przywódcą jest naturalnie dr. Juliusz, obecnie, Grégr. Wszystko to zaś jest dziełem egoizmu jednego człowieka.

Nie będzie bez interesu zapoznać się w jaki sposób wyrobiła się nowa polityka i w jaki sposób ukształtowała się nowa partya,

Przypatrzmy się najprzód nowéj polityce. Naturalnie musiała ona różnić się od polityki Palacky'ego i Riegera a nawet, o ile można, sprzeciwiać się jéj. To zaś nie było tak proste i łatwe; trzeba było czekać na sposobność. Ale *fortuna audaces juvat:* w r. 1863 wybuchło powstanie w Polsce. Wypadki r. 1863 dały sposobność drwi J. Gregerowi do przedstawienia Riegera i Palacky'ego jako wrogów wolności, jako serwilistycznych pochlebców, jako odstępców od świętéj sprawy czeskich praw narodowych i co za tém iść musiało, oświadczył on, iż takim ludziom, jako politycznym przywódcom, ufać bezwarunkowo nie może. To wszystko głosiły wówczas „Narodni listy“, jedyny czeski dziennik polityczny, czytelnikom swoim dzień po dniu i niedługo dr. Grégr osiągnął swój cel w tym względzie prawie zupełnie. We wszystkich publicznych lokalach rozbito i zniszczono tam biusty i pozawieszane portrety Palacky'ego i Riegera i ja sam miałem niejednokrotnie sposobność mówienia z wykształconymi ludźmi w kraju, którzy wyrażali swoje „szczere“ ubolewanie, że tacy mężowie, jak Rieger i Palacky, mogli opuścić szeregi patryotów i to tak haniebnie!...

Pierwszy atak udał się bezwątpienia najlepiéj w stosunku do tego wszystkiego, co po nim miało nastąpić; ponieważ bowiem w gruncie rzeczy fałsz stał się jawnie, naturalnym wynikiem było, że dr J. Greger nie mógł sobie pozyskać istotnéj inteligencyi czeskiéj swoimi manewrami agitacyjnymi przeciw Riegerowi i Palacky'emu, owszem tylko w tych sferach ludności mógł zdobyć sobie partyą, gdzie ograniczony stopień wykształcenia usposabiał umysły do wierzenia szerzonym wieściom i wsłuchiwania się w huczne frazesy...

Tak ma się rzecz jeszcze dziś, gdy po wielokrotnych wystąpieniach dra Gregera przeciw drowi Riegerowi ściéra się młodoczeska czynność z abstynencyą staroczechów i odwrotnie czynność staroczechów z abstynencyą obozu młodoczeskiego. Gdy z rozmaitemi waryacyami głoszono czeskiemu ludowi w „Narodnich listach“, że młodoczesi zrobiliby wszystko daleko lepiéj, gdyby raz już dostali

w ręce kierownictwo spraw publicznych czeskich, usilnie domagano się ze strony partyi staroczeskiéj, aby młodoczesi dali już wreszcie poznać światu swój nowy program polityczny, który od jednego zamachu ma spełnić wszelkie wymagania społeczeństwa. Na to jednak do dziś dnia stanowczéj odpowiedzi nie otrzymali...

Tak się tedy rzeczy mają z nową polityką; jakże wygląda owa nowa partya?

Ta nowa partya istnieje i istniejąc tak już znaczną posiada siłę, że nie można jéj ignorować; ba, ta partya utrzymuje nawet, że reprezentuje większość narodu czeskiego. Wykształciła się ona zwolna z najróżnorodniejszych składników, które możnaby podzielić na następujące dwie kategorye: 1) Wszyscy ci, których zadaniem życia jest wieczna opozycya przeciw obecnym stosunkom, instytucyom lub prawowitéj władzy. Ludzie podobnego rodzaju znajdują się nieodzownie w każdém zgromadzeniu, zacząwszy od stolicy kraju, a skończywszy na najmniejszéj wiosce, i takich to ludzi używały zawsze „Narodni listy“, jako opozycyi przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. 2) Wszyscy niezadowoleni z biegu spraw publicznych, przyczém trzeba zauważyć, że rząd austryacki sam zupełnie niepotrzebnie dał przyczynę do wzrostu tego ogólnie wytwarzającego się niezadowolenia i że tak zwany „ostrzejszy ton“ niemieckiéj opozycyi liberalnéj w radzie państwa, był dla młodoczechów pożądanym przykładem, aby przez przyjęcie równie „ostrzejszego tonu“ odróżnić się od staroczechów. Sprawa jednak nie szła tak zupełnie łatwo i prędko, jakby kto mógł przypuszczać, bo dopiéro po 26 latach miało się drwi J. Grégrowi udać wejście do czeskiego sejmu na czele zdolnéj do czynu garstki młodoczeskich posłów (październik 1889).

Wiadomém jest powszechnie, że wybory posłów na czeski sejm krajowy i do austryackiéj rady państwa od r. 1861 prowadzone były przez centralny komitet praski, któremu przewodniczyli Palacky i Rieger, a następnie po śmierci pierwszego w r. 1876, sam Rieger. Ten komitet wyborczy należał zawsze do stronnictwa staroczechów i młodoczesi nie mogli tam znaleźć żadnego poparcia. Z biegiem czasu jednak wyrobił się tam *usus*, że pewne okręgi wyborcze w drodze milczącego kompromisu przepuszczały kandydata młodoczeskiego. Krok za krokiem młodoczesi posunęli się daléj, w kierunku zawsze na oku trzymanego celu, t. j. w celu uzyskania, gdzie się tylko da, większości. Przyjmowano otwarcie mandaty otrzymane w drodze kompromisu, a robiono w cichości wszystko możliwe, aby nadto jeszcze kilka mandatów uzyskać, t. j. ze strony obozu młodoczeskiego stawiano przeciw kandydatom staroczechów kontrkandydatów, za którymi agitowano

w cichości z pomocą wszelkich dozwolonych i niedozwolonych środków i którzy też niejednokrotnie, ku wielkiemu zdumieniu nieopatrznych staroczechów, utrzymywali się na pozycyi. Dopiéro w r. 1889 stronnictwo młodoczeskie (albo raczéj dr. J. Grégr), wystąpiło po raz pierwszy zupełnie otwarcie z listą własnych kandydatów na krzesła poselskie do sejmu i zarazem oznajmiono, że to samo nastąpi przy wyborach do rady państwa. Szczególném jest w téj całéj sprawie twierdzenie d-ra J. Grégra, które z łatwych do odgadnięcia przyczyn uważał za stosowne niestrudzenie powtarzać, że nikt inny, tylko jedynie dr. Rieger jest sprawcą rozdwojenia się czeskiéj partyi narodowéj i powszechnie panującego sporu wśród braci, zamiast upragnionéj zgody. Utrzymuje tak stanowczo dr. Grégr, a ja mogę za to przytoczyć tylko ten fakt, że od lat blizko 20-tu, spostrzegłszy wyraźnie, co stało się wskutek nieoględnego oddania jedynego organu politycznego w ręce zdeterminowanego, pozbawionego wyższych uczuć egoisty, mówiłem nader często d-rowi Riegerowi:

„Jedności narodowego stronnictwa czeskiego pan nie utrzymasz, musisz podjąć walkę, która jest nieunikniona i musi się wreszcie rozstrzygnąć, do kogo naród ma więcéj zaufania, czy do ciebie, czy do d-ra Grégra?“

Dr. Rieger zaś odpowiadał mi niezmiennie, że do ostatniéj chwili, przy tém stać chce i będzie, co mu się przez całe życie zdawało najlepszém i najodpowiedniejszém dla rzeczywistych interesów ludu czeskiego, t. j. przy narodowéj jedności i że ze swéj strony nie może uczynić nic, coby tę jedność mogło zakwestyonować.

Sądziłem, żem powinien wyraźnie na tém miejscu o tém wszystkiém pomówić, jakkolwiek z poprzedniego ustępu już dość jasne można miéć pojęcie, kto był stroną zaczepną w bratniéj walce, a kto stroną atakowaną?

Rozstrzygające w tym bratnim sporze wybory na sejm krajowy, zwołane zostały na lipiec 1889 r., na d. 2-go lipca wybory z gmin wiejskich, na 5 lipca wybory z miast i izb handlowych, na 9 lipca wybory z kuryi większych posiadłości.

Młodoczeskie stronnictwo, z d-rem J. Grégrem i „Narodnimi listami,“ rozwinęło w pełném tego słowa znaczeniu gorączkową działalność.

Dawno już przedtém obrabiały „Narodni listy“ we wszelkich możliwych waryacyach ów temat, że partya staroczeska pod egidą d-ra Riegera jest partyą polityczną, która pod każdym względem zrobiła najhaniebniejsze bankructwo, partyą tchórzliwych i niewartych „opieszalców,“ serwilistycznych pochlebców ministeryalnych, którzy nie

umieją bronić honoru i godności narodowéj, którzy naprawdę niczego jeszcze nie dokazali dla ludu i nigdy niczego nie dokażą, którzy nie mają odwagi bronić praw czeskich i odezwać się w imieniu czeskich pretensyi, których, jedném słowem, w interesie publicznym trzeba usunąć, aby innym lepszym rzecznikom praw i interesów narodu zrobić miejsce, ludziom, którzy zdecydowani są dojść do czegoś i którym nie zbywa na odwadze i potrzebnéj energii, aby się nie pozwolić zastraszyć jakąkolwiek przeszkodą i którzy nie dopuszczą do tego, aby nie załatwione w sejmie, lub radzie państwa, sprawy miały leżéć odłogiem, jak to czynią staroczesi,—a takimi nowymi ludźmi, wyłącznie posiadającymi zdolności i ochotę poświęcić wszystko dla dobra narodu są właśnie kandydaci młodoczescy i t. d. i t. d. Do agitacyi wyborczéj na korzyść młodoczechów zjednano sobie najprzód stan nauczycielski ze szkół ludowych wspaniałemi obietnicami, oprócz tego zaś studentów, których oddawna już bardzo systematycznie używano do agitacyi po kraju na rzecz stronnictwa, do rozpowszechnienia „Narodnich listów,“ a przedewszystkiém do popierania interesów d-ra J. Grégra. Wszystko musiało służyć p. Grégrowi, a więc i stowarzyszenie studentów „Akademicky čtenařský spolek,“ który w ostatnich czasach rzeczywiście nie był niczém inném, jak tylko stałym komitetem w usługach właściciela „Narodnich listów.“

Ponieważ ze strony młodoczechów przy wyborach na sejm krajowy głównie zwracano uwagę na wyborców gminnych i nie chciano niczego zaniedbać, co mogło prowadzić do pozyskania tychże, postanowiono wpłynąć na nich rozmaitemi przyrzeczeniami i na początku lipca 1889 r. młodoczescy kandydaci wyraźnie przyrzekli i formalnie przedstawili ludności, co następuje: 1) Przejęcie wszelkich długów hypotecznych przez kraj; 2) pożyczki z banków angielskich tylko na 2%; 3) podniesienie cen zboża.

Jak widać z tego, nie byli zbyt oszczędni kandydaci młodoczescy w rozdawaniu obietnic i stało się u nas od lipca 1889 r. przysłowiem, że przyrzekli oni ludowi wystawić pałac narodowego dobrobytu (*palác národniho blahobytu*), ponieważ tego frazesu istotnie użył jeden z kandydatów w przemowie do wyborców.

Tak wielostronne i pokombinowane wysiłki d-ra J. Grégra nie pozostały bezskutecznemi. Pierwszego dnia podczas wyborów posłów z gmin wiejskich, zwycięstwo młodoczechów było stanowcze, gdyż na 29 z ich partyi obrano z partyi przeciwnéj tylko 20. Nie tak pomyślny już był dla młodoczechów drugi dzień, w którym wybierano deputowanych z miast, miejscowości przemysłowych i izb handlowych. W dniu tym zaledwie 7 młodoczechów wypadło na 32 staroczechów.

W każdym razie liczbę 20 nietylko osiągnięto, ale nawet przekroczono znacznie, mogła więc partya zająć w sejmie stanowisko zupełnie samodzielne.

Już 13-go lipca zgromadzili się nowoobrami posłowie młodoczescy, w liczbie przeszło 30-tu, w sali hotelu Saskiego w Pradze, gdzie postanowiono, co zresztą było do przewidzenia, utworzenie odrębnéj partyi w sejmie pod nazwą „stronnictwa narodowo-wolnomyślnego“ i, co za tém idzie, założenie własnego klubu pod nazwą „klubu stronnictwa narodowo-wolnomyślnego“ z własnym statutem. Z chwilą zapadnięcia téj uchwały zupełnie formalnie i jasno zostało ogłoszoném rozdwojenie się narodowéj partyi na dwa wrogie obozy. Ponieważ zaś młodoczesi dobrowolnie do tego rozdwojenia doprowadzili, nie bardzo się zgadza z prawdą zarzut czyniony d-rowi Riegerowi i nie słuszném jest pociąganie go za to do odpowiedzialności.

Gotowa więc do czynu partya sejmowa młodoczechów była na posterunku i chodziło teraz o postawienie jakiegoś programu postępowania, w myśl którego idąc, stronnictwo to zaraz na wstępie mogłoby zaznaczyć swoje znaczenie i siłę w sprawach publicznych. Przy układaniu tego programu nie mogło naturalnie chodzić o to przedewszystkiém, o co zazwyczaj chodzi rozsądnemu stronnictwu przeciwnemu, t. j. aby rozważyć spokojnie i przedmiotowo dane warunki, zastanowić się bez złudzeń nad stanem danych środków, a następnie po najsumienniejszém przekonaniu się postanowić, co w tych danych warunkach trzeba zrobić i co się z tymi danymi środkami zrobić da?...

Tak prostym i rozsądnym nie mógł być naturalnie program postępowania młodoczechów. Istotną, cichą pracę, która ostatecznie mogła być wcale nie zauważoną, wykluczono tu w pierwszym rzędzie; taka praca była z pewnością bardzo odpowiednią dla staroczechów, od tego oni byli, ale to nie było dla młodych. Przedewszystkiém zależało im na tém, aby ukazanie się ich na scenie publicznéj działalności natychmiast wywołało podziw, i to, o ile się da, wielki podziw! Musiała nadto jeszcze jedna rzecz być uwzględniona w dobrze zrozumianym interesie rozkwitu i powodzenia stronnictwa młodoczeskiego. Partya ta, co nie trudno było dostrzedz każdemu umiejącemu patrzéć, wtedy mogła tylko liczyć na rozkwit i powodzenie, gdy stara, historycznie narodowa partya staroczechów, zachwianą zostanie w opinii narodu i z piedestału strąconą. Nowy więc program postępowania młodoczechów taki kształt musiał przybrać, aby dawał możność i do takiego zamachu w interesie stronniczym.

Jestto niezmiernie charakterystyczne ze względu na działalność d-ra J. Grégra i ze względu na młodoczechów, że właśnie owa

rzecz, o którą niby chodziło, istotnie jest rzeczą małéj wagi, i że na wskroś tylko egoistyczny, osobisty interes stronniczy jest głównym motywem zachodzącego obrotu sprawy. To samo zupełnie musieliśmy widziéć na ostatniém posiedzeniu sejmu, na którém partya młodoczeska wzięła się do wykonania swego świetnie skombinowanego programu.

Ostatnie to posiedzenie sejmu zaczęło się 10-go października r. z. i trwało aż do 25-go listopada, w którym to dniu zostało zawieszoném ze względu na mające się otworzyć posiedzenie rady państwa d. 4-go grudnia. Krótka sesya dopełniająca ma nastąpić w styczniu r. b. Zaznaczyć trzeba okoliczność, godną uwagi ze względu na to, co ma nastąpić, że niemieccy posłowie, którzy 22-go grudnia 1886 r. wystąpili z sejmu, ponieważ, jak twierdzili, słuszne ich wymagania nie były brane w rachubę przez większość czeską, odmówili powtórnie udziału. Liczba ich wynosi blizko trzecią część ogólnéj liczby członków izby. Obecnymi więc byli w sejmie w d. 10-ym grudnia r. z. deputowani z gmin i miast, deputowani tych izb handlowych, w których Czesi stanowią większość i deputowani z większych posiadłości, ogółem było 160 członków.

Nowy stosunek stronnictw miał się tak, że 70 posłów z większych posiadłości z głosami wirylnymi i staroczechami stanowiło większość, rozporządzającą 130 głosami, podczas gdy młodoczesi w liczbie przeszło 30 występowali jako mniejszość, czyli opozycya. Liczba młodoczechów początkowo nie zupełnie była jasną i podobno po późniejszém, dokładniejszém obrachowaniu wynosiła 36 głosów. Deputowanych z większych posiadłości nazywano powszechnie prawicą, staroczechów centrum, młodoczechów lewicą.

Wobec chciwych czynu i myślących wyłącznie tylko o swoim stronniczym interesie młodoczechów, nie mogło być mowy naturalnie o tém, że powinno się postarać ze względu na nieobecnych Niemców, z którymi probowano ciągle ugodzić się w celu ostatecznego załagodzenia sporu narodowego w Czechach, o niewyciąganie na porządek dzienny kwestyi, mogących wywołać rozdraźnienie. Zaraz téż naturalnie na pierwszém posiedzeniu sejmowém postawili oni wniosek (dr. J. Grégr wraz z towarzyszami) wysłania adresu do najj. pana, cesarza i króla.

Według powszechnie przyjętego zwyczaju parlamentarnego, wystosowuje ciało prawodawcze, lub konstytucyjna reprezentacya kraju, adres do monarchy, jako odpowiedź na dotyczącą tych zgromadzeń mowę tronową, a niekiedy tylko w wyjątkowych razach, przy zachodzącéj koniecznéj potrzebie i wskutek jednogłośnéj uchwały zgroma-

dzonych. Adres ze strony mniejszości jest w każdym razie unikatem w historyi europejskiego konstytucyonalizmu.

Trzeba tu zwrócić uwagę na następującą, osobliwą okoliczność. Skoro w lipcu r. z. rezultat czeskich wyborów na sejm poznano i nie można było wątpić, że młodoczesi wskutek widocznego braku odpowiednich kandydatów z wielu miejscowości gminnych wybrali istotnie *osobliwych*, t. j. stanowczo nieodpowiednich deputowanych; rozszerzono wieść, że cesarz nazwał tę nowoobraną deputacyą sejmową „osobliwém towarzystwem.“ Nie jestem naturalnie w możności ręczyć za autentyczność tego wyrażenia się monarchy. Mogę jednak jako pewny fakt przytoczyć, że deputacya młodoczeska, podczas wspomnianego już zgromadzenia w „Hôtel de Saxe,“ postanowiła (ob. „Narodni listy“ z 14 lipca 1889 r.) „z łona swego wysłać deputacyą, złożoną z czterech członków: pana profesora Tilšera, d-ra Vašaty'ego, d-ra Edwarda Grégra i właściciela ziemskiego, Franciszka Steinera, do jego ekscelencyi p. namiestnika Królestwa Czeskiego z żądaniem, aby wyrażenie owo zostało urzędownie odwołaném, jeśli, jak się zdaje, istotnie nie było użyte; jeśli jednak wskutek niewłaściwych i stronniczych informacyi użyte istotnie zostało, zechce jego ekscelencya postarać się, aby sfery rządzące, poinformowane przez urzędowe, pewne i prawdziwe przedstawienie przebiegu wyboru w Czechach, powzięły należytą opinią co do lojalnosci i politycznego wykształcenia wyborców czeskich.

O ile wiem, deputacya ta młodoczechów rzeczywiście wysłaną została do nowego namiestnika czeskiego, hr. Franc. Thuna; namiestnik nie odmówił jéj przyjęcia. Publiczność nie dowiedziała się, jaki na prawdę skutek osiągnęła ta misya, a co do mnie, mogę jeszcze tylko przytoczyć, że młodoczesi nie doprowadzili przez swój postępek w sejmie do tego, żeby wyrażenie cesarskie zostało zmodyfikowaném; aby się zaś z tą przykrą historyą jak najprędzéj załatwić, dodam, że jeszcze na żadném posiedzeniu sejmu czeskiego nie zdarzył się tak szpetny skandal parlamentarny i nigdy nie narobiono tyle próżnéj wrzawy w salach sejmowych, jak w r. 1889-ym. Powodem zaś był nikt inny, tylko młodoczesi i ich zwolennicy. Ktokolwiek tedy wyraził się, że tym razem *„osobliwe towarzystwo“* zjawiło się w salach gmachu sejmowego, ten nazwał rzecz po imieniu, gdyż krótko mówiąc, towarzystwo zachowywało się tam bezwątpienia nadzwyczaj *osobliwie*... Teraz zaś przystąpimy do sprawy z adresem do n. cesarza i króla.

Mowy tronowéj do sejmu czeskiego wcale nie było, nie było żadnéj wyraźnéj potrzeby wystosowywania adresu do monarchy, nieobecność deputowanych niemieckich powinna była właśnie odwodzić od wszel-

kich tego rodzaju kroków: jest zatém, zdaje się, dość jasném, że młodoczesi postanowili wysłać adres tylko ze względu na swój własny interes, t. j. aby zwrócić na siebie powszechną uwagę. Gdyby im było na prawdę chodziło o co innego, gdyby naprawdę byli przekonani, że nadeszła chwila koniecznéj potrzeby wysłania adresu do cesarza: to musieliby byli sobie powiedziéć przedewszystkiém, że nie mają prawa po temu będąc mniejszością i postaraliby się o pozyskanie dla swego zamiaru reszty grona poselskiego. Tak jednak nie postąpili, ponieważ rachowali na to, że staroczesi ręka w rękę z nimi nie pójdą, że zatém można ich będzie w oczach opinii publicznéj przedstawić, jako pozbawionych zdania serwilistów i ludzi niedbających o dobro narodu, o co właśnie chodziło.

Wskutek tego przeświadczenia, o przyszłym biegu rzeczy, adres został w tak nieodpowiednich wyrażeniach ułożony, że nie możnaby go było przedłożyć nawet sejmowi; niedbalstwo w ułożeniu posunięto nawet do tego stopnia, że główny punkt, tyczący się koronacyi na króla, zupełnie został pominięty.

Cały ten adres, jak zawsze zresztą, gdy występują z czemś młodoczesi, albo raczéj Grégr i jego dziennik, obliczony był na umysłową ograniczoność czytelników „Narodnich listów“, i zawiérał właściwie wszelkie życzenia narodu w ogólnikach, które raczéj temuż narodowi, nie zaś do cesarza miały powiedziéć: „Patrz oto narodzie czeski! O wszystkiém czego pragniesz, musimy my, młodoczesi, pamiętać, ponieważ staroczesi albo zapomnieli, albo pamiętać nie chcą! My jedynie jesteśmy prawdziwymi rzecznikami praw czeskich, my jedynie bronimy ich, a zatém precz z Riegerem i jego partyą!“

To był właściwy cel adresu, istnego środka agitacyjnego. Kto o tém wątpi, niech przeczyta *in extenso* wyrażone o tém zdanie całego sejmu. Krótko to streszczę.

Obrady nad adresem odbywały się 7, 8 i 9 listopada r. z. Wiele polemizowano. Bezwarunkowo najgodniejszą uwagi była mowa Riegera, ponieważ przedstawił on tak jasno lekceważenie czeskich praw przez Niemców, jak nikt dotąd i jakby z pewnością żaden z przeciwnego stronnictwa nie potrafił. Po trzechdniowych debatach uchwalono 113 głosami przeciw 37, co następuje:

„Wysoki sejm krajowy zechce postanowić:

„Uwzględniając, że ani żaden najwyższy reskrypt, ani żaden nadzwyczajny wypadek nie daje sejmowi powodu w téj chwili właśnie zwracać się do monarchy z najpoddańszym adresem, że daléj projekt adresu przedłożony przez posłów dra Juliusza Grégra i dra Edwarda Grégra, wraz z ich stronnictwem, nie nadaje się do przesłania monar-

sze, ponieważ zawiera on kwestye wchodzące w zakres już to poszczególnych korporacyi prawodawczych, już to w zakres odpowiedzialnego rządu, a nadto sformułowany jest w sposób tak niejasny, że tém bardziéj nie nadaje się do przesłania go nieodpowiedzialnemu monarsze;

„uwzględniając, że historyczny rozwój praw czeskich i wysokie ich znaczenie, zwłaszcza gwarancya niepodzielności królestwa, w wyczerpujący sposób omówionemi zostały przez sejm przy odpowiednich okolicznościach, że również potrzeba zharmonizowania istniejących form konstytucyjnych z uroszczeniami płynącemi z tego źródła na legalnéj drodze przedstawioną została, w celu urzeczywistnienia wzniosłych słów najwyższego dyplomu z 20 października 1860 r., głoszących, iż instytucye i ustawy mają być zastosowane do świadomości historycznéj praw i przywilejów ze strony królestw i krajów, do istniejącéj ich odrębności i żądań silnego, niepodzielnego ich związku;

„uwzględniając, że sejm owe swoje prawno-państwowe zapatrywania i przekonania, przy których silnie stoi, i prawne życzenia narodu czeskiego, których tenże dobrze jest świadomym, powtórzył w adresach najpoddaniéj złożonych u stopni tronu w d. 1 grudnia 1866, 23 lutego 1867 i 12 września 1870 i do wiadomości monarchy podał;

„uwzględniając wszystkie te okoliczności i pewny, że n. pan, nasz najłaskawszy cesarz i król, te pełne pokory enuncyacye sejmu w swéj łaskawości nieograniczonéj przyjął, na co wskazuje sprawozdanie deputowanych z łona narodu czeskiego do rady państwa, jako czeskie prawa państwowe łaskawie wzięte zostały na uwagę w najwyższéj mowie tronowéj z 8 października 1879;

„zarazem jednak wyrażając przekonanie, że w teraźniejszéj chwili, wobec trudnych stosunków i naglących zadań państwa, zaledwie byłoby możliwém osiągnąć natychmiastowe porozumienie, aby w myśl najwyższego reskryptu z 20 września 1871 r., dojść do owéj harmonii, zawsze upragnionéj przez nas, pomiędzy podarowanemi przez n. pana wolnemi instytucyami, potrzebami obecnemi i wymaganiami jedności i potęgi państwa z jednéj strony, a z drugiéj strony z żyjącemi w świadomości narodu historycznemi instytucyami, które stanowią podstawę państwa i jako takie, uznane zostały w sankcyi pragmatycznéj w najwyższym patencie z 1 sierpnia 1804 r. i w październikowym dyplomie;

„przekonani, że w lojalném zaufaniu musi być zostawioném mądrości korony obranie chwili, kiedy owo wielkie dzieło będzie mogło być przeprowadzone, trwały osiągając skutek, w myśl znanego n. panu i zawsze najłaskawiéj uwzględnianego życzenia narodu czeskie-

go, który pragnie widzieć swego ukochanego monarchę, ukoronowanym świętą koroną;

„nie uważa sejm ani za potrzebne, ani za pożyteczne, ani za odpowiednie powinnéj dla korony czci i lojalności, uchwalać przedłożony adres i widzi się zniewolonym przejść nad nim do porządku dziennego.“

Ktokolwiek ściśle obiektywnie i bez uprzedzeń tę najnowszą fazę w publiczném życiu narodu czeskiego osądzi, zgodzi się, że przez ten umotywowany porządek dzienny wyzyskano znakomicie ze strony staroczechów przedłożony w prywatnym interesie projekt adresu partyi młodoczeskiéj.

Dr. Rieger wypowiedział świetną mowę o prawach Czechów; w przejściu do porządku dziennego powiedziano wszystko, co się tyczy legalnych dążności narodu.

Gdyby młodoczechom chodziło było istotnie o rzecz samę, byliby po téj rozprawie powiedzieli w dumném poczuciu własnéj wygranéj: „To wszystko jest naszém dziełem! Bez naszego wniosku nie byłaby możliwą ani mowa Riegera, ani przejście do porządku dziennego. Narodzie czeski! nie lekceważ naszych zasług!“

Tak jednak rzetelni, czy, jeśli kto chce, tak sprytni nie byli młodoczesi; zagniewali się tylko małodusznie o nieprzyjęcie ich wniosku i zbyt młodzieńczo gniew ten objawili.

Kiedy marszałek krajowy 9 listopada r. z. ogłosił rezultat głosowania, nastawiona umyślnie młoda publiczność z galeryi taki hałas uczyniła, że musiano kazać galeryą opróżnić, co wywołało znów awantury uliczne. Że takie sceny się dzieją, wié każdy cokolwiek lepiéj obeznany z naszém życiem publiczném; że do takich demonstracyi w Wiedniu i Pradze wciągają młodzież szkolną, nie każdy; że w końcu młodzież ta szkolna odrywaną bywa przez to od swego właściwego zadania, nie ulega wątpliwości.

Ale cóż to wszystko obchodzi egoistyczne, myślące tylko o sobie stronnictwo; cóż to wszystko obchodzi człowieka, który, jak dr. Grégr jest przekonany, że Bóg stworzył naród czeski na jego usługi!... Dr. J. Grégr użył téż rezultatu obrad nad adresem do tego, aby daléj szkalować Riegera i staroczechów, w zwykły swój sposób, a uczynił to z taką pogardliwą wyniosłością dla niezupełnie jeszcze „zgregryzowanego“ rozsądku swoich bliźnich, że téj uzurpatorskiéj wzgardzie dla ludzi trzeba hołd oddać należny.

Dr. Grégr ośmielił się w „Narodnich listach“ wystąpić z publiczném oskarżeniem Riegera, że mówił on przeciw przywilejom czeskim i ogłosić staroczechów za zdrajców, ponieważ praw tych się za-

parli i przeciw nim głosowali... Na tém się kończy pierwszy ustęp programu działalności młodoczeskiéj.

Drugi ustęp miał jeszcze więcéj hałasu narobić, aby nietylko cały naród, ale i cała Europa młodoczechom się dziwowała. Znowu nie tyle chodziło o samę rzecz, ile o krzyk, który *à conto* téjże można było podnieść. Sposobność do téj drugiéj awantury sejmowéj dała następująca okoliczność.

Na nowym, monumentalnym gmachu Muzeum znajdują się po czterech stronach pod oknami drugiego piętra czerwone tablice marmurowe, na których wyryto złotemi literami imiona ludzi zasłużonych około sztuki i literatury czeskiéj. Tablic tych jest 68. Imiona te trudno jest odczytać wskutek zbytniéj wysokości. Że pomiędzy temi imionami nie powinno było braknąć imienia mistrza Jana Husa, wszyscy się na to godzą; ponieważ Hus, pominąwszy jego przewrotną działalność, ma tam prawie więcéj jeszcze prawa zająć miejsce, niż Luter u Niemców. Dziwnym sposobem, sejm, z galanteryi dla ultra katolickich magnatów, zabronił imię Husa wyryć na tablicy. Wspaniale wprawdzie przedstawia się postać Husa z północnéj strony gmachu na wypukłorzeźbie wyobrażającéj założenie uniwersytetu w Pradze, nie ma jednak imienia jego na żadnéj tablicy.

Rzecz nie była, jak się należy, i musiała wywołać wrażenie ujemne, tak, jakby wywołało je pominięcie Jungmanna, lub Šafařika. Ostrożność była bezwarunkowo przesadzona, a co do mnie, jestem przekonany, że figurujący pomiędzy 68 innymi Hus, nie byłby wcale dał powodu do zaniepokojenia ludności katolickiéj. Umyślnie go tam jednak nie umieszczono, a to podało młodoczechom sposobność do urządzenia arcydemonstracyi i rozwinięcia arcyagitacyi. Skończyło się na tém, że wydział krajowy postanowił już tablicę z imieniem Husa umieścić na budynku muzealnym.

Młodoczesi nie byliby potrzebowali zaraz całą tę rzecz brać tak ostro, gdyby im było chodziło o rzecz samą, a nie, jak zawsze, o wywołanie głośnego skandalu.

25 listopada 1889, ostatniego dnia obrad sejmowych, urządzili młodoczesi awanturę o Husa, do czego dały sposobność debaty nad budżetem i objęte nim koszta budowy Muzeum. Wszystko byłoby się załagodziło, gdyby młodoczesi chcieli byli dopuścić do załagodzenia; ależ im trafiła się gratka napadnięcia na duchowieństwo katolickie, na szlachtę z niém trzymającą!... Napaść ta wywołała opór ze strony atakowanych i w dniu tym sala sejmowa była widownią gorszących scen bratniego sporu. Na dobitkę zapomniał się młody książę Schwarzenberg, rozgorączkowany szermierką na słowa, i nazwał husytów „ban-

dą rozbójników chciwych mordu“, co czyhającym tylko na sposobność młodoczechom dało powód do wyprawienia piekielnego widowiska.

Wniosek młodoczeski, aby wstawiono tablicę z imieniem Husa, przekazano do załatwienia komisyi budżetowéj' a dr. Rieger wyraził swe ubolewanie w końcowém przemówieniu, że wzniosła postać mistrza Jana Husa nadużywana bywa w celach stronniczych. Sejm postanowił wotować nad budżetem krajowym.

Agitacya młodoczeska trwała naturalnie daléj i do ostatnich dni 1889 r. trwać nie przestała. Pisma z kraju prowokowano i ogłaszano w „Narodnich listach“, aby dowieść czci narodu czeskiego dla Husa; rozpisano powszechne składki, w celu wzniesieniu „Kolosalnéj statuy Jana Husa“ w środku Pragi; słowem, młodoczesi uczynili wszystko, aby pokazać, że przyszłość cała Czech musi oprzéć na husytyzmie. Wobec tego trudno jest nie uwierzyć, że pono dr. J. Grégr został pozyskany przez Niemców, dla skompromitowania dążności czeskich; szeroko o tém mówiono. Dziś, u schyłku stulecia XIX, ma być dla Czechów rękojmią przyszłości odświeżenie husytyzmu!...

Historyczny husytyzm z XV wieku, ma dwie nader charakterystyczne cechy: 1) fanatyzm religijny, 2) zawziętą nienawiść narodową.

Gdzież mamy szukać w naszym praktycznym wieku XIXreligijnego fanatyzmu i jakżeż mamy godzić na Niemców wewnątrz naszego kraju w obliczu potężnego cesarstwa niemieckiego. A cóż zostanie z husytyzmu historycznego po odjęciu tych dwóch głównych czynników? Możnaby na to pytanie odpowiedziéć: Niebezpieczna zabawka dla chciwych czynu młodoczechów! Niestety cała ta rzecz grozi nam wielkiém niebezpieczeństwem.

Mamy w Czechach blisko 100,000 ewangelików (augsburskiego i helweckiego wyznania), co nie jest wcale korzystném dla nas wobec aspiracyi wielkoniemieckich. Lepiéj byłoby bezwątpienia, gdyby cały kraj był katolickim. Tymczasem występują młodoczesi ze swoją agitacyą husycką, która bardzo łatwo może odwieść ludność wiejską od katolicyzmu. Jeśli się to zaś stanie, przewidziéć można, że odstępcy nie utworzą gminy husyckiéj, lecz przyłączą się do ewangelików. Najwyższy patron protestantów, cesarz niemiecki, z ukrytém zadowoleniem patrzéć będzie na wzrost liczby ewangielików, nad którymi czuwać musi w Czechach, a „Stowarzyszenie Gustawa Adolfa“ znajdzie jeszcze więcéj sposobności do rozdawania zapomóg pieniężnych; cesarstwo niemieckie tém więcéj osiągnie powodów do troszczenia się o królestwo czeskie i pewnego pięknego poranku możemy z niemałém zdumieniem przekonać się, jako neo-husytyzm z 1889 r. był tylko zwiastunem germanizacyi narodu czeskiego.

Ale, nie oglądając się na wszystkie możliwe wypadki w przyszłości, spojrzyjmy na naglące potrzeby obecnéj chwili.

Mówimy ciągle (my staroczesi mianowicie) o konieczności zgody z Niemcami i wewnętrznego pokoju.

Zgoda z Niemcami i młodoczeskie extrawaganacye!...

Po pierwsze: z kim mają się Niemcy ugadzać? z staroczechami, czy z młodoczechami? Pierwsza ogromna zawiłość.

Po drugie: co myśli człowiek o ugodzie z Niemcami, który usposobiony jest do husytyzmu młodoczechów?

Ale sprawy ugodowe będą podjęte w wiedeńskiém ministeryum pomimo wszystko. Ze strony Niemców będą obecni: dr. Schmeykal, dr. Hallwich, p. Plener, br. Scharschmidt, dr. Schlesinger i hr. Oswald Thun; z czeskiego obozu zaproszono: marszałka krajowego ks. Jerzego Lobkowica, dra Riegera, hr. Ryszarda Clam-Martnica, dr. Mattusza, hr. Kinsky'ego i Otokara Zeithammera.

Partyi młodoczeskiéj nie uwzględniono zupełnie. Dr. Grégr wyraził wprawdzie w swoim dzienniku nadzieję, że młodoczesi zawezwani zostaną do obrad ugodowych z Niemcami i że bez nich są one niemożliwe do podjęcia; ale pomimo to nastąpią one już 4 stycznia 1890 r. w Wiedniu. Z tego powodu czytamy w „Narodnich listach“ z 29 grudnia:

„Pan dr. Rieger z trzema swymi przyjaciółmi sposobi się do podróży do Wiednia, aby zadość uczynić życzeniu rządu i wziąć udział w naradach z Plenerem i jego zwolennikami nad przeprowadzeniem śmiesznego i niemożliwego pomysłu podzielenia królestwa czeskiego na dwa okręgi krajowe, niemiecki i czeski, nad zniszczeniem tysiącoletniéj jedności administracyjnéj i utworzeniem podwójnego prawa, korzystnego dla Niemców, szkodliwego dla Czechów.“

Tak pisały „Narodni listy“, gdy Grégr nie otrzymał zaproszenia do Wiednia, nie pojmując, jak zwykle, wymagań większości dobrze myślącéj.

Czegóż możemy się spodziéwać po tych obradach, podjętych na wyraźne życzenie cesarskie? W każdym razie tylko czegoś dobrego, choćby nie zupełnego załagodzenia politycznego sporu narodowego, i co prawda, dobrego tylko w granicach możliwości przy obecnym stanie rzeczy, przy coraz większém oziębieniu stosunków czesko-niemieckich. Będzie to jednak bądź-co-bądź pożyteczném, jeśli z obu stron inteligentni ludzie rozważą, co powodowało i powoduje niesnaski na ziemi czeskiéj. Takie omówienie rzeczy pod przewodnictwem rządu, który nie życzy sobie dalszych sporów, pod egidą monarchy, który najuroczyściéj wyrzekł, że jego państwo powinno wziąć w opiekę prawa wszystkich wcielonych w nie ludów: nie może bezwarunkowo nic pogorszyć, a może coś poprawić.

Wszystko, co było zaporą do pożądanéj obustronnie ugody, nie może być w Wiedniu mile widziane i brane w rachubę. Tylko, jeśli Niemcy postanowili, ziszczając idee wielkoniemieckie, Austryą poświęcić, muszą konsekwentnie baczyć na to, że egzystencya Czechów ogromną tu będzie przeszkodą i że ugoda z Czechami musiałaby być w takim razie wykluczoną całkowicie.

Jeśli zaś Niemcy uznają prawo monarchii austryackiéj do istnienia, jako państwa zwierzchniczego i samodzielnego obok cesarstwa niemieckiego: to mogą *eo ipso* uznać prawo istnienia królestwa Czeskiego, nie potrzebują uważać go za przeszkodę w planach na przyszłość i stosownie do powszechnie przyjętych zasad humanitarnych XIX-go stulecia narodowe równouprawnienie pojmować nie jako obrazę ich własnéj wyższości, a stąd do rzeczywistéj ugody nie jest już zbyt daleko.

Bardzo byłoby odpowiedniém, gdyby protokóły obrad wiedeńskich stenografowano i ogłaszano. Czy tak się stanie? Jeśli nie, to w każdym razie my nie bądźmy przeszkodą w tym kierunku.

Spodziewam się, że w krótkiém *Post scriptum* główny rezultat obrad wiedeńskich z 4-go stycznia będę mógł podać. Dziś, w końcu r. 1889, pragnę jeszcze to powiedziéć, że my Czesi, my staroczesi, szczerze i uczciwie życzymy sobie zgody z Niemcami. Pragniemy pokoju wszędzie i przekonani jesteśmy, że on nastąpić musi. Pewném jest, że inteligencya ogólno-ludzka wzrasta. Im więcéj zaś ta inteligencya wzrasta, tém mniejszą musi się stawać liczba indywiduów, które się dadzą prowadzić za nos każdéj, choćby najniezręczniejszéj agitacyi.

Lecz i do rządu trzeba się jeszcze zwrócić. Morawski deputowany dr. Žáček mówił o tych stosunkach na posiedzeniu izby poselskiéj 13 grudnia 1889 r. co następuje:

„Tworzenie się radykalnych elementów zawsze jest pewnym dowodem, że się nie uczyniło zadość prawdziwym potrzebom narodu. Objaw taki u Czechów tylko wtenczas jest zrozumiałym, gdy się zważy, że rząd w Pradze nie uwzględnił słusznych, politycznych, materyalnych i gospodarczych żądań narodowych, jak był powinien. Niech sobie rząd weźmie to za przestrogę na przyszłość, że nie można bezkarnie ignorować żądań, które nietylko przez posłów, ale i przez sam rząd uznane są za słuszne, że nie można nieoględnie wydawać przepisów, jątrzących lud, jeśli się nie chce dojść do podobnych rezultatów. („Bardzo słusznie!“ z prawicy). Spodziewam się jednak po Czechach, że skoro rząd życzenia ich i żądania spełni, którym słuszność przyznaje nietylko rząd, ale i opozycya, powierzą oni reprezentacyą swoją tym rozsądnym elementom, którym szczerze zależy na pomyślności interesów narodowych i na sharmonizowaniu ich z interesami całego

państwa. Panowie (do lewicy niemieckiéj) widzicie miłém okiem rozdwojenie narodowéj partyi czeskiéj, opieracie na niém swoje spekulacye i myślicie, że powrócicie do izby sejmowéj, jako zwycięzcy i panowie, gdy się te obie partye nawzajem do szczętu zjedzą; co do mnie jednak, jestem przekonany, że patryotyzm i rozsądek Czechów nie dopuści do tego tryumfu."

Do tych zacnych słów mogę tylko z całego serca dodać: Amen!... Co prawda, przy nadchodzącym nowym roku, wobec zbliżających się wypadków, nadzieja nasza bardzo jest niepewna. Otwartą toczymy walkę w własnym naszym domu, a zawieramy pokój z sąsiadami. Czyż ten sąsiad nie powié, że właściwie nie wié, z kim ma zawrzéć pokój?

Praga, 31 grudnia 1889 r.

Dr. Gablez.

P. S. Czynności ugodowe pomiędzy Niemcami a Czechami rozpoczęły się w Wiedniu 4 stycznia r. b. i trwały włącznie do niedzieli 19 stycznia. Nie jest już dziś tajném, że podjęto je na wyraźne życzenie cesarza i że odbywały one istotnie *sub auspiciis imperatoris*. Wszystko skierowane było ku temu, aby zbliżyć ze sobą uczestników obrad, co dawało rękojmią pomyślnego rezultatu; wyprawił tedy cesarz obiad dla nich, potém zaś prezydent ministrów, hr. Taaffe, oraz wszyscy biorący udział w sprawie ministrowie (hr. Schönborn, br. Gautsch, mrgr. Bacquehem, br. Prażak) wreszcie i ks. Schönburg. Konferencye odbywały się codzień, nawet w niedzielę, i trwały nieraz po cztery godziny. Wszystko, co uradzono, chowano w tajemnicy; krótki tylko buletyn powiadamiał każdodziennie publiczność o postępach obrad. W niedzielę 19-go stycznia wszyscy członkowie konferencyi podpisali protokół zawierający powzięte postanowienia; protokół ten brzmi:

„Zaproszeni przez j. eksc. p. prezesa ministrów, uczestnicy konferencyi zobowiązują się stanowczo występować wobec swoich politycznych stronnictw za przyjęciem powziętych uchwał, tworzących jednę całość, a przez c. k. rząd zatwierdzonych, szczególniéj zaś zobowiązują się niemieccy współuczestnicy konferencyi na podstawie tychże uchwał i w przypuszczeniu, że przyjmą je wszystkie reprezentowane na konferencyach stronnictwa, postawić wniosek, aby posłowie z ich obozu powrócili do sejmu."

„Uchwały te zostaną przedstawione w Pradze d. 26 stycznia 1890 r. ze strony uczestników konferencyi ich politycznym stronnikom, 27 zaś stycznia w popołudniowych dziennikach będą opublikowane. Do tego czasu ma być treść uchwał niewyjawianą. Jak tylko polityczni stronnicy uczestników konferencyi uchwały te przyjmą, co rozstrzygnie się 26 stycznia, stają się one obowiązującemi dla wszystkich stronnictw i c. k. rządu.

Ponieważ pomyślny przebieg czynności ugodowych pozwalał przypuszczać, że Niemcy, mieszkający w Czechach, odstąpią od dotychczasowéj stanowczéj opozycyi przeciw zamierzonéj na r. 1891 wystawie krajowéj, zwołał rząd na dzień 23 stycznia trzydniowe posiedzenie sejmu, aby tenże uchwalić mógł subwencyą krajową dla urządzających wystawę, co się téż stało.

W niedzielę 26 stycznia odbyło sią w Pradze pięć zebrań, w celu przyjęcia do wiadomości uchwał zapadłych w Wiedniu: 1) česky klub poslanců národni strany (staroczesi), 2) klub poslanců narodni strany svobodomyslné (młodoczesi), 3) klub deputowanych niemieckich z miast, gmin i izb handlowych (liberalni i radykalni ściśle zwartego stronnictwa), 4) klub tak zwanéj historycznéj szlachty (staroczesi), 5) klub wiernokonstytucyjnéj szlachty (Niemcy).

Wszyscy, z wyjątkiem młodoczechów, jednomyślnie przyjęli uchwały wiedeńskie.

W klubie młodoczeskim wielu było za odrzuceniem wszystkiego; rozsądniejsi jednak przeprowadzili uchwałę odroczenia, albo, jak może nie bez słuszności mówiono, uchwałę z kłopotu, i „Narodni listy“ z d. 27 stycznia obwieściły swoim czytelnikom, że klub młodoczeski przekaże do sprawozdania uchwały konferencyi wiedeńskiéj pięciu sekcyom klubowym i że sam klub na mającém się odbyć późniéj zgromadzeniu generalném da swoje *votum* co do nich i *votum* owo poda do wiadomości publicznéj.

Każdy musiał być przygotowanym na to, że młodoczesi, niezaproszeni do wzięcia udziału w naradach ugodowych i czujący się przez to mocno obrażonymi, nie powiedzą wprost: „Zgoda!“ na uchwały staroczeskich przywódców; że mogą to i owo krytykować w tych uchwałach, nikt nie zaprzecza, że jednak nic a nic nie mogą zmienić w nich, nie ulega również najmniejszéj wątpliwości, a jeśli się zważy, że ugodę wiedeńską masa narodu czeskiego przyjęła z jednomyślną radością i że szczególniéj w kołach przemysłowców i kupców powitano ją z wielkiém zadowoleniem, że daléj rząd, o czém wiem ze źródeł autentycznych, postanowił bezwzględnie, z wszelką energią i z pomocą wszelkich środków prawnych, wystąpić przeciw jakiemukolwiek zamachowi na dokonane dzieło pokojowe: nie można przypisywać znaczenia zamierzanéj może akcyi młodoczechów przeciw ugodzie.

Podam dziś w kilku tylko słowach treść uchwał czesko-niemieckich i zakończę ogólnym poglądem, zachowując sobie na przyszły list bliższe omówienie bezsprzecznie nader ważnego przedmiotu, tem bardziéj, że *primo:* 19-go lutego wypowiedziéć ma swe zdanie sejmik stronniczy niemiecki w Cieplicach co do uchwał wiedeńskich; *secundo:* rząd

ma przedłożyć sejmowi czeskiemu różne projekta do praw, wynikające z postanowień konferencyi; *tertio:* mający się zebrać w maju 1890 r. sejm ugodowy (jak się już teraz nazywa) wykończyć ma ostatecznie przeprowadzone dzieło pokojowe.

Protokół ugodowy zawiera 11 punktów, albo kwestyi spornych, co do których porozumieli się w Wiedniu Czesi i Niemcy.

I. Rada szkolna krajowa składać się będzie teraz z sekcyi niemieckiéj i czeskiéj pod wspólném przewodnictwem.

II. Szkoły mniejszości otwarte będą z subwencyą krajową tam, gdzie znajduje się 40 dzieci jednéj narodowości, a rodzice od 5 lat należą do gminy, albo tam, gdzie znajduje się 80 dzieci, a rodzice 3 lata należą do gminy, Zakłada je starostwo, a nie, jak dotąd, gmina.

III. Krajowa rada kultury składać się będzie z sekcyi niemieckiéj i czeskiéj pod wspólném przewodnictwem, przez co upada „związek centralny rolników niemieckich,“ założony przeciw krajowéj czeskiéj radzie kultury.

IV. Utworzenie nowéj (czeskiéj) izby handlowo-przemysłowéj we wschodnich Czechach, odłączając okręgi czeskie od niemieckiéj izby handlowéj w Reichenbergu.

V. Rewizya ordynacyi wyborczéj izby handlowéj. Dotychczasowa ordynacya wyborcza szkodliwa była dla Czechów.

VI. Odgraniczenie okręgów sądowych według narodowości mieszkańców.

VII. Zarządzenia w wyższym sądzie krajowym w Pradze. Sąd podzielony będzie na 2 sekcye, niemiecką z 15 radców i czeską z 26 radców. 15 radców niemieckich nie potrzebuje władać językiem czeskim, od radców czeskich wymaga się znajomości języka niemieckiego.

Przeciw temu punktowi występowali najostrzéj młodoczesi. Co do mnie, sądzę, że nieszczęście nie jest tak ogromne; zdaje mi się, że niedługo niewielu będzie w Pradze radców, nie znających zupełnie języka czeskiego.

VIII. Obsadzenie sądów I instancyi. Rządowi przydzieloną zostaje władza rozstrzygania w tym względzie kwestyi językowych.

IX. Rewizya rozporządzeń językowych—(z 19 kwietnia 1880 r.) — zostaje wziętą na wzgląd po dokładném odgraniczeniu okręgów sądowych (vide VI). Niemcy żądają zniesienia jéj.

X. Prawo tyczące używania języków krajowych w urzędach autonomicznych, postanowione na ostatnim sejmie, zostanie na nowo rozpatrywane na najbliższém posiedzeniu sejmowém, w którém wezmą udział i deputowani niemieccy.

XI. Rewizya ordynacyi wyborczéj sejmowéj i utworzenie narodowych kuryi. Rząd przedkłada obecnemu sejmowi ugodowemu projekt ustawy wyborczéj dla kuryi z wielkich posiadłości i przedstawia projekt ustawy dla ogólnéj reformy wyborczéj sejmowéj. Sejm, podzielony obecnie na trzy kurye (z wielkich posiadłości, deputowani z miast i izb handlowych, deputowani z gmin), podzielony będzie na trzy kurye (niemieccy deputowani, czescy deputowani, posłowie z wielkich posiadłości). Każdéj kuryi przysługuje prawo *veto*.

Jeśli się punkta I, III, VII uzna za korzystne dla Niemców, to z drugiéj strony II, IV, V, a zwłaszcza XI są stanowczo korzystne dla Czechów. VI, VIII, IX, X spoczywają w rękach rządu. Wszystkie zatém działające czynniki uzyskały coś dla siebie podczas konferencyi wiedeńskich.

Wiedeński, ministeryalny „*Fremdenblatt*“ z 28-go stycznia 1890 r. odzywa się o ugodzie w następujący sposób:

„Czesi mogli przystać na wszystko, czego żądali Niemcy, bez upokorzenia, bez zaparcia się, i zyskali raz na zawsze gwarancyą dla siebie, któréj im już nic odebrać nie może! Wprowadzili zgodę do kraju, wywalczyli dla społeczeństwa czeskiego zupełnie inne stanowisko w świecie cywilizowanym niemieckim i w świecie Niemcom przyjaznym. Postawili téż szczep swój na pewnych nogach i obwiedli się palisadą, któréj żadna austryacka ręka nie poważy się nadwerężać. Wicher i fale polityki napróżno w przyszłości uderzać o nią będą, a pomyślność Czechów nie będzie już zależała po większéj części od politycznego słońca, które wschodzi nad Wiedniem. Równouprawnienie jest i dla Czechów prawdą i niewzruszoną pewnością.

Zgadzam się z tém wszystkiém najzupełniéj i mówię: Amen!

Czy narodowy spór w Czechach stanowczo się skończył?

Nie sądzę, i jestem prawie przekonany, że będzie trwał daléj, ale w innéj formie, niż dotychczas. Gdybym chciał zwięźle wskazać właściwe znaczenie dzieła ugodowego, powiedziałbym, że należy go szukać w urzędowém uznaniu i poszanowaniu praw narodowych ze strony Niemców i rządu, co nastąpiło wskutek wyraźnego życzenia jego cesarskiéj mości.

W najbliższym liście pomówię szczegółowiéj o ugodzie.

Praga, 30 stycznia 1890 r.



SNY LUDZKOŚCI.

II.

Niedorzeczności.

W gaiku tuj, cyprysów, pomarańcz i granatów, na ławce siedzą rzędem urodziwe w strojach XV wieku niewiasty. Przed niemi młodzian w długiéj haftowanéj szacie, smyczkiem po strunach skrzypiec pociągając, wtóruje harfiarce śpiewającéj pieśni Boccacia. Po nad tą szczęśliwą, uśmiechniętą grupą, bujają w powietrzu, z pochodniami hymenu w ręku, skrzydlate amorki.

Wszystko: kwiecisty kobierzec, eteryczne w powietrzu bujające postaci, uśmiechnięte oblicza, słodkiéj sieście oddanych biesiadników, wszystko to zdaje się tchnąć roskoszą olimpijskiego, niczém nie zamąconego bytu. Ale niestety, na skrzydłach nietoperza, zbliża się stara, o rozwianych włosach, z ogromną kosą w ręku, ohydna czarownica. Pod nią na ziemi stos trupów: królowie, królewny, księżniczki i książęta, prałaci i kardynałowie, rycerze i szlachta. Żebracy o kulach, wznosząc dłoń ku owéj straszliwéj postaci, dają jeszcze znak życia.

Nad tém wszystkiém o zwierzęcych głowach i brudnych skrzydłach nietoperza szatani, aniołowie o niebiańskich fizyonomiach i orlich skrzydłach mieszają się wzajemnie, unoszą przeznaczone im ciała zbawionych i potępieńców, walczą o nie i wzajemnie wydzierają je sobie.

Daléj z łowów powracająca, przesuwa się konno królewska drużyna. Na czele stary król na koniu, obok niego młodziuchna królewna, w swéj drodze zatrzymani widokiem rozwartych grobowców, obnażających kościotrupy królów i królewien, szkaradnemi, wijącemi się wężami i robactwem toczonych. Tuż obok piętrzą się skały, na jednym z ich szczytów pustelnia. Tu i owdzie ptaki olbrzymich rozmia-

rów, z kraterów skał buchają płomienie, do których szatani zaciągają i wrzucają dusze potępionych.

Byłbyś w błędzie, czytelniku, sądząc, że to wszystko jest snem tylko.

Bynajmniéj. Przytoczony opis jest wierném powtórzeniem rzeczywistości, bo na płótnie pędzlem i ołówkiem utrwalonego pomysłu mistrza Andrea Orcagna, dziełem epokowém, znaném pod nazwą: Tryumfu śmierci.

Wszystkie opisane powyżéj sceny na jedném płótnie umieszczone, przed oczyma widza, jak senne przesuwają się marzenia.

Jak na obrazie Orcagna, tak samo we śnie zmieniają się ustawicznie sceny. We śnie widzimy świetnie przystrojoną salę balową, znajdujemy się wśród rozochoconéj karnawałowéj rzeszy, uszy nasze pieszczą dźwięki walca; w tém, nagle słyszymy pogrzebowe pienia, sala balowa zamienia się w okamgnieniu na kirem zasłaną przedpogrzebową kaplicę, jaśniejące w kryształowych pająkach świéce, jakby za sprawą sztuki kuglarskiéj, w oczach naszych zmieniają się w smętnie gorejące gromnice i pochodnie. Zajeżdża karawan, na który sami wsiadamy w strój balowy przybrani.

W wygodném posłaniu puchowém spoczywa o zaokrągloném, równowagę sił duchowych cechującém obliczu filister i śni, że pod ramię ująwszy Hanibala, wspina się z nim na niedostępne szczyty tatrzańskie. Poeta snów, dziecko wolności, urzędowemi gardzący zaszczytami, widzi się w wojskowym, ze złocistemi epoletami uniformie, na piersi dla wolności oddychającéj, ciążą jak kamienie gwiazdy i ordery.

W sennéni marzeniu widzimy także, jak na dachu sąsiedniego domu, jakby po chodniku, spacerują różne postaci, lub téż konno harcujących huzarów, toczące się rydwany, zaprzężone w rącze rumaki.

Nieprawdaż, co za niedorzeczności!

Co za niedorzeczności, tylko we śnie możliwe, powtarzamy sobie po ocknieniu ze snów takich, powtarzamy sobie to, dopóki nie sięgniemy myślą do — historyi sztuki.

Historya sztuki przekona nas, że tylko sennym marom przypisywane niedorzeczności, są nieodłącznym warunkiem artystycznego tworzenia. Aby dowieść téj prawdy, po kolei będziemy rozpatrywali dzieła sztuki malarskiéj, rzeźbiarskiéj i architektonicznéj przez świat cały za arcydzieła uznane.

Przegląd nasz zaczniemy u samego źródła sztuki europejskiéj: od Egiptu.

Płaskorzeźba na pilonach Teb i Karnaku przedstawia bitwę, którą Egipcyanie pod wodzą Ramzesa II staczają z Syryjczykami.

Postać króla na rydwanie, w dwa rącze rumaki zaprzężonym, stojąca, przeszło trzy razy większa od innych otaczających monarchę osób, na płaskorzeźbie przedstawionych. Taka sama logika proporcyi, a raczéj brak jéj zupełny, jest znamienną cechą historycznego malarstwa egipskiego i rzeźby egipskiéj. W płaskorzeźbie Karnaku, Seti I dzierży w ręku maczugę, która za chwilę spaść ma na głowy u stóp króla klęczących jeńców wojennych, o połowę niż król mniejszego wzrostu. Obraz zdobiący grobowce w Medinet-Abu, przedstawia procesyonalny pochód Ramzesa III. Niewolnicy znowu o połowę mniejszego wzrostu, niż król i królowa, których lektykę unoszą.

W rzeźbie i malarstwie assyryjskiém, lubo takich horrendów skali nie widzimy, ale za to skrzydlate o ludzkich brodatych głowach i byczych tułowiach dziwotwory, niby lwy skrzydlate, w zupełności zastępują naiwnie pojętą skalę utworów egipskich.

Przejdźmy teraz do Hellady, do téj ojczyzny i świątyni piękna, do téj artystycznéj Mekki kultu piękna, do tego ogniska, zestrzelającego wszystkie aspiracye artystów, badaczów i dyletantów, do tego nieprzebranego źródła, zasilającego spragnionych artyzmu.

Rzeźbiarskie postaci bóstw, jak to już nam wiadomo, w naturze nigdy nie istniały, nie istnieją i, istnieć nie będą. Podobnie jak asyryjska, rzeźba heleńska stworzyła dziwaczne fantazye: centaurów, lapitów, trytonów i nimfy najrozmaitsze. Bóstwo opiekuńcze, światłooka Atena, przybrane w chlamidę, któréj zwój każdy przedstawia wijącą się żmiję.

Rzymska sztuka najtrzeźwiéj rzeczy przedstawia.

W sztuce romańskiéj, np. w katedrze w Modenie (XII w.) płaskorzeźba przedstawia uśpionego na wielkim kamieniu Adama, z którego boku Bóg wyprowadza pierwszą towarzyszkę mężczyzny. Obok tego widzimy Adama i Ewę, stojących pod drzewem wiadomości złego i dobrego. Tłem tego rajskiego obrazu, romańska kolumnada, wspierająca szereg kolistych arek sklepiennych, podobno, jak tego chce historya sztuki, w pierwotnéj siedzibie człowieka zupełnie nieznana.

Mikołaj Pisano odtwarza na płaskorzeźbie zdobiącéj katedrę w Siennie, aż trzy sceny, nie troszcząc się bynajmniéj o to, że współcześnie one miejsca mieć nie mogły. W środku obrazu, na łożu, rzymski sarkofag przypominającym, spoczywa Najświętsza Panna. Dwie kobiece postaci klęczą obok naczynia, w którém stoi Dzieciątko Jezus. Na drugim planie betleemska stajenka, ze żłobem, mieszczącym nowonarodzonego Jezusa, otoczonego skrzydlatymi aniołami. Zaraz obok nawiedzenie Maryi przez Elżbietę. Narożnik zaś obrazu zapełniony

jakąś architekturą, któréj styl rozpoznać trudno, w każdym razie ani rzymski ani hebrajski.

Kilkakrotne téjże saméj postaci powtarzanie na jednéj płaszczyźnie obrazu, widzimy znów w rzeźbie Ghiberti'ego.

Na obrazie Bernardino Luini: Ofiarowanie Jezusa w Świątyni, architektura ma czysto włoski charakter. Na ostatnim planie, w ramę arkady ujęty krajobraz z renesansowym kościołkiem. Przed nim Najświętsza Panna z Jezusem u łona, odbywa podróż z Betleem do Egiptu.

Przypatrzmy się teraz kostiumom i akcesoryom i wogóle otoczeniu, na obrazach za arcydzieła uznanych.

Na obrazie Zwiastowanie Donatella, tło stanowi architekturę renesansową. Na obrazie zaś Ghirlandaya Narodzenie Maryi, komnata udekorowana w stylu włoskiego renesansu. Wzdłuż kwadratowych filarów, korynckiemi zaopatrzonych kapitelami, wije się ornamentacya w czysto włoskim stylu. Ściany podzielone na kwatery, wypełnione ornamentacyą. Na tabliczkach na ścianach pozawieszanych, czytamy włoskie napisy. Przez fryz biegnie grono wesołych rzeźbionych amorków, z lirami, harmoniami i tacami owoców w rękach. Z boku kominek. typowo włoskiéj konstrukcyi. Wszystkie postaci i akcesorya obrazu utrzymane ściśle w stylu XV wieku.

Mistrz Stefan na swym obrazie, znajdującym się w katedrze kolońskiéj, stroi Trzech Królów, hołd Jezusowi składających, w stroje XV wieku. Ich kaftany z wylotami, kontusze, miecze saraceńskie, trójkątne ze śpiczastemi daszkami kapelusze, przez biodra lite, haftowane, drogiemi kamieniami wysadzane pasy z trójkątnemi *à la Margueritte* zwieszającemi się torebkami, w odpowiednim stylu utrzymana architektura, to wszystko drobny anachronizm, dający się w cyfrze wyrazić: 1400 lat.

Zaślubiny Aleksandra z Roksaną Antonia Bazzi, odbywają się we wspaniałéj renesansowéj komnacie. Na łożu pod baldachimem na czterech korynckich kolumnach wspartym, w zaniedbanym stroju siedzi Roksana, do któréj Aleksander ramiona wyciąga, w ręku trzymając koronę. Nad, pod i około baldachimu fruwają, to znów żwawo uwijają się całe zastępy skrzydlatych amorów.

Domek na tle obrazu Dürer'a Marya z Dzieciątkiem, wprost ze średniowiecznéj Norymbergi do Betleem przeniesiony. Józef z Arymatei, na obrazie tegoż mistrza Złożenie do Grobu, przystrojony w kostium XVI wieku i kapelusz formy cylindrycznéj.

Poważny Hans Holbein także niewiele troszczy się o logikę. Jakób Mayer, burmistrz Bazylei, na obrazie Adoracya Maryi przed-

stawiony, otoczony dwiema małżonkami: jedna, nieboszczka klęczy obok żyjącéj małżonki Mayera, bynajmniéj trwogą swéj sąsiadki nie przejmując.

Współbiesiadnicy Uczty Szymona Paolo Veronese'a, są w kostiumie i otoczeniu XVI wieku.

Chrzest Chrystusa v. d. Weyden'a, odbywa się w gotyckim kościele, Sąd Kambizesa David'a w gotyckiém otoczeniu, a osoby w strojach flamandzkich.

Wogóle mistrzowie holenderscy i niemieccy znani są z tego rodzaju anachronizmów i niekonsekwencyi. Dość przytoczyć dzieła Holbeina, Dürera, Rembrandta, Gerbandta v. d. Eeckhout'a.

Francuzi pod tym wzdlędem Niemcom, Włochom i Holendrom w niczém nie ustępują. Krajobraz M. Poussin'a, znajdujący się w Luwrze, przedstawia włoską okolicę, na któréj ostatnim planie widzimy fortyfikacye zamku Św. Anioła w Rzymie. Na pierwszym planie tego rzymskiego ze średniowieczną architekturę krajobrazu, na kamieniu siedzi Orfeusz, mając lirę w ręku śpiewa, u stóp jego siedzącéj Eurydyce.

Nieraz też, jak we śnie, widzimy na obrazach sobowtóry samych autorów dzieł np. na obrazach Dürer'a.

Cudowne zjawisko, Najświętsza Panna z Dzieciątkiem, dzieło mistrza z Urbino, chórem głów cherubów wyłaniających z nieba swe boskie twarzyczki otoczona, ukazując się św. Sykstusowi, stoi na bardzo chwiejnym gruncie kłębiących się obłoków, ukazuje się to zjawisko z po za przed chwilą rozsuniętéj firanki. Zwyczajna więc tylko firanka oddziela siedzibę błogosławionych od ziemskiego padołu, powié widz, tak zw. trzeźwą logiką obdarzony.

Zasłonę taką możnaby jeszcze usprawiedliwić, ale któż wytłómaczy niezwykłe zgromadzenie, przez Rafaela do Szkoły ateńskiéj zwołane?

Pod okrągłém sklepieniem téj świątyni wiedzy, jakby za sprawą czarów, gromadzą się postaci otchłanią czasu oddzielone. W środku stoi Plato i Arystoteles, tuż Sokrates, Ptolomeusz, daléj nieco stryj Rafaela—Bramante, obok niego sam mistrz we własnéj osobie ze swym nauczycielem Perugino. Plato i Perugino — w jedném zgromadzeniu!

To już nie dwuznacznie przypomina wędrówkę współczesnego nam człowieka z Hanibalem, którego pod ramię ująwszy, prowadzi po Tatrach śniegiem pokrytych.

Przypomnieniem żywém snów, jest także układ sam obrazów jak u wielu mistrzów widzimy.

U Dosso-Dossi, Moretto, Bognacavallo postaci układają się zawsze w doskonałéj, ale w naturze niemożliwéj symetryi W Śmierci

Ananiasza Rafaela, wszyscy téj tragicznéj scenie obecni, padając do tego stopnia symetrycznie się układają, że tę umiarowość jednostajne oddalenie od osi głównéj obrazu, możnaby zapomocą cyrkla nakreślić. Najlepiéj wyćwiczona armia, najzręczniejsi, w karności utrzymani teatralni statyści, na dany znak reżysera, nie byliby w możności takiego manewru wykonać.

W Adoracyi Baranka Bożego braci Jana i Huberta v. Eyck, widzimy na środku ołtarz Baranka Bożego, wokrąg którego grupują się nadzwyczajnie symetrycznym wieńcem zastępy aniołów. Tak samo grupują się prałaci, patryarchowie, męczennicy i męczenniczki na obrazie przedstawieni. Przed ołtarzem fontanna wytryskuje w liniach krzywych do tego stopnia symetrycznych, że raczéj za dzieło architekta od cyrkla nakreślone może być uważana, niż za dzieło malarskie, z natury odtworzenie.

To są jednak wszystko drobnostki w porównaniu z dziełem Leonarda da Vinci: Wieczerza Pańska, która w biały dzień ma miejsce!

Z kolei wypadałoby nam wstąpić do świątnicy sztuki polskiéj. Wypadałoby wykazać Matejce, Siemiradzkiemu i całemu zastępowi mistrzów polskich, przez nich spłodzone niedorzeczności, ale odkładamy to do drugiéj części następującego rozdziału.

Ten, według tak zwanéj chłopskiéj logiki, obraz niedorzeczności, zakończymy fryzem Muzeum berlińskiego, dzieło Kaulbacha.

Przez całą długość tego fryzu przebiega w kształcie wijącéj się falistéj linii ornament, z gałęzi którego tu i owdzie wyrastają jak owoce z drzewa tułowia dziecięcych postaci. Na jednéj z takich gałęzi siedzi chłopczyk, to Prometeusz. Trzyma w ręku posążek niemowlęcia. Z po za gałęzi wychyla głowę dziewczynka w hełmie Ateny. Daléj, jak kwiaty w śród liści wyskakują pęknięte jaja, z jednego wydostaje się na świat chłopiec, z drugiego dziewczynka, czynią wrażenie wykluwających się piskląt. Pod gałęzią historyczna niedźwiedzica karmi Romulusa i Remusa. Na zakończenie, z liści wyrastają popiersia dzieciaków, mających w ręku kości, któremi walczą, jakby zabójczemi maczugami.

Jestto istna parodya życia, maskarada, nieprawdopodobieństwo, we śnie widziany obraz.

Wszystkie rzeźbiarskie pomniki są pełną pomnikową niedorzecznością, mówi tak zwana zdrowa logika.

Weźmy pierwszy lepszy tego rodzaju utwór, za arcydzieło uznany, np. pomnik Fryderyka II w Berlinie.

Na niedostępnych dla człowieka stopniach, wznosi się piedestał

na trzy główne podzielony kondygnacye. Na czterech węgłach tego piedestału spiralne konsole stanowią grunt dla konnych posągów: ks. Ferdynanda Bruńświckiego, ks. Henryka Pruskiego, oraz generałów Ziethena i Seidlitza. Bardzo to niewygodne dla tych bohaterów miejsce, o ich bohaterskiéj odwadze świadczące, wygodniejsze i bezpieczniejsze jednak niż postaci na wielkim gzymsie pomnika umieszczonych. Czynią one wrażenie lunatyków po dachu wędrujących. Gdybyż to przynajmniéj autor pomnika był pomyślał o poręczy chroniącéj te postaci od śmiertelnego skoku, który im co chwila grozi!

Tak zwana zdrowa i trzeźwa logika nigdy nie wyjaśni, jakim sposobem wszystkie te postaci zdołały dostać się na gzyms ośm stóp po nad poziom ulicy wzniesiony. Trudniejszą jeszcze do rozwiązania, zagadką, sama postać króla, który konno wskoczył na szczyt piedestału na 25 stóp wysokiego.

Niełatwém było także zadanie Piotra W., który na swym ognistym bucefale wskakuje na granitową, śliską skałę, sterczącą na Senackim placu w Petersburgu.

Albo téż podziwiać musimy Zygmunta III, który ze swego, zbyt niebezpiecznego posterunku, od dwóch wieków przeszło, na lud warszawski spogląda.

Sądząc, że przytoczone fakta dostatecznie przekonywają o błizkiém pokrewieństwie, łączącém senne z malarskiemi, rzeźbiarskiemi fantomami, słów kilka na zakończenie wypada poświęcić sztuce architektonicznéj.

Nie będziemy powtarzali wszystkich niedorzeczności architektury Indów, uczyniliśmy to już poprzednio.

Przejdziemy więc do innych mar sennych w świecie architektonicznym.

Kapitele kolumn egipskich ukształtowane na wzór papirusu, palmy, lotosu; inne znów tego rodzaju architektoniczne organa, w tymże stylu, mają kształt kobiecéj głowy, na któréj wsparty pilon; lub téż całe kolumny w postaci człowieka ukształtowane. Atoli, ani roślina wprost z gruntu wyrwana, ani tembardziéj głowa człowieka, lub téż cała jego postać, bynajmniéj nie jest zdolna do podpierania ciężaru. Udowadnianie téj prawdy byłoby zbyteczne, nielogiczność sama przez się widoczna. Perski kapitel utworzony jest z dwóch ze sobą tułowiem zrośniętych byków.

W stylu zaś, który stał się wzorem wzorów po wszystkie czasy i wieki, niewzruszony kanon twórczości architektonicznéj, z samych prawie niekonsekwencyi się składa. Mam tu na myśli architektonikę helleńską.

Najprzód trzy stopnie na których wznosi się świątynia dorycka, stopnie, jako na kilka stóp wysokie, niedostępne dla człowieka.

Nad temi stopniami wznosi się rząd kolumn cylindrycznych, każda kilkanaście razy wyżłobiona, co oczywiście osłabia moc organów, których przeznaczeniem dźwiganie pokrycia budowli. Błąd więc przeciw zwykłéj logice: stopnie tak wysokie, że na nie człowiek stąpić nie jest w możności, obok tego błąd przeciw wrodzonemu, nader prostemu poczuciu konstrukcyi, albowiem wyżłabianie wzdłuż kolumny tylko ją osłabić może. Kolumny zakończone kapitelem, który swym krzywolinijnym konturem, przez swą elastyczną krzywiznę, jakby spłaszczony jest pod działaniem ciężaru na nim spoczywającego. Zauważmy jednak, że kapitel ten wyciosany z twardego kamienia, a jak wszystkim wiadomo, kamień pod działaniem wielkiego ciężaru, może nawet na proch być zmiażdżony, nigdy jednak jako ciało nieelastyczne, z prostokreślnego na krzywolinijny przeobrażanym być nie może.

Nareszcie to arcydzieło sztuki helleńskiéj, trójkątnym zakończone frontonem, t. j. dwuspadkowym daszkiem, co jest bardzo racyonalne. Ale cóż pod tym trójkątnym dachem, co robią pod strychem bogowie Hellady?

Narożniki trójkątnego frontonu świątyni zakończają skrzydlate o ludzkich lub zwierzęcych głowach sfinksy i gryfy, lub téż ludzkie postaci, którym przeznaczono miejsce na szczycie budowli, błądzą one jakby lunatycy niespokojnemi dręczeni snami.

Takie niedorzeczności są regułą architektury helleńskiéj.

W Partenonie, posąg Ateny głową sufitu dotyka, a siedząca postać Zeusa w Olimpii, gdyby powstała, głowęby o belki kamienne sufitu rotrzaskać musiała. Posąg Ateny na ateńskim akropolu większe ma rozmiary na wysokość, niż sama świątynia na cześć tego bóstwa wzniesiona.

Na szczytach świątyń rzymskich i łuków tryumfalnych, rydwany w cztery rumaki zaprzężone, wprost przypominają głupi sen o huzarach, co po dachu sąsiedniego domu konne odbywają musztry.

Na bizantyńskich, perskich i nowszych budowlach Indostanu, dach zamiast być dwuspadkowym, kształt najracyonalniejszy, jeżeli chodzi o odprowadzenie wód deszczowych, zakończony czopkami w kształcie cebuli.

O sennem pochodzeniu architektury maurytańskiéj, mówiliśmy w poprzedzającym rozdziale.

W architekturze ostrołukowéj, cała flora i fauna, nic nie ma wspólnego z celem budownictwa: pokryć i odgraniczyć przestrzeń, aby tym sposobem zabezpieczyć człowieka od zmian klimatycznych. Wąt-

pić jednak należy, czy temu zadaniu zadość czynią, jak koronka przezroczyste (*sic*) zakończenia wież w Burgos, Strasburgu, lub kościoła wotywnego w Wiedniu.

Te same niedorzeczności powtarzają się we współczesnéj nam architekturze.

Szczyt teatru w Berlinie zakończony posągiem Apollina, z lirą w ręku, umieszczonego na rydwanie, ciągnionym przez dwa skrzydlate o ptasich głowach gryfy. I to jest epokowe dzieło, utwór Karola Fryderyka Schinkel'a, któremu w naszych czasach wskrzeszenie istotnego poczucia piękna powszechnie jest przypisywane.

Na dach szczytowy, czyli fronton gmachu Nowéj-Opery w Paryżu, dzieło Karola Garnier'a, znakomitego architekta, jednego z grona czterdziestu Instytutu Francuskiego, na dach ten wskoczył Apollo, którego przecież właściwém miejscem nie szczyt dachu, ale szczyty olimpijskich wysokości.

Gottfryd Semper, najuczeńszy, najgłębszy myśliciel, jakich imiona historya sztuki zapisała, błędów podobnych, podobnych horrendów tyle w życiu swém spłodził, że nawet wyliczyć ich niepodobna!

Schody nieprzystępne dla człowieka zwykłego wzrostu, kolumny których moc rozmyślnie osłabiono, kapitele w kształcie zrośniętych ze sobą zwierząt, kamienne, jak gutaperka albo stal, elastyczne kapitele, postaci bóstw pod strychem umieszczone, inne znów po dachu odbywają harce, — wszystko to chyba w połączeniu z niedorzecznościami, przez malarzów i rzeźbiarzów spłodzonemi, dostateczne, aby nie jednę tylko, ale tysiąc i jednę noc, najdziwaczniejszeni zapełnić sennemi marzeniami.

Moglibyśmy nie jeden jeszcze dowód przytoczyć, stwierdzający wspólność sennych i artystycznych marzeń, ich nielogiczność, ale wolimy czytelnikowi zniecierpliwionemu tém na ideały ludzkości targaniem się, pokazać odwrotną stronę medalu téj zoilowéj krytyki.

III.

Logika marzeń.

a) Prawa kojarzenia są organiczną nicią snów i artystycznych utworów. — Stapiapianie oddzielnych cech wytwarza idealne typy, stwierdzenie tego za pomocą doświadczenia Galtona. — Dobroczynny daltonizm postrzegania i reprodukowania wrażeń.

Władza umysłu naszego, na mocy któréj zdolni jesteśmy reprodukować wrażenia, jest mar sennych i artystycznych tajemną ojczyzną.

O téj wspólności pochodzenia z jednego źródła wrażeń estetycznych, jakich nam sny i dzieła sztuki dostarczają, przekonał nas krótki przegląd identycznych warunków, wśród których marzenia senne i style sztuki powstały.

Czysta atmosfera, pobudzenie wrażliwości wzroku, odpowiednio odbiły się w plastycznych snach Hellena. Pół-zmrok, brak wzrokowych spostrzeżeń, zastąpienie ich umysłowemi wrażeniami, wydały zawikłane, wielce złożone, mnóstwem szczegółów najeżone gotyckie katedry, z całym zastępem rzeźbiarskich fantomów.

Pod brzemieniem na wszystkie zmysły działających potęg przyrody, wpływów atmosferycznych, widoków przepełnionych nadzwyczajném bogactwem fauny i flory, powstały szalone sny Indów.

Przegląd ten, jak również cały szereg w poprzedzającym rozdziale przytoczonych płodów względnéj niedorzeczności, w dziedzinie rzeźby, malarstwa i architektury, jest dowodem łączności sennych i artystycznych marzeń. To w ogólnych zarysach wykazane pokrewieństwo sprawdza się także w szczegółach.

Nicią organicznie łączącą spostrzeżenia, reprodukowane w snach i artystycznéj twórczości, są prawa kojarzenia.

Jak wiadomo, prawo to polega na tém, że pobudzona fantazya wysnuwa z siebie cały szereg obrazów, nie będących ze sobą w widocznym, bezpośrednim związku. Tak np. pieśń kiedyś słyszana, późniéj w lat kilka znowu powtórzona, może nam żywo dawno minioną uprzytomnić chwilę. Barwy względnie do symbolizmu, jakie im przypisujemy, wywołać mogą uczucie i obraz smutku, czy téż wesela. Kiedy pomyślimy o jakiéj miejscowości, bezpośrednio nasuwa się wyobraźni inna okolica z nią granicząca, zamieszkujące tę okolicę osoby, krewni tych osób, ich znajomi i tak bez końca.

Widok Termopilów przenosi fantazyą artysty do kraju, ...*gdzie widmo nadziei—Dla małowiernych serc podobne snowi.* (Słowacki).

Takie szybkie kojarzenie myśli, dla któréj ani czas, ani przestrzeń nie istnieje, jest sennych marzeń charakterystycznem znamieniem.

Radestock, w wymienioném już kilkakrotnie dziele, przytacza mnóstwo przykładów snów, w których rozmaite wyrazy, a zatém i pojęcia, nieskrępowane wymaganiami logiki, ze sobą się kojarzą. Przykład takiego kojarzenia we śnie w tłómaczeniu przytaczam.

„Maury (imię własne), idąc szosą, na kamieniu drogowym czyta wyraz *kilometr*. Nagle znajduje się on na wozie handlarza korzeniami, który kładąc na szale *kilogramy*, aby zważyć Maury'ego, mówi do niego: pan nie jesteś w Paryżu, tylko na wyspie Gilolo."

Ze zwyczajnéj drogi bitéj, przez kamienie *kilometrowe, kilogramowe* wagi, Maury drogą kojarzenia dostają się na wyspę Gilolo.

Atoli takiemu kojarzenia podlega umysł nietylko podczas snu. Na jawie kiedy znajdujemy się w stanie nawpół czynnym, nawpół sennym, kiedy unosi nas t. zw. marzenie, lub téż, gdy nie chcemy utrzymać na wodzy inercyi fantazyi, wtedy w mgnieniu oka na skrzydłach fantazyi przebiegamy olbrzymie odległości czasu i przestrzeni.

Ostatecznym wynikiem kojarzenia jest w jedną całość stapianie oddzielnych spostrzeżeń przez fantazyą przyswojonych.

Podczas snu w wyobraźni naszéj przesuwają się krajobrazy, których jednak nie widzieliśmy w naturze, typy w przyrodzie nie istniejących zwierząt, lub téż ludzkich postaci, osób zupełnie nam nieznanych.

Po uważniejszym jednak rozbiorze tego rodzaju obrazów, przychodzimy do wniosku, że we śnie widziane postaci czy téż krajobrazy, złożone są z części tu i owdzie na jawie widzianych. Na tego rodzaju krajobrazy składa się, z takiéj okolicy dąbrowa, z innéj znów góra lub strumień, gdzieindziéj widziany. Postaci człowieka we śnie widzianego, uprzytomniającego nam znane lub nieznane osoby, nie są podobne do istniejących w naturze, nie są ich fotograficzném w fantazyi naszéj odbiciem, ale pewien typ pośredni przedstawiają. Dobrze nam znane osoby, które we śnie nam się zjawiają, niby do swych żyjących wzorów podobne, a jednak od nich różne. Tak samo w każdém inném senném zjawisku. Krajobrazy np. mają pośredni charakter, nie należący wyłącznie do téj lub owéj okolicy, do tego lub owego przedmiotu; ale są stopieniem cech należących do kilku krajobrazów, do kilku osób, do kilku przedmiotów, które na jawie postrzeganie nasze silniéj uderzyły.

Stąd właśnie pochodzi owa nieokreśloność sennych obrazów. Mówimy, że widzieliśmy we śnie tę lub owę znaną nam osobę, ale w zupełnie odmiennéj postaci.

Zakrawałoby na paradoks zdanie takie, nie wytrzymałoby może ono najlżejszéj krytyki, gdybyśmy sami takich sprzecznych w swéj istocie wrażeń nie doznawali. Bo, że obszar podobny do pewnego pierwowzoru, ale zarazem niepodobny do niego, nie uwierzy, kto nigdy takich halucynacyi sam nie doświadczył.

Ta znamienna cecha płodów we śnie pogrążonéj fantazyi, jest jedném z najsilniejszych ogniw, łączących senne z artystycznemi marzeniami, i tego pokrewieństwa rzeczywistym dowodem.

Nawet psychologia, która tylko w ogólnych zarysach tłómaczy istotę sztuki, jako przykład ideału estetycznego podaje cen-

taura, t. j. zjawisko powstałe ze stopienia głowy i popiersia człowieka z końskiém tułowiem.

Fantazya artystyczna, jak w sennem marzeniu, dwa kształty do siebie nie należące stapia w jednę całość. Wspólnym i bezwiednym celem, do którego senna i artystyczna fantazya zdąża, stapianie w jednę całość tu i owdzie pozbieranych części; a to dla zadośćuczynienia potrzebie dobitnego wytłómaczenia sobie w plastycznych obrazach uczuć, gęstą zasłoną tajemniczości osłoniętych, które nas dręczą smutkiem lub rozkoszą łechcą.

Stapianie więc oddzielnych cech jest nicią przewodnią sennéj artystycznéj fantazyi.

Takie krajobrazy, jak: Rembrandt'a, Ruysdael'a, M. Poussin'a i K. Lorrain'a, w przyrodzie nie istnieją.

Takich postaci człowieka, jak w helleńskiéj rzeźbie, nigdy w rzeczywistości nie było, niéma i nie będzie. Zeus olimpijski Fidyasza zespala w sobie spokój, jak wieczność cichą, boską pogodę ducha, niezrównaną siłę, która przez samo brwi zmarszczenie grom na świat sprowadza. Atoli ta postać władcy bogów jest tylko człowiekiem, starcem, ze zgrzybiałością nic nie mającym wspólnego. Cały boga-bogów olimpijski orszak, to postaci ludzkie, na świecie nie widziane. Wszystkie znamiona téj lub owéj postaci właściwe, zatarte w dziełach Fidyasza i Praksytela. Bóstwo i zwykły śmiertelny w jedném ciele stopieni, gdzie jednak tego połączenia granica, tego podobno nikt oznaczyć nie zdoła.

Że celem sztuki idealizowanie, że idealizowania tego osnową utworzenie postaci, która w naturze nie istniejąc, z naturą w ścisłém pokrewieństwie zostaje, tę prawdę oddawna na drodze umysłowéj spekulacyi nauka stwierdziła.

Stwierdziła więc ona bezwiednie organiczną łączność sennego i artystycznego marzenia.

Co jednak dotąd drogą rozumowania stwierdzono, dziś potwierdza proste fizyczne doświadczenie, dzięki pomysłowości psychologa Galtona.

Wszystkim wiadomo, że czas pozowania przed fotograficznym aparatem osoby, któréj chcemy zdjąć fotogram wielkości kartki wizytowéj, wynosi *minimum* 60 sekund. Poddając więc kliszę fotograficzną działaniu światła przez znacznie mniejszy przeciąg czasu, np. 3 sek., śladu na niéj nie otrzymamy. Atoli, jeżeli przed objektywem aparatu kolejno umieszczać będziemy 12 osób, każdą zatrzymując po 3 sek, wtedy otrzymamy tym 12-tu osobom typ wspólny, podobny do każdéj z nich

wziętéj oddzielnie, a jednak nie będący portretem żadnéj z pozujących osób.

Mam przed sobą próby takich doświadczeń, wykonane przez p. Artura Batut w Paryżu. Są to fotografie zdjęte z natury. Jedna z takich tablic daje zbiór fotografii siedmiu kobiet, mieszkanek Montagne-Noire, kobiet wcale nieurodziwych.

Przez stopienie tych siedmiu fotografii, sposobem, o którym powyżéj, p. Batut otrzymał typ pośredni, podobny do każdéj z pozujących osób.

Inna znów tablica przedstawia zbiór fotogramów, mężczyzn i kobiet, które razem fotograficznie stopione, w rezultacie dały typy nieporównanie piękniejsze od fizyognomii osób, które do wykonania doświadczenia posłużyły.

Kilka np. szpetnych, z głupowatym wyrazem twarzy mężczyzn lub kobiet, dają twarze o zupełnie poprawnych rysach.

Po bliższém i uważném przypatrzeniu się rysom typu, tym sposobem otrzymanego i po porównaniu go z oddzielnemi portretami, które do wytworzenia go posłużyły, przyszliśmy do wniosku, że w typowym portrecie utrwalone zostały tylko te rysy twarzy poszczególnych osób, które są ich najbardziéj charakterystyczném znamieniem. I tak, jeżeli np. linia brwi, oddzielająca czoło od oczodołów, powtarza się we wszystkich oddzielnych fizyognomiach w jednakiéj krzywiźnie, krzywa ta będzie widoczną także w typowym portrecie. Małe, o nie wyraźnych konturach oczy, znikają w typowym portrecie, natomiast utrwalonemi zostają te, które odznaczają się wyrazistością rysunku i barwy. Pomiędzy rozmaitemi owalami, kolejno przed aparatem pozujących osób, wytwarza się *sui generis* kompensata, w rezultacie dająca owal idealny, średniéj pomiędzy poszczególnemi owalami krzywizny. Kilka typów niekształtnych nosów zbyt opuszczonych lub zadartych, za pomocą fotografii w jedną całość stopione, dają „poprawny rysunek“ téj części twarzy.

Tym sposobem można wykazać, że typowy portret jest estetyczną składką cech znamiennych fizyognomii osób, które posłużyły do otrzymania typowéj fizyognomii.

Fizyognomia taka mogłaby być zatém istnym ideałem rysów pewnéj rodziny, rasy, albo też typu ogólno-ludzkiego: bogów Hellady.

Inicyator owego doświadczenia, Galton, ze zlania sześciu medali Aleksandra W., w Muzeum Brytańskiém się znajdujących, otrzymał nieporównanie piękniejszy profil, niż te, które oddzielne medale przedstawiają. Takimże sposobem otrzymany typ Kleopatry, według

pięciu rozmaitych wzorów, dał obraz kobiéty o pięknych, w naturze nie widzianych rysach.

Opisane fizyczne (fotograficzne) doświadczenie, plastycznie, jak na dłoni, wykazuje rzetelność prawa, do którego drogą rozumowania doszli estetycy. Przekonywa ono, że w typowym portrecie pozostają tylko linie i rysy znamienne, wszystkim osobnikom wspólne.

Proces, jaki się odbywa na kliszy fotograficznéj, jest istną walką o byt sił potężniejszych ze słabszemi, cech wybitniejszych z mniéj znaczącemi. Że taka walka, takie pokonanie cech drugorzędnych przez cechy główne, wytwarza ideał typu, jest jego osnową, udowodnił Taine w swéj rozprawie: „O ideale w sztuce.“ Do téj więc pracy znakomitego estetyka odsyłamy czytelnika, któryby chciał sprawdzić rzetelność naszych wywodów.

Fotografia jednak nigdy nie zastąpi artystycznéj twórczości. Najprzód bowiem do wytworzenia idealnego typu trzebaby dobrać do tego ideału zbliżone postaci. Najdelikatniejsza bowiem zmiana rysów twarzy w porównaniu z ideałami, które nam historya sztuki przekazała, karykaturę ich sprowadza. Tém bardziéj, układ oddzielnych figur w artystyczny całokształt, myśl twórcza, żadną miarą za pomocą takiego „*mixtum compositum*“ nie da się zastąpić.

Fotograficzne więc doświadczenie, które nam dało typ idealny, jest zarazem jednym z licznych dowodów, że fotografia nigdy sztuki nie zastąpi.

Atoli, przytoczone doświadczenie obok poglądowego wytłómaczenia istoty ideału sztuki, *per analogiam*, wyświetla proces fantazyi twórczéj.

Już sama zdolność reprodukcyjna stanowi analogią z procesem, odbywającym się w fotograficznéj ciemnicy.

Wyobraźnia plastyczna, którą nasz umysł obdarzony, jest istném zwierciadłem, w którém odbijają się zebrane spostrzeżenia. Prawa sennemi marzeniami rządzące najlepiéj to tłómaczą.

Ktoś komunikuje mi sen, który przytaczam:

„Przez miejski rynek, w środku którego wznosi się budowla krużgankami otoczona, przesuwa się w jednego nędznego konia zaprzężony ubogi karawan, bez zwykle towarzyszącego pogrzebowego orszaku. Zdjęty żalem, chcę odprowadzić zwłoki biedaka na miejsce wiecznego spoczynku, ale egoistyczne uczucie gdzieindziéj myśl moję zwraca, gubię bowiem swoję ulubioną laskę i—w tém się budzę.“

„Części składowe snu tego—mówi taż sama osoba — były reprodukcyą wrażeń doznawanych przez kilka dni, sen poprzedzających. Wrażenia te jednak odbiły się w odwrotnym ich następstwa porządku.

W wigilią snu bowiem długo zastanawiałem się nad budowlą, którą we śnie widziałem, dnia poprzedzającego przejął mnie pogrzeb ubogiego, a na trzy dni przedtém zgubiłem laskę, którą potém we śnie widziałem.

Ostatnia scena snu, epizod zgubienia laski, było najdawniejszém, doznaném wrażeniem, rynek miejski najświeższém w wigilię snu doznaném wrażeniem, tymczasem scena z laską była kulminacyjnym punktem snu.

W przytoczonym więc śnie, który bynajmniéj za produkt indywidualnéj fantazyi uważany być nie może, wrażenia odbiły się, jak przedmioty na powierzchni zwierciadła. Najprzód więc odbicie przedmiotu najbliższego zwierciadła, potém daléj umieszczonych.

Po wyjaśnieniu podobieństwa, jakie istnieje pomiędzy zwierciadlanemi lub téż w *camera obscura* odbitemi obrazami, a w umyśle naszym reprodukowanymi, powracam do właściwego przedmiotu niniejszego rozdziału: postrzegania cech znamiennych zjawisk i stapiania ich w idealne całości.

Wiadomo, że przez czas dłuższy powtarzane czynności, ze sfery woli w sferę sił naturalnych przechodzą. Z początku tkanki nerwowe przystosowują się z trudnością do pewnych ruchów, po długiém jednak ich ćwiczeniu stają się podatnemi i wytwarzają ruchy z mechaniczną łatwością, przystosowują swą budowę [1]).

Im więc działanie siły częściéj się powtarza, lub téż im jéj natura potężniejszą, tém trwalsze i bardziéj znamienne w umyśle pozostawia ślady. Są to niby w mózgowych komórkach odciski, które zewnętrznym bodźcem pobudzone, występują w postaci reprodukowanego w fantazyi obrazu.

Psychologia wskazuje dwa warunki takiéj reprodukcyi: czas trwania, albo co na jedno wychodzi, wybitność cechy postrzeganego zjawisku.

Ten psychologiczny pewnik ilustruje znów doświadczenie fotograficzne, o którém powyżéj. Światło działające na kliszę fotograficzną w przeciągu 3 sekund, pozostawia tylko wtedy ślady, jeżeli to działanie będzie 12 razy powtórzone, czyli jeżeli pewien rys, p e w i e n p u n k t twarzy u pozujących osób 12 razy się powtarza. Siły, czy téż rysy znamienne fizyognomii walczą tu wzajemnie. Jeżeli pomiędzy 12-ma osobami pewien rys powtarza się dajmy na to ośm razy, to osoby tym znamiennym obdarzone rysem nad czterema pozostałemi odniosą zwycięstwo. Jeżeli, dajmy na to, tym wspólnym ośmiu osobom rysem,

---

[1]) Porówn. „Psychologią Murray'a."

są oczy, to na typowym portrecie oczy te będą więcéj przypominały wyraz pierwszych ośmiu, niż następnych czterech.

Podobny proces przyswajania cech wybitnych, ogólnie panujących w pewnéj grupie zjawisk, musi odbywać się w umyśle artysty.

Jego fantazya instyktowo, bezwiednem gnana poczuciem, jak skrzydlaty motyl przebiega z kwiatu na kwiat, przyswajając sobie to, co najpożywniejsze, omijając trujące lub niepożyteczne dla odżywiania pierwiastki.

Do dziś widzimy jeszcze w Grecyi i we Włoszech typy ludzi, pięknością swą przypominających arcydzieła klasycznego dłuta i pędzla.

W braku świadectw pisanych, ten empiryczny dowód procesu analizy i syntezy, jaki odbywa się w umyśle artysty, musi się za wystarczający uważać.

Natomiast historya sztuki średniowiecznéj dostarcza pod tym względem mnóstwo zarówno żywych, jak piśmiennych dowodów, stwierdzających, że postaci dłuta i pędzla téj epoki, są średniowziętym typem ludności, pośród któréj artysta wzrósł i tworzył [1]). Nie są to jednak niewolnicze osób żyjących portrety, jeno idealizowane obrazy, typy. „Im większy artysta — mówi Taine — tém potężniéj ujawnia temperament swéj rasy,“ dodajmy, témbardziéj czuły na zewnętrzne wpływy.

Czém się jednak dzieje, że w jedném i tém samém otoczeniu pewne osobistości przyswajają sobie z postrzeganych zjawisk, tylko tych zjawisk charakterystyczne znamiona i tym sposobem idealne stwarzają typy, inne znów osobistości, przyswajając sobie tylko drugorzędne cechy zjawisk, mierne produkują twory.

Pierwszą kategoryą typów nazywamy konstytucyami artystycznemi. Na czém polega tego rodzaju konstytucya, tego nauka dotychczas ściśle nie wyjaśniła. Nie wyjaśniła téż procesu plastycznéj produkcyi w tak dobitny i dotykalny sposób, jak np. fizyologia, tworzenie się obrazów na siatkówce oka. Można bowiem anatomicznie za pomocą skalpelu mózg badać, ale ani skalpel, ani chemiczna analiza, ani mikroskop nie uwidoczni tworzenia się idealnych postaci w wyobraźni artysty, nie wytłómaczy stopienia oddzielnych wrażeń w jednę typową całość.

Tylko więc przez porównanie ze zwierciadlaném odbiciem i fotograficzną ciemnicą, w przybliżeniu wyjaśnić można tworzenie się idealnych obrazów w umyśle artysty.

Przez porównanie téż wytłómaczyć możemy, dlaczego taki umysł

---

[1]) Porówn. Viollet-le-Duc'a: *Dictionnaire*, VIII, str. 117 i. d.

przyswaja sobie cechy znamienne rzeczy widzianych, dlaczego znów te cechy w innym umyśle śladu nawet nie pozostawiają. Porównanie to może na pierwszy rzut myśli będzie się zbyt materyalistycznem wydawało.

Jak wiadomo, na fotograficznéj kliszy utrwalić możemy tylko kształty, nie zaś barwy, gdy tymczasem zwyczajna *camera obscura*, kształty i barwy reprodukuje.

Na tym opierając się fakcie, łącząc go przytém z fotograficzném doświadczeniem Galtona, przychodzimy do ogólnego wniosku, że podobnie jak te dwa przyrządy, z których pierwszy tylko czuły na kształty, drugi zaś na kształty i barwy, tak samo pewne indywidua obdarzone zdolnością przyswajania sobie takich cech, inne znów z cech drugorzędnych.

Zdanie to opieramy na właściwéj pewnym rasom zdolności do kształtowania, innym znów do poczucia kolorytu, jednych do takiego rodzaju, innych znów do wprost innego rodzaju wrażeń estetycznych.

Hellenowie, obok nadzwyczajnéj, z neuropatyą graniczącéj wrażliwości poczucia kształtów, poczucia po tysiąckroć stwierdzonego, mało byli obdarzeni wrażliwością i puczuciem w zakresie barw. Mógłbym na udowodnienie téj prawdy historycznéj przytoczyć pstrokaciznę polichromii świątyni, rzeźby i kostiumów helleńskich, ale to już zbyt znane dowody, wolę więc poprzestać tylko na wywodach lingwistów. Pomiędzy nimi Hugo Magnus lingwistycznie dowodzi, że zmysł odróżniania barw wyrobił się z biegiem czasu. Dowodzi on, że przed 4,000 czy 5,000 lat, przed naszą erą, człowiek odróżniał tylko: białe i czarne (światła i cienie). Angielski premier, Gladstone, znakomity znawca Homera, wykazuje, że barwy niewyraźnie są określone w Iliadzie i Odyssei.

Z drugiéj znów strony teorya Tomasza Younga wyjaśnia nam istotę tego braku poczucia pewnych barw, wyjaśnia istotę daltonizmu, kalectwa oczu, wskutek którego nie można odróżniać pewnych barw.

Według teoryi Younga, siatkówka oka składa się z trzech rodzajów włókien. Jedne z nich przyjmują tylko wrażenia barwy zielonéj, inne fiołkowéj, inne znów czerwonéj. Otóż, przy zaniku jednego gatunku włókien, indywiduum tém kalectwem dotknięte, nie jest zdolne spostrzegać barwy temu włóknu odpowiadającéj. Jeżeli np. nastąpi zanik włókien zielonych i niebieskich, albo też w przewadze czułości jednego gatunku włókien nad innemi, odpowiednio do takiego patologicznego stanu włókien, spostrzeganie barw odnośnych stanie się niemożliwém. Przy nadczułości zaś jednego rodzaju włókien np. czerwo-

nych wszystkie przedmioty będą się nam wydawały, jakby na czerwono zabarwione, lub téż mające odcień téj barwy.

Nim jednak z téj teoryi odpowiednie wyciągniemy wnioski, zastanówmy się przed tém nad budową innego zmysłu, który podobnie jak oko gra w sferze estetycznéj pierwszorzędną rolę. Tym zmysłem jest słuch, który w główněj skali doskonale odróżnia fale poszczególne. Podobnie jak pryzmat, promień światła, ucho roszczepia falę akustyczną. Odbywa się tu taki sam proces, jak w strunach fortepianu. Jeżeli przed fortepianem wyrzucimy z piersi pewną nutą, dźwięk ten, fala ta na wszystkie struny instrumentu działając, jednę z nich tylko wprowadzi w odpowiednie sympatyczne drganie. Każda bowiem struna dokonywa proces naturalnego doboru odpowiedniéj jéj nuty, przyswaja ją sobie, jak umysł pewne tylko wrażenia z pomiędzy wielu doświadczonych wrażeń. Wyrzucona nuta *a* wprowadzi tylko w drganie jéj odpowiadającą strunę.

Instrument więc złożony tylko z pewnych strun, będzie na inne dźwięki zupełnie nieczuły. Możemy więc łatwo wyobrazić sobie instrument w rodzaju harfy eolskiéj, tak zbudowanéj, aby tylko harmonijne, mile brzmiące reprodukowała dźwięki.

Widzimy więc tu jedność budowy oka i ucha. Jak pierwsze tak i drugie może być dotknięte d a l t o n i z m e m, może nie być zdolne do przyswajania sobie pewnych dźwięków i barw. Nerw akustyczny, jak to mikroskop wykazał, jest zakończony około 3000 włókien. Tak zwane fibry Cortiego są jakby strunami maleńkiego fortepianu.

Jedność budowy mechanizmu oka i ucha, pozwala nam wnosić, że jak dla barw i dźwięków, tak samo dla postrzegania kształtów istniéć musi *sui generis* d a l t o n i z m.

Pewne indywiduum zdolne jest do przyswajania sobie takiego rodzaju cech znamiennych, inne znów zdolne do przyswajania cech innego rodzaju.

Konstytucya artystyczna więc musi być tylko na cechy główne zjawisk wrażliwa; konstytucya taka, przyjmując do świadomości tylko to, co stanowi główną charakterystykę rzeczy widzianych, odrzuca ich drugorzędne, mniéj znaczące cechy.

Atoli pomiędzy pewną liczbą w danéj grupie powtarzających się cech, te jako znamienne uważać musimy, które powtarzają się największą liczbę razy. Są one wyrazem największéj siły, która zwalcza inne słabsze siły, które stały się w danéj grupie zjawisk panującemi. Doświadczenie Galtona wyjaśnia to sposobem poglądowym.

Dar postrzegania u artystów musi być właśnie obdarzony owym *sui generis* d a l t o n i z m e m, na mocy którego fantazya artysty zdolna

jest do przyswajania sobie tylko cech znamiennych; daltonizm taki czyni postrzeżenie artystyczną fantazyą niezdolną do postrzegania cech drugorzędnych, które do jego wyobraźni, że tak rzec można, nie przystają.

Życiorysy znakomitych artystów powyższe wywody ilustrują.

O Benvenuto Cellinim mówi Taine: „Podobne ciało i dusza zdają się być wykute z granitu lub porfiru, podczas gdy nasze ulepione z kredy lub gipsu“.

Kréda i gips wszystko w siebie wsiąka, gdy tymczasem granit i porfir podlegają tylko potężnym siłom; słabe działanie śladu na nich nie pozostawia.

Wogóle, gwałtowność, krewkość temperamentu, nadzwyczajna odporność jest właściwością jaźni mistrzów odrodzenia.

Osobliwie w dziełach Michała Anioła widoczną jest gwałtowność uczuć, niezwalczona wola, wrażliwość tylko na te objawy formy, które potężnéj siły są symbolem. Dość wymienić tu Mojżesza, Jeremiasza, postaci z olbrzymiemi rękoma i nogami, o nadzwyczajnie rozwiniętéj muskulaturze, z olbrzymiemi brodami. Dawid jest starożytnym gladyatorem. Nawet Bambino na posągu Madonny, silny jak efeb spartański. Głowy dłuta Michała Anioła, jak w starożytnéj rzeźbie, proporcyonalnie do muskułów ciała są zbyt małe.

W każdym muskule, w każdym załamku draperyi tkwi ogromna siła. Rysy miękkie, drugorzędne cechy fizyonomii, snać jak groch o ścianę rzucony, odbijały się od reprodukcyjnéj wyobraźni twórcy tych dzieł potężnych.

Inne cechy charakterystyczne Michała Anioła, jednostronność jego wrażliwości, *sui generis* duchowy daltonizm, nadczułość dla jednych, obojętność znów zupełna dla innych wrażeń, ilustrują znów teoryą powyżéj wyłożoną.

Twórca Mojżesza i rzeźb grobowca Medyceuszów, był wrażliwy do zbytku, nieśmiały nawet, w sobie skupiony, towarzyskie małostki do tego stopnia go krępowały, że nigdy nie mógł się zdobyć na przyjęcie u siebie gości. „Ludzie niezwykli — mówi Taine — skupiają się w sobie, nie mogąc rozwinąć się nazewnątrz, z powodu ciasnego otoczenia. Od pierwszych chwil młodości Michał Anioł był nieprzyjacielem licznego towarzystwa. Nie znajdował bowiem innéj istoty, któraby mu odpowiadała. Znał tylko miłość dla sztuki, wiedzy i godnéj jego kobiety, zarówno, jak on dumnéj i szlachetnéj, przed którą bił czołem jak przed cnotą niebiańską“.

Te charakterystyczne rysy są wspólne innym mistrzom epoki odrodzenia.

Charakter taki bądź-to człowiek na świat ze sobą przynosi, bądź-to wytwarza w otoczeniu, w którém brak wszelkiéj sprawiedliwości, gdzie zatém sam musi o własnéj obronie myśléć, przyzwyczaja się do silnych i nagłych postanowień i tym sposobem wytwarza temperament sangwiniczny. Sangwinizm zaś osobliwie wpływa na zmienianie obrazów w fantazyi i jest szybkiego kojarzenia, nowych układów macierzą.

W umyśle takich artystów, jak Cellini, uczucia a za niemi w ślad idące obrazy, zmieniają się z kalejdoskopową szybkością. Płacz, śmiech, miłość i nienawiść, wciąż mieszają się w duszy Celliniego.

Wszystkie te cechy charakteru znakomitych artystów, są zarazem znamiennemi cechami stanu duszy, człowieka we śnie pogrążonego. We śnie, jakby w dziecięcym wieku, śmiech z płaczem się miesza. „We śnie jesteśmy wszyscy sangwinikami — mówi Radestock (str. 149). Dzieci téż i sangwinicy śnią żywiéj, niż flegmatycy i melancholicy. Poczas snu, jakby w wieku dziecięcym, myśl nasza z szybkością błyskawicy przelatuje od przedmiotu do przedmiotu, czas ani przestrzeń dla mar sennych nie istnieje. Jest to najszybsze kojarzenie właściwe umysłowi dziecięcemu, właściwe indywiduom obdarzonym t. z. bujną fantazyą, która z nadzwyczajną szybkością od przedmiotu do przedmiotu przeskakuje. Z błyskawiczną téż szybkością odbywa się kojarzenie w umyśle artysty. Poszczególne wrażenia, jakby po drucie telegraficznym przebiegając, w mgnieniu oka stapiają się w artystyczną całość.

Szybkość taką, takie poszczególnych wrażeń stapianie, możemy sobie uprzytomnić przez porównanie ze znaném fizyczném doświadczeniem, według którego, jak wiadomo, oddzielne barwy widma słonecznego na tarczy wachlarzowo rozłożone, dla wzrokowego postrzeżenia, zlewają się w jednę białą barwą. Albo téż, żarzący węgiel do sznurka przytwierdzony, przez szybki obrót opisuje w swych poszczególnych położeniach jednę ciągłą krzywiznę okręgu koła. Poszczególne wrażenia stapiają się tu w jednę całość, a to na zasadzie, jak wiadomo, t. zw. długości wrażenia.

Podobny proces musi odbywać się w umyśle artysty, z tą tylko różnicą, że szybkość obrotu samego punktu świetlnego, szybkość kojarzenia myśli zastępuje. Takie szybkie, jakby po telegraficznym drucie, kojarzenie jest właśnie sennych marzeń organiczną nicią.

Artysta w swéj twórczéj fantazyi nie widzi takiego a takiego kształtu, ale idealną tych poszczególnych postrzeżeń sumę. Im artysta bardziéj zdolny do takich uogólniań, tém genialniejszy.

Ideałem światła dla mieszkańca naszej planety, nie jest żadna z poszczególnych barw widma, ale ich suma, światło białe. Ideałem

kształtu w świecie artyzmu, nie jest to lub owo postrzegane w naturze istniejące zjawisko, ale wspólna pewnéj grupie, najczęściéj powtarzająca się tych zjawisk cecha.

Jak we śnie tak samo wtwórczości artystycznéj dokonywa się zbieranie tu i owdzie rozproszonych cech, w jednę idealną całość. Dzieje się to za pomocą téj zbierającéj soczewki, którą artysta ze sobą na świat przynosi. Przez takie zebranie cech wytwarzają się nie istniejące w naturze zjawiska.

Tworzenie odbywa się zawsze w chwili ekstazy duchowéj, pod wpływem gorączki, stanu do sennego marzenia zbliżonego.

Cellini dostaje gorączki, gdy we Florencyi tworzy swego Perseusza. Tartini tworzy swoję „Dyablą sonatę“ w chwili, kiedy we śnie ukazał mu się szatan. Goethe tworzy swego Prometeusza podczas sennego marzenia. „Co podczas czuwania—mówi on—w dzień spostrzegałem, kształtowało się często podczas snu w sny umiarowe; a z chwilą otworzenia oczu, zjawiały się mi nowe cudowne całości“.

O Rafaelu mówią, że jego Madonny, są kombinacyą stu pięknych widzianych kobiét.

Jean Paul twierdzi, że Rafael miał już w wyobraźni swój ideał, który w każdym razie we śnie widziéć musiał. Brierre de Boismont wspomina o malarzu, który z pamięci malował portret osoby raz tylko w życiu widzianéj, poczém wpadł w obłąkanie. Schopenhauer, Purkyńe i Wundt jeszcze daléj idą, dowodząc identyczności snu i obłędu [1]).

Benvenuto Cellini miał wizye, ukazywała mu się: Matka Boska, Chrystus i niebo z całym orszakiem. Coleridge zapewnia, że we śnie ułożył swój poemat Kubla-Khan [2]).

Tak tedy, przychodzimy do założenia na początku niniejszego rozdziału postawionego, że organiczną nicią, podstawą i źródłem powstawania sennych i artystycznych obrazów jest szybkie kojarzenie.

Kojarzenie to na jawie wciąż nowemi przerywane wrażeniami, wciąż trzeźwione, nie może się skupić w jednę artystyczną całość.

Stan duchowy właściwy sennéj i artystycznéj twórczości, tłómaczy nam także, że ludzie w młodych latach częstokroć za sennych marzycieli, za umysły nie mające wartości uważani, wyrastają późniéj na niepospolitych myślicieli lub artystów.

„Pospolitość ludzi—mówi Renan—sprawia, żesamotność duchowa

---

[1]) Porówn. wym. także dzieło Radestocka: Vergleichung des Traumes mit dem Wahnsinn. Cap. IX.

[2]) Więcéj szczegółów w tym przedmiocie podaje Chmielowski w swéj rozprawie, str. 85 i d.

jest koniecznėm przeznaczeniem tych, którzy ich (pospolitych ludzi) przewyższają geniuszem i sercem. Trzeba zatém utworzyć mały boski światek dla siebie, wyciosać sobie szatę nieskończoności, aby módz sobie powiedzieć: moja nieskończoność...“

Wzrok artysty, jak owa harfa eolska, tylko na harmonijne dźwięki czuły, a za wzrokiem dusza wydaje tylko dźwięki znamiennych głosów w koncercie otaczającego świata słyszanych. Przyswaja ona sobie tylko to, co najwybitniejszą cechę zjawisk stanowi. Wszystko co niewyraźne, dwuznaczne, ognia życia, siły potężnéj pozbawione, od tego wszystkiego, oko i myśl artysty się odwraca. Odwracając się od tego wszystkiego, co ani płomieniem nie grzeje, ani lodem nie mrozi, artysta bezwiednie powtarza w myśli słowa Danta: *Non ragioniam di lor, ma guarda e passa...*

(*D. n.*) *Kazimierz Kleczkowski.*





WIDOKI

HANDLU KRÓLESTWA NA WSCHODZIE.

Przystępując do wyłożenia naszego poglądu na środki najodpowiedniejsze, jakich handel Królestwa użyć powinien w celu większego rozpowszechnienia towarów swoich na t. z. rynkach wschodnich, uznajemy z góry potrzebę zdobywania owych rynków za dowiedzioną przez rok rocznie wzrastające cyfry wywozu.

Wychodząc z tego założenia, postaramy się wskazać, które z rynków wschodnich uważamy za odpowiednie do eksploatacyi przez nasz handel, zwracając uwagę nietylko na te rynki, na których wyroby przemysłu naszego znalazły zbyt już obecnie, lecz i na te, na których zdobycie można rachować w bliskiéj przyszłości, lub bezwłocznie. Przegląd tych rynków zupełnie dokładnym być nie może, ze względu na brak odpowiedniego materyału, zebranego na miejscu. Ścisłe dane cyfrowe przywozu na Wschód, oraz ceny miejscowe nie mogły być w dostatecznéj ilości zebrane za pomocą korespondencyi, i to właśnie stanowi największy brak naszego materyału. Wobec tego musieliśmy często poprzestawać na ogółowém wyliczeniu towarów, nie będąc w możności robienia poszczególnych zestawień, czy to cen, istniejących w Królestwie z cenami praktykowanemi na Wschodzie, czy téż zapotrzebowania na pewien towar na tamecznych rynkach z możnością dostarczenia takowego z Królestwa. Chodzi nam tu jednak nie o dokładne studyum statystyczne, lecz jedynie o zwrócenie uwagi naszego świata przemysłowego i handlowego na owe rynki i wskazanie w ogólnych zarysach racyonalnych sposobów eksploatacyi tych nowych pól zbytu, a do tego celu ogólne dane, jakie posiadamy, mogą nam wystarczyć.

Zaczniemy od rozpatrzenia handlu w kraju Zakaukaskim, i przechodząc od Batumu przez Kutais, Tyflis, Akstafę i t. d., dojdziemy do Baku. Przy przeglądzie jarmarku bakińskiego zwrócimy też uwagę na znaczenie Baku dla handlu Rosyi z Persyą. Następnie wska-

żemy pobieżnie znaczenie handlowe południowych portów morza Kaspijskiego, tak ruskich, jak perskich, oraz zwrócimy uwagę na Astrabad i Szachrud. Późniéj zastanowimy się nad doniosłością kolei żelaznéj zakaspijskiéj, tak dla handlu z krajem Zakaspijskim, Chiwą, Bucharą, Turkiestanem i prowincyą siemireczeńską, jako też i dla handlu z Persyą. Daléj, zwracając się na północ, przejdziemy na Kazalińsk, Orenburg, Troick, Irbit, ażeby ocenić zmiany, jakie koléj zakaspijska wywarła w tych miejscowościach, jako punktach handlowych. Nadmienić tu musimy, że z umysłu pomijamy tak ważne punkty handlowe, jak Rostów nad Donem, Taganrog i inne porty morza Czarnego i Azowskiego z jednéj strony, oraz z drugiéj Carycyn i Astrachań. Wartość tych miejscowości dla naszych stosunków handlowych rozpatrzymy na inném miejscu.

Stosunki handlowe z krajem Zakaukaskim. Już w lipcu 1886 roku zwracano z Batumu uwagę warszawskiego oddziału Towarzystwa powierania przemysłu i hanlu na zniesienie *porto-franco* i na skutki, jakie to zniesienie wywrze na miejscowe stosunki handlowe. Istotnie, do czasu zniesienia wolnego tranzytu przez Kaukaz i do czasu zniesienia *porto-franco* w Batumie, odbywała się w kraju Zakaukaskim istna orgia przemytnicza. Cały handel był spekulacyą na nieoclonych towarach. Rok 1886 położył temu tamę i firmy, prowadzące ów handel, wycofały się już wszystkie prawie z interesów, korzystając z przysługującego im prawa wywozu bez cła znajdujących się u nich towarów. Obecnie stosunki handlowe kraju Zakaukaskiego z Europą przez Batum, weszły na drogę normalniejszą. O ile jednak korzystniejsze warunki handlu tamecznego zostały przez warszawskich przemysłowców i kupców wyzyskane, tego dokładnie nie wiemy. Rozwój bardzo znaczny tych stosunków widnieje z danych o przewozie w bezpośredniéj komunikacyi zamorskiéj przez Odesę, bo zamiast 39 tysięcy pudów, wysłanych z Królestwa do Batumu w r. 1886, znajdujemy, że w roku 1888 przez Batum posłano 95,100 pudów. Ciągłe starania o zawiązanie nowych stosunków z krajem Zakaukaskim, otwieranie agentur, czy to zbiorowych, czy też przez oddzielne fabryki, dowodzą, że stosunki te nie zostały całkowicie wyzyskane, i że rozwój w tym kierunku postępuje jeszcze naprzód. Batum przedstawia rzeczywiście punkt nadzwyczaj dogodny, tak dla wwozu towarów naszych do kraju Zakaukaskiego, jako też dla wywozu surowych płodów i wyrobów tego kraju. Przedewszystkiem port Batumski jest dostępny w każdéj porze roku, a przytém bardzo dogodny dla tego, że posiada naturalną, doskonałą zatokę. Prócz tego Batum ma duże znaczenie, jako punkt początkowy, a więc punkt, przez który przechodzi większość towarów

polskich, wysyłanych do kraju Zakaukaskiego. Tamtędy też idą towary skierowane do Azyi środkowéj, na Baku i Uzun-Adà i daléj przez koléj zakaspijską.

Przedmioty wywożone przez Batum z kraju Zakaukaskiego, są następujące: wino, skóry, łój którego cena w niektórych razach spada do 3 rs. 20 kop. za pud, drzewo kokosowe, narośle orzechowe (w znacznéj ilości idące do Francyi), drzewo orzechowe, podobne do machoniu, nadzwyczaj ciężkie, kolby orzechowe do strzelb, drzewo palmowe, ruda żelazna (miliony pudów do Anglii), miedź w płytach bardzo dobrego gatunku, w cenie *franco* Warszawa rs. 10 kop. 60 za pud, wyroby jedwabne, ręczne z surowego jedwabiu, chustki jedwabne siatkowe, dywany, ryż, owoce wszelkiego rodzaju, pszenica i t. d. Wywóz powyższych towarów całkowicie prawie jest skierowany zagranicę. Przywóz dotychczas dochodził również w znacznéj części z zagranicy. Przedmioty jego są następujące: żelazo, ćwieki, stal, blacha, kléj, oleje, blejwas, ultramaryna, żelazo na obręcze do beczek, płótna białe i kolorowe, przeważnie jaskrawe, perkale w tureckim guście, obuwie przeważnie warszawskie, lampy, szkło wszelkiego rodzaju, przyrządy piśmienne, obicia, towary wonne w bardzo znacznéj ilości, sukna, ubrania gotowe, ubiory damskie, naczynia emaliowane, wyroby rękodzielnicze wogóle i wyroby galanteryjne. Towary, wyliczono powyżéj, dotyczą, rzecz naturalna, całego kraju Zakaukaskiego. Największą pozycyą w przywozie zajmują wszelkie wyroby żelazne, późniéj żelazo nieprzerobione, blacha, stal, następnie wyroby rękodzielnicze, lampy, wyroby porcelanowe i fajansowe, oraz szklane i galanterya. Cyfry przywozu co do tych przedmiotów rosną rok rocznie stale; nietylko w kierunku przez Batum, ale wogóle przez inne dowozowe pukty dla kraju Zakaukaskiego. Cyfr, dokładnie malujących wysokość dowozu do kraju Zakaukaskiego, brak jest zupełnie; ponieważ jednak najpoważniejszą część wywozu w bezpośredniéj komunikacyi zamorskiéj przez Odesę, stanowi wywóz do kraju Zakaukaskiego, a wywóz przez ten port rok rocznie i bardzo znacznie wzrasta [1]), możemy przeto wywnioskować, że handel z krajem Zakaukaskim wzrasta stanowczo, témbardziéj, że cyfry wywozu na Kaukaz i do kraju Zakaukaskiego w bezpośredniéj komunikacyi towarowéj warszawsko-wołżsko-kaspijskiéj przez Brześć-Smoleńsk-Carycyn, oraz warszawsko-carycyńskiéj przez Brześć-Smoleńsk rosną również stale. Handel tedy Królestwa z kra-

[1]) W r. 1885 — 326,754 pudów.
„ 1886 — 539,293 „
„ 1887 — 809,817 „
„ 1888 — 879,326 „

jem Zakaukaskim znajduje się w ciągłym rozwoju. Innym dowodem tego rozwoju jest ciągły ruch i usposobienie wśród przemysłu polskiego, do otwierania w kraju Zakaukaskim, czy to pojedyńczych czy téż zbiorowych agentur, udawanie się tam osób, które przedsiębiorą handel z Królestwem na własny rachunek i t. d. Kilkanaście bardzo poważnych firm naszych posiada w kraju Zakaukaskim swoich przedstawicieli a niektóre nawet własne magazyny i składy. Zbyt takich towarów, jak wyroby platerowane, szkła, lampy, papier, naczynia emaliowane, wyroby ze skóry i t. d., jest już stanowczo i poważnie zabezpieczony. Gorzéj się dzieje z galanteryą, bo handel nią spoczywa w rękach dość wątpliwych, narażających często nabywców na przykre zawody. Ognisko handlu zakaukaskiego znajduje się w Tyflisie, to téż dowóz towarów polskich do Tyflisu przechodzi w r. 1888 ilość 200 tysięcy pudów [1]). Tyflis posiada téż największą ilość poważnych przedstawicielstw i sklepów polskich.

Trzecim bardzo ważnym punktem w handlu zakaukazkim jest Baku. Dowóz polski do Baku w roku 1888 wyniósł w bezpośredniéj komunikacyi zamorskiéj przez Odesę 225,000 rs. [2]). Samo już położenie geograficzne tego miasta wskazuje na wielkie w przyszłości jego znaczenie w handlu nietylko zakaukaskim, lecz i całego Wschodu z Rosyą. Ogromne bogactwa przyrodzone południowo-wschodniéj części Rosyi, Kaukazu i Azyi środkowéj, że wskażemy tylko na źródła nafty, plantacye bawełny, oraz na olbrzymie kopalnie rud metalicznych, ściągają przy rozwoju środków komunikacyjnych ognisko życia ekonomicznego Rosyi na południe. Baku, przy przemieszczaniu się tego ogniska, odbywającém się już obecnie powoli, lecz stanowczo, stanie się miejscem bardzo dogodném, ze względu właśnie na swe położenie geograficzne, dla scentralizowania niejako handlu, przynajmniéj jarmarcznego, południo-wschodu Rosyi. Wówczas to jarmarki bakińskie, jako targowisko wogóle dla wymiany z jednéj strony towarów Rosyi europejskiéj, a z drugiéj towarów, pochodzących z Azyi środkowéj, Persyi i Syberyi zachodniéj, oraz towarów kaukaskich i zakaukaskich, nabiorą wielkiego znaczenia. Jest to przyszłość, lecz przyszłość niedaleka, i z tego właśnie względu, jak również ze względu, że rozwój w kierunku tego ukształtowania przyszłego, odbywa się już obecnie, handel nasz powinien zwrócić należytą uwagę na Baku. Dotych-

---

[1]) Kiedy w r. 1885 wynosił tylko 55 tysięcy pudów.

[2]) W r. 1885 — 109,221 pudów.
„ 1886 — 68,398 „
„ 1887 — 257,861 „

czas jednak, pomimo zwiększającego się stale znaczenia tego rynku, jako targowiska stałego, jarmarki bakińskie w ostatnich trzech latach wypadły bardzo nieświetnie.

Mały udział kupców jarmarku, oraz sprzedanie trzeciéj zaledwie części przywiezionych na jarmark towarów, wystawiają wcale niepożądane świadectwo ożywienia tego rynku. Pierwsza przyczyna jego niepowodzenia leży w przyzwyczajeniu do jarmarków niższo-nowgorodzkiego i irbickiego, które się stały uprzywilejowaném targowiskiem zamienném dla handlu zakaukaskiego, czego dowieść można, wykazując udział kupców zakaukaskich w tych jarmarkach.

Otóż w r. 1884 przywieziono na jarmark niższo-nowgorodzki towarów z Kaukazu na sumę 451,000 rs., w 1885 r. 425,000 rs. W tym ostatnim roku dla Kaukazu i kraju Zakaukaskiego kupcy tameczni zakupili towarów za całą sumę, otrzymaną ze sprzedaży swéj dostawy na jarmark, i prócz tego kupili różnych wyrobów bawełnianych na sumę 150,000 rs.

„W r. 1886 po raz pierwszy przybyli na jarmark nabywcy rękodzielniczych i innych towarów, Ormianie z kraju Zakaukaskiego, którzy objaśniali swój przyjazd zniesieniem batumskiego *porto-franco*. Rzecz niewątpliwa, że ze zniesieniem *porto-franco* popyt na ruskie wyroby rękodzielnicze w kraju Zakaukaskim musi się zwiększyć, któremu to powiększeniu dotychczas stawał na przeszkodzie przywóz do tego kraju z Batumu fabrykatów zagranicznych. Ponieważ *porto-franco* zniesiono bardzo niedawno, więc popyt na towary rękodzielnicze nie mógł w r. 1886 dojść do tych rozmiarów, do jakich dojdzie bezwątpienia, na przyszłym na jarmarku (r. 1887), gdy wyczerpią się zapasy tych zagranicznych towarów“. Tak brzmi sprawozdanie z jarmarku w r. 1886. Istotnie, przewidywanie to sprawdza się, bo gdy w r. 1886 przywóz kraju Zakaukaskiego i z Kaukazu już się powiększył o 70 tysięcy rs., przy powiększeniu odpowiedniém robionych dla tych miejscowości na jarmarku zakupów, w r. 1887 suma wartości przywiezionych ztamtąd towarów wynosi już 653 ½ tys., t. j. zwiększa się o 160 tysięcy rs. Sprawozdanie zaś z jarmarku niższo-nowgorodzkiego mówi prócz tego, „że kaukascy i zakaukascy Ormianie, Tatarzy i Żydzi kupili na jarmarku przeważnie wyrobów bawełnianych, żelaza i papieru do pisania za całkowitą sumę sprzedażną, otrzymaną za swe towary. Prócz tego zakupili jeszcze różnego rodzaju towarów rękodzielniczych za 250 tysięcy rs., przeważnie za gotówkę i w części na terminy 6-cio i 12-to miesięczne“. Wogóle zaś zwiększenie obrotów towarami bawełnianemi i manufakturą na wzmiankowanym jarmarku przypisać należy zniesieniu *porto-franco* w Batumie, które się odbiło

nietylko na zwiększeniu obrotów handlu zakaukaskiego, lecz również na handlu z Chiwą, Bucharą, Taszkientem i Persyą, działając w jednakowym kierunku ze zmniejszeniem do tych krajów przywozu angielskiego.

Udział w jarmarku irbickim kupców kaukaskich i zakaukaskich. również się powiększa w tym samym mniéj więcéj stosunku, chociaż wogóle jest mniejszy od udziału w jarmarku niższo-nowgorodzkim.

Z powyższych cyfr widoczne przyzwyczajenie kupców zakaukaskich do wspomnianych jarmarków. Nie korzystamy z tych cyfr dla wykazywania zwiększenia handlu rosyjskiemi i jednocześnie polskiemi towarami na Kaukazie, lecz przychodzimy natomiast do bliższego przyjrzenia się Baku, jako punktowi handlowemu.

Odległość od centralnych okręgów fabrycznych Cesarstwa do Baku, jest równą odległości od naszych ognisk przemysłu do tegoż miasta. Istnieje nawet pewna różnica w tych odległościach na naszą korzyść. Ujednostajnienie jednak taryf nie pozwala nam korzystać z téj różnicy, w każdym razie wszakże mamy przynajmniéj pewien zysk na czasie. Zły przebieg jarmarków bakińskich, spowodowany rozwojem handlu zakaukaskiego na jarmarku niższo-nowgorodzkim i irbickim, i rozwojem kontrabandy zagranicznéj na Kaukazie, nie powinny nas zrażać. Rozwój środków komunikacyjnych i rozwój ekonomiczny tamecznych okolic usunął pierwszą przyczynę, a druga została usuniętą wraz ze zniesieniem tranzytu i *porto-franco* w Batumie. Tak więc Baku staje się jednym z najważniejszych punktów w handlu z tym nowootwartym rynkiem.

Baku, jako port dogodny, punkt wyładowywania towarów dowożonych przez koléj zakaspijską, jako punkt łączny i pośredniczący w handlu z Persyą, należy, po Tyflisie, do najważniejszych ognisk kraju Zakaukaskiego.

Tak więc, przejrzeliśmy pobieżnie Batum, Tyflis i Baku; wspomnimy zaś tylko o Kutaisie i Akstafie, która według wszelkiego prawdopodobieństwa, stanie się punktem środkowym i najważniejszym w handlu kaukasko-perskim; następnie o Elizawetpolu, Szusze, Erywaniu i Szemasze. Te ostatnie mają, również znaczenie ze względu na handel z Persyą i na produkcyą bawełny. Produkcyi téj, jako téż produkcyi jedwabiu należy się słów kilka.

Bawełna kaukaska, erywańska, odznacza się długością włókna i dobrém oczyszczeniem; mówimy tu o bawełnie kaukaskiéj, otrzymywanéj z nasion amerykańskich; cena jéj jest niższą od ceny oryginalnéj bawełny amerykańskiéj o 50 kop. do 1 rs. na pudzie, co pochodzi ztąd, że bawełna erywańska ma mniéj równe włókna i mniejszą jedwabistość,

aniżeli amerykańska oryginalna, przytém jest grubszą wskutek suchego klimatu; w dodatku często w doskonałéj bawełnie znajduje się towar gorzéj oczyszczony i z krótszém włóknem. Braki te pochodzą w części z niezrozumienia ze strony producentów bawełny tego, że kilkoma złemi pakami zniżają wartość całéj partyi i otrzymują wskutek tego niższą cenę. Z czasem sortowanie bawełny będzie się odbywało prawdopodobnie staranniéj; przynajmniéj już obecnie można zauważyć znaczne polepszenie stosunków w porównaniu z tém, co było przed 5—6 laty. Bawełna kaukaska używa się na ³⁰/₃₁ *medio* i 40; ze znanych w Rosyi gatunków jest uznawana za najlepszą po amerykańskiéj.

Oto jest w ogólnych zarysach wszystko, co nam Kaukaz dać może, i co my tamtejszym rynkom zaofiarować możemy. Gdyby towarami, przez nas wzmiankowanemi, był prowadzony handel poważnie, innemi słowy, gdyby udało się skoncentrować handel ten w rękach jednego poważnego przedsiębiorstwa, to rynki kaukaskie przyniosłyby dla nas nie małą korzyść. Należy jednak zwrócić uwagę na to przedewszystkiém, że dopóki interesy z Kaukazem będą prowadzone na gotówkę, dopóty nie dosięgną one nigdy należytego rozwoju. Przedsiębiorstwo więc, o którém mówimy, a którego dokładne zarysy podamy poniżéj, byłoby zmuszone część znaczną nawet swych kapitałów poświęcić dla dyskonta weksli kaukaskich. Powstaje obecnie, co prawda, t. zw. Bank kaspijski o dość znacznym, bo 5 milionów wynoszącym, kapitale zakładowym i otwiéra swe filie w Batumie i Baku, mieszcząc główny zarząd w Moskwie, lecz kapitały tego banku służyć będą dla eksploatacyi przemysłowéj Kaukazu, a jeżeliby nawet zajęły się dyskontem, to z pewnością nie weksli, mających u nas obrót. W sierpniu r. b. pewien kupiec kaukaski, znający tamtejsze stosunki doskonale, zwracał się do Warszawskiego Oddziału Tow. popierania przemysłu i handlu z projektem założenia instytucyi dyskontowéj, któréj filia istniałaby w Tyflisie, a jego zarząd—w Warszawie. Projektodawca uważa taką instytucyą za konieczną. Jestto chyba najlepszy dowód na potwierdzenie słuszności naszego, już uprzednio wyprowadzonego wniosku. Powtarzam, że powrócimy do tego projektu, dając zarys przedsiębiorstwa, mającego na celu eksploatacyą handlu z krajem Zakaukaskim; tymczasem zaś dodam, że Rosya prowadzi tam interesy na długie terminy, że weksle kaukaskie dyskontują w Moskwie bardzo poważne domy handlowe, i że Łódź, która odważyła się naśladować Moskwę, co do udzielania kredytu, wychodzi na tém bardzo dobrze.

Stosunki handlowe z Persyą. Zanim przyjdziemy do rozpatrzenia dokładnego warunków handlu z Persyą, musimy podać kilka

ogólnych rysów i uwag o Persyi, rozpatrzéć konkurencyą angielską i wskazując niektóre prowincye Persyi, gdzie się takowa zbyt silnie rozwielmożniła, ażeby inne towary zbyt tam znaleźć zdołały — wyliczyć tém samém rynki, na których handel Królestwa na powodzenie liczyć może. Następnie przejdziemy do szczegółowego rozbioru zobopólnych stosunków handlowych.

Statystyka zachodnio-europejska wykazuje w Persyi przestrzeń 22 tysiące mil kwadratowych geogr.; w téj ilości znajdujemy zaledwie 10% pól uprawnych, 10% łąk i pastwisk, oraz 5% lasu; reszta, t. j. ³/₄ przestrzeni Persyi, składa się z pustyń, skał, ziemi nieuprawnéj i t. d. Okolice zaludnione Persyi są to przybrzeża tylko i pasy nadgraniczne. Przestrzeń ta, mieszcząca 5,500 mil kw., liczy 7 milionów ludności, która dzieli się prawie w równéj mierze na ludność koczującą, osiadłą wiejską i osiadłą miejską.

Nie będziemy tu mówili o rządzie i administracyi perskiéj. Znajdują się one w okropnym stanie. Gubernator kupuje swój urząd i wyzyskuje podległą mu prowincyą, jak chce i umié. Jeżeli dochody rządu pokryć nie mogą wydatków, rząd ratuje się w ten sposób, że zaprasza gwałtownym sposobem swych poddanych do robienia prezentów państwu. Niekiedy jednak nawet ta forma grzeczności zachowywana nie bywa i rząd konfiskuje wprost majątki poddanych, podwyższa podatki w téj lub owéj prowincyi, albo wprost przestaje płacić pensye urzędnikom. Jakie zaś są podatki, sądzić można z tego, że własność ziemska płaci 25% od dochodu. Bicie monety stanowi przywiléj rządu, który robi z niego antrepryzę, oddając mennicę w dzierżawę. Pomimo tego, że przedsiębiorcy otrzymują 2% ustępstwa za bicie monety, nie zaniedbują oni wcale nadawać téj monecie jaknajmniejszéj wartości, do tego stopnia, że po za granicami Persyi monety tamtejsze nie mają wcale obiegu i wartość ich zależy od stosunku podaży do popytu. Monetą obiegową w Persyi jest toman, zawierający 10 kranów albo 200 szachów. Nominalny kran powinien miéć wartość 28½ kop. złotem, lecz tak nie jest, bo niedawno jeszcze cena jednego tomana w Baku wynosiła 3¼ rubli kredytowych. Wypłaty jednak odbywają się najczęściéj w monecie srebrnéj, skutkiem braku złota. Wobec tego handel zamienny dla firm cudzoziemskich ma więcéj szans powodzenia. Procent prawny Persyi wynosi 12 rocznie. Bankierzy płacą ten procent za otrzymane wkłady, pożyczają jednak na 24%. Rząd pożycza na 18%, przyczém dla większéj pewności wierzyciela, weksel bywa wystawiany na imię cudzoziemskiego poddanego [1]). Dla téj też pewności, wierni

---

[1]) „Ruski handel z Persyą." Moskwa, 1889 r.

poddani szacha, jeżeli tylko mają możność uciec się pod protektorat przedstawiciela obcego mocarstwa, nie omijają téj sposobności, bo inaczéj lada chwila spodziewać się mogą, że rząd w najprostszy w świecie sposób odbierze im pieniądze lub posiadłość. Rzecz naturalna, że w takich i t. p. warunkach, przemysł perski krajowy kwitnąć wcale nie może. To téż olbrzymia większość towarów, spożywanych przez Persyę, przychodzi z zagranicy, a w kraju produkują się tylko wyroby ręczne, które w żadnym razie konkurować z produktami przemysłu fabrycznego nie mogą.

Handel w Persyi natrafia również na znaczne przeszkody, pochodzące przedewszystkiém ze złego stanu dróg komunikacyjnych. Handel obcokrajowców nie znajduje już jednak więcéj przeszkód. Gdy cudzoziemiec zapłaci za wwieziony przez siebie towar 5% od jego ceny na komorze celnéj, otrzymuje w Taurysie np. t. zw. *diewaz*, t. j. pozwolenie na przejście towarów i następnie nie ponosi już żadnych ciężarów, bo opłaty za prawo handlu w Persyi nie istnieją. Ponieważ jednak komory celne znajdują się w ręku przedsiębiorców, którym, naturalnie, chodzi o to, żeby towar przechodził przez komorę, wydzierżawioną przez nich od rządu, cudzoziemcy wytargowują często z pięciu urzędowych procentów jeden lub nawet dwa na swoję korzyść. Dla perskich poddanych istnieje ulga w handlu zewnętrznym. Płacą oni mianowicie 3%; lecz korzyści z téj ulgi są mocno wątpliwe, bo perski poddany obowiązany jest, prócz tych 3%, płacić w każdéj wewnętrznéj komorze celnéj pewną kwotę, nie licząc rozmaitych „*peszkesz'ów*“ ofiarowywanych gubernatorom tych miast i prowincyi, przez które towar przechodzi. Prócz „*rahdari*“ (3% cło), inne opłaty bywają pobierane, stosownie do wielkości i znaczenia miasta, i zależnie od wartości towaru,—od całéj karawany. Naturalnie, że wyniesie to wszystko więcéj, aniżeli 5% opłata cudzoziemców.

Tranzakcye towarowe odbywają się w następujący sposób: w handlu hurtowym towary sprzedają po największéj części na długie terminy, t. j. na 20, 30 a nawet 40 miesięcy. Dyskonto w interesach towarowych wynosi 1% na miesiąc. Tak długie terminy, o jakich wspomniałem, istnieją jednak tylko nominalnie; stałym zaś zwyczajem jest, że kupujący płacą pieniądze po 4, 6 lub 8 miesiącach, i w takim razie odejmują procenty za cały czas pozostały.

Cena towaru wyznacza się, rzecz naturalna, zależnie od terminu, np. za pakę perkalu, sprzedaną za 1,000 kranów na termin 20 miesięczny przy wypłacie po 4 miesiącach, sprzedający otrzymuje należność zmniejszoną o 16% (za pozostałe 16 miesięcy po 1%), czyli 840 kranów. Jeżeli cena towaru podniosła się, przypuśćmy, o 2%, to cena téj

saméj paki perkalu będzie 1,000 kranów, na termin 18 miesięczny, przy wypłacie zaś po 4 miesiącach z ustępstwem 14% za pozostające 14 miesięcy, wyniesie 860 kranów. Cena wyrobów rękodzielniczych oznacza się wogóle w ten sposób, chociaż bywają zresztą wypadki, w których handlujący zmieniają cenę, nie zmieniając terminu.

Kończąc ten przegląd ogólny warunków handlowych Persyi, przejdziemy do przyjrzenia się drogom, któremi przychodzą towary zagraniczne do Persyi, ażeby z nich wyprowadzić wnioski, co do konkurencyi zachodnio-europejskiéj w Persyi.

Otóż, przedewszystkiém zwrócić winniśmy uwagę na t. zw. drogę azerbejdżańską. Droga ta, rozpoczynając się od Trebizondy, dąży na wschód i przechodzi przez Erzerum, Bajazet, Tauryz, Każwin i dosięga Teheranu. W Każwinie schodzi się z drogą, idącą od zatoki Enzelijskiéj morza Kaspijskiego, od Enzeli przez Reszt, Każwin do Teheranu. W Teheranie droga azerbejdżańska spotyka się z drogą, łączącą drugi port morza Kaspijskiego, Meszedeser przez Barfrusz z Teheranu. Daléj na wschód od Teheranu droga azerbejdżańska ciągnie się przez Szachrud, Sebzewar i Niszapur do Meszchedu. W Szachrudzie łączy się z drogą, idącą od zatoki Giażskiéj przez Astrabad do Szachrudu i stamtąd już do Meszchedu. W Niszapurze schodzą się drogi azerbejdżańska i bender-buszyrska, idąca od Bender-Buszyru na Sziras, Ispahan, Yezd, Niszapur do Meszchedu, a stamtąd na Aschabad, Chiwę, Kazalińsk, Irgisk, Karabutak, Orsk do Orenburga, a daléj do Troicka i Irbitu. Do Meszchedu prowadzi również droga od Uzun-Adà koleją zakaspijską do Aschabadu, a stamtąd na Kuczan do Meszchedu. Jeszcze jedna droga do Meszchedu od Duszaku, stacyi kolei zakaspijskiéj, łączy Meszched z koleją zakaspijską, a co zatém idzie z krajem Zakaspijskim.

Prócz dróg tych, po których dowozy idą do północnéj, północno-zachodniéj i północno-wschodniéj Persyi, mamy jeszcze drogi następujące: od Bender-Busziru na Basra, Bagdad, główny punkt składowy towarów angielskich na Tygrze. Towary te przychodzą z zatoki Perskiéj na parostatkach kompanii angielskich Lynch, kursujących po Tygrysie i Eufracie. Od Bagdadu towary idą jukami na Kermanszach i Hamadan. Druga droga idzie od Bender-Abassi na Kerman do Yezdu, a stamtąd na Kaszan, Kum—do Teheranu. Jest jeszcze nowa droga, którą Anglicy otworzyli w r. 1888-ym po rzece Karun: od Achłasu do Mohammeri statki płyną swobodnie i dochodzą do Mohammeri, a nawet do Basry, gdzie następuje przeładowanie na parostatki angielskiéj kompanii Lynch; do Szusteru dochodzić mogą parostatki

o 5 stopowém zagłębieniu; stamtąd zaś mogą iść wielką drogą karawanową na Burudżizel, Sułtan-Abad i Kum, lub téż skierować się na Ispahan przez góry Bachtiarskie. Ta droga jednak jest mało znana, chociaż musi być korzystną, kiedy Anglicy od 30 przeszło lat starali się u rządu perskiego o pozwolenie na prawo nawigacyi po rzece Karun.

Oto są drogi ważniejsze, przez które przechodzi wywóz i przywóz rosyjsko-perski i niemiecko-francusko-angielsko-perski. Jest jeszcze zresztą droga, przebiegająca równolegle z drogą od Szachrudu na Sebzewar i Niszapur do Meszchedu. Rozpoczyna się ona od Astrabadu i przebiega łukiem przez Budżnurd do Meszchedu. Obecnie jednak droga ta ma bardzo małe znaczenie, wobec tego, że łącząca te same miejscowości droga Szachrud-Szebzewar-Niszapur-Meszched, a przechodząca przez najurodzajniejsze w tym kraju okręgi, przyciąga towary, dążące z Astrabadu do Meszchedu, z powyższéj przyczyny, jak również dlatego, że jest dogodniejszą.

Z wymienionych dróg handlowych, azerbejdżańską posługuje się handel francusko perski i niemiecko-perski; bender-buszirską zaś — angielsko-perski. Towary francuskie i niemieckie idą jednak również na Basrę, Bagdad do Teheranu i na Bender-Abassi przez Kerman, Yezd — do Teheranu. Koszt przewozu od Trebizondy do Teheranu wynosi 390—580 kranów ze 100 batmanów [1]). Wskutek wysokich kosztów transportu, nie można przewozić tą drogą towarów małocennych; dlatego téż towary przywiezione do Persyi przez Trebizondę, rzadko idą na wschód daléj po za Teheran, a na południe daléj po za Hamadan.

Największe z miast leżących na drodze azerbejdżańskiéj, Tauryz, utraciło swe uprzednie znaczenie i służy tylko jako centrum handlu prowincyi azerbejdżańskiéj. Należy tu zwrócić uwagę na to, że towary ruskie z Kaukazu przez Dżulfę taniéj i łatwiéj dochodzą do Tauryzu, aniżeli wyroby francuskie, niemieckie lub angielskie z Europy. Odległość od Dżulfy do Tauryzu wynosi około 60 kilometrów. Wogóle przez zakaukaskie południowo-wschodnie komory i przykomorki celne przechodzić może wiele towarów do Persyi, korzystając z dogodniejszéj komunikacyi.

Angielska droga, jak mówiliśmy, idzie od Basra po Tygrysie do Bagdadu, a stamtąd po drodze karawanowéj na Kerman-Szach i Hamadan do Teheranu. Długość drogi karawanowéj od Bagdadu do Teheranu wynosi 940 kilometr., cena przewozu od 200 do 240 kranów za

---

[1]) 1 batman = 6 kilogramom.

100 batmanów. Droga ta ma ważne znaczenie dla towarów małocennych w stosunku do wagi. Druga droga angielska zajmuje od Bender-Assi do Yezdu około 815 kilomtr., od Yezdu do Teheranu około 655 kilom. Płaca za pierwszą przestrzeń pobieraną jest w stosunku 50 do 85 kranów, za drugą — w stosunku 80 do 140 kranów za 100 batmanów.

Do czasu zamknięcia tranzytu kaukaskiego, najwygodniejszą dla towarów europejskich drogą do Teheranu, była droga przez morze Czarne, kraj Zakaukaski, morze Kaspijskie, a stamtąd od zatoki Enzelijskiéj przez Reszt do Teheranu, lub téż od portu Meszedeser i Aszurade w głąb Persyi. Towary lgnęły do kraju Zakaukaskiego i korzystały z portów morza Kaspijskiego. Gdy tranzyt zamknięto, porty te służą tylko dla wwozu do Persyi towarów ruskich. A odległości i ceny od tych portów były i są bardzo dogodne. Tak np. za odległość od Resztu do Teheranu, wynoszącą w przybliżeniu 300 do 310 kilometrów, cena przewozu wynosi, zależnie od pory roku, 100 do 150 kranów za 100 batmanów; z Meszedeseru zaś do Teheranu od 100 do 120 kranów.

Rozpatrując powyższe wskazówki na mapie i porównywując koszty przewozu na wskazanych wyżéj drogach, łatwo przyjść można do wniosku, że Rosya eksploatować może tylko północno-zachodnie, północne i północno-wschodnie prowincye Iranu, dlatego że te, z powodu swojéj bliskości i stosunkowego udogodnienia środków komunikacyjnych, są dostępniejsze dla niéj, aniżeli dla Europy zachodniéj, dla któréj znowu stoi otworem całe południe Persyi za pomocą drogi przez zatokę Perską. Otóż prowincye: Azerbejdżan, Gilan, Mazanderan, okolice Teheranu i Astrabadu, oraz prowincyą Orasan. Istotnie, wniosek ten wyprowadzony przez rozpatrzenie środków komunikacyjnych potwierdzają najświeższe dane [1]). Mr. Law, agent handlowy rządu angielskiego, zapewnia, że np. perkale angielskie nie znają współzawodniktów, poczynając na południe od Ispahanu, ani nawet w Tauryzie. Teheran za to, Meszched, Mazanderan i t. d. stanowczo są zajęte przez towary ruskie.

Z kolei rzeczy należy nam przyjrzéć się handlowi prowincyi, które podlegają eksploatacyi handlu ruskiego. Rozpoczniemy od Gilanu,—prowincyi, przeważnie pośredniczącéj w handlu Rosyi z prowincyami północnemi i północno-zachodniemi Persyi. Ogólna cyfra war-

---

[1]) Mr. E. F. Law, agent rządowy angielski: „Sprawozdanie do ministeryum spraw zewnętrznych o położeniu handlu angielskiego w Persyi w porównaniu z ruskim,“ „Economist,“ 1889, Monthly Trade, supplement, Saturday March 9.

tości handlu przywozowego z Rosyi przez Gilan podniosła się od 992 tysięcy rubli w r. 1882, w którym to czasie nastąpiło zamknięcie tranzytu przez Kaukaz, w ciągu lat 5 do 3 milionów rubli, t. j. więcéj, aniżeli potroiła się. O ile suma ta jest zadawalającą, co do ogólnéj sumy, o tyle nie zadawalnia oddzielnych pozycyi przywozu. Tylko 6 kategoryi towarów wzrastało w przywozie prawidłowo w ciągu tych lat; co do innych miały miejsce silne wahania [1]).

Pierwsze i najważniejsze miejsce, co do wywozu towarów ruskich do Persyi, zajął cukier rafinowany i mączka cukrowa. Wywóz ten w r. 1888 dosięgnął 300 tys. pudów, t. j. od 1882 r. wzrósł więcéj, aniżeli 4 razy. Nastąpiło to wskutek tego, że z zamknięciem tranzytu przez Kaukaz, cukier europejski, jako tani i niewygodny do ładowania produkt, stał się niedostępnym dla północnych i północno-wschodnich rynków Persyi przy dostawie przez Trebizondę, Erzerum i Tauryz, albo przez Bagdad i Hamadan, wskutek drożyzny przewozu. Prócz tego, podczas kryzysu cukrowego ruskiego od 1885 do 1887 roku, ceny cukru ruskiego spadły na rynkach wewnętrznych, i wywóz za granicę zaczął otrzymywać akcyzę i premię, wskutek czego jest sprzedawany na bardzo nawet oddalonych rynkach taniéj, aniżeli na rynkach wewnętrznych ruskich, ba, nawet po cenach niższych od cen normalnych fabrycznych w Rosyi. Naturalnie, że są to warunki, których dłuższe trwanie usunie zupełnie cukier francuski nietylko z północnych, lecz nawet ze środkowych rynków perskich, gdzie obecnie już powstaje zapotrzebowanie na cukier ruski. Podczas istnienia tranzytu kaukaskiego, cena na cukier francuski na najbliższych przykaspijskich rynkach Persyi wynosiła od 19 do 20 kranów za pud, a na wewnętrznych od 23 do 25 kranów, kiedy obecnie cena na cukier na najbliższych rynkach waha się od 13½ do 15 kranów, a na wewnętrznych wynosi 18 kranów, przy jednoczesnéj cenie francuskiego cukru 21 kranów za pud. Cukier polski znajduje coraz szersze pole zbytu w Persyi i przedsiębiorcy, prowadzący ten interes, wychodzą na nim bardzo dobrze.

Drugie miejsce w sumie wywozu ruskiego do Persyi, zajmują towary rękodzielnicze, przeważnie perkaliki, płótno i perkale wogóle. Od r. 1882 przywóz podwoił się i doszedł w r. 1888 do 30 tys. pudów. Zniesienie tranzytu, otwarcie składów hurtowych towarów manufakturnych w Tyflisie i Baku, dało możność kupcom perskim obznajmić się osobiście i nabywać towary bezpośrednio, bez usług komisyonerów i w każdéj porze roku, niezależnie od zamknięcia nawigacyi na Wołdze. Przytém producenci ruscy zmienili desenie, powiększyli szero-

[1]) Sprawozdanie konsula ruskiego z Gilanu.

kość wyrobów, postarali się obznajmić Persów za pomocą licznych i różnorodnych wzorów, dostarczanych w r. 1884-ym przez dom handlowy „Konszyna“ w Moskwie. Dom ten również zobowiązał się wykonywać zamówienia po cenach fabrycznych, z dodaniem tylko kosztów przewozu do Persyi.

Pomijam tu naftę, zajmującą trzecie miejsce w przywozie z Rosyi [1]) i przechodzę do 4-éj kategoryi towarów. Kategorya ta zwraca uwagę, z powodu zmniejszenia i wahań, jakie w jéj przywozie zachodziły w latach 1882—1888. Ostatecznie w r. 1888 przywóz z Rosyi dosięgał 30,000 pudów, t. j. utrzymał się na jednakowym poziomie z rokiem 1882. Chociaż Persya jest biédną, to jednak zapotrzebowanie przedmiotów pierwszéj konieczności musi się w niéj zwiększać rokrocznie, tak wskutek przyrostu ludności, jako téż z przyczyn ekonomicznych; zadowolnić zaś swe zapotrzebowanie na metale nieobrobione, nie posiadając takowych u siebie, może tylko w Rosyi, a nie w Europie, dlatego, że dostawa stamtąd kosztowałaby ją zbyt drogo. Wobec tego trudno jest przypuścić, ażeby i téj kategoryi handlu ruskiego z Persyą mogła zagrażać poważna konkurencya z zagranicy. Istotnie, sprawozdania konsulów angielskich przemawiają na korzyść dowozu tego towaru z Rosyi [2]).

Piąte miejsce, co do sumy zbytu, zajmują towary galanteryjne, których dowóz jednak tylko w r. 1883 dosięgnął znacznéj cyfry, a to wskutek zatrwożenia kupców perskich zniesieniem tranzytu przez Kaukaz. W innych latach konkurencya zachodnio-europejska stanowczo zabiéra w swe ręce dowóz towarów galanteryjnych, tak że w r. 1888-ym dowóz tych towarów z Rosyi dosięgał zaledwie kilka tysięcy pudów.

Dość poważne miejsce zajmuje dowóz naczyń porcelanowych, fajansowych i kryształowych, oraz szkła do okien i lamp. W tym towarze również daje się zauważyć zmniejszenie dowozu z Rosyi na skutek pomyślnéj konkurencyi wyrobów tego rodzaju, pochodzących z zachodniéj Europy. Persowie przekładają te ostatnie nad ruskie, wskutek wyższéj jakości, oraz niższych cen takowych. Wyroby z porcelany, fajansu i kryształu, dowożone z Rosyi do Persyi, są bardzo ordynarne, nie wiele warte co do jakości, i wskutek tego odpowiadają zapotrzebowaniu tylko biédniejszéj klasy ludzi. Klasa zamożniejsza przekłada natomiast wyroby fabryk zachodnio-europejskich, jako daleko lżéjsze, ładniejsze i więcéj wyszukane pod względem formy i rysunku, oraz do-

---

[1]) Według komunikatu konsula ruskiego w Gilanie.

[2]) Mr. Abbot, Law i inni.

boru i żywości farb. Tylko imbryczki, filiżanki, szklanki, spodeczki, najprostsze i najtańsze lampy wyrobu ruskiego znajdują zbyt; lampy zaś lepszych gatunków i tak bardzo ulubione przez Persów kandelabry kryształowe, lichtarze ogrodowe, wytworne filiżanki i serwisy miniaturowe do herbaty, a szczególniéj do kawy, sprowadzane są wyłącznie z Europy zachodniéj. W celu skutecznéj konkurencyi z Europą zachodnią, należałoby robić dla Persyi niezbyt drogie, lecz wytworniejsze przedmioty z kryształu, które zawsze tam chętnie są nabywane.

Zasługuje jeszcze na uwagę zbyt świec stearynowych, papieru i bibuły. Cyfra tego dowozu z Rosyi wzrasta pomyślnie, lecz na większe ilości rachować niepodobna, dlatego że zapotrzebowanie tak jednego, jak drugiego produktu nie może się w Persyi zwiększyć.

Zatrzymaliśmy się dłużéj nad sprawozdaniami konsula ruskiego w Gilanie, dlatego że ze sprawozdań tych śmiało możemy wyprowadzić wnioski, co do tego, jakie towary nasze mogą znaleźć większy zbyt na północnych rynkach Persyi. W tym samym celu dodamy jeszcze kilka uwag, co do handlu zachodnio-europejskiego w Gilanie i uwag, pochodzących od tamecznego konsula ruskiego.

Otóż z porównawczo zestawionych za ostatnie lata cyfr, dotyczących handlu ruskiego w Gilanie, widzimy, że w tym samym czasie, gdy przywóz ruski do téj prowincyi podniósł się o 5 milionów kranów, przywóz zachodnio-europejski zmniejszył się o 9 milionów. Nie znaczy to jednak, że Persya otrzymała o 9 milionów kranów mniéj towarów zachodnio-europejskich; towary te poszły inną drogą, co już jednak jest korzyścią, bo pójść inaczéj, aniżeli przez zatokę Perską nie mogły, a to znaczy, że przeważna część ich przeznaczona być musiała dla południowych prowincyi Persyi. Przywóz cukru z Europy zachodniéj ustał zupełnie, przywóz towarów rękodzielniczych zmniejszył się znacznie, a przywóz innych towarów spadł również do rozmiarów zaledwie godnych uwagi.

Konsul w Gilanie uważa, że obecne warunki są bardzo pomyślne dla podniesienia i rozwoju wywozu ruskiego do Persyi. W tym celu, według niego, konieczne jest przedewszystkiém zawiązanie bezpośrednich stosunków fabrykantów ruskich z konsumentami na rynkach perskich: należy więc usunąć wszelkie pośrednictwo, otworzyć składy cukru i towarów rękodzielniczych, a szczególniéj perkalików i innych bawełnianych wyrobów w saméj Persyi, nie zaś na granicy perskiéj, zmieniać częściéj rysunki, modyfikując je zgodnie z gustem konsumentów, powiększyć szerokość niektórych tkanin, otworzyć składy dobrego, lecz nie najlepszego gatunku sukna, kortu i aksamitu. Co się ty-

czy cukru, to trzeba go wysyłać w jaknajmniejszych główkach, ważących siedm do ośmiu funtów, zapakowywać nie w płócienne worki i nie w beczki i beczułki, lecz w pudła wagi nie większéj nad 4 ½ pud. brutto, papier dawać cieńszy i, jeżeli można, robić cukier miększy. Jeżeli te warunki zostaną u nas wypełnione, to popyt na towary nasze rękodzielnicze i na cukier stanie się niewątpliwym, dlatego że konsumenci wyrobów rękodzielniczych angielskich są bardzo złego przekonania o wyrobach angielskich, zawierających częstokroć 42% apretury, składającéj się przeważnie z glinki. Zbyt galanteryi, oparty na dokładném zbadaniu gustu konsumentów, czy to na miejscu, czy za pomocą próbek, zbyt kryształów, wyrobów metalicznych, szkieł, lamp i t. d. można byłoby również dla Królestwa zapewnić. W tym celu należałoby otworzyć w Teheranie, Meszchedzie, Ardebilu i Barfruszu składy hurtowe i detaliczne.

Eksport z Persyi przez Gilan przedstawia się bardzo poważnie i liczy następujące najpoważniejsze kategorye: ryż, suche owoce, produkty rybne, skórki owcze (mierłuszki), bawełna, narośle orzechowe, jedwab surowy, węgiel drzewny, *chamchalat*, *chena*; co do wywozu farbników szczególniéj, należy zaznaczyć, że rynki ruskie i polskie nie eksploatowały dotychczas wielu produktów, które eksploatować byłoby można z wielką korzyścią, chociażby dlatego, że istnieje bardzo znaczna różnica między cłem przywozowém z Persyi, a tém wysokiém cłem, jakie opłacają towary, przychodzące do Cesarstwa i Królestwa przez granicę europejską.

Towary, przychodzące z Rosyi przez prowincyą Gilan do Persyi, dochodzą w znacznych partyach do Teheranu; dotyczy to przeważnie wyrobów bawełnianych. Chcielibyśmy tutaj właśnie powtórzyć opinie konsulów ruskich i angielskich co do tego, jak stoi handel perkalikami ruskimi. Będą one zarazem stanowiły pewne wskazówki dla naszéj produkcyi bawełnianéj.

P. Abbot, generalny konsul angielski w Trebizondzie, utrzymuje, że Moskwa może w pewnym stopniu pomyślnie konkurować z Manchesterem, tak co do jakości perkalu, trwałości i żywości barw, jak co do rozmaitości i doboru rysunków. Największa przeszkoda zawiera się w wytwarzaniu towaru o wymaganéj w Persyi szerokości; ażeby to osiągnąć, należy postawić osobne warsztaty tkackie, dlatego że znajdujące się obecnie w fabrykach nie są odpowiednio przygotowane. Rynek perski potrzebuje perkali i perkalików szerokości 30 do 32 cali, a ruscy fabrykanci wyrabiali dotychczas perkaliki o 26 — 27 calach szerokości.

Konsul ruski w Azerbejdżanie komunikuje, że ostatniemi czasy

wszystkie domy handlowe europejskie, sprowadzające perkaliki angielskie wprost z Manchesteru, skarżą się na ich zły gatunek. Należy przytém dodać, że wady tych perkali nie są zjawiskiem przygodném, lecz przeciwnie, stają się coraz to powszechniejszém. Z porównania ruskich perkali z angielskiemi, widzimy następujące zalety pierwszych: trwałość saméj materyi, trwałość i delikatność farb i staranne odbicie rysunków; angielskie znowu perkale mają nad ruskiemi tę wyższość, że sztuki są szersze i dłuższe, rysunek jest lepiéj przystosowany do gustu konsumentów, zarówno jak sposób składania sztuk w paki i sposób opakowania. Zalety te, stanowiące przewagę perkali angielskich, mogą być z łatwością osiągnięte przez fabrykantów Królestwa. Co do téj kwestyi przytaczamy zdanie konsula ruskiego, dotyczące fabryk ruskich, a dające się zastosować do fabryk naszych. Uwagi te dotyczą: 1-o, szerokości materyi i przystosowania rysunku do gustu perskich konsumentów, oraz 2-o, długości sztuk, sposobów ich składania, upakowania i wagi paki.

Co do pierwszego, konsul mówi, że perkale w Persyi muszą mieć szerokości od 30 do 32 cali angielskich [1]), perkale zaś ruskie, jak już mówiliśmy, miały dotychczas szerokości 25 cali ang., ostatniemi jednak czasy, jeden z miejscowych (azerbejdżańskich) kupców przywiózł z jarmarku niższo-nowgorodzkiego wzory materyi żądanéj szerokości. Wzory te zostały rozchwytane przez miejscowe firmy poważne i zasłużyły na ogólne uznanie ze względu na wzmiankowane już przez nas przymioty. Kwestya więc szerokości perkali jest już w fabrykach ruskich do pewnego stopnia rozwiązana. Co do przystosowania rysunków do gustu konsumentów, niektóre perkale ruskie zupełnie odpowiadają wymaganiom miejscowym. Wady jednak w tym względzie są jeszcze wogóle ogromne, a trudność ich przezwyciężenia zawiéra się w tém, że przystosowanie się do rysunków, odpowiadających gustowi miejscowemu, jest możliwém tylko przy poważniejszych zamówieniach, tych jednak osiągnąć na razie niepodobna. Należy więc przystosowywać rysunki stopniowo, poznając zarazem jaknajdokładniéj gust miejscowy za pomocą zbierania odpowiednich wzorów rysunkowych, tymczasem zaś należy rozpowszechniać na miejscach zbytu jaknajwiększą ilość wzorów perkali, już obecnie wyrabianych. Jeżeli fabryki moskiewskiego okręgu fabrycznego umieją usuwać te wady, które stały na przeszkodzie zbytowi ich wyrobów, to sądzimy, że i fabryki naszego okręgu bawełnianego potrafią zrobić to samo.

Druga kategorya uwag konsula azerbejdżańskiego da się stre-

---

[1]) W ruskim arszynie jest 27 cali angielskich.

ścić, jak następuje: długość każdéj sztuki wynosić winna 36—42 metrów, co zaś do sposobu składania, to szerokość paki winna być zastosowaną do szerokości samego perkalu, długość zaś takowéj wynosić ma 37 cali angielskich; przeciętna waga każdéj paki towaru razem z opakowaniem nie powinna przenosić 100 do 220 fun. ang.; nareszcie przy upakowaniu należy zwracać uwagę na to, żeby każda paka towarów była zawinięta w t. zw. amerykańską materyą bawełnianą (*biaż = T'cloths*), o długości 24 yardów, przy wadze od 6 do 7 funt.; następnie obwijać należy pakę w bibułę niższego gatunku i nareszcie w płótno żaglowe, nasycone smołą; paka powinna być ściągnięta 3 obręczami żelaznemi. Należy więc przystąpić do starań w tym kierunku i przedewszystkiém wysyłać próbki długości nie mniéjszéj od jednego metra a całkowitéj szerokości sztuki, z oznaczeniem wartości metra, według cen fabrycznych przy sprzedaży hurtowéj.

Rozejrzyjmy się obecnie w warunkach handlowych prowincyi mazanderańskiéj i astrabadzkiéj, leżących na wschód od Gilanu. Otóż, przez dwie zatoki, które służą do przewozu towarów z Rosyi do tych prowincyi Persyi i z Persyi do Rosyi, przez t. zw. zatokę Giażską i Meszedeserską idą przeważnie wyroby rękodzielnicze, różne naczynia, w téj liczbie wyroby porcelanowe, kryształowe i szklane, metale nieobrobione, cukier rafinowany, wyroby metalowe, papier, różne towary drobne, świece stearynowe, płótna i rawentuch; wyroby jedwabne, kufry drewniane i wyroby z drzewa, lampy, nitki złote i srebrne, wyroby pasmanteryjne ze złota i srebra, bursztyn, ubiory kobiece, skóry, wyroby szychowe, bibuła, tytoń, mączka cukrowa, zapałki, wyroby ze skóry.

Najważniejsze zwiększenie w przywozie tych towarów daje się zauważyć w latach 1886 i 1887, a rozpoczyna się od r. 1883, t. j. po zniesieniu tranzytu przez Kaukaz. Najważniejsze miejsce zajmują wyroby rękodzielnicze, następnie naczynia porcelanowe, kryształowe i szklane, i szkła wszelkiego rodzaju; inne zaś kategorye towarów idą w powyżéj podanym porządku. Wartość ogólnego przywozu z Rosyi dosięga rocznie 3 milionów rubli [1]). Konsul astrabadzki donosi pod datą 13 (25) lutego r. z., że przywóz towarów z Rosyi do Astrabadu w r. 1888 dosięgnął 277,322 pudów, wartości 1,233,255 rs., wywóz zaś

---

[1]) Według sprawozdania konsula w Astrabadzie. Napozór zdawałoby się, że cyfry, podawane przez konsulów stają w niezgodzie z cyframi, podawanemi przez wydział celny. W gruncie rzeczy jednak przewyższają one cyfry wydziału tylko bardzo nieznacznie.

w tym samym roku przez Astrabad doszedł do 351,786 pudów, wartości 2,262,060 rs.

Wywóz z prowincyi mazanderańskiéj i astrabadzkiéj obejmuje te same rodzaje towarów, co i wywóz z prowincyi Gilan, za dodaniem dywanów, turkusów, wosku, oleju kunżutowego, opium, mazanderańskiego cukru surowego i ołowiu. Wywóz do Rosyi ze wzmiankowanych prowincyi wzrasta również, lecz nie w tym rozmiarze, jak przywóz ruski.

Te same mniéj więcéj, co do gatunku, towary przechodzą przez komory w Nachiczewaniu i Dżebrailu, oraz przez Astarę, Belasuar, Ordubad i Szarurę. Są to miejscowości, leżące przeważnie na pograniczu kraju Zakaukaskiego, na które należałoby zwrócić uwagę, zawiązując stosunki z Persyą przez Akstafę, będącą już obecnie bardzo ważnym punktem w handlu zakaukasko-perskim. Za wyłączeniem Astary, która sama przez się ma duże znaczenie, jako punkt przechodni i pośredniczący w handlu rusko-perskim, pozostałe z powyżéj wyliczonych miejscowości zasługują na mniejszą stosunkową uwagę.

Handel okręgu astrabadzkiego, koncentruje się w Astrabadzie i Szachrudzie, a najważniejszym punktem handlowym Mazanderanu jest Barfrusz.

Prócz tych dwóch miast w północnych prowincyach Persyi, zasługuje na uwagę Enzeli, port perski na morzu Kaspijskiém. Przywóz z Rosyi przez ten port do prowincyi Gilan, wynosi $\frac{4}{5}$ ogólnego przywozu ruskiego do téj prowincyi. Z Enzeli idą téż towary ruskie na Pir-Bazar, Reszt, Każwin do Teheranu.

Drugi, również znacznéj wagi, port Meszedeser, służy dla przywozu ruskiego do prowincyi Mazanderan. Z Meszedeseru towary idą na Barfrusz do Teheranu.

Jak widzimy więc, dla towarów ruskich od morza Kaspijskiego do Teheranu istnieją dwie drogi: na Enzeli i na Meszedeser. Pierwsza długa jest przeszło 400 wiorst, druga 200. Na pierwszéj płaca za przewóz waha się od 1 rs. 15 kop. do 2 rs. za pud, a na drugiéj od 1 rs. 15 kop. do 1 rs. 60 kop. Tak znaczna różnica w cenie przewozu w stosunku do przestrzeni pochodzi stąd, że droga Enzeli - Teheran jest znacznie lepsza i dogodniejsza od drogi Meszedeser-Teheran.

Przechodząc daléj na wschód, napotykamy port Aszur-Ade, przystań Astrabadu. Towary ruskie, wchodzące do Persyi przez Aszur-Ade, skierowywują się przeważnie na Astrabad, Szafrud, Majamaj, Abbasabad, Sebzewar i Niszapur do Meszchedu, najważniejszego ogniska handlowego prowincyi Chorassan. Do czasu otwarcia kolei zakaspijskiéj, droga ta była jedyną dla towarów, skierowanych do Cho-

rassanu. Obecnie coraz więcéj towarów, idących do Meszchedu i wogóle do Chorassanu, wysyła Rosya przez zatokę Michajłowską, stamtąd koleją zakaspijską do Aschabadu i daléj wielką drogą na Kuczan do Meszchedu. Ponieważ droga na Aschabad jest dogodniejsza i będzie coraz to dogodniejsza z unormowaniem taryfy na kolei zakaspijskiéj, a szczególniéj z wybudowaniem zamierzonéj szosy od Aschabadu do Kuczanu, przyciągać więc będzie do siebie coraz więcéj towarów, tak, że z czasem prawdopodobnie droga na Szachrud służyć będzie tylko dla przywozu do północno-zachodnich okręgów Chorassanu, okręgów zresztą bogatych bardzo i urodzajnych. Przywóz zaś do pozostałych okręgów omawianéj prowincyi stosuje się i do wywozu z tych miejscowości do Rosyi.

Generał Anienkow podaje dane procentowe co do przewozu towarów do Chorassanu rozmaitemi drogami. Ponieważ w stosunkach handlowych z Rosyą, Chorassan posiada największą wagę z pomiędzy prowincyi perskich, przyjrzyjmy się bliżéj tym danym. Otóż według obliczeń generała Anienkowa, 10% wywozu z okręgu Meszchedzkiego idzie przez drogę azerbejdżańską, t. j. przez Trebizondę, Tauryz, Teheran, Szachrud, Sebzewar, najważniejszy punkt składowy dla północnego i środkowego Chorassanu, do Meszchedu, stanowiącego również centralny punkt handlowy dla wschodniego i południowego Chorassanu. Przez tę samę drogę azerbejdżańską 5% ogólnéj sumy przywozu do okręgu Meszchedzkiego skierowuje się przeważnie z Niemiec i Francyi. Rozpoczynamy tu rozpatrzenie handlu chorassańskiego od okręgu Meszchedzkiego dla tego, że jednocześnie z tym okręgiem rozpatrzymy okręgi Dżadżerm, Sebzewar i Niszapur, stanowiące wraz z okręgiem Meszchedzkim, środkowy pas Chorassanu, pas najurodzajniejszy, a więc z tegoż względu przedstawiający największe wyrachowania, co do eksploatacyi handlowéj. Otóż te okręgi, znajdujące się prócz tego w bardzo dogodnych w stosunku do Rosyi warunkach komunikacyjnych, zajmują najważniejsze miejscowe w handlu rusko-chorassańskim; bo chociaż północny pas Chorassanu, leżący nad samą granicą ruską, jest bliższym kolei zakaspijskiéj, to jednak okręgi górzyste, pas ten składające—Budżnurd, Kuczan, Deregez i Kellad, mają dotychczas, stosunkowo do pasu środkowego, bardzo mało rozwiniętą produkcyą rolną, oraz ruch handlowy, zbyt mało ożywiony. Południowe znowu okręgi Chorassanu—Turszyz, Turbet, Hejdara i Kain, zbyt są stosunkowo oddalone od Rosyi, tudzież zbyt przyzwyczajone do nabywania towarów zachodnio-europejskich, ażeby mogły przedstawiać na razie szersze wyrachowania co do eksploatacyi handlowéj. Dowóz do tych ostatnich okręgów odbywa się przeważnie drogą bender-buszirską,

którą téż przechodzi około 10% wywozu z okręgów Meszchedzkiego, Niszapurskiego i Sebzewarskiego. Przywóz do tych okręgów również przeważa na drodze bender-buszirskiéj.

Zwracaliśmy już uwagę na drogę astrabadzką, poczynającą się od zatoki tegoż imienia. Od Szachrudu, dokąd ta droga dosięga, po przebyciu niedogodnych pod względem komunikacyjnym miejscowości, idzie jedna jéj odnoga na Sebzewar, Niszapur do Meszchedu. Jest to odnoga najważniejsza i jedynie w tym razie zasługująca na uwagę. Od czasu zniesienia tranzytu przez Kaukaz, droga astrabadzka służy wyłącznie dla przewozu towarów, idących z Rosyi. Wychodzi nią z okręgu Meszchedzkiego około 15% ogólnéj sumy wywozu, z południowego Chorassanu około $\frac{1}{2}$, a z okolic Sebzewaru i Niszapuru około 70%. Wywóz z tych miejscowości na Astrabad wogóle wynosi około 60%; przywóz przez Astrabad do Meszchedu 35—46%; do południowych okręgów Chorassanu 45—56%, a do okręgów Sebzewarskiego i Niszapurskiego 55—66% ogólnéj sumy przywozu; wogóle więc przywóz do Chorassanu drogą astrabadzką dosięga 55—60% ogólnéj sumy. Stąd widoczném jest znaczenie drogi astrabadzkiéj dla handlu z Chorassanem, a szczególniéj ze środkowemi jego okolicami.

Drugą drogą przywozu ruskiego jest koléj zakaspijska. Z wybudowaniem téj drogi, przebiegającéj na znacznéj przestrzeni bardzo blisko od granicy perskiéj, najbardziéj ożywiły się północne okolice Chorassanu, tudzież okręg Meszchedzki, posiadający dawną dogodną komunikacyą z Kuczanem. To téż wywóz z okręgu Meszchedzkiego wynosi 75% ogólnéj sumy, podczas gdy ze Sebzewarskiego i Niszapurskiego okręgu zaledwie 10%, i to dopiéro w ostatnich czasach. Południowy Chorassan dotychczas z téj drogi wcale nie korzysta.

Po tym przeglądzie dróg przywozu do Chorassanu, porównajmy ceny przewozu od Meszchedu, Sebzewaru i Turszizu do zatoki Perskiéj z jednéj strony, oraz ceny przewozu z tych samych miejscowości do Astrabadu i Aschabadu—z drugiéj strony. Ceny przewozu do zatoki Perskiéj z Anglii, Francyi i Niemiec przyjmujemy za jednakowe z cenami przewozu ruskich i naszych ognisk przemysłowych do Astrabadu i Aschabadu, chociaż w rzeczywistości tak nie jest, bo ceny te są znacznie niższe. Po zestawieniu otrzymujemy następującą tabliczkę:

	do Bender-Busziru	Astrabadu	Aschabadu
Od Meszchedu . . .	2—3 rs.	75— 85 kop.	40—50 kop.
„ Sebzewaru . . .	2—3 „	52—118 „	54 kop. *maximum*
„ Tusziru—*minimum*	1 rs. 60 kop.	około 80 i więcéj	około 75 kop. i więcéj.

Cena przewozu od Warszawy i Łodzi do Astrabadu wynosi 1 rs. 60 kop. do 1 rs. 80 kop., od Warszawy do Aschabadu 1 rs. 75. kop

Od Warszawy więc do Meszchedu przewóz jednego puda na Astrabad kosztuje najwyżéj 2 rs. 50 kop., a na Aschabad 2 rs. 20 kop. Droga na Aschabad jest nietylko tańsza, lecz i bez porównania dogodniejsza ze względu na teren; za drogą astrabadzką może tylko przemawiać mniejsza ilość przeładowywań, którym muszą podlegać towary, idące tą drogą.

Jak widzimy, ceny przywozu z Królestwa do Chorassanu są znacznie niższe od cen przewozu do Chorassanu z zachodniéj Europy. Koszt przewozu z Rosyi jest niewiele niższy od przewozu z Królestwa.

Przy rozwoju środków komunikacyjnych, jak np. przy zamierzoném zbudowaniu szosy od Aschabadu do Kuczanu, przy powiększeniu taboru kolei zakaspijskiéj, zniżeniu taryfy przewozowéj na téj kolei i t. d., towary idące z Cesarstwa i Królestwa, będą więc miały bardzo znaczną po swéj stronie przewagę w konkurencyi z towarami zachodnio-europejskiemi, przewagę, pochodzącą z różnicy w kosztach przewozu. Stanowczo więc konkurencya towarów ruskich w Chorassanie z zachodnio-europejskiemi jest możliwa, a znowu towary nasze znajdują się w warunkach dogodnych, w stosunku do towarów Cesarstwa.

Poprzednio już wyliczyliśmy towary, jakiemi prowadzą handel północno-wschodnie prowincye Persyi z Rosyą. Dodamy tu jeszcze krótki wykaz towarów, będących na liście ruchu handlowego chorassańsko-ruskiego. Otóż, do Chorassanu Rosya wywozi około 5 tys. pak towarów bawełnianych w cenie 250,000 tomanów. W grupie towarów rękodzielniczych znaczne miejsce zajmują również wyroby jedwabne (za 10,000 tomanów) i wełniane (za 8,000 tom.); następnie idzie cukier i mączka cukrowa — około 150,000 pudów. Poważne też miejsce zajmują wyroby kryształowe, żelazo, towary galanteryjne, towary aptekarskie, oraz korzenne. W mniejszych ilościach dowożone są świéce, szkło, tace, samowary z bronzu, mosiądz, blacha żelazna, towary futrzane, wyroby z żelaza lanego, tytoń i papierosy.

W wywozie chorassańskim pierwsze miejsce zajmuje bawełna około 500,000 pudów, następnie wełna—przeszło 300 tys. pud. i dywany za 60,000 tomanów. Podrzędniejsze miejsca przypadają na wyroby wełniane, wyroby jedwabne, suche owoce, skóry owcze, materyały farbierskie, naczynia i wyroby z kamienia oraz turkusy.

Jak przywóz, tak i wywóz chorassański zwiększają się ciągle, szczególniéj od czasu otwarcia ruchu na kolei zakaspijskiéj. Ruch ten ożywił w znacznym stopniu północne szczególniéj okolice Chorassanu, tak pod względem przemysłowym, jakoteż handlowym.

Streszczając to wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli, przyjść mu-

simy do wniosków następujących: handel eksportowy Rosyi może się odbywać z powodu dogodnych warunków komunikacyjnych z prowincyami północnéj, północno-zachodniéj i północno-wschodniéj Persyi, t. j. z Azerbejdżanem, Gilanem, Mazanderanem, okręgiem Astrabadzkim, Teheranem, okręgiem Sebzewarskim, Niszapurskim i Meszchedzkim, oraz z pozostałemi częściami Chorassanu.

Skuteczna konkurencya zagranicy ma miejsce w południowych prowincyach Persyi. Towary Królestwa z towarami Cesarstwa, ze względu na koszty przewozu — konkurować mogą. Do konkurencyi téj wystąpić przedewszystkiem powinny wyroby bawełniane, cukier i mączka cukrowa, następnie wyroby wełniane, wyroby kryształowe, naczynia porcelanowe, emaliowane i inne, towary galanteryjne, aptekarskie, korzenne, towary wonne, świece stearynowe (w niewielkich ilościach), szkła wszelkiego rodzaju, wyroby pasmanteryjne, roboty szychowe, papier do pisania, bibuła, guziki szklane i z macicy perłowéj, ubiory damskie, obuwie, wyroby metalowe, wyroby ze skóry i t. d.

Najważniejszemi przeszkodami handlu z Persyą są: przedewszystkiem niedokładna znajomość gustu konsumentów i charakteru zapotrzebowania wogóle; brak wiadomości o warunkach zbytu i brak instytucyi dyskontowéj lub przynajmniéj odpowiedzialnéj firmy, któréj *del-credere* byłoby wystarczającém dla naszych firm.

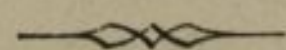
Bliższe zbadanie popytu miejscowego powinno dotyczyć następujących miejscowości, rozpoczynając od Akstafy w kraju Zakaukaskim, Astary, Gilanu, Enzeli, Meszedeseru, Aszur-Ade, Czikiszlaru, Resztu, Każwinu, Teheranu, Barfruszu, Astrabadu, Szachrudu, Sebzewaru, Niszapuru, Meszchedu i Aschabadu. Uwzględnić także należy takie miejscowości, jak Batum, Baku i Uzun-Ada, a to w celu dokładnego zbadania ilości i charakteru eksportu i importu. Mówiliśmy o tém, że jedną z przeszkód do rozwoju handlu z Persyą jest brak instytucyi dyskontowéj dla weksli tamtejszych; powrócimy do tego, rozpatrując ogólny zarys projektu, takiéj instytucyi, jakaby eksploatacyą handlu ze Wschodem przeprowadzić najlepiéj potrafiła.

(*D. n.*) *Tadeusz Zaleski.*





Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII.



J. Wł. Dawid: „Szkice psychologiczne,“ Warsz., nakładem Teodora Paprockiego i S-ki, r. 1890, str. 239.

Szereg psychologicznych rozpraw, pomieszczonych w tém dziele, rozpoczyna krótki szkic zatytułowany „*Psychogeneza.*“ Tytuł ten nie określa dokładnie pytania, które autor na tém miejscu rozstrząsa. Przedmiotem szkicu nie jest zagadnienie, jak i na którym szczeblu w rozwoju istot pozostaje dusza,—chociaż i na nie pośrednio otrzymujemy odpowiedź, — lecz jak należy pojmować stosunek duszy do ciała (względnie ducha do materyi) w świetle współczesnéj nauki.

Najwyższe uogólnienie, do którego ścisła wiedza się wzniosła, jest prawo zachowania siły. W myśl tego prawa nie wolno nam zjawisk świadomości pojmować, jako następników molekularnego ruchu materyi, i odwrotnie, czynności cielesnych jako następników zmian duchowych. W pierwotnym bowiem przypadku musielibyśmy przyjąć, że ruch rozciągły przeobraził się w zjawisko nierozciągłe, t. j. że pewna ilość ruchu znikła bez śladu; w drugim zaś, że pewna zmiana nierozciągła przeobraziła się w ruch rozciągły, t. j. że pewna ilość ruchu powstała z niczego. Wynika stąd bardzo ważna wskazówka dla należytego pojmowania stosunku ducha do materyi. Skoro bowiem zjawiska psychiczne nie są równoważnikami ruchu fizycznego i naodwrót, przeto między materyą a duchem nie może zachodzić stosunek przyczynowości, lecz współbytności. Stąd zaś wynika drugi wniosek, że duch nie może się zjawiać na tym lub owym szczeblu rozwoju materyi, lecz musi być wszędzie i tak samo od wieków jak materya; w przeciwnym bowiem razie należałoby przypuścić, że zjawienie się ducha poprzedziło, jako jego przyczyna jakieś zjawisko materyalne, co się wprost sprzeciwia prawu zachowania siły. Pojęcie więc powszechnie „uduchowionéj“ materyi jest prostą konsekwencyą pod-

stawowego prawa współczesnéj nauki. Słusznie utrzymuje autor, że pojęcia tego nie można opierać na analogii, w takim bowiem razie istnienie duchowego czynnika moglibyśmy przyjąć tylko w istotach do nas podobnych, lub najwyżéj we wszystkich istotach zorganizowanych. Również nie podobna czynnika tego upodobniać z jakimkolwiekbądź stanem psychicznym, znanym nam z zewnętrznego doświadczenia; nazywać go wolą, jak Schopenhauer, uczuciem jak Noiré, mówić o wstrętach, pociągach i t. d. atomów — jest niczém nie usprawiedliwioną analogią. Jesteśmy uprawnieni do negatywnego tylko określenia tego czynnika, mianowicie jako nierozciągłego w przeciwstawieniu do rozciągłéj materyi. Pozytywnie wiedza nasza przez pojęcie to nie zostaje wzbogacona, ale zyskujemy w niém bardzo ważną zasadę metodologiczną. Skoro bowiem czynnik duchowy materyi jest pierwotny, przeto zjawisk psychologicznych nie możemy wyprowadzać z procesow fizyologicznych; tylko pośrednio na podstawie analogii, popartéj wewnętrznem doświadczeniem, możemy z ostatnich wnioskować o pierwszych. Odnośnie zaś do filozoficznego całokształtu naszéj wiedzy hypoteza uduchowionéj materyi, a więc—co za tém idzie —uduchowionego atomu daje nam możność wytworzenia jednolitego poglądu na świat, jako na sumę zjawisk, dających się wytłómaczyć mechanicznie na podstawie powszechnego prawa zachowania siły.

W celu dokładniejszego wyrażania swéj myśli, przeprowadza autor paralelę między swém filozoficzném *credo*, a filozofią Spinozy. W saméj rzeczy i Spinoza nie uznawał przyczynowego związku między duchem a materyą: materya i duch istnieją i dla Spinozy tylko współrzędnie i współcześnie, jako dwa różne atrybuty Boga. Ale jego „matematyczny panteizm“ (według trafnego orzeczenia Windelband'a: „*Geschichte der neueren Philosophie*,“ t. I, str. 200 i nast.), nie zna ani atomu, ani mechanizmu zjawisk. Natomiast dwa te zasadnicze pierwiastki nowoczesnéj myśli możemy odnaleźć u Leibnitz'a w jego „monadach“ i „prestabilizowanéj harmonii“; dlatego, zdaniem naszém, słuszniejsze miałby autor prawo myśl swą przyoblec w wyrażenia, zapożyczone u autora monadologii.

W szkicu p. t. „Uzdrowieni przez wyobraźnią“ stara się autor rzucić światło na pewną stronę stosunku umysłu do ciała, dotychczas mało zbadaną, a nawet zaniedbywaną. Jakkolwiek pytanie o stosunku dwóch tych składników naszego życia dotychczas mało jest wyjaśnione, z tém wszystkiém można jako pewnik przyjąć, że żaden z tych czynników nie góruje na drugim, lecz że każdy z nich może za-

początkować i początkuje zmiany i czynności drugiego: z jednéj strony ogólny stan naszego ciała, jak i zmiany, zachodzące w niém, mają swe odpowiedniki w ogólnym stanie i czynnościach umysłu, a z drugiéj stan i zmiany umysłu odzwierciadlają się w funkcyach cielesnych. Pierwsza połowa tego pewnika nigdy w istocie wątpliwości nie podlegała; natomiast druga dopiéro wnajnowszych czasach została ustalona. Materyału dowodowego dla niéj dostarczały psychologom zaburzenia wfunkcyach ciała, spowodowane niewątpliwie wyłącznie tylko pewnemi czynnościami umysłu bez udziału fizycznéj przyczyny chorobotwórczéj. Na odwrotną stronę téj kwestyi, t. j. na leczniczą siłę umysłu, mało zwraca się w ogole uwagi. Nie wątpimy o prawdzie przysłowia, że „wiara uzdrawia“, i danych, stwierdzających bezspornie możność uzdrowienia działaniem na umysł chorego, jest dość pokaźna liczba, wszakże nikt nie zajął się ugrupowaniem ich w celu wyjaśnienia, wśród jakich warunków uzdrowienie takie jest możliwe i jakie czynności umysłowe w celach leczniczych pobudzić należy. Ten to właśnie leczniczy mechanizm ducha jest przedmiotem zacytowanego szkicu.

Rozbierając różne fakty uzdrowienia przez umysł, odnajduje autor następujące lecznicze czynniki ducha: 1) uwagę, 2) wzruszenia radości i przestrachu, 3) wyobraźnią, 4) wiarę. Ostatniemu czynnikowi poświęca najwięcéj miejsca i zastanawia się szczegółowo nad warunkami powstawania i umocnienia wiary. W gruncie rzeczy, jeśli się zgodzić na takie określenie wiary, jakie autor daje (str. 23), to należy ją uznać tylko za pewien objaw wyobraźni i nie ma powodu uważać jéj za odrębny leczniczy czynnik ducha. „Wiara, utrzymuje autor (str. 24), przypuszcza stałe i niezmienne trwanie jednego wyobrażenia z wyłączeniem innych“... „w parze z nią iść musi silne natężenie tego jednego wyobrażenia: wyobrażać przedmiot jakiś długo i wyłącznie, znaczy to wyobrażać go żywo“..... „w stanie wiary zatamowanie wszystkich wyobrażeń na korzyść jednego, w które człowiek wierzy... powoduje odnośnie do niego to, co w zwykłéj mowie nazywamy podniesieniem wyobraźni.“ Nie spieramy się z autorem o istotę wiary lub, jak on się wyraża, stanu wiary. Niewątpliwie jednak między taką wiarą a wyobraźnią nie ma żadnéj różnicy. Sam autor to przyznaje, utrzymuje jednak, iż w konkretnych wypadkach różnica taka istnieje zależnie od tego, czy powodującym momentem jest wiara, czy wyobraźnia. Jest to nieporozumienie; albo bowiem w stanie wiary ma miejsce spotęgowanie żywości wyobraźni, a w takim razie mamy do czynienia z wyobraźnią, albo takiego spotęgowania nie ma, a w takim razie wiara nie jest tym aktem umysłowym, o jakim autorowi chodzi. W ogóle z wywodów autora zyskujemy to przekonanie, że umysłowym czynnikiem

leczniczym może stać się tylko wyobraźnia, podniecona już to uwagą, już to wzruszeniami, już to zewnętrznemi pobudkami. Autor nie łudzi się co do doniosłości takiego rezultatu swych dociekań, i wyraźnie oświadcza, że wyjaśnienia jego nie dotyczą zgoła zasadniczego pytania, dlaczego i w jaki sposób pewne stany naszego umysłu sprowadzają pewne określone zmiany w naszém życiu fizyczném. Łudzi się jednak, gdy utrzymuje, iż mu się udało wykazać wspólność zjawisk, przez się omawianych, z grupą innych na pozór zupełnie odrębnych zjawisk, bardziéj ogólnych i lepiéj znanych. Sądzi mianowicie, iż uzdrowienie przez umysł w niczém się nie różni od halucynacyi. W jednym i drugim bowiem razie odtworzony zostaje, jak mniema, pewien rzeczywisty stan nerwów pod wpływem natężonych stanów umysłowych, a „mniejsza o to, że w jednym razie (t. j. halucynacyi) téj istotnie odtworzonéj rzeczywistości nerwowéj towarzyszy i pozornie odtworzona rzeczywistość jakiegoś przedmiotu zewnętrznie umiejscowionego, w drugim (t. j. uzdrowienie) zaś — nie“ (str. 26 n.). Wistocie, gdyby między objawami halucynacyi, a wypadkami uzdrowienia przez umysł tylko ta zachodziła różnica, mielibyśmy w obu grupach tylko różne formy tego samego procesu psychicznego. Gdy jednak odtworzona w halucynacyi pozorna rzeczywistość istnieje tylko dla podmiotu, ulegającego złudzeniu i nie ma dla niéj sprawdzianu przedmiotowego, w uzdrowieniu przez umysł odtworzona rzeczywistość przestaje być pozorną tylko, gdyż jest zjawiskiem, sprawdzanym przedmiotowo. Dwa ogniwa mechanizmu halucynacyi i uzdrowienia przez umysł są w istocie identyczne: natężenie umysłowe i odtworzenie realnego stanu nerwów; lecz ostatnie ogniwo: w pierwszym wypadku — złudzenie podmiotowe, w drugim — przedmiotowa rzeczywistość należą do dwóch tak odrębnych światów, że nie widziemy podstawy dla utożsamienia obu mechanizmów.

To nieuzasadnione, zdaniem naszém, uogólnienie nie ujmuje jednak zgoła wartości całemu szkicowi. Moglibyśmy tylko mieć pretensyą do autora za to, że nie określił granic leczniczego wpływu umysłu, ku czemu nagromadzony przezeń materyał daje pewne wskazówki. Rozglądając się bowiem w wypadkach uzdrowienia przez wyobraźnią, podanych przez autora, łatwo dostrzedz, iż wszystkie, z wyjątkiem jednego, bardzo wątpliwego (zacytowanego na wiarę d-ra Hack'a Tuke'a, str. 17), polegają na usunięciu zaburzeń czynnościowych; wypadków leczniczego wpływu umysłu na choroby, wynikające ze zmian anatomo-patologicznych np. w mięśniach przy długotrwałym paraliżu nie spotykamy. Okoliczność ta upoważnia do wniosku, że wyobraźnia

może się stać czynnikiem uzdrawiającym tylko w takich wypadkach, w których zboczenia w systemie nerwowym nie wywołały jeszcze zmian anormalnych w tkance mięśni. Wniosek taki wydaje się nam tém prawdopodobniejszym, że według poglądu współczesnéj psychologii naukowéj, przyjętego także przez autora, pomiędzy wyobrażeniem t. j. stanem idealnym a wrażeniem, t. j. stanem realnym ze strony fizyologicznéj nie ma istotnéj różnicy: jeden i drugi jest psychicznym odpowiednikiem tego samego procesu nerwowego (str. 24). Spotęgowanie więc pewnego wyobrażenia, uznane jako niezbędny warunek uzdrowienia przez umysł, może pociągnąć za sobą zmiany tylko w czynnościach nerwów.

Następny z kolei szkic „o poddawaniu uczuć jako środku narodowego wychowania“, ze wszystkich najdonioślejszy ze względu na przedmiot, odznacza się wszystkiemi zaletami dobréj monografii psychologicznéj: dokładnością analizy zjawisk psychicznych, śmiałém a zasadném zastosowaniem analogii, wreszcie wszechstronném i oględném tłómaczeniem faktów, popierających teoretyczne wywody. Niepodobna nam dla braku miejsca śledzić krok w krok za autorem i przytaczać wszystkie ogniwa w łańcuchu jego rozumowania. Możemy tylko w najogólniejszych rysach przedstawić jego metodę i streścić ostateczny wynik badania.

Chodzi autorowi o wyświetlenie natury stosunku, zachodzącego między ruchami a uczuciami, a w szczególności o odpowiedź na pytanie czy i w jaki sposób ruchy wywołują uczucia. Prosta obserwacya zjawisk życia normalnego, w którychby związku tego dopatrzéć się można, nie daje wystarczającego dowodu. Wobec wielkiéj bowiem ilości i powikłania możliwych przyczyn, nie podobna nawet rozstrzygnąć, czy zaobserwowany ruch wpłynął na obudzenie skojarzonego z nim uczucia. Fakt poddawania uczuć w śnie hypnotycznym zapomocą nadawania uśpionemu ruchów i postawy ekspresyjnéj dowodzi, że w stanie normalnym ruchy mogą wywołać uczucia. Wypada zatém wzmiankowane zjawisko rozłożyć na składowe jego czynniki i wyśledzić działanie każdego z osobna, aby następnie oznaczyć prawdopodobieństwo ich skutku w stanie normalnym. Ponieważ zaś zjawienie się uczuć w śnie hypnotycznym na skutek ruchów jest jednym z przypadków kojarzenia się stanów świadomości na zasadzie przyległości, przeto zadanie, jakie sobie autor postawił, redukuje się w pierwszym rzędzie do wykazania okoliczności, wśród których prawo to działa w śnie hypnotycznym i w stanie normalnym. Zapomocą takiéj analizy wykrywa autor czynniki, warunkujące w stanie normalnym skuteczność i stopień kojarzenia się przyległych stanów świadomości,

a więc i poddawania uczuć przez ruchy. Uzyskany w taki sposób, odnośnie do ruchów ekspresyjnych, wniosek, ma jednak znaczenie daleko ogólniejsze i obejmuje dziedziny, nie mające napozór nic wspólnego z tą kategoryą ruchów. Z jednéj bowiem strony dotyczy on tak zwanego postępowania t. j. szeregu świadomych i celowych ruchów, a z drugiéj wszelkich wyobrażeń ruchowych, które co do swéj istoty są tylko niższym stopniem ruchów rzeczywiście wykonanych. Przez takie podwójne rozszerzenie pojęcia ruchu, otwiéra sobie autor szerokie pole obserwacyi, i może stwierdzić empirycznemi faktami rzeczywistość swego apriorycznego dowodu, a więc nadać mu znaczenie prawa empirycznego. Prawo to formułuje autor w następujący sposób: „Wyraz, postawa ekspresyjna i postępowanie, czy to rzeczywiste, czy wyobrażane (widziane, słyszane), zawsze dążą, a przy przyjaznném lub tylko obojętném ustosunkowaniu się względem nich innych wyobrażeń, uczuć i aktów woli, oraz pod wpływem powtórzeń, rzeczywiście wywołują w umyśle te uczucia, popędy i wyobrażenia, które w zwykłym porządku były ich poprzednikami i pobudkami“ (str. 85).

Praktyczne konsekwencye tego prawa są bardzo doniosłe. Wykazuje ono bowiem możność oddziaływania na najmniéj podatne stany świadomości, jakiemi są uczucia, za pomocą ruchów, które przeciwnie są najdostępniejsze dla woli zarówno samego osobnika jak i innych ludzi. Ponieważ zaś uczucia, jak to wskazuje nietylko analogia z innemi stanami świadomości ale i obserwacya, zdolne są przetrwać wywołujące je pobudki, a w miarę powtórzeń z coraz większą odradzają się łatwością po wpływem już nie tych samych, lecz analogicznych tylko pobudek, przeto łatwo pojąć, iż z czasem stają się stałemi usposobieniami, a więc samoistnemi pobudkami postępowania. To nam wyjaśnia, dla czego szkoła, sytuacye życiowe, profesye wychowują człowieka i stałe piętno na charakterze jego wyciskają.

„O drugorzędnych źródłach miłości“ traktuje szkic następny.

Miłość jest ze stanowiska teoryi ewolucyjnéj popędem płciowym, zróżnicowanym przez dobór naturalny i płciowy. Dwie te siły, działające stale i w określonym kierunku, są źródłem indywidualnych pociągów i wstrętów w miłości. Gdyby dwóch tych sił brakło, instynkt płciowy pozostałby nie zróżnicowany t. j. zadawalniałby się bez wyboru każdym przedmiotem, posiadającym cechę „niezbędną“. Łatwo dostrzedz, że związki miłosne nie dokonywają się stale i powszechnie przez wybór miłosny, że przeciwnie nawet u osobników, stojących na bardzo wysokim stopniu rozwoju, instynkt płciowy często występuje w swéj pierwotnéj, niezróżnicowanéj formie, zadawalniając się bez wyboru swemi przedmiotami. Widoczna zatém, że czynniki doboru

naturalnego i płciowego (częściowe powinowactwo, częściowy kontrast i panujący w danéj grupie osobników ideał) nie zapanowały dotychczas zupełnie w związkach miłosnych. Mając na względzie to powszechne prawo w rozwoju czynności psychicznych, że przy powstaniu nowych, wyższych organów, dawniejsze i niższe nie zanikają, lecz tylko podporządkują się pierwszym, wylicza autor wypadki, w których dobór miłosny ustępuje przed zasadą równéj przydatności wszystkich przedmiotów miłości. Wypadków takich odnajduje pięć: 1-o zbyt niski poziom rozwoju całego gatunku, 2-o niedostateczny rozwój niektórych osobników danego gatunku, 3-o zmiany sposobu życia całego gatunku, 4-o bezwzględny lub względny brak przedmiotów dla wyboru miłosnego i 5-o natężenie instynktu do stopnia naglącéj żądzy. Ponieważ w tych wypadkach nie działa żaden z właściwych czynników miłosnego wyboru, przeto, wnioskuje autor, działają tu inne wpływy, i te właśnie wpływy nazywa drugorzędnemi środkami miłości. Wniosek ten, mający rozstrzygające znaczenie w sformułowaniu całego zadania, wydaje się nam błędny. W saméj rzeczy, jeśli miłość jest instynktem płciowym, zróżnicowanym przez dobór naturalny i płciowy, w takim razie w wypadkach, w których czynniki doboru nie działają, albo wybór miłosny wcale nie ma miejsca, albo też jest wybór, ale bez miłości. Innego wniosku nie mamy prawa wyprowadzić z danych przesłanek. Jeśli zatém spotykamy w życiu liczne przykłady wyboru miłosnego, dokonywanego bez widocznego udziału kryteryum, wytworzonego przez dobór naturalny i płciowy, to należałoby w myśl teoryi ewolucyjnéj nie odszukiwać czynników zastępczych („drugorzędnych źródeł“) wyboru, lecz zbadać, czy w tych wypadkach miłość wogóle w grę wchodzi, a jeśli wchodzi, to wykryć utajone wpływy czynników właściwych, działających obok wpływów ubocznych. Teorya naturalnego i płciowego doboru nie wyklucza bowiem myśli, że w wyborze miłosnym mogą brać udział i te czynniki, które autor nazwał drugorzędnemi źródłami miłości. Przy tém jednak obstawać musi, że gdzie miłość istotnie się ujawnia, tam muszą na zróżnicowanie instynktu płciowego wywierać swe wpływy i czynniki powinowactwa, kontrastu i ideału. Jako rezultat długotrwałego i stale działającego doboru, są one czynne w każdym przejawie miłości; widoczna jednak, że wpływ ich na instynkt płciowy, tak co do stopnia jak i kierunku zróżnicowania, pozostawia dość szerokie dla wyboru granice. W tych to dopiéro granicach działają owe „drugorzędne źródła miłości“; one dokonywają ściślejszy wybór i ostatecznie rozstrzygają o przedmiocie miłości. Innemi słowy: w każdym rzeczywistym wypadku wyboru miłosnego (nie doraźnego zaspokojenia instynktu płciowego) wypada z punktu widze-

nia teoryi ewolucyjnéj przyjąć współczesne działanie i czynników właściwego doboru i czynników przypadkowych, drugorzędnych. Że w konkretnych przejawach miłości częstokroć trudno wykryć wpływy właściwego doboru, to nie dowodzi, żeby w przejawach działały zastępczo wyłącznie czynniki drugorzędne. Dobór właściwy działa jako siła organiczna i rzadko się uświadamia dla zakochanego osobnika; dla postronnego zaś widza szerokie granice tego doboru utrudniają wydanie stanowczego sądu. Godzi się jednak przypuszczać, że gdyby materyał faktyczny lepiéj był przez obserwacyą zbadany, niż to ma obecnie miejsce (prawdopodobnie, niż może mieć wogóle miejsce), a zwłaszcza gdyby podobna było różnorodne objawy miłości wydzielić z pośród masy innych uczuć, często nie mających nic wspólnego z miłością, — a można to odnieść także do niektórych wypadków, cytowanych przez autora—w takim razie mielibyśmy możność dokładniéj określić udział stałych i ubocznych czynników w wyborze miłosnym. Nie jednę ważną wskazówkę daje nam autor w swym szkicu; zestawił w nim bowiem różne przejawy miłości i uwydatnił udział różnych czynników psychicznych w ich genezie.

W krótkim szkicu zatytułowanym „rozkosz cierpienia“ tłómaczy nam autor naturę i genezę tego mało zbadanego stanu. Uczucie przyjemności, jakie w tym psychicznym objawie łączy się z cierpieniem, jest, według wyjaśnień autora, natury pochodnéj. Pierwotném jest cierpienie; uczucie zaś przyjemności łączy się z nim jako objaw wtórny pod wpływem skojarzonych z niém wyobrażeń o charakterze przyjemnym. Wyobrażeń tych zwykle sobie jasno nie uświadamiamy, lecz bezwiednie ulegamy ich wpływowi, wskutek czego „rozkosz cierpienia“ wydaje się nam uczuciem jednolitém. Obok tego źródła „rozkoszy cierpienia“ przyjmuje autor jeszcze drugi czynnik — formalny, nie leżący w treści skojarzonych wyobrażeń, lecz w przyjemności, jaką nam wszelkie wrażenia przez samą swą obecność sprawiają. Udział tego czynnika w omawianém uczuciu wydaje się nam wątpliwy. W gruncie rzeczy i autor nie przyznaje wrażeniom zdolności budzenia uczuć przyjemnych przez sam tylko fakt zapełnienia sobą duszy. Z własnych wywodów autora okazuje się, że wrażenia nieprzyjemne mogą stać się pobudką dla uczuć przyjemnych tylko, albo przez uświadomienie kontrastu pomiędzy spowodowanym przez nie ruchem i pełnią psychiczną, a panującą przedtém w duszy martwotą i pustką, albo przez skojarzenie się z takiemi wyobrażeniami, jak wspomnienia przeszłych powodzeń, nadzieja przyszłych lub wreszcie widok obecnych, któreśmy osiągnęli dzięki bodźcowi, jaki wola nasza właśnie w daném cierpieniu znalazła. Zatém i ten drugi rzekomy czynnik redukuje się w istocie

do wpływu wyobrażeń, skojarzonych z pierwotném uczuciem cierpienia. Postępując więc konsekwentnie za wskazówkami autora, wypada źródła „rozkoszy cierpienia“ szukać wyłącznie w treści, nasuniętych nam przez uczucie bólu wyobrażeń. Co więcéj, grupa wyobrażeń, objętych przez autora nazwą formalnego czynnika, splata z cierpieniem przyjemność w ten sam sposób, jak i grupa pierwsza, a mianowicie przez to, że nasuwa cierpiącemu pojęcie jego wyższości bądź to w porównaniu z otoczeniem, bądź to z samym sobą w czasie, kiedy go cierpienie nie przygniatało. Na ten rys „rozkoszy cierpienia,“ że przyjemność jego płynie z pojęcia wyższości, jakie cierpiący ma o sobie, zwrócił uwagę Spencer. Niesprawiedliwy więc jest autor względem tego filozofa, gdy utrzymuje, że o uczuciu tém on wprawdzie wspomina, „lecz nazywa je wogóle niezrozumiałém, pojmuje je przytém tylko jako uczucie niesprawiedliwego losu, przyjemność krzywd, które znosimy bez własnego przyczyniania się“ (str. 143). Spencer nie zadawalnia się takiém określeniem „rozkoszy cierpienia,“ lecz tłómaczy, acz w krótkości jego genezę, twierdząc, iż prawdopodobnie człowieka, owładniętego tém uczuciem, przenika myśl o jego wyższości nad innemi (t. II „Psychologii w tłóm. franc.,“ str. 620). Zasadniczą zatém myśl hypotezy autora znajdujemy także u Spencera. Nie zmniejsza to naturalnie bynajmniéj zasługi p. Dawida. Myśl, rzuconą przez filozofa angielskiego w formie wątpliwego domysłu, rozwinął on dokładniéj i wzmocnił jéj prawdopodobieństwo przez wykazanie na przykładach, iż cierpienie w wieloraki sposób może nasuwać pojęcie wyższości, a nie wyłącznie wskutek wyobrażenia kontrastu pomiędzy rzekomemi zasługami cierpiącego, a położeniem, jakie mu w zamian za nie zgotowali ludzie i los, jak to przypuszcza Spencer.

W chwilach niepewności co do rezultatu zamierzonego przedsięwzięcia, albo téż oczekiwania jakiegoś ważnego wypadku, ludzie często przypisują zdarzeniom błahym, nie pozostającym w żadnym przyczynowym związku z przedmiotem ich niepewności i oczekiwania, znaczenie wskazówek, to napełniających ich otuchą, to przejmujących ich obawą. Zdarzenia takie mają zatém w tych warunkach znaczenie prognostyków. Jak powstają prognostyki téj kategoryi? jakie stany duchowe są ich źródłem? Zawiłe to zjawisko stara się autor rozwikłać w szkicu p. t.: „O niektórych prognostykach.“ Odszukując wyobrażeń, które stale w takich prognostykach się ujawniają, i analizując powodujący je nastrój uczuciowy, odnajduje autor następne czynniki, składające się na powstanie prognostyków. Przedewszystkiém natężony stan umysłu, warunkujący odnoszenie wszystkich bieżących zdarzeń do panującego w danéj chwili wyobrażenia przedmiotu oczekiwa-

nego, a niepewnego. Daléj, dwa stany intelektualne: bezwiedne skojarzenie, zawierające sąd o łączności i przyczynowéj zależności drobnych przyczyn i wielkich skutków, oraz wiara w powtórzenie się tego, co się raz zdarzyło; wreszcie pewien stan uczucia i przewaga wewnętrznego zadowolenia lub przygnębienia ducha, które uspasabiają człowieka do zatrzymania się nad niektóremi tylko zdarzeniami i do wyciągania raczéj tych prognostyków, niż innych“ (str. 161, n.). Przytoczyliśmy rezultat poszukiwań autora dosłownie, aby nie spaczyć jego myśli. Rozumowanie bowiem, które go do przytoczonego powyżéj wyniku doprowadziło, jest nieco zawiłe i nie zawsze ścisłe, zwłaszcza w kwestyi powstania dwóch wzmiankowanych stanów intelektualnych. Natomiast niepodobna zaprzeczyć, że odnalezione przez autora czynniki mogą stać się źródłem prognostyków.

O pozostałych szkicach nie będziemy się rozwodzić, już to z obawy zbytniego rozszerzenia ram sprawozdania, już to dlatego, że treść ich nie wymaga szczegółowego rozbioru. Najbardziéj interesujący z nich jest szkic „O snach i ich tłómaczeniu.“ Nie znaleźliśmy w nim wprawdzie jakiegoś oryginalnego szczegółu, lub nowego punktu widzenia, ale bardzo dobre streszczenie wszystkiego, co współczesna psychologia naukowa wypowiedziała o powstawaniu snów, ich mechanizmie, oraz znaczeniu w ekonomii życia. A takie przedstawienie rzeczy ma z pewnością większą wartość, niż uganianie się za oryginalnością, która na szczęście przestała być w dziedzinie badań filozoficznych jedynym tytułem do zasług. To samo można powiedzieć o następnym szkicu, zatytułowanym „Tworzenie się pojęć,“ z tą wszakże różnicą, że nie dorównywa on poprzedzającemu pod względem dokładności i systematyczności opracowania. Umieszczone na końcu dzieła dwa rozbiory estetyczno-literackie pomijamy w niniejszém sprawozdaniu; przedmiot ich bowiem nie wchodzi w zakres ściśle psychologicznych badań.

H. G.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rythmes par Maximilien Kawczyński, docteur ès lettres. Paris. E. Bouillon, 1889, 8-o, str. 220. — Tegoż autora: Porównawcze badania nad rytmem i rytmami (w Pamiętniku krak. Akademii Umiejętności, wydz filol. i histor.-filozof., tom VI i VII).

Pod koniec ubiegłego roku, na jedném z posiedzeń poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, znany badacz naszéj muzyki kościelnéj, ks. dr. J. Surzyński miał odczyt o wymienionych tutaj dziełach i wyraził przytém swój żal, że zasługi d-ra Kawczyńskiego na polu rytmiki nie zostały u nas jeszcze należycie ocenione. Żal zapewne był słuszny, tembardziéj, że np. Francuzi, dla których dzieła podobnéj treści nie są zbyt wielką rzadkością, wkrótce po ukazaniu się książki naszego uczonego, zwrócili na nią uwagę, oddając autorowi przynależne uznanie [1]). Trudno się jednak dziwić, że u nas tymczasem jest—inaczéj. Dr. K. bowiem występuje przed publicznością polską i francuską z teoryami, które mają sprowadzić zasadniczą zmianę, można powiedziéć nawet — przewrót w dotychczasowych poglądach na początki i dzieje rytmiczności w sztukach „muzycznych“ (poezyi, muzyce i tańcu), reformuje on naukę rytmiki i stara się zwrócić takową na nowe tory, przy których dojście do prawdy historycznéj byłoby łatwiejszém. Tymczasem, co tu reformować w naszéj literaturze rytmicznéj, skoro wiadomo, że porównawczy sposób badania form wersyfikacyjnych znajduje się nawet na zachodzie jeszcze prawie w kolebce, u nas zaś do niedawna żadna gałąź wiedzy filologicznéj nie była tak mało uprawianą, jak właśnie metryka wogóle? Wszak dopiéro w przeszłym roku doczekali-

[1]) Zob. choćby obszerną recenzyą, zamieszczoną przez V. Henry w tygodniku „Revue critique“ Nr. 39 za r. 1889.

śmy się oryginalnego podręcznika metryki łacińskiéj i greckiéj (M. Sasa). Niżéj podpisany nie może na tém miejscu wdawać się w szczegółowy rozbiór wszystkich punktów teoryi dra K. i pisać ich wyczerpującéj oceny, ważność bowiem poruszonych przez autora kwestyi wymagałaby wielu kart rozbioru. O ile jednak starczy miejsca i sił, pragnąłbym przed czytelnikami „Ateneum" zdać chociaż w krótkości sprawę z poglądów naszego uczonego.

Główna treść i osnowa badań rytmicznych dra K. jest mniéj więcéj następująca. Uczucie poetyczne w człowieku jest rezultatem długiéj umysłowéj kultury, a wiersz jest wytworem sztuki w całém znaczeniu tego wyrazu; ani wiersz, ani śpiéw, ani taniec nie powstają w jakiémś społeczeństwie same przez się (*spontanément*), jako wynik, że tak powiem, naturalnéj konieczności, lecz zawdzięczają swoje pochodzenie świadoméj wynalazczości pojedyńczych, wyjątkowo uzdolnionych osób; rola zaś szerszych tłumów polega tylko na naśladowaniu i konserwowaniu rzeczy przyswojonych. Jeżeli to ogólne założenie zestawimy z danemi historyi, to jakiż wniosek stąd wyniknie? Oto, ponieważ czasy przedhistoryczne ludów aryjskich były najprawdopodobniéj epoką barbarzyństwa czyli braku wszelkiéj kultury umysłowéj, ponieważ daléj pozytywnych dowodów istnienia wspólnéj poezyi aryjskiéj wcale nie posiadamy, wreszcie ponieważ pierwsze próby wersyfikacyjne u nowożytnych narodów europejskich datują dopiéro z czasów, kiedy te narody już się zetknęły ze światem grecko-rzymskim — więc stąd autor nasz wnosi, że ani ogólna aryjska forma wiersza nigdy nie istniała, ani też nowoczesne narody europejskie oryginalnych, tubylczych (*autochthones*) form metrycznych nie posiadają. Pierwsi wierszotwórcy zarówno francuscy, jak i niemieccy, włoscy i angielscy, hiszpańscy i skandynawscy, polscy i serbscy — nie przyoblekali swoich utworów w takie kształty wersyfikacyjne, któreby już przedtém mogły być w użyciu ludu prostego, jako wytwór miejscowy, samodzielny, lecz naśladowali jedynie średniowieczne rytmy łacińskie lub romańskie. Co więcéj, nietylko wszelkie nowoczesne formy wierszowe, ale nawet muzyka nasza powstała sposobem mniéj lub więcéj uczonym: te sztuki piękne upowszechniły się niegdyś wśród nowożytnych narodów albo dzięki działalności pojedyńczych wyjątkowo ukształconych ludzi, albo też dzięki propagandzie organistów i zakrystyanów, wędrujących po kraju.

Rzecz oczywista, że teorya taka staje w sprzeczności z powszechnie przyjętemi poglądami nowszych uczonych, według których nietylko najznakomitsi poeci staro-greccy udoskonalali jedynie formy wiersza, rozpowszechnione już u ludu, i wprowadzali je do literatur

kunsztownéj, ale i z pośród innych narodów np. klasyczni Rzymianie posiadali niegdyś swoje własne, choć nieokrzesane wiersze „saturnijskie“, a wiersz, dajmy na to, w najdawniejszych pomnikach poezyi staro-niemieckiéj był specyficznym wytworem ludów germańskich; wiadomo także, że narody europejskie posiadają mniéj lub więcéj bogatą poezyą ludową i nikomu zapewne dotychczas nie przychodziło na myśl twierdzić, jakoby np. poezya serbska zawdzięczała swoje pochodzenie wpływom obcym. Otóż dr. K. dowodzi, że zaznaczone tutaj nowoczesne poglądy mają źródło jedynie w „miłości własnéj narodów“ (*l'amour-propre national*) i w nieprzebrzmiałych jeszcze wpływach romantyzmu; wobec jednak świadectw historycznych, poglądy te ostać się nie mogą, i rzetelna nauka musi je odrzucić jako fałszywe. Narody europejskie nie są wprawdzie upośledzone od natury, możeby i wytworzyły kiedyś samodzielnie coś rzeczywiście oryginalnego; na nieszczęście jednak dla naszéj miłości własnéj, wystąpiliśmy na scenę dziejową dopiéro po Grekach i Rzymianach, i ci przyczynili się do powstania i rozwoju naszéj wersyfikacyi i muzyki w większym stopniu, aniżeli nasze zdolności przyrodzone; stąd oryginalność nasza na każdém polu jest tylko względną. Taką jest myśl przewodnia badań dra K., oś, około któréj obracają się wszystkie jego wywody i rozumowania; w całéj jego teoryi jest to punkt najważniejszy.

Zabierając się teraz do szczegółowego zbadania kolei, jakie przechodziła rytmiczność u ludów europejskich, autor przedewszystkiem twierdzi, że starożytni Grecy byli jedynymi „wynalazcami“ prawdziwego rytmu w poezyi. Jak u innych narodów, tak i u Greków najpierwotniejszą formą wiersza były proste zdania, używane w modlitwach i hieratycznych formułach, które na razie mogły się znacznie różnić pomiędzy sobą pod względem długości. Ponieważ jednak najważniejszą zasadą estetyczną w sztukach pięknych jest, według autora, „zrównanie części“ (*l'égalisation des parties*), więc w następném stadyum rozwoju wersyfikacyi człowiek dążył do tego, ażeby zdania te, o ile można, wyrównać co do ich rozciągłości; kiedy się zaś nauczono rozróżniać w języku wyrazy i zgłoski, wtedy postarano się, ażeby naprzód zdania wierszowe zawierały w sobie jednakową liczbę słów i nareszcie — jednakową liczbę zgłosek. Jakkolwiek tego rodzaju wersyfikacya nie może być nazwana prawdziwie rytmiczną, to jednak musiała ona niegdy istniéć i u Greków, dopóki wreszcie „jakiś bystry i twórczy umysł“ (*un esprit sagace et créateur*) nie zrobił spostrzeżenia, że prawidłowe luzowanie się w wierszu zgłosek długich i krótkich które istniały w języku greckim, może się bóstwu bardziéj podobać: dzięki zastosowaniu téj nowéj zasady zostały „wynalezione“ tak zwane stopy

rytmiczne i zarazem powstała znana nam wszystkim iloczasowa memetryka grecka. Przy badaniu i objaśnianiu zjawisk téj metryki, nowożytni filologowie-klasycy używają bardzo często wyrazu *ictus*, rozumiejąc pod nim wzmocnienie głosu na pewnych sylabach. Otóż dr. K. powstaje stanowczo przeciwko téj teoryi „iktycznéj“ i dowodzi na wielu miejscach swojéj pracy, że „ikt głosowy“ ani w nowoczesnéj wersyfikacyi i muzyce nie istnieje, ani w starożytności nie mógł mieć żadnego zastosowania, wszystkie bowiem świadectwa przemawiają za tém, że u Greków i Rzymian *ictus* był jedynie znakiem taktowym, wybijanym ręką lub nogą: to jest właśnie drugi najważniejszy punkt w badaniach naszego autora. Co się tyczy muzyki greckiéj, to takowa wzięła początek z samych akcentów języka, które pierwotnie stanowiły jedyny rodzaj melodyi u Greków. Późniéj muzyka rozwinęła się jako sztuka osobna, a abstrahowane z niéj prawidła rytmu sprowadziły dość ważną zmianę w systemie wersyfikacyi, nadawszy prawo obywatelstwa i takim postaciom, które odpowiadały wymaganiom oderwanéj teoryi (muzycznéj), ale nie były rytmami w pierwotném znaczeniu (jako metra czyli uporządkowano wiersze). W takim stanie metryka grecka przeszła do Rzymian. Kiedy iloczas w językach klasycznych zaginął, wtedy poeci średniowieczni poczęli naśladować formy starożytne o tyle, że wierszom swoim nadawali tradycyjną liczbę zgłosek i zatrzymywali cezurę, ale wewnątrz wierszy nie zachowywali jakiejś prawidłowości stóp, wskutek czego wiersze ich były „rytmami“ jedynie o tyle, o ile odpowiadały abstrakcyjnym pojęciom rytmu muzycznego. Co się tyczy takich właściwości wersyfikacyi średniowiecznéj, jak rym, alliteracya, przestrzeganie prawidłowych spadków rytmicznych tylko na końcu wierszy i przed cezurą, to powstały one głównie pod wpływem łacińskiéj retoryki czyli teoryi wymowy. Tym więc sposobem autor nasz obala hypotezę najgłośniejszego badacza początków wersyfikacyi średniowiecznéj — prof. Wilhelma Meyera (z Getyngi), który utrzymuje, że pierwsi poeci chrześciańscy zapożyczyli formę swoich utworów od ludów semickich. W końcu dr. K. dowodzi, że wszystkie formy wersyfikacyi romańskiéj, nie wyłączając takich, jak ballada, sonet, rondo, romansa — powstały przez naśladowanie wzorów poezyi kościelnéj (wierszy jednopostaciowych i sekwencyi). Podobnież najdawniesi wierszotwórcy germańscy nie przyoblekali swoich utworów w szatę jakichś wierszy miejscowego pochodzenia, tubylczych i oryginalnych, lecz starali się jedynie o odtworzenie średniowiecznych wzorów łacińskich. Wreszcie, co się tyczy akcentu, to autor nasz twierdzi, że poetom średniowiecznym (łacińskim) akcent

służył tylko do odszukania końcowych zgłosek długich, a u nowożytnych narodów ma on tylko charakter melodyjny.

Starałem się streścić, o ile można, najdokładniéj poglądy d-ra K., gdyż tym sposobem czytelnikowi będzie może najłatwiéj osądzić, jak wielkiém było jego przedsięwzięcie, i jak ważne kwestye rozbiéra on w swoich „Badaniach.“ Praca jego jest bodaj czy nie pierwszą poważną próbą wykazania wewnętrznéj łączności pomiędzy wersyfikacyą różnych narodów na podstawie sumiennego badania świadectw historycznych, z uwzględnieniem charakteru samych języków i praw psychologii. Rozumowania naszego uczonego mają pewien odcień filozoficzny i historyozoficzny, przytém jednak stara on się ani na chwilę nie spuszczać oka z faktów rzeczywistych. Jeżeli zaś przy objaśnieniu zjawisk rytmicznych dochodzi czasem do wniosków wręcz przeciwnych dotychczasowym teoryom, to nie robi tego przez naciąganie faktów, lecz jedynie przez zastosowanie nowéj metody i odmienne wyzyskanie materyału, którym operowali już i inni uczeni. Można téż śmiało powiedziéć, że „Badania“ d-ra K. są ważnym, niepospolitym nabytkiem nietylko dla naszéj literatury naukowéj, ale że i na zachochodzie poglądy jego nie przejdą zapewne bez śladu. Próby organicznego powiązania różnych zjawisk rytmicznych zasługują na całkowite uznanie, rozróżnienie dwóch prądów rytmicznych w starożytnéj Grecyi jest słuszne, pogląd na nowoczesną muzykę świecką i kościelną, i rozróżnienie dwóch typów w śpiewie liturgicznym jest także, według mojego mniemania, zupełnie trafne, z hypotezą W. Meyera autor rozprawił się dobrze,—co więcéj, nawet w tak drażliwéj i trudnéj kwestyi, jaką jest „tubylczość“ nowożytnéj muzyki i wersyfikacyi i rola rytmicznego „iktu,“ — pogląd d-ra K. zasługuje na uwzględnienie, choć pewne zastrzeżenia i ograniczenia są tu konieczne. Zresztą niepodobieństwem jest wykazywać tutaj wszystkie miejsca, w których poglądy autora wzbudzają wielkie zajęcie i zmuszają do głębszego zastanowiesię nad poruszonemi kwestyami.

Ponieważ własne (*qualiacumque sunt*) zapatrywania pragnę wyłożyć gdzieindziéj, więc na tém miejscu nie będę wyliczał wszystkich szczegółów, w których na zdanie sz. autora całkowicie zgodzić się nie mogę. A szczegóły takie są, i dr. K., jakkolwiek sam przekonany o prawdziwości swoich twierdzeń, bynajmniéj nie łudzi się, że hypotezy jego zostaną przyjęte bez protestów. Oto np. samo uzasadnienie i określenie rytmu w słowie ludzkiém, jak je czytamy u naszego autora, choć jest może głębsze i zrozumialsze niż gdzieindziéj, wydaje mi się jeszcze nie zupełnie kompletném: brak mu żywiołu pamięciowego albo raczéj społecznego, na który co prawda i inni teoretycy nie zwra-

cają należytéj uwagi, o którym jednak już starożytni wiedzieli. Autor najsłuszniéj wciągnął do swoich badań teorye starożytnych retorów; pomimo tego jednak zdaje mi się, że stosunek mowy wiązanéj do prozy zasługiwałby na jeszcze szersze uwzględnienie. Co się tyczy owéj rodzimości i tubylczości naszéj wersyfikacyi i muzyki, to teorya d-ra K. stoi w niejakiéj zgodzie z kierunkiem tegoczesnéj nauki, nakazującym przedewszystkiém poszukiwać wszędzie wzorów, źródeł i wpływów; uczony nasz jednak poszedł w tym kierunku chyba nieco za daleko, wydając ogólny sąd już nie o pojedyńczych osobistościach, ale o całych narodach,—co jest kwestyą niezmiernie zawiłą. Prócz tego zdaje mi się, że teorya powstawania wierszy, jak ją przedstawia dr. K., jest cokolwiek może za sztuczną; jeżeli samodzielne utworzenie wiersza jest dla człowieka rzeczą zbyt trudną, jak wykazuje nasz uczony, to dzieje i praktyka dowodzą, że naśladowanie i odtworzenie wzorów obcych bywa niekiedy sprawą bodaj czy nie trudniejszą. Rzecz zaś oczywista, że jeżeli najdawniejsze wiersze germańskie były tylko naśladowaniem średniowiecznéj wersyfikacyi łacińskiéj, to o rodziméj, oryginalnéj formie wiersza Niemcy nie mogą nawet mówić, sztuczność bowiem i obcość późniejszych form jest powszechnie znana i nie ulega żadnéj wątpliwości. Wobec tego jednak, że starodawne „*Knittelverse*“ z pewnemi modyfikacyami utrzymały się wśród ludu i u niektórych poetów aż do dziś dnia; możnaby zrobić zapytanie: czy najdawniejsi wierszotwórcy niemieccy nie nadali swoim wierszom mimowolnie cechy swojskiéj, tubylczéj? Bądź co bądź, szan. autor dobrze wié, że pod względem tubylczości inaczéj musimy oceniać wersyfikacyą Otfryda z Wissemburga, a inaczéj znowu metrykę Opitza lub Klopstocka.— O polskim wierszu trzynastozgłoskowym dr. K. wyraża się okolicznościowo (*Essai comp.*, str. 12), że jest on niewolniczo skopiowany (*calqué*) z rytmicznego wiersza łacińskiego. Mnie jednak sprawa ta przedstawia się trochę inaczéj. Wiadomo, że przed Trediakowskim i Łomonosowem w ruskiéj literaturze panowała przez niejaki czas „sylabiczna“ wersyfikacya polska. Otóż, jeżeli zwrócimy uwagę na trzynastozgłoskowy wiersz w satyrach Kantemira, to zobaczymy, że wiersz ów, mający być naśladowaniem trzynastozgłoskowca polskiego, wygląda właśnie jak zupełna kopia rytmicznych wierszy łacińskich, trzynastozgłoskowce zaś Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, podobniejsze są w swéj budowie do znacznéj liczby wierszy saturnijskich, aniżeli do wierszy średniowiecznych. Co się wreszcie tyczy „iktu“ rytmicznego, to w istocie trzeba podziwiać odwagę naszego autora, który pod tym względem nie zawahał się zająć stanowiska tak niezależnego i niezgodnego z powszechnie przyjętemi poglądami. Z kwestyą

tą niepodobna załatwić się tutaj w paru słowach. Przy wygłaszaniu utworów homerycznych „ikt głosowy“ miał zapewne niejakie zastosowanie, gdyż inaczéj trudno sobie objaśnić niektóre zjawiska prozodyjne w Iliadzie i Odyssei (skracanie długich końcowych samogłosek w *tezie*, czyli słabéj części taktu i przedłużanie krótkich zgłosek w *arsis*). Przy śpiewaniu utworów lirycznych np. ód Pindara „ikt głosowy“ mógł nie występować wcale; dla nas jednak jest on prawie niezbędny, gdyż inaczéj w czytaniu takich utworów człowiek nowoczesny nie potrafi utrzymać żadnego rytmu. Wyobraźmy sobie zresztą Greka klasycznéj epoki, dorabiającego tekst np. do melodyi znanych naszych pieśni kościelnych: „Twoja cześć, chwała“ i „Gwiazdo śliczna, wspaniała:“ do pierwszéj pieśni musiałby on użyć samych zgłosek długich, do drugiéj — stóp jońskich (◡◡—— i ◡◡◡). Gdyby teraz owe melodye zaginęły (a tak się właśnie stało ze wszystkiemi melodyami klasycznemi), a my zechcielibyśmy przy czytaniu tekstów odtworzyć rytm zaginionego śpiewu, to w pierwszéj pieśni (odnoszącéj się do *cantus planus*) „ikt głosowy“ byłby dla nas zgoła zbyteczny; w drugiéj jednak pewne wzmocnienie głosu na sylabach długich posłużyłoby nam tylko do lepszego odtworzenia rytmu w nieistniejącéj melodyi. Żeby nowoczesnéj muzyce „ikt głosowy“ był zupełnie obcy, na to chyba się muzycy nie zgodzą: jakież bowiem znaczenie będą miały wtedy tak zwane mocne i słabe części taktu? Jedném słowem, ażeby dojść do zupełnie zadawalających rezultatów, tyczących się „iktu,“ potrzebaby rozpatrzéć osobno każdy rodzaj utworów poetycznych i sposób ich wygłaszania tak w starożytności, jak i w czasach nowszych. Zdaje mi się także, że sz. autor niesłusznie odmawia nowoczesnemu akcentowi znaczenia rytmicznego: wszak nawet w średniowiecznéj wersyfikacyi greckiéj i łacińskiéj akcent nie zawsze służy do odszukania jedynie iloczasu,—co łatwo sprawdzić na wierszach, mających zakończenie proparoksytoniczne.

Na tém kończę swoje uwagi o „Badaniach“ d-ra Kawczyńskiego, gdyż szczegółowy rozbiór całego dzieła jest tutaj niemożliwy. Jeden z krytyków niemieckich (E. Voigt), dotknięty cokolwieczek i tém, że autor nasz, prosząc o protekcyą p. Gastona Paris, oddał swoję pracę „na sąd nauki francuskiéj“ (Essai, str. 32),—przyznał rozebranym tutaj „Badaniom“ pewne dobre strony, nazywając jednak całość—chybioną. Sąd taki jest w moich oczach niesprawiedliwy; prędzéj możnaby powiedziéć, że główne tezy naszego uczonego mają zbyt może ogólny charakter, i że w przyszłości trzeba do nich przedewszystkiém zastosować zasadę *distinguendum*,—uwzględniając szczegółowiéj różne typy wersyfikacyi. Jeżeli więc ze względu na owe typy musimy to

i owo twierdzenie d-ra K. ograniczyć, to przez to nie o wiele zmniejszy się dla nas wartość „Porównawczych badań,“ które bądź co bądź pozostaną dla naszéj literatury pierwszą naukową i prawdziwie samodzielną pracą w dziedzinie rytmiki.

Wrocław, 12 stycznia 1890 r.

M. Rowiński.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= Rozległego wydawnictwa **Wielkiéj encyklopedyi powszechnéj ilustrowanéj**, podjętego nakładem p. Saturnina Sikorskiego, ukazał się zeszyt 1-szy, obejmujący wyrazy od *A* do *Absorbcya*. Widać z niego, że nie szczędzono starań, ażeby pod względem zewnętrznym i wewnętrznym uczynić zadość wymaganiom obecnym. Dano papier dobry, druk wyraźny, nowy (w dwie kolumny na dużéj stronicy), ilustracyami uprzytomniając wizerunki osób i gmachów, pomniki sztuki, widoki natury, wywody matematyczne i t. p., opracowaniem rzeczy krajowych obszerném i szczegółowém, uwzględniając zarówno dawne, jak i najnowsze nawet stosunki. Może ten lub ów rysunek pozostawia nieco do życzenia, może niektóre artykuły o obcych osobistościach są nieco przydługie, ale byłoby niesprawiedliwością kłaść na te usterki zbyt wielki nacisk przy samém rozpoczęciu wydawnictwa, nastręczającém tak wiele trudności. Natomiast należy oddać sprawiedliwość stronom dodatnim tam, gdzie było można okazać dbałość o istotnie dobre i rzetelne informacye, że wymienimy tylko w porządku abecadłowym artykuły obszerniéj a samoistnie opracowane: *Abbasydzi* przez p. T. Korzona, *Abecadło* przez p. A. A. Kryńskiego, *Aberacya światła* p. S. Kramsztyka, *Abrewiacye* przez p. A. Pawińskiego, *Abisynia* przez p. W. Nałkowskiego, *Absorbcya* p. J. Aleksandrowicza. Grono redakcyjne, w którego skład wchodzą przedstawiciele różnych specyalności daje gwarancyą, że pod względem naukowym nowa „Encyklopedya“ będzie zawierała informacye, zgodne z dzisiejszym stanem umiejętności. Wydawcy dbać powinni bardzo o staranną korektę, gdyż nawet drobne pomyłki (np. niewłaściwie położone cudzysłowy i t. p.) w takiém dziele, jak „Encyklopedya,“ liczyć się muszą do ujemności. Życzymy wydawnictwu jaknajszerszego rozpowszechnienia, gdyż w takim razie i rzecz sama zyska, mając możność należytego rozwinięcia się i ciągłego ulepszania. Szczególniéj téż pragnąć wypada, ażeby prenumeratorzy wytrwali w swéj chęci posiadania całości wydawnictwa i nie przyzostawali po drodze, jak to się zdarzało już nieraz.

= *Józef Kuczyński*, **Poezye. II.** (Warszawa, 1890, str. 159). Z nowym zbiorkiem utworów swoich występuje p. Kuczyński po latach kilku, w których, jak wyznaje sam, dużo przeżył i doświadczył, pozbywając się wybujałości młodzieńczéj, a zarazem i złudzeń wielu. Staje teraz przed czytelnikami chłodniejszym i rozważniejszym, ale tak samo jak dawniéj marzycielskim, w sobie i swoich uczuciach przeważnie żyjącym, myślą rozleglejszą rzadko natchnionym. Trafnie ogólny charakter swych pieśni określa autor, mówiąc, że im „dość skrawka nieba i na tém niebie gwiazdki jedynéj", że im potrzeba tylko „słowiczego głosu dziewczyny i sielskiéj przyzby, świętéj niedzieli", że one tak się wiją „pomiędzy sady i dworki małe, jak strumyk, który wokół lilie obsiadły ciche" (str. 86). Inaczéj mówiąc, są to poezye malujące usposobienie, nastrój chwilowy poety, który lubi przedewszystkiém widoki wiejskie, tęskni za życiem rodzinném, chociaż może gdyby wśród najprostszych, patryarchalnych stosunków dłużéj pobył, znudziłby się i szukał roztargnienia w szałach wielkomiejskiego zepsucia, co się mianowicie w szeregu pieśni o „Ruru" bardzo wyraźnie pokazuje. Piękne są obrazki nakreślone przez autora, jeżeli się je bierze oddzielnie, same dla siebie, lecz, że powtarzają się nieraz, że w nich rzadko kiedy błysk potężniejszy myśli widnieje, łatwo sprowadzają znużenie. Na większą kompozycyą autor i teraz jeszcze zdobyć się nie potrafił. Najdłuższy poemacik: „Mój pierwszy kochanek" ma miejsca ładne, ale ani nowéj sytuacyi, ani nowego jéj obrobienia nie przedstawia; dwoje młodych na wsi, w ogrodzie całuje się w upojeniu... Są i humorystyczne, a raczéj satyryczne obrazki, niektóre nawet zręczne („Antysemita"), lecz znać w nich wogóle trochę wymuszenia, naginania się do rodzaju literackiego, który nie leży w naturze talentu p. Kuczyńskiego. Ze spółczuciem odczytuje się wiersz „*Cupio*" streszczający się w zwrotce:

> Twórczości łaknie mój duch, jako chleba,
> Czuje, że karm ta zolbrzymi go jeszcze,
> Ale niestety! — do tego potrzeba
> Wyrwać z mych piersi powszednich nędz kleszcze.

= **Szatan** (powieść wschodnia) *Lermontowa*. Z wydania szóstego przełożył Michał Koroway-Metelicki (Warszawa, 1889, str. 35). Nowy przekład głośnego w ruskiéj literaturze poematu tém się przedewszystkiém odznacza, że zachowuje starannie miarę wierszową oryginału, nadającą mu wielką polotność i zmuszająca do zwięzłości w wyrażeniach. Tłómacz pragnął widocznie oddać wiernie nastrój, myśli i wyrażenia autora; w wielu miejscach udało mu się to niewątpliwie, ale często wymagania rymowe zmuszały go do odstępstw, które wy-

szły na szkodę poematowi. Szczególniéj cierpi na tém prześliczna w oryginale rozmowa Demona z Tamarą. Niewłaściwe użycie wyrazów, tworzenie ich dowolne (*aniołowy* zam. anielski), wtrącanie wyobrażeń dziwnie brzmiących w przekładzie obcego utworu (Demon nazywa siebie między innemi „zgasłym zniczem“); wreszcie całkiem niestosowne do sytuacyi słowa, osłabiające, a nawet unicestwiające siłę wrażenia (gdy Demon mówi: „Opuścić ciebie?... nie! téj *roli* Nie spełnię w żarze namiętności) — wszystko to razem obniża wielce wartość tłómaczenia. Rymowanie też wogóle nie należy do wykwintnych; częstokroć nawet trzeba je wprost słabém nazwać. Język wogóle nie jest wprawdzie bardzo niepoprawnym, lecz obce zwroty znajdują się w nim od czasu do czasu; wyraz np. *mierny* brany jest nieraz w znaczeniu *miarowy*, a *brodzić* używane bywa nie we właściwém znaczeniu.

= W XII tomie wydawanego w Berlinie pod redakcyą p. Jagić'a „*Archiv für slavische Philologie*“ znajdują się między innemi dwie rozprawki p. Aleksandra Brücknera, dotyczące literatury polskiéj. Jedna z nich p. n. „*Ueber die aelteren Texte des Polnischen*“ jest dalszym ciągiem sprawozdania, pomieszczonego w tomie X-ym, i zawiéra już to ocenę wydań tekstów polskich z przed r. 1550, już to własne autora przyczynki wydobyte z rękopismów (mianowicie z manuskryptu przechowującego się w bibliotece seminaryum duchownego w Pelplinie). Druga p. n. „*Polnische Literaturgeschichte; die Publicationem der letzten Jahre*“ na 23 stronach ścisłego druku, podaje zwięzły zarys ruchu na polu badań historyczno-literackich i wydań naszych pisarzy dawniejszych. W przeglądzie tym autor opiéra się cześcią na studyach własnych, częścią na ocenach podawanych w „Kwartalniku historycznym“. Widocznie śledził p. B. starannie rozwój naukowo-literacki w obranéj dziedzinie, jakkolwiek nie starał się o wyczerpanie przedmiotu, ani o równomierne jego opracowanie. Uwagi jego, zawsze bystre i jasno sformułowane, noszą na sobie raczéj cechę przygodności, niż systematyczności; na pewne strony działalności literackiéj wogóle i dzieł poszczególe zwraca większą baczność, inne milczeniem pomija. Widzi się to mianowicie najlepiéj w najobszerniejszym, jaki tu zamieścił, rozbiorze „Pisarzów politycznych XVI wieku“ prof. S. Tarnowskiego. Bądź-co-bądź, przyznać należy p. Brücknerowi wielką znajomość przedmiotu, umiarkowanie w sądach i wielką dbałość o ścisłość w wyrażeniach, o oddanie każdemu należnéj sprawiedliwości. Pozwoli jednak autor zrobić sobie uwagę, która będzie trochę *oratio pro domo*. Zazwyczaj p. Brückner notuje starannie prace innych autorów, którzy przed nim jakąś myśl wypowiedzieli, przyczém powołuje

się nie tylko na książki osobno wyszłe, ale i na artykuły, w czasopismach naukowych pomieszczone. Zdaje się jednak, że nie czytuje „Ateneum“, albo też tak pobieżnie je przegląda, iż w pamięci nie pozostają mu wspomnienia z lektury. Tak sobie tłómaczymy fakt, iż wydane przez p. Korzeniowskiego „Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznéj treści“ przyznaje Mikołajowi Rejowi, nie wzmiankując wcale, iż już w roku 1886 „Ateneum“ (tom II, str. 558—561) domniemanie to wypowiedziało i udowodnić się je starało. A nie jestto przykład osamotniony. W jednym z dawniejszych artykułów (o Janie Kochanowskim) p. Brückner podał sprostowanie tekstu w „Pamiątce Janowi Tęczyńskiemu“, nie wiedząc, że przed nim na dwa lata już to sprostowanie w „Ateneum“ zrobiono. Niepodobna tu w najzwięźlejszych nawet słowach powtarzać tego, co autor mówi o pracach historyczno-literackich: niepodobna podnosić trafnych spostrzeżeń i cennych wskazówek; ale jeden punkt ogólniejszéj natury musi tu być zaznaczony. P. Brückner w kwestyi dzielenia historyi literatury na okresy, wypowiada pogląd, iż najlepiéj byłoby przyjąć podział na stulecia, od 1500 do 1600 i t. d. Wié on, że ten podział jest sztuczny i sam porównywa go do podziału biegu rzeki według stopni długości, ale sądzi, że takie „całkiem mechaniczne“ uczłonkowanie najmniéj jeszcze jest przeciwne ciągłości rozwoju historycznego. Zdaje nam się, że byłoby to tylko zakrycie trudności, a nie ich usunięcie. Ustalenie okresów, na któreby się większość zgodziła, jest zapewne rzeczą niełatwą do wykonania; pochodzi to głównie ze stosunkowo małéj jeszcze znajomości całéj masy objawów literackich; tyle ich atoli już wyświetlono, że posługiwanie się „całkiem mechaniczném“ uczłonkowaniem dat chronologicznych jest już chyba niewłaściwém, gdyż bywało ono pierwszą, elementarną próbą uporządkowania faktów, kiedy jeszcze nie zbadano najważniejszych czynników wywierających stanowczy wpływ na rozwój ducha pewnego narodu. Z tych powodów sądzimy, że proponowany przez p. B. podział historyi literatury według stuleci jest spóźniony i nie znajdzie uznania u pracowników na tém polu, którzy będą woleli posługiwać się chociażby ułomnym układem, wskazanym przez jakąś myśl, niż prostym jedynie mechanizmem.

Sorel. **Kwestya wschodnia w XVIII wieku** (La question d'oriens, au XVIII siècle). Paryż, 1889, str. 288.

Nowa praca zasłużonego historyka francuskiego, któréj tytuł podaliśmy na czele, zajmuje się głównie pierwszym podziałem Polski i traktatem w Kuczuk-Kajnardżi. Jakkolwiek posiadamy już w powyższym przedmiocie bardzo interesujące studyum Janssena „*Zur Genesis der ersten Theilung Polens*“, nie mniéj jednak monografia Sorela może być odczytaną z istotnym pożytkiem.

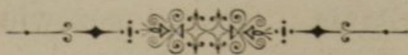
Sorel starał się zapoznać z bardzo poważnemi źródłami dziejowemi, lecz razić musi pominięcie milczeniem téj pracy Janssena, oraz dzieła Roepella *„Polen um die Mitte der XVIII Jdert“*, która pozostaje w ścisłym związku z monografią Sorela.

Kwestya wschodnia obfituje mimo to w wiele interesujących szczegółów a przedewszystkiém odznacza się starannością opracowania. Opowieść dziejowa jest jasna i przejrzysta. Negocyacye dyplomatyczne, zawiłe a skryte, odtworzył autor z precyzyą i w powabnéj formie. Portrety Kaunitza, Józefa II i Fryderyka II pruskiego, skréślił Sorel z prawdziwie artystyczném poczuciem a wzajemne spotkanie się tych mężów politycznych, ich usiłowania podejścia się za pomocą pochlebstw i wyrafinowanéj obłudy, czytają się z prawdziwém zajęciem.

Sorel dochodzi do przekonania, że Kaunitz starał się wymówić od udziału w podziałach, pomimo; że Józef II przejął zasady prawa międzynarodowego od Fryderyka II. Dla niego mała część Szląska, lub Belgrad z częścią Bośnii byłyby kompensatą wystarczającą. Tymczasem Fryderyk II przeniknął najskrytsze myśli Kaunitza i zapobiegł planom z szatańskiém mistrzostwem. Fryderyk II przewidywał wybornie, że Austrya usunąwszy się od udziału w podziałach, całe *odium* czynu zwali na Prusy i stanie się wkrótce protektorem rzeczypospolitéj. Téj konsekwencyi groźnéj w przyszłości chciał uniknąć i jak wiadomo uniknął.

Fryderykowi II przy podziałowém zadaniu przewodniczyła myśl wyrażona w zdaniu *„que j'obtienne la continuité de mes pessessions“*. Pokazuje się więc, że słynna broszura generała Gramanna, dowodząca, że Poznańskie za blisko leży Berlina, a więc musi być pruskiém, nie zawiéra nic oryginalnego, albowiem jest tylko spóźnionym aktem fryderycyańskiéj polityki. Zresztą Sorel dowodzi, że ówczesna kwestya wschodnia polegała na podziale Polski lub Turcyi i długo wątpliwém było na które z tych państw padnie złowróżbne przeznaczenie. Przedstawienie dyplomatycznych kombinacyi i zabiegów w tym celu, jest także barwne i niezmiernie ciekawe.

Jedném słowém, jakkolwiek monografia kwestyi wschodniéj poświęcona, nie wyczerpała przedmiotu, ani zdołała zebrać pełny materyał dziejowy, to jednakże przedstawia się poważnie i zajmie odpowiednie miejsce w literaturze historycznéj. *A. R.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Karnawałowa epidemia.—Ewolucya w opinii w kierunku balów. — Zasada jezuicka w krytyce i w praktyce.—Wpływ balów dobroczynnych na ofiarność ogółu.—Obrona hulanek.—Otwarcie sal zarobkowych. — Epoka Staszyca i rok 1890-ty. — Nowa ochronka przyczyną cudu.—Niepojęte lekceważenie Łodzi.—Katolicy i ewangielicy, —polacy i niemcy.—Żydzi, wpływy jakim ulegają. — Istotny powód naszéj obecności w Łodzi—w charakterze wołów roboczych.—Siła życiowa polaków i niemców.—Obojętność przemysłu warszawskiego względem Łodzi. — P. Wisnowska pionierką cywilizacyjnego wpływu Warszawy na Łódź. — Szkoła łódzka. — Urzędowe cyfry o urodzajach zeszłorocznych. — Atak na „Przegląd Pedagogiczny.“ — „Ateneum“ w charakterze spólnika napastowanéj.—Pyłki plew w garści ziarna.—Wpływ utarczek ze służbą na wychowanie. — Zgroza z powodu mycia podłóg. — Postępowość, czy konserwatyzm?

Trzeba byłoby mieć chyba bardzo szczelnie pozatykane wszystkie zmysły, ażeby się w Warszawie uchronić od wrażeń karnawałowych. Pisma, przeznaczone do codziennego użytku mieszkańców miasta, widocznie za wypadek najważniejszy życia naszego uważają bale publiczne, pół-publiczne i prywatne, naturalnie jeżeli miały zaszczyt odbyć się w salonach osób, posiadających dużo pieniędzy, to też kroniki balowe przypominają natrętne muchy, opędzić się od nich niepodobna: jakkolwiek obrócę dziennik, trafiam zawsze na jakiś szczegół karnawałowy. Karnawał widzę w podsiniałych oczach panien, słyszę w ochrypłym głosie tancerzy, ocieram się o wir usposobienia balowego, gdziekolwiek stąpię. Okazuje się, żeśmy nie tacy skłonni do zastoju, do bezwładności, jak nieraz twierdzą pesymiści. Owszem, dokonywują się ewolucye. Trzy lata temu wiele pism naszych wystąpiło zgodnym chórem przeciwko hulaszczemu uniesieniu w długie noce karnawału, mniéj więcéj wszędzie znalazło to poklask. Tymczasem dzisiaj jesteśmy widocznie innego zdania. Ci sami mężowie pióra, którzy wówczas

gromy ciskali, obecnie przyozdabiają „karneciki“ balowe natchnieniem swéj muzy. Na usprawiedliwienie ich to tylko chyba przytoczyć można, że wiersze były bardzo... nieudatne.

Trzy lata temu zwracano uwagę, że bale publiczne pochłaniają zbyt wiele pieniędzy. Argument — silny i bardzo stosowny do okoliczności. Możeby też w końcu oddziałał, gdyby balów nie osłoniła niedotykalną opieką filantropia. Nie trudno znaleźć ludzi, których nadmierna liczba zabaw nie cieszy, ale którzy jednocześnie rozwijają wielką energię w celu organizowania balu, sprzedania biletów i t. d., to jest podniecają i potęgują zjawisko ujemne, dlatego że je osłania cel sympatyczny, pomoc biédnym matkom i dzieciom, szwalniom i t. d. Okazuje się, że łatwiéj urągać jezuitom za zasadę: cel uświęca środki, niż ustrzedz się jéj praktykowania.

Złe nie ogranicza się na tém. Dzięki balom dobroczynnym zaniknąć może zupełnie wśród społeczeństwa, przynajmniéj w Warszawie, ofiarność. Przyzwyczailiśmy się, że najłatwiéj zdobyć pieniądze od ogółu na rzecz potrzebną, urządziwszy balik, zabawę, loteryę, i w ten sposób wszelkie niemal potrzeby zaspakajamy. Nie przeczę, że to droga najłatwiejsza, że prędzéj sprzedać można bilet za dwa ruble, niż dostać wprost pół rubla, ale czyż to racya wystarczająca? czy zawsze trzymać się należy dróg najłatwiejszych? Oczywiście, każdy kupuje bilet albo dlatego, że go jakaś nadobna gospodyni zmusi swą prośbą natrętną, albo dlatego, że się chce wytańczyć i wcale nie ma w pamięci, że dał jakiś grosz nie na osobistą potrzebę—ofiarności w tém wcale się niema. A jednak ona dla zdrowia publicznego istniéć musi. Porzuciwszy wątpliwéj wartości moralnéj zwyczaj balów dobroczynnych, osoby, zajęte załatwianiem potrzeb ogółu, kołatałyby do jego kieszeni w sposób inny: perswazyą, naciskiem opinii, może nawet wymyślaniem, a z czasem ludzie przyzwyczailiby się dawać pewną kwotę nie na przybranie własnéj postaci i nie na zadowolenie własnego żołądka.

Pogląd mój na bale publiczne wyłuszczałem przed pewnym mężem statecznym w nadziei, że mi potakiwać będzie. Okazało się, żem trafił na obrońcę hulanek. Cytował mi Mantegazzę i jakiegoś filozofa niemieckiego, którego nazwiska nie pomnę, na dowód, że wesołość i zabawa potrzebne są do szczęścia. Nie potrafił mi tylko zacytować, w jakim tomie i w jakim rozdziale praw natury, czy ustaw społecznych, napisano, żeśmy powinni w tym roku starać się o szczęście.

Słyszałem dowodzenia, iż nie ma co powstawać na szał karnawałowy w Warszawie, gdyż w Paryżu, w Wiedniu i tak daléj, balów jest nie mniéj. Przypomina mi to bajkę o żabie nastawiającéj nogę kowalowi. To *nie mniéj* właśnie nas potępia.

Znowu pewien bardzo szanowny dziennikarz zgodził się na moje uwagi, zgodził się, że dzienniki brukowe wiadomościami pustemi o balach podniecają niepożądane słabostki, szerzą zarazę moralną, ale jednocześnie jako *ultima ratio* przytoczył wymagania ogółu. Zapewne: *omne animal id agit ut se conservet*, pomimo to stanął mi na myśli proces wadowicki, gdzie ostatecznie dochodzono tylko faktu korzystania z istniejących prądów i słabostek wśród szerokiego ogółu.

Po wieloletnich oczekiwaniach dożyliśmy nareszcie chwili otworzenia Sal zarobkowych imienia i z zapisu Stanisława Staszyca. Sale otworzono przy szpitalu wolskim. Mają one na celu dać przytułek i zarobek 30 mężczyznom i 30 kobiétom, którzy wskutek bądź czasowego osłabienia po chorobie, bądź stałéj słabości, kalectwa i t. d. stanąć do konkurencyi z silnymi i zdrowymi rzemieślnikami nie są zdolni, ale którzy pracować chcą i mogą, a do żebractwa wstręt czują. Instytucya ta udzieli mieszkania, pożywienia i nawet, w razie potrzeby, ubrania; wyroby sprzedawać będzie, płacąc za nie sumę umówioną.

Byłoby, myślę, stratą czasu wykazywać, że instytucya taka jest bardzo potrzebną, że ujmie trochę demoralizacyi, że umniejszy nieco próżniactwa przymusowego, łzę niejedną otrze, podtrzyma może i od wieloletniéj nędzy uchroni jaką rodzinę. Jeżeli kto, to przecie chyba ludzie pozbawieni sił nie przez własne winy, mogący pracować i nawet do sił normalnych powrócić, przedewszystkiém znaleźć powinni w chwili zachwiania się ramię społeczeństwa. To pewnik. Znał go Staszyc tyle lat temu, blisko trzy ćwierci wieku, gdyż w 1824 roku fundusz na sale zarobkowe złożył. We wszystkich krajach istnieją takie zaradcze instytucye. Myśmy tymczasem przez lat 70 blisko byli cierpliwi i nie pozbawiliśmy czcigodnego kapłana zaszczytu nietylko dania pomysłu i pieniędzy, lecz nawet założenia w r. 1890 *pierwszego* przytułku. Możnaby może wysnuć stąd pytanie, a właściwie zadanie na regułę trzech prostą: jeżeli po latach 65 uszliśmy tak daleko, że straciliśmy już z oczu potrzeby widziane przez Staszyca, to do jakiego plemienia afrykańskiego podobni będziemy za lat 100 (jeżeli nb. plemiona te nie postąpią w cywilizacyi pomimo opieki niemieckiéj)?

Dręczy mię nieco obawa pomyłki: może nie dlatego Staszyc wyścignął wnuków swego pokolenia, że my nie troszczymy się o potrzeby społeczne, ale dlatego, że nikt nie wpadł na myśl urządzenia kilku balów na sale zarobkowe i pieniędzy nie było. Bardzo być może.

To téż trochę mnie niepokoi przyszłość projektowanéj ochronki przy ulicy Mazowieckiéj. Nie było takiego balu. Sprawa ochronki stoi co prawda lepiéj, niż sale zarobkowe, bo wymaga mniéj pieniędzy, a przedtém już dano dowód zrozumienia potrzeby i nawet podobno pa-

rę lat temu były pieniądze, było wszystko przygotowane, ale nie było... kierowniczki. Trochę to, co prawda niewiarogodne; sam bym też może nie wierzył, gdyby nie to, że mnie upewniły usta, nie pozwalające na wątpliwość. Wygląda to na cud, t. j. na zjawisko przeciwne znanym i niewątpliwym prawom przyrody. Gdyby się zdarzył taki wypadek: wlewamy wszystkie pierwiastki przez chemię wskazane i nie otrzymujemy połączenia przepowiedzianego, które tąż samą drogą otrzymywano już tysiące razy. Gdybyśmy nie chcieli uciekać się do wiary w cuda, musielibyśmy chyba przypuścić, że materyały przez nas użyte udają tylko czyste pierwiastki, w istocie zaś są falsyfikatami. Z ochronką zupełnie rzecz stoi tak samo. Mamy już w Warszawie ochronek kilkanaście, jest więc gdzie się nauczyć sztuki kierowania taką instytucyą. Posiadamy wiele panien, wdów a nawet mężatek, które upewniają nas, że goreją żądzą p r a c y dla społeczeństwa, ba, dają dowody, jadą na uniwersytety, szukają tych pól, które leżą odłogiem; wreszcie wśród takich osób współczucie dla klas ubogich jest obowiązujące, jak paragraf kodeksu. Wszelkie kręcenie osóbek w sprawach społecznych tém jest usprawiedliwiane, i oto, mając wszystkie pierwiastki... nie otrzymujemy kierowniczki dla ochronki na ulicy Mazowieckiéj, więc... albo cud, albo materyał sfałszowany, innego wyjścia niestety nie ma.

Obecnie kierownictwo powierzono pannie Maryi Weryho, znanéj pionierce metody froeblowskiéj w Warszawie. Ale znowu potrzeba pieniędzy, a balu, jak powiadam, nie urządzono. Teraz wypompowano kieszenie na zabawy, potém pójdą kwesty wielkanocne, czyli rozrywki postne, i kiedyż tu i od kogo dostać grosz jaki na ochronkę! Dziwna niepraktyczność. Bodaj czy nie wypadnie czekać jeszcze parę lat, wtedy będzie może kierowniczka, będą pieniądze, ale nie będzie czego innego. Z wielką też niewiarą w dobry skutek powtarzam tu adres, pod którym składki przesyłać lub zanosić należy: p. Szymon Krzeczkowski, opiekun ochronek, ul. Smolna nr. 6.

Można nawet przypuszczać, że Warszawa, a może kraj cały, nie wierzy, aby się coś wielkiego bez udziału balów dobroczynnych stać mogło. Bodaj nawet czy nie stąd pochodzi lekceważenie Łodzi. Nie pracowały na nią nogi nasze, więc co tam nadzwyczajnego być może! Jakże bo inaczéj wytłómaczyć taki dziwny wypadek, że np. „Encyklopedya Powszechna“ w r. 1884 poświęca miastu temu zaledwie kilkanaście wierszy i szacuje je na 36,000 mieszkańców. Tymczasem—wedle obrachunku, opartego na księgach urzędowych, wraz z kilku okolicznemi wioskami, które niezadługo zostaną pochłonięte, przez rozrastające się po amerykańsku miasto, a dziś już stanowią z niém jeden nie-

podzielny organizm przemysłowy—Łódź liczy 200,000 mieszkańców, a może i więcéj. Jestto więc kolos, na który należy mieć zwróconą baczną uwagę. Taka wielka masa posiada zawsze dużą moc przyciągającą, mrowisko ludzkie łatwo przetworzy się w ognisko wpływu cywilizacyjnego, jaki miasta wogóle wywierają. Obok Warszawy stanie konkurentka, a co z sobą przyniesie? Naturalnie wiedzieć nie możemy, bo widocznie po za epokę Staszyca nie uda nam się posunąć, wtedy liczba 36,000 była może bliższą prawdy.

Cyfrę 200,000 zaczerpnąłem z „Dziennika Łódzkiego“ z bardzo ciekawego artykułu w n-rze 32 r. b. Omawia on ruch ludności w tém mieście w latach od 1865—1889. Ponieważ jednodniowego spisu ludności w Łodzi nigdy nie było, więc do rezultatów liczbowych dochodzić można tylko ubocznemi drogami. Autor artykułu wydostał od urzędników stanu cywilnego liczbę urodzeń, zejść i małżeństw dla trzech najliczniejszych wyznań: katolickiego, ewangelickiego i żydowskiego; prócz tego obliczył ilość śmierci w każdym roku, przypadającą na 100 urodzeń. Mamy więc dla każdego wyznania 4 rubryki, pozwalające dosyć wyraźnie wnioskować o przyroście i o zmianie stosunku różnych części ludności.

W r. 1865 liczba katolików musiała być mniéj więcéj taka sama jak ewangelików, gdyż wszystkie trzy pozycye — urodzenia, zejścia i małżeństwa — wykazują prawie téż same cyfry. Żydów znowu musiało być trzy razy mniéj, niż tych i tamtych, bo taki prawie iloraz otrzymujemy w każdéj rubryce, czyli stanowili oni $1/6$ część ludności (ściśle 17,3%). Liczby, podane w r. 1876 (potém idą już lata bez opuszczeń aż do roku zeszłego), dla katolików we wszystkich trzech rubrykach są 2 razy większe niż w r. poprzedzającym (1865), powiększenie zaś ewangelików daje liczbę 1 $1/2$. Odrzuciwszy drobne wahania, powiedzieć można, że przyrost z roku na rok dla obu wyznań jest stały: u katolików zawsze większy, u ewangelików—mniejszy; gdy porównamy rok 1865-ty z 1889-ym, to się okaże, że i liczba urodzeń i zejść i małżeństw jest wśród katolików 5 razy większą, czyli liczba katolików w ciągu lat 24 wzrosła 5 razy. U ewangelików znowu trzy razy otrzymujemy mnożnik 3, czyli liczba ewangelików w Łodzi wzrosła 3 razy.

Do obliczenia ogółu ludności autor artykułu bierze zasadę podaną w „Ateneum“ przez p. Kłobukowskiego, że wśród ludności mieszanéj, polskiéj z niemiecką, 45 urodzeń przypada na 1,000 mieszkańców. Ponieważ zaś liczba urodzeń katolików i ewangelików razem doszła do 8,262, więc ogólna liczba chrześcian tych dwu wyznań wyniesie 183,000 przeszło, zaś katolików przypadnie na to 109,000 (wedle mego

obrachunku, biorąc stosunek katolików do ewangielików 5 : 3, wypadnie 115,000 przeszło). Ponieważ zaś wedle danych z parafii wśród katolików Polacy stanowią 80%, zaś 4 do 5% ewangielików należy do narodowości naszéj, więc Polaków-chrześcian liczy Łódź przeszło 90 tysięcy, co z Polakami-żydami utworzy nieco tylko mniéj niż połowę mieszkańców. Autor, świadomy warunków miejscowych, stwierdza, że żydzi tamtejsi coraz bardziéj wyłamują się z pod wpływu niemieckiego, nie dodaje tylko pod czyj się dostają.

Co do stosunku procentowego żydów, to w rubrykach, im poświęconych, nie ma już téj prawidłowości, jaką spotykaliśmy u chrześcian. Zestawiając dwa skrajne lata, okaże się, że procent ich z 17% spadł do 11%. Czy to jednak na prawdę—nie wiadomo. Autor z „Dziennika Łódzkiego“ również za to nie ręczy.

Szybszy przyrost ludności polskiéj niż niemieckiéj pochodzi stąd, że w r. 1865 przemysł łódzki był warsztatowy i wymagał majstrów-rzemieślników, których naturalnie (bo w znacznéj części z konieczności) sprowadzano z Niemiec. W miarę rozwoju przemysłu fabryczno-maszynowego potrzebny był robotnik w wielkiéj liczbie bez kwalifikacyi—napłynęła też ludność okoliczna krajowa. Czyli, zmiany w sferach górnych, wśród przedstawicieli kapitałów i wogóle własności z liczb tych wcale nie widać, tu stosunek mógł nie uledz żadnéj zmianie i zdaje się rzeczywiście nie uległ. Okoliczność ta oczywiście bardzo osłabia uciechę z polonizacyi czysto liczebnéj Łodzi. Powołano nas tam jako wołów roboczych, których praca tuczy chrześcian i nie-chrześcian. Pomimo to jednak obecność nasza w Łodzi w jakimkolwiek charakterze jest bardzo pocieszającą.

Zwrócę jeszcze uwagę, że liczba śmierci na sto urodzeń wśród katolików i ewangielików jest niemal jedna i taż sama, i wyjąwszy lata epidemii, stała prawie (56 — 61). Co więcéj, mała różnica w ciągu ostatnich lat 5-ciu wypada na korzyść katolików. Okoliczność ta nabierze tém większéj wagi, gdy się przypomni, iż katolicy stanowią ludność uboższą. Jeżeli nie działają tu jakieś okoliczności szczególne, to objaw taki ma doniosłe znaczenie, Świadczyłby o przewadze życiowéj z naszéj strony. Coś podobnego wykazuje nam również statystyka pruska w Poznaniu.

Stosunek zejść do urodzeń wśród żydów jest bardzo niestały, waha się między 29 — 93 i nie jest bynajmniéj równoległy do zmian wśród chrześcian, co najlepiéj wykazuje, że liczbom tym niepodobna w żaden sposób ufać.

Myślę, że czytelnik nie weźmie mi za złe przydługiego zatrzymania się na Łodzi, zważywszy z jednej strony na znaczenie tego mia-

sta w teraźniejszości i w przyszłości dla kraju naszego, i na lekceważenie niesłuszne, jakie Warszawa okazuje względem niego. Nietylko lekceważą ją źródła naszéj wiedzy krajoznawczéj, toby było jeszcze mniejsza, ale Warszawa jako siła wytwórcza niezadzierzgnęła węzła, jaki łączyć winien dwa te ogniska. Niedawno osoba, przybyła tylko co z Łodzi, opowiadała mi, że fabryka wyrobów platerowanych Fraget'a, która rozrzuciła sklepy swoje po wszystkich znaczniejszych miastach wschodu, dotarła po za Kaukaz do Tyflisu, w Łodzi nie ma lub do ostatnich dni nie miała składu wyrobów swoich. Opowiadający upewniał mnie, że wcale nie dzieje się to wskutek braku popytu na wyroby warszawskie, gdyż o ile one tam przychodzą, znajdują dobre przyjęcie. Tak się stało nawet z fabrykami żelaza, nigdy nie probowano zaopatrywać Łódź w maszyny warszawskie parowe; dopiéro teraz któraś fabryka zrobiła krok pierwszy, i ten się powiódł całkowicie i t. d. i t. d.

Toż samo w sferach innych. Nie widać żadnego usiłowania ze strony Warszawy rozciągnięcia wpływu nad Łodzią. Piśmiennictwo polskie nie interesuje się zbiorowiskiem 100,000 Polaków, obrazy obwożone gdzieindziéj, rzeźby i t. d. Łódź omijają; nie słychać o prelekcyach polskich, koncertanci téż nie tłumnie ją odwiedzają. Istnieje teatr polski—łatwo zrozumiéć, że pożądaném jest bardzo, aby się tam utrwalił, rozwinął, doszedł do doskonałości, któraby pozwoliła z Niemcami konkurować. Aktorzy warszawscy, nie jeździli tam na gościnne występy, nie pospolitowali się na scenie z młodszą bracią prowincyonalną, coby scenę podniosło; jeżeli nawet który raczył pokazać się w Łodzi, występował *solo* z porankami, koncertami i t. d. Dopiéro panna Wisnowska dała dobry początek, grała w Łodzi w teatrze, zapełniała sale po brzegi, zbierała tryumfy. Przykład poskutkował, zaraz po niéj udała się panna Marczello. Wszelki węzeł pomiędzy Warszawą a Łodzią jest wielce pożądany.

Jeszcze jedna uwaga. Łódź posiada jedyną w kraju szkołę techniczną ogólną. I dodać trzeba, że szkoła ta jest bardzo dobra. Gdyby o niéj ludzie wiedzieli, nie jednemu ojcu spadłby może kłopot z głowy, co zrobić z synem, a z drugiéj strony, krajowy pierwiastek w téj szkole zdecydowałby może o narodowości i kierunku przyszłéj działalności niejednego zdolnego przemysłowca.

Dla zrównoważenia tylu wierszy poświęconych ognisku przemysłowemu — parę słów o rolnictwie. Centralny komitet statystyczny w Nr. 15 „Wremiennika“ podaje urzędowe cyfry co do urodzaju w roku zeszłym. Wiele z cyfr, co najważniejsze, powtórzył „Prawitelstwiennyj wiestnik“, z którego, bliżéj nas obchodzące, przytoczymy.

W 50 gub. Cesarstwa zebrano około 250 milionów czetwierti zboża, co daje w porównaniu z urodzajem średnim za lata 1883—1887 mniéj blisko o 42 miliony czetwierti, w porównaniu zaś z r. 1888 mniéj o 68 milionów czetwierti. Albo procentowo: urodzaj roku zeszłego stanowi 88,6% urodzaju przeciętnego i 78,5% urodzaju roku pozaprzeszłego.

W gub. Królestwa Polskiego zebrano 14,079,200 czetwierti, czyli mniéj, niż w r. 1888 o 5,518,000, procentowo urodzaj taki stanowi 71,3% poprzedniego. Czyli u nas urodzaj był gorszy, niż przeciętnie w całém państwie. Znalazły się jednak okolice jeszcze mniéj szczęśliwe. Np. gubernie nazwane w urzędowym organie noworuskiemi, miały tylko 64,9%, południowo-zachodnie (wołyńska, podolska, kijowska) 68,1%, małoruskie — 70,1%. Zbliżony do urodzaju r. 1888 miały urodzaj gub. białoruskie (zapewne mińska; mohylewska, witebska, smoleńska) 99,1%; litewskie zaś (zapewne kowieńska, grodzieńska, wileńska) 87,4%. Dodać jednak trzeba, iż nieurodzaj w gub. noworuskich daje rezultat pomyślniejszy niż urodzaj na biednéj Białorusi. Tam pozostałość czysta zboża na jedną osobę wynosi 20½ czetwierti, tu zaledwie 16½ (w Królestwie 13½, tak samo w gub. litewskich).

Urodzaj kartofli lepszy był, niż w roku zaprzeszłym, z jarzyn dopisała dobrze tylko gryka.

W piśmiennictwie, zazwyczaj ratującém się od suchot polemiką, czasy ostatnie były bardziéj jeszcze wojownicze niż zwykle. Wymyślano sobie o byle co. Powodu do dosyć zabawnych pretensyi dostarczył artykuł „Przeglądu pedagogicznego“ „Dzieci i służba“. Fakt już i przez to godzien zaznaczenia, że od lat 8, jak pismo to wychodzi, po raz pierwszy podniosło kwestyę, którą się prasa zajęła. Powtóre, autorka, pani Dawid, pociągnęła wraz z sobą i nas do odpowiedzialności, solidaryzując się i powołując na artykuł p. K. w sierpniowym zeszycie „Ateneum“ p. t. „Służba i państwo“.

Wiadomo, że pisma nasze łatwo się gorszą czynami swoich bliźnich-antagonistów, byle o co rwą szaty na sobie, biją w wielki dzwon i wołają ratunku dla napastowanéj cnoty i bezpieczeństwa społecznego. Tak się téż tu stało, wyplatano Bóg wié nie jakie zarzuty, rzucano insynuacye, wywleczono nawet oskarżenia o „socyalizm“, a wszystkiemu nietyle był winien artykuł, ile nerwy i kłótliwość dziennikarska.

Artykuł pani Dawid był może niedość zręcznie napisany, to prawda. Ludzi, którzy z autorką chociaż trochę się nie zgadzają, musiał zrazić i odepchnąć, zamiast żeby takich właśnie przekonać do reszty. Mówiąc o rzeczach bardzo znanych, trącił nieco pretensyą do apostolstwa i odkrywania światów nikomu nieznanych, to też dobrze czytelnika

usposobić nie był w stanie. Nareszcie dyktował zbyt ogólne i zbyt teoretyczne przepisy dla postępowania ze służbą.

Takie były, niestety, wady formy jego. Taż sama treść, ujęta w inne słowa, byłaby się podobała wszystkim. Zadaniem kolegów z prasy było tę słabą stronę, całkiem drugorzędną, poprawić; boć dziwić się nie mogę zwyczajnemu czytelnikowi, jeżeli go tok zrazi do myśli słusznéj, ale od fachowego dziennikarza wymagać można jakiéjkolwiek wytrawności sądu. Wyszukiwać w garści ziarna kilku pyłków plew, niegodzi się; tymczasem z tych pyłków cieszono się, jak z wynalezienia kamienia filozoficznego.

Pani Dawid chce, żeby ze służbą obchodzono się lepiéj, niż dotąd, żeby niezapominano, że służba nie jest ani rondlem, ani manekinem drucianym do upinania sukien. Żądanie chyba całkowicie słuszne. A tymczasem zarzutów posypało się co niemiara: jedni odpowiadają, że już ze służbą tak wszędzie postępują, inni, że p. Dawid sięga zadaleko, dąży do socyalizmu. Nie wchodzę w istotę samą rzeczy, ale jeżeli autorka zachęca nas do tego, co robimy, to grzechu nie popełnia żadnego, a dobrze czasem i znaną rzecz „przepowiedziéć“ sobie. Jeżeli zaś ideał pokazała zadaleki czy za wysoki, ale we właściwéj stronie, to téż nie ma ani nieszczęścia ani powodu do oburzenia. Oto wcale obawy miéć nie trzeba, iżby panie nasze zepsuły pieszczotami służbę, a wszelkie zachęcanie do obchodzenia się z ludźmi po ludzku może się nam bardzo jeszcze przydać. Temwięcéj, że p. Dawid rzecz wzięła ze strony poważnéj a doniosłéj, a mianowicie: złe obchodzenie się ze służbą jest szkodliwe, ze względu na wychowanie dzieci. Nie wdając się w wysoką filozofię, ani w socyologią — trzeba uznać ten pewnik, dobrze wszystkim w praktyce życiowéj znany, że jeżeli dwie osoby robią razem rzecz jedną, muszą przynajmniéj od czasu do czasu wywoływać niezadowolenie wspólne; jeżeli to pani i służąca — zaczyna się łajanie, krzyki, wśród których o niesprawiedliwość nie trudno. Z równymi sobie niezawsze właściwie wychodzić umiemy, cóż dopiéro z zależnymi od nas. Twierdzić, że panie nasze są tu wcale bez grzechu, znaczyłoby uważać je za anioły, nie znające zgryzot, kłopotów, zdenerwowania. Zajścia ze służbą są nieuniknione.

A tymczasem ta strona stosunków domowych na dzieci wpływa bardzo i bardzo, może nauczyć wielu wad, może poważnie wykoślawić charakter, może stępić uczucia ludzkie. Dla dobra dzieci naszych gotowiśmy (szczególniéj matki) skrzywdzić dziesiątki osób, cóż więc mówić o jakiéjś jednéj biednéj dziewczynie, która nas dziesięć razy na dzień zmartwi! Dla charakteru dzieci stanowi to niebezpieczeństwo nielada. Taka jest istotna myśl p. Dawid, myśl całkiem słuszna, rzecz w najwyższym stopniu doniosła. Nieporuszenie jéj w „Przeglą-

dzie pedagogicznym" mogłoby stać się tylko wskutek przeoczenia. O formę tu mniejsza, daleko trudniéj rzucić myśl słuszną. Kto założenie to lepiéj rozwinąć potrafi, niech bierze pióro i pisze.

Następnie autorka zaleca, ażeby dzieci zapędzać do pewnych robót w domu, jak czyszczenie butów, słanie łóżek, zamiatanie i t. d. W tém znowu upatrzono przesadę i urągano szczegółom, jak np. o myciu podłóg. A że u nas łatwo ludzi przestraszyć dźwiękiem, więc zgorszenie nie małe; jakto, żeby panienki podłogi myły! Znowu pominięto istotę rzeczy. Ani pani Dawid, ani „Przegląd" spewnością o jedno zajęcie targować się nie będą, bo usunięcie jednego szczegółu nie osłabi słuszności, ani dodanie nie wzmocni założenia. A co prawda, obawiać się nie potrzeba, ażeby mamunie pod wpływem pisma zapędziły córuchny do prac zbyt trudnych. Prędzéj należy rachować, że przez zbytnie wymagania da się cokolwiek utargować.

Pomysł wykonywania pewnych prac domowych przez dzieci nie należy bynajmniéj do autorki, wymagania podobne stawiało wielu pedagogów, a bodaj czy choć jeden z surowych oponentów zastanowił się nad znaczeniem moralném i praktyczném tego środka. Braku zupełnego zastanowienia się dowodzi zarzut, iż to strasznie postępowe, kiedy w istocie, gdyby koniecznie chodziło o nazwę (niewłaściwą) tego rodzaju, żądania p. Dawid nazwaćby należało konserwatywnemi. Straszny postęp, jak wiadomo, pragnie uszczuplić znaczenie i zadanie moralne rodziny i czuje wyraźny pociąg do wychowania hurtownego w zakładach publicznych. Tymczasem spełnianie pewnych czynności w domu za pierwsze zadanie, za pierwszy cel ma rozwinięcie uczuć altruistycznych w najbliższym kółku przez praktykę oddawania i przyjmowania posług. Kto więc pragnie wzmocnić moralną siłę i wpływ rodziny, twierdzeniom powtórzonym przez p. Dawid, przyklasnąć z całego serca powinien.

Inna strona tych wymagań jest bardziéj jeszcze konserwatywna, bo godzi w emancypacyą. Przeciwnicy emancypacyi wymagają od kobiéty ograniczenia się do spraw gospodarstwa domowego. Jakże się niemi zająć potrafi, jeżeli nie nauczy się ich od młodu. Dobra gospodyni powinna umiéć pokazać służącéj, jak należy wyczyścić rondel i jak na angielce zapalić, aby węgla mało wyszło. A żadnéj rzeczy nauczyć się nie można wedle téj metody, z jakiéj drwi sobie powieść ludowa, opowiadając o terminatorze, pragnącym zostać kowalem przez przypatrywanie się pracy innych z kosza na ścianie. Jeżeli kobiéta ma być gospodynią, trzeba koniecznie, aby wciąż postępowała zgodnie z radami pani Dawid, tą tylko drogą nabrać może zamiłowania do zajęć domowych.

Powtarzam raz jeszcze, że zarzut postępowości lub konserwatyzmu jest niewłaściwy, czczy, nic nie mówiący, a wprowadza do dyskusyi ferment niepotrzebny; ponieważ jednak w téj kwestyi ważnéj został użyty, więc go odpieram jedynie w celu wykazania braku zastanowienia, a więc zasadności ze strony oponentów.

Lus.

NEKROLOGIA.

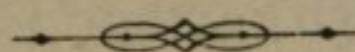
† **Władysław Taczanowski,** urodzony r. 1819 w Jabłonnie, w gub. lubelskiéj, wykształcenie średnie odebrał w Lublinie. Od młodu miał wielkie zamiłowanie do natury, rozwijając w sobie dar bystréj obserwacyi. Po ukończeniu gimnazyum w 1838 r. oddał się przeważnie badaniu ptaków krajowych, odbywając wycieczki w różne okolice kraju, gromadząc zbiory i opisując je. W 1854 r. objął urząd konserwatora zbioru ornitologicznego, jaki istniał przy sekcyi leśnéj rządu gubernialnego radomskiego, przyczém poruczono mu téż nadzór nad podobnym zbiorem przy rządzie gub. lubelskiéj. W rok potém wezwano go do Warszawy na adjunkta gabinetu zoologicznego w Warszawie, którego od r. 1862 zostawał aż do śmierci kustoszem, i ciągle pracując w raz obranym kierunku, i odbywając podróże w różne strony świata, został znanym i cenionym w Europie specyalistą ornitologiem. Zmarł w Warszawie 17 stycznia r. b. Prace jego główniejsze są: „Spis ptaków gub. lubelskiéj" 1851 w „Bibl. Warsz."; „Ptaki drapieżne Król. Polskiego" (1860); „Ptaki krajowe" 1882 (2 tomy), „Ornithologie de Perou" 1884—6 (4 tomy); prócz tego wiele rozprawek w pismach peryodycznych, jak w „Przyrodzie i Przemyśle", we „Wszechświecie" i t. p.



Wydawcy **W. Spasowicz** i **Adolf Pawiński**.—Redaktor **P. Chmielowski**.



BŁĘDNE KOŁO.



Czytającego prospekty, ogłoszenia, zapowiedzi o mających wychodzić nowych pismach peryodycznych lub dalszém istnieniu starych, muszą uderzać pewne wspólne cechy tych odezw i okólników. Najprzód pojawiają się one zwykle przed nowym rokiem, gdy nadchodzi czas prenumeraty. Powtóre, pisane są bardzo wymownie. Potrzecie, każda wylicza już dokonane i mające się dokonać prace. Poczwarte, następuje spis autorów, mających zasilać pismo swojemi pracami z sakramentalnym dodatkiem, że są to ludzie najznakomitsi ze znakomitych. Popiąte, przypomina się czas istnienia pisma, bo starożytność także świadczy o jego potrzebie i wartości. Poszóste, niektóre pisma obiecują prenumeratorom premia w książkach po zniżonéj cenie, lub nagrodzonych obrazach. Posiódme, i ten punkt najważniejszy, odwołanie się do publiczności w imię dobra publicznego, w imię konserwatywnych lub postępowych zasad do jaknajliczniejszego zapisywania się w listę prenumeratorów.

Byłoby rzeczą ciekawą poznać, ilu też nowych prenumeratorów przybyło pismu wskutku tych prospektów; ale dowiedzieć się o tém niepodobna, bo każde pismo niechętnie mówi o swoich prenumeratorach, póki ich liczba nie dojdzie stu tysięcy; a powtóre, któż może zaręczyć, że nowi czytelnicy przybyli wskutku odezwy, nie zaś pod wpływem innych pobudek, wcale nieznanych redakcyom. Sens wszystkich tych zachodów zrozumiały: chodzi o ilość prenumeratorów, czyli o prenumeratę. Ani się temu dziwić, ani ganić trzeba. Prawie każde wydawnictwo tak książek, jak i pism peryodycznych ma na celu zabawę lub pożytek umysłowy czytelników, a następnie swój własny pożytek, nie mówiąc już nic o zysku. Jest ono pewnego rodzaju przedsiębiorstwem, w które włożono kapitał umysłowy i zwyczajny pieniądz. Na-

rażone jest na ryzyko większe lub mniejsze, a czasami na całkowitą stratę. Prowadzący takie przedsiębiorstwo autorowie, redaktorowie i nakładcy chcą się zabezpieczyć od straty i choć mały zysk osiągnąć. Gdyby się im bowiem wróciły jedynie koszta wydawnictwa bez żadnego *plus*, musieliby je wkrótce porzucić, bo przecież manna dla nich nie spada, mecenasów coraz mniéj i sami piszący już nie na nich, lecz na publiczność oglądać się muszą. Stąd rzeczone prospekta, obietnice i premia nikogo ani gorszyć, ani dziwić powinny: *do ut des*, ja ci bajeczkę, a ty rubelka.

Co jednakże zadziwia, to ponawianie coroczne, a nieraz i częstsze tych obiecanek. Nasuwa się przypuszczenie, że albo odezwy zarówno liberalne, jak i konserwatywne nie skutkują, albo, że wydawcy i redaktorzy są tak zysku żądni, iż zawsze im mało. Ostatnią alternatywę wyłączamy, bo chociaż pożądanie uczciwego zysku nikomu ujmy nie przynosi, wolimy wszakże wierzyć, iż w ludziach przodujących społeczeństwu, w pracownikach tak idealnie nastrojonych, zysk stoi na ostatnim planie. Pozostaje zatém druga alternatywa, mianowicie, że mimo gorących odezw i bicia się w piersi, prenumeratorów jak nie ma tak nie ma. Zapewne, nie wszystkie pisma jednakowém cieszą się powodzeniem. Mówią, że obrazkowe, humorystyczne, plotkarskie i polemiczne wiążą końce z końcami; że najgorzéj się wiedzie poważniejszym, naukowym. Byłby to dobry znak świadczący, że nie lubimy pedantyzmu w szlafmycy, że mamy żołądki strawne i jak niegdyś rękę skorą do żelaza, tak obecnie język cięty. Bądźcobądź, zastanawia ten wstręt publiczności do poważniejszéj lektury. Przyganiacze i poprawiacze nasi objaśniają ten fakt zaraz naszém lenistwem głowy, przewagą fantazyi nad rozumem; dobrotliwsi zaś z pośród nich widzą przyczynę w złych czasach, w nieurodzaju, w przesileniach wszechświatowego rynku i t. p. A widzicie, mówią, jak tylko szlachta nie zbierze i nie sprzeda, to ani cyrk, ani teatr, ani hotele, ani rzemieślnicy, ani literaci nie mają odbytu na swoję produkcyą. Proścież Boga, ażeby Bismarck obniżył cło na nasze zboże, a zaraz podskoczy prenumerata na waszę mądrość.

Ludzie, poszukujący przyczyn małego pokupu, a jeszcze mniejszéj poczytności czasopism poważniejszych, takie mniéj więcéj przytaczają: są one, mówią, redagowane nieumiejętnie, ciężko, nudnie, są zadrogie i dla tego tak mało mają prenumeratorów i czytelników. Zobaczmy, ile w tych zarzutach jest słuszności.

Redagowanie pisma peryodycznego, jak każdy interes wymaga utalentowanego kierownika i takichże spółpracowników, daléj znacznego kapitału nakładowego, rozgałęzionych stosunków w kraju i za-

granicą i t. p. O zdolnych, zabiegłych, obrotnych i utalentowanych kierowników w każdym interesie niełatwo; w naukowém i literackiém przedsiębiorstwie podobno trudniéj, niż w przemysłowém raz dla tego, że wymaga ono wszechstronnych kwalifikacyi umysłowych, a powtóre dlatego, że spółpracownicy literaccy są najdrażliwszym rodzajem wyzwolonych robotników. Pozyskać ich i utrzymać, doprowadzić do pewnéj zgodności nadzwyczaj trudno; każdy bowiem ma się za mistrza w swojéj sztuce i niechętnie przystaje na ustępstwa w tém zresztą chwalebném przekonaniu, że zasadami handlować niewolno i że jego opinia jest bezwarunkowo najzasadniejsza i najzbawienniejsza. Przekreśl mu wyraz, zmodyfikuj drugi, złagodź jaskrawszy lub brutalny epitet przypięty przeciwnikowi, a nazajutrz będziesz miał sążnisty artykuł z wymówkami jak śmiałeś jego złoto zastąpić szychem. Redaktor jest więc między młotem a kowadłem: wydrukuje wszystko, co mu raczono przysłać, nawarzy piwa sobie i pismu; nie wydrukuje wszystkiego, dostanie na mydło od autora z zapowiedzią, że się usuwa od spółpracownictwa. Lawirować wśród tych drażliwości i zarozumiałości zaprawdę niełatwo. A przecież pismo rozpoczęte trzeba wydawać, a więc nieustannie lawirować między znakomitościami, co stanowi trudniejsze zadanie, niż przepłynąć cało między Scyllą i Charybdą. Tymczasem publiczność żąda od niego, ażeby umiejętnie każdy zeszyt był ułożony, żeby zawierał coś naukowego i coś lżejszego, coś dowcipnego i coś wesołego, bo smutku mamy aż nadto. Sprobójcie dogodzić tym wymaganiom, znajdźcie kierownika, któryby szanując siebie i naukę chciał w tym duchu prowadzić pismo poważniejsze naukowo-literackie. Jeżeli zaś nie zechce się zniżyć do tych wymagań, pismo jego zacznie tracić prenumeratorów i w braku mecenasów nie dążących do zysku, upadnie.

Zdawałoby się z powyższego wynikać, że to publiczność winna, gdy pisma poważniejsze nie mogą się utrzymać własną prenumeratą, lecz potrzebują mecenasów i po najdłuższém życiu, zależném od kieszeni, upadają. Nim się na taki wyrok zdecydujemy, trzeba i drugiéj strony wysłuchać, mianowicie: ile może być prawdy w tém, że pisma są nieumiejętnie redagowane.

Zarzutu tego trudno zrozumiéć, ponieważ ci, którzy go czynią, nie wyrażają się jasno pod tym względem. Jak rozumiéć ową nieumiejętność? Czyby to znaczyło, że przepuszczają artykuły, zawierające fałsze naukowe lub faktyczne? Zdarzyć się to może, ale rzadko i nieumyślnie, bo przecież pismu i jego kierownikowi chodzi o dobre imię, o reputacyą, więc z umysłu nie mógłby dążyć do zachwiania swojego kredytu i podkopania bytu pisma. Czy może przez nieumiejętne redagowanie rozumieją formalny układ artykałów i kolejny ich porządek, mianowicie, co powinno iść naprzód, a co następnie? Nie zdaje

się; bo artykuł dobry, wszędzie jest dobry: i na początku, i w środku, i na końcu zeszytu. Prawdopodobnie zatém ci, co zarzucają nieumiejętność redakcyi, mają na myśli niezręczność, gdy np. nie umié, albo nie chce trafiać w smak publiczności, gdy dotyka spraw zwanych draźliwemi dla uczuć czytelnika, gdy nie porusza rzeczy bieżących, będących na czasie, obchodzących w pewnym dniu lub miesiącu, czytelników. Gdyby tak rozumiano niezręczność, zarzut w części byłby usprawiedliwiony. Tylko zaraz trzeba pamiętać o zadaniu pism peryodycznych poważniejszych. Środkują one między Aktami ciał uczonych, akademii, a pismami codziennemi. Trafiać w smak publiczności codzień inny, a często bardzo niewyrobiony, polować na efekt i poklask chwilowy nie pozwala im pewne poczucie godności; muszą one liczyć się z krytyką, radeby smak publiczny wyrabiać, kierując go od budy jarmarcznéj i woskowych figur do przyjemności umysłowych cokolwiek podnioślejszych. Za to, powiada im ów smak, nie będę was czytał.

Co się tyczy roztrząsania pytań tak zwanych draźliwych, odstręczających pewną grupę czytelników, zdaje się, że publiczność nie ma za sobą słuszności. Pytania draźliwe, roztrząsane przy zamkniętych drzwiach po sądach kryminalnych, zapewne nie nadają się do rozbioru w pismach literackich; mają one swoje właściwe miejsce w pismach specyalnych, czy to lekarskich, czy prawniczych. Zresztą, wszelkie inne zagadnienia powinny być dyskutowane, bo nauka draźliwych pytań nie zna. Sądzimy więc, że może raczéj chodziłoby o formę, o ton roztrząsania, który czasami wyradza się w zgrzyt nienawiści, w łajanie. Ma to być sos podniecający nerwy smaku, ma się to nazywać barwnością stylu, życiem i t. p., a w gruncie jest niesmacznėm. Jeszcze u nas niektóre pisma zbyt obficie podlewają tym sosem swoje wypracowania. Czyliżby nie wiedziały, że i nerwy można przedraźnić? Wiedzą, a jednak to czynią. Dlaczego? Odpowiadają: nie czytanoby nas, a przecie żyć trzeba. Ktoś wtrąca: *je n'en voix pas la cause.*

W zarzucie niezręcznego redagowania pism peryodycznych może najwięcéj słuszności ma twierdzenie, że organa te nie podnoszą spraw bieżących, będących na czasie w naszém społeczeństwie, że zanadto zajmują się sprawami zagranicy. Jest to zarzut tylko w części słuszny; na prawdę bowiem widzimy, że starają się i chętnie drukują wszelkie rozprawy, dotyczące bieżących interesów swojskich. Czyby mogły więcéj się zajmować miejscowemi sprawami, niż dotychczas? Zdaje się, że mogłyby i powinny. Ale skąd i jak dostać potrzebnych informacyi, cyfr, danych? Oto się rozbijają wszelkie dobre chęci ze strony autorów i redakcyi. W braku zatém danych o kwestyach bie-

żących, rade nierade, pisma muszą się zajmować archeologią, trochę historyą, a nareszcie sprawami zagranicy. Ulegają one pod tym ostatnim względem gustowi oświeceńszéj warstwy społeczeństwa, którą więcéj obchodzi rewolucya w Brazylii, wystawa paryska, ostatnia sztuka w teatrze francuskim, ostatnia moda fraków i kapeluszy, niż parcelacya ziemi i operacye banku włościańskiego, niż wystawa w Wilnie, niż chwianie się całego rolnictwa. Bo proszę pana, co ta cała nasza mizerya znaczy wobec prochu bezdymnego? Trzeba więc pisać o prochu bezdymnym, przeliczać od czasu do czasu armie europejskie, kombinować drogi, jakiemi Prusak rzuci się na Wschód lub Zachód. Jest to niejako przymus moralny, pod którym niejeden z piszących stęka, widzi całą śmieszność swoich rad udzielanych gabinetom europejskim, a jednak uprawia politykę, bo my bez wielkiéj polityki żyć nie możemy. Przychodzi nam to daleko łatwiéj i taniéj, niż zebranie choćby małéj wiązeczki faktów swojskich, bo ta polityka w wielkim stylu mieści się na paru szpaltach zagranicznego dziennika. Nie umiejąc, a częściéj nie mogąc zajmować się swojemi sprawami dla braku danych, uprawiamy cudze, obrzucając je światłem ze swojskiego kaganka.

Daléj jeszcze, nieumiejętność, czy téż niezręczność w redagowaniu pism peryodycznych przejawia się, zdaniem oponentów, gdy zamieszczają całe długie, kilkuarkuszowe lub tomowe rozprawy ciągnące się w kilku zeszytach, a czasami przez rok cały. I rzeczywiście, gotowibyśmy podzielać ten zarzut, chociaż nie jest on całkowicie zasadny. Rzeczywiście takie artykuły odstręczają publiczność od pisma; ale co na to mogą poradzić redakcye? Kto się temu bliżéj przyglądał, wié, że literaci, jest to osobliwy naród. Żebyś go zaklinał na wszystkie świętości: pisz zwięźle, jasno, resztę zachowaj w tece jako materyał do nieśmiertelnych dzieł swoch; na nic się to nie zdało, on się nie rachuje z pismem, tylko ze sobą. Światby się cofnął o dwa wieki, gdyby téj wyroczni nie wysłuchał od *a* do *z*.

W końcu, ażeby dowieść naszéj nieudolności, uciekają się do porównania naszych pism peryodycznych z miesięcznikami angielskiemi, francuskiemi i niemieckiemi. Porównanie to ma wypadać na naszę niekorzyść. W istocie, pod wielu względami tak jest. Ale na obronę naszę możemy przytoczyć dużo i ważnych okoliczności. Oto miesięczniki angielskie, francuskie i niemieckie, mają koło czytelników we wszystkich częściach świata, a témsamém rozporządzają znacznemi środkami materyalnemi. Daléj, mają spółpracowników nietylko liczniejszych, ale i lepiéj przygotowanych do każdego działu naukowego lub literackiego. Nareszcie, spółpracownicy ci żyją w ogniskach spół-

czesnéj kultury, gdzie się ważą wielkie interesa polityczne, ekonomiczne i naukowe, a stąd i źródła informacyi lepsze, pewniejsze i poglądy szersze i głębsze. Tymczasem, nasze pisma poważniejsze czyta może parę tysięcy ludzi, a i ci nie wszyscy je prenumerują; stąd środki wydawnictwa bardzo skąpe, i gdyby nie dobra wola i ofiarność jednostek, literalnie istniećby nie mogły. O spółpracowników dobrych także nie łatwo, gdyż naukę i literaturę uprawiamy najczęściéj dodatkowo, główną zaś troską jest byt powszedni i praca powszednia, chlebodajna. O tém powinni wiedziéć czytelnicy, a gdy czynią porównania pamiętać o tych okolicznościach bardzo różnych w wydawnictwie miesięczników zagranicznych i naszych. Nie mogąc iść na czele, zdążajmy za szczęśliwszymi; pokolenie winno podawać następnemu, jeżeli nie wielką pochodnię wiedzy, to przynajmniéj drzazeczkę łuczywa, żeby nas zupełne ciemności nie ogarnęły. Pisma nasze nie dorównywają zagranicznym; zgoda. Zawsze jednak wnoszą odrobinę światła, dają i fantazyi nieco rozrywki, informują o donioślejszych faktach naukowych, słowem, dają pewien równoważnik za prenumeratę.

Ale są zadrogie i dla tego mało liczą prenumeratorów. Jest to zarzut najmniéj usprawiedliwiony. Mnóstwo czytelników nie ma najmniejszego wyobrażenia o kosztach wydawnictwa pisma miesięcznego, lub codziennego. Gdyby im redakcye składały dla ciekawości swój roczny budżet, zdumieliby się, jakie to sumy pochłania druk, papiér, spółpracownicy, ekspedycya, prenumerata zagranicznych dzienników i miesięczników. Wówczas nawet czteroklasowy rachmistrz rozwiązałby zadanie, poczemu wypada arkusz pisma w stosunku do ogólnych kosztów nakładu. Nie drożyna to jest przyczyną małego popytu na strawę umysłową.

A zatém nikt nie winien? Nie szukamy winowajców, tylko dla siebie i innych chcielibyśmy zrozumiéć zjawisko, t. j. małą poczytność pism poważniejszych. Składanie winy przez redakcye na publiczność a znów przez publiczność na redakcye jest, według nas błędném kołem. Winy mogą być i bywają obustronne, ale nie w nich leży istotna przyczyna faktu.

Jakoż, nasuwa się pytanie takie: jeżeli ciekawość jest przyrodzoném znamieniem człowieka wogóle, to dlaczegóżby ta ciekawość w naszym narodzie miała być mniejsza, czy bardziéj przytępiona, niż np. we Francuzach, Niemcach, Anglikach? i t. d. Jeżeli tam nie brak ludzi chcących poznać przyczyny zjawisk i praw niemi rządzących, a więc takich, którzy się informują, chociażby, dajmy na to, w piśmie peryodycznéym; jeżeli pisma te prenumerują i czytają; to dlaczego takich ludzi u nas nie ma, lub jest bardzo niewielu? Mieliżbyśmy

być mniéj ciekawi do poznania rzeczy (z wyjątkiém plotek) aniżeli są cudzoziemcy? Nie zdaje się; przypuszczenie podobne byłoby w sprzeczności z tém, na co patrzymy. Ale żeby w człowieku mogła się zbudzić ciekawość do poznania faktów, zjawisk, praw, nie zaś plotek, trzeba go do rozumienia tych faktów i zjawisk przygotować w szkole. Dopiéro wówczas powstanie w umyśle interes, zajęcie się, zaciekawienie, a następnie i chęć zaspokojenia téj ciekawości za pomocą pisma, lub inną drogą. Obliczmyż, jaki jest u nas procent ludzi kończących gimnazya i uniwersytety, gdzie jak wiadomo, najprawdopodobniéj budzi się ta szlachetniejsza ciekawość umysłu do poznania przyczyny rzeczy, a razem uzdolnienie do rozumienia tłómaczonych, objaśnianych czy to faktów historycznych, czy zjawisk przyrody lub piękna. Ogromna ilość czytelników przerzuca kartki najgruntowniejszéj pracy powtarzając do znudzenia: a jakież to suche, a jakież to ciemne! Najzupełniéj mają słuszność. Nie nauczono ich w szkole, bo jéj nie kończyli, rozumienia faktów i zjawisk; nie rozbudzono w nich interesu, ciekawości do tych przedmiotów, które pismo traktuje, więc są one dla nich obojętne, nudne. Mająż jeszcze za nie płacić, prenumerując pismo? Sądzimy tedy, że obliczywszy kończących średnie i wyższe studya z jednéj strony, a z drugiéj prenumeratorów pism poważniejszych, nie byłoby tak wielkiéj dysproporcyi, jak się na pierwszy rzut oka zdaje. Taką tylko porcyą poważniejszego miesięcznika może wchłonąć ta lub druga dzielnica. Wszystkie zachęty, prospekty, premia nie pomogą; po za pewną granicę, oczywiście zmienną z roku na rok, a nawet z miesiąca na miesiąc, nie przejdzie liczba prenumeratorów danego pisma. I tu, równie jak w świecie ekonomicznym, popyt zależy od ilości spożywców; pomnóżcie odpowiednią edukacyą liczbę konsumentów na produkcyą umysłową, a pisma poważniejsze obejdą się bez opiekunów: zastąpi ich publiczność.

K.





POWIEŚĆ EGZOTYCZNA WE FRANCYI.

PIOTR LOTI.

„Prawdziwy poeta lepiéj zna przyrodę od przyrodnika, w sercu własném ma jéj odbicie.“ *Borroughs.*

Dwie głośne, powszechnie znane szkoły toczą bój o obecną beletrystykę francuską, dwa wrogie sobie uosabiając kierunki. Obie popadły w szablon, manierę. Zwykłe to wszelkiego szkolnictwa koleje. Próżnobyśmy w obu szukali tego zapału, téj szczerości, tego wzruszenia i namiętnego przekonania, co zaślepia nieraz pisarza, artystyczną i filozoficzną zakłóca równowagę, lecz pisarzowi magnetycznéj nad czytelnikiem użycza władzy. Psychologia w nich szwankuje, zakres wyłącznie erotyczny nie wystarcza, rozkrzyczana w jednéj z nich „obiektywność“ nie jest może — jeśli najlepszym w téj mierze wierzyć mamy sędziom—najnieomylniejszą, w zastosowaniu do sztuki, metodą. Są bezwątpienia etyczne i estetyczne potrzeby, którym obie te szkoły zadość nie czynią. W saméj Francyi niezadowolenie wyraża się protestem „niesprzężonych“ i „wrażliwych“ (*Les Incohérents*, *Les Impressionistes*) i donioślejszém od nich, gorączkowém zajęciem się beletrystyką, któréj charakter, ideały, samo artystyczne wcielanie takowych, daleko odbiega od społecznych, etycznych i estetycznych zasad i tradycyi zachodu.

Czyżby we Francyi, w tém jasném do niedawna ognisku ducha ludzkiego, zabrakło przędzy do wysnucia nici nowéj? Czyżby, niedawno jeszcze tak tam bujna, okwiecona gałąź beletrystyki przepalić się i zwęglić miała? Nikt-że nie pochwyci jéj zarzewia?

Kto je do mety doniesie?

I.

W 1883-im roku ukazała się w „*Revue des deux mondes*,“ powieść zatytułowana: „*Mon Frère Yves*,“ podpisana „Pierre Loti.“

Kto to? Co to?

Wkrótce krytyka odkryła, że się pod tym pseudonimem kryje „młody oficer marynarki, który, nie znając piśmiennictwa współczesnego i jego prądów, własne ośmiela się notować wrażenia.“

Tak mówiła krytyka..... Z oceny téj wiał duch szkoły, lecz ostrzem swém trafiała w jądro rzecy.

Czy młody ów i zuchwały oficer marynarki nie znał literatury współczesnéj, „nie czytał“ — wszak zarzucano mu nawet nieznajomość języka ojczystego!—Flaubert'a i Goncourt'ów?—stwierdzoném nie zostało! Czy Julian Viaud legitymistą jest, orleanistą czy bonapartystą, do rzeczy nie należy; jest on Francuzem z krwi i ducha, patryotą, żołnierzem. Tu wystarcza zaznaczyć fakt, czysto literackiego znaczenia, że istotnie nie silił się na naśladownictwo mistrzów bodaj. I to pewne, że z arystokratyczną wytwornością, nie uganiając się bynajmniéj za osławionym, na wskroś demokratycznym obiektywizmem, „własne notując wrażenia“ wwodził w literaturę, dopiéro co z niéj z taką wrzawą wygnany subiektywizm. Nietylko wwodził lecz narzucał, szafując nim z absolutną młodości i talentu rozrzutnością.

Co gorsza, co głównym było kamieniem obrazy to, że pominął szkoły wszelkie i nawet w pierwszym rzucie bujnego talentu nie zahaczył o żadną. Żadnemi teoretycznemi nie sztukając się szczudłami, we „własnych wrażeniach“ znalazł ten przedmiot, co dzieło sztuki uskrzydla.

„*Mon Frère Yves*“ nie było pierwszym występem młodego pisarza. Poprzedziły go inne: „*Azyadé*“ czyli „Wyciąg z dziennika oficera marynarki,“ „*Le Roman du Spahi*,“ „*Fleurs d'Ennui*,“ „*Le Mariage de Loti*.“

W uprzednich tych utworach uwydatniły się wszelkie odrębności pióra i talentu Loti'ego. Występowały nawet jaskrawiéj. Jeśli o kim, to o nim powiedziéć można, że jest jednolitym, „*d'un seul jet*“— jak mawiają Francuzi. W utworach jego—ośm tomów [1]), wypełniających dziesięciolecie pisarskiéj działalności, — niepodobna natrafić na ślad wahania się w wyborze kierunku, lub chociażby formy, zgoła na to z czém się spotykamy częstokroć u najgenialniejszych początkują-

---

[1]) *Azyadé*, *Le Roman du Spahi*, *Fleurs d'ennui*, *Le Mariage de Loti*, *Frère Yves*, *Pêcheur d'Islande*, *Propos d'Exil*, *Madame Chrysanthème*.

cych pisarzy. Z czasem zatrą się niektóre barwy, wystąpią inne zmienią się zwłaszcza już proporcye, na dalsze plany, jak w „*Pêcheur d'Islande*“ usunie się wybujała młodzieńcza subiektywność, w gamie wrażeń przycichną zaostrzonéj zmysłowości nuty, akord rozszerzy się, pogłębi, w minorowe wpadnie tony, psychologia nabierze rzutu pozwalającego młodzieńczéj subiektywności autora, z poetycką a do fizyologicznéj aktualności natężoną intuicyą, wnikać w procesy dogorywań („*Un Vieux*“), lecz linie pozostaną niezmienne, niezmienny koloryt.

Zacznijmy od początku...

Albo nie! Cofnijmy się nieco, szybkim rzutem zmierzmy krótką karyerę wpływów życiowych, jakim podlegał pisarz, w dzieło swe przelewając duszę całą wrażenia, aż do snów mglistych, aż do niepochwytnych tęsknot, rozpołowionych, rozdartych w sobie pragnień, aż do tych na poły świadomych lub i nieświadomych drgnień, które Bain „ważkiemi“ nazywa. Te ośm tomów to zwierciadeł ośm, podobnych do morskich zwierciadlanych tafli: krąg zwarty a głęboki—przezroczysty a migotliwy... Krąg, w którym niepodobna pominąć kilku dat, szczegółów paru biograficznych. Wolimy brać je nie u krytyków, z drugiéj ręki, lecz u źródła: „z własnoręcznych, a prywatnych listów Loti'ego.

Urodzony w 1850 r., Julian Viaud dobiega czterdziestki. „Niestety! wolałbym się do tego nie przyznać, — pisze żartobliwie, — gdyż na wygląd dają mi zaledwie lat trzydzieści.“

Dwadzieścia sześć, siedm chyba, na wiarę fotografii, na któréj młodzian w szlifach porucznika marynarki podpiéra się pod bok z oficerską butą, z tém co Francuzi „*crânerie*“ nazywają.

Brunet, niezłéj tuszy, średniego wzrostu, twarzy świeżéj lecz śniadéj, żywych oczu, niskiego a szerokiego czoła, przy krótko strzyżonych, gęstych włosach nosi zgrabne podkręcone wąsiki i małą, „przecinkiem“ zwaną bródkę. Typ skończenie francuski.

Urodził się w Rochefort-sur-Mer, gdzie i obecnie mieszka. Przodkowie jego marynarze, wszyscy jak Gaos'owie w „*Pêcheur d'Islande*,“ zginęli na morzu. Wszyscy, z wyjątkiem ojca. Morze mu starszego zabrało brata i morze to — tak jak naszego Bohdana Ukraina—„upowiło w pieśń u łona.“ Zna on téż i namiętnie kocha kapryśną swą piastunkę. Zna i rozumié każde drgnięcie falującego jéj łona, usypiające ciszy słodycze, rozmarzające pogody kołysanki i gniewu wściekłość i buntów grozę, ryk, jęk, zgrzyt niecierpliwości i łzy perliste, i uśmiechy słoneczne. Zna harfy i trąby nadmorskich wichrów. W takt im wtórować potrafi, jak ów zacięty grajek na weselu w Ploubazlanec (*Pêcheur d'Islande*). Znane mu piastunki zmienne wstę-

gi, szaty, pierścienie, naszyjniki. Wié jakie nakłada w dni żałoby, a jakie w weselne, w jakie się stroi rano, wieczorem w jakie, a w jakie w nocy srebrzyste. Zna migotliwe blaski jéj chust rozpostartych, prostopadłych i skośnych słońca promieni podszewki, lazurów tonie, mgieł zwoje. Liczył, stokrotnie liczył rozbryzgujące się pod wiosłami opale, nizał z pereł naszyjniki na spienionych wałów piersiach, łowił obrączki złote w wód pierścieniach. Uchylał drzwi wszystkich kryształowych pałaców swéj pani i zwieszał się niejednokrotnie nad otchłaniami jéj niezgłębionych skrytek... Nieraz dojrzał gnieżdżących się w nich potworów. Gwiazdy w morzu odbite łowił w pajęcze sieci marzeń... Tak gonił i sprzęgał do fantastycznéj, na miesięcznych szlakach, jazdy het! tam! ku rozświtom. Morze odpływając wołało go za sobą daleko... coraz daléj... w przypływu godziny na fosforycznych grzywach fal, podzwrotnikowe przynosząc mu wonie i oddechy.

Z czasem piastunka zamieniła się w nauczycielkę, miękką i twardą na przemian. Rozdarła przed nim dalekie horyzonty. Uczyła go patrzéć po przez mgły i tumany. W samym huku burzy pochwytywać melodyą. Ogorzelizną młodzieńcze smagała czoło, hartowała nerwy, wyrabiała muskuły, w walce z żywiołami zaostrzała zmysły, nadawała gibkość ciału, a myśl i uczucie pogłębiała ciszą zaległą pomiędzy głębią nieba i głębią swych przestworzy. Słowo w srébrne rozdzwaniała rytmy, pod myśli melodyą szerokie podkładała wtóry. W płaszcz wspólnych przygód, rozrywek, niebezpieczeństw, marzeń i lęków, owijając wszystkich swych wychowańców, zawczasu bratniéj uczyła solidarności. W szkole téj wytworny panicz Julian Viaud i nieokrzesany chłop bretoński „Yves,“ mogli istotnie zbratać się do grobowéj deski—„ślubnemi zostać braćmi.“

Wcześnie dostrzegamy małego Viaud w roju dziatwy, zawieszonéj na linach i masztach, pomiędzy lazurem nieba i mórz lazurem, któréj z progu swéj chaty przypatrywał się „stary“ (*Un Vieux*). Wbrew woli rodziców, którzy dość już mieli złożonych molochowi ofiar,—wszedł Julian do szkoły marynarskiéj. Przemógł głos krwi, morza przemogły nawoływania, poszepty, obiecanki. Nic nie pomogło klasztorne niemal w rodzicielskim domu wychowanie. W rodzinie protestanckiéj, prześladowanéj niegdyś za wierzenia, purytańskie przechowały się tradycye. „W dzieciństwie, — pisze w jednym ze swych listów, — nie czytałem nic prócz biblii, wychowywany zdala od innych dzieci.“ To téż wchodząc do szkoły, podobnym być musiał do Sylwestra (*P. d'Isl.*) o muskularnych ramionach, dziewiczém czole, dziecięcym uśmiechu i dziewiczych rumieńcach. Zresztą, klasztorną ciszę ścian domowych, zamieniał na osamotnienie miotanych wiatrem, falami

od reszty świata odgrodzonych okrętów. Na morzu czekały go dni, tygodnie, miesiące klasztornéj, śród towarzyszy samotności, surowéj, od kamedulskiéj bodaj surowszéj reguły, miesiące przeplatane, przy wylądowywaniu, gorączkowemi życiowemi odwetami. Kto bywał w nadmorskich miastach, ten wié, jak gwarne bywają naprzykład sobotnie wieczory. Kto bywał w większych portach, temu znane wylądowania i sceny z takim niezrównanym realizmem opisane w „*Mon frère Yves.*“ Yves jest skończonym typem żeglarza. Daléj nie sięga chyba psychologia zawodu.

Wśród takich scen i ludzi zeszła młodość Julianowi Viaud. Pokochał swych towarzyszy. Wspólne trudy, wspólne niebezpieczeństwa, zbliżenie na pokładzie zaciérają towarzyskie, na lądzie przeważne różnice, rozszerzają serce, pozwalają i zmuszają uznawać i oceniać w człowieku to, co stanowi samą treść człowieka. „*Mon Frère Yves*“ i w tym względzie dostarcza świadectwa subiektywności autora. Widnieją tam przy tém niezrównane wyrozumienie na upadki, nawet zdrożności ludzkie, wielki, szlachetny nad niémi smutek, ale zarazem i przeświadczenie, że i najciemniejsze rysy przeplatane bywają świetlanemi smugami, jednającemi serca bratnie, największym bodaj grzesznikom.

Już to mnogość i rożnorodność przygód samych w zawodzie marynarza dopomaga do zrozumienia i wyrozumienia wielu rzeczy. Miejsca, sceny, wypadki, ludzie zmieniają się jak w kalejdoskopie. Zwykłego widza pochłonie, obałamuci mnogość i różnorodność zjawisk, sprzeczności. Taki, jak Loti, widz-artysta w samym sobie znajduje promień wiążący w tęczę odmienne, sprzeczne nieraz barwy i odcienia. Tym promieniem: zasadnicza jednolitość człowieczéj duszy. Nie traci on jéj ani na chwilę z pamięci, ani wówczas nawet, gdy jéj pozornie kłam zadają prawne, obyczajowe, moralne różnice, i to mu daje klucz do otwierania z jednaką swobodą piersi takich, jak Jan (*P. d'Isl.*) mężów i takich jak Sylwester (tamże) pacholąt; takich jak Iwon (*Mon Frère Yves*) utrapieńców i takich jak Spahis (*Le R. du Sp.*) męczenników cichych... Takiéj niby *Madonna Sass oferrata* — przezroczystéj Gaud (*P. d'Isl.*) i takiego kwiatka kobiety, jak Rarahu (*Mariage de Loti*) i czarnéj, grubéj murzynki (*Le R. du Sp.*). Z realistyczną ścisłością na szali spostrzegawczości, ważąc różnice i sprzeczności, nie rozprasza się śród nich nigdy, do czego dowiodłaby go najpewniéj bezwzględna obiektywność. Obiektywność nie doprowadza do rozproszenia, a nawet artystycznego rozprzężenia, wówczas tylko, gdy jest podtrzymywana tezą, gwoli któréj pisarz dobiéra ludzi, przedmioty, sytuacye, jak to czyni Zola np. w całym cyklu Rougonów. Loti społecznéj, ani filozoficznéj

nie stawi nigdy, nigdzie tezy—opisuje co widzi i jak widzi, opisuje co czuje. Nie jest doktrynerem, pozostaje zawsze i wszędzie artystą, a z całą swą obiektywnością w procederze opisowym realistyczniejszym bywa od samych koryfeuszów naturalizmu.

W mrowisku różnorodnych spostrzeżeń oddziela on piękno od pospolitości, rys psychiczny zasadniczy od rysów przygodnych, w szczegółach czerpie z artystyczną miarą, bo mu morze i przygodne na niém życie nietylko dostarczają nieprzebranéj ilości zjawisk: „eksperymentów“—jak to chce Zola, „dokumentów“ — jak przytém obstają Goncourt'owie, lecz na obraz swój i podobieństwo urabia filozoficzne zasady i poetyczne właściwości. Więc przedewszystkiém przestworza oceanów uczą go tego idealnego, wyż zaznaczonego uogólnienia, uczą przytém pewnéj przepływności, że tak powiemy, po szczegółach, potrzebnych w sztuce wyższego stylu o tyle, o ile uwydatniają, uplastyczniają ton główny. Więc daléj zmiana stref dostarcza kluczy do otwierania tajemnic przyrody i z otaczającą je przyrodą ściśle zespolonych ludzkich piersi. Aby opisywać przyrodę, jak ją opisuje Loti, trzeba być wielkim malarzem, lecz tylko malarz, który tę przyrodę widział w najróżnorodniejszych obrazach, zbadał wszechstronnie, że rzec można, zdoła nagromadzić na swéj palecie tyle barw i odcieni! Żeby zaś boską Psychę umiéć pochwycić za skrzydła i wzbić do lotu w porywach opilca (*Mon Frère Yves*) i w rozbujałych zmysłach czarnego dziewczęcia (*M. de Loti*), pod bestyalnym łbem murzynki (*Le R. du Sp.*), na to trzeba być wielkim poetą! Aby zaś ta w lot wzbijana Psyche nie uleciała w strefy oderwane, pozostała zawsze żywą, zawsze ludzką, prawdziwą, konkretną, na to trzeba znów być zarazem głębokim psychologiem i niepospolitym realistą.

Wszystkie powyższe odrębności znajdziemy w dziele Loti'ego, tu idzie nam o zaznaczenie wpływu, jakie owo morze, któremu pozostanie wiernym, a którego epopeę wyśpiéwa w „Rybaku Islandzkim,“ wywarło na ukształtowanie się ducha jego, umysłu, talentu. „Każdy,— mówi w „Dwugłosie miłości“ Okoński, — zagadki poznania innym otwiéra kluczem, każdy ze skarbnicy życia inną bierze prawdę.“ Loti, zagadki poznania otwiéra kluczem „własnych wrażeń“, przedziwną swą artystyczną subiektywnością, w którą wchodzi co najmniéj tyle realizmu, co i poezyi, a ze skarbnicy życia wyławia przedewszystkiém perłę—tęsknoty.

Ileż się morze i tu przyczynia do wyrobienia téj właściwości! a wyłowioną w swéj głębi perłę jakiemiż obléwa blaski! Jego to migotliwe w wieczystéj niezmienności obrębie wody, wyżłobiły w duszy wpatrzonego w nie poety zrozumienie tego wewnętrznego wrzenia,

co tęsknotą się zowie, a na które w duszy ludzkiéj składają się: niezadowolone pragnienia, nadzieje niezbyte, w dal porywające niepokoje i wstecz ciągnących wspomnień zaczarowania i do obecnych chwil a miejsc przykuwające przyzwyczajeń węzły...

Splątane, pajęcze tych wewnętrznych niesnasek struny, Loti rospiął na swéj lirze, wydobywając z nich niezrównane akordy: rzewne w liryzmie młodzieńczych porywów wytwornego oblubieńca świeżéj jak kwiat Rarahu (*Mar. de Loti*), rozdzierające w tragiczném naprężeniu Spahisa (*Le Rom. du Sp.*), co milczący u boku milczącéj, a jak pies wiérnéj murzynki, wiądł pod żarem znoju afrykańskiego, konał w żarach pustyni afrykańskiéj. Jakże ten akord pełny, czysty, będzie w podcmentarnéj samotności oblubienicy Jana (*P. d'Isl.*).

Czémże przy tych podpatrzonych, podsłuchanych, odczutych, przebytych biciach młodzieńczego serca, drganiach męzkiego łona, przy téj burzy krwi, nerwów natężeniu, a tam głębiéj pod krwi wrzeniem, nerwów, zmysłów, wyobraźni sarabandą, przy nurtach tych wiekuistych tęsknot, co niedokształconéj bodaj ludzkiéj duszy rozrywają głębie, czém przy tym wytrysku psychicznych i psychiczne warunkujących, fizyologicznych potęg natury ludzkiéj, blady, refleksyjny, sztucznie jaskrawy naturalizm, jednych, drugich „kwiat błękitny"?

Tezy, jakiebądź zresztą, nie wzruszą nigdy przeciętnego czytelnika, tego, co obojętny i nieświadomy używanych przez pisarza sprężyn, pozostaje pod bezpośredniém wrażeniem prawdy odbitéj w dziele sztuki.

Loti jest na wskroś prawdziwy, bo „własne notuje wrażenia" i dlatego to zwycięsko wychodzi nawet z niebezpieczeństw egzotyzmu, nadającego utworom jego odrębny charakter.

Egzotyzm wyzyskiwany bywał nieraz w beletrystyce, lecz nawet wwiedziony w literaturę europejską przez takich mistrzów pióra, jak Chateaubriand i Gautier, nie licował z nią, trącił naleciałością, ubieganiem się za efektami. Tu dopiéro pozbywa się téj sztuczności dlatego, że Loti z dokładną „eksperymentalną" znajomością rzeczy, posługuje się egzotyzmem jako tłem, na którém snuje motywy wszystkim dostępne; jako gruntem, na którym znane powszechnie kwiecie, rozrasta się bujniéj, w gorętszych zakwita barwach. Na tle tém uczucia, wzruszenia, wrażenia zmysłowe do niesłychanéj nieraz wzmożone potęgi, intensywnością prześcigają normę powszednich uczuć, wzruszeń, wrażeń, lecz psychicznie i fizyologicznie pozostają dostępne dla naszéj wyobraźni, a dzięki plastycznym zasobom pisarza, nie rażą naszych zmysłów. Czytelnik czuje zresztą, że nie są to naleciałości, traktowane po akademicku, na chłodno, z pamięci, wedle wzorów. Czuje,

że studyowane były z natury, aktualne, odczute, przeżyte, notowane ze świeżością natychmiastowego wrażenia.

Loti bowiem, tak młody i świeży, tak rozbujały i wrażliwy, jak ów wytworny marynarz, od którego wywodzi eufoniczny pseudonim (*Mariage de Loti*), odbył pomiędzy 1871 a 1873-im wyprawę do Oceanii. Lata 1874 i 1875-ty przebył w Senegalu i Gwinei, 1876 i 1877 w Turcyi... Rok 1880-ty w Algierze. Dwudziestoletni marynarz był niewątpliwie ulubieńcem i ozdobą arkadyjskiego dworu melancholijnéj królowéj Taiti: Pomarée (*M. de L.*). Na rozkosznych wybrzeżach Oceanii, po przez wschodu bajeczne szlaki, szafował sercem, młodością, życiem, wzamian gromadząc zapasy niepowszednich, niepowszednie artystyczne jego zdolności, posiłkujących wrażeń i doświadczeń. Natury bogate, natury na wskróś artystyczne, to mają do siebie, że ich żadne nie wyczerpują rozrzutności, — oprócz tych chyba, co powszedniością niską obniżają ich poziom. Gdy pole szerokie, w zmienność wrażeń bogate, ze wszystkiego, co je otacza, czerpią w zamian tego, co dają, a jeśli w lada żywym strumieniu z pyłu powszedniości umieją wydzielić złotego piasku ziarno, to cóż mówić o tém, gdy je okoliczności rzucą w te wewnętrzne i zewnętrzne ognie, w których z przepalonych uczuć, wrażeń, namiętności, z przepalonego życia, wyobraźnia krystalizuje a talent szlifuje brylanty.

Loti wyciągał ręce do pasących się na aksamitnych Singapuru brzegach bawołów. Obwąchiwały go ich rozdęte, mokre nozdrza. Prześlizgiwał się w czółnach wązkich, pod rytmiczną pieśnią żółtych wioślarek, po drzemiących, ciężkich wodach. Chłodził czoło w wilgotnych podziemnych pagodach. Na gwarnych rynkach wschodu mijał różnobarwnego tłumu mrowisko. Drzémał i palił się w ramionach kobiét wszelkich barw i odcieni. Namiętne spojrzenia zamieniał z murzynką wełnistowłosą i uśmiéchał się do wymuskanéj japońskiéj *musmé* [1]). Po wodach Złotego Rogu przejeżdżał się z odaliskami, marząc o jakiéjś jasnowłoséj i jasnookiéj, jak mglisty poranek świeżéj, normandce lub bretonce. Czoło mu muskały kwiaty Taiti, stopy paliły rozpalone piaski najgłębszych w Afryce francuskich placówek. Kwiat lotusu zrywał i siadywał śród białoszatych bonzów, ich nagich dzieci i tłumu prastarych, zagadkowych bogów...

W podobnych warunkach nabyty, przy odpowiednich mu, przedziwnie dopasowanych właściwościach malarskich, że tak rzec można, pióra, wprowadza do literatury jedyny w swym rodzaju, nie dający się

---

[1]) Dziewczyny.

podrobić, naśladować, pierwiastek, pierwiastek egzotyczny, lecz nowy, świéży.

Nie przeszkadza to bynajmniéj odczuwaniu przez pisarza rzeczy swojskich, ani téż Południe i Wschód nie pozbawiły go zdolności zrozumienia i malowania północnéj, ba! arktycznéj przyrody. Owszem, jeśli w „*Mon Frère Ives*“ są prześliczne francuzkie krajobrazy, „Rybak Islandzki“ jest jednym szeregiem najpyszniejszych obrazów przyrody północnéj. Słynna „Zatoka Śmierci“ Payer'a zdaje się oderwanym od nich, mniéj od tamtych powietrznym, mniéj zimnym, mniéj „północnym“ epizodem.

Ah! ta niezrównana malowniczość, powietrzność, barwność, świéżość pióra Loti'ego! Zawdzięcza on je najpewniéj, w znacznéj mierze, zewnętrznym wrażeniom, które spotęgowały w tym względzie wrodzone właściwości. Notował „własne wrażenia!“

Notował własne wrażenia! Temu też piśmiennictwo zawdzięcza nuty surowe, brzmiące jak urwane, krótkie a ostre hasła bojowe, przeplatające tak gęsto gamę jego utworów, nadające niektórym stronicom rapsodowe zacięcie. Bo nie ufajmy pozorom. Ta aksamitna świéżość, ta malarska wytworność—to miękkość żołnierza, mającego zawsze ucho otwarte na bojową pobudkę. Loti był i jest żołnierzem. Szczęśliwszy w tém od „małego“ Sylwestra (*P. d'Isl.*), co tak marnie zginął w Tonkinie, godniejszą u wstępu w życie, dla odziedziczonéj po praojcach, wychowaniem rozwiniętéj waleczności znalazł pobudkę. W 1868 roku wstąpił do szkoły wojskowéj i wkrótce potém, jako pacholę, w czasie wojny francuzko-niemieckiéj, ojczystych bronił brzegów. Mógł wcześnie tedy w epopeję czynu zakląć marzenia swe i tradycye rodowe. Tam téż nabierał tego hartu, co się przebija w największych jego utworach, tak surowych i poetycznych rozmiarów dosięgając w „Rybaku Islandzkim“ tę znamionującą go wszędzie i zawsze rycerskość, tę cześć dla zasługi, któréj zawdzięczamy krótkie, o epicznym zakroju stronice, poświęcone pamięci admirała Courbet'a.

Bo i w Tonkinie był Loti. Dopiéro pod koniec 1886 roku wrócił z Japonii. Któż zliczy znoje, nudy, pustkę denerwującą, uciążliwéj téj i marnéj wyprawy. Wymownéem tego świadectwem są *Propos d'Exil*. Dość wpatrzyć się w mgliste, półsenne ich przezrocza, w morskie tumany i żółtych wód ołowiane szlaki, w pary spowiewające aksamity nadwodnych trzęsawisk! w nieskończonych deszczów smugi, w białe, mózg pod czaszką wyżerające blaski, w znoje „porannych ćwiczeń“ (*Corvée matinale*), w kołysanie się monotonne nadwodnych szpitali (*P. d'Isl.*), w te dni bez końca, nocy bez wytchnienia, aby zrozumieć całą tę czczość tonkińską. Co tam przecierpieć musiał człowiek i oby-

watel. Wszak wyprawą tą, wygnaniem raczéj doświadczony, młody; z wrzącém w piersiach życiem oficer stał się zdolnym zrozumieć długoletnie starości konania (*Un Vieux*). Artyście cierpienie, czczość sama przyniosły korzyść: przepoiły „*Propos d'Exil*", natchnęły mistrzowskie karty, poświęcone w „Rybaku Islandzkim" chorobie i śmierci Sylwestra. Loti kochał, zachwycał się, szalał, marzył, tęsknił, cierpiał; bo ten tylko, co sam kochał, marzył, tęsknił, cierpiał, potrafi tak opiewać miłość, marzenie, tęsknotę i szeroką cierpień gamę. Wszystko to wskazówki zresztą, dozwolone czytelnikom domysły—i nic więcéj. „Ciężko mówić o samym sobie—pisze z wylaniem w jednym ze swych listów—ciężko zwłaszcza pod rubryką dat pewnych."

Uczucie to zrozumieć łatwo, a uszanować wypada. Prywatne życie pisarza o tyle do czytelników należy, o ile pisarz sam je odsłania, lub o ile w dziele jego przebija. Z tego téż tylko stanowiska, z widocznych śladów w dziele, wpływów na talent, pozwoliliśmy sobie dotknąć marynarskiéj karyery Juliana Viaud.

Do jakiéj towarzyskiéj należy on sfery, jakie było domowe jego wychowanie i otoczenie? jakie są obecne warunki życia, przyzwyczajenia, zamiłowania, wskazówek szukać możemy w jego dziele. Najmniéj domyślni czytelnicy i najciekawsze czytelniczki mniéj się o tém dowiedzą z dzienników, opisujących ekscentryczne uczty w pałacu w Rochefort-sur-Mer, niż ze wstępnéj naprzykład karty *Propos d'Exil*, poświęconéj pamięci pani Chee-Lee. Karta ta, oderwana karta jedna, odsłania więcéj niż tajemnice towarzyskiéj sfery, do jakiéj wytworny Loti należy, więcéj niż tajemnicę przyzwyczajeń jego i zamiłowań. Karta ta, oderwana karta jedna, rzuca jasną smugę światła w głąb tkliwego serca męzkiego.

II.

„Miarą człowieka są jego ideały", jak mówi Paul de St.-Victor. Gdy już wiemy mniéj więcéj, z jakich wrażeń czerpał Loti natchnienie, przyjrzyjmy się etycznym i artystycznym takowych wcielaniom, a dadzą nam one dokładną pisarza i artysty miarę. Najwcześniejszy, w chronologicznym porządku, jego utwór „*Azyadé*", jest odbiciem oczarowań i upojeń młodzieńczych pod wpływami wschodniego nieba, rozkoszy wschodniéj przyrody, rozwięzłości wschodnich obyczajów. Utwór to, w którym przebija się niedojrzałość. Talent daje się dostrzedz w opisowości, obrobieniu szczegółów, uderza spostrzegawczość snać bardzo młodego pisarza; pomysł i kompozycya pozostawiają wiele do życzenia.

W przedmowie, bohater opowieści—autobiografii raczéj, gdyż powieść pisana w listach, téj najdostępniejszéj i najbardziéj pociągającéj dla młodzieńczéj subjektywności formie—przedstawiony jest czytelnikom jako nieodrodny potomek Hassana z „Namouna".

W przedmowie téj, w samém zacytowaniu mussetowskiego: „*...très joyeux et pourtant très maussade... indignement naïf et pourtant très blasé...*" tkwi sporo naiwności, młodzieńczych przechwałek, gdyż w rzeczy saméj, czytelnik łatwo się przekona, że ów Loti—tamten, bohater opowieści—o wiele naiwniejszy niż „zblazowany". Zmysły ma upojone, a w upojeniu tém całe swe, calusieńkie oddaje serce.

A jednak wzmianka ta o Mussecie nie jest wypadkowa; większe, niż się zrazu zdawać może, ma znaczenie. Jeśli już od kogo, to od Musset'a wyprowadzić można filiacyę Loti'ego - pisarza. Brandes zauważył bardzo trafnie, że są szkoły i są grupy. Szkoła jest sztuczną, wchodzi się do niéj—rzecz to wyboru. Grupa co innego... rzecz to „doboru naturalnego", że tak powiedziéć można. Julian Viaud spisując „własne wrażenia", pominął szkoły, nie wszedł do żadnéj, ale... wrażliwym był jak poeta i to jak Musset. Znał zapewne, pomimo przeciwnego twierdzenia krytyki, *M-me Bovary*, *Salambô*, *Germinie Lacerteux*, czytał *Rougon'ów*, lecz rozumiał lepiéj smętnego i szalonego zarazem Musset'a. Istnieje pomiędzy nimi istotne duchowe powinowactwo: obu im wspólny zapał poetyczny, podszyty zbolałym sceptycyzmem „dziecięcia wieku", czyli raczéj sceptycyzm, wieku naleciałość, przeplatany nieprzepartemi wzlotami ekstazy ich duszy, porywami wierzeń, nadziei, ukochań, co wręcz sceptycyzmowi przeciwne—biorą się z nim za bary, a stanowią sam rdzeń tych nawskróś lirycznych i poetycznych natur. Loti'emu nie obce mussetowskie tęsknoty—rozciąga tylko ich minorową gamę. Podobną też tamtemu posiada wrażliwość zmysłową, lecz i oba mają zakrój Don Juanów, trawionych nie zmysłowém tylko pragnieniem. Lubieżnym! któryż prawdziwy poeta nim nie był? Sam nawet Milton stanął u wrót raju, oczarowany Ewy niepokalaną nagością. Niech co chcą mówią świętoszkowie, na to niéma rady. Najczystsze, najwznioślejsze ludzkie duchy nie mogły ani się pozbyć, ani w szczerości swéj wielkiéj, zaprzeczyć siły téj ziemskiéj przymieszcze. Dlaczego rzekoma „moralność" stawia w téj mierze większe pisarzom niż naprzykład malarzom wymagania—zrozumieć trudno, a wytłómaczyć niepodobna. Nikt przecie od Tycyana, ani od Rubensa nie wymaga, aby malowali jak Ary-Scheffer? Pozwala się im wybierać dowolnie w drużynie wszystkich nimf mitologicznych i niemitologicznych nawet. Ale pisarzowi...

Czyż jak tam tak i tu nie o to tylko idzie, aby przedmiot był piękny, zdrowy i prawdziwy? Prawdziwy—tu może zajść nieporozumienie—prawdziwy tedy nie tak w realném, jak w idealném znaczeniu, to jest prawdziwy nietylko prawdą cząstkowego lub wypadkowego zjawiska, ale życiową, że tak rzec można, wszechstronną. W zastosowaniu do sztuki, norma moralności jest równie prosta, jak niezawodna. Schiller powiedział, że „geniusz nie zna przyzwoitości, gdyż zepsucie tylko przyzwoitém bywa“. Przeciętny téż widz i czytelnik w sobie nosi prawdziwéj przyzwoitości miarę i w jéj imię nie gorszy się nagością Afrodyty, zmysłowością Fornaryny, wyskokiem życia tryskającém z ciał niewieścich Rubensa, lecz odwraca ze wstrętem wzrok istotnie obrażony wszelką pornograficzną nagością. W literaturze znów Eurypidesowa Fedra wywiera wrażenie piorunującéj namiętności, a ta z „*Curée*“ macocha obudza takie wstręty, że chce się ją czemprędzéj sprzątnąć z pod słońca i zamknąć w „Salpétrière“. Wraz z nieśmiertelnymi Olimpu mieszkańcami wybuchamy szczerym śmiechem nad pochwyconym w misterną sieć, przez obrażonego małżonka, Aresem, a Olimpiad w kale „Ziemi“, przez cały tom szarganych, a stanowiących wedle Zoli alfę i omegę całego chłopskiego żywota, któż doczytać w stanie!

Zmysłowym tedy był Musset, zmysłowym i Loti. Tylko ten ma nerwy zdrowe, piersi silne, muskuły wyrobione, wichry morskiemi spalone czoło, więc i wyobraźnią ma zdrowszą i sceptycyzm nie tak gorzki i zmysłowość świeższą, nie wyziewami paryskich zaułków i orgii nasiąkłą, lecz słońcem wschodu i południa rozpaloną. Zmysłowość to, ba! lubieżność, nie cyniczna, ani téż chowająca się obłudnie po za rzekomego sentymentalizmu osłonki; po pogańsku raczéj, śmiała, pewna praw swoich, nic nigdy nie mająca wspólnego z newrozą, nigdy, nigdzie nie popadająca w patologiczne zboczenia i nigdy, nigdzie od platonizmu nie pożyczająca maski. Zresztą...

W dziele Loti'ego jest ona tylko jednym, niezaprzeczonym wprawdzie, w pewne momenty przeważnym, lecz nie wyłącznym czynnikiem. Zajmuje to miejsce, które zajmuje w życiu człowieka. W dziele Loti'ego bardziéj téż może, niż w powszedniego życia toku, odrywa się od ziemi, uskrzydla tęsknotą. Wielka tęsknota pozostaje bądź-co-bądź właściwością wyrobionych duchowo i umysłowo osobników, a nic nie pozwala nam wnosić, aby owo wyrobienie odbywało się z ujmą innych przyrodzonych naturze ludzkiéj skłonności—nie przytępia ono zmysłów, tylko je uszlachetnia.

„Jeśli dusza istnieje — mówi (*Fleurs d'ennui*) Loti — to się wyraża najpełniéj w miłości. Co do mnie, czuję ją najlepiéj przez zmysły...“

I daléj:

„Kochając te kobiéty różnych odcieni, ulicznice nieraz, czegoż szukałem: czy saméj tylko rozkoszy, czy wdzięków samych? Kochałem je tak, żem pragnął umrzéć z niemi, wziąć je z sobą w wiekuistości nieskończoność...“

Bo nigdy nie traci on z przed oczu tego, co nazywa „*l'au-delà*“. Nigdy, wobec niewiem już jakich zmysłowych upojeń, bo dusza ludzka, to... (cytuje wiersz Hugon'a):

„Le ciel qui teint les eaux à peine rémuées
„Et la vase, fond morne...

bo dusza ludzka na dnie swém wiele ma ziemskiego kału. Niechże się na to zgodzi nasza skromność i nie odwraca od wód przezroczych, w których się niebo tak często przegląda.

Więc i w „*Azyadé*“ zmysłowości sporo, ale....

„Zmysły moje równego temu, jakiego doznaję obecnie, nie znały upojenia—pisze młodzian rozkochany w odalisce, z którą pocałunkami samemi porozumieć się może, lecz — dodaje — kochałem więcéj inną dziewczynę“. Inną, czystą, w domu, daleko, pod Szkocyi niebem pozostawioną, pacholęcych lat towarzyszkę. Upojenie jego zmysłowe jest takie, że nie zdoła przeżyć swéj odaliski. Przebrany za Turka, jako Turek zginie pod Karsem. Lecz jednocześnie ileż w samém upojeniu doznaje niesmaków, jak odczuwa samotność, jak często myślą wraca w rodzinne strony.... Już w téj pierwszéj, młodzieńczéj sielance, pobrzękuje liryczna nuta tego wewnętrznego rozdwojenia, co sielance dramatyczne nadaje rozmiary.

Jesteśmy w sielanek okresie, druga z rzędu prześcignie tę pierwszą, stając u mety, po za którą sielanka nie sięga. Nietylko we francuskiém, lecz we wszechświatowém powieściopisarstwie trudno natrafić na coś bardziéj artystycznie wykończonego, a równie świéżego jak *Le Mariage de Loti.* Słynne *Paul et Virginie* Bernardina de Saint Pierre, jest wobec tego wymuskaną, mdłą, konwencyonalną tezą. Gdyby nie przysłowie „*comparaison n'est pas raison*“, porównaćby można chyba *Mariage de Loti* z „Przez Stepy“ Sienkiewicza, będącém tém w prozie, czém „W Szwajcaryi“ jest w poezyi. „Przez Stepy“ posiada wprawdzie szerszy etyczny zakrój, polot rycerski i słowiański smętek, *Le Mariage de Loti* pospolitsze, lecz prostsze i realniejsze, równie wytworne, równie poetyczne a świéże! świéże jak poranek majowy, żadną łzą nie zaćmiony, żadną... jeno mgłą lekkiéj jak wiosenne pary tęsknoty.

Taiti! zaczarowany ogród!! Ile tu woni, zieleni, barw, słońca! Kto nazwie wszystko to kwiecie, kto zliczy na niém rosy perełki! Nie

tak tu, nie tak jak w słynnym *Paradoux* (Zola, „*La faute de l'Abbé Mouret*"). Nie ma muru, ani żywopłotu odgradzającego wyśniony ogród od świata całego. Raj to, raj prawdziwy. Niebo nad nim błękitne rozciąga namioty, oblewają dokoła błękitne Oceanu Spokojnego fale, u wrót żaden z ognistym mieczem nie stoi archanioł, w raju nie błąka się żaden, niby dusza w czyscu, przezroczysty i chorobliwy kleryk. Człowiek żyje tu zgodnie z prawami saméj przyrody. Rasa piękna: mężczyźni rośli, kobiéty drobne o delikatnych kończynach, o czarnych, płomiennych, jak rozkosz sama, oczach. Świadczą o tém jednogłośnie najpoważniejsi świadkowie: Lubbock, Cook, Elis, a gdyby i tamtych nie było, zaświadczyłby utwór Loti'ego, co doścignie i pozostawi wrażenie tam, gdzie nie dościgną Lubbock i jemu podobni.

Kobiéty te wdzięku pełne, oliwkowéj cery, słodkie są i ciche, to téż, choć tam kapłan stułą rąk nie wiąże, choć kobiécie upośledzonéj przez prawo i obyczaj, u jednego z panem swym i mężem stołu i ogniska zasiąść nie wolno, rozwody bywają rzadkie.

Po nad arkadyjskiém tém społeczeństwem, są jak bogi szanowani władcy, których imienia nie śmią wymówić usta zwykłych śmiertelników. Zamieszkane przez nich pałace zwą się *Aaraï* (obłokami niebios), nie pochodnie im przyświecają, lecz „błyskawice", a pomimo to dostępni..., przynajmniéj dobra królowa Pomaré, tak jest sympatyczna w wielkim swym smutku nad dogasającą dynastyą swą i rasą.

Po nad tymi panami są bogowie, jest naprzykład wielki Tarwataihetoomoo. Są, lecz tak wysoko, tak daleko, że ich śmiertelni zupełnie tracą z oczu, a prawdopodobnie i z pamięci. Bogowie ci nie mieszają się téż do spraw ludzkich, co najwyżéj bujają czasem po nad kamiennemi ołtarzami ofiarnemi, w postaci ptaków, są idealnym jakimś zbiornikiem życia, ustawicznie zasilanym przez ulatujące ku nim, a przez śmierć zdmuchnięte oddechy: zwierząt, kwiatów, owoców, kamieni samych. Tak przedstawiona śmierć, jako zamiana promieniowania życia ku niéj, a jéjże ku życiu, zgodna z ostatecznemi wnioskami fizyologii, nie jest straszna. Malajczycy nie lękają się jéj wcale, a nieśmiertelność duszy ludzkiéj, w znaczeniu, w jakiém ją wykładają im misyonarze, pozostaje niedostępną dla tych... panteistów. Przypuszczają, że zmarli muszą mieć gdzieś jakieś miejsce pobytu. Jest niém może oddalona wyspa Balotoo? Kto wie! Żadna tam łódź dopłynąć nie zdoła; raz tylko zuchwali dotarli żeglarze, lecz gdy wylądować chcieli, wszystko im jako sen z przed oczu znikło..., brzegi wyspy cofnęły się, oddaliły... Poetyczne a wierne nieśmiertelności uplastycznienie! wykazanie tych kresów, co przed ludzkością i każdym z osobna duchem ludzkim tkwią w oddaleniu i cofają się, usuwają coraz daléj, im bliżéj się do nich dopływa...

Zagrobowe życie! Co po niém tym żywym i teraźniejszością żyjącym! Jakiż raj będzie rozkoszniejszy od Taiti? Zaczarowany ogród, łan kwiecia, na którym niewiadomo co zrywać: owoce soczyste na zielonych konarach drzew, barwne na murawie kwiaty, czy te żywe, pod zielonych drzew konarami, na miękkiéj murawy kobiercach, nad szemrzącemi w gaju strugami rozsypane, a lekkiemi jak mgły, muślinowemi *pane* (tuniki wązkie) ledwie przykryte, niewieście wdzięki? Wszystko tu tchnie życiem, rozkoszą, młodością. Rarahu, kwiat przedziwny! Lecz Loti czuły na wrażenia zmysłowe, notujący każdy półdźwięk w ich pełnéj i rozbrzmiałéj młodością gamie, nie zapomina duszy i taką wonną, cichą, kwiecią iście duszyczką obdarza tę, do czasu wprawdzie, lecz prawowitą wedle miejscowych wyobrażeń, oblubienicę wytwornego Piotra Loti. Na tém tle wytwarza poemat miodowych miesięcy, jak samo tchnienie wiosny, świeżéj pary kochanków. Gorące to jak namiętność sama, jak namiętność szczere a tkliwe, rzewne.

Zkąd tu ten smętek nad tą wonną sielanką? Powtarza się prześliczna bajka Platona o Rozkoszy, którą Zeus skuł z cierpieniem. Ten smętek, to z téj wieczystéj za nieskończonością tęsknoty, wobec przeświadczenia o ograniczoném trwaniu wrażenia. Ten smętek, w połączeniu z tą niesłychaną wesołością i świeżością, uskrzydla, uduchownia utwór Loti'ego, co pod względem wykonania nie pozostawia nic do życzenia. Zespolenie formy z treścią jest doskonałe. Forma! Prawdę powiedział Hugo, zwracając się do rzeźbiarza Dawida: *La forme, o grand sculpteur! c'est tout et ce n'est rien.* Wszystko z ożywiającą ją myślą, nic bez niéj. Tak a nie inaczéj trzeba też rozumieć „sztukę dla sztuki“—tak dziś okrzyczaną, w niektórych literackich kołach tak opacznie tłómaczoną. Bo też znów... czémże w sztuce myśl bez formy? Niepochwytną marą. Sztuka sama przez się jest ostatnim konkretności wyrazem: skoncentrowaniem idei lub uczucia. Im ogólniejsze, im prostsze będą idee lub uczucie, tem większe, donioślejsze będzie ożywione przez nie dzieło sztuki; ale im forma wcielająca je, piękniejszą, plastyczniejszą, poetyczniejszą będzie, tém większe, donioślejsze, a zwłaszcza już trwalsze będzie wywarte przez dzieło sztuki wrażenie.

Dziwić się też można, że podobnéj jak „*Le Mariage de Loti*“ artystycznéj miary dzieło, nie wywarło odrazu tego wrażenia, jakie wywrzeć było winno. Jestto piękno, co się odrazu narzuca, olśniewa masy i jest inne, dyskretniejsze niby, przyćmione zwykle subtelnością rysów, wytwornością samą. To drugie właśnie odznacza twórczość Loti'ego. Należy on do tych pisarzy, o których inny, wielki pan pióra, Alfred de Vigny mówi: *Ce n'est pas le public qui vous juge, se sont*

les pairs. Popularność jest zapewne rzeczą cenną, perłą nad perłami i wielkim pozostaje dopiéro ten, co w masy przenika, lecz i w wyczekiwaniu sądu *parów*, być muszą dla wytwornych wytworne słodycze. Czekając tedy sądu parów z jednéj strony, z drugiéj przeniknięcia w te czytające masy, bez którego to znów można być wytwornym artystą, ale nie można zostać wielkim pisarzem. Skupiając się do dramatycznego rzutu o jakim „*Azyadé*", a nawet „*Le Mariage de Loti*", wnioskować nawet nie pozwalały, a który jak raca wystrzeli w „*Le roman d'un Spahi*", Loti kreśli stronice, zatytułowane „*Fleurs d'ennai*". Zbiór to w oryginalnéj a zawsze wytwornéj formie, urwanych wspomnień, wrażeń, paradoksów, w rodzaju naprzykład: *L'idéal c'est trop bête à la fin!* Jest tam tu i owdzie coś, co zakrawa na literacką, bardzo subtelną krytykę; parę trafnych spostrzeżeń, dowcipu sporo, trochę ironii. Ta rzekoma *nuda* nie jest nudą, gdy się jéj z bliska przyjrzymy, jeno tęsknotą, co się późniéj, przy większéj dojrzałości pisarza i świadomości saméj siebie, nazwie *Propos d'Exil*, a na którą Francuzi osobnego nie wymyślili dotąd wyrazu, dlatego może, że w ich literaturze i duchu tęsknota jest młodém jeszcze zjawiskiem. W literaturę wwiódł ją dopiéro Musset—on, nie Chateaubriand, nie płaczliwy Lamartine, nie gromowładny Hugo, lecz Musset. W ducha narodu, na rdzennym pniu tego co w nim pozostało *gaulois*, wszczepiają ją dopiéro naleciałości wieku, a zwłaszcza przebyte klęski polityczne.

Są tam, w tym, w chwilach nudy zrywanym bukiecie różnych różności, są sny rozwiewne i pacholęco-świeże wspomnienia, jak np. wiejskiego na wybrzeżach Bretanii kościołka. Stronice te podobne są do wieśniaczéj, przez sceptyka nuconéj kolendy.

„Niebo moje zawsze mroczne"—woła rzekomy ów sceptyk i pragnie śmierci, „końca wszystkiego". Utrzymuje, że jest zmęczony „daremném ramion wyciąganiem". Jak mędrzec doświadczył wszystkiego i dotarł dna „marności, wszechmarności". Ale przypatrzmy się tylko, jak chce umierać. Z lubą, z kochanką, „zanim młodość minie".... „Chciałbym by ją przedtém wyrzeźbiono w marmurze, dla pokazania przyszłym pokoleniom jéj piękności".

T-a-k! Zniechęconym na prawdę, na prawdę zmęczonym, pokoleniom przyszłym? Hartmann i Schopenhauer rzucili już na nie przekleństwo: zgińcie! przepadnijcie! Pesymizm jest nieuniknioną naleciałością społeczną i prywatną: okoliczności życiowych, pewnych chwil psychicznych, wniknięcia w życie. Pesymizm, jako wynik pewnych filozoficznych, a zwłaszcza już społecznych momentów, może zaciężyć, ciąży na pokoleniach, na dobach całych literackiéj i artystycznéj twórczości. Na to niema rady. W takich momentach nie podlegają mu

chyba bardzo płytkie umysły lub bardzo wystudzone, boleć i wątpić niezdolne serca... Przeciw „ostatecznemu“ jednak zniechęceniu protestuje to, co w nas złożyła przyroda sama, instynkt zachowawczy, porywy ducha ku słońcu i rozświtom... Wiemy, że po nowych świtaniach nowe przyjdą zachody, że nowe dzienne blaski przed nowych nocy zgasną zasłonami, że takie prawo na zegarze czasu ludzkości jak i przyrody, lecz każde nowe świtanie nieprzepartym pociąga urokiem, każde budzi i zagrzewa do pracy, nie wiém już jak długiéj, ciemnéj, gorączkowéj, rozpacznéj nocy czuwaniem wyczerpane siły... Czy panteista może być zresztą zrozpaczonym aż do zapatrzenia się w nicość? A wszak Loti jest panteistą—świadczą o tém jego zrozumieniu przyrody, śmierć Spahisa, śmierć Jana. „Skréśliłbym—pisze daléj o kochance, na ozłoconym przez słońce, jak bursztyn złotym marmurze, dokoła jéj oczu, rys ciemny naśladujący cień rzęs jéj i nadający spojrzeniu to, czego określić nie umiem, a co pociąga i czaruje, zwłaszcza gdy się w nie wpatrzę zbliska, z bardzo bliska, tuż...“

O lubieżniku! Nie wystarcza mu białość marmuru, chce ją rozgrzać słońca bursztynowego promieniem a w oczy lubéj patrzéć tuż, zbliska. Wystarczyłoby to naturaliście. Jemu, poecie, trzeba tego czegoś co pociąga i zachwyca, co spojrzenia jest duszą, tkliwością, pieszczotą serca. Jemu ta chwilowa nie wystarcza pieszczota, chce ją uwiecznić, pragnie unieść z sobą, nie rozstawać się z nią... przepaja go ta nieskończoność, któréj rozciągłość rozumiemy istotnie najlepiéj, w zupełności, wówczas gdy kochamy. Każdy kto kochał wié, że wówczas wszech końca rzeczy ani pragnąć, ani nawet przypuszczać nie podobna. To téż miłość, w najrozciąglejszém i najszlachetniejszém tego słowa znaczeniu, chociaż z jednéj strony zradza pesymizm, z drugiéj broni przeciw ostatecznym takowego wynikom. To, co kochamy namiętnie, wyłącznie, idea, lub mniejsza z tém co, jak ta kochanka Loti'ego, przetrwać musi, musi pięknością swą przyszłym błysnąć pokoleniom...

W tomie zawierającym „*Fleurs d'ennui*“, jest jeszcze kilka drobiazgów, nie odznaczających się szczególną wartością artystyczną. Talent obcy temu, co w technice pisarskiéj „rutyną i robotą“ się zowie, twórczy, częstych potrzebuje wypoczynków? Takie talenty, jak to widzimy w historyi wszelkich piśmiennictw, bywają zwykle mniéj płodne i najczęściéj nierówne. Płodność i względna—o absolutnéj nie może być i mowy! — równość, bywają siłą refleksyjnych talentów. „W literaturze jak i w polityce, wedle słów Taine'a, nie można miéć wszystkiego. Jedne zalety wyłączają drugie“. Refleksyjne talenty zużywają mniéj wyobraźni, posiłkują się retoryką, podtrzymuje je,

że tak rzec można, obrana, z góry wytknięta teza. Rozpalają się broniąc takowéj. Są to częstokroć głęboko obmyślane, umiejętnie rozstawione, świetnie przeprowadzone etapy — ale, etapy o obrachowanym, rozmierzonym biegu. Loti zaś należy w literaturze do tych jeźdźców z natchnienia, co celu biegu nie wytykają sobie nigdy, puszczają wodze rumakowi twórczości, zależą od niego tyle, co i kierują nim, dościgają szczytów i zwalniając biegu, mijają padoły. Tacy nawet, gdy z bystrym swym zrosną się wierzchowcem, zmienią w centaurów, częstych i długich potrzebują wypoczynków. Szczęśliwi ci, co to rozumieją i nie przeciągają twórczości struny.

Loti skupiał twórczą siłę, lecz mu brzmiała ciągle ta nuta rozdwojenia wewnętrznego, dwóch jakichś ścierających się z sobą konieczności, dwóch różnych, odmiennych, pogodzić się z sobą niemogących uczuć. Nuta ta brzmiała, wzmagała się, aż w „Romansie Spahisa“ do niesłychanéj doprowadzoną została dramatyczności.

Tło się tu pogłębia, rozpala. Nie Bosforu to kołysanki źwierciadlane, nie Złotego Rogu blaski, nie przedmieść Stambułu ciche zaułki. Nie ma tu miejsca na rodzajowe obrazki, w które obfituje „*Azyadé*“. Nie Taiti zaczarowane ogrody, wonie, zefiry. Blaski afrykańskiego słońca wyżerają mózg pod czaszką, od znoju opadają ociężałe powieki, dokoła pustynia, piaski, ochłody żadnéj, nigdzie. Nad żrącem tém słońcem, które „co rano z nieubłaganą wstaje niezmiennością, zawsze żółte, zawsze czerwone, nigdy żadną nie przysłonięte chmurką, piekące, suche“, pod żrącém tém słońcem, ogień krwi staje się gorączką, myśl i zmysły w nieprzemożoną popadają senność, w głowie się mąci, w piersiach pali pragnienie, atonia pożera, miraż wabi, wola gnie się i łamie. Trzeba iście afrykańskiéj naiwności murzynki Fatou-gaye, by pytać kochanka:

— „Co ci jest, mój biały?“

Co mu jest? Przedewszystkiém już to, że biały on, czarna ona, że się zrozumiéć nie mogą, nie są sobie równi. Co mu jest? Ależ mu brak powietrza pod skwarném, roziskrzoném jéj niebem, na białych, od słońca spopielonych piaskach jéj ojczyzny. Odurza go, rozpaja, lecz i w omdlenie wprawia ta woń taka korzenna. Omdlewa w czarnych jak heban, piekących a miękkich, denerwująco miękkich, cichéj swéj niewolnicy ramionach. Czyż nie widzi, nie czuje, nie rozumie ona, że zaledwie jego owładnęła zmysłami — a duch jego daleko, daleko, w dali zielonéj, chłodnéj, wilgotnéj... Wody! kropli wody! bo z pragnienia umiera. Pragnie wyrwać się „z przeklętéj ziemi, którędy nigdy chyba Pan Bóg nie przechodził“, umiéra z tęsknoty za ojczyzną swą, rodziną, pożéra go nostalgia, a gdy jest bliski pragnień

swych urzeczywistnienia, czuje znów w piersiach ból piekący. Coś mu się tam rwie, coś mu to biedne, słabe serce omotało, węzły jakieś, nici... Ha! „z przeklętą“ tą ziemią związały go, spętały przyzwyczajeń i więcéj niż przyzwyczajeń łańcuchy... tyle tu przeżył, przetęsknił, przebolał a... w łono czarnéj niewolnicy rzucił zasiew nowego życia...

Do miejsc obcych nam, ba nienawistnych, przywiązujemy się prędko, wiemy to, dość o to spytać wygnańców. Czy piaski pustyni paliły im stopy, czy mrozy na ustach mroziły oddechy, czy wichry stepowe roznosiły jęki, każdy przylgnął do ziemi wygnania cząstką swéj duszy, swego bólu, każdy na niéj cząstkę samego siebie pozostawia, rzuca w nią chociażby potu i łez zasiew. Człek gdy dzień cały kamień na swych piersiach przenosi, przywiąże się, wedle słów poety, do kamienia, cóż dopiéro do ziemi, do wygnania bodaj ziemi! cóż do ludzi, do tych, co mu jedną bodaj gorzkiego wygnania osłodzili chwilę!... A jeśli tą duszą ludzką jest kobieca dusza?

Spahis nie wié, a nawet stanowczo wątpi, czy okradająca go, zdradzająca dla swego plemienia obdartusów podejrzanych, murzynka ma duszę, lecz niewolnik krwi i zmysłów obejść się nie może bez téj czarnéj u kolan swych „małpki“. Śmiertelnie smutny, roztęskniony, dobrym jest dla niéj i łaskawym, na same wyrządzone sobie krzywdy, patrzy ze wspaniałomyślném pobłażaniem silniejszego, wyższego i szlachetnego. Do krwi i zmysłów przyłączają się z czasem inne, te, co krwi i zmysłów popędy zmieniają w najszlachetniejsze męskiego serca, najtkliwsze, najpoczciwsze uczucie: ojcostwa i narzuconéj przez ojcostwo odpowiedzialności. Uczucie ojcostwa w etycznéj skali prześciga o wiele przesławione, a instynktowe, wrodzone uczucie macierzyństwa. Macierzyństwo wobec niego wygląda zaczątkowo, pierwotnie, to téż gdy macierzyństwo w pewnéj mierze dostępne jest istotom niższego gatunku, ojcostwo z jego obowiązkami spada wyłącznie na człowieka, odczute i zrozumiane bywa przez samych najlepszych.

Czy Fatou-gaye ma duszę? Sama się może tego nie domyśla. dowié się o tém dopiéro w męczeńskiéj, za śladami kochanka, po przez piaski Dialakary, pielgrzymce. Spahis nie dowié się nigdy, nigdy! Szeroko otwarte, pobielałe, na żrące słońca promienie nieczułe jego źrenice nie ujrzą tragicznéj grozy chwili, w któréj Fatou-gaye, w ojczystych piaskach udusi własne dziecię, białego sierotę. Silne niedawno, rozrosłe ramiona Spahisa, niezdolne teraz odpędzić krążących po nad nim sępów i gorszych, ohydniejszych wiedźm, trupów-obdzieraczek i gwałcicielek, nie przygarną do łona skłaniającéj mu się na piersi do snu wiecznego a dobrowolnego towarzyszki. Rozchylone usta, w które wlatują jak do pustego domu brzęczące muchy,

nie oddadzą murzynce pocałunku, w którym zmarłemu kochankowi odda swe życie i więcéj niż życie... wielką, kochającą, kobiecą duszę.

Czarna ta „małpka“ kochała. Jak? mniejsza z tém. Rzecz to stref geograficznych. Na takie kochanie mało-jaka biała, ucywilizowana, zbierze się dusza, a wszelkie już kochanie wystarcza dla wytworzenia kobiecéj duszy. Głębokość, wzniołość, rozciągłość, siła tego uczucia są pono i pozostaną najwierniejszym duchowym probierzem kobiety. Fatou-gaye jest kreślona z realizmem, świadczącym i o psychicznéj jéj wierności.

O bardziéj prostą, ludzką, w saméj swéj prostocie, w uwzględnieniu najpowszedniejszych, najbardziéj poziomych motywów realistyczniéjszą powieść, jak „Romans Spahisa“ trudno, lecz téż trudno o dramatyczniejszą i bardziéj rozdzierającą. Miękki, rozwiewny w „*Azyadé*“, wdzięczny, poetyczny w „*Le Mariage de Loti*“, na wskroś dotąd liryczny pisarz, w utworze tym wykazuje siłę pomysłu i wykonania, z którą spotykamy się potém w „Rybaku Islandzkim“. Mniéj skupioną, lecz bardziéj wybuchową. Jeśli w całości etyczna równowaga i artystyczna miara mniéj zadawalniają wybrednych czytelników w „Romansie Spahisa“, niż w „Rybaku Islandkim“, jeśli „Romans Spahisa“ nie jest tak artystycznie zaokrąglony, jak „*Le Mariage de Loti*“, to za to posiada epizody niezrównanéj siły dramatycznéj. Szczególny, rozdzierający w swéj prostocie patos. Postać Spahisa w prostocie swéj klasycznych dosięga rozmiarów. Powalony na piaski pustyni afrykańskiéj, niemniéj śpiżowy od Sofoklesowego, na wulkanicznêm Lemnosu wybrzeżu; z bólu wijącego się Filokteta. Owszem, przerasta go spokojem niemego bólu, bo chociaż stoikami byli starożytni, w boleści ich, wyrzekaniu, biadaniu, jest coś dziecięcego niemal. Może bo ludzkość, jak i człowiek, dojrzewając a o same ocierając się bóle, uczy się cierpiéć dostojniéj i dlatego to temu spahisowi stać na większą, bo milczącą, przeciw przemocy wrogich losów zaciętość, niż bohaterskiemu Heraklesa druhowi?

A może ta, tak nie rzadka w nasze dni, duma bólu i cierpienia wspaniałe milczenie, jest naturalnym wyrazem sceptycyzmu graniczącego o miedzę, o wąską, z fatalizmem? Dla Greków zło jak dobro w konkretne wcielało się kształty. Nieszczęściem obaleni, bólem ścigani uważali się za ofiary takiego lub owego bóstwa. Gniew bogów nawet daje się przebłagać; dowodem mnogie ofiarne ołtarze. Całopalenia nie z saméj krwi tylko, lecz i z łez ofiar powstać mogą. Z bogami... z bogami walczyć można. Walczyli z niemi Ajaks i Dyomed, Prometej do zapasów z samym stanął Zeusem... Kto wierzy, ten płacze... kto wierzy, ten

walczy. Lecz jakże cięższe bezmowne cierpienia, bierne poddanie się jemu!

Loti zbyt długo przebywał na wschodzie, by nie miał wiedzieć, że człowiek nie jest panem siebie. Na niewydanéj i do wydania nie przeznaczonéj karcie pisze:

— „*Si l'on pouvait finir les histoires de la vie, comme celles des livres, à volonté!*“

Ale téj woli nie posiadamy. Rządzi życiem naszém fatum, najczęściéj zresztą w nas-że samych spoczywające, takie bowiem nowożytna idea wyznacza mu siedlisko. Niech kto chce wolną nazywa to wolą! Takie fatum nad biednym zaciężyło Spahisem.

Z męską tą, a tak ludzko-słabą postacią, Loti wyrósł, zmężniał, wyrobił tę siłę i łagodność, z jakiemi rozwiera braterskie nad bratem Iwonem („*Mon frère Yves*“) ramiona. Nie jest to już szałem zmysłowym płonący, sentymentalny przytém młodzieńczo kochanek turczynki „*Azyadé*“. Nie rozmarzony a wykwintny oblubieniec ślicznéj Rarahu! Nie subtelny sceptyk-marzyciel fechtujący się na dyalektykę z przyjacielem Plumcket'em („*Fleurs d'ennui*“), nie pedant, nie filozof, nie dok tryner żaden, broń boże! brat starszy, rozciągający nad młodszym opiekuńcze ramię, przejęty moralną swą odpowiedzialnością. Iwon, to „brat młodszy“ w całém moralném i społeczném tego słowa znaczeniu. Ten znowu starszy, nie lepszy od tamtego, o nie! rozumniejszy tylko, wnikający głębiéj, widzący daléj. Wnika też w duszę Iwona, w jego domowe otoczenie, rodzinne stosunki. Waży i rozważa wszystkie, mogące mu się przytrafić wypadki, wszystkie wpływy szkoły życia, jaką to olbrzymie bretońskie przechodzi dziécię. Z tego względu „*Mon frère Yves*“ zahacza mimochodem o tysiące społecznych, naturą przedmiotu, biegiem powieści wywołanych zagadnień, tak postawiony sam brat Iwon staje się nietylko psychiczną, lecz i społeczną kwestyą. Utwór też ten posiada nastrój i zakrój społeczno-obyczajowéj powieści, rozmiarami inne przerasta utwory. Iwon, pierwszy plan wypełnia barczystą, rozbujałą, rozrzuconą indywidualnością. Dokoła tłoczą się ludzie, dopełniający typ główny. Pole psychicznego i filozoficznego rzutu pisarza rozszerzyło się. Z własnych jeszcze czerpie wrażeń, doświadczeń, lecz się odrywa od swéj indywidualności, wnikając w duszę Iwona, tak jak był wniknął w duszę Spahisa, wprawia się w tę mistrzowską intuicyą, którą podziwiać będziemy w „Starcu“ („*Un Vieux*“); w Janie, Sylwestrze, babci Moau, w Gaud („Rybak Islandzki“).

„*Mon frères Yves*“, posiada tedy zalety, których nie miały uprzednie utwory Loti'ego; ale nie posiada artystycznéj zwięzłości tamtych, siły, jaką podziwiać trzeba w „Romansie Spahisa“, zaokrąglenia, poe-

tycznéj świeżości „*Le Mariage de Loti*“. Pisarz oderwał się od samego siebie, aglomerat psychicznych i społecznych na zewnątrz dokonywanych spostrzeżeń, wytworzył bryłę większego kalibru, lecz mniejszéj artystycznéj wagi. Równowagi téj dosięgnie dopiéro w następnym utworze: w „Rybaku Islandzkim“.

III.

Islandya! jakeśmy daleko odbiegli od stref podzwrotnikowych! Jak dla wytchnienia, w tym nagłym przerzucie, zatrzymaliśmy się z Iwonem na brzegach Bretanii, zanim wkroczymy w arktyczne północy przedświty.

Inne tu niebo, oj! inne! inne wody i ludzie inni. Niebo nie szafirowo złote jak nad Bosforem, nie żółte jak nad afrykańskich pustyń białemi popiołami, nie szare jak tam w dżdżystą pogodę nad Anamu zielonemi łąkami, lecz jak jutrzenka różowe, liliowe, zielonkawe, wszystkich, nawet mlecznych opalu odcieni. Wieczyste świtania, nad któremi nocne nie zapadają mroki, śród których południe samo złotych i ciepłych nie rozpuszcza promieni. Słońce — słońceż to, te blade, skośne, z pod spodu, z pod wód przedzierające się smugi światła! co niegrzeją, nie olśniewają, w które źrenice bezkarnie wpatrywać się mogą!

Cicho! jak tu cicho! ni tu szmerów, ni szeptów zaczarowanych Taiti ogrodów. Cicho! jak gdyby życie całe, przyroda cała pozostawały w zawieszeniu... tylko czasem plusk wody zakłóci tę ciszę: nadpłynęły ławą wieloryby i ogon potworu przerznął do stygnącego ołowiu podobne wody. Cicho! może to te mgły, co się zewsząd, jak nieprzeniknione nasuwają opony, głuszą tak wszelkie odgłosy? Opon tych mglistych nie rozpruwa nawet przelotnéj mewy skrzydło, na pomosty nie opadają, jak tam na podzwrotnikowych morzach, stada zmęczonych, wichrem zbitych, wędrownych ptasząt: dziób statku nie pruje fal znieruchomiałych... Cicho! lecz niech o te ołowiane wody muśnie burzy skrzydło, a cóż wyrówna wyciu, rykom, wściekłości sinéj północnych wichrów wysłanki?

Tak na islandkich wodach, a tam na rodzinnéj Bretanii wybrzeżu? Na piaszczystych wydmach mnogie krzyże w dal wyciągają ramiona, na skalistych wzgórzach cmentarne bieleją kapliczki. Szaro! Gdzie niegdzie krępe zielenią się janowce, gdzie niegdzie tarń brunatne kolczaste, splątane wije gałązki... Mewy o fale białe ocierają skrzydełka, nad wydmami, nad skalistemi wzgórzami, nad męką pańską, cmentarzem, tarnią, janowcem, morskie przelatują wichry i tylko w głębokich jarach zieleniéj, zaciszno a na wiosnę od rozkwitłych gło-

gów, aż różowo. Tu i ptaki i ludzie gniazda sobie ścielą, nisko przy saméj ziemi.

I tu cicho... Słychać jeno ptasząt szczebioty, ochrypłe starców kaszle, niemowląt kwilenia, tam u cmentarnych kapliczek spłakanych wdów modlitwy, w niskich, omszonemi dachy pokrytych lepiankach żon i matek ciche rozhowory, a na cienistych okwieconych wąwozów ścieżkach, tęskne piosenki dziewcząt wyczekujących powrotu kochanków. Miesiącami całemi męskiego tu nie usłyszysz głosu... cała ludność męska na wodach islandzkich!.. gdy wrócą, zakipi życie. Przez wydmy, po skalistém wybrzeżu przebiegać będą wysmukłe muskularnych przechodni cienie, wąwozy zaszemrzą szeptem i pocałunkami, pod strzechą słychać będzie dźwięk szkła, srebra i muzyki i dźwięki wesołych i pijanych piosnek krocie, a opowiadań, a przygód ile!

Mieszkanki tych wybrzeży, w czarnych fałdzistych sukniach i białych na głowie namiotkach, zakonny mają wygląd. Przechowały w całéj jego przedziwnéj czystości, zatracony w Germanii saméj typ holbejnowski. Nawet jasne warkocze tak samo w ślimak zakręcają dokoła uszu, wzdłuż owalnych białych twarzy. Spokojne, jak tamte malowane staroniemieckiéj szkoły, madonny.

A ci, na islandzkich wodach, pod arktyczném niebem, miesiące całe trawiący rybacy?

Olbrzymy! barczyści, rośli, gibcy, nieodrodni potomkowie bajecznych skandynawskich tytanów. Spojrzéć w błękitne źrenice—przezroczyste jak u nowonarodzonych niemowląt, łagodne, razmarzone jak u dziewcząt. Na dziewiczo białe czoła, jasne opadają włosy. A ręce, a ramiona! Góry im dźwigać i przenosić, potwory miażdżyć, jak téż z zimną krwią, bez drgnięcia nerwów miażdżą na pokładach wieloryby nieme i mierzą się i w zapasy codzień tam na islandzkich wodach idą z hydrą burzy, z ciszy hydrą, z przestrzenią, z mgłą, chłodem, trudem, samotnością. Krwi im żadna nie rozpala gorączka. Czekają cierpliwie, działają z rozmysłem i tylko wola ich tężeje, w niewzruszone zastyga kształty. Ludzie ci wierzą — w samych siebie wierzą — tyle zwalczyli niebezpieczeństw!... lecz téż na taką patrzyli nieraz grozę przyrody, że w nadprzyrodzone wierzą téż potęgi i nie symbolem samym jest dla nich w niskiéj kajuty kątku stojący, wśród spłowiałych, sztucznych kwiatów wianka, fajansowéj Matki Boskiéj posążek. Wierzą, kochają... Kochania ich tak głębokie, jak te nieprzeniknione, w które się codzień wpatrują tonie, tak tkliwe, jak jutrzenek odbite w mórz zwierciedle blaski. Blade, niby wielkie srebrne miesiące, słońca, dziewiczo opromieniają im czoła, lecz męskie piersi piją oceanu północy krzepiące kordyały. Nie świętoszkowie to, o nie! umieją i lu-

bią się bawić, życiowe odwety, po długich na morzu postach, rzucają ich w kał rozpusty południowych miast pobrzeżnych, gdzie zbywają swe połowy. Znają życie i wszelkie jego tajnie, tylko te chwilowe szały nie mają niby przystępu do serc ich, ani nawet wyobraźni. Serca i wyobraźnia pozostają, jak czyste, zamknięte przybytki, w których panują ciche, wielkie domowego ogniska bogi. Oto Sylwester Moau, o rozłożystych ramionach, jak dąb wyrosłe niemowlę. Jego dziewicze serce dziecięcą tkliwością pała do brata Jana i dla pomarszczonéj starością babci Moau; wyobraźnię wypełnia na brzegach ojczystych wyczekująca go narzeczona. Wielki Jan zna życie nawylot, jego upadki, spody, manowce, lecz nic sobie z tego nie robi, panuje nad tym ze skandynawskich iście bogów spokojem, chyba gdy w podrażnionéj dumie pragnie miłostkami swemi rozdrażnić i upokorzyć biedną Gaud. A ile tam pod tą dumą, pod tym uporem tkliwości! Spojrzyjmy nań tylko, gdy przesiaduje z narzeczoną na kamiennéj, u progu chaty babci Moau stojącéj ławie i na kolana dziewczyny nagłym ruchem rzuca spragnioną pieszczot, jasnowłosą głowę. Czystszego a bardziéj tkliwego, ludzkiego, w platonizm nie bawiącego się romansu w całém powieściopisarstwie nie znajdziemy może, chociaż w życiu powszedniém, jest podobnych pewnie więcéj, niż się powieściopisarzom zdaje!

Tło powieści wypełniają rybacy, załoga statków, co wracają co pół roku i tych co nie wracają nigdy i tylko jak widmo po przez mgieł opony, zahaczają o „Leopoldynę“. Ciżba ta robi wrażenie chóru z greckiéj tragedyi ogłaszającego wolę bogów lub opiewającego pobudki. Chór składa się z mężów, ojców, braci. Pierwsze i ostatnie ich słowo dla dawno niewidzianych żon, nieznanych sobie, pod nieobecność ich zrodzonych niemowląt. Po przez mgły, przejmujące islandzkich mórz chłody, przedziéra się blask domowego ogniska, rasy zdrowéj, silnéj, pięknéj. Przepysznym wyrazem patryarchalności jest rodzina Gaosów, olbrzym Jan zdający matce sprawę z każdego grosza. Prześliczną ilustracyą stosunków rodzinnych jest stosunek Sylwestra do babci Moau i nawzajem babci Iwonii do wnuka. Wnętrze chaty zamieszkałéj przez dwa sieroctwa, dwie słabości: staruszki i dziewczęcia—babci Moau i Gaud. Zalecanki Jana do téj ostatniéj, wszystko, aż do poślubnéj ich nocy w ciasnéj chacie, tchnie poezyą, uczciwością, a przytém taką prawdą, i tak dalekie jest przesady, czy to w sentymentalnym, czy we wręcz przeciwnym kierunku. Wszystko to owiane atmosferą twardéj pracy, wytrwania, cierpliwych wyczekiwań. Nad wszystkiém tém unosi się niezrównana poezya wiekuistych zmierzchów

przestrzeni, mgły, tęsknéj w wiekuistych czuwaniach nuconéj piosenki: „*Saint François de Nantes...*“

Tam na wybrzeżu jakowém tęskni i marzy Gaud, a wtórują jéj tęsknoty, wyczekiwania, nadzieje całego legionu matek, żon, kochanek...

I nigdy słowa skargi, wybuchu nigdy! ani wówczas nawet, gdy babcia Moau wraca z kancelaryi, gdzie się o śmierci ostatniego dowiedziała wnuka. Chwieje się pod brutalnym ciosem, ale prostuje, naciąga stary szal, na gnące się pod krzyżem swéj doli i starości ramiona. Upadnie, opuści się tam dopiéro w cieniu, w nieprzeniknionéj tajemnicy swéj chaty... Ani wówczas nawet, gdy Gaud czeka i doczekać się nie może powrotu „Leopoldyny“... ani wówczas, gdy na cmentarnéj kaplicy kamiennych płytach czyta: „Gaos! Gaos!! Gaos!!!“ i spotyka drugą domniemaną wdowę. Odwraca się od niéj, nienawidzi jéj niemal, że ją zeszła w jéj rozpaczy... o jakże pysznie! jak przepysznie zrozumiane i oddane we wszelkich najsubtelniejszych jego odcieniach, dostojeństwo boleści, największe z dostojeństw, osiągnięciem których duch ludzki szczycić się może. Proste te, zwykłe po rybakach wdowy, toć spartanki!... I któż z tych, co współczuciem szeroko rozwarte źrenice zapuszcza w życie spartanek, podobnych na każdym nie spotykał kroku?... Ale podpatrzone pochwycić, oddać, zakląć w typ nieśmiertelny, bo wierny, wszechludzki, w przedziwne dzieło sztuki podobne temu, w jakie („*Propos d'Exil*“) rozkochany Loti chciał, na podziw przyszłych pokoleń, zakląć wdzięki swéj lubéj, na to trzeba być artystą niepospolitéj miary—mistrzem!

Jeśli w „Rybaku Islandzkim“ nieprześcignienie już może dojrzały artyzm i psychologiczna intuicya pisarza, to i filozoficzną związał tu syntezę. Nie ma już tych rozpołowień, będących osią „*Azyadé,*“ „*Le Mariage de Loti,*“ „*Le Roman du Spahi.*“ Ponad islandzkich mórz przestworzem, ponad jałowém, męką pańską, zjeżoném wybrzeżem Bretanii ustawiczne unoszą się tęsknoty, rzekłbyś mgły, z samego łona wód i ziemi powstałe westchnienie całéj ludzkości. Z takim smętkiem spotkać się trudno. Usprawiedliwia niemal pesymistyczny krzyk włoskiego z zeszłego wieku filozofa Verri: „*Il solò principio motore dell'uomo è il dolore.*“ Smutne to, rozdzierające w cichym smutku powszedniego życia biegu, lecz nie ma tu już żadnéj wewnętrznéj niesnaski. Etyczna jednolitość do przedziwnéj artystycznéj dostrojona została harmonii. Żaden się tu właściwie nie odgrywa dramat. Dramatem nie można nazwać romansu Gaud i Jana, — płynie on naturalnym, powszednim biegiem. Ale nad Gaud, nad Janem, nad całą tą rybacką ludnością ciąży siła nieprzemożona: *fatum!* znów *fatum*, ale już nie owo

spółczesne, w nas-że samych zrodzone i życiem a losami naszemi rządzące, za pośrednictwem uczuć, namiętności, słabości naszych, lecz starożytne, w postaci sił przyrody, sił ślepych. Stąd i to tragiczne wrażenie i tragicznéj grozy spokój. Nie ma rady! Z tém trudniéj jeszcze, niż z samym sobą walczyć. Tam wola nasza, pozornie wolna, burzy się i to właśnie stanowi dramatyczności zawięź, tu, żadne nie pomogą wysiłki... żadne! Ze spokojem tym nie spotykaliśmy się w uprzednich utworach Juliana Viaud. Tamte były nawskroś liryczne i dramatyczne, w tragedyi „Rybaka Islandzkiego“ dramatycznym jest sam epizod służby i śmierci Sylwestra, boleści osieroconéj babci Moau. Na to była rada, temu winni byli: ludzie, społeczne, polityczne, przeważne na daną chwilę, lecz wiemy, jak dalece przemianom podlegające porządki. Ludzie wymyślili służbę państwową, podatek z krwi i potu! Ludzie wymyślili nawet dla państwowego rzekomego interesu, tak niepotrzebną, wyprawę tonkińską... a szatani chyba budowali te pływające ambulansy-piekła! istne piekła.

Te to porządki rozdarły serce babci Moau, te taką tęsknotą szarpały łono zawieszonego u wroniego gniazda pachołka i umierającego śród wstrętów szpitalnéj kajuty żołnierza. Trzebaż go było odrywać od ojczystych wybrzeży! Wiek nasz, co podpatrzył tyle tajemnic przyrody, nie przejął się jeszcze tą elementarną prawdą: że ludzie, jak rośliny, na własnym tylko swym gruncie kwitnąć, owoc i nasienie dobre wydać mogą. Biedne, oj biedne, na marne przekwitanie skazane, z własnego gruntu ludzkie wyrwane rośliny!

Ale przeciw komu, przeciw czemu skargę wzniesie siérota Gaud, odepchnięta przez Jana? Cóż, że cierpi w dumie i miłości zraniona, że z tęsknoty, z nudy umiéra w pustéj, mrocznéj, zimnéj chacie zdziecinniałéj, zdziwaczałéj babci Moau? Możeż oskarżać obojętność Jana? Starała się ją zwalczyć, starała! śmiało, dzielnie, bez sentymentalnych przesądów—wszak szło o wynalezienie szczęścia! Nie pomogło!

A potém, gdy w przepyszném stopniowaniu tragedya się rozwija i dochodzi do zenitu, gdy Gaud czeka codzień na brzegu powrotu „Leopoldyny“ i doczekać się nie może i czekać przestaje, przeciw komu, przeciw czemu skarżyć się będzie? Przeciw tym wichrom, co tam z północy pędząc, mórz smagają fale i mórz roztwiérają otchłanie? Przeciw spienionym tym falom i niezgłębionym otchłaniom. Ależ one to, one, wszystkich, z ojca na syna pochłaniały Gaosów, ścieląc im śmiertelne łoże. Janowi usłały ślubne! Wszak Gaud wiedziała, że w morzu ma rywalkę... Pamięta przecież jak Jan, własny jéj Jan, w poślubnym ich tygodniu przyjął nieśmiałą jéj propozycyą opuszcze-

nia dla niéj dawnéj kochanki... I na to nie ma rady. Daremne byłyby skargi, daremne!

Nie mało trzeba było twórczéj siły, by z tak prostych motywów wysnuć, a tak po mistrzowsku przeprowadzić tę tragedyą. Więcéj jéj trzeba było w skupieniu i filozoficznym spokoju, niż w przeprowadzeniu wybuchowego dramatu Spahisa.

Ile tu przy tém malowniczości, obrazowość jaka, jakie obmyślenie i obrobienie każdego szczegółu. To się chyba czytając i odczytując utwór da zliczyć. Cytaty są niemożliwe — trzebaby chyba każdą przepisać stronicę. Można pisarzowi, a zwłaszcza oczarowanym czytelnikom życzyć, by ten, co takie stworzył arcydzieło, zdobył się na drugie podobnéj wartości... o lepsze, niech się nie kusi. Lepszego nie wydała beletrystyka naszego czasu. *Pêcheur d'Islande*" tak treścią, jak formą i jak zespoleniem treści z formą, należy do utworów literackich klasycznych, w tém znaczeniu, że się przestarzéć, wyjść z mody, jak to się nawet wielu zdarza arcydziełom, nie może. Jego miejsce śród nielicznego pocztu dzieł, świecących pięknością, nie zależną od czasu i miejsca. Przestaje być ozdobą literatury francuskiéj, staje się własnością duchową wszech ludów.

IV.

W „*Propos d'Exil*" i tomie zawierającym utwory ulotne, pod tym ogólnym złączone tytułem znajdujemy stronice pisane z właściwym Loti'emu artyzmem, z właściwą mu wytwornością, połączoną z głębokiém wzruszeniem, jak np. poświęcone pamięci admirała Courbet'a, i wytworniejsze stokroć, tkliwą przepojone przyjaźnią, święcące pamięć pani Chee-Lee, dla któréj w formie listów, opisywane były wrażenia te z wyprawy tonkińskiéj. Opisy prześliczne! Z takiem arcydziełem opisowości, jak np. „Pagody podziemne" w Anamu zagadkowéj krainie, rzadko spotkać się można. Pełno przytém krajobrazów rodzajowych i obyczajowych bardzo śmiało, zamaszyście, jak np. „*Corvée matinale*," lub też „*Obock*," kreślonych zarysów. Rzucane na nie jednym dosadnym do krańcowego realizmu, to znów poetycznym rysem, ludzkie i nieludzkie postaci, sylwetki żołnierzy, przekupni, tragarzy, markietanek, wesołych cór Wenery, wszelkich rasowych odcieni, meger też wszelkich odcieni, zagadkowe, *con amore* odcieniowane bogi, potwory o szklanych oczach i niepokojących uśmiechach, bawoły o ciepłych, wilgotnych, różowych nozdrzach, bosonogie dzieci bonzów i długorękie małpy, sztucznie przedziwne kwiaty, skałom tym, pustyniom białym, łąkom nieprawdopodobnie zielonym, wodom o ciężkich, leni-

wych biegach, ulicom miast bajecznych, rynkom o wschodnim zgiełku i wschodnich barwach, samotniom i ustroniom wypukły nadają charakter. Czém byłaby Obock'u spalona placówka bez francuskiego garnizonu? A gdzieindziéj („*Revue des deux Mondes*,“ 1888, „*L'Impératrice Printemps*“ przedziwne Japonii ogrody przepełnione bajecznych złocieni kwieciem, bez tego hieratycznego orszaku cesarzowéj, przesuwającego się w blaskach gasnących zachodu i gasnącéj cywilizacyi?

Nie wiem już, w Drezdeńskiéj galeryi, czy w Belwederze w Wiedniu, jest ramka skromna, płótno cali kilka, a na nich staruszka ze złożonemi na kolana rękoma bezczynnie spoczywająca. Zmarszczek jéj nikt nie zliczy, a oczu od nich oderwać trudno. I nie dlatego pociągają wzrok i przykuwają, że z natury są policzone, lecz że są widomą osłoną przeżytych długiego żywota oczarowań i rozczarowań, skąpych radości i mnogich boleści.

Taką pieśń zmarszczek, wygasających stopniowo oczu, myśli, uczuć, instynktów samych, opadających bezczynnie, zmęczonych ramion, pustki, chłodu, dogorywania iskry życia, nuci Loti w „Starcu“ („*Un Vieux*“), wieńczącym tom zatytułowany „*Propos d'Exil.*“ U mety, u ostatniéj stanął ten wygnaniec życia, a mistrz spostrzegawczości. i pióra śmiałą, zuchwałą ręką zdarł osłony przykrywające te dogorywania. Skończony w każdym szczególe, z holenderską precyzyą wycieniowany obrazek, portret, typ, jest zarazem rzeczywistém, psychicznémi fizyologicznémi studyum.

Przy schyłku 1887-go roku wyszła w Paryżu ostatnia powieść Loti'ego zatytułowana „*Madame Chrysanthème*,“ cacko sztuki wydawniczéj.

Właściwie mówiąc, nie jest to powieść. Japońska bohaterka służy za pretekst i słabą zawięź dla opisów, rodzajowych i obyczajowych obrazków. Zawięzi dramatycznéj i niezbędnéj w powieści akcyi, nie ma tu wcale.

Malarskie zalety pióra i wytworność Juliana Viaud, szerokie tu znalazły pole do zastosowania, równie jak jego spostrzegawczość. Właściwościom tym artystycznym i niezaprzeczonemu realizmowi spostrzegawczego autora, utwór zawdzięcza swą oryginalność. Takim, jakim jest, nie mógłby powstać bez téj sporéj dozy wytworności, co o wszelką trywialność ociérać się umié, i bez tego realizmu, co poręcza wierność opisu. Co do téj jednak wierności, jest ona w danym razie względną — i to właśnie stanowi artystyczny jéj realizm — bardzo względną, poetyczną raczéj niż historyczną prawdą.

Czy Japonia jest istotnie kartonowém państwem, Japończycy kartonowemi i porcelanowemi lalkami i potworkami, czy w państwie

Mikada, wszystko jest „*à la Mikado*,“ twierdzić trudno. Tak się to nam wydaje, z naszego europejskiego stanowiska, a także i z tego, z jakiego Japończycy spojrzéć nam na siebie pozwalają. Sam Loti w inném opowiada miejscu („*L'Impératrice Printemps*“) o zasłonach z czarnéj, niby całuny, srebrem lamowanéj krepy, co w cesarskich ogrodach zasnuwają przed niedyskretném europejczyków okiem, niektóre widoki. Sam Loti opowiada, że ogrody te cesarskie, pałac, nikną, są „*dissimulés*“ śród samego Yeddo, zdają się „snem, przywidzedzeniem,“ marą, a gdy się do nich przedrze przez labirynt wąskich, niskich, pustych kurytarzy, zdumiewają swą rozciągłością. Sztuczne to zresztą może tylko perspektywy... Kto ich tam wié.

Co pewna, to że na ustach każdego, czy to porcelanowego, czy żywego Japończyka [1]), w głębi ich małych błyszczących oczu tkwi uśmieszek na poły sarkastyczny, coś, co w chwili najpoważniejszéj dyskusyi z europejczykami, przy najbardziéj uprzejmem obejściu się, zdaje się szeptać i szemrzéć: „bierzem was na kawał.“ I niewiadomo, jak to słusznie zauważył Loti, kiedy są przebrani,—czy wówczas, gdy europejską naśladują cywilizacyą, czy gdy do swych hieratycznych wracają porządków? Mają oni w stosunku do nas tę nad nami niezaprzeną wyższość, że nas znają, gdy my powierzchownie ich tylko sądzić możemy. Stokroć trudniejsi do przeniknienia od australczyków, np.: „Jéj Cesarska Mość Wiochua,“ to nie dobra królowa Pomaré. Tam cywilizacya zaczątkowa, przezroczysta, tu wyrobiona, prastara, ale tak obca nam, daleka w niedostępnym dla nas wyrafinowanym kierunku, że jéj przeniknąć nie możemy tak łatwo. Kto wié, czy nie pochwycim słowa zagadki wówczas dopiéro, gdy to, co jest tam dopiéro zagadką, zwiędnie już pod europejskiéj cywilizacyi tchnieniem. Jak dziś na Babilonu, tak kiedyś na Japonii ruinach, czytać będziemy tajemnice istnienia i zaniku tego, co w niéj japońskiém było. Dziś zwierzchnie rysy, barwy, pociągają nas i w zdumienie wprawiają. Barwy się mienią przedziwnemi blaski, kształty w przedziwne wiją się linie, lecz mienienie się barw wywołujące odcienie, lecz sprężyny w ruch linie te wprawiające pozostają tajemnicą. Dla widza, dla naj-

[1]) Pisząca to miała zręczność przyjrzenia się zbliska jednym i drugim. W Joziorach—pod Grodnem—własności jéj dziada, hrabiego Walickiego, był zbiór przepyszny wschodniéj ceramiki, spuścizna... dziś po stepach rozproszona, po podstolim Walickim. Przed kilku zaś laty zawiązała towarzyskie bliższe stosunki z bawiącą wówczas w Wiedniu legacyą japońską. Z panią, panem Watanabé, księciem Jamasaki i ich świtą, spotykała się przez kilka miesięcy codziennie; a możność porozumienia się z niemi w języku angielskim i francuskim ułatwiała rozmowę o najróżnorodniejszych przedmiotach.

baczniejszego, dla obdarzonego nawet poetyczną intuicyą, Japonia, jak każdy dom japoński, jak dusza i myśl każdego na europejski bodaj ład ucywilizowanego Japończyka, każdéj bodaj u Wortha ubranéj Japonki, przedstawia się jako misterne, o przedziwnie przystosowanych wsuwkach i zasuwkach pudełko. W pudełku o dnach niezliczonych widzim to, co nam zręczny chce pokazać kuglarz. Uderza nas sztuczność, że zaś Loti pozostaje wierny metodzie zasięgania „własnych wrażeń“ świadectwa, i tło i mnogi, różnorodny, pstrzący się na stronicach „*Madame Chrysanthème*“ personel, wywiéra i na czytelniku wrażenie postiszu i potichu.

Bohatérka powieści—to misterna laleczka, cacko wschodniéj ceramiki! Porusza główką o misternie napiętrzonych warkoczach, lecz co się w téj główce gnieździ? Składa i rozkłada drobne, przezroczyste rączęta... ale do jakiéj roboty? Gdy biega po swym białym domku, natrętne odpędzając myszy, nóżki jéj jak porcelanowe stukają o kartonowe dachy, i jak porcelanowa wygląda w księżycu promienia, idąc po wodę do źródła.

Nie tak, oj, nie tak wyglądała w księżyca promieniu, po okwieconych ścieżkach Taiti przechadzająca się Rarahu. Żywa tamta była, jak kwiat świeży giętka u boku rozmarzonego kochanka. Ta... ta obok kochanka zjawia się, jak na sprężynach nakręcona laleczka... Nie, nie marzy on przy niéj... pragnieniem nie ściga nieśmiertelności... nie jest upojony... nawet zmysły jego milczą... Śmieje się, bada, igra... żart to przelotny, kalambur niemal...

Nie, nie prawdę, mówił Schiller, że człowiek zupełnym jest wówczas, gdy igra. Nie, zupełnym wówczas jest dopiéro, gdy jest wzruszony. I człowiek i artysta...

Jego wzruszenia w „*Madame Chrysanthème*“ nie ma śladu. Nie ma tego tchnienia, o którém w „*Propos d'Exil*“ Loti mówi, że „rzeczom i krajom użycza barwy, rzucając na nie tajemniczych czarów blaski.“ Przeważył sceptycyzm. Leży on, jak to widzieliśmy wyżéj, w saméj naturze przedmiotu, lecz o ile naleciałości wieku, życia naleciałości, o ile na wybór przedmiotu wpłynęły?

Duszy ludzkiéj namiętny w „*Rarahu*,“ „*Fatougaye*,“ w „*Azyadé*“ poszukiwacz, o duszę nie zapytał japońskiéj laleczki: „*Madame Chrysanthème*.“ Szkoda! Jeśli kto, to Loti mógł choć za sam koniec skrzydełka japońską pochwycić Psyche... z pozostałych mu na końcu palców pyłków ileżby się wywnioskować dało!

V.

A namiętnym był dotąd Loti poszukiwaczem w duszy ludzkiéj tego odbicia nieba, o którém mówi poeta. Usiłował pochwycić je po przez zmysłów upojenia, krwi gorączkę, życiowe ewentualności, sumienia tak płonne, niestety! zamęty, po przez twarde, solą morską nasiąkłe oczka grubéj, piersi „Islandzkiego Rybaka“ pokrywającéj koszuli. Szukał jéj w woni kobiety-kwiatu Rarahu, na dnie ciemnéj myśli murzynki, w aureoli madonny rozbłysłéj nad Gaud czystém a majestatycznem czołem. Szukał w błękitnych źrenicach Sylwestra, w gasnącym „Starca“ wzroku. Policzył każde ludzkiego serca bicie, radość każdą, każdą boleść, wszystkie światła i cienie, aż do przelotnéj sensacyi przebłysku, aż do zmysłów omamień, sennych złudzeń, policzył i w dziele swém, z niesłychaném oddał natężeniem. Nie pominął żadnego wrażenia, fizyologicznego bodaj, co o psychologią zahacza.

Poszukiwaniem tém wypełnia pewną, w powieściopisarstwie francuskiém powstałą lukę.

„Staram się, — pisze on we „*Fleurs d'Ennui*“ — żyć pomiędzy ludźmi najprostszymi, pomiędzy tymi, co kwitną i rozwijają się jak rośliny, wydają owoc i umieją, gdy pora przyjdzie, odkwitać, opadać spokojnie.“

Takie właśnie dusze proste pominęła była obecna francuska powieść, lub téż brała je jednostronnie, uwydatniając jakiś rys szczególny, albo i naginając do potrzeb téj lub owéj tezy. Z jednéj strony godnemi badań wydawały się jéj takie tylko dusze, jak panów de Camors i całego legionu jego dziedziców, z drugiéj — wpatrywała się w te zbiorniki newrozy, chuci, histeryi, patologicznych zboczeń, które szkoła naturalistyczna obiéra za przedmiot swych psychiczno-społecznych studyów. Zdrowéj a prostéj, takiéj, co jak roślina na słońcu rozwija się, kwitnie, odkwita, nie ma może ani jednéj w całém obecném powieściopisarstwie francuskiém. Sama młodociana bohatérka „Marzenia“ (*Le Rêve*) jest histeryczką, chorobliwie—i niesmacznie—rozmarzoną. O wieleż zdrowszą, świeższą jest Rarahu! Ani Safo, ani Nana, ani Germinie Lacerteux, ani Julia de Trécoeurs, ani Sybila, nie dosięga miary typu. Każda z nich, bodaj w artystyczném udatna, w społeczném wierna znaczeniu, psychologicznie należy do wyjątków, pozostaje wyskokiem jeśli już nie saméj wyobraźni lub stawianéj przez autora tezy, to pewnéj wyłącznéj społecznéj sfery, pewnego momentu. Po za tą sferą i tym momentem ani przedstawić jéj sobie, ani zrozumiéć nie możemy.

Loti za przedmiot studyów psychicznych obiéra sobie motywy i dusze proste, pierwotne, i z nich wytwarza typy. Są niemi: Spahis i brat Iwon, Jan Gaos i Sylwester Moau i czarna Fatougaye i Rarahu oliwkowa i biała, biała Gaud.

Czy te proste dusze są gminnemi, to inna rzecz. Nie są niemi i nie przez same wytworne zalety pióra pisarza, ale w istocie swéj gminnemi nie są. Każda bo dusza ludzka jest subtelną, każda, najprostsza. Rzeczą poety pochwycić i wyłączyć z niéj to, co lotne, i lotność tę ściśle do duchowéj zastosować skali. Gdy nieoddzielny od niéj-że saméj promień przejmie najgłębsze bodaj, duszy ludzkiéj mroki, ociężały, zmysłami z ziemią wygnania skuty Spahis, będzie nietylko żywym i prawdziwym, lecz dramatycznym i posągowym; pijak Iwon obudzi współczucie, a poniekąd nie utraci naszego szacunku; odaliska Azyadé rozbroi cichą serca pokorą, Rarahu w naiwności i szczerości uczucia odzyszcze niewinność, Fatougaye, czarna, bezwstydna Fatougaye, doświadczona macierzyństwem i cierpieniem, ciśnie jak racę ognistéj miłości pocisk.

Czy te proste dusze są subtelne? Pomińmy już subiektywną subtelność kochanka Azyadé i oblubieńca Rarahu, a zastanówmy się nad typowemi powyżéj wymienionemi postaciami. Wiemy, że dwie są subtelności odmiany: sztuczna jest, jest i wrodzona. Subtelną niewątpliwie dusza pana de Camors, ale téż subtelny, bardzo subtelny ciężki Spahis, subtelny zaprzepaszczony brat Iwon, subtelny, bardzo subtelny z jednéj bryły kryształu odlany Jan Gaos i młodociany Sylwester. Subtelną jest Sybila i Julia de Trècoeur, ale subtelnemi są téż—kto zaprzeczy?—Gaud, Rarahu, czarna Fatougaye. Ile tam w tych prostych duszach tego wszystkiego, co najtkliwszém jest i najtkliwsze budzi wzruszenie! Ile dla najbardziéj złożonych dusz, niedostępnych często porywów, a ile tych delikatnych odcieni uczuć, co w prostych duszach uchodzą baczności pospolitego widza, a które oko artysty i poety podpatrzéć umié.

Wszystko to składa się na wytworzenie typu. Takich, jakiemi są, jakiemi autor zrozumiał ich i z doskonałą przedstawił nam plastyką, ludzi tych rozumiemy i wyobrazić sobie możemy śród innych, śród jakichbądź okoliczności, nietylko śród tych, śród których podobało się autorowi ich postawić. Poznajemy ich dokładnie i raz nazawsze.

Typy te nie są liczne u Loti'ego, na palcach policzyć się dadzą,—bo Loti posiada rzadką dziś powściągliwość i szczegółu i tworzenia charakterów. Za to szczegóły nie są u niego nigdy zbyteczne, a typy skończone są zawsze. Posiadają zresztą dziwną przezroczystość—nigdy, ani w psychiczném, ani w plastyczném znaczeniu nie bywają

mętne. Nadmienialiśmy już nieraz, w przebiegu téj pracy o przewiewności, powietrzności, jakie posiada twórczość Loti'ego. Przeciętny czytelnik, uderzony niemi, przypisuje je wyłącznie malarskim właściwościom jego pióra, mnogości krajobrazów i tym podobnie. Względy to drugorzędne. Istota wrażenia wypływa z powściągliwości pisarza, z odosobnienia i wszechstronnego oświetlenia typu, z przeniknięcia na wskroś badanéj duszy ludzkiéj, z czystości i prostoty szkicowych linii, podstawowych rysów.

Typy to wyłącznie ludowe: Spahis, brat Iwon, Sylwester, Jan Gaos, babcia Moau, Gaud. Po za temi ciżba żołnierzy, przekupniów, tragarzy, rybaków, — słowem, lud. Znalazł on téż w Spahisie swój wyraz, znalazł w bracie Iwonie, w Sylwestrze, w Starcu wyrazy wierne, realistyczne, lecz bynajmniéj nie brutalne. Nie uderzają one odrazu wyobraźni czytelnika, jak ludowe typy Zoli, inaczéj-bo malowane i wyskokową nie odznaczające się potęgą. Nie bywają nigdy krzykliwém, a równie nieprzyzwoitém, jak wyszukaném ochrzczone imieniem. Nie są też w najmniejszéj mierze symbolem. Realizm Loti'ego bywa gruby, dosadnym podkreślony tu i owdzie rysem, nie bywa nigdy brudny, typy jego są zjawiskiem ludzi pospolitych i przeciętnych, amalgamatem dodatnich i ujemnych właściwości, wrodzonych i nabytych, dających się i nie dających przekształcić. Wszelkie zewnętrzne wpływy tego co się nazywa „*le milieu*," wszelkie wewnętrzne, aż do fizyologicznych nastrojów danéj chwili, są tu szeroko, bardzo szeroko uwzględnione, a pomimo to—pomimo ciążącego nad nim *fatum*, człowiek u Loti'ego nie jest bierną pastwą rzeczy, wybija się z pod ich władzy, nie licującą z niemi tęsknotą, wspomnieniem, pragnieniem. Popychany niemi, działa, pozornie przynajmniéj, na własną rękę. Natura ludzka nie została sponiewieraną, przyroda szarganą w błocie i spotwarzoną o rozbudzanie i nasycanie w człowieku samych zwierzęcych instynktów. W Spahisie przeważa męzka ludu siła, obok pewnego ociężenia. Dusza drzémie w sieci zmysłów, lecz tęskni i cierpi. Iwon—to rozrosłe, na poły tylko odpowiedzialne, świetnie uzdolnione niemowlę, któremu brak tego hartu, jaki dać może wykształcenie. Wobec różnorodnych wpływów otoczenia, nikną, w walce z niemi powszedniéj zwyciężone, dodatnie wpływy „starszego brata." Wpływy te jednak, owo „braterstwo", podniecają ustawicznie przyrodzone zalety tego utrapieńca. W „Rybaku Islandzkim" zaś Loti wzniósł ludowi francuskiemu przedziwnéj piękności pomnik. Budował go z realnych, czysto ludzkich pierwiastków, lecz zbudował odmienny, bardzo odmienny, a w poetyczności swéj wierniejszy chyba od tego cokułu z błota i hańby, chciwości i ani na chwilę, ani nawet w przesyceniu nie milknących

zwierzęcych chuci, jakim pierś swego ludu, niebacznie, niechcący zapewne, gwoli recepcie swéj szkoły, przytłoczył mistrz naturalizmu (*La Terre*).

Wierność psychiczną typów Loti'ego popiéra plastyczna ich siła, zasadzająca się zarówno na poetyczném wniknięciu i realistyczném obrobieniu.

Z kolei tedy nasuwa się pytanie, w jakiéj mierze realistą jest Loti? Że jest nim, nie ulega wątpliwości, sama jego opisowość i spostrzegawczość świadczą o tém dostatecznie. Widzimy nawet, że tu i ówdzie, w ofierze prądom czasu, składa rys grubszy, chociaż od prądów tych odrywają go ustawicznie, może potężniejsze, samą głąb jego talentu nurtujące prądy — wytworności.

Że wytworność się godzi z realizmem, dowiedli tego u nas Okoński i Sienkiewicz, we Francyi dowodzi Loti. Dotąd sądzono, a u nas płytcy czytelnicy i krytycy sądzą, że wytworność jest właściwością salonu a wszystko, co się dzieje lub zamierza dziać w salonie, wytworności nosi piętno. Loti przekonywa, że tak nie jest. Przekonywa i o tém, że po za salonem nie sama istnieje karczma, nie sam rynsztok. „Są przestworza mórz i lądów, dalekie są nieboskłony“. Krajobrazy niezliczone, słoneczne i pochmurne, południa i północy! Lasy cieniste, łąki zielone, góry, skały, a nawet, do zaczarowanych ogrodów podobne podziemia. Są rynki miast wielkich, są i zaułki. Są chaty i gorzéj niż chaty: bywają koszary. Ani zaułków, ani koszar nie pominął Loti, owszem rysował je z natury a bardzo różnorodne, pod rozmaitéj geograficznéj szerokości stopniami, rysował śmiało, zamaszyście z brawurą niezrównanego kolorytu, a jednak... nigdzie niemal nie przekroczył miary, granicy, przed którą cofa się artyzm. Vernon Lee mówi gdzieś, że geniusz ratuje szpetotę i Szekspirowi wybaczyć można Kalibana, Rubensowi jego trupy i w konwulsyach wijących się opętańców. Tak samo Loti'emu grubsze tu i owdzie rysy, jako to kobiét-szakali w Spahisie, zbyt dosadnéj charakterystyki rozrywek znudzonego w garnizonie żołdactwa, lub azyatyckich obyczajów, wybaczyć można gwoli jego wytworności wrodzonéj, nie nabytéj, nabyć się nie dającéj, co się ociéra o gminność i trywialność, tak jak dziewiczy Sylwester („Rybak Islandzki“) ociérał się o wybielone piękności trotuarów Brestu: „*Ici, garçon, ici*“.

Wytworność to ta, chociaż nigdy nigdzie nie wwodzi czytelnika do salonu i buduaru, nadaje utworom Lotie'go arystokratyczny odcień. Ten to odcień właśnie nie dozwala im spopularyzować się dość szybko w społeczeństwie demokratyczném, radykalném, domagającém się de-

mokratyzmu tam nawet, gdzie nie jest możliwy, jako to w formie zastosowanéj do sztuki.

Loti'ego pociąga widocznie subtelna, wyrafinowana, na poły tajemnicza wytworność japońska. Pociąga, czaruje. Dość przeczytać opis cesarskich w Yeddo ogrodów (*L'Impératrice Printemps*) „*Rien de banal, par exemple!*—pisze—*rien qui ne soit extrêmement raffiné et rare. Dans un lieu tout à fait unique, une réunion de gens disparates au dernier point, mais en somme choisie*“.

Sama banalność mu wstrętna. Nie popada też w nią nigdy, nigdzie. Wyłączność, rzadkość, nęcą go i tylko instynkt poety, tylko realizm w tém, co realizm ma orzeźwiającego, jędrnego, ratują go od wycackania. Loti jest wytworny, lecz wcale, wcale nie wymuskany. Owszem, pozostaje surowym. „Romans Spahisa“ i „Rybak Islandzki“ są trzymane w tonie tego, co Francuzi zowią: „*le grand art*“, poważnym, surowym. Kładliśmy— i umyślnie — nacisk na to, że Loti jest realistą, i pytaliśmy w jakiéj jest nim mierze? Tylko że znów...

W samém rozumieniu realizmu zachodzi wielkie, a dla sztuki fatalne nieporozumienie. To co niedawno jeden z pierwszorzędnych mistrzów pióra pisał do „Niwy“ z Konstantynopola o zachodach słońca, o grze barw i świateł Złotego Rogu i o... „psach zdechłych“, jest właśnie tém wielkiém, a dla sztuki fatalném, nieporozumieniem. I to i tamto prawdą jest, jawą... co zaś godniejszym przedmiotem sztuki, co na czytelniku wywrze to podniosłe wrażenie, które wywiérać sztuki jest zadaniem?

I to i tamto prawdą jest i jawą, a w duszy ludzkiéj i najpowszedniejszego bodaj życia toku, są motywy odpowiadające téj i tamtéj jawie. Artysta wybierze zawsze motywy i prawdy piękniejsze, donioślejsze, bogatsze, kładąc na nie nacisk nieumyślny bynajmniéj, nie retoryczny lecz „naturalnego“, że tak rzec można „doboru“.

Bo czyż realizm zasadza się na malowaniu rzeczy szpetnych, brudnych, trywialnych? Czy nie ma być raczéj malowaniem wiernèm, z natury, ale i z tym przebłyskiem idealnym, co sztukę sztuką czyni? Dawniéj Grecya, późniéj w epoce odrodzenia, Włochy, dostatecznych dostarczają w téj mierze wskazówek.

Realizm przejawia się nadto w sztuce dwojako: w zrozumieniu przedmiotu i w wykonaniu. Któż wątpi, że Rubens, Tycyan, sam nawet miękki Carlo Dolce, znali anatomią? — znali lepiéj może od niejednego z tych realistów, co na trumnach i drzwiach cmentarnych kaplic kościotrupów malują.

Toż samo w piśmiennictwie. Wszystkie tajnie życia, przyrody znane, oj! dokładnie znane być muszą poetom i ta to tylko znajomość,

to uwzględnienie, wielkimi ich czyni. Bez téj znajomości pozostają bezsilni, jak niemowlęta, na niemowlęcego wdzięku zdobyć się tylko zdolni szczebioty.

Elementarne to prawdy, lecz...

Pospolitych, obałamucanych rzekoméj krytyki pomyłkami czytelników, uderza sam realizm formy. Gdzie tego realizmu nie ma, czytelnicy dzisiejsi wraz z dziewięciu-dziesięcioma krytyków, obwiniają pisarzy o romantyzm, arystokratyzm, sentymentalizm i Bóg wié o co. A na odwrót, gdzie forma jest realną, wszelkie kryjące się pod nią społeczne i psychiczne fałsze uchodzą niepostrzeżone. Ileż fałszów podobnych posiada rzekoma realistyczna beletrystyka!

Loti jest przedewszystkiém realistą, w zrozumieniu prawdy i jawy piękna. Jest nim téż we wniknięciu w przedmiot. Formę zachowuje wytworną i posługuje się w niéj realizmem tam, gdzie tego plastyka wymaga. Nie waha się stałe podstawowe linie obrzucać kwiatami, barwą, mgłą. Nie waha się być poetycznym, rozwiewnym nawet. Są tam stronice, wywierające wrażenie sennego widziadła, mirażu, haszyszem wywołanéj halucynacyi. Lecz uspokójmy się. Gruntu, realnego gruntu z pod nóg nie traci, tylko mistrzowstwo formy wywołuje to złudzenie, tylko je wywołuje pochwycenie we własnéj i w inteligentnego czytelnika duszy, tego czegoś, co w niéj jest rozwiewném, przywidzeniem, mirażem, halucynacyą, snem na poły, na poły jawą... Któż tych stanów nie zna, któż ich nie przebywa?...

Niejednokrotnie, w biegu niniejszéj pracy, dotykaliśmy malarskich zalet pióra Loti'ego. Są bowiem pióra o których mówią i słusznie, że są lapidarne, są inne muzykalne niby i są malarskie. Pióro Loti'ego tak dalece jest malarskiém, że czytając go same się widzi obrazy, barwy, promienie, mgły, czuje niby zimno i gorąco, niesłychaną podziwia powietrzność. Nikt w całéj literaturze francuskiéj nie jest takim, jak on pejzażystą, my mamy w naszéj Sienkiewicza. Malowniczość krajobrazową wprowadzili do piśmiennictwa francuskiego: Chateaubriand i George Sand, lecz jakże różnie rozumieją przyrodę! Loti rozumié ją jak kochanek, znający dokładnie wszystkie swéj kochanki wdzięki, niezliczone odmiany, aż do samych grozy uroków. Bliżsi już mu w odczuciu przyrody amerykańcy pisarze: Emmerson, od którego poszedł popęd, Walt Whiteman i Thoreau, przedstawiciele tak zwanéj *„out doors“* literatury. Tylko nie posiadają ani w części takiego kolorytu, ani téż tak potężnéj poezyi podmuchu.

Pod temi dwoma względami Loti jest niezrówny. Malowniczość jego pióra nasuwa mimowoli porównania z malarzami. Czytając go, niepodobna np. nie myśléć o Peruginie. Jak u tamtego, kompozycya

nie jest zawiłą, ale za to co za barwność, jakie ciepło, jaka gra świateł i cieni, powietrzność jaka! Powietrzność Perugina i słodki, błękitny spokój Sasso Ferrato. Innym razem — to Ruysdael pióra, a niektóre karty z „*Fleurs d'Ennui*“ i „*M-me Chrysanthème*“ mają całą wymuskaną wytworność Vatteau i Wouvermanów. Gaud, niby z Holbeinowskiego wycięta płótna, a plac kościelny małego miasteczka, na który patrzy rozmarzona, z ram kamiennych swego okna wychylająca się dziewczyna w namiotce białéj, jakie to znów flamandzkie. A ten orszak weselny z grajkiem na czele, na skalistém pobrzeżu morskiém wichrem smagany... A morze, zwłaszcza téż morze! Ta tęcza, ta gama krajobrazów, których „Rybak Islandzki“ jest jednym, nieprzerwanym szeregiem, gama tak po mistrzowsku stopniowana aż do końcowego akordu burzy, tak przepiękna, rozmaita, że nigdy nie nuży czytelnika. Jakiż pędzel zdąży za tém bogactwem, tą rozmaitością opisów. A te wichrów wycia, ciszy szmery, jakiż odda je pędzel?...

W opisach Algieru, Afryki, pióro Loti'ego o lepsze walczy z pędzlem przedwcześnie zgasłego francuskiego malarza Gustawa Guillaumet. I ten malował Algier *con amore*. Zarzucano mu nawet, że jego kobiéty są za białe i za piękne. Fatougaye chyba z takiém się nie spotka zarzutem? Chciałoby się znów, by Japonią, Tonkin, Anam opisywane przez Loti'ego, ilustrował nasz Fałat. Pomiędzy naszym akwarelistą i francuskim pisarzem zachodzi bliskie pokrewieństwo duchowe, tak w zrozumieniu, jak i odtwarzaniu zjawisk przyrody i typów, a nawet w metodzie tworzenia. Wnikając z zamiłowaniem w dzieło jednego i drugiego, dostrzega się to pokrewieństwo. Realiści podszyci idealistami! Poeci zdolni podpatrzyć rys komiczny i pospolity! Ta sama pewność i zamaszystość rysunku w łowieniu przelotnych zjawisk, śmiałość i szczerość barw ta sama.

Przypatrzmy się tylko tym zadowolonym Chinczykom, siedzącym na pokładzie okrętu i tym gibkim, lśniącym, muskularnym, czarnym i oliwkowym torsom, ładujących dna statków tragarzy. Przypatrzmy się Ardenu zatoce, Singapuru żółtym wodom. Wpatrzmy się w tę pustą, znojem upału zgniecioną ulicę w Toledo... Wszędzie ten sam, obu im wspólny, obu zaszczyt przynoszący, istotny a nie sztuczny, z pięknem ściśle rachujący się realizm.

Na jednéj z akwarel Fałata, śród bezładu od niechcenia rzuconych szkiców stref podzwrotnikowych, wygląda blada, o ociężałych powiekach twarz Anamity. Jakże ona wiele, wiele mówi! Tak wyglądać muszą milczący, w białe szaty odziani, w potworne a tajemnicze swe bogi wpatrzeni bonzowie. Twarz ta wyłania się ze stronic utworów Loti'ego niejednokrotnie. O ten typ azyów! Jeśli prawdą

jest ta zahimalajska nasza kolébka, jakżeśmy od niéj daleko, daleko odbiegli.

Pod tą często aż zawrotnie śmiałą szkicowością, pod powodzią barw i świateł, pod temi obrazami tak znów gdzieindziéj odcieniowanemi, że się rysy zlewają i rozwiewają niby, tkwi zawsze pewność ręki wytrawnego rysownika i wówczas nawet, gdy wpadamy w otchłań mgły, świateł, ich gier opalowych, w otchłań powietrzną samą, i wówczas nawet, gdy w mirażu lub haszyszu ojczyznach, Loti probuje w czytelniku obudzić intensywne wrażenie jednego lub drugiego, bywa on plastycznie, malowniczo konkretny.

Żeby podobne wywołać wrażenie, takiemi posłusznemi sobie posługiwać się efektami, trzeba nielada zewnętrzne posiadać środki. Dla malarza tym środkiem są farby, których kombinacye i odmiany od jego zależą natchnienia. Dla pisarza jest nim język i styl, słów ograniczona liczba, których kombinacye, odmiany, ład zależą od natchnienia, a są tak indywidualne, że się aż wytworzyło przysłowie: „*le style c'est l'homme.*“

Słowa są to przezroczyste niby pryzmaty, które jak słońce kryształ, przenika w danym razie geniusz języka. Jak malarz farby na palecie, pisarz rozkłada, szykuje, miesza słowo i jak malarz z farb, wydobywa z nich barwę.

Trudno téż uwierzyć zaręczeniom krytyki francuzkiéj, by pisarz, którego pióro zadziwiającą posiada malowniczość, nie znał własnego języka. Trudno! Wprawdzie językowe i stylowe subtelne usterki wymykają się z pod badań cudzoziemców, ale bądź co bądź, nie wymyka się ta giętkość słowa, to bogactwo w oddaniu uplastycznienia niepochwytnych nieraz odcieni. W opisach Loti'ego z pogodą i barwą obrazu zmienia się samo *tempo* stylu, a rytmiczność tego stylu jest szkopułem dla oczarowanego i wsłuchanego w nią tłómacza. Oj! oj! czy w téj tam krytyce zarzucającéj mu nieznajomość ojczystego języka, nie było czasem nieco złéj a nieszczeréj woli, nie akademickiéj już, lecz po prostu bakałarskiéj szykany.

Aby do takiéj dojść obrazowości i malowniczości, trzeba miéć nadto bogatą wyobraźnią. Nietylko trzeba widziéć, trzeba nadto umiéć patrzéć i umiéć pamiętać. Trzy czwarte uczestników w tonkińskiéj wyprawie nie dostrzegło najpewniéj tego, co widział Loti. Ocierali się o to co dzień i nie dostrzegli. Wyobraźnia jest dopiéro tém optyczném narzędziem, co chłonie obraz i przeistacza w dzieło sztuki. Im głębszą będzie o szerszym rzucie spostrzegawczym, tém obraz wyjdzie pełniejszy, wierniejszy.

Nasuwa się z kolei pytanie, co do saméj opisowości i miejsca, ja-

kie w powieści zająć winna. Szablonowe wymiary nie byłyby tu stosowne. Chemia sztuki, jak chemia przyrody, posługuje się nieokreślonemi z góry miarami i wagami, i gdy całość dodatnie wywiéra wrażenie, stosunek wzajemny składowych części na dalekie usuwa się plany.

Kwestya opisowości tak często jednak poruszaną bywa, że milczeniem pominąć jéj nie wypada wobec miejsca, jakie opisowość zajęła w dziele Loti'ego.

Powieść jest parafrazą dramatu. Z tych samych, co dramat, winna się składać pierwiastków, z dodatkiem opisowości, któréj dramat nie znosi, która w nim osłabia akcyą i zawsze chybionym bywa efektem. W powieści opisowość jest pasmem wiążącém powieść z eposem, jest tém, czém przy śpiewie muzyka: wtórem, akompaniamentem, nadaje i podtrzymuje ton. Nie ma wątpliwości, że akompaniament melodyi głosu głuszyć nie powinien, a nadużycie zwłaszcza krajobrazów, osłabia akcyą w powieści. Z tego względu jest bezwątpienia za wiele opisowości w Loti'm. Sama piękność obrazów jego odrywa i rozprasza uwagę czytelnika. Dramatyczność też powieści Loti'ego nie polega na akcyi, lecz tkwi raczéj w założeniu psychicznćm. Właściwie mówiąc i ze stanowiska powieściowego rozważając, utwory te są pozbawione akcyi jednolitéj. Są raczéj szeregiem obrazów i stanów duszy, lecz posiadają zarazem i ten rys realistyczny, co tak wiernemi je czyni, i ten liryzm, co takiéj użycza im poetyczności i tę dramatyczną zawięź, bez któréj obraz wrażenia nie wywiéra. Można też i trzeba zarzucić utworom Loti'ego wady kompozycyi, rozluźnienie, do którego opisowość nie mało się przyczynia! W samym „Rybaku Islandzkim“ pisarz zachował stopniowanie potęgujące wrażenie. Są to zapewne zarzuty poważne. Tém nie mniéj dzieła Loti'ego wzruszają do głębi. W tym to może głównie względzie wypełnia on lukę w obecném piśmiennictwie francuskiém. Wzrusza bo przekonany, wzruszony, subiektywny.

Psycholog wdziéra się w głąb duszy i dotyka strun wiecznie w niéj dźwięczących, podstawowych, nie zaś społecznemi napiętych kwestyami. Podmuchem wielkiego uczucia i bujnéj fantazyi odrywa od ziemi, a rzadkiemi plastycznemi i malarskiemi zaletami przemawia do oka i wyobraźni czytelnika. Realista, tak, realista — bez tego nie miałby żywotnéj siły!—ale rozkochany w pięknie, rozumiejący piękno, wydzielający je z prawdy wszelakiéj; myśmy tak piękna spragnieni, tak go nam skąpo wydzielają najgienialniejsi dzisiejsi pisarze! Do Loti'ego zastosować można to, co Wiktor Hugo mówił o Szekspirze: „*Montre moi ton pied géni et voyons si tu as de la poussière terrestre.*“

Jest ten pył, ślad ziemi, bez którego obcym się nam staje sam ge-

niusz. Jest. Nie ma tylko szkolniczego, grubego balastu, tamującego siłę rzutu tego na wskroś poetyckiego talentu.

Do żadnéj nie wszedł szkoły...

Czy pamiętacie klechdę o téj pokojówce, co pod nieobecność swéj pani, używanego przez nią, odmładzającego eliksiru połknęła taką dozę, że aż w niemowlęctwo popadła?

Heine przed laty, przed wielu, klechdę tę do romatycznéj stosował szkoły.

I to niemowlę wzrosło, postarzało, zwiędło. Okazała się potrzeba zażycia na nowo odmładzającego nektaru... Ma nim być realizm... Ostrożnie!

Jest inna baśń jeszcze, stara, oj stara! Przed laty, przed wielu, opowiedział ją słynny mąż bogatéj afrykańskiéj wdowy. Baśń o tym biédaku, co, chcąc zamienić się w ptaka, wypił dekokt zmieniający go w uparte, ociężałe stworzenie...

Szkoły! Loti nie wszedł do żadnéj...

Na cennym mym wachlarzu czytam:

„Szkoły w literaturze są to omnibusy; kto ma własne konie, ten niemi nie jeździ.“

Z arystokratyczną swobodą talentu rzucony aforyzm, podpisany imieniem Henryka Sienkiewicza.

I Loti ma własne konie, ogniste, nadpowietrzne rumaki. U wielkiego niedawno jeszcze, — dziś śród walk szkolarskich przygasłego ogniska powieści francuskiéj porwał zarzéwie... Roziskrza je tchnieniem dobrze zrozumianego realizmu i niepospolitego, niezależnego talentu.

Grodno, luty, 1889 roku.

Wila Zyndram-Kościałkowska.





GŁUCHY MICHAŁ.

Głuchy Michał liczył trzydziesty rok życia, jak mu biéda tak we wsi Rozdołach dokuczyła, że postanowił porzucić łaskawy chléb gromady, a wyszukać sobie, jaką, choćby najkrwawszą służbę.

Pewnego téż wiosennego poranka, z tém silném postanowieniem w głowie obudził się w oborze sołtysa Salamandry, który mu dawał nocleg w zamian za różne małe wysługi.

Głuchy Michał bowiem nosił czasem papiery do kancelaryi gminnéj, gdy sołtys miał pilne roboty w domu, około roli.

Przetarł oczy, zerwał się z barłogu słomy, leżącego między ścianą a krową „Mordulą“, i wybiegł do drzwi, w których progu stanął.

Słońce dopiéro co wysłało na świat swoje pierwsze blaski, zaświéciło brylantowym łyskiem rosy na polach i łąkach, ozłociło chmury i w kłos rozwijające się jęczmiona.

— Śliczny dzionek! — zamruczał Michał, zarzucając na siebie starą sukmanę. Nałożył na głowę szeroki słomiany kapelusz i pobiegł lekki jak pióro ku strumykowi, który po pod zagrodą Gorzenia, wśród kilku brzózek wpadał do rzeczki.

Nikogo w drodze nie spotkał, bo jeszcze chłopi się nie ruszyli.

On tylko wstawał zawsze najwcześniéj, a dnia tego jeszcze wcześniéj, niż kiedykolwiek, bo głowę miał nabitą projektami tlejącemi w niéj od lat, ale które teraz dopiéro do skutku doprowadzić postanowił.

Chłopi w Rozdołach nie dawali mu dobrego słowa, nazywali go głuchym Michałem, choć wcale głuchym nie był, jak stary Fedko Bazarnik lub Stypulina.

Niedosłyszał wprawdzie na lewe ucho, od czasu, kiedy dzieckiem będąc wpadł był w osuszoną studnię, ale nie był głuchym.

— Głuchy Michał! ciewy? — idąc nagle zamruczał i przystanął. Oparł się o płot, za którym bielały, jak panny młode, czereśnie i wiśnie, i zadumał.

— Co on miał na wsi robić i żyć z łaski i żebrać strawy i odzienia, gdy nadchodziły śniegi i mrozy? Albo to on nie miał rąk zdatnych do pracy, które podnosiły wóz w drabicach u sołtysa, gdy go chciał nasmarować, jadąc na jarmark? Albo to on nie miał nóg zdrowych, co chyżéj biegały po pastwisku, niż „bułany“ Gorzenia, gdy się rozbrykał i prosto w szkodę, lub w pańskie niwy pędził?

Bardzo się zasępił i zamyślił, bo zapuszczając błędny wzrok w dal, ku niwom i polom stał nieruchomy, dłubiąc tylko palcami w nosie i wzdychając od czasu do czasu.

— Co on miał na wsi? — myślał — żałowali mu mléka, wyrzucali mu chléb, który darmo jadł, poniewierali nim, jak jakim najdą, a on najdą, ani cyganem przecież nie był. Ojciec jego miał zagrodę w Rozdołach, a matula, co go dzieckiem odumarła, z dawności, z ojców i dziadów Rozdolską była. A wczoraj parobek od Iwaniaka nawymyślał mu pod karczmą, do bicia się czepił, a gospodarze ino się śmiali.

Głuchy Michał otrząsł się. Przeleciała mu przez głowę jakaś myśl, jak błyskawica, bo uśmiechnął się do niéj i poskrobał w głowę tak, że aż kapelusz mu z niéj zleciał.

Nie podnosił go, tylko się zamyślił.

Wczoraj był słyszał, że we dworze chłopak od stadniny uciekł. Dwór ciągle miał kłopot z tą stadniną, bo to w niéj konie były już, a nie łoszaki, bestye jak hamany, szkódne i uparte. Nikt nie chciał, żeby go tam ze skóry darto, iść do stadniny na pastuchy. Była to krwawa praca pilnować tych konisk, aby się nie rozbrykały i niepoleciały „światami“. Albo téż zganiać je z pastwiska i zastępować drogę, gdy źrebiec jaki zbaczał z wygonu. A co trzeba było nahajek wycierpiéć od polowego, gdy bestya która wlazła w pszenicę. A ekonom ile razy plecy wygarbował, gdy się w polu zaspało, a konie się porozchodziły, kiejby robactwo, zapozwoleniem, w kożuchu.

Tak myślał Michał i stał. A słońce coraz wyżéj się wznosiło, ptaki coraz głośniéj świérgotały i z chałup wysuwały się powoli krowy, dążące na pastwisko.

— Michał! głuchy! niezdaro! co stoisz? ot lepiéjbyś mi zagnał chudobę do strumienia—odezwał się donośny głos z za płota i obudził chłopa z zadumy.

Zerwał się, poznał głos skąpéj Woźniakowéj, podniósł kapelusz i odparł:

— Zaganiajcie sobie sami! Co człowieka napastujecie? nie macie nóg, czy co?

— A ty najdo jeden! ty zbereźniku! ty zbóju! ty... — wołał głos baby z za płota, wzburzonéj hardą odpowiedzią Michała.

Ale on już szedł daléj i zdawał się nie słyszéć całéj gadaniny.

— Co będzie, to będzie! — mruczał tylko pod nosem i przyśpieszał kroku.

Na jego młodéj twarzy, opalonéj promieniami słońca, ozdobionéj długiemi złoto-blond włosami, malowała się decyzya.

I w ruchach jego była ona do odgadnięcia, bo Michał tak zamaszyste walił kroki, że w dal odbijało się klapotanie jego bosych nóg o wydeptaną ścieżkę.

Nad strumykiem stanął, i rozejrzał się po łąkach, na których już paradował bocian szukający żabki dla swéj samicy, co siedziała w gnieździe na jajach.

Zastanowił on głuchego Michała, bo mu się długo przyglądał, a wreszcie zaśmiał się serdecznie i na całe garło wołając:

— A to bestya! jak to temi nogami sztychuje, a dziobem sobie dopomaga. Co to pan Bóg wydziwia? takich sobie tworzyć... ha-ha-ha... kiejby dziedzic jaki, czy ukonom...

Obmył się w strumyku i krokiem pośpiesznym podążył wprost ku dworowi.

— Co będzie, to będzie! — mruczał — przystanę do stadniny. Niech dziedzic nademną przewodzi a nie caluśka gromada. Pałki, czy nahajka?... albo mi to jakie nowości, małom ich się nabrał? ho! ho! Człek zarobi na buty i sukmaninę... Głuchy Michał! ciewy?

II.

Tegoż samego dnia jeszcze, głuchy Michał zgodził się we dworze i pasł stadninę aż do zachodu słońca.

A pod noc tak się uczuł zmęczonym, jak nigdy.

To téż, gdy legł na słomie razem z stajennymi, nic nie uważał na ich śmiechy, uwagi i kpiny.

Mało ich nawet dosłyszał, ale wiedział tylko, że zbereźniki z niego drwiły.

Michał bowiem, chłop już silny i nie lekki, zabawnie wyglądał, gdy zaganiał źrebięta i irytował się na rączejsze konie.

Usnął wśród gwaru w ciemnéj stajni i spał kamieniem do pierwszego brzasku.

Mimo to, iż zwykle bardzo w czas się budził, nazajutrz rano, przecierając oczy ze ździwieniem spostrzegł, że w stajni go uprzedzono.

Ten i ów się już wokoło koni kręcił, a inni ziéwali i przeciągali członki.

Nagle Michałowi zdało się, że go ktoś woła. Zerwał się na posłaniu i słuchał. Wyraźnie, pod stajnią, za zamkniętemi wrotami odezwał się powtóre głos dziwny:

— Mi-choł! Mi-chooł!

Parobek podniósł się w okamgnieniu i zawołał z przerażeniem:

— Kiejby kto wołał!

Śmiéch zabrzmiał w stajni. Jedni śmieli się cichaczem, inni głośno, a największy psotnik i najstarszy z chłopaków, pomocnik furmana, Antek, odezwał się:

— A jużcić! wołają was ekunom czy rządca może. No, biegnijcie!

Michał już skierował swe kroki ku drzwiom, z po za których głos dochodził, gdy go śmiechy chłopaków zastanowiły.

— Cóż ta się śmiejeta?—zapytał zdetonowany.

Ale równocześnie odezwał się znów głos tym razem wyraźniejszy i jeszcze, jakby bliższy:

— Mi-choł! Mi-chooł!

Parobek, nie namyślając się dłużéj, odryglował drzwi i wybiegł, słysząc za sobą wesołe śmiechy.

Rozejrzał się dokoła. Nie było nikogo. Dopiéro się rozjaśniało.

Słońce obrzucało strumieniami światła i blasków zielone kłąby drzew, białe mury dworu.

Był to nowy dla Michała widok, zastanowił go też.

Wschód słońca w tym, ręką ludzką utrzymanym ogrodzie, inne robił wrażenie, niż na wsi, wśród pól i dziczy.

W kłąbach drzewa, odcieniami swéj zieleni dobrane, uśmiéchały się różnémi tonami do słońca, a rosa na gazonach robiła wrażenie posiewu drobnych szkiełek.

Nad dużym stawem wznosiła się mgła do góry i rozjaśniała dalsze tła obrazu.

Chłop zachwycony tym widokiem stał chwilę w drzwiach od stajen nieruchomy, ale niedługo, bo tuż nad nim zabrzmiało jeszcze donośniejsze dwukrotne wołania:

— Mi-choł! Mi-chooł!

Parobek podniósł głowę i otworzył szeroko usta.

Na rosochatéj wierzbie, zachodzącéj jednym konarem na dach stajni, trzepotała skrzydłami pawica.

Michał zaczął się jéj przyglądać, pierwszy raz w życiu widział takiego ptaka, z białą główką i takim zabawnym czubem.

— Toż to także bestya! — zamruczał i przyglądał się jéj szarawym piórom.

A chłopaki wybiegły do bramy i stanęły za nim.

— Któż was wołał, Michale?—huknął nad nim jeszcze Antek.

— A juźcić — odparł parobek — dwa razy wołał, a nikogosik nie widać.

I zakłopotany poskrobał się w głowę i rozglądał na prawo i lewo, ale żywéj duszy widać nie było.

W tém znów zabrzmiało tuż nad nim:

— Mi-choł!

Chłop ogłupiały, podniósł raźno głowę, a pawica, wyciągając swoją cienką szyję, kończyła:

— Mi-chooł!

— Czy licho jakieś, czy co? — zawołał Michał wściekły — toż to ta bestya się tak darła, a żeby cię...

Klął daléj, wracając do stajni, zażenowany, zły, jak wszyscy dyabli, ale sam z siebie się śmiejąc. A chłopaki kładły się od radości.

— Głuchy Micholł! głuchy Micholł!—wołano.

A chłop zawstydzony zawołał:

— Cóż się śmiejeta? zbereźniki! toż każdegoby ta bestya oszukała, komuby Michał było na przezwisko.

A Antek dodawał:

— Wiécie co, Michale? toż wam teraz żawdy trzeba będzie wartować, bo nie pomiarkujecie, czy was dziedzic, czy pawica wołają.

W stajni śmiano się do rozpuku, a zły i zafrasowany Michał zabiérał się do rannego obrządku.

Gdy chłopaki i inni poszli do czeladniéj kuchni na śniadanie, Michał pozostał w stajni.

A gdy się przekonał, że nikt go już podejrzyć nie może, bo nikogo w budynku nie było, wyszedł do bramy i rzucił oczami na wierzbę.

Ale na wierzbie było pusto.

Rozejrzał się dokoła.

Pawica siedziała na płocie, Michał zaś usiadł na progu i długo się jéj przyglądał.

— Kiejby teraz bestya chciała jeszcze się zadrzyć—mruczał.

Ale pawica już przywitała słońce, spokojnie sobie siedziała, zaglądając dzióbem między skrzydła i upatrując robaczków na ziemi.

Michał wstał, podszedł ku niéj i obchodził ją dokoła, i w nosie dłubał, i dumał.

— Ciewy! ciewy! — mruczał — nie gęś, nie indyk... ptak sobie, a drze się tak kiejby Gorzeniowa, gdy chce, bym jéj drew urąbał... Dziwota...

Powrócił do stajni, wyjął ze swéj sukmany, która mu służyła za poduszkę, kawał razowego chleba i z nim powrócił do pawicy.

Ta już zeszła z płotu i chodziła kiwając głową po trawniku. Widząc, że Michał je, podeszła ku niemu.

Chłop co drugi kęs jéj rzucał i mruczał tylko.

— No, zadrzyj-że się bestyo!

Pawica gdakała tylko do chléba, ale się już odezwać nie chciała.

Odtąd największa zapanowała przyjaźń między Michałem a pawicą.

Skoro tylko ta odezwała się do pierwszych promieni wschodzącego za gajami słońca, Michał się budził i zrywał,—choć już wiedział, że to nie ekonom, ani rządca, tylko pawica woła.

Dzielił się z nią chlebem i sérem, gdy go dostał. Szukał jéj, gdy się czasem na uczty spóźniała. A gdy go nikt nie słyszał, a ptak mu się gdzie zapodział, to wołał:

— Pawiu... pawiu... pawiu...

W stajni śmiano się z niego, a drwiono jeszcze z jego pomyłki, ile razy pawica w dzień, czując deszcz, zawołała.

Ale „głuchy Michał“ nic sobie z tego nie robił. Jemu się zdawało, że pawica jakoś inaczéj, przyjemniéj, czuléj, żałośniéj, niż ludzie, wymawiała jego przezwisko.

A czasem, to i pawica, zapomniana nadzwyczajnym wypadkiem przez chłopa, podchodziła pod stajnią i krzyczała:

— Mi-chooł!

Wtedy Michał wybiegał z przygotowanym już chlebem i mruczał:

— Ot... ptaszyna, nie woła „głuchy Michał,“ a taj słyszę.

Przyjaźń się utrwalała.

III.

Od niejakiego już czasu Michał spostrzegał pewną zmianę w zwyczajach i obyczajach pawicy.

Bardzo to go frasowało. Przemyśliwał nad tém długo, gdy brzuchem do ziemi godzinami leżał na pastwisku pod miedzą od bujnéj pszenicy.

Stąd téż i konie wpadły czasem w szkodę, a raz to tak się był

zamyślił nad faktem, iż pawica rano, nie czekając na śniadanie, gdzieś znikała, że, gdyby się był w ostatniéj chwili nie był spostrzegł, cała stadnina byłaby przeszła Rozdolską granicę.

Utrapienie jego jednak dopiéro większe przybrało rozmiary, gdy raz rano, nie usłyszawszy głosu pawicy, się obudził.

Wybiegł czémprędzéj ze stajni, już dawno słońce z za gór wyjrzało. Spojrzał na wierzbę, na któréj wietrzyk poruszał gałęziami rosochatego konara, ale pawica na niéj nie siedziała, jak zwykle.

Dokoła przerażony rozejrzał się, ale nic widać ani słychać nie było. Panowała cisza, którą ziemia uroczyście wita swego pana.

Michał się zasępił, nadstawił prawego ucha, azali nie usłyszy gdzie „*gdy... gdy...*" pawicy, która gdakać miała zwyczaj, gdy go zobaczyła.

Nic! cicho dokoła.

Przypomniał sobie, że już wieczór poprzedniego dnia nie zauważył przyjaciółki na gałęzi.

Zresztą nie pamiętał, bo wracał był z kuchni w stanie rozdrażnienia, spowodowanym drwinami czeladzi, a o téj porze zwykle sprawdzał obecność pawicy na swojém miejscu.

— Może przepomniałem...—mruczał w rozpaczy.

Obiegł ogród cały, zaglądał w krzaki i parzące pokrzywy, i nigdzie nie znalazł pawicy. Spotkał był wprawdzie pawia samego, jak swą długą szyją sięgał do porzéczek na krzaku, jednérn okiem na niego zerkając, ale ten go nie obchodził.

Przygnębiony, zamyślony, z jakiémś uczuciem troski, którego nie znał, powrócił do stajni i wypędził w pole stadninę.

Po drodze spotkał starą kucharkę, jak niosła wodę ze studni.

— Nie widzieliście ta gdzie pawicy? — zapytał jéj pokornie i na pozór obojętnie.

— Pawicy? — odpowiedziała baba przystając — jakto! zczezła? a toż prawie tak, jak tak roku ją psy zagryzły.

Michałowi aż w piersi serce zakołatało, ale nie było czasu na zatrzymanie się, bo gniada źrebica już wymijała stado, a trudna z nią była sprawa, gdy się rozbrykała.

Michał też wołając, strzelił z bata, wskoczył na siwulę i pognał w pole.

Gdy wrócił na południe, nie zastał pawicy. Nie zastał jéj też i wieczór, ani nazajutrz rano, ani przez całe dwa długie dni.

— Cóż się z nią stało... ale wróci — mruczał, chowając dla niéj w żłobie kawałki chleba i séra, i gryząc się tak, że mu wszystko obmierzało.

Coś mu wciąż brakowało, a południowe godziny, w których zwykle légał pod wierzbą i przypatrywał się pawicy, jak dokoła niego chodziła i tą szyją kręciła i gdakała, wydawały mu się strasznie długiemi.

Z pola wracał tylko ochoczéj, niż zwykle, bo w nadziei, że zastanie czekającą nań pawicę.

— Przecież zginąć, bez śladu, na wieki nie mogła—myślał.

Aż trzeciego dnia, wróciwszy z kuchni, położył się pod wierzbą i myślał o swém frasunku.

W tém zdało mu się, że słyszy ciche:

— *Gdy... gdy...*

Zerwał się jak oparzony. Pawica nad nim stała i kręcąc głową to na prawo, to na lewo, ciekawie mu się przypatrywała.

— Pawiusia... pawiusia moja... — zaszeptał Michał cichutko, bojąc się, by go kto nie podsłuchał i wyciągnął do niéj swą żylastą rękę.

— *Gdy*...—odpowiedziała mu tylko pawica i zwykłym swym ciekawym a trwożnym ruchem głowy, zajrzała w rozwartą dłoń Michała.

— Głodnaś moja biédna! — zawołał chłop, zerwał się i pobiegł do żłobu.

Całe zapasy wysypał przed przyjaciółką, a ta gdakaniem, jakby mu dziękując, łapczywie je pożerała.

Nagle nie dokończywszy przysmaków, mimo nawoływań Michała, zaczęła się powoli oddalać i wkrótce w gęstwinie zachwaszczonego kląbu zniknęła.

A Michał stał zadziwiony i mruczał:

— Co się bestyi stało? Jakiż zbereźnik musiał ją nastraszyć, czy co u licha!

I znów trzy dni nie było pawicy i znów się ni stąd, ni zowąd pojawiła.

Michał zachodził w głowę, coby to miało znaczyć.

A tak przywykł do jéj rannego krzyku, do dzielenia się z nią chlebem i sérem, do cichéj poufnéj z nią rozmowy, że mimo to, iż wiedział, że żyje, smutno mu było i tęskno.

Pawica nadto chudła, pióra jéj traciły połysk, szyja się wyciągała, główka z trzema piórkami malała, a oczy jéj nabierały jakiegoś wyrazu zmęczenia i niepokoju.

Głuchy Michał zauważył nawet, że inaczéj gdacze, jak gdyby z zaschłego i chorego gardła.

Nie zwierzył się nikomu ze swych smutków, ale postanowił rozjaśnić tajemnicę, jaką się od pewnego czasu otoczyła się jego przyjaciółka.

Za pierwszym też razem, gdy pawica, nie dokończywszy rozrzuconego przed nią chleba, w krzakach zniknęła, Michał podążył za nią.

Pawica szła powoli, wsuwając się popod liście łopuchów i między wybujałe pokrzywy, a Michał zdala, śledząc każdy jéj ruch, każde poruszenie się chwastów i krzaków, szedł za nią.

Zachodził w głowę, coby miał znaczyć ten pochód pawicy, jakby umyślnie przez najgęstsze zarośla, osty i kolce.

Szła zygzakiem, jakby mu zmylić chciała pogoń, to przystawała i wyciągała szyję, trwożnie się rozglądając, czy jéj kto nie śledzi.

Wtedy Michał zapierał oddech w piersi i wystawiał jedno oko tylko ponad trawy i łodygi roślin.

Wreszcie pawica wsunęła się popod gałęzie rozłożystego świerka, które leżały na ziemi i szpilkami swemi broniły do pnia drzewa przystępu.

Michał przystanął.

Wszystko ucichło, liście daléj się już nie poruszały, pawica widocznie pod świerkiem została.

Chłop jednym susem podskoczył, odsunął, swą nieczułą na igły ręką, odwieczną gałąź i stanął pod świerkiem.

— A szelmo!—zawołał i urwał.

Pawica siedziała, i wyciągając szyję i rzucając pełne trwogi na Michała wejrzenia, cicho szepnęła pełne przerażenia:

— *Gdy...*

Michał sięgnął ręką do niéj.

Pawica jednak, do téj ręki tak przyzwyczajona, przeraźliwie krzyknęła, zerwała się i odsłoniła chłopu trzy jaja, w mchu misternie ułożone.

Michał osłupiał. Długo stał nieruchomy nad przyjaciółką, która powoli zajmowała nazad swe na jajach miejsce.

Wreszcie zamruczał rozrzewnionym głosem.

— Toć to siedzi na jajach! mocny Boże!

I cicho, jak najtroskliwszy ojciec, odsunął gałąź i na palcach oddalił się od świerka, zupełnie inną drogą, aby zatrzéć wszelki ślad do ustronia swéj przyjaciółki.

Odtąd Michałowi życie daleko miléj płynęło, bo nietylko, że wciąż myślał o tych stworzeniach, które z jaj wyjdą, ale nadto niecierpliwie czekał dnia tego.

Nieraz na pastwisku po kilkogodzinnéj zadumie, otrząsał się i mruczał.

— Jakie to to będzie? takie maleństwo? czy też temu odrazu ta-

kie piórka wyrosną na głowie? a czy też to odrazu będzie wołać: Michoł! Dziwoty! dziwoty!

Niezaglądał do pawicy, aby jéj nie niepokoić, tylko codzień szerokiém kołem obchodził świérk dokoła, ażali nie ma na trawie śladów stóp ciekawego nieprzyjaciela.

A bał się szczególnie Antka.

— Ten Antek zbereźnik! gdyby wiedział!

IV.

Ale radość głuchego Michała niemiała granic, gdy pewnego dnia, po długiém oczekiwaniu, pawica zagdakała pod stajnią.

Właśnie był przygnał stadninę z pola i zaganiał ją do właściwych przegród, gdy mu się coś tak zawidziało, jak gdyby słyszał „*gdy...*“ pawicy.

A równocześnie mignęło mu coś żółto-szarego w roztwartéj bramie.

Opuszczając robotę, wybiegł z gwałtownie bijącém sercem.

Nie omylił się.

Pawica stała i wesoło do niego wynędzniałą główkę wyciągała, a wokoło niéj trzy małe pod brzuchami żółtawe ptaszki szukały czegoś po ziemi.

— Oj rety! rety — zawołał Michał, wybuchając śmiéchem radości — taż bestya wszystkie wysiedziała... dobra matka! toż to ciekawe ptaszyny... oj rety! rety!

I zamyślił się głęboko, stojąc nad rodziną przyjaciółki.

Pawica wyglądała dumna i szczęśliwa. Czytał to w jéj trwożném o małe, ale szczęśliwém wejrzeniu.

Ile razy które z pawiątek odbiegało, zastępowała mu drogę i nawracała je do Michała, jakby pragnęła, aby je wszystkie dobrze obejrzał.

Chodziła pomiędzy niemi i od czasu do czasu odzywała się tylko:

— *Gdy...*

A pawiątka biegały, drobiąc kroczkami i piszczały, zdziwione tém nagłém powołaniem ich do życia.

— *Pi... pi... pi...*—rozlegało się dokoła Michała, który widząc, że ptaszyny dzióbki otwiérają, przykucnął i nadstawił prawego ucha, dopomagając sobie ręką.

Nagle radość znów okrasiła jego oblicze i zawołał:

— Toż bestye już gadają! oj rety! rety!

I pobiegł po zapasy do żłobu i wydziwić się nie mógł, że pawią-

tka rzucały się na drobne okruszyny chleba, które matka im rozdrabiała.

Tak minęła godzina obiadowa i gdy chłop przyszedł do kuchni, nie zastał już w niéj nikogo prócz staréj kucharki.

Długo się namyślał, aż wreszcie zagadnął.

— Wiecie co, Leonardowa?

— A co?

— Nie powiecie nikomu?

— A cóż takiego?

— Ale nie wygadacie?

— Cóżbym miała wygadać? albom to taka niepowstrzymana?

Michał westchnął, a kucharka rozdrażniona tém czekaniem, zawołała:

— To gadajcie głośno, głuchy Michale! bo nic nie słyszę.

Michał zniżył głosu i mówił tajemniczo:

— Pawica wyszła z trzema pawiątkami.

Kucharka spojrzała na niego, jak na waryata, przystanęła, opuszczając rękę z warząchwią i wpatrzyła się w chłopa.

— Toście mieli mi powiedziéć? — zapytała.

— A ino!

Baba poczerwieniała ze złości.

— A żeby was stary, głupi! głuchy! siarczyste pioruny... a żebyście nie dożyli! tak mnie zestraszyć i rozciekawić! Ot głuchy! pawica mu wyszła? ciekawość, micyje! A!... niezdara!... Ja tam mam czas słuchać o waszéj pawicy! żeby was!

Kucharka, spodziewająca się z przedmowy Michała jakiéj ciekawéj nowiny o ekonomie lub szafarce, nie mogła się uspokoić i daléj, na czém świat stoi, wymyślała Michałowi.

Ale ten niedługo jéj słuchał, bo prędko zjadł obiad, pół porcyi swego grochu w szmatę zawinął i wybiegł z kuchni.

Gdy wrócił do stajni, nie zastał już pawicy: poszła w ogród. Widział ją, jak za płotem od grzęd warzywa zaganiała swe małe, ginące jéj wśród główek kapusty.

— Michał głuuuchy! — zabrzmiało na gumnie — a staadnina, wyganiaj!

Parobek się zerwał. To ekonom darł się na podwórzu na niego.

Jeszcze raz pożegnał tęsknym wzrokiem pawicę, wsiadł na siwą i pognał szerokim wygonem, aż ziemia dudniała.

— I jemu „głuchy Michał“ — mruczał galopując na szkapie — głuchy, a słyszy, jak pawiątka *pi... pi...* Toż to ludziska niewyrozumiałe... tfu!

Ale dnia tego i następnych czas mu się na pastwisku strasznie długim wydawał.

Bał się o pawiątka i jak zmora trapiły go myśli, że zły człowiek może tam w ogrodzie krzywdę wyrządzić matce i maleństwom.

Aż go coś podrywało, gdy pomyślał, że tam jego przyjaciółka mogła być narażona na tysiące przykrości.

Ogrodniczek wszakże mógł bryłą ziemi, wypędzając z grzęd pawicę, uśmiercić maleństwo.

A pies, ten półchart, półwyżeł, mógł jak nic, złapać i zdusić pawiątko.

A Antek zbereźnik! jakże łatwo mógł złapać taką ptaszynę i znęcać się nad stworzeniem.

Aż łzy mu prawie w oczach na te myśli stawały. Szczególnie zaś trapił się o pawicę.

— Toż to matka — mruczał— biedula! cóżby ona poczęła, gdyby tak?....

I zrywał się z granicznego kopca, na którym siedząc, doglądał koni, aby tylko rozpędzić złowrogie myśli.

Przypuszczenia jego były płonne. Pawiątka rosły, ale trzymały się chudo i mizernie.

Michał drżał o ich życie i zawodził tęskne żale nad pawicą, gdy go nikt nie słyszał.

Pawiątek skrzydła się strzępiły i nadół opuszczały, głos ich robił się żałosnym i piskliwym.

— Mój Boże! mój Boże! — wzdychał Michał — jakże to się wychowa?

Aż raz w południe zagdakała na chłopa pawica, bo to o téj porze przychodziła zawsze do niego na chléb i przysmaki.

Michał wybiegł i załamał ręce.

Około przyjaciółki biegały tylko dwa pawiątka; najbiedniejszego brakowało.

Wpatrzył się w oko pawicy i zdawało mu się, że w niém czytał żal i rezygnacyą.

— Ha! co robić! — zamruczał — taka wola Boża!

Dwa pawiątka, z których jedno jeszcze szwankowało, żyły.

Ale nadeszły zimna i wody świętojańskie.

Pawica chowała się pod kapuściane liście i bujne krzaki porzéczek, i nie przychodziła nawet do Michała, bo tak deszcze lały bez przerwy.

— Dobra matka! — pocieszał się Michał — wychowa i ogrzeje.

Słońce bowiem już przedzierało się przez posiane po horyzoncie

chmury i pojawiały się na niebie różnobarwne tęcze, zwiastujące koniec słót i niepogód.

A dwa pawiątka, jak się codziennie przekonywał Michał, żyły.

Wreszcie wypogodziło się. Wietrzyk raźno suszył zmoczone zboża i trawy, w pył zamieniał błota i wysuszał kałuże.

Słońce jaskrawe, pogodne, gorące, wzniosło się pewnego poranku i rozjaśniło błękitne, oczyszczone z chmurek niebo.

W powietrzu panowała świéżość, pozbawiona wszelkiéj parnoty.

Pawica opuściła ogród i liściaste warzywa. Pośpieszyła pod stajnię i zawołała na głuchego Michała.

— *Gdy...*

Głodną była sama, bo trawki i porzéczki przesiąknięte wodą, nienasycały.

— *Gdy...* — powtórzyła głośniéj.

Michał wybiegł i stanął jak wryty. Na twarzy jego malowała się rozpacz. Usta otworzył i milczał.

Przy pawicy kręciło się tylko pawiątko, które przetrzymało dwutygodniowe słoty nieprzyjaznego mu klimatu.

V.

Nastała jesień.

Głuchy Michał, który wogóle więzów służby nie lubił, „spodobał sobie“ w Rozdołach i do roku dobyć postanowił.

Szybko nadchodząca zima cieszyła go, bo obiecywał sobie wziąć pawicę z pawiątkiem do stajni i nie rozłączać się już z niemi.

A pawiątko rosło jak na drożdżach i miało już zarodek pysznego ogona i piórka z gwiazdkami na głowie.

— A zabawne toż to było młode, a stare takiesiutyńskie jak matka, tylko czupurniejsze „jak żawdy samce“.

Pawica go już uczyła, jak ma się wspinać na nocleg po rosochatéj wierzbie.

Sama wskakiwała na gałąź i wołała z niéj swym, jakby z trudnością wydobywającym się głosem.

— *Gdy... gdy...*

Ale pawiątko się bało, chodziło pod wierzbą i tylko na odważną matkę zérkało ukradkiem.

Na płot, to już się odważało.

A jakże pociesznie oboje wyglądali na płocie w ulubioném miejscu, opodal wierzby i stajni, po nad mostkiem nad rowem, w gałęziach leszczyny i czeremchy.

Michała zastanawiało tylko, że pawica, która zawzięcie na niego się z początku darła, teraz zupełnie nie krzyczała.

Czasem, gdzieś w ogrodzie, gdy ją co zestraszyło, to się i odezwała, ale tych regularnych rannych nawoływań oddawna już słychać nie było. I to od wiosny, od chwili, jak zaczęła siedzieć na jajach.

To milczenie pawicy bardzo Michała trapiło. Bał się, czy to nie było oznaką niezadowolenia z jéj strony, a może... cierpienia.

Bolało go, że nie mógł się nikogo co do tego poradzić, ale taił się ze swojém przywiązaniem do pawicy, jak z największym sekretem. Sądził, że gdyby o tém się dowiedziano, to niejeden umyślnie, aby mu na złość zrobić, gotówby był skrzywdzić, lub dokuczyć przyjaciółce.

Nie mógł więc więc czémkolwiek nigdy zdradzić swych afektów. O pawicy téż nigdy nie mówił, nawet z Leonardową, od czasu jak go ofuknęła w odpowiedzi na jego radosne zwierzenie.

Ale ludzie podejrzeli go, jak się czulił do pawiątka, jak mu drobił chléb, jak chował dla nich ser i groch.

Kpili téż niego w kuchni, że ślub wziął z pawicą.

A Antek zbereźnik wciąż drwił.

— Pawiątko Michała ladaco takie głuche, jak i on, nie pożyje...

Czeladź się śmiała, a Michałowi, aż się serce ściskało na samą tę myśl.

— Cóżby pawica poczęła, gdyby jéj ostatnie maleństwo miało zmarniéć?

Toż podwójnie bał się dla niéj słót jesiennych. Próbował ją zagnać do stajni, ale mu się nie dała.

Na pastwisku, gdy zoczył nadciągającą chmurę, to truchlał o swoje stworzenia. I choć ekonom surowo mu nakazał nie uciekać z pola przed byle chmurą, on skoro tylko pojawiły się na niebie od zachodu ciemne płaty, zganiał konie do stajni.

Przecież musiał być na stanowisku, gdyby pawica podeszła pod stajnię, szukając przygotowanego w niéj schronienia przed październikową ulewą.

Tak nadszedł i listopad ze swemi wiatrami i przymrozkami.

Jednego z pierwszych dni tego brzydkiego miesiąca, głuchy Michał poczuł w nocy dokuczliwe zimno, choć spał w stajni, ogrzanéj nawozem i końmi.

Zaraz mu stanęła w myśli pawica, która biédna nocowała gdzieś w ogrodzie, pod krzakiem tuląc swego jedynaka pod skrzydło.

Łzy cisnęły mu się do oczu, ale zagryzł wargi i odwracając się na drugi bok, zamruczał tylko:

— Dobrze głupiéj bestyi. Czemu się zagnać do stajni nie daje? Mądry Bóg...

I zasnął na nowo.

Ale nie mógł się przyzwyczaić do tych długich nocy jesiennych. Nad ranem, to mu się wciąż zdawało, że już dnieje. Budził się i rozglądał po stajni, czy jasno, czy ciemno. Gdy w okienkach ciemność panowała, to znów zasypiał.

Tak też i tego dnia. Michał dospać nie mógł, ale drzémał, nie mogąc się doczekać dnia.

Wtém, jakby nagle się ocucił, bo mu się zdawało, że słyszy głos pawicy.

Zrazu nie wiedział, czy słyszał, czy mu się téż śniło.

Otworzył zaspane oczy i zerwał się z przerażeniem.

W stajni jasno było. Zaspał wschód leniwego słońca. Przez okienka przedziérał się jasny i słoneczny dzień.

— Oj! przymrozek i to dobry! — zawołał Michał skoro tylko spojrzał w okno.

Wstał ze słomy, mrucząc.

— Czy mi się widziało? czy pawica się darła?

Na twarzy jego malowało się lekkie pomieszanie.

— Mi-chooł... Michooł! — zabrzmiał głos ptaka od strony płotu.

Ale głos ten, którego od wiosny nie słyszał, przestraszył go. Wydał mu się innym, pełnym trwogi i rozpaczy.

— Mi-chooł! — powtarzała pawica.

Parobek gwałtownym ruchem odryglował drzwi i wybiegł.

Słońce promieniało i przeglądało się w pościnanych mrozem kałużach, olśniewało pokryte szronem trawniki i drzewa.

Michał biegł boso do płotu, od strony którego dochodził żałosny głos przyjaciółki, odzywający się raz po raz, jakby potrzebowała prędkiéj pomocy.

Biegł jak szalony, w jednéj koszuli, a serce mu biło młotem, bo przeczuwał nieszczęście.

On już znał nuty i odcienie głosu pawicy.

Ta stała na płocie i krzyczała przeraźliwie.

Pawiątka przy niéj nie było.

Gdy Michał podszedł ku niéj, zagdakała i spojrzała na niego tak, iż chłopu łzy w oczach stanęły.

— A gdzie twoje małe? — zapytał, rozglądając się i nie wierząc jeszcze oczom.

W odpowiedzi pawica żałośnie zakrzyczała. Głową dziwaczne robiła ruchy i jakby pod most, obok leżący, zaglądała.

Michał rzucił się pod most.

Za chwilę wyszedł z rowu trzymając w dłoniach, zimne już, zmarźnięte pawiątko.

Pawica widząc swoje małe w jego rękach zefrunęła z płota ku niemu, jakby sądząc, że jéj syna ocucił.

Michał oniemiały z bólu, opuścił ptaka na ziemię. Pawica rzuciła się ku temu, a wyciągając do Michała swą białą główkę, zagdakała.

Michał dłużéj na nogach ustać niemógł.

Usiadł na moście, opuszczając w rów nogi i zaczął płakać jak dziecko.

A pawica chodziła wokoło niego i gdakała, ale jakoś inaczéj, niż zwykle.

Ile razy też odezwała się: *Gdyy*... — Michał wybuchał spazmatycznem łkaniem.

W kilka godzin późniéj stadnina stała w stajni jeszcze. Nie było komu jéj wygnać w pole, bo głuchy Michał zniknął bez śladu.

I długo o nim nie było ani słychu.

W dwa lata późniéj dopiéro spotkała go Leonardowa w miasteczku na jarmarku i zapytała, czemu opuścił Rozdoły.

— Miałem swoje przyczyny!

— I już nie wrócicie? — pytała jeszcze baba — cóż wam takiego się tam stało?

— Co się stało, to się stało—odparł Michał — ale mi już Rozdoły obmierzły. Póki życia moja noga tam już nie postanie. Nie krzywduję sobie. Dobrze mi było we dworze... ale tfu!

Splunął, jak to miał zwyczaj, gdy chciał odpędzić złe myśli i poszedł daléj.

Wincenty hr. Łoś.





JULIUSZ HR. ANDRASSY.

„Wielkie wypadki a mali ludzie, wielkie, straszne pytania o rozwiązanie wołają, a karły tylko dają odpowiedź.“

Takie skargi słychać coraz częściéj przy końcu XIX-go stulecia. Czy skargi te słuszne? Może nie tak bardzo, jak się skarżącym zdaje. Nie mówimy o dniu, czy roku bieżącym, témbardziéj nie będziemy mówić o przyszłości; ale epoka, ale pokolenie nasze wydało pewną liczbę ludzi niepospolitych, oryginalnych, genialnych nawet, którzy czynami swemi piętno téj cząstce czasu nadali i wpływ na nią potężny wywarli, tak w swojéj ojczyźnie bezpośrednio jak pośrednio, a niekiedy bezpośrednio, wpływ ten na całą rozszerzając Europę. Jakiego rodzaju był ten wpływ, jakie przyniósł owoce, czy błogosławione, czy niebezpieczne lub nawet zgubne, o tém z czasem historya wyda sąd, którego my już czytać nie będziemy. Dziś tego bezstronnego sądu jeszcze brak. Każdy z tych ludzi jest sądzony stronniczo, uwielbiany lub potępiany stosownie do przekonań, celów, interesu, wierzeń wyrokującego. Najchłodniejszy, najoświeceńszy i najsumienniéj działania tych ludzi rozbierający, jeszcze się całkowicie z téj stronności otrząsnąć nie może. Bo żyje pod naciskiem i wpływem działań owych ludzi, za które ich albo błogosławi, albo przeklina; bo zresztą nie może znać dokładnie wszystkich pobudek niemi kierujących, wszystkich szczegółów mogących potępiane czyny usprawiedliwić, lub wychwalanym uszczerbek przynieść; bo nie wié, jakie przeszkody skrzywiły drogi i popsuły ich robotę, lub też jakie pomoce tajne ich zamiary poparły. W epokach zwłaszcza przejściowych, jak nasza, ludzie stają się bardziéj nerwowi, niecierpliwi, wymagający, więc w sądach pospieszni, w uniesieniach przesadni, w potępieniach skwapliwsi, aniżeli w epokach spokoju i moralnéj równowagi. Trudno im się dziwić. Społeczeństwo europejskie

wygląda dziś jako okręt mocno burzami skołatany, rzucany po oceanie na fali niepewności i zagadek, daleki od portu, w bardzo czarnych na widnokręgu chmurach czytający na dalsze, a może nawet bliższe, jutro zapowiedź jeszcze straszniejszych huraganów. Pod ciśnieniem zaś przeróżnych kwestyi, wątpliwości, zagadnień, czy to politycznych, czy społecznych, wszystkie deski i tramy tego skołatanego okrętu złowrogo trzeszczą, a przestrach przesadza jeszcze tego trzeszczenia znaczenie.

W takiém położeniu rzeczy dziwić się nie można owym skargom na brak wielkich ludzi, którzyby tak dorastali wielkości wypadków, zmian i zawieruch społecznych, by nad niemi od razu zapanować i okrętu ster potężną dłonią pokierować mogli. W Europie te skargi są bardzo naturalne. Zbyt bliskiemi jesteśmy epoki Napoleona I-go, zbyt nią olśnieni, zbyt nawykli do tego kultu bohatérów, rozszerzonego zresztą przez odrębną historyozoficzną szkołę, zbyt przyuczeni do opieki i kierownictwa, zbyt nazwyczajeni do posłuszeństwa, zbyt odwykli od myślenia samodzielnego o sobie, o pracy samoistnéj nad sobą i nad porządkowaniem spraw własnych, by ta wiara w zbawców opatrznościowych, w zsyłanie peryodyczne geniuszów wszechpotężnych, zmniejszyć się już i osłabnąć widocznie mogła. Zbyt też jesteśmy niecierpliwi, by mogło być inaczéj. Każdy pragnie, by jak najprędzéj, by od razu usuniętém zostało, to co mu dolega, co go trapi, niepokoi, przeraża. Zapomina, że historya się nie śpieszy, że każdy wypadek dojrzéć musi, by się z swemi następstwami uwydatnić, że wypadki dopiéro tworzą i wskazują, że wyrabiają ludzi, którzy z nich wedle swéj mocy i zdolności korzystają i niemi kierują. Księcia Bismarcka nie stworzył 1848 rok, ale ów rok wydał i na widownią wyprowadził tego ubogiego i zrazu lekceważonego szlachcica pomorskiego, który ćwierć wieku losami Europy tak lub owak kieruje. Zapominają też o przykładzie, jaki im przed laty stu, dał drobny, wówczas ludek amerykański, dziś rozrosły w jedno z najpotężniejszych państw, który nietylko nie znalazł geniuszów i opatrznościowych zbawców, ale owszem, obawiał się ich, a sam o sobie myślał, i od swych przedstawicieli, pracujących w nader trudnych okolicznościach nad ukonstytuowaniem narodu, domagał się tylko jak największéj miary zdrowego rozsądku, uczciwości i skromnéj dobréj woli. Gdyby Europa lepiéj pamiętała o tym przykładzie, danym jéj przez młodszą siostrzycę, możeby mniéj była dziś nerwową, mniéj zestrachaną, mniéj zwłaszcza utyskującą na brak wielkich ludzi. Poprzestałaby na ludziach, jakich ma, możeby nawet wolała widziéć niektórych mniéj genialnemi.

Chociaż bowiem druga połowa XIX-go stulecia w sferze polity-

cznéj nie wydała ludzi fenomenalnie wielkich, geniuszów bezwzględnych, albo raczéj geniusza, bo takie fenomena tylko pojedyńczo i to w bardzo odległych ustępach czasu się zjawiają, wydała jednak stosunkowo znaczną ilość ludzi niepospolitych, śmiałych myślą, dzielnych, zręcznych, wytrwałych w swych pomysłów przeprowadzaniu, niekiedy genialnych w wyzyskiwaniu na korzyść swego celu okoliczności bieżących. Ci ludzie zmieniając organizacyę i naturę państw, którym służyli, a które były ich ojczyzną, zmienili na wskroś postać polityczną kontynentalnéj Europy, zapisując sobie wielką kartę w jéj historyi.

Do takich ludzi należy Juliusz hrabia Andrassy, zmarły w d. 18 lutego w Volosca pod Abazyą w Istryi, dokąd dla poratowania zdrowia wyjechał. Należy mu się od nas wspomnienie, jako jednemu z owych niepospolitych i bardzo ważnych działaczy, w przeróbce wewnętrznych i międzynarodowych stosunków staréj Europy. Na tém międzynarodowém polu był on czynny zaledwie lat piętnaście, ale wówczas chwilami nawet na ogólno-europejską politykę wpływ wywierał. W ojczyźnie swéj, w Węgrzech, czynnym on był od pierwszéj młodości i Węgry zawdzięczają mu niezmiernie wiele. Dla nich on żył, o nich tylko myślał, dla nich przedewszystkiém pracował. By zrozumiéć chociaż jako tako i ocenić Andrassy'ego, należy pamiętać o tym jego bezgranicznym patryotyzmie węgierskim, który wiele niejasności w postępowaniu tego męża stanu tłómaczy. Patryotyzm ten u Andrassy'ego nie występował wcale jako uczucie obowiązku, lub jako uczucie wogóle, był namiętnością. Jeden z dawnych sekretarzy Andrassy'ego, zdaje się Doczi, tak pisze w swém wspomnieniu:

„Był on więcéj aniżeli kochającym synem swéj ojczyzny; ożywiało go uczucie i rzewne i entuzyastyczne dla Węgier. Siwe jego oczy świeciły się jakby zwilgłe, gdy mówiono o pięknościach jakiéj okolicy Węgier, albo o zdolnościach wrodzonych węgierskiego plemienia, o którém mawiał, że każdy chłopski syn, gdy przejdzie gimnazyum, może zostać wykształconym i dzielnym „*Honoratior*." Z najzupełniejszém przekonaniem dowodził, że gdy się z Wiednia przyjeżdża, to w Waitzen zaczyna się nowy klimat, że filtrowana woda z Cissy, w porównaniu z innemi wodami, jest najczystszym eleksirem życia. A jednak nigdy nie słyszałem go wymawiającego wyraz „patryotyzm", nigdy z pod jego pióra nie wyszedł wyraz „ojczyzna." To znaczy wiele w tym kraju węgierskim i w takim czasie, kiedy lada jurat, lada niedojrzała poetka nie przemawia inaczéj, jak *Draga Hazam* (droga moja ojczyzna), sądząc, że tém już adoptuje cały swój biédny, osierocony kraj."

Ród Andrassych nie należał wcale do wielkiéj, historycznéj szla-

chty. Wyrobił się on powoli z drobno- i średnio-szlacheckiego tłumu. Dopiéro w XVIII-ym wieku zajął on wyższe stanowisko w kraju, a w 1766 r. Marya Teresa nadała dziadowi świéżo zmarłego, Karolowi Andrassy, tytuł hrabiowski. Majątek téż ich nie był wielki, chociaż się zaliczali do zamożniejszych między średnimi właścicielami w swoim komitacie. Dopiéro hrabia Karol, ojciec hr. Juliusza, przez małżeństwo z hrabiną Szapary doszedł do znacznéj fortuny, którą tak powiększyć umiał, iż każdemu z swoich trzech synów zostawił wielkie dobra w fideikomisowym spadku. Ów hrabia Karol zwykł był mawiać: *sors bona*, *nihil aliud* (szczęśliwy los, nic innego), przyznając, że nie własnéj zasłudze, ale okolicznościom winien był swe wywyższenie. Więcéj szczęścia niż rozumu—mówi nasze przysłowie.

Przeciwnicy zmarłego niedawno ministra dowodzili nieraz, że i on mógłby do siebie przysłowie ojca zastosować. W pewnéj cząstce może mieli słuszność, ale hrabia Juliusz Andrassy, obok szczęścia, posiadał jeszcze niepoślednie przymioty ducha, które mu tak wysokie stanowisko nietylko w Węgrzech, nietylko w monarchii austro-węgierskiéj, ale i w Europie zapewniły. Była zaś chwila, że swój polityczny zawód musiał rozpoczynać na nowo z bardzo nisko, z tak nisko, że ojciec jego nie zdołałby zamarzyć nawet o takim politycznym swego syna urzędowym upadku. Wspomniony wyżéj biograf hrabiego Juliusza następne podaje opowiadanie z czasów, gdy Andrassy był już prezesem węgierskiéj rady ministrów.

„I w własnym kraju, w którym najważniejsza i najrozleglejsza w jego życiu działalność spotykała zajadły opór, a nawet podejrzenia, że przez dworactwo i podchlebstwo zaprzedaje przyszłość Węgier, nigdy ani jedném słowem nie przypomniał tych czasów, wzmianka o których byłaby przeciwnikom usta zamknęła. Nigdy się nie powoływał na rok 1848, ani na to, że głowa jego mogła spaść na rusztowaniu. Raz tylko i to w bardzo poufném kole wymknęła mu się wzmianka o owych czasach. Było to w Terebes. Hrabia wracał z polowania z sekretarzem. Mieszkańcy wioski zdejmowali czapki i gapili się; najniżéj kłaniała się gromadka żydów, ubogich chałaciarzy. Sekretarz siedzący przy ministrze, człowiek młody, trochę próżny, zrobił uwagę: „Wasza Ekscelencya może myślisz, że ci żydzi podziwiają ministra. Wcale nie; podziwiają mnie. Wiedzą, że jestem żydem, a to że ja siedzę w powozie obok hr. Andrassy, wydaje się im większym cudem, aniżeli to, że pan na Terebes zasiada w radzie korony.“ Hrabia się rozśmiał i odparł, że i on także nie mało się wyniósł. W godzinę potém przy obiedzie stawia obecnym pytanie: kto zrobił większą karyerę, czy on, czy ów sekretarz? Hrabia przypomniał czasy swego wygnania, ciężki nie-

kiedy niezmiernie brak pieniędzy, smutne widoki na przyszłość. Sekretarz powołał się na swe niskie pochodzenie, na nędzę swego dziecinnego wieku, a nawet młodości. Tragi-komiczném przedstawieniem najrozmaitszéj biédy swego studenckiego żywota, opisaniem dni takich, w których sypiać musiał na twardéj ławie, opowiadaniem, jak pierwszym jego literackim zarobkiem było pisywanie listów kucharkom, młody człowiek przeciągnął sędziów na swoją stronę. Najprzód głos za nim dała hrabina i jéj dzieci, a i sam hrabia przyznał, że droga od takich początków, aż do sali w któréj obiadowano, ma w sobie coś romantycznego. „Jednakże, dodał z pewném zacięciem zazdrości, jakkolwiek nie miałem pojęcia, że podobna biéda istnieje... jednakże za to nie byłeś pan nigdy na szubienicy“. Tu twarz jego promień tryumfu rozświecił.

Naprawdę Andrassy osobiście pod szubienicą nigdy nie stał, ale nazwisko jego wraz z nazwiskami trzydziestu ośmiu, zaocznie na śmierć za zbrodnię stanu skazanych, było na szubienicy urzędownie przybite. To wykonanie wyroku sądu wojennego w Peszcie miało miejsce już 1851 r. Andrassy bawił wówczas w Londynie i dowiedział się o tém swém powieszeniu *in effigie* z przysłanéj mu urzędowéj *Wiener Zeitung*, wróciwszy z obiadu u lorda Aberdeen, prezesa gabinetu i ministra spraw zagranicznych Wielkiéj Brytanii. Te okoliczności dodatkowe zmieniają bardzo położenie, a hrabina miała słuszność przyznając wyższość w walce z losem swemu sekretarzowi, który kucharkom listy za kilka krajcarów pisywał.

Andrassy jednak po swym ojcu, oprócz fideikomisu, wiele innych rzeczy odziedziczył, a między niemi i ową *bonam sortem*. Ów hrabia Karol znakomicie jeździł konno, był niezrównanym tancerzem, pełnym życia i dowcipu. Biografowie nie podają, czy hr. Juliusz pięknie tańczył i czy tańczyć lubił, wiemy tylko, że był doskonałym jeźdźcem i wielkim mistrzem w trudnéj sztuce towarzyskiéj obcowania z ludźmi. Młodzieńcem będąc, już umiał sobie jednać względy mężczyzn, a zwłaszcza łaski kobiét.

Urodzony w 1823 r. Juliusz Andrassy kończył nauki w Peszcie. Czy wiele korzystał z wykładu swych profesorów, wątpić należy. W owe czasy, w Austryi zwłaszcza, szkoły i uniwersytety stały na tak niskim stopniu, o jakim dzisiejsze pokolenie wyobrażenia nie ma. Panicz, bogaty, przystojny, z twarzą bardzo oryginalną, wielce cygański typ przypominającą, z zdolnościami wrodzonemi wielkiemi, ale z równie wielką fantazyą, pilnością odznaczać się nie mógł. Pewném zresztą jest to, że się systematycznéj pracy na owym uniwersytecie nie uczył, że żadnéj nauki gruntownie nie posiadał i że zawsze miał wielki

do lenistwa popęd. Nie mówimy o pedantycznéj pracy, ale o systematycznéj pracy, która każdemu, a zwłaszcza mężowi stanu, jest konieczną, a która nie potrzebuje się wcale wyradzać w pedantyzm. Wynagradzał te braki Andrassy lotnością umysłu, łatwością przyswajania sobie doraźnie potrzebnych mu w danéj chwili specyalnych wiadomości, dowcipem zresztą, który mu pozwalał wykręcić się w trudnéj rozprawie. Ale brak tych przymiotów, które się tylko wytrwałością nabywa, nieraz do końca dawał mu się we znaki. Biografowie jego zapewniają, że w późniejszych czasach czytał wiele i pilnie; że w jego bibliotece w Terebes, znajduje się mnóstwo książek poważnéj treści z jego określeniami, uwagami, notatkami na marginesie; że czytał zawsze z praktycznym celem, głównie książki treści historycznéj i polityczno państwowéj; że wcale do nieuków nie należał; ale przyznają, że mu bardzo wiedzy systematycznéj brakowało, i że często z tego powodu popadał w zadziwiające pomyłki w rzeczach najprostszych. Prawo np. było mu bardzo obce, a przeciw pisanym paragrafom nie raz najnaiwniéj występował, wyśmiewany przez prawników. Tak np. gdy był jeszcze ministrem węgierskim, a opozycya prowadzona przez Lyonaya, wstrzymywała zatwierdzenie jakiegoś projektu, jakkolwiek izba miała już tylko dwa tygodnie prawnego istnienia, Andrassy zażądał, by posiedzenia izby zrobić nieustającemi na tak długo, dopóki ów projekt prawa załatwiony nie zostanie. Nie mógł pojąć, że poseł, spełniający swój mandat po za terminem przez prawo naznaczonym, dopuszcza się uzurpacyi prawa. Od wystąpienia z projektem wstrzymała go nie owego projektu nieprawność, ale to że nie mógł nikogo dla swéj myśli zjednać. Przed praktycznemi trudnościami miał on niezmierne poszanowanie; ale prawne zawady szanował o tyle tylko, o ile się jego własnemu pojęciu prawa nie sprzeciwiały. Najwyższym dla niego paragrafem było przykazanie: „Nie powinieneś krzywdy wyrządzać“, i od tego nie odstępował, chociażby setki paragrafów pisanych było za nim. Pod tym względem ten praktyk życiowy był prawdziwym idealistą.

Zdanie to, jak inne cytujemy dosłownie z dokumentów, to jest z życiorysów Andrassego, ogłoszonych po jego śmierci, zwłaszcza przez bliskich jemu, jakkolwiek mogą niekiedy zdawać się dziwnemi. Jeden z takich nekrologistów, mówiąc o owym idealistowskiém usposobieniu byłego ministra spraw zagranicznych Austryi, a swego naczelnika służbowego, na poparcie swego twierdzenia pisze: „W czasie wojny turecko-rosyjskiéj powiedział raz, iż wié dobrze, że możnaby Rosyą na czas dłuższy ubezsilnić, uderzająo na nią z tyłu w chwili walk pod Plewną we wrześniu 1877, ale że jest przekonany, iż podobne zwycięstwo osiągnięte zapomocą ciosu, z zasadzki wymierzonego, nie

przyniosłoby istotnéj korzyści monarchii“. Być może, iż Andrassy rzeczywiście to powiedział, być może nawet, iż ten, skądinąd przebiegły polityk, miał jakieś rycerskie popędy, ale przypuszczamy, że oprócz rycerskości, wstrzymywały go tym razem inne jakieś, czysto praktycznéj natury powody. Nie odznaczał się on wcale uczuciowością, owszem, był człowiekiem wielkiéj rozwagi; nie szedł nigdy za pierwszym popędem, owszem nie dowierzał mu, zwłaszcza, gdy ten zdawał się wychodzić z serca. Nie był też zwolennikiem krańcowych, ostatecznych środków. Kiedy raz Eotwos na radzie ministrów, doradzając podobny środek, powiedział: *Pereat mundus, fiat justitia* (niech świat zginie, byle sprawiedliwość się stała), Andrassy odpowiedział, że *justitia ita fieri debet ne pereat mundus* (sprawiedliwość tak się stawać powinna, by świat nie zginął). A jednak pierwszą polityczną szkołą Andrassego była rewolucya.

Skończywszy bowiem uniwersytet peszteński bardzo lichy, w którym wówczas, podobnie jak we wszystkich szkołach węgierskich, większa część wykładów odbywała się po łacinie, młody ten i świetny arystokrata od razu przystał do stronnictwa Kossutha. Przed 1848 r. Węgry dzieliły się na dwie partye, które dążąc do jednego celu, różniły się co do dróg i środków. Jedną możnaby nazwać liberalno-zachowawczą i téj przewodniczył Szechennyi. Szkoła Szechennyego z jéj ideałami, opartemi na porządku, oszczędności, pracy u podstaw, stopniowéj reformie i powolnym postępie, nie przypadła do smaku młodemu Andrassemu. Był on wprawdzie z nawyknień, obyczaju i wychowania arystokratą, żywił wszakże pewne demokratyczne instynkta. Trudno przypuścić, ażeby to był wynik jakiegoś głębszego rozmysłu, jakichś nowych pojęć politycznych, których np. w Toqueville'a „Demokracyi amerykańskiéj“ mógł się nauczyć. Powiedzieliśmy wyżéj, że Andrassy czytać nie lubiał, a w dwudziestym drugim lub trzecim roku życia tak głęboko pomyślanéj książki pewno nie mógłby strawić młody panicz, kształcony w uniwersytecie po łacinie. Prędzéj mógł się dorwać do Thiersa historyi rewolucyi francuskiéj. Książki te wprawdzie za Metternicha były surowo w granicach Austryi zakazane, ale za to tém troskliwiéj czytane i komentowane przez młodych ludzi, którzy czytać chcieli. To demokratyczne usposobienie może się da objaśnić poziomym, ale bardzo praktycznym sposobem. Andrassy był ambitny i lubiał popularność. Zstępując ku demokratycznym sferom, które go zresztą mogły do siebie przyciągać energią i niezmiernym talentem ich przewodnika L. Kossutha, wybijał się prędzéj na wierzch, aniżeli łącząc się z arystokratyczném stronnictwem. Szechennyi tracił już dawną swą popularność, został, jak się to mówi, zdystansowany przez goręt-

szych, niecierpliwszych i wymowniejszych. Koło Kossutha mało było arystokratów, Andrassy został przyjęty z otwartemi rękami i tak odznaczony, że mając zaledwie dwudziesty czwarty rok życia, otrzymał miejsce w wielkim komitecie, mającym wygotować tak zwane „marcowe“ prawa, w którym zasiadali tylko najznakomitsi, najpoważniejsi i najdojrzalsi politycy. Stronnictwo Kossutha miało większość w izbie poselskiéj, miało za sobą cały naród węgierski, który zelektryzować umiało, ale arystokracya opuściła je prawie zupełnie, z powodu projektowanych reform, bo te za zbyt daleko sięgające i niebezpieczne uznawała. Andrassy pozostał wiernym.

Wypadki marcowe (1848) w Wiedniu i rozbicie systemu Metternicha, które pociągnęły za sobą podobneż wybuchy w Peszcie, powstanie i wojnę we Włoszech, zaburzenia w Pradze, wyjazd cesarza do Innsbruku, zajścia mniéj lub więcéj krwawe we wszystkich prawie prowincyach staréj monarchii Habsburgów, zdawały się wówczas wróżyć rozpadnięcie się ostateczne tego państwa. Węgrzy myśleli o sobie. Chcąc uratować całość przynajmniéj korony Św. Stefana, pod przewodem Kossutha wstąpili na drogę otwarcie rewolucyjną. Wiedeń zostający w ręku rewolucyonistów, oblegany był przez wojska Jełaczyca i Windischgraetza. Chcąc ratować oblężonych, których podtrzymanie leżało w jego interesie, rząd narodowy węgierski wysłał na odsiecz naprędce zebraną dywizyą, złożoną w części z batalionów liniowych, w części z świéżo utworzonych okolicznych gwardyj narodowych, późniéj honwedami nazwanych. W dywizyi téj czy korpusiku, liczącym ledwie 10 do 12 tysięcy ludzi, Andrassy dowodził honwedami swego, zemplińskiego, komitatu. Nie była to właściwie odsiecz, ale raczéj demonstracya, bo Węgrzy, zawsze po adwokacku, dowodzili, iż nie mają prawa przekraczać granicy między Austryą a ich krajem. Demonstracya ta miała na celu rozdzielenie i odciągnięcie wojsk oblegających Wiedeń. Przyszło jednak do bitwy pod Schwehat. Węgrzy musieli się cofnąć. W bitwie téj Andrassy bardzo dzielnie swoich honwedów prowadził, czy też podobno pędził, w ogień i zdobył sobie rangę majora w armii narodowéj.

Wiedeń został wzięty. Windischgraetz, uzupełniwszy swój korpus, ruszył do Węgier. Nie spotkawszy po drodze wielkiego oporu, zajął Peszt. Rząd narodowy cofnął się do Debreczyna. Tam postanowiono szukać poparcia zagranicą, między innemi wyprawić posła do sułtana z prośbą o interwencyą na korzyść powstałych Węgier. Interweniując nawet czynnie, sułtan nie potrzebował zrywać z Austryą, dość mu było zmusić Serbię, która wówczas była jeszcze lennikiem Turcyi, do zachowania się spokojnie i cofnięcia wojsk (6,000) generała

Kniczanina, który wspiérał powstanie Serbów węgierskich przeciw rządowi narodowemu. Kandydatów na to stambulskie poselstwo nie było. Oddano je Andrassemu, mianując go przytém pułkownikiem, dla większéj powagi.

Dwudziesto-pięcioletni poseł nie zdołał skłonić Turcyi do interwencyi, ani do żadnego jawnego na korzyść Węgier kroku, jednak pomimo swego drażliwego i niejasnego położenia, potrafił sobie zjednać życzliwość nietylko wielkich dygnitarzy Porty, ale podobno nawet samego sułtana. Jego to zabiegom przypisują dziś, że sułtan, po ostatecznéj katastrofie węgierskiéj w 1849 r., odmówił wydania wychodźców znajdujących się w Stambule.

W 1850 r. spotykamy Andrassego wraz z wielu innymi wychodźcami węgierskiemi (Pulszky i t. d.) w Londynie. I tutaj prowadził on daléj swoje niby dyplomatyczne roboty, tylko w innym charakterze i na inny sposób. Wygnanie nie dokuczyło mu zbytecznie. Kiedy jego koledzy na wychodźtwie z ciężką walczyli biedą, Andrassy nigdy prawdziwéj biédy nie zaznał. Żył w kołach najwyżéj arystokratycznych, odgrywał rolę na wyścigach, w salonach politycznych i niepolitycznych dam był mile widziany, a wyrok śmierci wydany nań w Peszcie, powiększył tylko współczucie. Widząc jednak, że nic się zrobić nie da w Anglii, gdzie zresztą pod względem politycznym poważniéj traktowano Kossutha, utrzymującego zawsze ścisłe związki z krajem, pomimo wielkich dla jego korespondentów niebezpieczeństw, i który wspólnie pracował z Mazzinim, wyjechał Andrassy w 1852 r. do Paryża, który już wówczas stał się główném ogniskiem polityki europejskiéj, opatrzony dobrymi listami polecającemi swych angielskich przyjaciół do cesarza Napoleona. I tutaj także odnosił wielkie tryumfy towarzyskie, przyjmowany był, a nawet mile widziany, w Tuileries, politycznie jednak stał zaledwo na drugim planie. Pierwsze miejsce już było zajęte przez hrabiego Władysława Telecky, człowieka niepospolitych zdolności, bardzo dobrze widzianego u cesarza i poważanego wielce w wyższych sferach politycznych. Andrassy'ego słuchano grzecznie, gdy o sprawach politycznych i o swoim kraju mówił, ale go nie szukano dla zadawania mu pytań. Zdaje się, że ściśléj był związany z księciem Napoleonem, ale to nie mogło poprawiać jego sprawy, zwłaszcza u cesarzowéj.

Wojna krymska zmieniła polityczne położenie Europy, a zwłaszcza przymierzowe stosunki Austryi. Była ona jakby punktem wyjścia dla przeobrażeń, jakich od 1866 r. jesteśmy świadkami. Zdaje się, że po kongresie paryskim, Andrassy przekonał się, że w téj chwili nietylko od Anglii, ale i od Francyi niczego się dla Węgier spodziéwać się nie

można. Zresztą ożenił się z hrabianką Katarzyną Kendeffy, osobą niezmiernéj piękności, wielbioną i podziwianą przez całą jedną zimę w wielkim świecie paryskim. Zapragnął powrócić do kraju. W 1857 r. poprosił o amnestyą, któréj udzielenia był pewnym, bo je przygotowały wpływy matki na dworze wiedeńskim. Do kroku tego mogły go skłonić różne przyczyny, jak przeświadczenie o beskuteczności jego politycznych zabiegów, jak może nieco obrażona miłość własna, jak wreszcie wstręt do spiskowania, na które emigracya była skazana. O ile z licznych danych sądzić można, Andrassy na spiskowca nie był stworzony i w praktyczność spisków, równie jak w dyplomatyczne obietnice nie wierzył.

W 1857 r. wrócił więc do kraju. System Bacha, który terrorystycznie zamieniał Węgry w prowincyę austryacką, mającą być do innych koronnych krajów podobną, istniał jeszcze w całéj pełni. Życie jednak narodowe i polityczne zaczynało powoli wracać, objawiając się wszakże tylko w działaniu starokonserwatystów w Wiedniu. Andrassy podał jednak rękę Deakowi, który przedstawiał poważne liberalne stronnictwo. Deak, z wielkiém zadowoleniem przyjął Andrassego, nie tyle, jak twierdzą biografowie, z powodu osobistych jego przymiotów, ale z przyczyny, że powrót do kraju dowodził, iż od zagranicy nie ma się czego spodziéwać. Wielki ten obywatel był zawsze tego przekonania, zawsze walczył przeciw illuzyom emigrantów, i dowodził, że Węgry same muszą sobie radzić.

To zbliżenie się odrazu do Deaka, można także uważać za ową *sors bona*, o któréj mawiał ojciec hr. Juliusza. Wprawdzie godzina Deaka jeszcze nie wybiła, ale miała wybić niedługo, we dwa lata. Przez ten czas Andrassy siedział cicho i zarządzał swym majątkiem, pilnowany zresztą podejrzliwie przez policyę austryacką, zwłaszcza w 1859 r. Z powodu bowiem wojny włoskiéj w Węgrzech zapanowało silne i powszechne wzburzenie, bardzo panowaniu austryackiemu nieprzychylne. Liczono na wkroczenie Francuzów od Fiume, zapowiadano przybycie ks. Napoleona z silnym korpusem, dla działania na tyłach armii, stawiającéj czoło połączonym armiom Napoleona III i Wiktora Emanuela i t. d. dowodzono, że książę Napoleon zostanie królem Węgier. Wszystkim tym pogłoskom i nadziejom położył koniec pokój, podpisany w Villafranca, może dlatego zawarty tak pośpiesznie przez cesarza Franciszka Józefa, iż się o Węgry obawiał.

Tu zaczyna się zwrot w spółczesnéj historyi Austryi. Klęski pod Magenta i Solferino, zmiany następnie tak łatwo spełnione we Włoszech, że półwysep ten zupełnie się wysunął z pod przeważnego, dotąd, wpływu Austryi, pomimo że Wenecya jeszcze przy niéj pozo-

stała, wskazały tak cesarzowi jak otaczającym go mężom stanu, że trzeba zmienić system. To postanowienie dało sposobność konserwatystom węgierskim, popieranym przez niektórych mężów stanu austryackich do usilniejszego działania, Andrassy'emu zaś otwarło pole. Był wówczas w sile wieku, licząc rok trzydziesty siódmy życia. W lecie 1860 roku zwołano do Wiednia tak zwaną wzmocnioną radę państwa, która miała ułożyć podstawy nowego systemu rządów. Wkrótce ogłoszono październikowe dyplomy, daléj konstytucyę lutową w 1861-ym r. zwołano sejm węgierski, do którego Andrassy także wybrany został. Już w rozprawach nad adresem przemawiał on często. Mowy jego bywały świetne i zajmujące, chociaż nie dość wytrawnie obmyślone. Wogóle mówcą był on drugorzędnym, gdy o logiczne przekonywanie chodziło, ale porywać umiał. Przy traktowaniu przedmiotów szerszéj i ogólniejszéj treści nieraz zapał obudzał, ale gdy trzeba było traktować przedmioty specyalne, fachowe, cyfrowe, spadał bardzo nisko. Widoczném wówczas było, że nie jest panem przedmiotu. W kwestyach finansowych nie przemawiał prawie nigdy, ale w administracyjnych przemawiać nieraz musiał, chociaż mu to wcale przyjemności nie sprawiało.

Znaną jest sławna walka jaką Węgrzy pod wodzą Deaka prowadzili przeciw centralistowskim planom Schmerlinga i lutowéj konstytucyi. Z rozwiązaniem sejmu węgierskiego, z powodu przyjęcia słynnych rezolucyi, starokonserwatyści i Deak ustąpili z placu. Przez jakiś czas usiłował Schmerling złamać upór Węgrów, zmusić ich do przyjęcia skromnie wymierzonéj autonomii, jaką im jego lutowa konstytucya udzielała. Napróżno. Skutkiem tych niepowodzeń Schmerling runął i ustąpił miejsca gabinetowi Belcredi'ego, a z tym przyszli do steru starokonserwatyści węgierscy Maylath i Sennyey. Za temi w drugiéj linii stało stronnictwo Deaka. W całéj bowiem téj walce politycznéj, już tym razem pokojowym orężem not i rokowań prowadzonéj, Węgrzy z góry ułożonego trzymali się planu, manewrując z wielką zgodnością. Przodem do szturmu starokonserwatyści, za temi stronnictwo narodowe Deaka, który wszystkiém kierował.

Równie przewidujący, jak skromny i szlachetny, równie pracowity jak rozumny, a naród swój znający, Deak pojął, że zwycięstwo osiągnąć można tylko zjednaniem sobie sfer najwyższych dworu. Ku temu wybrał Andrassy'ego, który, jako z rodu należący do arystokracyi, mógł wpływ magnatów starokonserwatystów równoważyć, a w poufnych stosunkach idee Deaka wyjaśniać i w Wiedniu popierać. „Pracę wspólną tak między siebie rodzielili, — pisze jeden z biografów, — Deak podawał myśl i obowiązywał się bronić ją przed krajem, An-

drassy jednał dla niéj dwór, który go wkrótce za prawą rękę Deaka uważał. Ciągle jeżdżąc między Wiedniem a Pesztem, pracował nieustannie nad pogodzeniem żądań Deaka z życzeniami sfer wiedeńskich. Przez cały ciąg tych ugodowych rokowań rozwinął on niezrównaną wytrwałość, giętkość i twórczość w wynajdywaniu środków wyjścia. Podziwiano go powszechnie i od téj pory uwierzono w jego niepośledni talent. Deak nazywał go wówczas człowiekiem „opatrznościowym“, tak doskonale brał się do rzeczy, tak zdawał się stworzonym do owego wielkiego i trudnego zadania. Bez Andrassy'ego ugoda nie byłaby przyszła do skutku, w Wiedniu nie byliby jéj przyjęli w formie przez Deaka projektowanéj, a innéj nie byłby przyjął naród.“

Nareszcie stanęła w 1867 r. owa ugoda, zaprowadzająca znany system dualistyczny w Austryi, którego tutaj objaśniać nie będziemy, nie możemy i nie potrzebujemy, podając tylko pobieżną monografią o człowieku niepospolitym, a w dziejach wielkiéj monarchii ważną kartę zajmującym. Nie będziemy téż wykazywać, o ile klęska pod Sadową przyczyniła się do téj ugody, która tak bardzo popiérała radę, daną Austryi w lutym 1866 r. przez księcia Bismarcka: „Front na wschód środek ciężkości w Peszcie.“ Węgry otrzymały osobny rząd konstytucyjny i parlamentarny dla spraw węgierskich. Prezesem pierwszego gabinetu został Andrassy, na skutek zalecenia Deaka, który tego ani żadnego urzędu przyjąć nie chciał, Andrassy'ego zaś za jedynie zdolnego do spełnienia należycie tych ciężkich obowiązków uważał. Tu się jednak Deak nieco pomylił. Andrassy posiadał wprawdzie świetne zdolności, nawet genialność, ale mu brakowało talentu organizacyjnego, umiejętności systematycznéj pracy, chęci do wglądania w szczegóły, przenikliwości w wybieraniu podwładnych, a nawet kolegów. Zmuszony rządzić i zarządzać, czyli administrować krajem, uorganizować nowe te rządy, mające kraj, bardzo dotąd zacofany, na inne tory wprowadzić, przez blisko pół-pięta roku popełnił on niemało błędów, które Węgrom, pomimo dziesięcioletnich rządów Tiszy, człowieka innych usposobień, jeszcze dziś bardzo czuć się dają. Nie posiadając specyalnego wykształcenia, wielki nieprzyjaciel nauki książkowéj, wierzący tylko w talent i w zdrowy rozsądek, powtarzający zawsze zdanie: „że cała sztuka w tém, by nie zrobić głupstwa,“ oddawał zbyt często najwyższe urzędy ludziom tylko rozsądkiem obdarzonym, ale bez żadnéj specyalnéj wiedzy, takie właśnie, w których wiedza fachowa była konieczna. Nienawidząc zajmowania się szczegółami, tych pomocników swoich kontrolować nie umiał. Systematyczna praca była mu tak dalece wstrętną, chociaż od czasu do czasu mógł pracować wiele, iż go powszechnie pomawiano o lenistwo. O tém jego na urzędzie lenistwie

krąży do dziś dnia mnóstwo anegdot w Peszcie. Oto jedna z nich. Andrassy był prezesem ministrów i zarazem ministrem obrony krajowéj. Codzień do jego mieszkania przychodził urzędnik, który mu pośpiesznie sprawę z tych spraw wojskowych zdawał i papiery przedstawiał. Po dwóch latach takiego chodzenia, urzędnik ów zrobił mu uwagę, że Ekscelencya przez te dwa lata nie raczył jeszcze być w ministerstwie, którego urzędnicy byliby bardzo uszczęśliwieni ujrzeniem jego Ekscelencyi. „Słusznie, bardzo słusznie,—odrzekł Andrassy,—przyjdę tam w tych dniach. Ale gdzie się mieści wasze biuro?“

Że jednak, pomimo tego lenistwa, Andrassy, jako prezes rady, musiał wielki i zbawienny w owém kole wpływ wywierać, świadczy o tém list barona Eotwesa, jednego z najwięcéj wykształconych ludzi, ministra oświaty wówczas, z daty 15 listopada 1869 r., gdy prezes bawił w Suez: „Masz słuszność, w sprawie dalmackiéj, co do któréj zresztą i tak nic zrobić nie możemy, że lepiéj niech się gabinet bez ciebie skompromituje. Ty jeden dajesz naszemu gabinetowi spójnię. Ty tylko jeden trzymasz na wodzy Lonyay'a (późniéj prezesa gabinetu). Jeżeli cesarz myśli, że jak ciebie nie ma, to tutaj wszystko idzie do dyabła, to cesarz ma słuszność. Z wyjątkiem Lonyay'a, który zawsze tylko na własną rękę działa, my wszyscy jesteśmy twemi, mniéj lub więcéj zdolnemi, naczelnikami wydziałów, których tylko przez grzeczność ministrami tytułują i z których żaden ciebie zastąpić nie zdolny.“ Oto wielkie świadectwo wystawione przez męża wielkiego talentu, wiedzy i zdolności człowiekowi, który w książkową naukę nie wierzył, pracy systematycznéj nie lubił, czasu dobrze swego urządzić nie umiał i dlatego o lenistwo był pomawiany, a polegał tylko na natchnieniu chwili i zdrowym rozsądku. Widać, że było w nim coś więcéj, coś co genialnością się nazywa.

Posiadając wielkie zaufanie cesarza, Andrassy, jeszcze jako minister węgierski, wywierał pewien wpływ na politykę zagraniczną monarchii. W r. 1870 w czasie wojny niemiecko-francuskiéj był jak najmocniéj za neutralnością Austryi. W lecie 1871 r., podobno na wyraźne żądanie cesarza i kanclerza niemieckich, brał udział w zjeździe dwóch cesarzy w Gasteinie, na którym ułożono, że Beust ma ustąpić, a miejsce jego ma zająć Andrassy. Zmiana ta nastąpiła wkrótce. Téj jednak części działalności Andrassy'ego, jakkolwiek ogólno-europejskiego znaczenia, rozbiérać już nie możemy. Zaznaczymy tylko, że z razu nie było mu wygodnie w pałacu na Placu Balowym. Arystokracya austryacka była przeciw niemu, widząc w nim dawnego rewolucyonistę i twórcę dualizmu monarchii, z którym się dotąd oswoić nie może. Za to był bardzo popularnym w potężnych finansowych sferach

i u publiczności, będąc wprost postrachem urzędników swéj kancelaryi, pedanteryą i starą rutyną przesiąkłych. Po przeprowadzeniu związku trzech cesarzy, który się rozpadł z powodu wojny turecko-rosyjskiéj, po poprzednim zjeździe reichsztadzkim, tak ważnym w téj sprawie, po kongresie berlińskim, z którego przywiózł dla Austryi dwójznaczny dar: Bośnię i Hercegowinę, ostatniém jego i księcia Bismarcka dziełem było przymierze austryacko-niemieckie, zawarte w 1879 r., będące dotąd osią położenia ogólno-europejskiego. W kilka dni po podpisaniu tego przymierza wziął dymisyę, ustępując miejsca baronowi Haymerle. Przez ostatnie lat dziesięć przemawiał tylko od czasu do czasu w delegacyach wspólnych austro-węgierskich o polityce zagranicznéj, a do słów jego zawsze wielką przywiązywano wagę, bo do końca życia cieszył się wielką życzliwością cesarza. Czy go nudził spokój domowy? Czy tęsknił do władzy, którą tak łatwo pożegnał? Czy pragnął do niéj wrócić? Różnie różni o tém mówią. Powszechnie jednak twierdzą, że dopiéro z czasem, gdy więcéj rzeczy na jaw wyjść będzie mogło, ludzie uznają, jak bardzo ten człowiek *sortis bonae* był człowiekiem niepospolitym i daleko rzeczy widzącym, jak się nie potrzebuje lękać sądu o nim historyi.





SNY LUDZKOŚCI.

(Dokończenie).

b) Kojarzenie całych układów.

Usprawiedliwienie racyi bytu w rzeczywistym świecie nie istniejących postaci, a pojawiających się tylko w świecie marzeń, jest jednym z dowodów, że oddzielne prawa logiki rządzą fantazyą twórczą. To było przedmiotem pierwszéj części niniejszego rozdziału.

Pozostaje więc nam teraz prawo kojarzenia oddzielnych cech w całości typowe, do całych nowych artystycznych zastosować układów. Zastosowanie to wyjaśni nam jeszcze bliżéj proces tworzenia się w umyśle artysty, nietylko oddzielnych typowych idealnych postaci, ale nadto całości, bardziej złożonych.

W świecie sennych i artystycznych marzeń przestrzeń i czas, oddzielne zjawiska rozdzielający, zgoła nie istnieje. Na lekkich skrzydłach marzenia, w mgnieniu oka, z elektrycznéj iskry szybkością przebiegamy czasu i przestrzeni otchłanie. Tego rodzaju kojarzenie, z punktu widzenia t. zw. trzeźwéj logiki, wytwarza niedorzeczności, wzniosłe jednak obrazy dla uczuciowéj strony naszéj jaźni.

Fantazya artysty kojarzy nietylko cechy znamienne oddzielnych postaci w jednę idealną całość, ale biegnąc daléj tą drogą myślenia, sprzęga typowe postaci, jednostki typowe, w nowe idealne układy. Przez takie kojarzenia duch, wznosząc się po nad chwilowy konwencyonalizm wieku, wybiega po za ciasne koło chwili obecnéj, na bezgraniczne obszary ludzkości. Zdaniem Kanta, sny są na to dane, aby odkryć naszym oczom nowe zakryte horyzonty. Istny to epigraf działalności artystycznéj.

Dla artysty np. wiarą chrześciańską natchnionego, prawdy nauki Chrystusa są niezmienne, wiecznie pośród ludzkości żyjące. Kojarzy też on zdarzenia, z przed ośmnastu wieków, z czasem w którym sam żyje.

Zwiastowanie N. Maryi Panny, nie jest téż dla artysty zwykłym z Pisma zaczerpniętym faktem, ale wzorem zawsze dla młodéj chrześcianki godnym do naśladowania, odbiciem cnót Maryi, gwiazdą przewodnią chrześciańskiéj niewiasty. Życie społeczne chrześciańskiéj niewiasty ma być życiem domowéj zagrody, dla tego téż mistrzowie pędzla przystrajają postaci N. Panny w stroje epoki, w któréj sami żyją, umieszczają te postaci w odpowiednio do stylu wieku udekorowanych komnatach.

Dekoracya więc renesansowa komnaty, w któréj Donatello i Ghirlandajo przedstawia chwilę Zwiastowania, jest historycznym fałszem, prawdą jednak niezbitą dla tych mistrzów społeczeństwa spółczesnego.

Usprawiedliwionemi także być muszą kostiumy XVII wieku, romańska, czy też gotycka architektura komnaty, na obrazie Hugona v. d. Goesa i Eyck'a.

Nieustannie, w świecie chrześciańskim odradzająca się co roku pamiątka przyjścia na świat Jezusa i złożenie do grobu Zbawiciela, jest zawsze żywotną, i dla tego z punktu filozoficznego zapatrywania się, ani nas dziwić, ani téż przez krytykę potępiane być nie powinny anachronizmy kostiumowe i otoczenia, np. mistrza Stefana, Dürera i wielu innych artystów, których dzieła wymieniliśmy w rozdziale II-im pracy niniejszéj.

Łukasz v. Leyden przedstawia nam w swym K u l c i e B o ż y s z c z a, króla Salomona, o flamandzkich rysach twarzy, starannie ogolonego, w czapkę, przypominającą dzisiaj używane t. zw. szlafmyce, przystrojonego, w długim płaszczu ze złocistym na szyi sędziowskim łańcuchem. Król klęczy i składa ręce jakby do modlitwy, którą zanosi do nagiego posążka z oślemi uszami i baranią czaszką w lewym ręku. Przed Salomonem jedna z jego małżonek w czepcu z bogatym pióropuszem, na głowie, w stroju z XVI wieku, jednym palcem na posąg wskazuje, jakby tym sposobem nieodwołalny daje rozkaz swemu małżonkowi królewskiemu.

Przed obrazem brak tylko komentarza, w formie znanego, często powtarzanego dwuwiersza:

Pomimo tak wielkie płci naszéj zalety...

Najwidoczniéj tak dziś, jak przed 4000 lat.

Zdrowy rozsądek silnie krytykuje obrazy, na których dwukrotnie jedną postać w dwóch fazach życia przedstawiono. Tak np. w obrazie Luini'ego O f i a r o w a n i e J e z u s a w ś w i ą t y n i, na dru-

gim planie przez arkadę świątyni widzimy postać N. Panny z Dzieciątkiem, w chwili podróży z Betleem do Egiptu.

Takie zestawienie dwóch oddzielnych epizodów z życia jednéj i téjże saméj postaci, sprzeciwia się wprost zdrowéj logice. A jednak, taki brak logiki w innéj gałęzi sztuki zupełnie jest usprawiedliwiony. Częstokroć w ostatnim akcie opery przebrzmiéwa arya, będąca motywem jednego z aktów poprzedzających, aryą wyrażającą wprost kontrastowe uczucie, temu, które ostatniego aktu stanowi osnowę. Jest to reminiscencya minionéj chwili, przeszłość z teraźniejszością skojarzona, wywołanie silniejszego wrażenia, jakby przez zestawienie barw kontrastowych.

Przykładów takich możnaby wiele przytoczyć.

Doskonała, niemal niewolnicza, symetrya jest ogólném znamieniem kompozycyi obrazów treści religijnéj, cudowne przedstawiających zjawiska. Przykładem takiego ugrupowania: Adoracya Baranka v. d. Eyck'a, Śmierć Ananiasza Rafaela, obrazy Dosso-Dossi, Moretto, Bogna-Cavallo, Adoracya Św. Trójcy Dürer'a i wiele innych arcydzieł pędzla [1]).

Niepodobna przypuścić, aby postaci w naturze mogły w tak doskonałéj grupować się symetryi. Jest to więc błąd przeciw zwykłéj logice i prawu rządzącemu naszemi ruchami.

Atoli, cudowność w zjawisku piękna ujawniana, nie może być ocenianą zwykłą miarą chłodnego rozsądku. Zadaniem zaś estetyki nie jest analizowanie saméj idei, zwłaszcza idei wkraczającéj w sferę teologii. Przyjmowanie takiéj lub odrzucanie innéj idei, nie może być przedmiotem umnictwa piękna, którego zadaniem badanie saméj formy, a to względnie jak ta forma ideę zmysłom unaocznia. Musimy więc samą ideę, sam temat tego rodzaju obrazów, przyjąć bez krytyki, a ograniczyć się tylko do wyświetlenia formy, która danéj idei odpowiada.

Pojęcie siły wyższéj, przedwiecznéj mądrości, koleją światów rządzącéj, przez wrodzone poczucie uzmyławiamy sobie w doskonale symetrycznym kształcie, a zatém w kształcie wolnym od wszelkiéj przypadkowości.

Symetrya od niepamiętnych czasów jest konkretnym, materyalnym obrazem potęgi opatrznościowéj.

Układ też taki przyswojony został we wszystkich gałęziach sztuki, celem wyrażania praw, światem rządzących.

Za pomocą umiarowego, kolistego kształtu w układzie często-

---

[1]) Porówn. opisanie tych obrazów w rozdz. II.

kołu w Salisbury, ujawnia druidycki architekt wiarę w prawo przedwieczne, rządzące światem i bytem na nim żyjących istot. Wszystkie budowle obrzędów religijnych, z małym bardzo wyjątkiem [1]), są układu symetrycznego.

Postaci więc obrazu malarskiego, cudownéj nadziemskiéj sile, a nie przypadkowi praw doczesnych ulegając, nietylko w wyrazie fizyognomii i giestach ciała, ale także w zbiorowym wyrazie, w ugrupowaniu potęgę téj siły wyrażają.

Absolutna więc symetrya musi tu być przez *sui generis* logikę, zupełnie usprawiedliwiona. Zarówno więc oddzielne postaci, jak cała ich grupa, przybiéra niezwykłe, w rzeczywistym świecie nie bywałe pozycye i ugrupowanie, ugrupowanie nie powszednie — świąteczne...

Przez symetryczne, jakby z pola trójkątnego frontonu świątyni wyjęte postaci, wyraża Rafael Mengs w swym Parnasie, pogodę, niezłomny kanon, złotą równowagę klasycznego świata.

Symbolizm więc taki usprawiedliwiony, ma sobie właściwą surową logikę, ale zarazem logikę sennym marzeniom właściwą. Kształt bowiem symetryczny o tyle odwieczną prawdę, Boga, symbolizuje, o ile śnieżne lodowate krainy są właściwym symbolem chłodu, spowodowanego zsunięciem się kołdry z człowieka w sennych marzeniach pogrążonego.

We śnie też i w sztuce widzimy tylko prawdopodobieństwa, symbole prawd i uczuć, symbole prawd za same prawdy przyjmujemy. We śnie i w dziedzinie sztuki używamy wszelkich możliwych, a nawet niemożliwych sposobów, aby wytłómaczyć sobie plastycznie to, co uczuciem naszém wstrząsa.

Aby więc téj potrzebie zadość uczynić, myśl na skrzydłach fantazyi w daleki świat wysłana, zbiéra w nim to, co w zjawiskach najbardziéj charakterystyczne, znamienne. Z ołtarza, na którym przedewszystkiém poświęcona zostaje logika czasu i przestrzeni, wznoszą się schlebiające uczuciu kadzidła i czcze dymy. Artyści grają tu rolę ofiarników.

Siemiradzki, na swym obrazie Fryne, poświęca prawdę przestrzenną, gwoli zadowoleniu zmysłów. Każe on, aby święto eleuzyjskie Jakcha, abluwiacya mistersów, odbywało się w bliskości świątyni, jak to obraz wymieniony przedstawia. Tymczasem według hi-

[1]) Np. nowszych w Anglii wznoszonych kościołów.

storycznych danych, rzeczona uroczystość miała miejsce daleko od świątyni Demeter-Cerery, na eleuzyjskiéj akropolis rozniesionéj.

Artysta jednak pojmując znamienną cechę świata klasycznego, nie mógł dać obrazu świata tego bez przedstawienia klasycznéj świątyni. Nastąpiło więc tu skojarzenie dwóch od siebie oddalonych w jedną miejscowość: miejsca w którém według historyi odbywało się święto Jakcha, gdzie miało miejsce znane zdarzenie z Mnezaretą (Fryne), z miejscowością u podnóża akropolu, na swym szczycie dźwigającego klasyczną świątynię. Jest to więc takie samo stapianie cech znamiennych, jakie widzieliśmy przy wytwarzaniu idealnych typowych postaci.

Jakeśmy już kilkakrotnie wspominali, taki sam proces myślenia odbywa się podczas snu; nieistniejące w naturze krajobrazy, w marzeniu widziane, są produktem analizy i syntezy na jawie przyswojonych spostrzeżeń.

W i e c z e r z a P a ń s k a Leonarda da Vinci i Ś m i e r ć I m p e r a t o r a Alma Tademy, to dwa historyczne tematy, zarazem dwie godne zastanowienia antytezy.

Pierwsze z tych dwóch dzieł, wbrew swemu tytułowi „Wieczerza“, wśród dnia białego ma miejse, pozornie niedorzeczność, w gruncie jest dowodem wysokiego daru kojarzenia twórcy tego dzieła.

Albowiem wieczernica u stołu Bożego, uczta otwierająca wiernym wrota niebiańskiéj szczęśliwości, nie może się odbywać wśród ciemności, ciemności z występkiem kojarzonéj. Noc bezdenna zarówno prostaczka, jak mędrca zgrozą i trwogą grobową przejmuje, jest ona matką występku i zbrodni, obrazem doliny potępieńców pogańskiego Hadesu i chrześciańskiego piekła.

Przedsionek więc zbawienia, droga wiodąca do niebieskich szranków, musi być promienną, świetlaną, jaśniejącą blaskiem krainy wiecznéj szczęśliwości.

Wbrew téj świetlanéj atmosferze drugi z dwóch wymienionych powyżéj obrazów jest przyciemniony, sceną dlań właściwa, ciasna, niska komnata. Atoli, jak wiadomo, Juliusz Cezar zgładzony został we wspaniałéj, wysokiéj, bogato przystrojonéj sali na rzymskim Kapitolu, ale przestrzeń taka, to nie jaskinia zbójców, dla nich trzeba odpowiedniego otoczenia, artysta więc pozwala sobie na licencyą, przenosi samo zdarzenie do niskiéj, o przyćmioném świetle komnaty. W zacieśnionym, dusznym pokoju zazwyczaj powstają sny niepokojące, ich symbolami zmory, rozbójnicy i zbrodnie. Pomimowoli też na widok sceny na obrazie przedstawionéj, w takim środku mającéj miejsce,

dech w piersi zamiéra. Jestto halucynacya na jawie, podobna do téj, któréj podczas snu doświadczamy.

Na wymienionym powyżéj obrazie Leonarda da Vinci, na stole wieczernicy widzimy przewróconą solniczkę, symbol zdrady Judasza.

W „*stanze*'ach“ zaś naszych dziejów takim pełnym artystycznéj prawdy i fałszu historycznego symbolem, są dukaty na podłodze rozrzucone i trzos w kapeluszu ukryty na Rejtanie Matejki. Fałsz historyczny; albowiem historya bynajmniéj nie wspomina, aby wziątki podczas trwania samych sesyi sejmu konfederacyjnego z r. 1772 były wypłacane. Nawet zdrowy rozsądek nie dopuszcza, aby przekupstwo mogło odbywać się w saméj sali sejmowéj, wobec licznych świadków; takie brudne sprawy bywają zazwyczaj bez świadków załatwiane.

Atoli z drugiéj znów strony, wszystkim wiadomo, że frymark publiczném dobrem w owych czasach bynajmniéj nie był nadzwyczajnością. Wiadomo także, jakie sumy przez ręce Stackelberga przechodziły do kieszeni Ponińskiego i wielu innych.

Skojarzenie więc trzydziestu judaszowych srebrników z tragiczną sceną, przez Matejkę odtworzoną, jest historyczną prawdą, barwami bowiem maluje ducha czasu.

Jakkolwiek wszyscy [1]) historycy nasi jednogłośnie przyznają, że podczas sesyi sejmowych z r. 1772, zamek warszawski był otoczony obcemi wojskami, żaden jednak nie wspomina, aby grenadyerzy rosyjscy znajdowali się przed samemi drzwiami komnaty, w któréj odbywała się sesya w dniu 19 kwietnia [2]), jak to nam Matejko przedstawia.

Nastąpiło więc tu znów skojarzenie dwóch miejsc: sali sejmowéj z zamkowym dziedzińcem, na którym istotnie biwakowały straże wojsk obcych.

Lubo nic nie wiemy o portrecie, który miał być, według Matejki, w komnacie sejmowéj zawieszony, jednak jest on barwną ilustracyą ducha czasu, spojrzenie tego portretu małoduszne serca mrozi.

Rozrzucone dukaty, we drzwiach grenadyerzy, portret, są to wszystko historyczne fałsze, bez których jednak karta historyi ręką

---

[1]) Porówn. Schmidta, Morawskiego, Kraszewskiego (Polska w czasie trzech rozbiorów (opis sesyi sejmowéj na str. 89).

[2]) Morawski: „Wojsko najezdnicze otoczyło zamek“, str. 162.

malarza odtworzona, byłaby historyczno-artystycznéj prawdy pozbawiona [1]).

W Rzeczypospolitéj Babińskiéj anachronizm wieku Jana Kochanowskiego i obok niego stojącego Bartosza Paprockiego, da się tém wytłumaczyć, że w „Babińskiéj rzeczypospolitéj“ wszystko na wspak się dzieje. A więc młody poeta w poważnych myślach zatopiony, stary (na obrazie) heraldyk i satyryk do rozpuku się śmieje. Myśl poważna bardziéj harmonizuje z głębokością spojrzenia Jana z Czarnolasu, iście satyryczna fizyognomia pana Bartosza, zdaje się zgromadzonym prawić o Kole rycerskiém, w którém rozmaite zwierzęta swe rozmowy mają.

Czyż można lepiéj scharakteryzować „Babińską“ rzeczpospolitą, jak postacią w głębokiéj myśli zatopionego młodzieńca, a obok niego, pustego jak młodzieniaszek—starca [2]). Albo téż arcybiskup [3]) bije w dłonie, nie zważając na obecność apostaty, żonatego kapłana: Stanisława Orzechowskiego.

Fałsze historyczne u historycznego malarza, niedorzeczności wszelkiego rodzaju u innych mistrzów, nietylko są usprawiedliwione, ale nawet koniecznym częstokroć warunkiem artystycznéj twórczości.

Podobnie jak nienaturalność niewolniczéj symetryi w obrazach religijnéj treści, fałsze historyczne odtwarzających dziejowe zdarzenia, tak samo rozumowana estetyka musi usprawiedliwić postaci zawieszone w obłokach, jakie widzimy np. na obrazach Matejki: Grunwald i Joanna d'Arc. Malują one bowiem silną, niezachwianą wiarę społeczeństwa, które w tych zdarzeniach brały udział. Przez pominięcie tych, według zdania wielu (t. zw. racyonalistów) niedorzeczności, obraz historyczny byłby historycznym fałszem, albowiem zdarzenie, w dziele malarskiém odtworzone, musi być tak pojęte, jak je współcześni pojmowali, nie zaś tak, jak my dziś na to zdarzenie się zapatrujemy. Artysta nie jest fotografem, kostyumerem, albo stylowym dekoratorem, ale celem jego — odmalowanie, unaocznienie ducha epoki, myśli w niéj panującéj, bez analizowania téj myśli skalpelem chłodnego rozumu.

---

[1]) Zresztą zdarzenie na Rejtanie odtworzone, lubo miało miejsce, jednak nie tak, jak to nam Matejko przedstawia. Porówn. Schmidta i in.

[2]) Na omawianym obrazie Jan Kochanowski młodszy niż Bartosz Paprocki, co jest sprzeczném z historycznemi datami, piérwszy bowiem ur. 1530 r.; drugi zaś ur. 1543, a więc Kochanowski starszym być powinien od Paprockiego o całe lat 13.

[3]) Mikołaj Dzierzgowski.

Postać taka, jaką jest oswobodzicielka Francyi od najazdu Anglików, Joanna d'Arc, mogła tylko powstać wśród ludności gorącą wiarą przejętéj. Takiéj właśnie ludności widzenia i przekonania unaocznia nam artysta w obrazie, o którym mówimy.

Ale z drugiéj znów strony, z punktu widzenia chłodnéj krytyki, wszystko to w świecie rzeczywistym miejsca mieć nie może, jest produktem chorobliwych nerwów, halucynacyjnym objawem, snem cudownym na jawie.

Cudownych tych na jawie snów nicią organiczną, jakeśmy już kilkakrotnie wspomnieli, jest prawo kojarzenia na mocy podobieństwa. Przez nie umysł wznosi się do coraz większych uogólnień, władza twórcza artysty ucieleśnia abstrakcye, a talent jego polega właśnie na doborze takich podobieństw, za pomocą których przez zmysły i uczucia do umysłu przemawia.

Bez tych wszystkich nielogiczności, sztuka nie zadawalniałaby fantazyi, co jest znów stwierdzeniem jéj bliskiego z sennemi marzeniami pokrewieństwa.

Obrazy, odtwarzające prawdę natury z realną prawdą, są fotogramami, rzetelném świata odbiciem, artystycznym fałszem.

Przykładem takiego traktowania sztuki malarskiéj nowsze dzieła Anglików. Są to wyborne odtwarzania barwą i rysunkiem tego, co widzi oko pozbawione daru analizy według swego indywidualnego, a zatém nie dla wszystkich przystępnego sposobu patrzenia. Ktoś tego rodzaju dzieła trafnie porównał z owémi obrazkami dla dzieci, bardzo starannie rysowanemi i kolorowanemi, które służą do nauki poglądowéj, metodą freblowską wykładanéj.

Pamiętać o tém bowiem należy, że prawda realna, bezwzględna, w świecie sennych marzeń, na wygnanie skazana. Świata tego nie można oceniać zwykłą powszednią miarą, jest on bowiem światem udzielnym, mającym dla siebie własny swój kodeks. O tém najlepiéj przekonywa kompozycya rzeźbiarskich pomników. W nich nielogiczność dla trzeźwego rozsądku widoczna, a jednak niedorzeczność ta do naszéj wyobraźni przemawiając, musi w sobie pierwiastek prawdy zawierać.

Postać człowieka, osobliwie zaś jeźdźca, na cokóle wysokim kilka lub kilkanaście stóp, zwykłą logiką nie może być usprawiedliwiona.

Taki układ, taka niedorzeczność, dogadza naszemu uczuciu. Uczucie bowiém pod wpływem gwałtownych wstrząśnień duchowych, pod wpływem wzniosłych myśli, w uwielbieniu dla pewnéj idei lub zdarzenia wiekopomnego, sprawia, że pomimowoli, bezwiednie, wznosimy wzrok ku górze, ku sferom, które instynktowo za wyższe, niebiańskie uważamy.

Jestto kojarzenie uczucia i pojęcia wzniosłości z przedmiotami bądź-to wielkich rozmiarów na wysokość, bądź-to z przedmiotami wysoko ponad poziom wzniesionemi. Zgodnie więc z têm wrodzoném nam poczuciem, poczuciu temu zadość czyniąc, wznosimy wysokie budowle, na których umieszczone przedmioty nabierają w oczach i pojęciu naszém niezwykłego znaczenia i wartości.

Takie pojęcie, takie symbolizowanie wzniosłych idei, jest genezą i rdzeniem kształtowania ołtarzów i pomników; są one właściwie tylko wysokiém podmurowaniem, ponad poziom wznoszącém przedmiot, który jest symbolem saméj idei. Wysokie wymiary podmurowania zniewalają wzrok, a za wzrokiem myśl, do podążania do sfer, które za wyższe uważamy.

Na téj zasadzie logika estetyczna prędzéj usprawiedliwić może kolumnę Zygmunta III w Warszawie, niż pomnik Kopernika w témże mieście wzniesiony. W pierwszym ukształtowanie wprost do zmysłów przemawia, wzrok i myśl widza zniewala do wzniesienia się ponad poziomy; ukształtowanie takie wywołuje, jakby za sprawą myślowego poddawania, uczucie i wyraz fizyognomii widza, właściwy natchnionym gorącą wiarą, w chwili religijnéj ekstazy.

Kopernik na pomniku Thorwaldsena nie wzbudza tych uczuć. Wielki astronom w pozycyi spokój cechującéj, umieszczony na względnie niskim piedestale, żadna myśl nim nie wstrząsa, fizyognomia jego bynajmniéj nie zdradza wielkiéj pracy tworzenia [1]).

Z bronzu odlany kolos w todze rzymianina, na grzbiecie bucefała, kiedy na pochyły i śliski pagórek z granitu wskakuje, po drodze, węża tratując, zupełnie estetycznie usprawiedliwiony, jest mistrzowskiém, pełném myśli głębokiéj dziełem, zdaje się być:

Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie... [2])

Najniedorzeczniejszą pozornie, w gruncie najsubtelniejszą logiką rządzi się twórczość architekta.

Trzy gradusy świątyni klasycznéj, pozornie olbrzymie, dla człowieka niedostępne schody, w istocie to baza, piętrzący się cokół, *sui generis* ołtarz, na którym wznosi się pomnik architektoniczny, bóstwu wzniesiony.

Żłobienie kolumn, a zatém zmniejszenie ich massy, podpory mechaniczne osłabienie, wzmacnia te podpory dla oka. O czém w bardzo prosty sposób możemy się przekonać, a to przez porównanie gładkiéj

---

[1]) Porówn. także artykuł mój w „Tygodniku Ill.“ № 323 i d. r. 1889.
[2]) Mickiewicz. Poezye T. II, str. 387. Lwów 1880.

niežłobionéj ze żłobioną kolumną. Pierwsza, jakkolwiek żłobieniem nie osłabiana, słabszą oku będzie się wydawać.

Z twardego kamienia utoczony kapitel, w rzeczywistości pod działaniem ciężaru nie może przeobrazić się w kształt krzywolinijny, ale twórczość architektonicznéj fantazyi tworzy hypotezę, że materyał do budowy użyty jest do pewnego stopnia elastyczny, pewną siłą odporności obdarzony, a zatém z kamienia, nieustrojowego tworu, czyni twór ustrojowy, wewnątrz jego cząstek działającą siłą ożywiony. Na zasadzie takiéj hypotezy, architekt nadaje pewne krzywizny architektonicznym organom z twardego kamienia zdziałanym, w nieorganiczne, martwe twory, wlewa pulsy życia.

Bogowie helleńscy, w trójkątnym frontonie umieszczeni, są winietą architektonicznego dzieła, ich stylizowanie wskazuje estetycznėm poczuciem obdarzonemu widzowi, że są oni tylko zapełnieniem trójkątnéj ramy, rozpostartém obiciem w trójkątnéj ramie [1]). Od prawdy realnéj, od żywych, ze świata rzeczywistego wziętych postaci, oddziela je całe niebo artyzmu.

Nareszcie gryfy, figury i rozmaite motywy, zakończenie budowli stanowiące, zadość czynią prawom fizyologicznéj optyki, są na zasadzie téj nauki niezbicie usprawiedliwione.

Rzetelność twierdzeń powyżéj przytoczonych, tyczących się sztuki architektonicznéj, musi czytelnik przyjąć na słowo, albowiem bardziéj szczegółowe w téj materyi objaśnienia i udowodnienia weszłyby już w zakres bardzo specyalnego traktatu, tylko dla specyalistów dostępnego.

W innéj pracy udowodnimy logikę ścisłą architektonicznéj twórczości [2]).

IV.

Następstwo zdarzeń.

Zmęczenie jest poprzednikiem, marzenia następnikiem snu.

Główném znamieniem życia naszego, okresowość funkcyi organizmu: oddychania, uderzania serca, obiegu krwi, powtarzających się

---

[1]) Porówn. pod tym względem „Piękno u domowego ogniska“ stronica 104 i dalsze.

[2]) Porówn. pracę moją „Analiza kształtów architektury“, część I. W części drugiéj, będącéj dotąd w rękopisie tłómaczymy i wiele takich i innych t. p. kwestyj.

w jednakich, niemal ściśle matematycznie dających się oznaczyć odstępach czasu.

Taki sam porządek rzeczy powtarza się w naszém życiu duchowém.

Po dłuższym wysiłku myśli, zniewoleni jesteśmy na mocy niezłomnego prawa, do dłuższego lub krótszego odpoczynku, a to stosownie do natężenia władz duchowych.

Wiadomo, że każde działanie wywołuje przeciwdziałanie. Ani radość, ani smutek wiecznie trwać nie mogą, luzują się wzajemnie. W zakresie nawet pracy umysłowéj, z konieczności ciągłe następują przemiany. Jednego dnia, będąc bardziéj do praktycznych zajęć usposobieni, nazajutrz skłaniamy się do pracy umysłowéj.

„Gdy dusza—mówi Burdach—do pewnego zdąża celu, przedmiotem jakim zajęta, żywo sobie te przedmioty uprzytamnia, czy to w myśleniu, czy téż w użyciu,—tam sen miejsca miéć nie będzie“ [1]).

Sen następuje z chwilą, gdy zadość uczynimy teraźniejszości, potrzebie chwili, gdy zamkniemy księgę rachunków raźnego naszego działania. Aleksander, Sekstus Pompejusz, Napoleon i wielu innych wodzów zasypiają snem spokojnym po nakreśleniu planu bitwy, w wigilią stanowczéj chwili życia. Kato spędza noc poprzedzającą chwilę swéj dobrowolnéj śmierci, jak każdą inną.

Kiedy radość przestanie łechtać umysł, a nieszczęście już się spełniło, kiedy umysł nasz już temi uczuciami nasycony, niebawem sen następuje.

Każde bowiem działanie przeciwdziałanie wywołuje, po fizyczném i duchowém natężeniu, owłada nami reakcya w postaci wyciągniętych muskułów i rozluźnienia nitek nerwowych.

Według Preyer'a w czasie czuwania nagromadzają się w mięśniach produkty zmęczenia, pod postacią kwasu mlecznego, które to produkty podczas snu, za pomocą nagromadzenia tlenu, znów rozkładowi ulegają.

Głębokie myślenie i praca woli wywołują zmęczenie, wskutek którego sen następuje. Zmęczenie więc, czy to pracą ducha, czy téż fizyczną pracą wywołane, fizyologowie przyjmują za najbliższą przyczynę snu.

Podczas snu bardzo mało krwi do mózgu napływa, z chwilą znów kiedy mięśnie i nerwy dostatecznie odżywione zostaną, a krew dawny swój bieg odzyskuje, kiedy krew znów do mózgu przypływać zaczyna:

---

[1]) Radestock, str. 72.

senne występują marzenia, które Hegel nazywa wahaniem się duszy pomiędzy urojeniem i rzeczywistością, pomiędzy bytem a niebytem.

Senne marzenia zajmują więc pośrednie pomiędzy nienormalném a normalném stadyum naszego istnienia. Występują one w chwili przejścia od czuwania do snu, ale częściéj jeszcze i w bardziéj plastycznym kształcie i żywszéj barwie, w chwili przejścia od snu do czuwania.

Sny znikają nad ranem, silniejszemi bodźcami z umysłu wygnane, powracają wieczorem, kiedy bodźce na swéj mocy straciły i na znieczulony organizm działają.

Streszczając więc wyniki badań fizyologów, powiemy, że sen jest wynikiem fizycznego lub duchowego zmęczenia; senne zaś marzenia wyrazem przejściowéj fazy, kiedy organizm zaczyna się odżywiać, wtedy człowiek otacza się obłokami sennych widziadeł.

Okresowość taka, takie następstwo faktów, powtarza się z największą dokładnością w świecie marzeń pojedyńczéj i zbiorowéj jednostki. Tak np. osobistości odznaczające się niezwykłą w życiu energią, bynajmniéj do marzeń nie skłonne, mające przed sobą cele zupełnie realne, po ich zaspokojeniu, po fizyczném czy téż duchowém wyczerpaniu, w senne wpadają marzenie. Jako przykład wymieniamy Napoleona, którego nadzwyczajna sprężystość, pogarda czułostek, wszelkiego rodzaju marzeń, choćby te marzenia z umiejętnością łączność miały, to czynnego życia wcielenie; Napoleon po dojściu do największych godności konsula i po wstąpieniu na tron, krótką odpoczywa chwilę, po któréj natychmiast wpada w senne marzenie. „Marzy on o stworzeniu nowéj religii, widzi sam siebie (niby w senném marzeniu), jak na słoniu z koranem w ręku, którego sam jest twórcą, odbywa podróż do Azyi. Paryż w jego wyobraźni rośnie do bajecznych rozmiarów, każdy monarcha ma w téj stolicy świata swój oddzielny pałac; pragnie, aby Paryż stał się czémś bajeczném, nieznaném...

„W chwili, gdy mówił te słowa, oczy jego jaśniały dziwnym blaskiem. Artyzm, tkwiący w duszy tego męża czynu, zrzuca pęta niewoli i budzi życie w idealnéj krainie nieprawdopodobieństw“ [1]). Takie obrazy senne, swą cudownością teatralne, czarnoksięskie melodramaty przypominające, wysnuwa każdy niemal człowiek po nasyceniu potrzeb życia realnego.

Nasycenie takie, zmęczenie duchowéj, czy to fizycznéj natury człowieka, pociąga za sobą senne marzenie, które w duszy jak kwiat na rozwiniętéj już roślinie wyrasta.

---

[1]) Taine, „Napoleon Bonaparte.“

Życie pojedyńczéj jednostki ze społeczném życiem nieraz było już porównywane. Nigdzie jednak podobieństwo to tak jaskrawo nie rzuca się w oczy, jak przez porównanie marzeń jednostki z marzeniami ludzkości.

Śledząc bieg rozwoju sztuki, dochodzimy do wniosku, że arcydzieła artyzmu są echem doniosłych wypadków dziejowych i w krótką chwilę po nich rozkwitają.

Prawdy téj nie możemy udowodnić na dziełach sztuki egipskiéj i asyryjskiéj, których daty powstania ze ścisłością oznaczyć się nie dadzą. Zwróćmy się więc wprost do Hellady.

Około 750-go roku zaczyna się pierwszy olbrzymi ruch kolonizacyjny, w tym bowiem czasie Koryntczycy udoskonalają budowę łodzi o trzech rzędach wioseł. Pomiędzy też 750 a 680 r. odpływają z Hellady i Azyi-Mniejszéj do Italii i Sycylii niezliczone statki. Naksus, Syrakuzy, Megara, Messyna, Gela, Sibaris, Krotona, Regium i Tarent w tym właśnie czasie powstają. Egipt otwiéra swe porty dla handlu helleńskiego.

Jest to rzecz dowiedziona, że nagłe nagromadzenie się wielkich bogactw i dostatków wytwarza klasę próżnujących, która, mając do syta zaspokojone potrzeby materyalne, tym snem ekonomicznym pokrzepiwszy siły organizmu, zaczyna wysnuwać marzenia artystyczne.

Do Samos przypływa pierwsza galera w 18 ol. (704 r.),—30 ol. zaś jest czasem, w którym to miasto do największego rozkwitu bogactw dochodzi. Około też 45 ol. (596 r.) wytwarza się cała dynastya artystów, jak Rekos, dwaj Teodorowie i Telekles, wszyscy z Samos rodem. Mniéj więcéj w tym czasie wzniesione zostaje hereum w Samos, labirynt na Lemnos, artemisium w Efezie. Teodor jest twórcą wielkiego krateru, który zdobił pałac królów Persyi. Świątynia Artemidy na wyspie Ortygii, świątynia w Selinuncie przed 600 rokiem wzniesione. Świątynia w Agrigencie zaś po roku 582.

Obok wzrostu bogactw, około 50 ol. (576 r.) rozwija się szczególniéj gimnastyka [1]). Za czasów Taletasa i Sakadasa gymnopedyka i hyporchemiatyka i inne rodzaje orchestryki doszły do artystycznego rozwoju. „Najstarsi tragicy od czasów Tespisa, byli przeważnie nauczycielami tańca“ [2]).

Według Atenaiosa dzieła starszych artystów zawierały w sobie wiele rzeczy ze staréj choreograficznéj sztuki zapożyczonych [3]).

---

1) Müller, § 78.
2) Tamże, § 78, 1.
3) *Atenaios*, XIV, p. 629, 6.

W tym samym czasie (po roku 560) Pizystrat nakazuje uporządkowanie pieśni rapsodów: Iliadę i Odysseę.

Rozwój gimnastyki, wzrost liczby bohaterskich atletów i spopularyzowanie ich w pieśni rapsodów, odbiły się echem w sztukach rysunkowych.

Posągi téż i dzieła architektoniczne przedewszystkiém atletyczną siłę wyrażają. W pierwszych wyraz fizyognomii zawsze tenże sam, głupowaty uśmiech, końce ust ku górze podniesione, profil bardzo regularny, linia nosa i czoła tworzy niczém nieprzerwaną całość, pozbawioną wyrazu.

W tym czasie (50 ol.) powstaje rodzina Dedalidów, pomiędzy którymi odznaczają się rzeźbiarze: Dipoen i Scyllos. Posągi atletów dochodzą do wielkiéj doskonałości około 58 ol., t. j. około 544 roku, a więc 15 lat po zebraniu przez Pizystrata pieśni Homera.

Rzeźby egińskie, jakby bohatérskiéj przeszłości odźwierciedlenie, przedstawiają Atenę prowadzącą Eacydów, czyli bohatérów Eginy na wojnę trojańską, walkę obok trupa Patrokla (może Achillesa?), Oiklesa zabitego przez Trojańczyków, który wmieszał się w kłótnią Heraklesa z Laomedonem.

Taki sam bohatérski charakter mają dzieła architektoniczne, powstałe w Pestum, Selinuncie i Agrygencie. Ich znamieniem krótkie przysadziste proporcye, nadzwyczaj gęsto ustawione kolumny, co nadaje budowlom wyraz nadzwyczajnéj, atletycznéj mocy. Kapitele rozłożyste, niby uginające się pod ciężarem pokrycia budowli, dzielnie temu ciężarowi przeciwdziałają. Wszystko tu wyraża moc legendowych postaci. Są to siedziby w rzeczywistości nie istniejącéj rasy ludzi.

Po tym pierwszym ekonomicznym i politycznym prądzie, nowy impuls na nowe tory twórczość artystyczną wprowadza.

Historya przekona nas, że polityczne i ekonomiczne zdarzenia są poprzednikami, nie zaś następnikami artystycznych marzeń. Przekonają nas cyfry (daty historyczne), że podobnie jak w umyśle pojedyńczego człowieka, tak samo w umyśle społecznym, po zmęczeniu następuje odpoczynek, sen, którego zakończeniem—marzenia w kształtach artyzmu ujęte.

Hegemonia Aten, zwiększenie się dochodów tego miasta, które wynoszą rocznie do 460, 600, a nawet 1200 talentów, przeniesienie przez Peryklesa skarbu publicznego do Aten, znów nowy impuls dają prądom sztuki. Przed wojną Peloponeską skarb państwa posiadał

9,700 talentów, a dochody roczne wynoszą do 1,000 talentów [1]). Dzieje się to około 477 roku.

W pięć lat późniéj, t. j. 472 r. powstaje świątynia Zeusa Olimpijskiego, świątynia Pallady na wyspie Eginie (skończona po wojnach perskich, w każdym jednak razie przed połową V-go wieku) i świątynia Temidy w Ramnos.

Stanowczym jednak zarówno dla helleńskiéj kultury, jak dla helleńskiéj sztuki jest rok 466, zwycięstwo odniesione przez Hellenów nad Persami, nad Eurymedonem i pokój przez Cymona zawarty.

Społeczeństwo helleńskie nasycone materyalnemi dostatkami i moralnemi na polu bitwy upojeniami, w lat kilka śnić zaczyna o chwalebnéj przeszłości i sen ten w artystycznym symbolizmie uplastycznia. W krótkim téż czasie, po owéj nad Eurymedonem pamiętnéj chwili, powstaje świątynia Bezskrzydłego-Zwycięstwa (Nike-Apteros), któréj fryz, jakby odcisk skamieniałéj przeszłości snu w nim utrwalonego, przedstawia walki Hellenów z Persami.

Około 454 r. powstaje Partenon [2]), na którego frontonie uwieczniono zwycięstwo Ateny nad Posejdonem, symbol zwycięstwa Aten nad flotą perską.

Jestto wiek Iktinosa i Fidyasza (ol. 80—87), Polikleta (ol. 82—92), Myrona, Kallimachosa toreutyka, Alkamenosa i innych.

Charakter tych dzieł architektonicznych, jak rzeźbiarskich jest odźwierciedleniem snu złotego, w którym odbija się przeszłość pełna chwały, zupełne nasycenie tak materyalnemi, jak i moralnemi dobrami.

Rozwodzić się i wyświetlać błogi spokój, złotą równowagę, w dziełach epoki Peryklesa odźwierciedlonych, byłoby zbytecznem. Historycy i estetycy przedmiotowi temu już całe biblioteki prac swych poświęcili. Poprzestaniemy więc na zaznaczeniu, że dzieła złotéj epoki rozwoju sztuki helleńskiéj rozkwitły w krótkim czasie po zdobyczach materyalnych i moralnych Hellenów, i że te dzieła są jak sny, są odbiciem tego, co społeczeństwo na jawie doświadczyło, tych trudów nad dobrobytem i walk o chwałę narodową. W sztuce skrystalizowane sny wystąpiły nie bezpośrednio po dokonanych wielkich zdarzeniach, ale po zniszczeniu t. zw. produktów zmęczenia.

Widzimy więc tu powtórzenie prawa rządzącego pojawianiem się marzeń sennych.

---

[1]) Boeckh, „Economie politique des Athéniens,“ I, 427.

[2]) Skończony 438 r.

Trzy więc odróżniamy tu stadya: zmęczenie, sen i senne marzenia.

Złotą epokę sztuki helleńskiéj zamyka brama, którą w historyi architektury Propyleami ateńskiego akropolu nazywamy. Zaczęte w roku 436, skończone w 431 r., t. j. w chwili wybuchnięcia wojny peloponeskiéj, która, niwecząc duchowy spokój Hellady, obudza nieznane dotąd namiętności, niweczy zarazem równowagę i spokój snów artystycznych.

Graniczném dziełem pomiędzy poprzedzającą epoką, a tą, która po wojnie peloponeskiéj nastąpiła, jest na ateńskim akropolu wzniesiony Erechteion. W tém arcydziele przejawia się już zatracenie złotéj równowagi życia helleńskiego. Dotąd bowiem świątynie doskonale symetryczne, zrównoważone, przedstawiają jednolitą masę. Erechteion jest pierwszą próbą t. zw. ożywienia mas, jako niesymetryczna budowla.

Prostota, powaga i spokój stylu doryckiego nie odpowiada im już, staje się symbolem, odbiciem minionych zdarzeń, tego co społeczeństwo doświadczyło. Dorycka prostota ustępuje miejsca wschodniemu przepychowi. Jońskie i koryuckie kolumny stają się w architekturze panującemi. Następuje to w chwili, kiedy rzeźba stwarza niezliczoną moc rzeźbiarskich hermafrodytów.

Sztuka architektoniczna, z równowagi wytrącona, powraca znów do metafory celem wyrażenia swych myśli. Podobnie jak niegdyś w perskiéj sztuce, tak samo znów teraz, byki rzeźbione w kapitelach wyrażają podtrzymywanie ciężaru. Tak np. na tryglifie i nad wewnętrznymi pilastrami świątyni w Delos, widzimy takie ukształtowanie.

Zakończeniem téj architektonicznéj epoki są przepyszne budowle w Pergamie i Olympii.

Reminiscencya niepokojów wojny peloponeskiéj, podboje macedońskie, rozluźnienie obyczajów, polityczne upokorzenie, a w ślad za niém idące rozluźnienie nerwów społecznego organizmu, odźwierciedliły się osobliwie w rzeźbie.

Obok całéj armii hermafrodytów powstają falangi Erosów, Afrodyt i Apollinów.

Pathos zawładnął wtedy społeczném jestestwem i sztuką. *Ethos* złotéj epoki bezpowrotnie znika. Nawet Herakles ma miękki, rozczulony wyraz twarzy. Ten nastrój duchowy objawia się szczególniéj w grupie Niobid, przedstawiającéj nieszczęśliwą matkę w chwili, jakby podwójnéj agonii, umierającéj z własnego cierpienia i z widoku rodziny ugodzonéj strzałami Apollina.

Kulminacyjnym punktem snu tego, męki Laokoona i dwóch jego

synów, konających w uściskach straszliwego węża. Takie uplastycznienie cierpień duchowych, przez fizyczne bóle, jest znanym typowym snem w podobnych okolicznościach powstałym.

Grupa Laokoona jest kulminacyjnym punktem snu artystycznego Hellenów, odbiciem wrażeń i postrzeżeń, które społeczeństwo na jawie, wśród czynnego życia doświadczyło.

Mistrz Praksytel, postać epokowa, tym prądom społecznym podlega, jest on pierwszym swego czasu birbantem, kształcił się w szkole, dla któréj wzorów dostarczają kurtyzany. Geniusz jego rozwija się pod wpływem sławnéj pamięci hetery Mnezarete *v.* Fryne, któréj imię w dziejach sztuki złotemi głoskami zapisane. Fryne, przyjaciółka Praksytela, przez swą piękną postać, staje się nie jednego arcydzieła wzorem. Afrodyta knidyjska jest jéj idealnym portretem. Inny znów portret Mnezarety umieszczony w świątyni w Tespii, a także za jéj wpływem powstaje sławny Eros, złożony jako *votum* w świątyni w Tespii, mieście rodzinném sławnéj kurtyzany [1]).

Nie możemy tu powtarzać całéj historyi sztuki helleńskiéj, w połączeniu z helleńską kulturą i historyą polityczną. Krótkie to jednak streszczenie już stanowi dowód, że rozkwit sztuki poprzedzany jest zawsze polityczną i ekonomiczną rewolucyą. Po niéj następuje wyczerpanie sił społecznych, następnie chwila odpoczynku, sen, który u pojedyńczego człowieka godzinami, w społeczném zaś życiu mierzymy latami [2]). Nareszcie po odpoczynku występują senne marzenia, przeszłość odźwierciedlające.

A więc wielki rozkwit sztuki nie w środku pewnéj epoki, ale po niéj występuje.

W przeglądzie tym pomijam Rzym, który nie wytworzył do tego stopnia samodzielnego stylu odrębnego, by mógł służyć za dotykalny przykład prawa, o którém mowa. Przejdziemy więc wprost do sztuki średniowiecznéj.

---

[1]) Listy pozostałe po Mnezarete świadczą o wpływach jéj na działalność Praksytela. Jeden z tych listów w przekładzie przytaczam:

„Bądź pewny,—pisze Mnezarete do Praksytela, — że piękne dzieło stworzyłeś, ukochaną twą w świątyni umieściłeś; zajęłam miejsce pomiędzy Afrodytą a twoim Amorem. Nie zazdrość mi tego zaszczytu, albowiem ci, którzy mię tu widzą, chwalą Praksytela, a ponieważ jestem twego artyzmu dziełem, tespijczycy nie uważają mię za niegodną, bym wśród bogów miejsce zajęła. Do daru twego brak, abyś sam do nas przybył, byśmy razem w świątyni spoczęli. Nie splamimy bogów, których sami stworzyliśmy!“ (*Jacobs*, „*Griechische Frauen*“).

[2]) Forster zauważył, że u chorych nerwowych okresy cierpienia składają się 27 do 28, u słabnących z 14 dni.

W téj epoce przedewszystkiém oznaczymy dwa zdarzenia płodne w następstwa cywilizacyjne; mianowicie zdobycie Jerozolimy przez Krzyżowców w 1099 r. i zdobycie Konstantynopola w 1204 r. Największy téż rozwój sztuki przypada właśnie w dziesięć do 50 lat po tych dwóch pamiętnych wypadkach.

Po zdobyciu Jerozolimy przez Gotfreda de Bouillon, powstają najwspanialsze budowle we Francyi: w Sens (1152 r.), Senlis (1151), Blois (1138), Saint-Denis (1140).

Daléj po roku 1204-ym powstają budowle: w Amiens (1220), Reims (1212), Sainte-Chapelle w Paryżu (1220), Bourgos (1230), Kolonii (1248), Freiburgu (1235), Trewirze (1227), Brukseli (1226), Brudze (1239), Św. Gereona w Kolonii (1212), katedra w Strasburgu (1277 skończona fasada) i wiele innych.

Daty te stosują się także do rzeźby, jako związanéj z architekturą i niegrającéj samodzielnéj roli w sztuce średniowiecznéj.

Widzimy więc tu powtórzenie ogólnego prawa, któremu podlega zarówno jednostka, jak i społeczny organizm.

Jakie są znamiona owych w kamieniu zaklętych snów średniowiecznego człowieka, to w ogólnych zarysach oznaczyliśmy na początku pracy niniejszéj [1]).

Nie możemy również wyświetlać znaczenia i wpływów wojen Krzyżowych, znaczenia dla europejskiéj kultury średniowiecznéj zdobycia Jerozolimy i Konstantynopola, wchodzi to już bowiem w zakres specyalnego traktatu historyi cywilizacyi i historyi sztuki.

Tu więc poprzestać musimy tylko na zaznaczeniu samych faktów, na wymienieniu dat historycznych, cyfr, które stwierdzają porządek następstwa zdarzeń, czasu, w którym sztuka rozkwita. Cyfry te stwierdzają, że społeczeństwo całe, podobnie jak jednostka, po wielkich trudach, po życiu czynném, pełném przygód, fizycznych i moralnych wrażeń, zapada w sen, którego uwieńczeniem — artystyczne marzenia. Czas jednak trwania snu tego, odpoczynku po trudach, nie da się naprzód oznaczyć dla jednostki, zależny jest on od natężenia sił organicznych, wyczerpania sił fizycznych i duchowych, i żywotności danego organizmu. Tém bardziéj niepodobna naprzód oznaczyć dla danego społeczeństwa chwili, w któréj sztuka rozkwitnie.

Prawo jednak, o którém mowa, jest tak ogólne, że może być sprawdzone we wszystkich społeczeństwach, we wszystkich historycznych objawach piękna.

Téż same przyczyny i skutki, jakie widzieliśmy w wieku Pery-

---

[1]) Rozdz. I.

klesa rzeczypospolitéj ateńskiéj, powtarzają się w XV wieku w rzeczypospolitéj florenckiéj.

Po walkach Gwelfów i Gibelinów w XII w., a następnie w XIII w. t. zw. czarnych i białych, Cerchi'ch i Donati'ch, po wygnaniu naczelników miasta, po walkach stronnictwa kupieckiego ze szlacheckiém, rozdwojeniu samego ludu na dwie partye (*popolo grosso* i *popolo minuto*), karach wymierzonych przez cesarza niemieckiego (1131 r.), rządach namiestników, gwałtach Gautier de Brienne, i przez to wywołanych powstaniach, wojnach z Pizzą i państwem papieskiém, wygnaniu i przywróceniu do władzy Medyceuszów, po tych wszystkich burzach wstrząsających organizm społeczny, — Koźma Medyceusz przywraca spokój i ustala swą dynastyą w 1433 roku.

Rok ten musi być uważany za stanowczy w historyi rzeczypospolitéj florenckiéj, a lubo walki z Rzymem i Neapolem powtarzają się, są one jednak krótkotrwałe i niezbyt gwałtowne.

Po roku 1533, organizm społeczny rzeczypospolitéj florenckiéj, przez trzy wieki prawie targany, olbrzymią fizyczną i duchową pracą wyczerpany, wpada w stan odrętwienia, aż bodziec zewnętrzny w postaci wychodźców helleńskich po zdobyciu Konstantynopola w r. 1453, wywołuje sen artystyczny w dziełach Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Rafaela i Tycyana skrystalizowany.

Uczeni greccy jak np. dwaj Janowie Argyropulos, z których młodszy jest tłómaczem Arystotelesa; Marek Musuros, a za ich przykładem Marceli Ficino, tłómacz Platona, nareszcie Marsilius, przez badania i odkrycia dzieł helleńskich, budzą pojęcie i zamiłowanie sztuki klasycznéj.

Wszystkie najznakomitsze dzieła czterech powyżéj wymienionych mistrzów wykonane w pierwszych latach XVI stulecia, a więc przeszło po półwiekowém wypoczynku organizmu społecznego.

Michał Anioł tworzy Dawida pomiędzy 1502—1504 r., Mojżesza zaczyna przed śmiercią Juliusza II, a zatém przed 1513 r. [1]), obrazy w sykstyńskiéj kaplicy pomiędzy 1504—1505, kartony florenckie 1503 r.

Rafael tworzy: Maryą z Dzieciątkiem (ze św. Franciszkiém i Hieronimem) r. 1500. Madonnę w zbiorach Rogera 1508 r. Św. Rodzinę 1508 r., Tryumf Galatei 1514 r., Szkołę Ateńską 1511 r., Rzeź Betleemską 1519 r., Śmierć Ananiasza 1515 r.

---

[1]) Juliusz II † 22 lutego 1513 r.

Leonardo da Vinci tworzy: Wieczerzę Pańską 1498 r., Grupę Jeźdźców 1503.

Twórczość Corregia i Tycyana rozwija się w dwóch pierwszych dziesiątkach lat XVI wieku.

Widzimy tu znów powtórzenie procesu fizyologicznego, odbywającego się w organizmie. Najprzód wysiłek fizyczny albo duchowy, wywołuje zmęczenie, wskutek którego następuje sen przeszło 50 lat trwający. Potém dusza waha się, i w tém wahaniu płodzi senne obrazy. Jak już wiadomo, charakter tych obrazów zależy od rodzaju bodźca zewnętrznego, który może być fizycznéj albo duchowéj natury.

Gdyby tym bodźcem zewnętrznym, który w XVI wieku wywołał artystyczne marzenia, zamiast greckich byli germańscy, albo azyatyccy wychodźcy, artystyczne marzenia florentczyków innąby przybrały postać — zamiast klasycyzmu, może gotycyzm powstałby z grobu. Rzecz ma się tu tak samo, jak w śnie jednostki, u któréj mary kształtują się, stosownie do istoty bodźca zewnętrznego.

Społeczeństwo florenckie przechodzi te same stadya jak jednostka. Po życiu czynném człowiek przekształca się nagle, krew zamiast do mózgu przypływać, zużytą zostaje na wzmocnienie organizmu, aż do chwili, kiedy znów mózg, do normalnego stanu doprowadzony, senne wysnuwa obrazy.

Taką chwilą wyczerpania sił organizmu dla rzeczypospolitéj florenckiéj jest rok 1433, fazą zaś przejściową, owém Heglowskiém wahaniem się, czas od 1453 do 1500 roku.

Identyczność przyczyn, wywołujących wielkie w zakresie piękna zdarzenia, stwierdza jeszcze ten fakt, że jak Ateny w V wieku, tak samo Florencya w XV wieku staje się ogniskiem handlu i źródłem wielkich bogactw. Ateny w V w. dostarczają oliwy, fig, miodu, wytwornych dzieł garncarskich całemu śródziemnemu światu. Kopalnie w Laurium zmieniają miasto Minerwy na mennicę srebrnych i złotych monet. Miasto to posiada kopalnie złota w Tracyi i na Eubei. Tak samo rozgałęzia się handel Florencyi w XV wieku.

Gorączka snom sprzyja. W VI wieku przed Chr. rozwija się osobliwie miejskie gorączkowe życie. Sprzyja ono nietylko szybkiéj wymianie myśli, zderzeniu się żywych prądów, wytwarzaniu się gorączkowych marzeń. Wzajemna odległość budowli miejskich, podobnie jak roślinności, wytwarza właściwą atmosferę. Myśl powstała w mózgu jednostki, jakby przez poddawanie myślowe, przechodzi do organizmu społecznego. Miejski odmęt szybciéj wytwarza zmęcze-

nie, niż wiejska cisza, roślinność szybciéj rozwija się w mieście, niż na wsi, téż snom ludzkości bardziéj miejskie, niż wiejskie życie sprzyja [1]).

Nie można więc odrodzenia sztuki w XV wieku przypisywać wyłącznemu wpływowi Medyceuszów; byli oni tylko, że tak rzec można, tego duchowego objawu dobremi przewodnikami siły, któréj źródłem—niezłomna Ananke.

Fakta, któreśmy widzieli w Atenach za Peryklesa i we Florencyi za Medyceuszów, powtarzają się w Niderlandach w XV wieku.

W końcu tego wieku przemysł Flandryi olbrzymio się rozwija, skupiają się tu bogactwa niemal całéj Europy. Ludność Gandawy, podobnie jak Aten w V w., dochodzi do 189,000. Przemysł złotniczy zastępuje tu skarbiec z Delos do Aten przeniesiony.

Małżeństwo, zawarte pomiędzy Małgorzatą, córką Ludwika II, ostatniego hrabiego Flandryi, a Filipem Burgundzkim, dobroczynnie wpływa na stan kraju; życie zaczyna się uspakajać.

Rok 1400 uważa Taine jako datę, w któréj społeczeństwo niderlandzkie zaczyna się osiadać (*commence à s'asseoir*) [2]), a po 25 latach odpoczynku, sztuka w całéj pełni rozkwita. „Sztuka—mówi Lübke—około roku 1425, nagle się rozwija, nadzwyczajne i zadziwiające czyni postępy“. Taki nagły i zadziwiający rozwój jest najzupełniéj naturalnym objawem.

W XVI wieku, mianowicie po unii Utrechckiéj w r. 1579, w 32 lat potém zdarzeniu, Rubens tworzy Zdjęcie z Krzyża, potém Maryę Medicis (1620 r.), Furyę wojny (1625 r.). Za nim idą Van-Dyck, Jordaens, Teniers i cała plejada gwiazd artystycznych.

Nareszcie traktaty polityczne XVII wieku znów czynią z Holandyi kupca, filistra, zajętego czynném życiem, zdążającego wyłącznie do skupienia nowych bogactw. Tam, gdzie realne życie, w handlu i przemyśle objawiające się, zawładnie życiem społeczném, sztuka rozkwitnąć nie może. Sztuka w Anglii i Ameryce jest dotąd kwiatem egzotycznym. Ich obrazy o jaskrawych, papuzich barwach, architektura lichem klasyku naśladownictwem. Sławne zbiory nie służą do zadowolenia poczucia piękna, ale są materyałem dla uczonych traktatów.

Historya sztuki jest barwnym obrazem prawa okresowości, rzą-

---

[1]) Porówn. także w dziele Radestocka, przypis. 321.
[2]) Taine. Philosophie de l'art aux Pays-Bas.

dzącego organizmem społecznym. Prawo to możemy sobie uprzytomnić w postaci linii falistéj. Linia ta wznosi się, to znów opada. Jéj wierzchołki oznaczają natężenie sił energii społecznéj, wklęsłości zaś chwilę uśpienia.

Sennym marzeniom pojedyńczéj i zbiorowéj jednostki sprzyjają godziny wczesnego poranku, chwila przed ocknieniem, przejście od nicestwa do bytu, kiedy promienie myśli nie zestrzeliły się jeszcze w swém mózgowém ognisku, lub téż zaczynają się rozpraszać. Czas ten jest chwilą snucia marzeń, jest to chwila najpłodniejszéj twórczości. Rozproszenie takie najbardziéj sprzyja kojarzeniu myśli, rozwojowi organicznéj nici sennych i artystycznych marzeń.

Morfeusz, snów bożyszcze, dosłownie znaczy po grecku obrazodawca.

Podobnie jak tęcza ulewy, echo głosu, cień światła jest płodem, senne marzenia są odbiciem wrażeń na jawie doświadczonych, tak samo artystyczne twory są tęczą, echem i cieniem wypadków, które społecznym wstrząsnęły organizmem.

Tu można z pewną odmianą, powtórzyć zdanie Platona, że sztuka jest tylko cieniem cienia.

Cień również, według mitycznéj historyi, dał początek sztuce rysunkowéj. Córka bowiem Dibutadosa, żegnając się ze swym oblubieńcem, na ścianie, według cienia, podczas nocy księżycowéj rzuconego, nakreśliła profil żegnającego się z nią kochanka.

Wielki rozwój sztuki jest objawem fazy przejściowéj życia społecznego, jest on owém Heglowskiém pomiędzy bytem i niebytem, wahaniem się, nawpół senném, nawpół czynném życiem.

Takie przejściowe stadyum widzieliśmy w Helladzie, Italii, w wiekach średnich i Niderlandach w XV wieku.

Kiedy człowiek przestanie być krwiożerczym wojownikiem, kiedy zadowolni muskuły ruchu, pracy fizycznéj spragnione, wtedy bezwiednie staje się marzycielem.

Po rewolucyach organizm społeczny wyczerpujących, kiedy słońce społeczne przestanie palić srogim południowym promieniem, społeczeństwo w sen zapada, a pokrzepiwszy swe siły, wysnuwa marzenia, stwarza sobie świat nowy, idealny, lepszy od rzeczywistego, w którym uprzytomnia sobie świetną przeszłość, by smutnéj teraźniejszości zapomnieć.

Wtedy to społeczeństwo bezwiednie powtarza za Michałem

Aniołem, słowa rozdartego serca, skargę, wywołaną widokiem zdeptanych swobód ojczyzny:

Miły mi sen mój, miléj, żem z kamienia,
Gdy trzeba tylko boléć, lub się wstydzić,
Szczęściem jest dla mnie, nie czuć i nie widziéć.
O! mów cicho! nie budź mnie z uśpienia! [1])

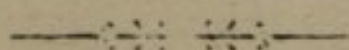
Kazimierz Kleczkowski.



[1]) Wiersz na pomniku Medyceuszów (Dzień i Noc, Zmrok i Jutrzenka) podany w przekładzie Odyńca.



Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.



II.

Stulecie chemii. — Alchemia i chemia. — Stan współczesnéj chemii teoretycznéj. — Analiza spektralna.—Układ naturalny pierwiastków.—Złożoność pierwiastków. — Badania pyrochemiczne.—Fluor.—Synteza chemiczna.—Sztuczne otrzymanie cukru. —Synteza skał.—Postępy chemii technicznéj.—Zużytkowanie azotu z węgla opałowego.—Rolnictwo i chemia.—Tworzenie mączki.

Żyjemy w czasie, który słusznie nazwać można stuletnim jubileuszem chemii. Ostatnie dziesiątki lat ubiegłego wieku były świadkami najwspanialszych odkryć w dziedzinie zjawisk i teoryi chemicznych. Cały gmach nowoczesnéj chemii wspiera się na podwalinach, założonych przed stuleciem przez jeden z najjaśniejszych ówczesnych umysłów, Lavoisiera. I przed Lavoisierem istniała chemia, znano dobrze zaobserwowane zjawiska chemiczne, i nawet niektóre z nich dobrze objaśniano, lecz wszystko to stanowiło zbiór luźno z sobą związanych danych, których spojenie w jedną całość przypadło w udziale Lavoisier'owi. Olbrzymia płodność pracy Lavoisier'a tak całkowicie opanowała chemią, tak olśniła umysły, że dziś jeszcze zdarza się śród chemików spotykać ludzi, którzy w chemią przedlavoisierowską nie wierzą. Przyczyną tego jest w znacznym stopniu nie dość pedagogiczny wogóle współczesny wykład nauk przyrodniczych. Braki tego wykładu bezwątpienia polegają na niedostateczném uwzględnianiu momentu historycznego w rozwoju wiedzy. A właściwie, istoty danéj gałęzi nauki, sposobów, przy których pomocy dochodzimy do poznania danéj kategoryi prawd naukowych, pojąć nie można, nie śledząc dróg, jakiemi umysł ludzki do prawd tych dochodził. Jakkolwiek więc bez-

myślném byłoby chcieć cośkolwiek odejmować najsłuszniejszéj sławie Lavoisier'a, jednakże w interesie nauki, badanie przeszłości chemii do najważniejszych jéj zadań należy.

Chemia wyrosła na gruncie z wielkim mozołem uprawianym przez alchemików, którzy w naszych czasach nawet wśród szerokiego ukształconego ogółu zażywają nie najlepszéj sławy. Rzetelni wszakże badacze historyi chemii od dość dawna wskazują na prawdziwe zasługi przez alchemików położone, a dowody popierające ich zdania wciąż w aktach naukowych się mnożą. Przysłużył się niemi w ostatnich czasach znany profesor paryski Berthelot, który od lat już wielu pracy nad alchemią i alchemikami się oddaje. Alchemików i ich wiedzy mierzyć nam nie wolno tą miarą, jaką nam do rąk dały teraźniejsze metody badań, metody zdobyte kosztem pracy wielu stuleci. Pamiętając zaś o téj kardynalnéj zasadzie, potrafimy w tém, co nam alchemicy po sobie zostawili, dojrzéć nie jedno cenne spostrzeżenie, nie jeden przebłysk wielkiéj myśli lub doniosłego odkrycia.

Porównanie alchemii z chemią obecną, wskazanie tych licznych nici, któremi alchemia z chemią jest związana, tego naturalnego biegu myśli ludzkiéj, dzięki któremu na gruncie alchemii wyrosnąć mogło tak wspaniałe drzewo, jakiém jest chemia współczesna, stanowi zadanie niezmiernie wdzięczne, zadanie, którego spełnienie dziś bardziéj niż kiedykolwiek winniśmy czytelnikowi polskiemu; lecz oczywiście zadanie to odmienne jest od tego, które ma na celu kronika niniejsza, a potrąciliśmy o nie tylko z powodu wspomnienia o jubileuszu stuletnim chemii.

Ten właśnie jubileusz mimowoli nasuwa myśli inne jeszcze, każe rozejrzeć się w tém, co zrobiono donioślejszego w chemii stulecia bieżącego i jakiemi są najbliższe zadania chemii w przyszłości. I przed takiém zadaniem kronikarz się wzdryga, przerasta to miarę tych sił, które dla pisania niniejszego artykułu z konieczności muszą być przeznaczone. Przewodnikiem jednak cennym może mi być tutaj wypowiedziany w końcu roku ubiegłego przez jednego z najpoważniejszych chemików dzisiejszych, Wiktora Meyera (profesora heidelberskiego) odczyt o zadaniach chemii współczesnéj. W szerokich przeto zarysach, na najnowszych i najjaskrawszych przykładach postaram się tu wykazać, jakie myśli obecnie nurtują w mózgach chemików, jakiemi drogami i do jakich celów prace chemiczne zdążają i czego od prac tych spodziewać się mamy.

Jako nauka badająca pewien szereg zjawisk przyrody, oraz własności najwewnętrzniejsze wszelkiéj materyi, chemia, jak to już Kant zauważył, nie dorosła jeszcze do tego, aby ją nazwać można nauką

w najszczytniejszém tego słowa znaczeniu, t. j. w znaczeniu poznania przyrody, które osiągnęło swój wyraz w mechanice matematycznéj. Dążeniem każdego odłamu wiedzy ludzkiéj, każdéj nauki, jest zdobycie w badanych przez się zjawiskach takiego stopnia ścisłości, któryby pozwolił wszelkie stosunki pomiędzy zjawiskami, wszelką zależność pomiędzy przyczyną a skutkiem ująć w postać wyrazu matematycznego, czyli jaśniéj mówiąc, dopiąć tego, czego już dopięła astronomia i fizyka. Chemia, będąc nauką ścisłą, jednakże dotąd znajduje się jeszcze w tym okresie życia swego, w jakim astronomia znajdowała się przed Newtonem, a jakkolwiek materyał teoretyczny spostrzeżeń i doświadczeń w zakresie chemii już, pomimo krótkiego istnienia prawdziwie naukowego jéj rozwoju, bardzo jest obfity, to jednak na przyszłego Newtona chemii dość długo zapewne czekać nam jeszcze wypadnie.

Brak dotąd w chemii z dostateczną ścisłością opracowanéj teoryi, którahy w jasny sposób odpowiadała na zasadnicze dwa pytania, mianowicie: „czém jest powinowactwo chemiczne“ i „czém jest wartościowość pierwiastków chemicznych.“ Ze skutkami powinowactwa chemicznego, z objawami téj siły, którą nazywamy energią chemiczną, spotykamy się na każdym kroku; niemniéj tysiące mamy dowodów na to, że atomy pierwiastków chemicznych w rozmaitych stosunkach liczbowych ze sobą się wiążą. Fakty tego rodzaju są tak dla umysłu badaczów dawne, jak chemia sama, a jednakże zadawalającéj choćby hypotezy, którahy fakty te objaśniła, napróżno jeszcze wyczekujemy.

A jednak pierwiastek spekulacyjny w chemii po wszystkie czasy niepoślednią odgrywał rolę. W znacznym bardzo stopniu mamy mu do zawdzięczenia zdobycie najwspanialszych poglądów na budowę materyi z atomów. Poglądy zaś te, jakkolwiek z biegiem czasu ulegały pewnym modyfikacyom, jednakże ogólnie tak się słusznemi okazały, że dziś nie ma ani jednego ciała z szeregu wielu tysięcy związków węglowych, których budowy chemicznéj byśmy nie znali. Nie jesteśmy, co prawda, równie szczęśliwi w dziedzinie tych związków, które zwiemy nieorganicznemi albo mineralnemi, lecz i tu najniezawodniéj w bliskiéj przyszłości nowa jaka metoda badania rzuci jasny promień światła, który ciemności rozproszy.

Badania widmowe (spektralne) wniosły do chemii nietylko nowy sposób niezmiernie czułéj analizy, która pozwoliła odkrywać nieznane dotąd pierwiastki tam, gdzie zaledwie tysiączne części miligramów się znajdują, lecz jeszcze, co ważniejsza, rozszerzyły widnokrąg wiedzy ludzkiéj, pozwalając nam z drobnéj naszéj planety badać skład chemiczny dalekich ciał niebieskich; stworzyły one w ten sposób samodzielną niejako gałąź wiedzy, która granicząc z astronomią, fizyką

i chemią, wszystkim tym trzem naukom nieobliczone przyniosła korzyści.

A gdy z rozmaitych stron ujęta zagadka o istocie pierwiastków chemicznych wciąż bliższą zdawała się być rozwiązania, gdy poznano sześćdziesiąt przeszło pierwotnych gatunków materyi, z których żaden, według znanych doświadczeń, nie może być w inny zamieniony, wówczas na nowo powstało pytanie, czy też w rzeczy saméj rozmaite pierwiastki chemiczne nic z sobą wspólnego nie mają. W szeregach znanych pierwiastków dostrzeżono grupy pierwiastków podobnych, których analogie występowały we wszystkich niemal podobnie złożonych związkach; różnice zaś zachodzące pomiędzy własnościami tych zbliżonych do siebie pierwiastków, dały się objaśnić na podstawie różnic tych liczb stosunkowych, które zwiemy ciężarami atomowemi, a które wskazują, ile razy atom danego pierwiastku w stanie gazowym cięższy jest od atomu wodoru, najlżejszego ze znanych ciał. Wykryta w ten sposób zależność własności pierwiastków od ich ciężarów atomowych, ujętą została w prawo nie mające wyjątków, prawo, które ćwierć wieku temu zaledwie wygłoszone, na rozwój chemii od tego czasu największy wpływ wywarło. Pozwoliło nam to przedewszystkiém pozyskać dla pierwiastków układ systematyczny, w którym położenie każdego pierwiastku zupełnie tak naturalnie z własności jego wypływa, jak położenie danéj rośliny lub zwierzęcia w szeregach naturalnéj systematyki tworów żyjących. Nie dość tego. Po dokonanéj indukcyi, z ogólnego prawa wynikała możliwość istnienia nieznanych nam dotąd pierwiastków—i w rzeczy saméj, przepowiednie ziściły się w wielu wypadkach. Ścisłość prognozy była zadziwiającą. Potrafiono, nie widziawszy nigdy danego pierwiastka, powiedzieć, że jeśli istnieje, to posiada taki a taki stan skupienia, taką a taką gęstość, taki a taki punkt topliwości, punkt wrzenia, i z niemniejszą pewnością przepowiadano, w jaki sposób związki jego z innemi pierwiastkami są złożone i jakie są fizyczne i chemiczne ich własności. Urok, jaki od dawien dawna chemia roztaczała, wzrósł, gdy przepowiednie takie okazały się prawdziwe.

Jednocześnie, jak wspomniałem, pojawiło się pytanie o złożoności pierwiastków chemicznych. Do postawienia tego pytania uprawniały zarówno badania widmowe, jak i w bardzo znacznej mierze konsekwencye wyciągane ze zbudowanego w tak mistrzowski sposób układu naturalnego pierwiastków. Czy materye, zwane przez nas pierwiastkami chemicznemi, nie są same ciałami złożonemi z bardziéj prostych ciał, czyż wreszcie zbyt śmiałém miałoby być przypuszczenie, że jedna istnieje tylko pierwotna materya, któréj rozmaite stany

w rozmaitych kombinacyach ilościowych wytwarzają owe siedmdziesiąt kilka znanych nam dzisiaj pierwiastków? Jako hipoteza, niezmiernie zresztą daleka jeszcze do przyjęcia bardziéj określonych kształtów, pytanie to w nauce istnieje, a w nawiasie dodać musimy, że grunt téj hipotezy nie bardzo jest różny od drogich marzeń alchemików, którzy poczytywali wszelkie ciała za zdolne do przemiany w inne, do stopniowego uszlachetniania, do zamiany na złoto. Inna sprawa, naturalnie, o ile my bardziéj od alchemików jesteśmy upoważnieni do oddawania się tym rojeniom o przyszłości chemii.

Prawdziwymi sprzymierzeńcami, dodającymi nam otuchy do podejmowania najśmielszych prób, do rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień są zdumiewające postępy, jakie w ostatnich czasach dokonano na polu techniki w pracowniach chemicznych, tam, gdzie właśnie pytania podobne do powyższych wyłaniają się w mózgach przodowników wiedzy. Na dowód tego pozwolę sobie tu tylko dwa przykłady przytoczyć.

Nie udało się wprawdzie dotychczas przy pomocy wysokiéj temperatury rozłożyć pierwiastków chemicznych, lecz udało się rozłożyć cząsteczki takich pierwiastków, jak chlor, brom i jod, na składające je atomy. Ten dowód doświadczalny, jaki osiągnięto przytém, mianowicie, że cząsteczka każdego z tych ciał składa się z dwu atomów, jest znów doskonałém sprawdzeniem teoryi, która dawniéj już to przepowiedziała. Na polu tych badań są to pierwsze dopiéro kroki w najostatniejszych dokonane czasach. Badania „pyrochemiczne,“ dokonywane w wysokich temperaturach, głównie przez wspomnianego prof. Meyera, pozwalają się spodziewać bardzo obfitych rezultatów; dziś prac odnośnych wykonywać nie można w temperaturach wyższych nad 1,700 stopni, gdyż wyżéj topią się naczynia porcelanowe i platynowe, na których używanie jesteśmy skazani. Jeśli przed laty kilku możliwość wykonywania mierzeń w téj temperaturze wydawała nam się nieoczekiwanym postępem naprzód, to dziś skarżymy się już na to, że banalna przyczyna braku odpowiednich naczyń staje nam na przeszkodzie do podniesienia temperatury do 2,000 i 3,000 stopni. Nie ulega wątpliwości, że objawią nam się nowe, nieprzewidziane odkrycia, że uda nam się rozszczepienie innych jeszcze elementarnych cząsteczek, że przed oczami naszemi rozwinie się nowa chemia wówczas, gdy uzbrojeni w naczynia z nietopliwego materyału zdołamy pracować w takich temperaturach, w których woda już nie istnieje, a gaz piorunujący stanowi niezapalną mieszaninę.

Drugim przykładem olbrzymich postępów techniki laboratoryjnéj są prace francuskiego chemika Moissana, który potrafił przezwyciężyć

szczęśliwie wszystkie trudności, jakie dotychczas stały na przeszkodzie do wydzielenia w stanie wolnym pierwiastku fluoru, rozpowszechnionego dostatecznie w przyrodzie w postaci związków. W najnowszych jeszcze podręcznikach chemii możemy się spotkać ze zdaniem z dawien dawna znaném, że fluor w stanie wolnym otrzymany dotąd być nie może, a to z powodu niezmiernie wielkiéj swojéj energii chemicznéj, która sprawia to, że, wydzielając się, fluor natychmiast działa chemicznie na materyał naczynia, że w związku, z którego stosunkowo najłatwiejby go było otrzymać, mianowicie w fluowodorze jest z wodorem niezmiernie silnie połączony. Nader pomysłowe udoskonalenie przyrządów pozwoliło p. Moissanowi usunąć wszelkie przeszkody, jakie dotąd na drodze do otrzymania fluoru napotykano, i oto poznajemy własności gazu w części dawniéj już przepowiedziane, a najzupełniéj potwierdzające to wszystko, co na zasadzie teoryi z góry przypuszczać było wolno. Lecz o ileż wiadomości takie są cenniejsze od dawnych, o ile bardziéj bezpośrednio pozwalają nam wejrzéć w istotę nieznanego dotychczas ciała chemicznego. O własnościach tych słów kilka. Fluor na zimno rozżarza jeden z najoporniejszych pierwiastków, mianowicie krzem krystaliczny, na który nie działa wrący kwas azotny i który z wielką trudnością w bardzo wysokiéj temperaturze dopiéro spala się w czystym tlenie. Podczas gdy chlor, najpodobniejszy z pierwiastków do fluoru, nie może bezpośrednio łączyć się z węglem, fluor czyni to, dając produkt gazowy, bliżéj dotąd nie zbadany. Za inny jeszcze dowód olbrzymiéj energii chemicznéj fluoru niechaj posłuży to, że gdy do rury, w któréj gaz ten się znajduje, wpuścić kroplę wody, ta ostatnia natychmiast się rozkłada: wodór wody łączy się z fluorem, a tlen ulega przeobrażeniu na ozon. Jest to jedyna dotąd znana reakcya chemiczna, która bezpośrednio pozwala tlenowi przejść w czynniejszą postać ozonu. Wreszcie, dodamy, fluor łączy się z wodorem na zimno i w ciemności. Znów mamy tu pierwszy przykład łączenia się dwu pierwiastków gazowych bezpośrednio, bez współudziału energii zzewnątrz. Chlor i wodór dla połączenia się wymagają działania promieni światła; tlen i wodór wymagają iskry elektrycznéj lub promienia. Jak się okazuje, fluor jest najenergiczniejszym ze znanych pierwiastków chemicznych i dalsze poznanie go powinno przynieść chemii nie jedno jeszcze ciekawe odkrycie lub zastosowanie.

Badania Moissana są zbyt nowe, mało dotąd szerokiemu ogółowi znane i zbyt interesujące, bym mógł o nich przemilczéć.

A teraz wracam do postępów chemii na innych polach. Jeżeli nie zatrzymuję się dłużéj nad badaniami z chemii teoretycznéj, czyli fizykalnéj, to głównie pochodzi to stąd, że pytania, w téj części chemii

roztrząsane, tego są rodzaju, że w popularny sposób, bez dłuższych omówień wyłożyć się nie dadzą. Wobec zaś z góry zakreślonego planu kroniki niniejszéj zbyt dużo miejsca poszczególnym punktom poświęcić nie mogę. Chemia fizykalna jest najmłodszą latoroślą naszéj nauki, i spodziewam się, że w dalszych kronikach będę mógł czytelnika zapoznawać jeszcze z wspaniałemi jéj zdobyczami.

Synteza chemiczna—oto znów dziedzina, w któréj od lat wielu święci chemia największe tryumfy. Tajemnice tworzenia ciał chemik wydarł naturze i w bardzo wielu wypadkach znakomicie ją naśladuje. Od czasu, gdy po raz pierwszy sztucznie w pracowni chemicznéj otrzymano ciało, znane przedtém jako wytwór działalności życiowéj, najtrudniejsze zadania nie ustraszyły chemików. I oto dzisiaj potrafimy z czarnéj smoły wyrabiać barwniki, które własnościami swemi nietylko zbliżają się do barwników naturalnych, ale nawet z niektóremi z tych ostatnich są zupełnie identyczne; potrafimy sztucznie wytwarzać takie ciała, jak mocznik lub kwas moczowy (najnowsze badania Horbaczewskiego i Behrenda), które znane nam były jako produkty przemiany materyi w zwierzętach; potrafimy, drogą zapewne inną, niż to czyni roślina, otrzymywać pewne ciała trujące, a w małych dawkach lecznicze, zwane alkaloidami, których rozległe badania stanowią obecnie w chemii kwestyą dnia.

Usilne badania pp. Fischera, Tafela i Kilianiego pozwoliły nam w ostatnich czasach o tyle poznać istotny skład chemiczny materyi cukrowych, wytwarzanych w roślinach, że w ślad za niemi ukazały się wiadomości o istotném sztuczném stworzeniu cukru. I cukier otrzymany tą drogą we wszystkich niemal własnościach najzupełniéj z cukrem gron winnych jest identyczny. Nie jest to tylko materya słodka, nie ta sacharyna, o któréj tyle w ostatnich czasach słychać, to prawdziwy cukier, który tylko roślina dotąd tworzyć potrafiła. Wobec takich rezultatów chemik nie powątpiewa o tém, że sztuczne wytworzenie ciała białkowego, owéj materyi zasadniczéj składającéj komórkę roślinną i zwierzęcą, jest tylko kwestyą czasu. Nie znaczy to wszakże, żebyśmy również bliscy byli sztucznego stworzenia prawdziwego elementu żywego tworu, komórki. Od tego zadania zapewne oddzieleni jesteśmy przepaścią, któréj nigdy nie przekroczymy.

A pomimo tych wszystkich oszołomiających niemal postępów chemii dzisiejszéj, świadomi jesteśmy najzupełniéj, iż z dzisiejszemi środkami badania w ciasnych zaledwie granicach poruszać się jesteśmy w stanie. Dość powiedzieć, że nie posiadamy dostatecznie pewnych sposobów badania takich ciał, które nie krystalizują, lub nie za-

mieniają się bez zmiany swéj indywidualności chemicznéj w stan gazu. Wielkiéj liczby ciał bezkształtnych z zadawalającą dokładnością nietylko nie poznaliśmy jeszcze, lecz nawet nie wyosobniliśmy ich dotąd z mieszanin, w których się one w przyrodzie znajdują.

Synteza chemiczna w ostatnich latach nie mniejszą doniosłość wykazała w dziedzinie geologii. Dzięki badaniom chemicznym udaje nam się w sposób sztuczny, w skromnych przestrzeniach pracowni chemicznéj, w czasie znacznie krótszym, niż to się działo w przyrodzie, otrzymywać najróżniejsze części składowe skał. I tutaj przed umysłem ludzkim odkrywa się szeroki widnokrąg, na którym, krok za krokiem stąpając, wyśledzić można te wszystkie czynniki, jakie w odległych od nas epokach geologicznych istniały na naszéj planecie i dzięki którym przybrała ona taki, a nie inny układ fizyczny i chemiczny. Najpłodniejszemi w tym kierunku są prace Daubréego, Frémyego, Lemberga i innych.

Z syntezą bezpośrednio zespolone są losy téj gałęzi chemii, która najbardziéj przyczynia się do szerzenia blasku téj nauki w najszerszych kołach. Wspomniałem o syntezie barwników, dodać więc tylko muszę, że wyrób ich drogą sztuczną stanowi jeden z najwspanialszych odłamów przemysłu. I na téj drodze chemik prześciga nawet poniekąd naturę. W toku swéj pracy tworzy on coraz to nowe ciała, nikomu przedtém nieznane, które stają się niekiedy po pewnym czasie nieodzownie potrzebnemi. Jeśli nie można tego dotychczas powiedzieć o owéj sacharynie, o którą wyżéj potrąciłem, a która w rzeczywistości może kiedyś stać się bardzo cennym materyałem, to już dziś bezwątpienia stosuje się to w zupełności do znanego ogólnie środka leczniczego, antipiryny. Jest to związek chemiczny, otrzymany sposobem sztucznym, nie identyczny z żadném znaném ciałem naturalném, który okazał się doskonałym lekiem, uśmierzającym tysiącom ludzi najnieznośniejsze cierpienia fizyczne. I śród leków, któremi rozporządza współczesna apteka, dużo innych podobnych sztucznych związków znajdujemy. Nie poprzestając wszakże na nich, chemicy bezustannie zajęci są szukaniem sposobów syntetycznego otrzymania tych leków, które nam sama przyroda w roślinach przyrządza. Nie dalecy jesteśmy najpewniéj od chwili, gdy w pracowni chemicznéj uda nam się otrzymać jeden z najcenniejszych przetworów roślinnych współczesnego skarbca leków — chininę. Do wypowiadania téj nadziei najzupełniéj upoważniają nas rezultaty, jakie na téj drodze otrzymuje cały szereg najpracowitszych badaczów, pomiędzy którymi na pierwszém miejscu postawić należy prof. Ladenburga.

Gdy jednak mowa o chemii w zastosowaniu do przemysłu, czyli

chemii technicznéj, zwykle mamy na myśli t. zw. wielki przemysł chemiczny, zajmujący się wyrobem na wielką skalę materyałów w olbrzymich ilościach, w codzienném życiu i innych gałęziach przemysłu zużywanych. W tym zakresie każdy niemal dzień, każda godzina coś nowego przynosi. Drobne na pozór udoskonalenie często jest źródłem największych oszczędności, sprowadzających uprzystępnienie danego materyału i wszystkiego, co od jego produkcyi zależy, najszerszym masom. Przemysł chemiczny, rozrastający się coraz bardziéj, dla wprawnego oka badacza przedstawia wszelkie fazy ciągle falującego życia, którego najdrobniejsze przejawy razem wzięte składają się na jedną imponującą całość. Jeden z najnowszych na tém polu pomysłów, chemika-technika angielskiego L. Monda, pozwoli nam ocenić doniosłość zmian i postępów w tym kierunku dokonywanych.

Największa masa azotu na ziemi naszéj znajduje się w atmosferze; azot jest tu w stanie wolnym, w którym bezpośrednio przez rośliny nie może być spożytkowany, roślinie bowiem dla zbudowania ciała, w skład którego znaczne ilości azotu wchodzą, pierwiastku tego dostarczać trzeba koniecznie w postaci związków. Często też rośliny cierpią na brak związków azotu. Sztuczne nawożenie gruntu ornego w przeważnéj liczbie wypadków (nie we wszystkich) ma przeto na celu pokrycie tego braku. Związki azotu, z jakich roślina bezpośrednio korzystać może, są solami kwasu azotnego, jak np. saletra, lub solami amonowemi, jak np. siarczan amonu.

Nic dziwnego, że oddawna już przemysł chemiczny stara się w sposób ekonomiczny azot powietrza przeprowadzić w stan związków. Lecz wszystkie dotychczasowe próby odnośne do pożądanego rezultatu nie doprowadziły. Badając przyczyny dotychczasowych niepowodzeń w tym kierunku, Mond szczęśliwie rozwiązał zadanie taniego sposobu dostarczania związków azotu, choć nie azotu atmosferycznego. Wszystkie mineralne materyały opałowe, a przedewszystkiém węgiel kamienny, zawierają pewne, co prawda nie bardzo znaczne, ilości azotu, który przy spalaniu tych materyałów o tyle niepożytecznie ginie, że w stanie wolnym przechodzi do atmosfery. Otóż ten właśnie azot Mond w sposób arcypomysłowy zwraca światu roślinnemu i to kosztem bardzo niewielkim.

Ażeby osiągnąć zamierzony skutek, nie należy tylko w tak nieracyonalny sposób spalać węgla, jak to się czyni dotąd. Węgiel spala się w przeprowadzonych na dużą skalę przez Monda próbach w generatorach gazowych wobec mieszaniny powietrza i pary wodnéj; wodór téj ostatniéj jest właśnie potrzebny dla połączenia się z azotem na amoniak. Zachodzi tu oczywiście rozkład chemiczny pary wodnéj na

jéj części składowe, lecz w części tylko; dwie trzecie pary wodnéj w stanie niezmienionym uchodzą wraz z gazami; nie są one wszakże stracone, udaje się bowiem doskonale zwracać je znów do generatorów. Sam materyał opałowy nie zostaje tu już bezpośrednio jako paliwo wyzyskany, lecz opalanie odbywa się za pomocą gazu, który przez działanie powietrza i pary wodnéj na węgiel w wysokiéj temperaturze się tworzy. Gaz ten, przyznać to trzeba, nie posiada już tak znacznéj wartości opałowéj, jak pierwotny węgiel. Wartość jego ma się do wartości węgla użytego, jak 80 : 100. Znaczy to, że dla osiągnięcia tego samego efektu opałowego trzeba zużyć według sposobu Monda 125 ton węgla, gdy bezpośrednio wystarcza na to 100 ton węgla. Jednakże różnica ta, jak najskrupulatniejsze obliczenia wskazują, zostaje nietylko zrównoważoną, lecz z olbrzymim zyskiem pokrytą właśnie przez to, że otrzymuje się jednocześnie amoniak (gaz złożony z azotu i wodoru), który w odpowiednio zbudowanych zbiornikach pochłonięty zostaje przez kwas siarczany, dając w ten sposób siarczan amonu, ową sól, która w olbrzymich ilościach w przemyśle i rolnictwie jest zużywana. Z jednéj tony węgla wydobywa się tyle amoniaku, że daje on 32 kilogramy siarczanu amonu. — Względy techniczno-ekonomicznéj treści prowadzą do wniosku, że taki sposób wyzyskiwania węgla nadaje się przeważnie tam, gdzie wymaganą jest wielka konsumcya taniego materyału opałowego i tu właśnie korzyści wypłynąć stąd mogące zdumiewają prawdziwie. P. Mond zaleca głównie spożytkowanie swego pomysłu w Anglii. Otóż, dość powiedziéć, że Anglia zużywa rocznie nie mniéj jak 150 milionów ton paliwa, co odpowiada wydajności 5 milionów ton siarczanu amonu. Gdyby więc tylko dziesiąta część tego paliwa ulegała przeróbce w sposób wyżéj opisany, to już to najzupełniéj-by wystarczyło, ażeby Anglia sama zaopatrywała cały świat stary potrzebną ilością azotu w postaci siarczanu amonu i azotanu sodu (saletry).

Przemysł chemiczny i rolnictwo łączą się tysiącznemi węzły, dopełniają się wzajemnie, a ulepszenia w przemyśle najczęściéj nie mogą pozostać bez wpływu na losy rolnictwa i odwrotnie. Mógłbym zdanie to poprzéć licznemi jeszcze dowodami nie mniéj niż powyższy przekonywającemi. Mimowoli nasuwa się tu wszakże bardzo zajmujące pytanie, czy mianowicie chemik choćby w dalekiéj przyszłości potrafi zastąpić tę pracę, jaką natura dokonywa na zaoraném polu? Czy udać sie nam może kiedykolwiek sztucznie otrzymywać te ciała złożone, które pod wpływem promieni słonecznych tworzą się w komórce roślinnéj i służą nam za pokarm? Mówiłem już, jak zapatrywać się należy na sprawę syntezy ciał białkowych. Co się zaś tyczy mączki,

owego pierwszego, najbezpośredniejszego produktu roślinnego, niezbędnego naszych pokarmów składnika, to dzisiaj dalecy jeszcze jesteśmy bardzo od chwili, gdy daném nam będzie drogą sztuczną otrzymywać go z tych materyi świata martwego (dwutlenku węgla i wody), z których roślina go tworzy. I wreszcie, kto wié, czy dla naszych spraw życiowych byłoby to tak wielkim postępem, gdyby pług został zastąpiony przez fabrykę chemiczną.

Zadanie wszakże zbliżone do tego zapewne będzie rozstrzygnięte przez naukę. Zadanie to polega na tém, ażeby materya zwana błonnikiem lub drzewnikiem, zawarta we wszystkich utworach roślinnych, a w olbrzymiéj ilości w naturze produkowana, stała się źródłem pokarmu ludzkiego. Gdy w saméj rzeczy pomyślimy, jak małą jest ilość chlebodajnéj mączki w kłosie zboża, a z drugiéj strony weźmiemy pod uwagę, że drzewnik posiada ten sam skład chemiczny, co i mączka, przyznać będziemy musieli, że przez zamianę drzewnika na mączkę zjawi się możliwość podniesienia produkcyi środków pokarmowych niemal do nieskończoności. Drzewo leśne, trawa, nawet słoma i owies — wszystko to stałoby się niewyczerpaném źródłem pokarmów człowieka. „Oby danem było chemii sprowadzić w ten sposób złoty okres życia dla ludzkości.“

Maksymilian Flaum.





WIDOKI
HANDLU KRÓLESTWA NA WSCHODZIE.

(Dokończenie).

Stosunki handlowe z Azyą środkową, a mianowicie z krajem Zakaspijskim, Bucharą, Chiwą, Turkestanem i okręgiem Semireczeńskim.—Stosownie do zakreślonego planu, przejdziemy obecnie do rozejrzenia się w stosunkach handlowych Azyi środkowéj. W tym celu musimy przedewszystkiém w kilku przynajmniéj słowach określić znaczenie handlowe kolei żelaznéj zakaspijskiéj i wpływ, jaki otwarcie téj kolei wywarło na kierunek i zmiany przywozu i wywozu kraju Zakaspijskiego, Chiwy, Buchary i okręgu Semireczeńskiego. Są to właśnie kraje, o które nam w téj chwili chodzi.

Do czasu zbudowania kolei zakaspijskiéj dla rynków Rosyi europejskiéj, a także dla rynków zachodniéj Syberyi, istniała z Azyi środkowéj jedna tylko droga: wszystkie karawany wielbłądzie schodziły się w Kazalińsku, skąd główna masa towarów z Chiwy, Buchary, Samarkandy i Taszkentu, kierowała się ku Orenburgowi do kolei żelaznéj, a tylko niewielka część ku Petropawłowskowi i Troickowi, t. j. ku Syberyi zachodniéj. Ogromne odległości między handlowemi punktami Azyi środkowéj, bardzo szkodliwie wpływały na handel tamtejszy, tak np. towar dla dojścia do Orenburga, albo w odwrotnym kierunku, do centralnych punktów środkowo-azyatyckich, musiał się znajdować w drodze od trzech do czterech miesięcy. Koléj zakaspijska, łącząc brzegi morza Kaspijskiego w Czardżuju z Amu-Daryą, wiąże tém samém morze Kaspijskie z jedyną najważniejszą arteryą komunikacyi wodnéj środkowo-azyatyckiéj i skraca długość przewozu. Obecnie towary z Warszawy do Czardżuja mogą dochodzić w 17—19

dni. Następnie, doprowadzenie drogi do Samarkandy dało możność skupiania wszystkich towarów, przeznaczonych w transporcie dla Azyi środkowéj, w Samarkandzie, które to miasto, dzięki swemu centralnemu położeniu, uczyniło w znacznym stopniu niepotrzebną dostawę do kolei. Nareszcie, gdy na Amu-Daryi powstanie odpowiednia żegluga parowa, możliwa na przestrzeni od Petro-Aleksandrowska do Kalifu, wówczas stanie się możliwém zwiększanie dowozu towarów z tak olbrzymio bogatego pod względem produkcyjnym chanatu Chiwińskiego—rzeką—do Czardżuja. O ile, w szczegółach taryfowych, koléj zakaspijska przedstawi dla naszych towarów, po zawarciu konwencyi o bezpośredniéj komunikacyi, dogodności, przesądzać obecnie niepodobna; pewném jest to tylko, że wpływając ogromnie na rozwój przemysłu i handlu środkowo-azyatyckiego, tém samém wpłynie pośrednio na większy popyt przywozu, oraz przedstawi wiele produktów, odpowiednich dla wywozu do nas a składających się przeważnie z materyałów surowych, przeznaczonych dla obrobienia fabrycznego. Jest to jedna strona téj korzyści, jaką dla nas przynosi koléj. Druga jest bezpośrednia: jest nią ułatwienie i stanienie przewozu do Azyi naszych towarów. Uprzednio mówiliśmy już, że co do warunków przywozu do Baku, to są one jednakie dla naszych towarów i dla towarów z Cesarstwa. Od Baku znowu przez drogę zakaspijską, pozostaną znowu podonież równemi. Ze względu więc na warunki przewozu, konkurencya jest dla naszych towarów możliwa.

Przyjrzyjmy się więc temu, co kraje, otwierane dla handlu zapomocą kolei zakaspijskiéj, dla handlu tego przedstawiać mogą. Do tego posłuży nam, co do Turkestanu, wystawa turkestańska, odbyta w Taszkiencie r. 1886, na któréj, prócz bogactw przyrodzonych krajów, należących do Rosyi w Azyi środkowéj, reprezentowane były wyroby z Samarkandy, Margelanu i Kokanu.

Zanim jednak podamy rezultaty rzeczonéj wystawy, przyjrzemy się znaczeniu niektórych, bliżéj Europy leżących stacyi kolei zakaspijskiéj, miast: Aschabadu, Duszanu, Merio'u i Czardżuju. O Aschabadzie mówiliśmy już, rozpatrując jego znaczenie w handlu z Persyą. Dodamy jeszcze, że również wielkiém jest znaczenie tego miasta w handlu z Chiwą, a stamtąd przez Kazalińsk z zachodnią Syberyą. Duszan, leżący na zakręcie kolei zakaspijskiéj na północno-wschód, prowadzi téż dość ożywiony handel z Meszchedem, i handel ten ma przed sobą przyszłość. Merio, miasto leżące w bogatéj i urodzajnéj oazie ubogiego kraju Zakaspijskiego, dzięki temu położeniu i stosunkom handlowym z Chiwą, Bucharą i Samarkandą z jednéj strony, oraz Meszchedem i Heratem z drugiéj strony, rozwija się nadzwyczaj

szybko pod względem handlowym, témbardziéj, że bogactwa oazy umożliwiają miejscowy przemysł (przeważnie tkacki). Czardżuj jest również obecnie bardzo ważnym punktem handlowym z powodu, że od niego koléj zakaspijska dochodzi do Amu-Daryi. Czardżuj więc stał się ogniskiem handlu Chiwy, prowadzonego przez Kalif z Bałchem i Majmene, handlu témważniejszego, że Kalif jest punktem przechodnim dla handlu Buchary i Samarkandy, prowadzonego przez bucharskie miasto Karszy, łączące w sobie drogi z Buchary i Samarkandy, oraz drogę główną handlu bucharskiego z Afganistanem i Jarkendem, idącą od Karszy na Gissar, Kulab do Kaszgaru.

Ażeby należycie ocenić wartość handlową Czardżuja, należy zwrócić uwagę na to, jakie mają znaczenie stosunki handlowe tego miasta z Chiwą. Pominąwszy obfitość rozmaitego zboża i wybornych gatunków owoców, dla których miasto Chiwa służy za punkt zbiorowy (w handlu) —charakter główny Chiwie nadaje handel z Rosyą, Persyą, Afganistanem i Anglią. Miasto Urgendż, w którém się zatrzymują Europejczycy dla uniknięcia brudów m. Chiwy, jest punktem bardzo ważnym, ponieważ pośredniczy w handlu europejsko-azyatyckim. Gdy więc Czardżuj, ze względu na swe położenie, przeciągnie niektóre obroty handlowe do siebie, nabierze tém samém wielkiéj wagi.

Buchara, państwo i miasto, ciążą obecnie coraz więcéj pod względem handlowym ku kolei zakaspijskiéj, a tém samém ku Czardżujowi. Bogactwa Buchary są oddawna znane. Na pierwszém miejscu stoi naturalnie bawełna, o którą tak bardzo chodzi naszym fabrykantom. Przemysłowcy łódzcy posyłali agentów do Merwu, Czardżuja i Buchary w celu zrobienia umów na dostawę bawełny do Łodzi, któréj Buchara dostarcza 2,000,000 pudów; daléj kokony jedwabnicze wysokich bardzo gatunków, złoto i drogie kamienie (w okolicach Kulabu i Gissaru); oto są główne produkty, jakie dla wywozu przedstawia Buchara. Co się tyczy przywozu dotychczasowego z Rosyi, to widocznėm jest, że przywóz ten (szczególniéj wszelkiego rodzaju tkanin, przyrządów technicznych, naczyń, wyrobów metalowych, wyrobów rękodzielniczych wogóle i galanteryi) jest bardzo pożądanym, bo kupcy bucharscy udają się sami na jarmarki w Niższym-Nowgorodzie, Irbicie, oraz do Orenburga i Moskwy, ażeby tam nabywać te towary. Rozwój miasta Buchary pod względem przemysłowym i handlowym powiększa się jeszcze przez to, że jest ona głównym punktem handlowym całego chanatu, i —jak mówiliśmy—od Buchary prowadzi droga na Karszy, Gissar, Kulab do Kaszgaru, a po téj drodze idzie handel z Afganistanem i Jarkendem przez Kaszgar. Zawiązanie stosunków z Bucharą, jak zresztą mamy tego dowody, jest dla nas możliwe i po-

żądane. Ceny przewozu obecnie są dostępniejsze, a spodziéwać się można, że po wprowadzeniu bezpośredniéj komunikacyi z koleją zakaspijską, ceny te nie będą przewyższały 1 ½ rs. od puda towarów, wyprawianych z naszych ognisk przemysłowych do Buchary. Ponieważ Czardżuj jest odległym od Buchary o kilkadziesiąt zaledwie wiorst, rzecz więc naturalna, że wobec poprzednio wyliczonych przyczyn jego znaczenia handlowego, nabiéra on w rozwijaniu naszych stosunków handlowych z Chiwą i Bucharą ogromnego znaczenia. Tak więc, dotychczas zauważyliśmy na kolei zakaspijskiéj trzy ważne dla nas punkty: Aschabad, Merw, Czardżuj. Najważniejszym zaś punktem w handlu, nietylko z Bucharą, lecz i z Turkestanem stała się, po doprowadzeniu do niéj kolei zakakaspijskiéj—Samarkanda. Już obecnie kupcy nasi bardzo chętnie zawiązują stosunki z Samarkandą i oddają chętnie reprezentacye kupcom stale tam zamieszkałym. Brakuje tylko należytéj organizacyi tego handlu, który ma tak wielką dla nas przyszłość przed sobą, i przy rozwijaniu którego śpieszyć się trzeba dlatego, że im daléj będzie postępował rozwój przemysłu w Cesarstwie, im więcéj punkt środkowy tego przemysłu będzie się przenosił na południe państwa, tém trudniejszą będzie się stawała konkurencya.

Konkurencya angielska, z powodu przywozu do Azyi środkowéj przez Indye od Kała-Abdułach-Chan przez Herat, jest groźna jedynie ze względu na długie terminy kredytu, jakie Anglicy przyzwyczaili się udzielać w handlu środkowo-azyatyckim. Jeżeli my osiągniemy instytucyę, któraby mogła dopomagać w udzielaniu kredytu bez narażania przemysłowców, wówczas przyczyna powodzenia téj konkurencyi angielskiéj ustanie.

Kończąc ten pobieżny przegląd miejscowości, których znaczenie zależne jest pod względem handlowym przeważnie od przeprowadzenia kolei zakaspijskiéj, przejdźmy do wyliczenia towarów, jakie kraj Turkestański i przyległe chanaty zaofiarować do handlu mogą.

Siarka (w okolicach Kokandu), ryż, sorgo cukrowe, dżut, alfa, konopie, anasza (materyał surowy do narkotyku), kendyr (roślina włóknista), len, chmiel, tytoń i winogrona, są to produkty kopalne i rolnicze kraju Turkestańskiego, posiadające mniéj wagi wobec bardzo znacznéj tamże produkcyi bawełny i jedwabników. Środkowo-azyatyckie jedwabnictwo nie znajduje się, coprawda, dotychczas na należytym stopniu rozwoju, doskonali się jednak tak prędko, że przy pewném ulepszeniu środków technicznych stanie bardzo wysoko, témbardziéj, że w roślinność drzewną, potrzebną dla żywienia jedwabników, kraj Turkestański obfituje. Najważniejszym jednak dla nas produktem kraju Turkestańskiego jest bawełna.

Obecnie Rosya zużywa przeciętnie 8 milionów pudów bawełny rocznie. Przywóz téj bawełny idzie z Egiptu, Indyi i Ameryki po przeciętnéj cenie 11 rs. za pud. Bawełna środkowo-azyatycka, sprowadzana obecnie z Azyi, w ilości 700 przeszło tysięcy pudów, wypadała w cenie przy przewozie na Orenburg 7½ rs. za pud, z wybudowaniem kolei zakaspijskiéj do Samarakandy będzie kosztowała 6½ rs. za pud. Dla łódzkiego okręgu fabrycznego, ceny te są o pół rubla mniéj więcéj wyższe. Poprzednio już wspominałem, że fabrykanci łódzcy posyłali agentów do Buchary, Merwu i Czardżuja w celu zebrania danych o możliwości dostawy bawełny z okolic tych miast do okręgu łódzkiego; ciż sami agenci byli téż w Turkestanie w tym samym celu. Widocznie więc okręg fabryczny łódzki ma znaczne wyrachowania w nabywaniu bawełny w Azyi środkowéj. Wyrachowania te są zupełnie usprawiedliwione wobec tego, że Azya środkowa dać może, według obliczeń, około 3 milionów pudów bawełny, i wobec tego, że w uprawie téj rośliny następują bardzo energicznie prowadzone ulepszenia, wyrażające się w próbném zasiewaniu nasion, najodpowiedniejszych dla produkcyi ruskiéj i naszéj gatunków bawełny. Próby te powiodły się najzupełniéj; nasiona *upland* przyjęły się dobrze. Prócz tego wprowadzenie pożądanych bardzo sposobów prasowania bawełny dla ułatwienia jéj przewozu przyczyni się również w znacznym stopniu do zwiększenia wywozu bawełny. Z pomiędzy produktów rolniczych Turkestanu na uwagę zasługują jeszcze nasiona roślin oleistych, a mianowicie: kunżut, mak, konopie, słonecznik. Pawilon S. Krauzego na wystawie turkestańskiéj, zawierał oprócz olejów wyrobionych ze wzmiankowanych nasion, jeszcze jako nowość oléj pistacyowy. Wspominamy tu o produkcyi olejów roślinnych, jak wogóle o produkcyi rolnéj Turkestanu obszerniéj dla tego, że chociaż za wyjątkiem bawełny i jedwabiu, produkcya ta nas bezpośrednio nie interesuje, to jednak pośrednio obchodzi nas bardzo ze względu na to, że z rozwojem téj produkcyi, jak to ma miejsce już obecnie, powstają potrzeby używania maszyn i przyrządów technicznych, których obecnie dostarcza Anglia, po cenach bardzo wysokich. Wobec daleko dogodniejszych dla nas, a w porównaniu z Anglią, warunków przewozu, konkurencya na tém polu jest zupełnie możliwa, a samo pole zbytu będzie się stawało coraz szerszém. Na szczególną uwagę zasługują przyrządy i piece, zastosowane do opalania naftą, która przy udogodnieniu komunikacyjném, wypływającém ze zbudowania drogi zakaspijskiéj stanie się, wobec braku węgla i drzewa w Turkestanie, najpoważniejszém tam paliwem. Postaramy się ułożyć wkrótce listę przyrządów i maszyn najpotrzebniejszych w Turkestanie i wogóle

w Azyi środkowéj, i spodziewamy się, że lista taka z odnotowaniem cen miejscowych, owych okolic, będzie bardzo pożądaną dla fabrykantów warszawskich. Pomijamy wyroby fabryk ruskich, znajdujących się w Turkestanie, które miały swoje pawilony na omówionéj przez nas wystawie; powiemy tylko o fabryce santoninu, która skutecznie konkuruje z fabrykami Edynburga, Manheimu i New-Yorku, wytwarzając rocznie 1500—2000 pud. santoninu, ze 100,000 pud. nasienia cytwaru. Fabryka znajduje się w Czymkencie dla tego, że niedaleko Czymkentu, przy ujściu rzeki Arysa wyrasta dziko nasienie cytwaru. Z wystawy turkestańskiéj okazało się, że najlepsze wyroby jedwabne dają fabryki samarkandzkie. Dla uzupełnienia wykazu, co daje Turkestan i Azya środkowa dla bezpośrednio nas interesującego wywozu, lub tego, co te kraje produkują, a co może posłużyć pośrednio dla zawiązania z nimi stosunków handlowych, wspomnimy jeszcze o wełnie, któréj z Azyi środkowéj wychodzi rocznie do Rosyi, około miliona pudów, oraz podamy wykazy wywozu według notowań urzędowych. Wykaz ten brzmi, jak następuje: wódka, dziegieć i smoła, żelazo nieobrobione, skóry wszelkiego rodzaju, drzewo, mąka, mięso, żyto, owies, sadło, sól, przędza bawełniana, siemię lniane, bawełna, wełna i jéj oczeski; jedwab i oczeski, jęczmień. Przywóz do Azyi środkowéj obejmuje: wino, wódkę, dziegieć, smołę, żelazo i wyroby z żelaza, naftę i jéj produkty, oleje z nasion, mąkę, worki, otręby, przędzę bawełnianą, płótno, cukier i mączkę cukrową (400,000 pud.), tytoń, towary bakaliowe, wyroby fabryczne (400,000 pud.), herbatę. Że nasz wywóz do Azyi środkowéj powiększa się, dowód mamy w tém, że w zaprzeszłym roku na Odesę poszło 1 ½ miliona pudów naszych towarów, w pierwszéj zaś połowie roku przeszłego już zgórą 2 miliony pudów; dokładnie określić, ile z tego przypada na Azyę środkową niepodobna, bo w te cyfry wchodzi Kaukaz i Persya. Bądź-co-bądź, niemniéj aniżeli ⅓ téj liczby może być policzoną na Azyę środkową.

Z powyższych uwag wypływa samo przez się znaczenie handlowe, jakie ma dla nas Taszkent, jako środkowy punkt Turkestanu.

Zasługuje jeszcze na uwagę Chodżent, Kokan, Namangan, Andiżan, Margelan, Osz i Nankat z jednéj strony, oraz Czemkent, Turkestan z drugiéj strony. Kokan jest najważniejszym z pierwszych; inne są tylko punktami raczéj pośredniczącemi w handlu, w Kokanie zaś znajdujemy w znacznéj ilości wyroby miejscowe z wełny i bawełny, wyroby z miedzi i wogóle metalowe, szczególniéj złotnicze, broń i t. d. Potrzeba wymiany na wyroby fabryczne europejskie, a więc i na nasze — jest wielka. Tkaniny bawełniane naszych fabryk znalazłyby zbyt bardzo obszerny. Kokan więc również winien być w odpowie-

dni sposób wyzyskany, témbardziéj, że stanowi punkt centralny okręgu Fergańskiego.

Od Taszkentu na Czemkent, Aulie-Aga i Piszbek idzie droga handlowa do Wiernego, a stamtąd do Sensinska i Sergiopola. Od Piszbeku leży też droga na Tokmak, później nad brzegami północnemi jeziora Issyk-Kul do Karakolu. Z miast tych zasługuje na uwagę, co do eksploatacyi handlowéj dla nas, Piszbek i Wierny. Piszbek jest to stacya karawanowa i miejsce składowe wszystkich produktów rolnych, bydła, skór i owoców całego okręgu Siemireczeńskiego. Wierny posiada wyroby z rogu i kości, wyroby metalowe, tkaniny wełniane, i jest przytém punktem środkowym okręgu Siemireczeńskiego, skupiając w sobie całe bogactwa produkcyi rolnéj tego tak bogatego pod względem wydajności rolnéj okręgu. Z Taszkentu też na Czemkent, Turkestan, Perowsk, Kazalińsk, Irgiz, Orsk idzie dotychczas tak ważna droga handlowa do Orenburga. O ile jednak ta droga miała dawniéj olbrzymie znaczenie w handlu naszym i ruskim z Azyą środkową, o tyle znaczenie to obecnie, z otwarciem ruchu na kolei zakaspijskiéj, bardzo szybko upada. Orenburg więc przy obecnych, a szczególniéj przyszłych warunkach handlu z Azyą środkową, nie posiada dla nas wielkiéj wartości.

Należałoby nam rozpatrzéć tutaj możliwość i warunki naszego handlu ze Syberyą wschodnią i zachodnią, oraz z krajem Nadamurskim. Zrobimy to jednak na inném miejscu, tu zaś poprzestaniemy na kilku tylko uwagach, nasuwających się przy przeglądzie jarmarku niższonowgorodzkiego i irbickiego. Konieczność zaś tego przeglądu wypływa z poprzednio już zrobionych przezemnie uwag, co do znaczenia tych jarmarków w handlu z Azyą środkową, Persyą i Kaukazem.

Przedewszystkiém charakter tym obydwóm jarmarkom nadaje usposobienie producenta ruskiego, któremu to usposobieniu przypisać również należy olbrzymie dotychczasowe, a nie normalne wobecnych nawet ruskich warunkach handlu znaczenie targowisk tego rodzaju. Producent ruski od niedawna zaledwie rozpoczął starania o zbyt swych produktów za pomocą swych agentów. Jedyném jego usiłowaniem w tym kierunku jest udanie się na jarmark, gdzie go ciągnie też przyzwyczajenie, które należy brać w rachubę w przepowiadaniu skądinąd upadku jarmarków. O ile nam się zdaje, znaczenie tych jarmarków przetrwa jeszcze długo, rachować się więc z nimi koniecznie potrzeba, témbardziéj, że cyfry obrotów na tych jarmarkach w ostatnich latach wzrastają znowu, dochodząc na jarmarku niższonowgorodzkim w przywozie ruskich towarów od 160 do 180 milionów rs. W téj sumie pierwsze miejsce zajęły przędza i wyroby bawełniane,

później metale i wyroby metalowe, następnie wełna i wyroby wełniane. Zachodnio europejskich i kolonialnych towarów przywożono na sumę 8 do 10 milionów rs., a pierwsze miejsce w téj sumie zajmują farby i materyały apteczne. Towary azyatyckie przychodzą téż w znacznych sumach: około 20 milionów rs. przedstawia wartość herbaty, dowożonéj z Chin, za 6 do 7 milionów rs. znajdujemy tam towarów bucharskich, chiwińskich i taszkenckich, za 4 lub 5 mil. rs. towarów perskich, i nareszcie towarów kaukaskich i zakaukaskich za 700 do 800 tysięcy rubli. Z ogólnéj sumy przywożonych towarów, sprzedaje się zwykle 80 do 90%.

Jarmark irbicki przedstawia również poważne sumy obrotów. Zwykle wartość przywozu nań stanowi 60 do 70 milionów rubli, a sprzedaż dosięga częstokroć 95% ogólnéj sumy.

Cyfry te dostatecznie przemawiają za znaczeniem jarmarków, a jednak towary nasze bywają zwykle na tych jarmarkach reprezentowane bardzo słabo. O ile wiemy, na jarmarku niższonowgorodzkim, nie mówiąc już o jarmarku irbickim, za wyjątkiem kilku poważniejszych firm tutejszych, reprezentacya handlu naszego spoczywa w rękach handlarzy żydów. A jednak bez należytéj agitacyi i przedstawiennictwa na tych jarmarkach, nigdy nie dojdziemy do poważniejszych rezultatów w handlu ze Wschodem, t. j. Syberyą, Azyą środkową, a nawet Kaukazem. Nie mówiąc już o handlu z Rosyą europejską, dla rozwoju którego konieczne jest również zawiązywanie stosunków na tych jarmarkach.

Streszczając to wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli, twierdzimy:

że utrzymanie i rozwój stosunków handlowych z krajem Zakaukaskim, Persyą północną, Bucharą, Chiwą, Turkestanem, okręgiem Fergańskim i Semireczeńskim jest możliwe i pożądane dla przemysłu Królestwa. Za najważniejsze punkty w rozwoju tych stosunków uważamy w kraju Zakaukaskim: Batum, Tyflis, Erywań, Akstafę i Baku; w Persyi — Reszt, Teheran, Barfrusz, Astrabad, Szachrud, Meszched i Aschabad; w Azyi środkowéj — również Aschabad, Merw, Czardżuj, Bucharę, Karszy, Samarkandę, Taszkent, Kokan i Wierny;

że najważniejszą przeszkodą w handlu ze Wschodem jest brak instytucyi dyskontowéj dla weksli, stamtąd pochodzących;

że przeszkadza również bardzo znacznie niedokładna lub wcale żadna znajomość gustu i wymagań tamecznych odbiorców;

że brak było dotyczas usiłowań zbiorowych, któreby miały na celu usunięcie tych przeszkód, oraz energiczne starania w celu rozpowszechnienia towarów naszych na Wschodzie, jakich dotychczas wcale

prawie w poważny sposób nie robiono, a jeżeli je robiono, to tylko chyba dla zdyskredytowania naszych towarów, ropowszechnianych przez osobistości mocno podejrzane.

Wnioski, jakie stąd wyprowadzić można, są oczywiste. Skoro przeszkodą w handlu ze Wschodem jest brak instytucyi dyskontowéj, należy tę instytucyę stworzyć; skoro brak było usiłowań poważnych dla rozwinięcia stosunków handlowych ze Wschodem, należy, stwarzając instytucyę zbiorową, syndykat przypuśćmy, skierować jéj działalność w tym kierunku.

Za najlepszy wzór w tym ostatnim względzie posłużyćby mogło towarzystwo eksportowe, istniejące w Wiedniu, t. zw. *Oesterreichisch-Ungarischer Export-Verein.* Celem tego stowarzyszenia jest, nie prowadząc bezpośrednio handlu, utworzyć dla ziemian, fabrykantów, rzemieślników i kupców państwa austro-węgierskiego punkt łączności i oparcia dla prowadzenia wspólnych przedsiębiorstw eksportowych.

W tym celu towarzystwo wpływa przedewszystkiem na tworzenie grup eksportowych (*consortium*) przez stowarzyszonych, a to w celu ażeby tym ziemianom, kupcom i przemysłowcom, którzy nie chcą lub nie mogą prowadzić przedsiębiorstw handlowych na swoją własną rękę, pojedyńczo, dać możność dokonywania łącznemi siłami tych przedsiębiorstw z mniejszym nakładem i ryzykiem.

Towarzystwo eksportowe zbiéra następnie sprawozdania handlowe i komunikaty ze wszystkich krajów, obchodzące eksport austryacki, zwraca się do konsulów o potrzebne wiadomości i wykazy, zbiéra wzory, udziela sprawozdania ze swéj działalności wszystkim swoim członkom i podnosi oraz załatwia wszelkie kwestye, jakie tylko uważa za pożyteczne dla austryacko-węgierskiego transportu wogóle, a szczególniéj dla konsorcyów powstałych z inicyatywy towarzystwa.

Instytucyami pomocniczemi towarzystwa są: biuro informacyjne i stała wystawa prób i wzorów towarów eksportowych. Prócz tego zarząd towarzystwa wszedł w umowę z pewném pismém i członkowie towarzystwa otrzymują pismo darmo, znajdując w niém informacye udzielane przez zarząd.

Biuro informacyjne udziela wszelkiego rodzaju informacyj, dotyczących eksportu swym członkom darmo.

Wystawa prób i wzorów posiada korespondentów we wszystkich częściach świata, w tych miejscowościach, które ze względu na eksport mają większe znaczenie. Prócz tego wystawa, gromadząc w jedném miejscu próby i wzory towarów eksportowych, pozwala kupcom obcym zaznajamiać się z temi towarami bezpośrednio i unikać w ten

sposób nadużyć, popełnianych przez niesumiennych najczęściéj pośredników. Gdzieindziéj, jak np. w Monachium, Sztutgardzie, taka stała wystawa pośredniczy w sprzedaży towarów, których próby są wystawione; pośrednictwo to zostało wyłączone z zakresu działalności wystawy wiedeńskiéj. Wystawa taka, gromadząc odpowiednią ilość stosownie dobranych wzorów, pochodzących z miejscowości zbytu, a przedstawiających towary, cieszące się tamże największym popytem, da możność dokładnego zaznajomienia się z potrzebami miejscowości, do których zbyt jest skierowany.

Towarzystwo eksportowe przyjmowało prócz tego na siebie działalność tego rodzaju, jak np.: wysyłanie agentów do rozmaitych miejscowości, tworzenie agentur w tych miejscowościach przy pomocy ludzi tam zamieszkałych, a zupełnie odpowiedzialnych. Przy wysyłaniu agentów zwracano uwagę na to, ażeby agent wstępował zawsze do jakiéjś poważnéj firmy, pracującéj w daném miejscu i był kontrolowany w swych czynnościach przez tę firmę.

Towarzystwo przyjmowało też na siebie obsyłanie wystaw, urządzonych w poważniejszych miejscach zbytu.

Towarzystwo liczyło w 1887 r. członków 240, opłacających 15 flor. jako składkę, i 20 flor. za miejsce obszerności jednego metra kw., udzielane na wystawie stałéj prób i wzorów. W tych 20 fl. mieściła się również opłata za miejsce w katalogu, wydawanym przez zarząd wystawy.

Oto jest wogólnych zarysach cel i działalność instytucyi, według mego zdania, dla eksportu naszego obecnie najpotrzebniejszéj. Istotnie, usuwa ona te wszystkie przeszkody, jakie dotychczas na drodze tego eksportu stały.

Nieznajomość gustu odbiorców wschodnich, niepewność co do agentów tamże wysyłanych, dyskredytowanie towarów polskich przez agitacye niesumiennych handlarzy i ich oszustwa, brak energicznego i skutecznego reklamowania towarów polskich na rynkach wschodnich, niedokładna znajomość warunków zbytu wogóle i szczególniéj obcéj konkurencyi — wszystko to dałoby się usunąć za pomocą utworzenia instytucyi podobnéj, jak wiedeńskie towarzystwo eksportowe, wraz z jego pomocniczemi instytucyami, oraz z podobnym, lub niewiele zmienionym zakresem działalności.

Potrzebę instytucyi dyskontowéj zostawiamy tu na stronie, jako rzecz, którą stworzyć można byłoby zupełnie oddzielnie i niezależnie od towarzystwa eksportowego.

Przy stwarzaniu nowych instytucyi należy o ile możności korzystać z już istniejących. Taką instytucyę, któraby mogła służyć za

punkt wyjścia w tym razie, jest warszawski oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Zarząd oddziału, mając na względzie rozwój eksportu naszego, tworzy przy Towarzystwie wystawę stałą prób i wzorów i biuro informacyjne, którego działalność różni się, co prawda, od działalności podobnych instytucyi zagranicą, lecz które podejmuje też usiłowania w celu gromadzenia wiadomości o warunkach eksportu polskiego. Otóż nam się zdaje, że można skorzystać z programu, zakreślającego działalność Towarzystwa pop. przem. i handlu w ten sposób, ażeby utworzyć przy niém stowarzyszenie, na wzór wiedeńskiego, stowarzyszenie to składałoby się z członków towarzystwa i mogłoby, rozporządzając nowopowstającemi instytucyami przy towarzystwie, objąć działalność pożyteczną dla eksportu polskiego, jednoczącą w swych rękach przy pomocy stwarzania konsorcyów, wysyłania agentów, tworzenia filii i agentur, obsyłania wystaw i t. d.

Rzucamy tutaj ten zarys projektu w nadziei, że agitacya, prowadzona skądinąd w tym kierunku, doprowadzi tę sprawę wkrótce do urzeczywistnienia.

Tadeusz Zaleski.







Bolesław Prus, „Lalka,“ powieść w trzech tomach. Z portretem autora. Waszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1890, str. 431, 503, 439.

Kiedy największa z dotychczasowych kompozycyi powieściowych Bolesława Prusa ukazywała się w odcinku „Kuryera Codziennego,“ czytelnicy interesowali się nią gorączkowo i szturmowali do redakcyi energicznie, jeżeli w ogłaszaniu jéj zachodziły dłuższe przerwy, co się, nawiasem mówiąc, zdarzało dość często; a kiedy obecnie wyszła w książkowém wydaniu, budzi zajęcie jakby rzecz zupełnie nowa, wywołuje dyskusye i spory, i co do całości i w szczegółach.

Dotychczas spory te i dyskusye zamykają się w obrębie rozmów, ale niebawem przejdą zapewne i do druku, gdzie się ujawnić będą mogły różne punkta widzenia i upodobania estetyczne.

Zajęcie wywołane przez książkę jest niewątpliwie jéj pierwszą, zaprzeczyć się nie dającą zaletą, bo rozruszanie umysłów częstokroć bardzo apatycznych, wpuszczenie do nich nowego prądu powodującego działalność komórek mózgowych, podanie materyału obfitego do roztrząśnięcia i rozbioru musi być wynikiem utworu nietuzinkowego, nie zadawalniającego się zewnętrznemi, powierzchownemi objawami życia, lecz sięgającego do wnętrza.

Bolesław Prus należał i należy do pisarzów, którzy w puste frazesy bawić się nie lubią. Na dnie wszystkich niemal jego utworów leży jakaś myśl głębsza, nieraz dziwna i paradoksalna, ale tryskająca życiem, dotykająca ważnych spraw społecznych, lub téż tajemnych stron duszy człowieka. Umysł jego, lubiący i umiejący obserwować, zasilony nauką może niezbyt rozległą, lecz dobrze przetrawioną, skłonny do oryginalnych kombinacyi, a mający żyłkę satyryczną potężnie

rozwiniętą; serce pełne spółczucia dla wszelkiéj niedoli i cierpienia, lecz z powodu owéj satyrycznéj żyłki chętnie przywdziewające maskę humoru; fantazya, pomimo trzeźwości i krytycyzmu, pomimo zabarwienia realistycznego, prawdziwie poetyczna — składają się na wytworzenie fizyognomii duchowéj nadzwyczaj ciekawéj, pociągającéj i sympatycznéj i na powstawanie dzieł, które myślą i wykonaniem wzbijają się wysoko ponad poziom przeciętnych wytworów literackich i dociérają niekiedy szczytów mistrzowstwa.

Wśród tych cennych przymiotów powieściopisarskich pojawiały się dość często wady, wynikające przeważnie z nieutrzymania miary artystycznéj w doborze środków przedstawienia myśli, z niepowściągliwości zwłaszcza w użyciu niewybrednego dowcipu i z niedomagań wreszcie plastyki w malowaniu postaci i sytuacyi. Wady te sprawiały, że żadnego z utworów Prusa nie można było nazwać arcydziełem, ale żadnemu prawie nie odbiérały własności, która w artyzmie ma najwyższe znaczenie,—nie odbiérały prawdy życia.

Dotąd mieliśmy sposobność robić te spostrzeżenia na szkicach, obrazkach i nowelach, obecnie mamy przed sobą powieść trzytomową, w któréj stosunki życiowe warszawskie, a po części prowincyonalne i obce, traktowane są szeroko, chociaż w sposób właściwy autorowi, t. j. za pośrednictwem drobnych rysów, odtwarzających osoby i rzeczy w pewnéj chwili, w pewnym nastroju.

Trzy są główne osobistości, na które w „Lalce“ rzucił autor najwięcéj światła, których dzieje skreślił szczegółowo i których charaktery i przygody najmocniéj oczywiście interesują czytelników. Są to Wokulski, Rzecki i Izabela Łęcka.

Najsympatyczniejszym z téj trójcy, najtrafniéj odmalowanym i najkonsekwentniéj w charakterze utrzymanym jest według mnie Rzecki, z którym czytelnik najdłużéj przebywa, z którego ust najwięcéj szczegółów interesujących się dowiaduje i z którym lepiéj się spoufala, aniżeli z kimkolwiek innym w powieści. Takim, jakim go nam Prus przedstawia, zrobiło go miękkie, serdeczne z natury usposobienie, wychowanie domowe i przygody życia. Ojciec jego był za młodu żołnierzem i wyniósł z owéj epoki bałwochwalcze uwielbienie dla Napoleona, od jego potomków przez resztę życia spodziewając się jakichś przewrotów na świecie, mających złe wyplenić a dobrych nagrodzić. Tę wiarę swoję wpajał w syna od najwcześniejszego dzieciństwa, zaprawiając go zawczasu do zawodu wojskowego, musztrując zawzięcie, i w ostatniéj jeszcze przedzgonnéj chwili zalecając chłopcu wpatrywanie się w gwiazdę Napoleońską. I syn ten wiernym pozostał naukom krótko i stanowczo dawanym przez ojca. Druga szkoła życia, sklepik Mincla,

do którego oddać go po śmierci ojca musiano, gdyż nie było środków na kształcenie, nauczyła go cierpliwości, oszczędności, pracowitości i porządku, ale nie wyrugowała z duszy tego, co w niéj wiara ojcowska zasiała. Gdy się tylko poczuł na siłach i gdy się sposobność w wojnie węgierskiéj zdarzyła, opuścił sklep wraz z towarzyszem swoim, Katzem, który, pomimo swego nazwiska, nie cierpiał szwabów, i poszli bić Austryaków. Katz, natura milcząca, skupiona w sobie, zacięta i stanowcza, nie mógł przenieść klęski porażki, nie chciał wracać do kraju, skończył samobójstwem. Rzecki zaś, miększy i wraźliwszy, zachował w sercu pomimo niepowodzeń nadzieję lepszych czasów, dostał się do kraju i zasiadł znowu w sklepie, jakby dla zadośćuczynienia wymaganiom wpojonym przez owę drugą szkołę życia, jakby dla okazania, że bohatérskie porywy nie przeszkadzają i przeszkadzać nie powinny w spełnianiu obowiązków codziennych, w praktykowaniu cnót powszednich: pracowitości, oszczędności, porządku i cierpliwości.

Autor nie tłómaczy nam dokładniéj téj fazy w życiu Rzeckiego, przedstawia ją tylko jako fakt, może istotnie zaobserwowany. Brak ten atoli wyjaśnienia nie czyni bynajmniéj figury téj niezrozumiałą. Rzecki nie jest to umysł wyższy ani co do rozumu, ani co do namiętności; w nim nie mogła wybujać żadna właściwość aż do tego stopnia, iżby nie dozwalała rozwijać się żadnéj innéj. Gdy młodzieńcza krew w nim zakipiała, poszedł za napomnieniami i wskazówkami zmarłego ojca, które tém większą posiadały w sercu kochającego syna siłę, że już zza grobu się odzywały. Ale spełniwszy obowiązek i nie widząc na razie możności zużytkowania pracy swéj w tym wojowniczym kierunku, wrócił do sklepu, rozczytywał się w dziejach Napoleońskich, śledził przebieg spraw politycznych, objaśniając je po swojemu i upatrując wszędzie zapowiedzi zmian, o jakich marzył ojciec. Być może, Rzecki zaprędko zdziadział, zaprędko zaczął się uważać za niezdolnego do nowych bohatérskich porywów, ale jeżeli tę jednę okoliczność chronologiczną pominiemy, to nic zresztą już więcéj nie będzie nam bruździło w rozumieniu jego charakteru.

Nie ożenił się, został starym kawalerem, przywykł do życia uregulowanego według zégarka, jako starszy subjekt w sklepie odznaczał się skrupulatnością w pełnieniu swych obowiązków tak wielką, że spędzenie paru godzin po za sklepem w porze, objętéj programem pracy, przejmowało go wstydem i obawą, żeby tego nie zauważono. Całą czułość swego miękkiego, serdecznego usposobienia zwrócił ku ukochanemu Stachowi Wokulskiemu, którego znał w biédzie, a którego potém został przyjacielem i prawą ręką. W nim widział uosobienie mądrości i szlachetności, każdy jego krok usprawiedliwiał i, bez wchodzenia w roz-

biór sprawy, zawsze mu przyznawał słuszność, gotów się zań rąbać. Smutki i cierpienia Stacha stają się zawsze udręczeniem Rzeckiego, a powodzenie i tryumf—jego największą radością. Miłość jego dla Stacha niczém zrazić się nie daje, ani brakiem szerszego wylania, ani zagadkowością postępków; jest cierpliwa, pokorna i zawsze ufna; jedno słowo, jedno zrozumienie upodobań nagradza jéj wszystkie niepokoje. Gniéwa go nieraz miłość Stacha do Izabeli, widzi w niéj klęskę i dla przyjaciela i dla interesów sklepowych, czyni czasami delikatne, nieśmiałe uwagi, pragnąłby skierować afekt Wokulskiego ku pięknéj i dobréj pani Stawskiéj, roi w tym względzie pomysły, które mu się wydają bardzo zręcznemi, ale oczywiście ani na chwilę nie życzyłby sobie postąpić wbrew pragnieniom i dążeniom Stacha. Nie mając bardzo często żadnych wskazówek od swego przyjaciela, co do zamiarów jego i czynów, przypuszcza, zgodnie ze swoją wiarą w rychłe dokonanie zmian stanowczych w świecie, że Wokulski zajmuje się czynnie wyższą polityką. Rozczarowuje się ciągle, gdyż żaden postępek, żadne przedsięwzięcie Stacha w wieku dojrzałym nie miało najmniejszego nawet zabarwienia politycznego.

Rzecki ma naturalnie swoje słabostki i śmieszności. Do bruku miejskiego tak już na starość przywykł, że zdobyć się nie może na wyjazd; raz kupił bilet do Krakowa, wsiadł do wagonu i... po trzecim dzwonku wyskoczył. Zajęcia sklepowe, a mianowicie układanie wystawy w oknie co tydzień stało się dla niego nieodzowną potrzebą życia, tak, że całkiem bezpłatnie, ba, narażając się na podejrzenia ze strony nowonabywcy, zamykał się w sobotę w sklepie, rozkładał towary, bawił się (stary dzieciak!) zabawkami i obmyślał efektowną wystawę. Do inicyatywy szerszéj był niezdolny; mógł być tylko dobrym wykonawcą.

Autor patrzy na tę postać z dobroduszną, pobłażliwą ironią, która nie przeszkadza bynajmniéj lubić jéj i szanować; w obrazie śmierci Rzeckiego wystawił dobitnie i pięknie niemożność przemiany takiego człowieka na inicyatora jakichś większych przedsięwzięć. Gdy Wokulski sklep sprzedał, gdy się ze spółki zupełnie wycofał i znikł bez wieści, Rzecki oburzony posądzeniem Szlangbauma, że coś z towarów podczas układania wystawy mógł sobie przywłaszczyć, zamyśla o utworzeniu sklepu konkurencyjnego, o wydarciu handlu z rąk partaczy niesumiennych; naraz rozjaśnia mu się w głowie, widzi, że wiara w gwiazdę Napoleońską była mrzonką, że opieranie nadziei na polityce zagranicznéj jest niedorzecznością, bo oto pod bokiem wyrastają ludzie zarażający społeczeństwo zgnilizną moralną; zdaje mu się, że nabrał doświadczenia

które mu wystarczy „na całe życie.“ Ach! tak, wystarczyło... bo tegoż samego dnia umarł.

Tak żył człowiek o inteligencyi średniéj, o sercu dobrém, zacném, o woli wystarczającéj do zrobienia tego, co uważał za pożyteczne i do osiągnięcia możliwe. Pomimo swych rojeń o szerokiéj polityce, życia nie zmarnował, bo nie gardził pracą powszednią, drobną, codzienną. Byt to wprawdzie podobny trochę do bytu ślimaka, wystawiającego od czasu do czasu rożki ku słońcu, ale ponieważ wielkie wypadki i wielkie charaktery nie codzień się zdarzają, dobrze jest gdy w społeczeństwie znajdują się takie pracowite mrówki, jak Rzecki.

Wokulski należy do zupełnie innego rodzaju: to materyał na wielkiego, potężnego działacza. Pomysłowość genialna, wola silna, wytrwałość żelazna, wiedza obszerna i gruntowna mogły go uczynić jednym z wodzów wiodących społeczeństwa ku jaśniejszéj przyszłości. Dlaczego takim nie uczyniły? dlaczego pojawił się on tylko jak meteor, zabłysnął i zniknął. Odpowiedź na to pytanie jest zasadniczą treścią „Lalki,“ stanowi jéj jądro.

Wokulski pochodził ze zbiédniałéj szlacheckiéj rodziny, w młodości służył jako subjekt w handlu win Hopfera, ale gnany żądzą wiedzy, czytał zawzięcie, uczył się po nocach, zdołał się przygotować do egzaminu z najwyższéj klasy i wszedł do Szkoły Głównéj. Zajmowały go najmocniéj odkrycia i wynalazki naukowe, robił doświadczenia chemiczne, budował balony, rozmyślał nad sposobem kierowania niemi. We wszystkiém brakło mu pomocy i środków. Wyrwany z pośród zajęć naukowych, złożył dowody swego męstwa, a potém znalazł się na dalekim Wschodzie. Umiał sobie i tu pozyskać serca, a własny rozum wzbogacić spostrzeżeniami, któremi dzielił się ze światem uczonym i które mu się w życiu dalszém przydać miały. Wróciwszy do kraju, przez pół roku żył z uzbieranéj na Wschodzie gotówki, „kupując za nią dużo książek, ale mało jedzenia.“ Wydawszy ją, począł szukać roboty; nie znalazł jéj u kupców dlatego, że był uczonym, a u uczonych dlatego, że był eks-subjektem. Zawiódł się na nauce, myśląc, że ona zapewni chleba kawałek; postanowił więc chwycić się drogi praktycznéj, postąpić tak, jak wielu postępowało i postępuje. Schowawszy na dnie duszy wyższe aspiracye i nie marząc o zadowolnienie serca, ożenił się z wdową po kupcu Minclu, pracował gorliwie w handlu, był przykładnym małżonkiem; zawarłszy stosunki z kupcami moskiewskimi, poprawił interesy, potroił obroty i dochody. Po trzech jednak latach pożycia ze zbyt sentymentalną, wymagającą i zazdrosną Minclową, Wokulski „pobladł, pochylił się, zarzucił swoje uczone książki, a wziął się do czytania gazet i każdą chwilę wolną przepędzał na rozmowie o po-

lityce“; jedném słowem, przerabiał się na filistra „w tureckim szlafroku, w haftowanych paciorkami pantoflach i w czapeczce z jedwabnym kutasem.“ W piątym roku pożycia, małżonka zmarła, przekazując cały majątek mężowi. Wokulski wówczas osowiał jeszcze bardziéj, ale za to wrócił do książek. Mając kilka tysięcy rubli dochodu, przestał zajmować się handlem, zerwał ze znajomymi, odsunął się od towarzystw, pogrążył się w studyach.

Nie trwało to jednak długo; w pół roku po śmierci żony, namówiony przez Rzeckiego poszedł do teatru, ujrzał tam Izabelę Łęcką, pokochał ją gwałtownie, obudził się z apatyi i zaczął pracować nad zrobieniem wielkiego majątku, aby módz się zbliżyć do swego ideału, z którym jeszcze ani słowa nie zamienił. Podczas wojny tureckiéj jedzie do Bułgaryi i w rok niespełna przywozi stamtąd półmiliona.

Wszystko, co tu o Wokulskim powiedziałem, dzieje się po za akcyą powieści, przedstawione zostało w formie epizodu przez Rzeckiego, piszącego pamiętnik. Tak pomyślana figura musi być nazwana dobrą; jest ona oczywiście wyjątkową, ale jéj psychologia może być zrozumianą w zupełności. Jednostek utalentowanych lub genialnych nie brakowało nam nigdy i teraz zapewne nie brakuje. Najczęściéj rozwinąć się one swobodnie nie mogą, gdyż na każdym swym kroku spotykają olbrzymie przeszkody, albo téż nie otrzymują koniecznych pomocy. Społeczeństwo biédne, nie posiadające pomyślnych warunków istnienia, stosunkowo do innych narodów mało ukształcone, nie ma u siebie dostatecznego zasobu materyalnego, ani téż przygotowania umysłowego, by mogło naprzód dopomódz pracy wielkich uczonych, genialnych wynalazców i odkrywców przez stosownie urządzone instytucye, a następnie zużytkować wyniki téj pracy i odpowiednio je wynagrodzić. Z tego punktu widzenia przeciwstawienie warunków rozwoju w kraju i we Francyi zrobione przez Wokulskiego jest słuszne i zrozumiałe. Gdyby przyszedł na świat w Paryżu, to przedewszystkiém „dzięki mnóstwu instytucyi, mógłby więcéj nauczyć się w dzieciństwie; późniéj, nawet dostawszy się do kupca, doznałby mniéj przykrości, a więcéj pomocy w studyach; daléj nie pracowałby nad *perpetuum mobile*, przekonawszy się, że w tutejszych muzeach istnieje wiele podobnych machin, które nigdy nie funkcyonowały. Gdyby zaś wziął się do kierowania balonami, znalazłby gotowe modele, całe grupy podobnych jak on marzycieli, a nawet pomoc w razie praktyczności pomysłów“ (II, 304, 305). Nie znalazłszy tego wszystkiego u siebie, przeciwnie, widząc lekceważenie dla nauki, popadł w obojętność, ożenił się dla kawałka lepszego chleba, i o mało nie został najpospolitszym jego „zjadaczem.“ Tak bywa najczęściéj. Ale w Wokulskim nagle obu-

dzona w 45-ym roku życia miłość wyrywa go z apatyi i wprawia w ruch jego zdolności. To zdarza się rzadziéj, ale nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego.

Pozwólmy nawet Wokulskiemu zrobić półmiliona w Bulgaryi — w sposób najuczciwszy. Od czasu jednak, gdy wróciwszy do Warszawy i zaimponowawszy swoim majątkiem, zaczyna się starać o zbliżenie się do panny Izabeli Łęckiéj, t. j. z chwilą rzeczywistego wystąpienia bohatera w akcyi, zaczynają nas opanowywać pewne wątpliwości. Wykupywanie weksli Tomasza Łęckiego, ojca panny, kupowanie serwisów i kamienic, należących do niego, jest raczéj środkiem czynienia sobie nieprzyjaciół, aniżeli przychylnych. W ten sposób postępowali bohaterowie romansów francuskich, gdy chcieli kogoś zgnębić, wywrzéć na kimś zemstę, doprowadzić rzeczy do ostateczności. Człowiek rozumny i bogaty znalazłby daleko łatwiejszy, daleko mniéj ryzykowny środek zbliżenia się do ubóstwianego zdala ideału i nie narażałby się na śmieszność, przesiadując w wielką sobotę w konfesyonale, by patrzéć na kwestującą Izabelę; bo to pachnie trochę studenteryą lub dziwactwem; nie krążyłby po Łazienkach nie śmiejąc się zbliżyć do przechadzającéj się z ciocią pani swego serca, gdy im osobiście był już znany.

Przejścia w dziejach miłosnych, ustawiczne wahania się pomiędzy nadzieją a zwątpieniem, pomiędzy zaślepieniem w przymiotach ukochanéj a trzeźwym sądem, pomiędzy obawą i śmiałością są wyborne same w sobie i oddzielnie rozważane, lecz w zastosowaniu do człowieka energicznego i doświadczonego, jakim wyobrażamy sobie Wokulskiego, wydają się bardzo dziwnemi. Byłyby one na miejscu w duszy młodzieńca pełnego jeszcze złudzeń, nie znającego świata i kobiét w szczególności, nie posiadającego téj pewności, jaką bądź-co-bądź dają człowiekowi pieniądze, własną zwłaszcza pracą zdobyte. Niezgrabnym trochę i niezręcznym mógł być Wokulski, bo do łatwości ruchów towarzyskich trzeba nawyknąć od młodu, ale nie mógł być chyba naiwnym w 45-ym roku życia, poznawszy różne okazy kobiét w saloniku swéj żony. Wokulski obwinia poezyą romantyczną a w szczególności Mickiewicza o posępne zabarwienie ideału miłości, o wyniesienie go na wyżyny niedościgłe. „Bo któż to — woła on — miłość przedstawiał mi jako świętą tajemnicę? Kto nauczył mnie gardzić codziennemi kobietami, a szukać niepochwytnego ideału?... Miłość jest radością świata, słońcem życia, wesołą melodyą w pustyni, a ty co z niéj zrobiłeś?... Żałobny ołtarz, przed którym śpiewają się egzekwie nad zdeptaném sercem ludzkiém!“ (II, 353). Takie deklamacye są właściwe w ustach młodzieniaszka-marzyciela, nie znającego

różnicy pomiędzy poezyą i życiem, czerpiącego wyobrażenia swoje z książek, a nie ze skarbnicy doświadczenia. U takich ludzi jak Wokulski są one dziwacznym, melodramatycznym wykrzykiem, któremu towarzyszy równie melodramatyczne ciskanie tomu poezyi Mickiewicza, a potém rozczulanie się nad jego losem złamanym przez miłość do arystokratycznéj panny. Wogóle taka miłość pełna udręczeń, niepokojów, odpowiada raczéj naturom refleksyjnym, w sobie zagłębionym, lubiącym „własną pieścić się boleścią", aniżeli charakterom śmiałym, energicznym, zaprawionym do walki w szkole życia praktycznego. Zapewne, i takie charaktery śmiałe niezbyt bywają skłonne do położenia kresu niepewnościom przez jakiś krok stanowczy, ale prędzéj się nań decydują, aniżeli natury miękkie, refleksyjne, Hamletowskie. Tymczasem Wokulski przeważnie toczy tylko ze sobą walkę wewnętrzną, a gdy próbuje czynem oderwać się od ubóstwianéj istoty, w któréj sto razy mógł zauważyć płytkość i fałsz, to działa jak odurzony lub jak lunatyk, jedzie do Paryża, by wypijać po karafce koniaku, włóczyć się bez celu po ulicach i wystawach, nie mogąc się ani na chwilę otrząsnąć od jedynéj myśli przytomnéj mu zawsze i wszędzie, od myśli o Izabeli. Cokolwiek się pisze (rzadziéj mówi) o wszechpotędze miłości, niepodobna przecież, polegając na psychologii i doświadczeniu, zgodzić się na to, ażeby człowiek z silną wolą nie mógł zapanować nad tą namiętnością, zwłaszcza gdy ona w sferze duchowéj tylko ma swe źródło. Jedna tylko okoliczność zdaje się w téj mierze módz sparaliżować wysiłki woli t. j. monomania. Jakkolwiek Prus robi niekiedy do téj okoliczności aluzye, nie uczynił jéj przecież swą tezą. Ojciec Wokulskiego był wprawdzie monomanem, marzącym o wyprocesowaniu od rodziny wielkiego majątku; sam bohater mówi o sobie, że ma raka w duszy, że został zahipnotyzowany przez Izabelę; ale żadne inne, wyraźniejsze ślady choroby umysłowéj nie zostały przez autora uwydatnione, a wracająca od czasu do czasu świadomość położenia, błyski trzeźwego, krytycznego poglądu na Izabelę, świadczą, że jeżeli początki monomanii miłosnéj były w Wokulskim, to się nie rozwinęły do tego stopnia, żeby aż całkowicie zdołały zabić w nim wszelkie inne ideały, i pobudki działania. Ostateczne oswobodzenie się Wokulskiego po drastycznéj rozmowie Izabeli z kuzynkiem dowodzi, że energia w nim nie zamarła, tylko w skutek tendencyi autora pozostała niewyzyskaną należycie. Prusowi chodziło o to, żeby jego bohaher, zapowiadający tak wielkie dla społeczeństwa korzyści, zmarnował się. Dopóki w kształceniu się jego i w poszukiwaniu pracy uwydatniał brak pomocy lub przeszkody ze strony społeczeństwa, trzeba było przyznać mu słuszność, ale gdy dla dopełnienia miary jego niepowodzeń, obrał zawód w miło-

ści i na ten zawód największy nacisk położył, musimy się z nim w poglądzie rozejść. Nietylko nie zawtórzymy Wokulskiemu, gdy narzeka na społeczeństwo, że mu stawiło zapory w zbliżeniu się do Izabeli, nietylko uznamy za niedorzeczną deklamacyą słów jego, iż gdyby się urodził we Francyi, toby takich zapór nie spotkał, ale przeciwnie całkowitą i wyłączną winę będziemy musieli przypisać jemu samemu, bo społeczeństwo chyba nic temu nie winno, że się zaślepił względem panny i że nie potrafił zapanować nad uczuciami. Czém urósł w oczach czytelnika bohatér, to sam dobrowolnie zmarnował; i zarówno domniemana śmierć jego w ruinach Zasławskich, jak i zupełne odsunięcie się od spraw społecznych nie może budzić głębszego spółczucia; z wyżyn tragicznych wszedł on dobrowolnie na poziom melodramatycznego kochanka. Mówimy to zaś nie ze stanowiska społecznego, ale poprostu psychologicznego i etycznego.

Jak figurze Wokulskiego brak konsekwencyi w rozwinięciu, tak Izabeli Łęckiéj pewną mglistość fizyonomii duchowéj zarzucić wypadnie. Z początku autor zajął się nią bardzo szczegółowo i w sposób właściwy realistom francuskim starał się określić oddziaływanie otoczenia na umysł bujny, bogato uposażony. Wpływ pojęć arystokratycznych, odsunięcie od wszelkich interesów, a zamknięcie w sferze wygód najwyszukańszych, religijność powierzchowna i formalistyczna, w związku z dyletanckiém uwielbieniem sztuk pięknych, spotkały się z naturą prawą w głębi duszy, mającą porywy szlachetne, delikatną i subtelną, i wytworzyły, jak się zdawało, osobistość niepowszednią; która mogła albo zginąć w walce z niepomyślnemi warunkami (biédą materyalną i t. p.), albo téż przejąć się szczerze uczuciami i poglądami wprost przeciwnemi tym, w jakich ją wychowywano. Pierwsze wystąpienia Izabeli wobec zachodów Wokulskiego, oburzenie wywołane myślą, że tenże chce być dobroczyńcą jéj rodziny, chęć pozbycia się serwisu, byleby się uwolnić od upokarzającéj protekcyi ciotki, próba oswobodzenia się od długów lichwiarskich, ciekawość zbadania, czy możliwy jest wysoki procent, ofiarowany jéj ojcu przez Wokulskiego mogły utwierdzić w tém pochlebném dla bohaterki mniemaniu, mogły wyrobić w czytelniku przekonanie, że panna Izabela bardzo była mało obeznana z interesami pieniężnemi, ale, że posiadała dosyć inteligencyi, ażeby się z niemi w krótkim czasie spoufalić. Lecz od chwili, w któréj, z kaprysu autora, panna Izabela nie może zrozumiéć, że 10,000 od 30,000 nie jest 10% ale 33⅓%, czytelnik musi dojść do wniosku, że to gęś, bardzo piękna, estetycznie ukształcona, mogąca mężczyznom zawracać głowy, ale tylko gęś, nie zaś istota, któraby pod względem umysłowym mogła rościć pretensye do jakiejś wyższości.

Odtąd téż t. j. mniéj więcéj od drugiego tomu powieści, panna Izabela już ani razu nie okazuje najmniejszego poruszenia duszy, któreby nam przypomniało jéj poprzednie, pewną godnością nacechowane zachowanie się, jest ona już tylko dość zręczną kokietką, trzeźwo zastanawiającą się nad swojém położeniem, nad możliwością wyjścia za mąż za bogatego starca, trzymającą na uwięzi Wokulskiego, z którym się zresztą wcale nie żenuje, będąc pewną jego niezmiennéj stałości. Nie poznała się dostatecznie na swym wielbicielu, nie wiedziała, że obok nieśmiałości wobec niéj i chorobliwego przywiązania, jest w nim jeszcze energia i niechęć do podzielania łask i pieszczot z innymi; przeciągnęła strunę, prowadząc po angielsku wobec Wokulskiego rozmowę z kuzynkiem bardzo swobodną, i naraziła się na skompromitowanie. A gdy i drugi konkurent, na którego liczyła i wobec którego pozwalała sobie za dużo swobody, opuścił ją także, zamyśliła podobno osiąść w klasztorze... zapewne nie nadługo... W téj metamorfozie jest Izabela wyrazistszą, aniżeli w pierwotnéj (I-szego tomu) postaci, ale natomiast nowego rysu do charakterystyki kokietek nie dodaje. Gdyby był autor jaśniéj przedstawił pierwszą fazę i gdyby zgodnie z nią rozwinął jéj psychologię, otrzymalibyśmy figurę interesującą i dosyć świéżą, chociaż przypominającą trochę „Adę“ Kraszewskiego.

Obok tych trzech głównych postaci przesuwa się bogata galerya osób, kreślonych zazwyczaj sylwetkowo drobnemi, ale wyrazistemi rysami. Za najlepszą w powieści uważałbym grupę obrazków, przedstawiających życie średniego mieszczaństwa. Jakże doskonały jest sklep starego Mincla, pociągającego dla zabawy tekturowego kozaka w oknie i ściągającego dla nauki dyscypliną chłopców sklepowych, wraz z jego matką widzącą w dobréj kawie szczyt zadowolnień ludzkich, i jego synami wymyślającemi sobie od Niemców i w ciągłéj ze sobą rozterce będącemi, a jednak wzajem sobie dopomagającemi, i młodą Minclową zmysłowo namiętną! Mniéj dobry, ale prawdziwy jest obrazek wnętrza sklepu Hopfera, miłości Kasi do Wokulskiego, pożycia tegoż z wdową po młodym Minclu. Odmienny, lecz w swoim rodzaju wyborny jest zarys charakteru subjektów Wokulskiego; milczący i posępny Klein, szarmant galanteryjny Mraczewski, sumienny Lisiecki, ciągle obawiający się przymówek o żydostwo Szlangbaum. Świetnie pomyślanym i doskonale zarysowanym jest doktór Szuman, bystry, przenikliwy, niezmiernie wrażliwy, a więc téż łatwo zmieniający poglądy, na przemian uczony i przemysłowiec, nielitościwy szyderca, ale dobry i zacny z gruntu człowiek, wymyślający na spółbraci, lecz kochający ich namiętnie. A cóż to za przepyszny opis licytacyi! Niemal z fotograficzną dokładnością, a jednak z prawdziwym artyzmem od-

tworzona zabawna strona ścierania się tu różnorodnych, nieraz wprost przeciwnych sobie interesów! Knajpka wraz z Deklewskim, Szprotem, a zwłaszcza Węgrowiczem, doskonała!

Mniéj prawdziwemi, w karykaturę wpadającemi są sceny, w których Prus przedstawił życie studentów i figle przez nich płatane w kamienicy nabytéj przez Wokulskiego, oraz scena w sądzie, w któréj ciż studenci, jako nie płacący komornego, pozwani przez nową tego domu właścicielkę, dworują z niéj sobie i z całéj sprawy. Prus ma niewątpliwie wielki zapas komizmu, a żarty jego i dowcipy do szczerego i hucznego pobudzić mogą śmiechu; dobrzeby jednak było, ażeby w dobiéraniu środków wywołania wrażeń komicznych był wybredniejszy. W „Lalce“ mianowicie, tak jak w wielu felietonach jego, razi zbyt częste odwoływanie się w porównaniach i określeniach do stosunków płciowych. Może to rzeczywiście podobać się pewnéj sferze czytelników, od któréj nie wyłączam i kobiét, co tém chętniéj czytają o takich rzeczach, im mniéj o nich pozwalają przy sobie mówić; ale prawdziwie estetycznego efektu bynajmniéj to nie sprawia. Przypuścić wolno, że te koncepty samemu autorowi nie są zbyt upodobane, i że jest trochę ironii w posługiwaniu się niemi; autor mówi chyba sobie: nudzą was rzeczy poważne, podobają się wam błazeństwa; dobrze, wezmę na siebie tę rolę, tylko pozwólcie się nazwać bydlętami... Mógłby sobie Prus takiéj ironii oszczędzić.

Świat arystokratyczny dość dużo zajmuje miejsca w „Lalce;“ poznajemy tu kilka postaci nakreślonych sylwetkowo, a zawsze z większą lub mniejszą przymieszką sarkazmu. Najszlachetniejszą osobistością jest tu książę wiecznie ubolewający nad „nieszczęśliwym krajem,“ mający najzacniejsze dążenia, popiérający wszelką działalność, w któréj widzi pożytek ogólny, ale sam niezdolny do żadnéj inicyatywy i naprawdę nie rozumiejący istotnych potrzeb narodu. Najsympatyczniejszym jest Ochocki, młodzieniec zdolny, pomysłowy, ale dla braku gotówki nie mogący pomysłów swoich uskutecznić, nudzący się w atmosferze salonowéj, lekceważący kobiéty, kokietujący je na zimno, zawsze gotowy do dyskusyi naukowych, do porzucenia zabawy i życia próżniaczego, gdy mu się sposobność do ulubionych doświadczeń fizykalnych nastręcza. Hrabia udający Anglika, jeden baron wiecznie w długach, drugi astmatyczny, w starości wzdychający do sielanki miłosnéj, Maruszewicz, nikczemny rajfur i oszust — jako sylwetki — są figurami dobremi. Autor głębiéj w ich dusze nie wchodzi, nie przedstawia nam ich życia na tle szerszém, uwydatnia tylko ich właściwość jako *inutile pondus terrae*.

W świecie kobiécym pewnym równoważnikiem księcia jest zacna i rozsądna staruszka prezesowa, wolna zupełnie od przesądów rodowych, wspominająca swoję młodocianą miłość do stryja Wokulskiego, rozporządzająca swoim majątkiem rozumnie. Jéj ulubienicą jest młoda wdówka Wąsowska, śmiała, trochę męskich przyzwyczajeń mająca, w słowach idąca niekiedy zadaleko, kokietująca mężczyzn otwarcie, przebojem, ale ostatecznie w życiu bez zarzutu. Ewelina, zdradzająca już przed ślubem, jest istotą moralnie zgniłą, którą ze zdziwieniem widzimy w towarzystwie prezesowéj.

Wogóle zarys pożycia towarzyskiego na wsi w majątku prezesowéj jest prowadzony żywo; zrobiłbym tylko uwagę, że zachowanie się i rozmowy zgromadzonych tu osób bardziéj przypadałyby do charakteru średnio-szlacheckiéj lub bogatéj mieszczańskiéj sfery, aniżeli do arystokratycznéj.

Pani Stawska, którą Rzecki jako anioła wystawia, nie należy właściwie ani do arystokracyi, ani do mieszczaństwa. Ma ona zapewne wyobrażać dobrą, zacną kobiétę, bez kokieteryi, a pełną uroku. Gdyby nie jedna scena, w któréj Stawska bez ogródki powiada matce, że gdyby tylko zechciał Wokulski, stałaby się jego metresą, możnaby wziąć tę postać za prawdziwą; pani Stawska, jak ją poprzednio poznaliśmy, alboby się tak nie wyraziła, albo nie byłaby potém tak spokojnie wyszła za Mraczewskiego.

Ogólne wrażenie, jakie pozostawia po sobie „Lalka," jest mroczne; pesymistyczny pogląd na obecny stan społeczeństwa naszego widnieje w całości, ale nie daje się uczuć zbyt dotkliwie, gdyż promyki humoru rozjaśniają cienie, rzucone przez złe lub słabe jednostki; dopiéro w samym końcu, gdy Wokulski zniknął, a Rzecki umarł, występuje on w całéj sile, bo na arenie pozostają... Maruszewicz i Szlangbaum, i mają kraj reprezentować.

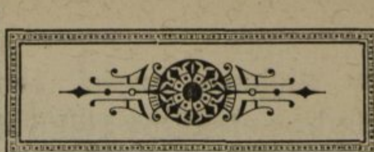
W kompozycyi „Lalka" jest chyba najsłabsza. Nie mam tu na myśli luźnego łączenia scen, gdyż wynikać to może z metody powieściopisarskiéj: lecz przerywanie biegu akcyi obszernemi wyjątkami z dziennika, czy raczéj pamiętnika Rzeckiego i sposób pisania w pamiętniku tym panujący. Wyjątki te są tak ułożone, że mogą być w znacznéj części z jednego miejsca usunięte, a w drugie wstawione: nie wiadomo dlaczego w jednym z urywków opowiedziana jest młodość Rzeckiego, a dopiéro po znacznéj przerwie jego wyprawa do Węgier; podobnie jak nie wiadomo, dlaczego wiadomości o początkowych losach Wokulskiego pojawiają się dopiéro w tomie drugim. Styl w pamiętniku tym bardzo rzadko właściwy jest zwykłemu

sposobowi wyrażania się Rzeckiego, w większéj części ten ekswojak i subjekt tak pisać nie mógł, chyba potrafiłby tylko skopiować rękopism Prusa: tyle w nim świeżości, dowcipu i ironii z samego siebie.

Mimo te braki, gdy się pomyśli o mnóstwie trafnych uwag, o znacznéj liczbie doskonałych sylwetek, wybornych scen, tryskających życiem; gdy się rozważy figurę Rzeckiego; przyznać się będzie musiało „Lalce" jedno z pierwszych miejsc w naszéj beletrystyce spółczesnéj.

Piotr Chmielowski.



PROJEKT NIEMIECKI KODEKSU CYWILNEGO.

Entwurf eines bürgerlichen Gesetzbuches für das Deutsche Reich. Erste Lesung. Ausgearbeitet durch die von dem Bundesrathe berufene Commission. Amtliche Ausgabe. 1888. *Motive zu dem Entwurfe. Allgemeiner Theil 1888.* Berlin und Leipzig.

Zdumiewającą jest energia i szybkość, z jaką dzisiejsze państwo niemieckie ukuto z odłamów, przez wieki całe jednolitości pozbawionych. Dokonane umiejętnie zespolenie wydaje się doskonałém z uwagi na potęgę, rozwijaną w stosunkach zewnętrznych; inaczéj wszakże rzecz się ma z funkcyami wewnętrznemi organizmu państwowego, gdzie żadna zręczność ani energia nie zdoła zatrzeć odrazu cech różnolitości rdzennéj, z historyą narodu powiązanéj. Dotykalne objawy téj różnolitości przedstawia prawodawstwo niemieckie, zwłaszcza od upadku cesarstwa w r. 1806, zaś najdotkliwiéj daje się ona uczuwać w zakresie prawa cywilnego. Z chaosu ustaw partykularnych wynurza się tu pruskie „*Allgem. Landrecht*“ z r. 1794 oraz kodeksy cywilne austryacki (1811) i saski (1863); oprócz tego w ziemiach nadreńskich i w. ks. Badeńskiém (od 1809) zyskał moc obowiązującą kodeks cywilny francuski—ze wzmagającemi się z biegiem czasu modyfikacyami. Już jednak w r. 1848 prąd unifikacyjno-narodowy wywołał dążenia ku ujednostajnieniu prawodawstwa: tutaj należy „powszechna niemiecka ustawa wekslowa“ (26 list. 1848) i „powszechny niemiecki kodeks handlowy“ (1861; lecz prace nad nim rozpoczęte w grudniu 1848 r.). Obiedwie atoli ustawy mimo tytułów ogólnych nie miały mocy obowiązującéj dla członków Związku; były one tylko „zalecone“ i przez każde państwo z osobna mogły być przyjęte lub odrzucone. Wówczas też konferowano w sprawie powszechnego niemieckiego postępowania cywilnego i prawa o zobowiązaniach—również w projekcie *potestative* do przyjęcia—lecz bez skutku. Od r. 1867 inicyatywę w kierunku unifikacyi

prawodawczéj podjęły Prusy, jako głowa Związku Północnego i w krótkim okresie czteroletnim wiele zdziałać potrafiły. Po odrodzeniu cesarstwa kierunek taki wzmocnił się znacznie, potrzeba jednolitości stała się gwałtowniejszą, gdy do Związku weszły części składowe nowe, pomiędzy któremi zachowanie równowagi stało się trudniejszém. Konstytucya cesarstwa w szerokiéj mierze uwzględniła tę potrzebę, w 16-tu aż ustępach (§ 4) obejmując kompetencyą prawodawczą cesarstwa, z wyłączeniem partykularnéj. Tak więc wspomnione ustawy handlowa i wekslowa, które od r. 1869 były obowiązujące dla Związku Północnego, zostały rozciągnięte natychmiast (1871 i 1872) na cesarstwo (z uzupełnieniami, dotyczącemi zwłaszcza stowarzyszeń akcyjnych 1870 i 1884). Podobnież uchwalony dla Związku Półn. kodeks kar z r. 1870 zyskał w roku następnym moc obowiązującą dla cesarstwa (w r. 1876 i 1880 poczyniono w nim znaczne stosowne zmiany). Pierwszorzędnéj wagi reformy objęły urządzenia sądowe oraz postępowanie cywilne i karne (1877). Obok tego krokiem pośpiesznym posuwało się ujednostajnienie administracyjne.

Pozostała wszakże sprawa najważniejsza: ujednostajnienie prawa cywilnego. Oczywiście tutaj najwięcéj nasuwa się przeszkód, gdyż najgłębsze, a więc najmocniéj różne interesy różnych odłamów cesarstwa winny zostać dotknięte i przy dokonaniu niwelacyi różnice głęboko uzasadnione usunięte. Jakkolwiek powierzchownie obmyślaną i mało przewidującą była ustawa konstytucyjna cesarstwa z roku 71, wszakże odpowiedni jéj ustęp wskazuje na ostrożność pewną w téj materyi. Pozostawia on mianowicie kompetencyi cesarstwa „prawo o zobowiązaniach, karne, handlowe, wekslowe i postępowanie sądowe“. W ten sposób prawo o osobach, familijne, spadkowe, hypoteczne — dziedziny najsilniéj podlegające historyczno - partykularnym wpływom, zabezpieczone były od niwelacyi i wolnéj woli prawodawczéj oddzielnych państw związkowych pozostawione. Lukę tę pośpieszono jednak zapełnić, rozumiejąc dobrze jéj znaczenie. Na skutek przedłożonego sejmowi przez narodowo-liberalnych żądania, szczególnie przez Laskera i Miquela popartego, ustęp powyższy już po 2 latach uzupełniony został w ten sposób, że wyraz „prawo o zobowiązaniach“ zastąpiono przez „prawo cywilne“. Na zasadzie odnośnego prawa (z 20 grud. 73 r.) Rada Związkowa w roku następnym ustanowiła komisyę prawodawczą dla wypracowania projektu kodeksu cywilnego, z wyłączeniem prawa handlowego i odnośnych dziedzin. Do komisyi, składającéj się przeważnie z prawników praktycznych, należał między innymi znakomity znawca prawa rzymskiego, profesor uniwersytetu lipskiego, v. Windscheid. W charakterze podkomisyi pomocniczéj dołą-

czono do głównéj 9 wybitnych przedstawicieli sądownictwa niemieckiego. Najsilniéj reprezentowany w obudwóch oczywiście element pruski (9 członków); Bawarya, pod względem autonomii, wedle konstytucyi cesarstwa, pierwsze po Prusach zajmująca miejsce, ma dziwnym sposobem po jednym tylko przedstawicielu w każdéj komisyi. Z godnym podziwu pośpiechem projektodawcy, rozpocząwszy swe prace we wrześniu 74 r., ukończyli olbrzymie przedsięwzięcie już w grudniu 87 r. (wyjąwszy prawo o zaprowadzeniu projektowanego kodeksu, które ukazało się dopiéro w grudniu 1888 r.). O ogromie pracy świadczy ten szczegół, że studya wstępne obejmują 19 tomów druku *in folio*, protokóły zaś posiedzeń, odbite sposobem metalograficznym, stanowią 12,309 stronic *in folio*. Przez uchwałę Rady Związkowéj z 21 stycznia 1888 roku, po pierwszem czytaniu projektu postanowioném zostało ogłoszenie urzędowe onego dla publicznéj wiadomości, wraz z motywami komisyi prawodawczéj.

Całość projektu rozpada się na pięć ksiąg, z których pierwsza (redakcya Gebharda) zawiera część ogólną, II (red. Kübla)—prawo o zobowiązaniach, III (red. Johowa)—rzeczowe, IV (red. Plancka)—familijne, V (red. Schmitta)—spadkowe. W klasyfikacyi szczegółowéj liczne zaprowadzono inowacye; tak np. różne w zasadzie pojęcia przedawnienia skargowego i nabywczego, zazwyczaj razem traktowane, ściśle zostały rozgraniczone i kiedy o pierwszém mówi osobny (VII) rozdział części ogólnéj, drugie weszło do księgi trzeciéj, w skład tytułu o nabywaniu praw własności. Księgi podzielone są na rozdziały, te na tytuły; ogółem obejmuje projekt 2,164 artykuły. Wyłączone zostało, jak wzmiankowaliśmy, prawo handlowe, górnicze, wodne, wekslowe, przepisy zabezpieczające wierzycieli przeciw krzywdzącym ich prawa działaniom dłużnika (akcya pauliańska, urządzona przez prawo z 21 lipca 79 r.), oraz dotyczące własności naukowéj, literackiéj i artystycznéj. Co do ostatnich, zachowują moc prawa z 70, 74, 76 i 77 roku, szczegółowo urządzające nowożytną tę dziedzinę stosunków prawnych; prawo handlowe pozostaje z modyfikacyami z 72 i 74 r. Zresztą niektóre przepisy księgi drugiéj mają zastosowanie szczególniéj względem stosunków handlowych. Tak np. § § 685—703 szczegółowo uwzględniają papiery na okaziciela i mają stanowić uzupełnienie do odnośnych przepisów kodeksu handl. o akcyach.

Podział projektu na księgi, z osobną częścią ogólną, zawierającą oraz prawo o osobach, i rozróżnieniem czterech wielkich działów szczególnych, odpowiada nowszéj systematyce prawa rzymskiego. W ogóle prawo rzymskie—o ile pozwalają wnioskować motywa—pilnie było przez projektodawców uwzględniane. Nie pomijają oni w motywach

i spółczesnych obcych prawodawstw, lecz względem kodeksu francuskiego, który z uwagi na ziemie nadreńskie najczęściéj się nasuwał, zachowują się zawsze z wielką surowością krytyczną (str. 23, 32, 60, 61, 63 i wiele in.). Główne wszakże źródło stanowiło oczywiście dla projektu „*Landrecht*“ pruskie, oraz prawodawstwo cesarstwa i Prus z ostatnich lat kilkunastu. Dążność ku swojskości zauważyć się daje już w terminologii projektu; wobec przeważnego wpływu prawa rzymskiego na rozwój prawa niemieckiego, dążność ta przychodziła częstokroć z trudem. Tak np. ustalony termin „*Obligation*“ (użyty jeszcze w Konstytucyi 1871 r.) zastąpiony został w projekcie przez niekoniecznie fortunne „*Schuldverhältniss*,“ kompensacya nazywa się „*Aufrechnung*“ i t. d. Cechę ogólną projektu stanowi unikanie definicyi, w myśl zasady „*omnis definitio periculosa*“; wielokrotnie kładą na to nacisk motywa (1, 73, 126, 153 i in.). Dziwi obok tego napotykana niekiedy kazuistyka, gdy np. zamiast krótkiego ustępu kod. franc. o zobowiązaniach wynikających z występków, znajdujemy w projekcie szereg artykułów (§§ 704—736), omawiających liczne wypadki szczególne, np. zabójstwo, pozbawienie wolności, nawet wylanie nieczystości na ulicę (§ 729). Bardziéj pożytecznemi wydają się inne przepisy szczegółowe; tak np. ważnéj potrzebie praktycznéj czyni zadość pełny tytuł (§ 581—585), traktujący o zobowiązaniach wynikających z jednostronnych obwieszczeń publicznych, obiecanych w pismach wynagrodzeń, rozpisanych konkursów i t. p. („*Auslobung*“). Według projektu zobowiązanie takie staje się nieodwołalném dla stanowiącego nagrodę, jeśli wyznaczył w niém termin, lub też jeśli w obwieszczeniu samém zrzekł się prawa odwołania. Urządzonym również zostaje wypadek przystąpienia kilku konkurentów do nagrody. Mniejszéj wagi, lecz nader właściwą inowacyą zaprowadza inny przepis specyalny, przewidujący zawarcie umowy drogą telegraficzną (§ 92), przyczém jest wymagany podpis własnoręczny na depeszy; jak wyjaśniają motywa, w tym wypadku wysyłający udowodni w urzędzie telegraficznym tożsamość swéj osoby, poczém telegram uzupełniony zostaje przez stosowne stwierdzenie autentyczności.

Powracając do części ogólnéj projektu, na samym jéj wstępie natrafiamy na nader zajmującą i ogólniejszego znaczenia kwestyą uwzględnienia prawa zwyczajowego. Pod wpływem prawa rzymskiego oraz szkoły historycznéj, w niektórych prawodawstwach partykularnych Niemiec, prawo zwyczajowe zyskało miejsce niepoślednie. W Bawaryi i Brunświku zwyczaj ustalony znosił prawo dawniejsze, w Hamburgu została podziśdzień zachowaną moc nietylko derogacyjna, lecz wprost twórcza (suppletoryjna) zwyczaju. Projekt (§ 2) po-

szedł za większością prawodawstw obowiązujących, znosząc stanowczo prawo zwyczajowe, nie naruszając zresztą w niczém wyjątku, zastrzeżonego w prawie handlowém, dla stosunków kupieckich, gdzie powaga zwyczaju jest pierwszorzędną. Pobudką decydującą, jak oświadczają wydawcy, była dla nich obawa, aby przy zachowaniu mocy prawa zwyczajowego nie została zagrożoną jednolitość kodeksu i wzmocnione różnice partykularne. Napomykają tu motywy o istniejących dotychczas „właściwościach plemiennych“ różnych części Niemiec skonfedeowanych, o pewnéj „sprzeczności interesowanych“; oczywista, rozumowanie to jednostronne i mogłoby odrębnych członków Związku doprowadzić do wniosków wręcz przeciwnych. Prusy, które najmniéj posiadają tradycyi, najmniéj téż w téj sprawie mają do stracenia.

Inna ważna kwestya, już społeczno-politycznéj doniosłości, a nader drażliwa, dotyczyła t. zw. stosunków autonomicznych osobistych, pozostałości historycznéj szczególnego w Niemczech znaczenia. O ile prawo to autonomii dotyczy rodzin panujących, znajduje ono poniekąd uzasadnienie w naturze szczególnego stanowiska rządzących, i z tego też względu jest powszechnie niemal przyjętém. Trudniejsza sprawa z t. zw. domami medyatyzowanemi, oraz dawną szlachtą rzeszy. Przez akt Ligi Reńskiéj (§ 28), a następnie przez akt związkowy z r. 1815 (§ 14) pierwszym (książętom medyatyzowanym) zapewniono t. zw. *Ebenbürtigkeit* z domami panującemi, obiedwie zaś kategorye otrzymały cały szereg przywilejów specyalnych. Niektóre zniesiono z czasem: tak przy zaprowadzeniu powszechnego niemieckiego postępowania sądowego ograniczono (nie zniesiono) prawo odwołania się medyatyzowanych w materyach karnych do sądów parów (t. zw. *Austrägal-Instanz*); inne wyraźnie zachowano i potwierdzono, np. zwolnienie ze służby wojskowéj, z kwaterunku. Zostawiono wreszcie najważniejszy, wspólny obudwóch kategoryi przywiléj: wyłamanie z ogólnego prawa spadkowego przez dozwolenie fideikomisów rodowych. Urobiło się w Niemczech nie od dzisiejszéj daty przekonanie, że „wzmocnienie elementu arystokratycznego większéj własności ziemskiéj, stanowi naglącą potrzebę społeczną i polityczną dla Niemiec“ (Bluntschli). Pogląd ten, którego ani zmiana warunków, ani ogromna emigracya z Niemiec północnych, obfitujących w „rycerstwo“ i *latifundia*, zmienić nie zdołały, wypowiadają też projektodawcy, powołując się oraz na rzekome niebezpieczeństwo ekonomiczne pchnięcia majątków arystokratycznych na zwykłą drogę spadkową. Powołują się też na „interes publiczny,“ powiązany jakoby z zasadą „*Ebenbürtigkeit*,“ co chyba należy rozumiéć w sensie ułatwienia małżeństw panujących w granicach Niemiec. Wszystko to niekoniecznie przekonywa-

jące i stanowisko prawne medyatyzowanych i szlachty wyższéj w Niemczech pozostanie anomalią, gdy równocześnie mowy być nie może o zestawieniu zasług „panów“ niemieckich ze znaczeniem politycznėm dla kraju arystokracyi angielskiéj.

Nawał kwestyi niezmiernie ważnych a zawiłych nasuwały ustępy projektu „o osobach.“ Cały rozdział (§§ 41—63) poświęcony rozporządzeniom ogólnym, dotyczącym t. zw. osób prawnych. Rozgranicza tu projekt stowarzyszenia właściwe i fundacye (*Stiftungen*). Wątpliwości nie było, że obiedwie formy wymagają sankcyi państwowéj; podnosiło się atoli trudne do rozstrzygnięcia pytanie, czy sankcya ta ma być ogólną, opartą na uprzedniém ustanowieniu warunków koniecznych, wymaganych od danego rodzaju stowarzyszeń dla uzyskania przywilejów osoby prawnéj, czy téż ma być wykonywaną sposobem ustaw poszczególnych, każdorazowo do zatwierdzenia przedstawianych. Pierwszy sposób obecnie zarzucony wobec niepodobieństwa przewidzenia nieskończonéj ilości form korporacyjnych w życiu spółczesném, najmniéj zaś okazywał się stosownym dla projektu, który ze zwężonym znacznie obszarem zjawisk miał tu do czynienia. W istocie, po wyłączeniu stowarzyszeń handlowych, gospodarczych, górniczych, leśnych i wielu innych, urządzonych już przez specyalne prawodawstwo cesarstwa, miał projekt jedynie już na uwadze stowarzyszenia o naukowo-moralnym, polityczno-społecznym kierunku. Ten zaś rodzaj stowarzyszeń charakteryzuje niezmierna giętkość i rożnorodność form i dążeń, najłatwiéj się więc wyłamują z wszelkiego szematu ogólnego. Względem tych stowarzyszeń, nawet drugi sposób nadzoru państwowego, przez ścisłe zbadanie przedkładanych statutów, wydał się projektodawcom niewystarczającym i ryzykownym, gdy często „najniebezpieczniejsze korporacye najniewinniejszy mają wygląd, a obdarzenie zdolnością osoby prawnéj daje w ręce stowarzyszenia narzędzie nieobliczonéj potęgi. Tymczasem przepis ogólny o statutach, zniósłby dowolność administracyjną przy ich zatwierdzeniu i otworzyłby wszelkim stowarzyszeniom niechybną drogę ku pozyskaniu zdolności majątkowéj, jedynie przez ostrożną redakcyą statutów. Mieli tu przed sobą wydawcy dawniejszy projekt Schultze-Delitscha, trzykrotnie, a zawsze bez skutku, sejmowi przedłożony (1869, 71, 72 r.), gdzie właśnie przez uogólnienie systematu t. zw. ustaw osobistych dla stowarzyszeń o celach „idealnych“ (z wyłączeniem handlowych i wogóle zawartych dla zysku materyalnego), poczynione były liczne ułatwienia przy tworzeniu osób prawnych (statuta zatwierdzać miała zwyczajna instancya sądowa i t. p.). Nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności w materyi tak drażliwéj, woleli wydawcy ominąć raczéj trudność

i zdecydowali się pozostawić wszystko po dawnemu, zachowując nienaruszone przepisy partykularne (§§ 42, 43). Nawet w sprawie fundacyi, gdzie obawy powyższe w mniejszym zachodziły stopniu, powodowani rozumowaniem analogicznêm, również biernie zachowali się projektodawcy (§ 62); tym sposobem urządzili tylko wzajemną odpowiedzialność członków stowarzyszenia, obowiązki fundatora, porządek likwidacyi i t. p. Jestto jeden z nielicznych w projekcie wypadków, gdzie prawa autonomiczne państw związkowych nie uległy dążności ku centralizacyi prawodawczéj,—stało się to wprawdzie z pobudek polityki konserwatywnéj.

Prawo o osobach fizycznych i ściśle z niém powiązane urządzenie stosunków rodzinnych najgłębszy przedstawia interes społeczny. Utrzymany został w projekcie powszechnie dziś (za wyjątkiem Austryi) przyjęty okres pełnoletności przez dojście 21 lat wieku, ustanowiony dla Niemiec dopiéro w r. 1875. Do zawarcia małżeństwa przepisany został wiek 20-tu lat, przyczém dojrzałości małżeńskiéj nie przyśpiesza nawet wcześniejsze uznanie pełnoletnim (§ 1233); surowy ten przepis stanowi pozostałość dawnéj wyższéj granicy pełnoletności (24 lat) i jest wyrazem dążenia ku umocnieniu stosunków rodzinnych, a mianowicie władzy rodzicielskiéj. Stąd też ani małżeństwo, ani urząd państwowy (jak dotychczas w Wirtembergu) nie usamowalnia małoletniego. Wogóle instytucya usamowolnienia pominięta; zastępuje ją uznanie pełnoletności (*Volljährigkeitserklärung*), po dojściu lat 18 dopuszczalne a nadające małoletniemu zupełną zdolność prawną. Zresztą cały ten ustęp projektu oparty na prawie o opiece z d. 5 lipca, 1875 r., które nawet w prowincyach nadreńskich zastąpiło odnośne przepisy kod. Napol. Natomiast przysposobienie o wiele zostało ułatwione, w porównaniu z prawem francuskiém, i otrzymuje w projekcie charakter czysto umowny i wystarcza tu akt notaryalny (§ 1616); wymagany dla przysposabiającego wiek lat 50 przez dyspensę państwową może być sprowadzony do pełnoletności zwyczajnéj; przepisana różnica wieku (przysposobiony młodszy o lat 18) również tą drogą może całkowicie być pominiętą (§§ 1603—1605); umowa pomiędzy przysposabiającym a potomkami przysposobionego znosi w zupełności skutki przysposobienia (§ 1629) i t. p. Podnieść tu należy, że prawo udzielania powyższéj dyspensy pozostawioném zostało rządom państw związkowych.

Ubezwłasnowolnienie również znacznie zostało ułatwione: rozciągnięte i na osoby niepełnoletnie, bez bliższego zdefiniowania chorób umysłowych, stosowane w równéj mierze w wypadku marnotrawstwa, z pominięciem instytucyi doradcy sądowego. „Wobec gwarancyi, ja-

kie daje urządzenie postępowania przy ubezwłasnowolnieniu według nowéj procedury cywilnéj, możliwość nadużyć jest niemal wyłączoną": tak niezbyt przekonywająco tłómaczą surowość projektu wydawcy. Zresztą marnotrawstwo stanowi również zasadę do separacyi majątkowéj małżonków (§ 1372), w pewnéj mierze do unicestwienia nawet legitymy marnotrawnych zstępnych (§ 2002).

Sposób i warunki wstąpienia w związki małżeńskie określone były przez prawo z 6 lut. 1875 r., które rozciągnęło na cesarstwo prawo pruskie z roku poprzedniego o małżeństwie cywilném. Projekt wnosi w téj sprawie liczne uzupełnienia i zmiany. Tak zezwolenie rodziców do zawarcia małżeństwa wymaganém jest, bez różnicy płci, aż do dojścia 25 lat skończonych, kiedy obecnie córka pod tym względem jest poniekąd uprzywilejowaną. Zakaz, wzbraniający kobiécie wstąpienie w powtórne związki małżeńskie przed upływem dziesięciu miesięcy od rozwiązania poprzedniego małżeństwa, uzupełniony zostaje przez sankcyą karną (do roku więzienia). Wypada tu wszakże zaznaczyć, że projekt w ogólności sprzyja wzmocnieniu stanowiska prawnego kobiéty. Jakoż §§ 1303—1309 zwalniają żonę od wymaganego zezwolenia męża za jego nieobecnością lub chorobą i umożebniają samodzielne prowadzenie handlu przez kobiétę zamężną. Według § 1640, kobiety mogą być powołane do opieki, według § 1917 mogą być świadkami testamentowymi, również władza rodzicielska matki, zostaje rozszerzoną, zwłaszcza względem dzieci naturalnych. Co do tych ostatnich, zachowaném zostało uprawnienie przez postanowienie władzy rządowéj, a nawet téj sprawie cały szereg przepisów poświęcony (§§ 1583—1600). Na uwagę zasługuje, że według projektu, prawo to przysługuje rządowi państwa, którego poddanym jest ojciec, nie zaś rządowi cesarskiemu. Nader szczegółowe przepisy określają obowiązek alimentarny członków rodziny, przyczém rozróżnia projekt (§ 1488) alimenta odpowiednie do stanowiska społecznego osoby wspieranéj (*standesgemäss*) i utrzymanie nieodzowne do życia (*nothdürftiger Unterhalt*). W téj ostatniéj formie obowiązek alimentarny ciąży również braci i siostry; w pierwszéj odnosi się tylko do krewnych w linii prostéj, oraz małżonka (§ 1280).

Zatrzymujemy się, a raczéj przerywamy w tém miejscu nasze sprawozdanie. Cztery księgi szczególne projektu, a zwłaszcza trzecia (którą uzupełni przygotowywana obecnie przez wydawców powszechna dla Niemiec ustawa hypoteczna) i piąta, zawierają nawał przepisów odstępujących od prawa obowiązującego w duchu bądź nowatorskim, bądź też zwracając się w kierunku narodowo-niemieckich pojęć prawnych (np. przy ustaleniu porządku spadkobrania w §§ 1966 nast., przyjęty

został za kodeksem austryackim, staroniemiecki podział na parentele, czyli linie potomstwa wstępnych, wbrew rzymsko-francuskiemu porządkowi pokrewieństwa). Wszakże do szczegółowego rozbioru i oceny wielkiéj reformy obcego prawodawstwa ani tu miejsce właściwe, ani sprawozdawca nie czuje się powołanym. Pragnęliśmy jedynie zwrócić uwagę na zjawisko wielkiéj doniosłości politycznéj, którego wpływ wewnętrzny na zjednoczenie Niemiec będzie pierwszorzędny, a które zewnętrznie ujawni się dotykalnie za pośrednictwem utraty inicyatywy międzynarodowéj w zakresie prawa cywilnego przez odrębne państwa związkowe Niemiec [1]). Zresztą niewątpliwie projekt niemiecki nie pozostanie bez wpływu na odbywającą się pracę kodyfikacyjną w Rosyi.

S. A.



[1]) Prof. uniw. w Bonn, Zittelmann, na odczycie niedawno wygłoszonym w wiedeńskiém Towarzystwie prawniczém, starał się dowieść, że można zastosować do Austryi omawiany projekt niemiecki kodeksu cywilnego, powołując się między innemi na istnienie jednego w obu państwach prawa wekslowego.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Cała tęcza afiszów mieniła się bezustannie w ciągu pierwszych dwóch miesięcy nowego roku, zapowiadając tą zmianą kolorów ożywiony ruch repertuaru, w którym ilość, niestety, nowości zastąpić musiała po większéj części jakość dostarczonego publiczności pokarmu. Przeleciało to wszystko, jak piasek przez sito, — nic prawie nie utrzymało się dłużéj na pożytek sceny, któréj reżyserya złożyła dowód mechanicznéj ruchliwości, ale niezbyt fortunnego wyboru sztuk zakwalifikowanych do grania. Mieliśmy prawie same efemerydy, o których sprawozdawca po kilku tygodniach jedynie z obowiązku dokładności kronikarskiéj wspominać musi.

Nowy rok rozpoczęto kilkoma drobnostkami tłómaczonemi z francuskiego, pomiędzy któremi znalazła się nie wiedziéć po co dwuaktowa starzyzna dawno zwietrzałego repertuaru p. t. „Pierwsza wyprawa młodego Richelieu." Zrobiono jéj zaszczyt, którego nie jedna tragedya Szekspira wyczekuje u nas nadarmo: dano jéj wystawę świetną i kosztowną, sprawiono bogate kostiumy i dekoracye, wypełniono pierwszorzędnemi siłami obsadę, ale nie zdołano zakryć tym szychem pleśni wodewilu, wznowionego dla jednéj jedynéj roli, do któréj zabrakło niezastąpionéj—Bakałowiczowéj. Panna Wisnowska wskrzesiła tylko tradycyą gustownego kostiumu, jako młody ks. Richelieu, ale tradycyi świetnéj gry swéj poprzedniczki nie odżywiła. To zbytnie rozlubowanie się w zewnętrznych efektach i przemyślne szafowanie niemi nie jest godném inteligentnego talentu artystki, dla któréj wybór roli nie powinien się rozstrzygać rodzajem kostiumu, obliczonego na zmysłową wrażliwość widza, zwłaszcza kiedy się posiada szlachetniejsze środki podbijania go sobie dla celów sztuki.

Jednocześnie z „Pierwszą wyprawą" weszła na scenę nowość świeższego pochodzenia, komedyjka Busnacha p. t. „*Chateau Yquem*,"

w któréj dosyć sprytnie i dowcipnie wyzyskane zostały skrupuły młodéj wdowy, obawiającéj się powtórnie wyjść za mąż za człowieka, któryby, broń Boże... chrapał w nocy; ponieważ się okazuje, że kandydat do stanu małżeńskiego, poddany skutecznéj próbie uśpienia za pomocą narkotyku, nie posiada téj wady, zaburzającéj spokój sypialnéj komnaty, dobrana para łączy się w oczach uśmiechniętéj publiczności i komedya skończona.

Napisane to swobodnie, lekko, na kolanie, ale ta cecha właśnie, która u naszych autorów najczęściéj bywa wadą, u francuskich komedyopisarzy stanowi zaletę trudną do naśladowania bez specyalnego w tym rodzaju talentu.

Trzecią przeflancowaną z paryskiéj sceny nowością było jednoaktowe *horrendum* w formie dramatycznego obrazka, skreślonego przez wszechstronną Sarę Bernhardt p. t. „Wyznanie.“ Aktorka spróbowała stworzyć dla siebie koncertowy popis, napisała sztukę, w któréj główną rolę kobiecą naszpikowała technicznemi trudnościami, przeładowała dramatycznością, przemoczyła łzami, poszarpała wybuchami namiętności, — napisała i sama zlękła się swego dzieła; nie grała we własnéj sztuce.

Naturalnie, zasadniczym motywem jest wiarołomstwo; młoda żona starego generała zdradza go z kuzynkiem doktorem. Owocem téj zdrady jest dziecko, które poczciwy generał uważa za swoje dopóty, dopóki przypadkowo z głośnéj modlitwy swéj małżonki przy kołysce chorego jedynaka nie dowiaduje się sromotnéj prawdy. Wtedy następuje rozpaczliwa spowiedź wiarołomnéj przy drzwiach zamkniętych, do których puka wezwany lekarz.

— Nazwisko, wymień mi nazwisko tego łotra! — woła z wściekłością zdradzony mąż, nie chcąc wpuścić doktora do zagrożonego śmiercią dziecka swéj żony.

Wtedy matka zwalcza skrupuły kobiéty i odpowiada:

— A więc otwórz drzwi swojemu rywalowi!...

Generał otwiéra, ale zanim się pomści swojego honoru, nie chce gubić niewinnéj ofiary i dopuszcza wpierw lekarza do kołyski, aby zbadał stan zagrożonego dziecka; potém dopiéro ma z nim rozprawę, któréj rezultatem ma być dobrowolna śmierć uwodziciela, ale w chwili, gdy młody lekarz ma dać to zadosyćuczynienie zdradzonemu mężowi, gdy już przykłada pistolet do skroni,—dziecko umiéra, a generał darowuje życie jego ojcu, bo „Bóg sam wdał się w rozwiązanie téj sprawy.“

Wszystkie efekta są tu jaskrawe, wszystkie sytuacye sztucznie ułożone i nastrojone umyślnie na najwyższy ale fałszywy ton drama-

tyczności; obrazek jest krzyczącém, dekoracyjném malowidłem, od którego oczy bolą widza.

Im lepszą bywa gra artystów w takiéj rzeczy, tém gorsze wrażenie pozostawia całość, bo tém więcéj drażni i tém silniéj targa nerwy publiczności. Panna Marczellówna i p. Ładnowski spełniali swe zadanie z prawdziwém poświęceniem.

Oryginalny repertuar powiększyły cztery nowości: bardzo zręczny, wesoły drobiazg sceniczny Michała Bałuckiego p. t. „Kuzynek,“ jednoaktowa komedya Fredry (syna) „Hypnotyzm,“ czteroaktowa Blizińskiego „Szach i mat“ i trzyaktowa farsa lwowskiéj spółki Abrahamowicza i Ruszkowskiego „Książę pan.“

„Kuzynek“ jest niby pryśnięciem doświadczonego pióra, scenką z komedyi, ale znać w niéj scenicznego majstra, który na fuszerkę nawet drobnostek nie robi. Jest tu mąż, żona i ten trzeci, potrzebny koniecznie do zawiązania małżeńskiéj intygi; tym trzecim jest właśnie kuzynek, zastawiający sidła na młodą mężateczkę z jednéj strony, a na męża jéj z drugiéj; jemu podsuwa po za domem cyrkówkę i dobrą, a zabronioną zabawę w gabinecie, jéj schadzkę w domu, jako początek romansiku. Na szczęście, przypadek przyjmuje rolę czwartéj osoby, która niweczy strategiczne plany kuzynka a męża przytrzymuje przy żonie, przekonywując go, że lepszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu, zwłaszcza jeżeli ta żona nie jest pospolitym wróbelkiem, ale bardzo miłą gołąbką, któréjby grzech był porzucać dla hecarki.

Nie brak w tém pieprzyku, którym Bałucki lubi zaprawiać dla smaku swoje sztuki, ale ten pieprz nie jest francuską asafetydą, psującą nerwy publiczności.

„Kuzynek,“ podobnie jak „O Józię“ i „Bilecik miłosny“ tegoż autora, wzbogacił repertuar oryginalnych jednoaktówek, którym częściéj należałoby przed francuskiemi dawać pierwszeństwo na afiszu, o ile, rozumié się, zasłużyły na to.

Firma Fredry (syna) ma swój wyrobiony kredyt na scenie, umieściwszy na niéj spory kapitał śmiechu w licznych komedyach i krotochwilach, które dotychczas bawiły szczerze publiczność; każda nowa sztuka tego autora, na którą w ostatnich czasach coraz dłużéj czekać nam dawał, zaciekawiała z góry i budziła nadzieję wesołéj chwili w teatrze.

Tak było i z „Hypnotyzmem,“ który tém więcéj obiecywał, że miał posłużyć Żółkowskiemu za popis w nowéj roli; ale, niestety, znakomity komik umarł z tą rolą w ręku i sztuka weszła na deski, pozbawiona, jak się okazało, najważniejszéj podpory w artyście, który jedynie mógł ją dłużéj w repertuarze utrzymać. Byłoby się stało to

samo, co miało miejsce z tyloma innemi utworami, zawdzięczającemi jedynie talentowi Żółkowskiego swój żywot ponad zasługę; nie rzecz sama, ale jéj podanie, nie cała sztuka, ale jedna rola, nie treść jéj, ale gra byłyby pociągały publiczność i zajmowały ją przez czas długi. Talent artysty byłby w tym wypadku wyręczył talent autora i zgotował mu mniéj zasłużone powodzenie. Żółkowskiego zabrakło i to stało się fatalnością nie dla jednego „Hypnotyzmu“ hr. Fredry...

Nie można powiedziéć, aby pomysł do téj ostatniéj komedyi autora „*Consilium facultatis*“ nie był dobrym materyałem, z którego dało się wysnuć dużo nawet wątku do zabawnéj krotochwili, o ile na tym gruncie pierwsza połowa sztuki się oparła. Mania hypnotyzerska ma pewną aktualność, jest śmieszną, gdy występuje w takim panu baronie, nie mającym najmniejszego pojęcia o faktach naukowo stwierdzonych i traktuje je, jako ciekawą zabawkę, dając się w swojéj łatwowierności łudzić pozorami i symulacyą. Można to dowcipnie wyzyskać, wyszydzić i ośmieszyć. Tak téż uczynił autor w pierwszéj połowie swéj sztuki i odniósł połowiczne zwycięstwo, ale w drugiéj wprowadziwszy objawy rzeczywistego hypnotyzmu, jako sprężynę akcyi i intrygi, przestroił nagle swą krotochwilę i przerwał samochcąc jéj swobodny bieg w pierwotnym kierunku.

Ten nagły zwrot zaszkodził całości i stworzył dwie połowy, gwałtem przypasowane, ale z natury swéj i charakteru nie przystające do siebie.

Dopóki główna figura sztuki, baron, jest maniakiem, zajętym do tego stopnia hypnotyzmem, że nie widzi umizgów przyjaciela swego hr. Orzelskiego do żony, dopóki daje się oszukiwać w rzekomych doświadczeniach magnetycznéj siły i wierzy, iż jego lokaj Pafnucy i pokojówka Zuzia usypiają na prawdę, jako *media*; dopóki hrabia, nie mający wyobrażenia o hypnotyzmie, odgrywa rolę hypnotyzera i bierze barona na fundusz, wmawiając nawet w niego samego, że jest uśpiony na jawie i musi podlegać jego woli, zalecać się do pokojówki i narażać na wynikające z tego kolizye,—dopóty jesteśmy na gruncie farsy i jéj czynnikami wywołany komizm nas bawi, rozśmiesza i utrzymuje w wesołém usposobieniu; ale z chwilą, gdy w połowie sztuki zjawia się młoda wdówka, pani Karolina Elmińska, a zauważywszy, co się święci w domu baronostwa, zaczyna ratować przyjaciółkę, i dla ośmieszenia hrabiego w oczach baronowéj usypia go na prawdę, każe mu w stanie zahypnotyzowania za pan brat przystawać z lokajem, ofiarowywać mu swą przyjaźń i t. d., z tą chwilą zachodzi w sztuce niefortunny zwrot, humor słabnie, dowcip nie działa, a komizm złamany niezręcznie, traci swą siłę. Autor każe nam bowiem brać nagle na seryo to samo, co

dotąd ośmiészał, każe po tych wszystkich symulacyach, aż do przesady doprowadzonych, wierzyć poważnie w uśpienie hrabiego i drugą połowę krotochwili zamienia w seans hypnotyzerski, na którym zrobione doświadczenie nabiéra naukowéj powagi i już może tylko objawami swemi więcéj zadziwiać, niż rozśmieszać i bawić.

Sztuka kończy się przebudzeniem prawdziwie uśpionego hrabiego, który swoje uczucia z baronowéj przenosi na młodą wdówkę, i przebudzeniem zahypnotyzowanego w swém przekonaniu jedynie barona, który po zalotach do Zuzi wraca skruszony i zawstydzony do swéj małżonki. To pomieszanie motywów fikcyjnych i rzeczywistych w ciągu akcyi zepsuło jednolitość jéj nastroju i wyszło na niekorzyść całości.

Z poważnych nabytków w repertuarze wymienić można tylko czteroaktową komedyą J. Blizińskiego „Szach i mat“; miała ona rozmaite zawady do usunięcia, zanim dostała się na scenę Rozmaitości, zagradzano jéj drogę za poprzedniéj dyrekcyi, zwracano do przeróbki autorowi, pozwolono na to, aby wpierw przeszła przez ogródkowe deski i całe lata trzymano ją w reżyserskiéj niewoli, aż na razie jako niezupełną nowość, wprowadzono do repertuaru w tym roku.

Nie jest to jedno z najlepszych dzieł autora „Rozbitków“ — to prawda, ale ma niezaprzeczoną racyą bytu na pierwszorzędnéj scenie polskiéj, która względem twórczości oryginalnéj powinna poczuwać się do poważnych obowiązków i dawać jéj pierwszeństwo przed wszystkiemi.

Pierwotnie komedya nosiła tytuł: „Karyerowicz“ i ten bodaj czy nie był odpowiedniejszym od drugiego: „Szach i mat“, bo odnosił się do głównéj figury w sztuce, kiedy owo szachowanie i zamatowanie w końcu odnosi się do akcyi, słabszéj od figur i wywoływanéj raczéj z góry powziętemi okolicznościami, aniżeli konsekwentną działalnością charakterów w grę wprowadzonych.

O tytuł mniejsza. Zasadniczy pomysł, jakkolwiek przypomina zdaleka „Testament Cezara Girodot“, nadawał się doskonale do komedyi typów i charakterów, o jaką widocznie Blizińskiemu chodziło. Rzecz cała obraca się około spadku bogatego krewniaka, do którego wszyscy roszczą pewne pretensye i mają nadzieję go zagarnąć. Ta tajemnica ostatniéj woli wytwarza od razu interesujący nastrój akcyi. Cały pierwszy akt, jako ekspozycya wyborny z tego względu; galerya figur wprowadzonych zręcznie, z gotową charakterystyką każdéj, choćby najmniejszéj, zdradza mistrzowską rękę komedyopisarza i obserwatora, który z samego życia dobywa swój materyał.

Sytuacya przedstawia się tak: pan Alfred Krzycki, polujący na

posażne panny, karyerowicz, dowiaduje się przypadkiem, iż główną spadkobierczynią jest panna Kazimiéra, córka zamożnego obywatela, o którą właśnie konkuruje; zachowując tajemnicę tylko dla własnego użytku, oświadcza się formalnie, zostaje przyjętym i już jako zdeklarowany narzeczony na zjeździe familijnym uczestniczy przy urzędowém otwarciu testamentu, pewny wygranéj.

Na ten zjazd przybywają państwo Truńscy, pretensyonalna żona z pantoflem mężem, pani Grdyńska poczciwa ale śmieszna parafianka z ukochanym jedynakiem Maciusiem, pan Byłkiewicz, biédny szlagon z trojgiem dzieci, z dorastającą córką, o któréj losie trzeba już myśléć poważnie, i stary wyga, ex-wojskowy, pan rejent, przedstawiciel prawa z ostatnią wolą testatora.

Doskonale zostały tu pochwycone i uwydatnione rozmaite stopnie chciwości i samolubstwa, podrażnionego nadzieją zagarnięcia całego spadku. Gorączka rozwiązania zagadki wzrasta z każdą chwilą, nareszcie rejent rozłamuje pieczęć i czyta testament nieboszczyka; tu pęka pierwsza bomba, bardzo zręcznie i efektownie wyrzucona w powietrze. Nieboszczyk cały majątek zapisuje swéj synowicy, ale pod warunkiem, żeby poślubiła jego wychowanka i administratora dóbr, Zenona Olickiego; w przeciwnym razie ten ostatni staje się generalnym spadkobiercą. Los spłatał sromotnego figla karyerowiczowi; Krzycki znał tylko połowę tajemnicy testamentowéj, wyłudzonéj od sprzedajnego dependenta, wiedział o schedzie, ale nie wiedział o dodanym do niéj warunku.

Jest to pierwsze zaszachowanie karyerowicza.

Zdawałoby się, że po takiém zawiązaniu sytuacyi, akcya splącze się i dostarczy nam coraz mocniéj interesujących momentów, że ten Krzycki wymyśli jakiś świetny i dowcipny ciąg, aby uniknąć mata, pomiesza szyki i partyą spróbuje wygrać w połowie. Gdzie tam!... to słaby szachista, to fuszer, który od pierwszego zaszachowania traci głowę i ten gambit, zapowiadający się tak zajmująco, obstawiony tak dobremi figurami, rozwiązuje się ciężko, pospolicie, bez efektu. Krzycki jest do tego tchórzem, obawiającym się wszelkiego ryzyka, nie przewidującym najbliższych kombinacyi i haniebnie daje się zamatować, sam pomagając do własnéj przegranéj. Wyrzeka się pod naciskiem Zenona pierwszéj narzeczonéj, lawirując około niedorosłéj córki Byłkiewicza, która ma nadzieję dostać choć część spadku z łaski Olickiego; ale i od téj odsadza go pocieszny, lecz energiczny Maciuś, grożąc mu pojedynkiem, gdyby się nie usunął dobrowolnie.

Odpędzony, jak kot od sadła, marny karyerowicz zostaje pobity na głowę. Zenon żeni się z Kazią, połowę majątku odstępując uboż-

széj linii krewnych, pod warunkiem, że Maciuś pobierze się z Byłkiewiczówną i komedya skończona.

Widz, pomimo tego, iż z uwagą i zajęciem słuchał, a raczéj przypatrywał się sztuce, czuje jakiś brak, jakąś niezapełnioną w niéj lukę i spostrzega się dopiéro w końcu, że téj komedyi zabrakło bohatera, że ta główna belka w całém rusztowaniu była za wątłą, a w dodatku spróchniałą; miałby ochotę wytuzować tego niedołęgę Krzyckiego, który nie dorósł do swojéj roli, a nie umiał być nawet dobrym karyerowiczem i zepsuł taką świetną sposobność popisania się, pogmatwania przynajmniéj zbyt prostych kombinacyi w partyi, z góry skazanéj na przegranie. Niechby się chociaż energiczniéj bronił i wymykał, niechby się nie dał szachować i matować samemi pionkami!... Ba, gdyby to było możliwém, byłby partyą przegrał z woli autora na scenie, ale byłby ją stanowczo wygrał na korzyść Blizińskiego wobec publiczności; tylko do tego potrzeba mu było trochę więcéj przewrotności i sprytu, trochę więcéj ujemnych rysów, a tych nie umiał mu nadać autor. Jest to charakterystycznémznamieniem talentu i obserwacyi Blizińskiego, że o wiele lepiéj udają mu się dodatnie typy na scenie, głębiéj umié je przenikać, plastyczniéj odtwarzać i subtelniéj wycieniowywać aniżeli ujemne, które wychodzą zawsze blado, połowicznie, jakby nieśmiało kopiowane inną ręką z téj saméj natury.

Autor w swym poczciwym optymizmie zdaje się sam nie wierzyć w złych i skąpi ciemnych barw, jakby się bał pokrzywdzić niemi bliźniego swego na scenie; jest on jednym z tych pisarzy, którzy kochają ludzi, mimo to, że ich znają dobrze, ze wszystkiemi ułomnościami, śmiesznościami i wadami charakteru. Nie znaczy to, aby różowo patrzał na świat i łudził się pozorami; przeciwnie, mało który z naszych komedyopisarzy tak trzeźwo i bezstronnie patrzy i tak jasno widzi, jak Bliziński, tylko on do tego świata nie ma ani uprzedzeń, ani żalu; wszystko złe, które w nim spotyka okiem obserwatora, zasmuca go więcéj, niż goryczą i żółcią napawa. Stąd płynie zawsze ciepło z jego utworów, które zjednywa jemu serca a sympatyą widzów dla wyprowadzonych na scenę postaci.

„Szach i mat“ grano z wielką starannością i dobrą charakterystyką wszystkich figur, zwłaszcza na dalszych przedstawieniach; najwybitniéj wyróżnili się pp. Ostrowski (Byłkiewicz), Rapacki (Rejent); Wolski (Maciuś) i p. Borkowska (Grdyńska).

Komedyą trzyaktową nazwali pp. Abrahamowicz i Ruszkowski swą farsę p. t. „Książę pan“, nadużywając téj poważnéj nazwy dla sztuki, która na to żadną miarą nie zasługuje; wogóle, znając naturę talentów téj wyjątkowo szczęśliwéj spółki literackiéj u nas, wątpić

można, czy autorowie „Męża z grzeczności“ zdobędą się kiedykolwiek na napisanie rzeczywistéj komedyi. Byłoby to trudnością nie tyle nad ich siły, ile nad ich gusta i skłonności. Głównym, rzec można, jedynym celem ich twórczości wspólnéj jest śmiéch, a środkiem do tego wesoły humor, z którego rodzą się pomysły, tematy, sytuacye i ludzie z nieodzownym warunkiem, aby byli śmieszni za jakąkolwiek cenę; bierze się ich prawie zawsze z głowy, nie z życia, urobionych właściwie, przykrojonych na użytek farsy, komicznych tym *ad hoc* nakazanym komizmem, który musi się nadać do zabawnego konceptu, choćby nie stał w żadnéj konsekwencyi z naturą danego osobnika w sztuce.

Któryś z francuskich krytyków powiedział, że farsa ma większe przywileje od wszystkich rodzajów dramatycznéj twórczości, ale jeżeli nie chce być wygwizdaną w teatrze, musi dbać o jeden warunek: „o logikę nonsensu“, narzuconego w imię konwencyonalnéj ugody między sceną a publicznością.

Otóż téj „logiki nonsensu“, którą posiadają najbardziéj typowe i najśmielsze w pomysłach farsy francuskie, nie posiadają zawsze, w równym przynajmniéj stopniu, utwory krotochwilne pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego, którzy nie panują nad swemi pomysłami dostatecznie, ale najczęściéj dają się sami porywać własnym konceptom. A szkoda, bo przy tym niezaprzeczonym nerwie scenicznym, który jest im wspólny, przy łatwości manewrowania jasełkami krotochwili, przy wesołym humorze i często prawdziwie dowcipnych pomysłach, mogliby z większym i trwalszym pożytkiem pracować u nas dla rodzaju mającego wielu zwolenników śród publiczności, która w teatrze szuka wesołéj rozrywki i zdrowego śmiechu.

„Książę pan“ w zasadniczym motywie schodzi się z „Ciężkiemi czasami“ Bałuckiego, tylko gdy krakowski satyryk wyzyskał swój pomysł na tle prawie komedyi społecznéj, lwowscy humoryści zużyli go na gruncie karykatury i farsy, bez wszelkich tendencyjnych aspiracyi.

Tak samo tu, jak tam, akcya wiruje około jaśnie oświeconéj osoby „Księcia pana“, którego jacyś z pod ciemnéj gwiazdy państwo Sałatowscy, poznawszy w Ostendzie, gdzie ich niepotrzebnie licho galicyjskie zaniosło, ściągają do siebie na wieś i próbują złowić na zięcia. Książę, golec, pieczeniarz, idyota, dałby się złapać z przyjemnością, tylko przeszkadza mu matrymonialna konkurencya, jaką Sałatowskim robią sąsiedzi Woszowscy mający również córkę na zbyciu i apetyt na mitrę książęcą. Przychodzi im to odbicie kandydata tém łatwiéj, że papa Sałatowski, zniecierpliwiony kosztownemi zabiegami i gośćmi, którzy mu dom w istną oberżę zamienili, postanawia pozbyć się wszystkich choćby razem z księciem panem i wymyśla oryginalny fortel:

każe się młodemu sąsiadowi, Gąsiorowskiemu, zasekwestrować z tytułu małéj wierzytelności, którą mu jest dłużny. Widmo komornika wystraszyć ma darmozjadów z domu Sałatowskich i wystrasza rzeczywiście, ale Woszowscy, korzystając z okazyi, wykradają księcia i uwożą do siebie, aby go tam jako dostojnego niewolnika urobić na męża, dla swojéj córki, w któréj wszelako kocha się sąsiad Gąsiorowski uproszony, sekwestrator Sałatowskich! Książę, zwąchawszy pismo nosem i widząc, że się nie sprzeda na zięcia ani tu, ani tam, ucieka, pozostawiając Gąsiorowskiemu miejsce wolne przy pannie.

Dla większego pogmatwania sytuacyi autorowie wprowadzili małe *qui pro qui*, bez którego farsie trudno się obejść, wmówili w Sałatowskich, że Gąsiorowski kocha się w ich córce, nie w córce Woszowskich, skutkiem czego drugi akt zyskał na krętaninie i nieporozumieniach, które dla publiczności są zupełnie jasne a tém samém nie dosyć zajmujące. Możnaby było na tym drugim akcie sztukę zakończyć, ale komedya (?) nie byłaby trzyaktową, więc dodano jéj akt trzeci, mający fatalność wszystkich prawie ostatnich aktów, że nie dotrzymuje tego, co pierwszy obiecywał i słabszym jest od poprzednich.

Właściwsze miejsce dla „Księcia pana“ byłoby na scenie Teatru Małego nie na deskach Rozmaitości, byłby się tam znalazł w odpowiedniejszéj dla siebie atmosferze, w atmosferze farsy i operetki, których berła złączyły się obecnie w reżyserskich rękach p. Śliwińskiego. Ta centralizacya godności i władzy, po ustąpieniu pp. Grubińskiego i Morozowicza, będzie eksperymentem dość ryzykownym, a w każdym razie na jedne siły podwójnego reżysera i pierwszego amanta małéj sceny— odpowiedzialnością zbyt uciążliwą, tém bardziéj, że p. Śliwiński, sprytny i obrotny kierownik lekkiéj komedyi, na kierownika operetki nie posiada najpierwszego warunku — nie jest wcale muzykalnym; skoro wszelako podjął się tych obowiązków, musi w poczuciu swojéj kompetencyi być bardzo umocnionym, — czy słusznie, to się dopiéro pokaże. Tymczasem, jako reżyser komedyi na małéj scenie stara się być ruchliwym, zna swoję publiczność i umié jéj dogadzać. Wystawił w tym roku dwie większe farsy, „Nerwy“ i „Żonę papy“, które okazały się szczęśliwym i trafnym nabytkiem dla repertuaru i kasy Teatru Małego; powiększył szereg jednoaktówek bardzo wdzięczną bluetką z niemieckiego p. t. „W cztéry oczy“, któréj mógłby mu w wyborze p. Tatarkiewicz pozazdrościć, i postarał się o oryginalną drobnostkę na czasie, wyzyskującą dosyć dowcipnie i z pisarską wprawą temat minionéj „Influenzy“.

Jeżeli do powyższych nowości dodamy wznowienie „Snu letniéj nocy“, „Pozytywnych“, „Przed ślubem“, „Barkaroli“ i „Anny Kerviller“, musimy przyznać, iż repertuar obu scen odznaczał się w początku bieżącego roku szczególniejszą ruchliwością i urozmaiceniem, godném uznania.

W personelu komedyi i dramatu na scenie Rozmaitości przybyła nowa siła w p. Frenkielu Mieczysławie, byłym uczniu szkoły dramatycznéj p. Derynga, artyście sceny krakowskiéj z czasów, gdy kierował nią niepospolity szlifierz młodych talentów, Stanisław Koźmian, i sceny lwowskiéj, na któréj zajmował stanowisko cenionego i ulubionego komika. W grze p. Frenkiela znać przedewszystkiém dobrą szkołę i artystyczną miarę, która strzeże go od przesady i nienaturalności; zewnętrzne warunki posiada nader szczęśliwe, odpowiednią powierzchność, ruchliwą fizyonomię, głos podatny do modulacyi, widać, że pracuje sumiennie, obmyśla dobrze swą rolę, chwyta naturę typów odtwarzanych głębiéj i ma niezaprzeczony talent do ról charakterystycznych.

Komizm jego jest w dobrym guście, ale w humorze przydałoby się więcéj temperamentu i tych gorętszych błysków, które rozgrzewają grę artysty zarówno jak i usposobienie publiczności. P. Frenkiel trzyma się złotego środka, unika krańcowości, nie podkreśla, nie naciska, ale nie rozwija całéj siły swego komizmu; wydaje się zawsze, jakby zachowywał pewną rezerwę i nie dopowiadał wszystkiego, coby mogło podnieść efekt jego gry. Być może, że są to skutki zrozumiałego onieśmielenia artysty, któremu przypadło bezpośrednio stanąć na scenie, na któréj królował jeden z największych talentów aktorskich naszego wieku, a po którym pozostała tradycya genialnego komizmu, nastręczająca nieustanne porównania.

Żółkowski jest i pozostanie, aż do ukazania się nowego fenomenu w dziedzinie dramatycznéj sztuki, niezastąpionym wyjątkiem; niepodobna wymagać, aby go zastąpił p. Frenkiel, czy ktokolwiek z nowego pokolenia artystów, niepodobna téj saméj miary przykładać do talentu i do gry z konieczności niższéj, ale względnie do potrzeb sceny oceniać pożytek, jaki nowa siła dać może.

A z tego punktu widzenia p. Frenkiel wydaje się nabytkiem nader korzystnym w personelu męskim komedyi, byle nie przeceniano jego zadań i nie stawiano mu zbyt wygórowanych wymogów.

Na zakończenie zanotować wypada wysoce interesujący debiut młodéj aspirantki do sceny p. Heleny Zimajerówny, która jako Marta de Moisand w „Myszce“ Paillerona sprawiła prawdziwą niespo-

dziankę publiczności i krytyce; natura artystyczna, choć przy odmiennéj indywidualności i odmiennym rodzaju talentu, odziedziczona po matce, kwalifikuje pannę Z. stanowczo do zawodu dramatycznego, a scena warszawska, nie uboga wprawdzie w talenta kobiéce, powinna jednak liczyć się z przyszłością i wykształcać dla siebie zastęp świéżych sił, któreby nosiły w sobie najważniejszy czynnik rozwoju przy wrodzonych zdolnościach: młodość i szczery, nie przygaszony jeszcze zapał do sztuki.

M. Gawalewicz.





WSPOMNIENIE

O OTTONIE HAUSNERZE.

Z szczupłego szeregu wybitnych postaci, widocznych na arenie życia publicznego w Galicyi, ubyła świéżo postać, któréj miejsce długo pozostanie opróżnionéм. Ze śmiercią Ottona Hausnera zabrakło tam człowieka, wyjątkowo wyposażonego zaletami charakteru i umysłu, stwarzającemi słynnych w dziejach parlamentaryzmu bojowników, a umiejącego używać tych darów wówczas tylko, gdy silne przekonanie i wiara w słuszność sprawy, któréj bronił, wiodły go do walki.

Niejeden z głośnych w Europie mężów stanu mógłby pozazdrościć zmarłemu rzadkiego doboru przymiotów, łączących się w nim harmonijnie i usposabiających go do zabłyśnięcia na tém polu, na którém danéм mu było działać. Wyrobione zdanie, oparte na gorącém uczuciu, wszechstronnéj wiedzy i niezachwianych zasadach etycznych, szło u niego w parze z niezwykłą obywatelską odwagą, która, wśród trudnych warunków, dawała mu dosyć siły do stawienia czoła przeciwnikom. Wielka znajomość serc ludzkich, połączona z niewzruszoną wiarą, iż występuje w obronie sprawiedliwości, dawała mu możność nietylko przedstawienia każdéj sprawy w sposób ponętny dla estetycznego poczucia słuchaczów, lecz zarazem oświetlenia tych właśnie jéj stron, które nęciły ku niéj wahających się jeszcze, a wzbudzały dla niéj sympatye w oziębłych. Hausner umiał mówić tak, iż nieraz przeciwnicy jego stronnictwa, ulegając urokowi téj niepospolitéj wymowy, pod wpływem słów jego żałowali chwilowo, że stanowisko polityczne nie pozwala im walczyć w obronie przekonań, w których on czerpał tyle krasomówczéj siły i tyle szlachetnego zapału. Te przemijające porywy uniesienia w nieprzyjacielskim obozie, należą niezawodnie do najrzadszych w życiu parlamentarném objawów.

Jeżeli Otton Hausner słynął w szerokich kołach jako mówca, nie wielu liczący współzawodników, jeżeli mimo licznych rysów wyróżniających tę szlachetną postać, w pamięci społeczeństwa żyć będzie głównie pamięć o jego krasomówczym talencie, to złożyła się na to obok wewnętrznéj wartości jego mów, niezwykle piękna zewnętrzna ich szata. Krewki temperament, który go unosił w miarę, jak nowe myśli cisnęły się z pod wyniosłego czoła, ożywiał salę obrad, a zapał mówcy udzielał się zwolna słuchaczom. Błyski prawdziwéj intuicyi oratorskiéj nasuwały mu co chwila w ciągu mowy niespodziewaną odpowiedź na argumenta strony przeciwnéj; otaczające go grono czuło, że arcydzieło krasomówcze powstaje dopiéro w umyśle mówiącego. Wrodzone poczucie piękna nie opuszczało go przytém nigdy i dozwalało mu zawsze zamknąć natłok coraz świéższych pomysłów w ramach artystycznéj całości, a niezwykła znajomość języka, którym musiał przemawiać do obcego otoczenia, sprawiała, że każde jego przemówienie, o ile zapowiedziane było naprzód, wabiło na galeryą parlamentu licznych słuchaczy, których nieraz wiodły tam nie polityczne pobudki, lecz chęć usłyszenia jednego z mistrzów wymowy.

Charakterystycznym rysem w życiu Hausnera było to nagłe zabłyśnięcie niepospolitych darów przyrody w człowieku, który poprzednio jakkolwiek znany i ceniony przez bliższe otoczenie, nie zajmował pierwszorzędnego stanowiska między rówiennikami i dopiéro gdy szron przypruszył mu skronie, sięgnął śmiałą ręką po wawrzyny. Przebiegając myślą młode jego lata, widzimy ciągłe wahanie się w wyborze zawodu, przerzucanie się z jednego w drugi. Możnaby mniemać, że niepokój trapiący wówczas młodzieńca i zniewalający go do szukania coraz nowych dróg, ucichnął dopiéro wówczas, gdy dojrzały mąż znalazł nareszcie właściwe dla siebie pole, na którém śmierć przedwczesna go zastała.

Młode lata zmarłego upłynęły w smutnéj i ponuréj dobie. Kraj, w którym ujrzał światło dzienne, wydany na pastwę germanizacyi, zalany tłumem przybyszów, obławiających się kosztem społeczeństwa, żył dogasającém życiem, które tliło na dnie pod powłoką niemczyzny, i zrzadka bladym wydobywało się na wierzch płomykiem. Tém butniéj rozpościérały się na wyżynach: hulaszczość, ciemnota i samolubstwo, opancerzone niespożytą zbroją przesądów. Takiém było społeczeństwo, w które wstępował młodzieniec obcego pochodzenia, obce noszący nazwisko, którego dzieciństwo zbiegło w rodzinném mieście, w Brodach, silnéj warowni germanizmu, i w którego umyśle jedynie szlachetne zasady wszczepiane przez kochającą kraj matkę, równoważyły wpływ otoczenia, obcego społeczeństwu i krajowi. Znaczny ma-

jątek i wielkie towarzyskie zalety wiodły go po dojściu do lat młodzieńczych w wesoły, lekki, bezmyślny i próżniaczy świat salonów lwowskich. Wskrzeszając przed oczyma wyobraźni wrażenia, któremi przyszły polityk poił się wówczas, mimowoli zadać sobie trzeba pytanie, jakie pobudki wyrwały go z otoczenia cudzoziemców, którzy piastując godności i urzędy, mogli mu świetną zapewnić karyerę, jakie względy nie dały mu utonąć w świecie bezmyślnego użycia, i jakie uczucia nęciły go do kół, w których przechowywało się inne życie, nie stłumione jeszcze doszczętnie niemieckim zalewem? Wiodły go tam te same zasady, które tkwiąc silnie w duszy młodzieńczéj, nie opuściły go do śmierci. Wiodła go nienawiść do ucisku germańskiego. W owych kołach zasiłał on się ożywczém tchnieniem życia umysłowego, które przedzierało się zwolna od zagranicznych ognisk oświaty. Tam staliły się przekonania późniejszego męża stanu, mającego w tyle lat późniéj wybuchnąć wyrazem oburzenia na widok krwawego pochodu wojsk austryackich wgłąb bośniackiéj krainy, lub téż skrystalizować się w uczoną rozprawę o moralnym stanie narodu niemieckiego, opierającego swą świetność na potędze bagnetów.

I w latach męskich nie przestał Hausner szukać nowych dróg dla rozwinięcia zdolności, które dotychczas podziwiali tylko najbliżsi. Osiadłszy po ożenieniu na wsi, przekonał się wkrótce, że rolnictwo nie jest właściwém jego przeznaczeniem. To téż zajęcia gospodarskie przerywa mu praca naukowa. Owocem jéj było większe dzieło z dziedziny statystyki wydane w języku niemieckim i ogłoszona po angielsku praca chronologiczna, zawierająca spis wszystkich bitew w dziejach ludzkości. Piérwsza z tych prac, przynosząca zaszczyt rolnikowi, który umiał znaleść wolną chwilę dla poważnych studyów, znalazła życzliwą ocenę piór fachowych.

Silne wstrząśnienia, jakim monarchia austryacko-węgierska uległa podczas okupacyi dwóch prowincyi tureckich, wyrwały Hausnera z nawpół bezczynnego życia i pchnęły go na drogę do mównicy parlamentarnéj nad Dunajem. Polityka Andrassego, na razie zagadkowa i tajemnicza, a przytém wymagająca ciężkich ofiar pieniężnych i chojnéj daniny krwi, wywołała silną opozycyą. Większość rady państwa, złożona wówczas z niemieckich centralistów, była jéj zasadniczo przeciwna. Na Węgrzech natrafiała ona również na silny opór. W Galicyi zdania były podzielone. Większość koła polskiego w radzie państwa, nie żywiąc na dnie duszy wielkich dla ministra sympatyi, popierała go w przewidywaniu, iż wzmocni przez to swe stanowisko w sprawach wewnętrznych. Mniejszość pragnęła połączenia się z opozycyą.

Rozterki panujące w gronie posłów przeniosły się z Wiednia do kraju. Obie strony starały się o pozyskanie umysłów, o każde opróżnione miejsce w parlamencie toczyła się zawzięta walka. Wówczas to obywatelstwo okręgu samborskiego, popierające gorliwie sprawę mniejszości, wysłało do Wiednia, jako swego posła, Ottona Hausnera.

Zasadnicze różnice między opinią koła polskiego a szczupłém gronem żarliwych przeciwników polityki zaborczéj, zakończyły się głośną w swoim czasie secesyą, a podczas gdy posłowie galicyjscy wiedli tę wojnę domową, hr. Andrassy krok po kroku zbliżał się do celu. Dzięki zawikłanemu mechanizmowi konstytucyi austryackiéj, uzyskał on poparcie delegacyi wspólnych, mimo oporu w parlamentach. Kongres berliński spełnił przeważną część jego życzeń. Kampania bośniacka i zdobycie Serajewa były uwieńczeniem dzieła. Zdawało się, że cała opozycya mniejszości koła polskiego przebrzmi bez echa; o trzech secesyonistach zapomniano niemal zupełnie w szerszych kołach politycznych.

Takie było położenie, gdy w listopadzie 1878 r. posłowie niemieccy wnieśli w radzie państwa projekt adresu, zawierającego surową naganę dla ninistra spraw zagranicznych. Adres, popierany przez całą prawie lewicę, miał zapewnioną większość; wnioskodawcy nie umieli się jednak zdobyć na dostateczny zasób przekonywających argumentów. Krępował ich wzgląd na dynastyą, krępowało ich przekonanie, że myśl o rozszerzeniu granic państwa była ulubioném marzeniem monarchy. Brak odwagi osłabiał ich wywody, gdy nagle na krawędzi ław polskich podniosła się postać nieznanego dotychczas mówcy. Wśród ogólnego zaciekawienia zaczął mówić Otton Hausner.

Trudno dobrać wyrazów dla opisania entuzyazmu, wywołanego tą mową. Zwolennicy adresu usłyszeli z ust jego to, czego sami wypowiedzieć nie śmieli. Członkowie koła polskiego, podzielający jego poglądy, a węzłami karności klubowéj przykuci do polityki rządu, nie szczędzili mu cichych objawów uznania. Nazwisko Hausnera obiegło w ciągu kilku dni wszystkie zakątki kontynentu. Powodzenie było zupełne.

Oznaki uwielbienia, które mówca odbierał z różnych stron kraju, nie zmieniły w niczém nienaturalnego położenia, w jakiém pozostawał względem posłów z téj saméj prowincyi, z którymi mimo wszelkich różnic, więcéj łączyło go skrytych ogniw, niż z centralistyczną lewicą. W parę miesięcy po pierwszéj, wygłosił Hausner drugą mowę w któréj nie potrafił uniknąć polemiki z członkami koła polskiego. Niezadowolenie wywołane tą mową, nawet w gronie bliskich jego przyjaciół, prze-

konało go, że na stanowisku, które zajął, nie może pozostawać przez całe lata.

Zmiana stosunków wewnętrznych w Austryi, ułatwiła mu powrót do koła polskiego. Gabinet ks. Auersperga uległ w ciągu kilku miesięcy zupełnemu przeobrażeniu. Hr. Taafe, który wszedł do niego zrazu jako minister spraw wewnętrznych, stanął wkrótce na czele rządu. Wybory do rady państwa zmieniły zupełnie stosunek między stronnictwami i zapewniły większość autonomistom. Sprawa okupacyi Bośnii należała już niemal do historyi; hr. Andrassy dokonawszy dzieła, ustąpił miejsca p. Haymerlemu. Wszystkie te zmiany sprawiły, iż Hausner w następnéj sesyi zaciągnął się znowu w szeregi członków koła polskiego, gdzie liczni wielbiciele jego talentu powitali go z zapałem.

Odtąd był on prawdziwą chlubą i podporą stronnictwa autonomistów. Niezrównanemi były jego mowy podczas rozpraw budżetowych. Umiejąc zawsze wznieść się na wyższe stanowisko, umiejąc poruszyć w słuchaczach ogólno ludzkie uczucia, karcił on bez litości plemienny egoizm i zaborcze instynkta, cechujące partyą centralistów austryackich, przeciwstawiając tym poziomym motywom etyczną wartość stronnictw, zdobywających prawa i swobody dla szczepów słowiańskich, zamieszkałych w granicach Austryi.

Z owéj epoki jego życia, pochodzą dwie drobne prace naukowo-literackie. Jedna z nich jest szkicem do niewygłoszonego nigdy odczytu o nędzy ludzkiéj; w drugiéj rozwinął swe poglądy na wewnętrzne stosunki Niemiec w dobie współczesnego cezaryzmu.

Choroba i ciężkie ciosy rodzinne, zatruwały Hausnerowi ostatnie lata. Pociechą było mu zamiłowanie w sztuce, którą kochał prawdziwie. Większą pracę z dziedziny krytyki artystycznéj wydał przed dziesięciu laty w języku francuskim; mniejsze ogłaszał od czasu do czasu w pismach galicyjskich.

Koło posłów polskich traci w zmarłym nietylko znakomitego mówcę, nietylko człowieka nieposzlakowanego charakteru, traci ono w nim coś więcéj. Ze śmiercią Hausnera ubywa posłom polskim towarzysz, którego idealne poglądy na świat i ludzkość, rzucały pewien odblask na całe to grono; ubywa rycerz dobréj sprawy, którego czcili i szanowali nietylko swoi, lecz i postronni.

T. Smarzewski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



„Statystyczno-ekonomiczne studya o drogach żelaznych“ Leona Paszkowskiego. T. I, str. 437 in 8-vo. Wiedeń, 1889.

Przed kilku miesiącami wyszło w Wiedniu o kolejach żelaznych dzieło, którego może nam pozazdrościć literatura niemiecka, wypełniająca wciąż wszelkie możliwe luki działów naukowych. Tym razem chyba tylko dzieło Sachsa przedstawia cóś analogicznego dziełu p. Leona Paszkowskiego „Statystyczno-ekonomiczne studya o drogach żelaznych w związku z rozwojem ekonomicznym“. Ma ono tę niezaprzeczoną wyższość, że powstało z najnowszych danych statystycznych całego świata, które w ostatnich leciech zmieniły się tak znacznie.

Książkę tę uważać należy za jeden z dodatnich objawów, dowodzących przebudzenia się naszego z apatyi ekonomicznéj. Autor przedewszystkiém ma na widoku Galicyą, krainę ze wszystkich europejskich najbardziéj oddaloną od morza, téj głównéj tętnicy komunikacyjnéj i tworzącą sobie obecnie drogi handlowe w poprzek naturalnego biegu rzek. Rzut oka na mapę poucza, że dla Galicyi chyba najżywotniejszą z żywotnych jest kwestya komunikacyi, zwłaszcza kolejowych.

Aby sobie utworzyć sąd w obecnych czasach o ogromnych przemianach w stosunkach ekonomicznych, aby ocenić trafnie stan ekonomiczny jakiegobądź kraju, należy bezwarunkowo używać częstych porównań z analogicznemi stosunkami gdzieindziéj. Wtedy tylko ma się właściwą miarą porównawczą postępu lub zacofania; to ostatnie istnieje już wtedy, kiedy inne kraje szybciéj postąpiły. Ponieważ zaś stanowimy cząstkę świata cywilizowanego, nasz rozwój ekonomiczny, a szczególniéj kolejowy (np. w Galicyi) winien być dla trafnéj oceny po-

równywany nietylko z takimże rozwojem innych części państwa, w którego skład wchodzimy, lecz samegoż państwa odnośne stosunki winny być zestawione z podobnemiż stosunkami, gdziebądź one istnieją w świecie. Wobec pary i elektryczności, wszystko niemal sąsiaduje i jedno z drugiém powiązane jest ekonomicznie. Porównawczych zestawień wielce ciekawych jest téż bez liku w omawianéj obecnie książce p. Paszkowskiego. Najszczegółowiéj rozpatrywane są stosunki kolejowe i ekonomiczne w Austryi, Węgrzech i Niemczech. Ten ostatni kraj uchodzi za wzór pod każdym względem, tak dla doskonałości wszelkich urządzeń, jak dla znakomicie prowadzonéj o nich statystyki urzędowéj, oraz sąsiedztwa i analogicznych stosunków z austryacko-węgierskiemi. Galicya wciąż jest najszczegółowiéj omawianą w każdym kierunku kolejowym i ekonomicznym.

Rozdział I-szy zawiéra porównanie między olbrzymim rozwojem ekonomicznym świata w ostatnich czasach, a również potężnym kolei żelaznych, o ile sięga statystyka. Z interesujących zestawień widać, jak silnie te dwa czynniki wpływają jeden na drugi, i jak téż opada stopa procentowa w miarę rozwoju ekonomicznego. (Autor bierze w tym razie za miarę kursa rent państwowych).

Rozdział II-gi zajmuje się szczegółowiéj Austryą, Węgrami, a najszczegółowiéj Galicyą. Postęp ekonomiczny i rozwój dróg żelaznych od 1867 r. omawiane są w związku z podniesieniem się produkcyi, wywozu i przywozu, wzrostu siły podatkowéj, kredytu, kapitałów i t. d. W tym obrazie zadziwiają ogromne postępy Węgier, znacznie mniejsza stosunkowo pomyślność ekonomiczna Austryi, a najmniejsza niestety Galicyi. Jaśnieją w nim skutki mądréj polityki węgierskiéj, przypominającéj wielką akcyą ekonomiczną podjętą kiedyś u nas przez Mostowskich i Lubeckich. Szczególniéj zasługuje tu na uwagę ustawa 44-ta węgierska z 1881 r. Wedle niéj, każda powstająca fabryka, która wytwarza nie produkowane dotąd w Węgrzech wyroby, oraz każdy zakład przemysłowy zaprowadzający (określone prawem w 49 punktach wszelkie możliwe) postępy techniczne, uwolnione są na lat 15, t. j. do 1895 r., od wszelkich podatków, dodatków do podatku, stempli i t. p. Obecnie przedłożył rząd węgierski nowelę do téj ustawy, idącą jeszcze daléj. Prawodawstwo takie jaskrawo się przedstawia obok austryackiego, tak utrudniającego, zwłaszcza w Galicyi, wszelkie początki przemysłu. Dzienniki wiedeńskie, omawiające tę nowelę, wspominały o niéj jakby o rzeczy zupełnie nowéj, tak jakby nie było już bardzo widocznych skutków ustawy z 1881 r. i jak gdyby przemysł austryacki nie otrzymał żadnych głębokich ran w téj walce konkurencyjnéj z Węgrami.

Autor, opiérając się na wymowie cyfr, porównywa produkcyę węgierską z galicyjską; pierwsza przed rokiem 1867 stała bezwarunkowo niżéj od drugiéj. Od tego czasu jednak całkiem naodwrót zmienił się ten stosunek, nawet pod względem produkcyi ziarna z hektara. W Galicyi pozostały plony zupełnie na tym samym stopniu, kiedy w Węgrzech z hektara wytwarzają się o ogromne odsetki więcéj, niż przed 22 laty, np. pszenicy o 170%, buraków pastewnych o 260% i t. d. Przez to o tyleż odsetek zacofaną jest Galicya wobec Węgier. Ekonomiczny postęp krajów korony Ś-go Stefana, uwydatniający się też i w powstawaniu licznych fabryk, w możności zaprowadzania gospodarstwa intensywniejszego, uprawiania leżących dotąd odłogiem pól i t. p., spowodowany został głównie przez koleje. Wzrost tychże tak absolutnie, jak stosunkowo, większy już jest obecnie w Węgrzech, niż w Austryi. Im więcéj sieć dróg żelaznych węgierskich się rozszerza i upaństwawia, tém skuteczniéj i bezwzględniéj Węgrzy podnoszą swoją produkcyą za pomocą jednolitéj i przebiegle przeprowadzanéj polityki taryfowéj.

Jaką wagę miałaby dla Austryi produkcya rolnicza Galicyi, gdyby stosowana była do niéj polityka węgierska, widnieje z tego, że stosunek ziemi produkcyjnéj do całego obszaru korzystniejszy jest w Galicyi, niż w reszcie Austryi a nawet w Węgrzech: Galicya zawiéra trzecią część produkcyjnéj ziemi całéj Przedlitawii (8,322,429 mórg, wobec 24,911,072 mórg całéj Austryi), kiedy cały obszar Galicyi stanowi ¼ część obszaru całéj Przedlitawii (t. j. 13,640,639 mórg wobec 52,136,063 mórg wszystkich krajów koronnych austryackich). Daleko większe znaczenie ekonomiczne dla Austryi miałaby Galicya, gdyby jéj wciąż nie żałowano wkładów i gdyby się doczekała stosownego rozwoju komunikacyi.

Rozdział III-ci specyalnie objaśnia już tylko sprawy kolejowe; autor dowodzi, że stanowi on część informacyjną jego dzieła. Zbyt skromna to ocena tak doniosłych i głęboko sięgających w istotę spraw kolejowych, rozjaśnień, których dotąd nikt nie dokonał. Zawiłe ścieżki urzędowéj statystyki austryackiéj w téj mierze rozświeca autor za pomocą przeróbki mylnie i buchalteryjnie tylko podanych cyfr w sprawozdaniach kolei państwowych i prywatnych. Oblicza on ruch przewozowy dróg żelaznych, ich kapitały, dochody i czyste zyski w różnych krajach, następnie w Niemczech, które podaje na wzór, potém w Austryi i Węgrzech, a w osobnéj części rozdziału omawia nawet szczegółowo każdą niemal kolej galicyjską. W tym obrazie, niestety, widać raczéj to, co mogłoby się było dokonać, niż to, co się dokonało. Świetne są tam argumentacye w nawoływaniu społeczeństwa galicyjskiego

do większéj samodzielności, do większego polegania na własnych siłach, a mniéj pilnego wyglądania pomocy od rządu wiedeńskiego i wiedeńskich kapitalistów. Dowcipne i za szczyt mądrości politycznéj uchodzące wyczekiwanie, aż obce czynniki zmuszone zostaną czy to pobudować koleje strategiczne, czy też uzupełnić istniejące odnogi z pobudek własnego interesu kapitalistycznego, autor piętnuje mianem fałszywego rachunku, bo na miliony i setki milionów oblicza *lucrum cessans* Galicyi, z powodu zaniechania budowy przez kilka lat, np. przez te 10, zanim jéj nie podjęło państwo na własną rękę. W ostatnich 5 latach przybyło z 1,000 kilometrów kolei; budowa ich kosztowała 52 miliony złr. Dla Galicyi wykwita z nich roczny zysk bezpośredni 30 milionów złr. mniéj więcéj. Autor go oblicza, biorąc zwyżkę całego ruchu obecnego w tonnokilometrach i osobokilometrach (zwyżka ta przedstawia ruch nowy, nowemi kolejami spowodowany) i porównywując ją z tém coby przewóz tychże samych osób i towarów kosztował, gdyby uskuteczniony został końmi. Ruch w 1887 i 1888 r. wynosił 150,000,000 tonnokilometrów; przewóz tonny na kilometr kosztował 2.31 centów; końmi zaś kosztowałby przeciętnie najmniéj 16 centów; różnica 13 przeszło centów stanowi sumę 25 do 30 milionów złr. Są to tylko bezpośrednie korzyści; pośrednie, jak wzrost dochodów producentów, ułatwiony kredyt, wygoda, oszczczędność czasu i t. p. nie dadzą się obliczyć ściśle, lecz wynoszą pewnie co najmniéj drugie tyle.

Dopiéro co streszczona ocena stosunków galicyjskich, poprzedzona jest porównaniem stosunków kolejowych austryackich z węgierskiemi, a również jednych i drugich z „pierwowzorem“: t. j. z niemieckiemi.

Wszystkie obliczenia i porównania zrobione są w tonnokilometrach i osobokilometrach [1]) (lub osobo- i tonnomilach, albo osobo- i pudowiorstach i t. p.).

Autor ocenia kapitały zakładowe, czyste zyski lub straty kolei niemieckich, austryackich i węgierskich nietylko finansowo i buchalteryjnie, lecz głównie ekonomicznie, t. j. stosunkowo do ruchu osobowego i towarowego. Niepodobna mi tu nawet streścić tych 150 stronic, wypełnionych przeważnie zestawionemi mozolnie tablicami, w których autor porównywa kapitały, dochody, rozchody, czyste zyski kolei prywatnych, subwencyonowanych lub poręczonych przez państwo, zostających w zarządzie państwowym i całkiem państwowych w Austryi, Węgrzech i Niemczech. Przejście w zarząd państwowy znaczy wszę-

---

[1]) Jestto jedyna prawdziwa miara ruchu kolejowego, używana w statystyce. Osobo- i tonnokilometry są to iloczyny, które powstają przez pomnożenie ilości przewiezionych osób i tonn przez liczbę przebieżonych przez nie kilometrów.

dzie wielkie obniżenie taryf, które wpływa i na taryfy kolei prywatnych; te bowiem zmuszone są też wtedy do podobnych obniżek. Zniżenie taryf tém mniéj się przyczynia do obniżania czystych zysków kolei, im więcéj jest warunków rozwoju ekonomicznego w jakim kraju. W Niemczech niższe taryfy spowodowały większy ruch i przez to większe dochody dróg żelaznych; w zaniedbanéj systematycznie i przez to popadłéj w ciężką martwotę ekonomiczną Galicyi, obniżka taryf zmniejszyła dochody kolejowe. Nikt, podobno, dotąd nie pokusił się o takie porównania, zwłaszcza między drogami żelaznemi austryackiemi a węgierskiemi. Nad wyraz cenne wskazówki tam znaleźliby mężowie stanu, nie wyłączajac fachowych ministrów komunikacyi i finansów, gdyby raczyli się zniżyć do ich przeczytania i studyowania.

Przy omawianiu rentowności dróg żelaznych austryackich i węgierskich i wpływu, jaki na nią wywiera zmienny kurs waluty austryackiéj wobec wielkiéj liczby kolejowych obligów w złocie, autor oblicza korzyści, jakie wypadłyby dla kapitalistów kolejowych z uregulowania téj waluty. Porobione tam są głębokie i doniosłe uwagi o chwilowych i stałych korzyściach z zaprowadzenia waluty złotéj, która przy reformie téj jedynie byłaby obecnie możliwa, gdyż podwójna waluta dotąd w teoryi tylko jest za zbawienną uważana. Wykazane tam jest, coby zyskał skarb państwa i zasobne w kapitały kraje koronne przemysłowe, lecz też na jakie niebezpieczeństwa bezpośrednie, lecz późniejsze, narażone byłyby rolnictwo i przeważnie rolnicze jeszcze dotąd kraje, jak Galicya i Węgry. Szczególnie groźną wydaje się być dla rolnictwa przewaga, jakiéjby nabrała spotęgowana siła zakupcza kapitału, gdyby przez przyczynienie się ze strony państw o walucie papiérowéj lub srebrnéj, złoto w dziedzinie waluty zapanowało monopolistycznie nad srebrem, na całym rynku światowym i ogólne przez to sprowadziło obniżenie wszelkich wartości.

Cały rozdział IV-ty wypełniony jest będącą obecnie na porządku dziennym sprawą kolei państwowych i ich upaństwowienia. Po pięknym wstępie o państwie nowoczesném i wciąż rosnących jego zadaniach, autor obszernie traktuje o przyczynach, które spowodowały upaństwowienia dróg żelaznych na wielką skalę w znacznéj części Europy. Początek temu ruchowi nadały nie tyle względy na dobro ekonomiczne ogółu lub nawet na korzyść skarbu państwowego, ile nieprzeparte i nieuniknione dążenie powszechne w Europie do wzmocnienia siły państwowéj na wewnątrz i zewnątrz. Hasło wyszło od żelaznego kanclerza: w Niemczech jaknajenergiczniéj zmierzano do upaństwowienia kolei wtedy, kiedy jeszcze nawet w świecie naukowym niemieckim nie miano pojęcia o korzyściach, jakie się obecnie z biegiem czasu oka-

zały ponad wszelkie oczekiwania. Autor omawia koleje niemieckie w każdém poszczególném państwie Rzeszy; są one obok belgijskich najwzorowiéj zarządzane. Wykazane są w szeregu tablic ich kapitały, wydatki, dochody i czyste zyski z odnośnemi porównawczemi zestawieniami cyfr absolutnych i stosunkowych. Skarb pruski ma czyste zyski z własnych kolei państwowych tak wielkie (przy najniższych równocześnie taryfach), że oprócz oprocentowania i amortyzacyi zakładowych kapitałów pobiéra bardzo znaczne miliony z tego źródła, np. w 1883/4 roku 35,880,220 marek, a w 1887/8 r. 108,992,265 marek.

Mnóstwo szczegółów i przyczyn najrozmaitszych składa się na ten świetny rezultat, między innemi jednolity zarząd: istnieje bowiem w Prusach tylko 11 dyrekcyi na 23,000 kilometrów kolei państwowych, a jest nie więcéj niż 20 dyrekcyi na całe 35,000 kilometrów wszystkich niemieckich kolei państwowych, kiedy 4,669 kilometrów prywatych dróg żelaznych stanowi 60 samoistnych towarzystw, a więc i tyleż zarządów. Na 100 kilometrów było w Prusach:

1880/1 r.	96	urzędników w zarządzie ogólnym, a	231	techników
1887/8 r.	41	„ „ „	80	„
1880/1 r.	420	urzędników w zarządzie ruchu, a	260	w zarządzie pociągów
1887/8 r.	370	„ „ „	250	„ „

Olbrzymi wzrost ruchu potrzebował tylko odpowiedniego zwiększenia liczby urzędników najniższéj kategoryi, t. j. robotników. Wielką oszczędnością okazało się lepsze użycie materyału kolejowego, np. unikanie powracania wagonów pustych i sam fakt powiększonego ruchu; niskie taryfy były tego przyczyną i skutkiem.

Austryackie koleje państwowe dają pozornie małe finansowe rezultaty. Nie mniéj jednak, jeżeli się obliczy, jak to czyni autor bardzo szczegółowo, koszta dróg państwowych i prywatnych w stosunku do różnego na nich ruchu przewozowego, porównanie wypada na korzyść pierwszych. Uderzający jest wynik tych rachunków. W Przedlitawii koleje prywatne zostające pod własnym zarządem, chociaż mają na kilometr o 50.48% większy ruch przewozowy niż koleje państwowe i prywatne w państwowym zarządzie będące, a przeto cieszą się okolicznością, obniżającą zwykle koszta, niemniéj jednak mają je o 5% wyższe na przecięciową jednostkę osobo- i tonnokilometra, niż państwowe i przez państwo zarządzane; tak zwane zaś koszta własne (*Selbstkosten*) ogółu tychże okazują się o 30% mniejsze od kosztów własnych ogółu dróg żelaznych państwowych (prywatne zaś wspólne austryacko-węgierskie, chociaż mają na kilometr o 38.09% większy ruch przewozowy, niż państwowe austryackie, mimo to jednak wykazują koszta o niemal 1% wyższe na przecięciową jednostkę osobo-

i tonnokilometra niż one, a koszta własne ogółu państwowych austryackich wypadają o 20% mniejsze nawet od kosztów własnych tychże wspólnych prywatnych dróg żelaznych). Wynik ten jest tém więcéj zdumiewający, że koleje państwowe austryackie mają wyjątkowo wielkie koszta budowy z powodu częstych spadków, wzniesień i krzywizn, co też powiększa koszta ruchu i utrudnia należyte użytkowanie materyału przewozowego.

Wyniki finansowe austryackich kolei państwowych przedstawia autor w następującém świetle. Chociaż zawiadywanie państwowe 1888 r. wypada tylko o 2½ miliona złr. korzystniéj, niż w dawniejszym okresie przed upaństwowieniem tychże samych kolei, to niemniéj uwzględnić trzeba, że zarząd państwowy bardzo znacznie obniżył taryfy, co jest ekonomiczną korzyścią społeczeństwa i że państwo musiałoby było tymże samym kolejom 1881 r. dopłacić 9 milionów więcéj, gdyby wówczas one były obniżyły taryfy tak nisko, jak to zrobiła potém administracya państwowa. Różnica zawiadywania państwowego a prywatnego wyraża się więc w liczbie przeszło 11 milionów złr. na korzyść pierwszego.

Jeżeli pomimo to, oprocentowanie austryackich kolei państwowych przecięciowo niższe jest od państwowych węgierskich, przyczyna tego leży jedynie w szczególném tworzeniu się sieci kolei państwowych w Przedlitawii. Powstaje ona bowiem przeważnie z zakupionych przez państwo dróg finansowo słabych, które potrzebowały „uzdrowienia,“ tudzież z nowo-zbudowanych bardzo ważnych, lecz o bardzo małym ruchu i dotąd prawie wcale nie procentujących się, gdy tymczasem najważniejsze i zyskowniejsze drogi żelazne pozostały w rękach prywatnych. Przeciwnie, w Węgrzech sieć kolei państwowych tworzą właśnie linie o największym ruchu przewozowym: koleje państwowe tamże oprocentowują się więc o wiele wyżéj od prywatnych. Następnie autor podaje szczegółowe uwagi nad kolejami węgierskiemi.

Kraje, w których ujemne strony systemu gwarancyjnego najwięcéj dają się we znaki, są, wedle autora, Francya i Rosya. Wylicza on ogromne ciężary, które wzięły te państwa na siebie z tego powodu. Pomimo wyraźnego skłaniania się autora na stronę upaństwowienia, wątpliwém mu jest, czy całkowite upaństwowienie dróg żelaznych jest możliwe w tak olbrzymiém państwie jak Rosya i przy systemie centralizacyi. Stałoby się pewnie tam to samo, co we Włoszech, gdzie musiano odstąpić od systemu dróg państwowych i gdzie nawet koleje państwowe oddano w zarząd prywatny. Było to skutkiem mnóstwa popełnionych błędów przy zaprowadzeniu tak ważnéj reformy. Dla

Włoch jednak mimo to, upaństwowienie było możliwe i wskazane, gdyby nie popełnione błędy.

Następuje potém przegląd częstych w ostatnich czasach objawów przychylnych idei upaństwowienia; nie brakuje ich nawet w Anglii i Stanach Zjednoczonych, gdzie upaństwowienie najsprzeczniejsze jest z tradycyą, opinią i praktyką publiczną.

W dłuższym ustępie znajdują się wyczerpujące uwagi o systemie dróg żelaznych państwowych, o systemie prywatnych i o mieszanym. Autor dowodzi, że system kolei prywatnych z trudnością odpowiada ekonomicznym potrzebom czasu i przytém o wiele uciążliwszy bywa dla skarbu państwa. Albowiem władza państwowa nad prywatnemi drogami żelaznemi nie może być tak wykonywaną w dziedzinie taryf, jakby tego wymagało dobro publiczne, bo przez takie wykonywanie naruszałaby nabyte prawa prywatne. Praw tych autor wymownie broni i podnosi niesprawiedliwość, jaką się czyni prywatnym drogom żelaznym i wogóle kapitałowi, kiedy im się zarzuca, że niedość uwzględniają potrzeby dobra ogólnego. Kapitał bezwarunkowo musi postępować wedle swych praw naturalnych i nie sposób od niego wymagać, by czynił ofiary i poświęcenia dla społeczeństwa. Jego działanie i tak jest obfite w błogie skutki; wzmaga on bowiem w najwyższym stopniu wytwórczość, podnosi przez to wartość pracy, czyli daje utrzymanie coraz liczniejszym milionom ludzi i sam traci własną swą siłę, w miarę swego rozmnażania się w jakim kraju, co się objawia w spadku stopy procentowéj.

System mieszany téż nie wiele wyżéj ceni autor tak pod względem ekonomicznym, jak finansów państwa. Nie daje on państwu możności prowadzenia trafnéj i zbawiennéj dla ogółu polityki ekonomicznéj, bo i tutaj władza państwowa nad kolejami prywatnemi nie powinna nigdy posuwać się do tego, aby przekraczała granice praw trzecich. W zakresie handlu zagranicznego państwo w taryfach swych dróg żelaznych ma w ręku środki działania dla dobra ogółu czasem potężniejsze, niż cła ochronne. System mieszany może zatém być usprawiedliwiony tylko jako przejściowy, jak to było w Belgii i Niemczech, i jak to zdaje się być w Węgrzech, gdzie już jest 70% kolei żelaznych w posiadaniu państwa i to najważniejszych i rentowniejszych.

Żywotny interes Przedlitawii przemawia za tém, aby i ona wstąpiła w te same ślady, zwłaszcza wobec zaczepnéj i bezwzględnéj polityki ekonomicznéj Węgier; Węgrzy prowadzą istną wojnę ekonomiczną przeciw swéj połowicy państwowéj i posługują się w niéj głównie bronią taryf. Na czele tego ruchu stoi minister handlu, Barosz, stanowczy zwolennik kolei państwowych, dzielny mąż stanu, działający

w powyższym kierunku z pełną świadomością środków i celów. Taryfowa polityka węgierska coraz dotkliwszą staje się dla Austryi. Na przykład. Wedle sprawozdania wiedeńskiéj Izby handlowéj za rok 1888-my olbrzymia rafinerya nafty w Fiume sprzedaje znacznie więcéj, niż połowę swego wyrobu w krajach koronnych austryackich przez to, że za pomocą taryf, wywóz jego z Węgier jest bardzo ułatwiony, z drugiéj zaś strony przywóz nafty z Galicyi do Węgier stanowczo uniemożliwiony. Z wielkiéj fabryki cukru w Szerencz kosztuje sprowadzenie jednego metrycznego centnaru cukru do Wiednia 70 centów, z Ołomuńca do Wiednia 91,3 centów, z Pragi do Wiednia 1 złr. 7 centów, z Szerenczu do Lwowa 1 złr. 47,7 c., z Opawy do Lwowa 2 złr. 39,9 c., z Szerenczu do Fiume 88,8 c., z Pragi do Fiume 1 złr. 93 c. Każdy więcéj w Węgrzech, niż w Austryi, wyprodukowany centnar metryczny znaczy 11 złr. zysku dla skarbu węgierskiego, a tyleż straty dla austryackiego. Podobnież się dzieje z naftą rafinowaną. Węgrzy to, co pozornie tracą przez obniżone taryfy na swych kolejach państwowych, odbiérają w dziesięćkroć inną drogą. Ta walka interesów ekonomicznych obudwu połów monarchii uwydatnia się téż szkodliwie dla Austryi w dziedzinie handlu nietylko wewnętrznego, ale i zagranicznego, zwłaszcza ze Wschodem. Przedlitawia może tylko temi samemi środkami bronić swoich interesów, t. j. za pomocą szerszego upaństwowienia dróg żelaznych i prowadzenia mądréj polityki taryfowéj.

Wedle autora, nieodżałowana jest szkoda, że sprawy kolejowe nie zostały zaliczone w 1867 r. do spraw wspólnych austryacko-węgierskich. Węgrzy-by i w tym razie wyzyskali swą przewagę polityczną, lecz nie mogliby tak bezwzględnie szkodzić interesom ekonomicznym austryackim. Temu złemu możnaby w części zaradzić przez ogólne upaństwowienie kolei w obu połowach monarchii. Wtedy łatwiéj byłoby zobopólnie się porozumiéć w wielu sprawach z dziedziny ekonomicznéj i zaprzestać niezdrowego dla całości monarchii współzawodnictwa. Trudności upaństwowienia są wszakże ogromne i autor ich bynajmniéj nie zataja.

Oprócz samych, istotnie wielkich trudności upaństwowienia kolei, jest także w Austryi inna anomalia odnośnie do wkładów państwowych na drogi żelazne, a to mianowicie, że obligacye prywatnych kolei żelaznych, poręczonych przez państwo, nawet tych, które jedynie w subwencyach państwowych znajdują możność płacenia odsetek, że obligacye te znacznie wyższy mają (w stosunku do swoich procentów) kurs, niż renta austryacka, t. j. renta gwarantującego państwa. Skutkiem tego państwo zmuszone jest uciekać się do takich środków, że kolejom, których upaństwowienie jest wskazane i zamierzone, a na

które potrzebne są nowe wkłady, podwyższa gwarancyą, zamiast je upaństwowić; takim bowiem sposobem zdobywa sobie tańszy kredyt dla tych nakładów (np. kolej I węgiersko-galicyjska, kolej Karola Ludwika, a nawet nowa gwarancya dla nowéj małéj kolei Eisenerz-Vordenberg w Górnéj Austryi).

Oceniając ten I tom dzieła p. Leona Paszkowskiego, unikałem wszelkiéj polemiki, któraby się zresztą rozciągała tylko na poboczne ustępy i zdania, będące w luźnym związku ze sprawami kolejowemi; np. ruch ludności i sprawa emigracyi, uwaga, że w najnowszych czasach charaktery ludzkie zmalały i t. p. Ten I tom mieści w sobie nader cenne dane i rozumowania z faktów najnowszéj daty. Niewątpliwie spożytkują je mężowie stanu i publicyści. Nie dla każdego jednak jest tam wszystko dostępne, trzeba się niejednego uczyć, bo mało kto jest obeznany ze sprawami tam podnoszonemi. Są tam ustępy świetne, pociągające samą treścią, jako téż i wymowną argumentacyą, oraz barwnością stylu. Są zaś inne, co do których można autorowi zarzucić długość i zawiłość zdań, wynikające bardzo widocznie ze zbytniego usiłowania dokładności i jasności w orzeczeniu.

Zapowiedziany tom II-gi mieścić będzie rozdziały: V-ty o taryfach, VI-ty o kwestyi rentowności dróg żelaznych, VII-my o lokalnych drogach żelaznych, VIII-my zadania Galicyi.

Do tego dalszego ciągu dzieła próbka dana w I-ym tomie winna wzbudzić wysokie zajęcie nietylko fachowych ekonomistów naszych. Wszystkim tym, którym chodzi o rozświecenie niejasnych dróg ekonomicznych, na jakie musimy wstąpić pod grozą zacofania i upadku, powinno bardzo zależéć na tém, żeby autor jaknajprędzéj ziścił oczekiwania wywołane przez tom I-szy.

Dr. St. Kłobukowski.

Ernest T. Breiter. Bartosz z Wiszemburga. Kraków, 1889.

Rozniesiono wieść na Zachodzie, że książęta szląscy, synowie wygnanego Piastowicza, Władysława II-go, z chęcią przyjmują na swe dwory szlachtę niemiecką, do urzędów i zaszczytów podnoszą, bogate lenna nadają i t. p., nie dziw, że Niemcy zaczęli licznie na Szląsk napływać i wcale nieźle im się tutaj działo. Wśród tych przybyszów znalazł się i ród Wiszemburgów, być może aż z Alzacyi pochodzący, który na Szląsku doszedł do wielkiego znaczenia. Jeden z Wiszemburgów, Pilgerim, zginął w obronie pana swego, księcia Henryka Brodatego; wzmogło się przez to znaczenie rodu, ale nie słyszymy już odtąd nic o nadzwyczajnych zasługach Wiszemburgów na Szląsku. Następnie Wiszemburgowie poraz drugi zmienili ojczyznę, bo przenieśli

się ze Szląska do Czech i Polski. Czy i ile wiodło im się w Czechach— nie wiemy, natomiast niemałą rolę odegrali oni w XIV-ym wieku w Wielkopolsce, gdzie się osiedlili. Prędko spotężniał ten ród na naszéj ziemi: przybył za Łokietka, a już za Kazimierza Wielkiego jeden z Wiszemburgów wielkopolskich, Maćko Borkowicz, był na tyle potężny, że odważył się podnieść rokosz przeciw możnemu królowi chłopków. Inny Wiszemburg, Bartosz z Odolanowa, zasłynął w dziejach jako jeden z najwybitniejszych przywódców szlachty wielkopolskiéj w drugiéj połowie XIV-go wieku. Życiorys tego Bartosza skreślił w osobnéj rozprawie p. Ernest T. Breiter i przyczynił się przez to do rozjaśnienia wewnętrznych dziejów Wielkopolski za rządów Ludwika d'Anjou i Jadwigi. Skrupulatnie pozbierał autor wiadomości źródłowe, zestawił je, nie potrafił jednak dostatecznie nad tym materyałem zapanować, dlatego też praca jego nigdzie nie wyjrzała poza ciasne granice suchéj biografii, jakkolwiek miała ku temu wdzięczne i obszerne pole przy opisie walki Grzymalitów z Nałęczami. Ciekawa ta pod wielu względami wojna domowa, w któréj wielki brał udział Odolanowski Bartosz, występuje w rozprawie p. Breitera blado; prawie zupełnie nie wychodzi autor poza suche zestawienie faktów, a przecież byłoto obowiązkiem biografa Bartosza z Odolanowa, sięgnąć głęboko w tym razie w *meritum* rzeczy i pouczyć nas o przyczynach téj wojny, ażebyśmy mogli poznać motywa najważniejszéj działalności Bartosza i na téj podstawie ocenić jego charakter. Tyle się dowiadujemy z rozprawy p. Breitera, że szlachta wielkopolska stanowiła stronnictwo konserwatywno-narodowe, w przeciwieństwie do Grzymalitów i Małopolan, trzymających się polityki utylitarnéj. Wynikałoby z tego, że większość wielkopolskiéj szlachty należała do stronnictwa, które nie uznawało polityki utylitarnéj, ale walczyło nie wiedziéć po co pod hasłem narodowego konserwatyzmu.

Licznie rozrodzona szlachta wielkopolska zadowolona była zupełnie z tego, jeżeli mogła spokojnie zarabiać na chléb na własnej glebie; tudzież zbywać i nabywać towary na własnych rynkach; przeciwnie, bogata mniejszość Wielkopolan, tudzież wielmoże małopolscy posiadali potrzebne kapitały na kolonizacyą ziem ruskich i handel zewnętrzny; nie dziw, że pierwsi nie chcieli ani na krok odstąpić od pojęcia Polski piastowskiéj Łokietka i Kazimierza W-go, bo ta zapewniała im względny dobrobyt i znaczny wpływ na rządy, drudzy naodwrót z chęcią łączyli się z Węgrami, Rusią i Litwą w celach kolonizacyjnych i handlowych. Piastowska Polska ubezpieczała Wielkopolan od zagranicznéj konkurencyi i dawała im liczebną przewagę w rządzie; Polska połączona z Węgrami i Rusią, lub lepiéj

jeszcze z Litwą i Rusią, przynosiła ogromne korzyści „wielmożom“ małopolskim, bo pomnażała ich majątki i liczbę. Z drobną szlachtą wielkopolską miało identyczne interesa polskie mieszczaństwo o tyle, o ile powiązane było w cechy, które nie znosiły konkurencyi handlu zewnętrznego. Naodwrót—mieszczanie nie powiązani w cechy, a więc wolni kupcy, mieli te same interesy co wielmoże małopolscy, bo przez rozległy handel zewnętrzny zabijali konkurencyą mieszczaństwo cechowe. Miasta wielkopolskie nie należały do miast handlowych, — były to ogniska cechowego przemysłu; nie dziw, że w czasie wojny Nałęczów z Grzymalitami szli ręka w rękę z pierwszymi, tudzież z najwybitniejszym ich naczelnikiem Bartoszem. P. Breiter dowiódł tego faktycznie, ale o przyczyny nie zapytał, nie dziw, że u niego Bartosz i szlachta wielkopolska owiani są jakimś urokiem idealnego, iż się tak wyrazimy — konserwatyzmu, gdy tymczasem oni walczyli tak samo w celach utylitarnych, jak Grzymalici i małopolscy wielmoże; naturalnie, jedni i drudzy utylitaryzm ten z swego oceniali stanowiska, a przebieg dziejów sprawił, że utylitaryzm Nałęczów był konserwatywny, gdy naodwrót utylitaryzm Grzymalitów i Małopolan był — iż się tak wyrazimy — nowatorski i postępowy w swoim kierunku. Dlaczego p. Breiter nazwał politykę konserwatywną Wielkopolan specyalnie narodową—tego nie pojmujemy; przecież więcéj narodową była polityka Małpolan, którzy, rozszerzając granice państwa, chcieli podnieść przez to potęgę narodu.

Gdyby był p. Breiter rozwikłał przyczyny wojny Grzymalitów z Nałęczami, to wówczas Nałęcze i jeden z ich przewódców, Bartosz, byliby może stracili na uroku rycerskości i bezinteresowności, natomiast zyskaliby na uroku prawdy.

W szczegółach nie wiele myli się p. Breiter, dostrzegliśmy kilka ledwie mniéj ważnych usterek. I tak: nie możemy zgodzić się z autorem jakoby za rządów Ludwika w Polsce wysługiwanie się dworowi szło w parze z popularnością (str. 9); nie sądzimy, ażeby Władysław Biały był tak bardzo „niedołężny umysłowo i srogi“ (str. 13), nie rozumiemy dlaczego autor starostę Wielkopolski Domarata nazywa zdradzieckim (str. 44), kiedy on nigdy nikogo nie zdradził; wreszcie niech nam wolno będzie zaznaczyć, że należenie Maćka Borkowicza do rodu Wiszemburgów nie jest odkryciem autora, lecz zmarłego Ign. Zakrzewskiego (Kod. W. Pol. IV, uwagi o pieczęciach), o czém przecież wypadało wspomnieć.

Kazimierz Józef Gorzycki.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Ostoja.* **Nowele** z przedmową D-ra Piotra Chmielowskiego (Warszawa. J. Paprocki, 1890, str. 334). Nowy ten zbiorek wielce utalentowanéj nowelistki zawiéra dwa większe obrazki, znane czytelnikom „Ateneum“ („Z moich stron“, „Złych duch“) oraz kilka drobniejszych, pomieszczanych poprzednio w różnych czasopismach. Bystrość i trafność obserwacyi w zakresie pewnych, silnie w sobie skoncentrowanych charakterów, umiejętność wysoce dramatycznego przedstawienia stanów i walk duchowych, nadzwyczajna zwięzłość w kreśleniu szczegółów znamiennych wyróżniają nowele p. Ostoi od mnóstwa tych wodnistych, rozwlekłych, lub powierzchownych i banalnych zarysów, któremi czasopiśmiennictwo obecne bywa przepełniane. Cierpienie i smutek najczęściéj w nich się spotyka, lecz autorka nie wywleka ich na pokaz jedynie w jakiejś zgóry powziętéj myśli, odtwarza tylko to, co ją w życiu głównie zastanowiło. Uśmiéch humorystyczny rzadko się przewija na jéj ustach, lecz i tego powabu artystycznego nie jest pozbawiona, jak to widzimy wyraźnie z „Miłości babuni“, a poczęści i z „Listu“. Dziękując p. Ostoi za dary dotychczasowe, życzyć jéj wypadnie chyba, ażeby zawładnęła tajemnicą kompozycyi artystycznéj w obrazkach na większą skalę pomyślanych.

= Bardzo miłą przysługę zrobił wszystkim czcicielom wielkiego wieszcza p. *Władysław Piast*, ogłaszając powabnie się przedstawiające pod względem wydawniczym, a pełne zalet wewnętrznych **Album pamiątkowe Adama Mickiewicza** (Lwów, księgarnia H. Altenberga, str. XIX, 39 w wielkiéj ćwiartce). Na czele znajdujemy tu portret poety przez Horowitza, następnie — krótki życiorys z uwzględnieniem szczegółowém tych faktów, jakie są w „Albumie“ ilustrowane, a potém rzecz główną t. j. wizerunki osób i obrazy miejsc upamiętnionych przez Mickiewicza, a więc portrety główniejszych członków rodziny, profesorów, kolegów zarówno w Wilnie, jak późniéj w Paryżu, widoki Zaosia, Nowogródka, Tuhanowicz, Świtezi, Wilna, Kowna, pokoju w Wilnie, w którym była pisana „Grażyna“, Krymu, wizerunki Maryli, Maryi Szymanowskiéj, Zenejdy Wołkońskiéj, Oleszkiewicza, Puszkina, Goethego, Klaudyi Potockiéj, Towiańskiego, Armanda Levy, Służalskiego i wielu innych. Parę podobizn pisma Mickiewicza i Maryli kończą wydawnictwo, pełne zalet i warte szerokiego rozpowszechnienia.

= W Berlinie z datą r. 1890 wyszła niewielka książeczka, napisana przez p. *Gustawa Karpelesa* p. n. „**Goethe in Polen**. Ein Bei-

trag zur allgemeinen Litteraturgeschichte" (str. 220; dołączony jest portret Mickiewicza z r. 1829 według rysunku Józefa Schmellera, wykonany sposobem światłodrukowym). Autor wielce starannie wyszukuje w dziełach Goethego wzmianek o nas, podaje nieznane dotychczas szczegóły o znajomościach wielkiego poety, zawartych z Polakami bawiącymi w Karlsbadzie, o zwiedzeniu przezeń w r. 1790 Krakowa, Wieliczki, Częstochowy, omawia bardzo szeroko stosunek Goethego do słynnéj fortepianistki Maryi Szymanowskiéj, opowiada pobyt Mickiewicza i Odyńca w Weimarze r. 1829, zastanawia się wreszcie nad wpływem niemieckiego wieszcza na literaturę polską. Ten ostatni dział jego książki najmniéj może zadowolnić krytykę ścisłą, ale też nie stanowi głównéj treści. Ze szczegółów ciekawszych, nie wiedział widocznie autor tego, że w r. 1830 Goethe został wybrany na członka honorowego w warszawskiém Towarzystwie przyjaciół nauk za prezydencyi Juliana Niemcewicza i że wybór ten powitany był przez romantyków naszych jako dowód zwycięstwa nowego ducha poetyckiego.

= **Kalewala**, *das Volksepos der Finnen. Uebersetzt von Hermann Paul*, *2 Bände.* Helsingfors, 1885, 1886. **Kanteletar**, *die Volkslyrik der Finnen. In's Deutsche übertragen von Hermann Paul.* Helsingfors. 1882). Komunikacya księgarska z Finlandyą u nas prawie nie istnieje; przypadkowi więc tylko lub uprzejmości osób postronnych zawdzięczać zazwyczaj musimy zapoznanie się z utworami tam wychodzącymi. To tłómaczy, dlaczego tak późno o wydawnictwach wyż wymienionych tutaj wzmiankujemy. Zalecić je należy każdemu, kto się chce dokładniéj zaznajomić z twórczością ludową różnych narodów i ciekaw jest form przerozmaitych, w jakich się ona objawia. Epopeja fińska u nas bardzo mało była i jest znana; prócz zwięzłych wiadomości, zawartych w dziejach literatury powszechnéj i drobnych artykułów, posiadamy jedną tylko obszerniejszą o niéj rozprawę pióra p. Feliksa Jezierskiego, umieszczoną przed 10-u laty w „Bibliotece Warszawskiéj". Ci, którzy ją u nas czytali, używali zazwyczaj tłómaczenia francuskiego Léouzon'a le Duc; dawniejsze bowiem niemieckie Schiefnera należy już do rzadkości. Obecnie dzięki przekładowi Hermanna Paula nastręcza się ta dogodność, że do zbadania ducha i formy Kalewali posługiwać się będzie można porównaniem ze sobą dwu tłómaczeń, a tym sposobem lepiéj wniknąć w istotę rzeczy. H. Paul pracował nad swym przekładem bardzo starannie i bardzo sumiennie. Sam on znał język fiński niedostatecznie i twierdzi, że język poezyi ludowéj wogóle rozumie całkowicie nadzwyczaj mała liczba ludzi wykształconych. Do téj liczby należy p. Henryk Pantsar, który słowo

w słowo wytłómaczył zarówno Kalewalę, jak i liryki fińskie dla Paula; profesor zaś August Ahlqvist cały rękopism dokładnie przejrzał i uwagi swoje nad nim porobił, z czego tłómacz niemało korzystał. Przy takim trybie tłómaczenia można mieć gwarancyą jego wierności. Co się tyczy formy wiersza, którego użył tłómacz dla oddania oryginału, to wydaje mi się ona bardzo płynna, potoczysta i dźwięczna. Zamiast tradycyjnie używanéj czterostopowéj zwrotki trochaicznéj, przeplatał tu trocheje daktylami, przeplatając nieustannie rymy męskie żeńskiemi, o alliteracyą, którą się znamionują wiersze oryginału, tłómacz się nie kusił i słusznie, gdyż próba taka byłaby pomnożyła trudności, zmuszała do dziwacznych kombinacyi, a pewnie i do zaciemnienia myśli. Tak jak dokonane zostało, tłómaczenie, z małemi wyjątkami, czyta się gładko, wiersze wpadają w ucho mile, a myśli i obrazy zawsze się jasno w wyobraźni czytelnika rysują. Paralelizm dykcyi zachowany został naturalnie i uwydatniony należycie, a dobór wyrazów umiejętny i prawdziwie poetyczny. Oto drobna próbka: *Frost und Winter lehrte mich Lieder*, | *Und der Regenschauer Gesang*, | *Zaubersprüche lehrten die Winde*, | *Töne zogen über das Meer*, | *Selbst die Vögel brachten mir Worte*, | *Sagen rauschte der grüne Wald* (t. I, str. 3). Nie myślał oczywiście tłómacz o upiększaniu utworu fantazyi ludowéj, nie zaciérał nierówności, nie usiłował spajać artystycznie tego, co widocznie z zupełnie luźnych pierwotnie powstało cząstek; dbał jedynie o oddanie wierne charakteru epopei fińskiéj, tak różnego od bliżéj nam znanéj—greckiéj. Nie czyny bohaterskie, nie bitwy i walki orężne są tu na pierwszym planie, ale cuda słów czarodziejskich, walka na wyrazy, zawierające w sobie moc tajemniczą, prace, w których zręczność i przebiegłość łączy się z wytrwałością i potęgą cudowną.— Co do zbioru pieśni lirycznych, które pod nazwą *Kanteletar* ogłosił tenże sam tłómacz wprzód, zanim się zabrał do przekładu wielkiéj epopei, zawiéra on bardzo ciekawe i interesujące zarówno pod względem obyczajowym, jak estetycznym rysy usposobienia, uczuć, myśli, przekonań i zwyczajów ludowych, z przeważającym nastrojem poważnym i melancholicznym, przerywanym od czasu do czasu wybuchem rubasznego żartu lub ciętéj satyry. Wyrażenia przepiękne, obrazowe, pełne poetyckiego uroku, czasami idealniejszy polot myśli zdziwieniem przejmuje czytelnika, kiedy przegląda takie pieśni: jak „Znalazłem“ (str. 74), „Duma w nieszczęściu“ (str. 93), „Nadzieja po śmierci“ (str. 106), „Pochwała ojczyzny“ (str. 32), „Rezygnacya“ (str. 59), „W samotności“ (str. 275) i t. p. Objaśnienia podane przez tłómacza są krótkie i zwięzłe, ale jasne i w głównych rzeczach dostatecznie informujące czytelnika nie znającego mitologii lub obyczajów ludu fiń-

skiego.—Dowiadujemy się w ostatniéj chwili, że przekłady te Hermana Paula znalazłszy rozpowszechnienie, mają się niebawem doczekać nowego wydania za staraniem jego syna Aksela. Życzymy mu powodzenia, bo praca sumienna i dobra jego ojca zasługuje istotnie na szczere uznanie.

= *Dr. Stanisław Głąbiński*, **Pojęcie nauki skarbowéj.** Sambor, 1889, str. 63. W rozprawie powyższéj autor zastanawia się nad pojęciem nauki skarbowości, a z pojęcia téjże nauki ocenia, czy ją należy zaliczyć do nauk ekonomicznych lub państwowych. Prócz tego znajdujemy w pracy d-ra Głąbińskiego historyą pojęcia nauki skarbowości, przynajmniéj od czasu policystów XIII-go wieku, a w końcu zebrano skrzętnie określenia sprzeczne lub grzeszące niedokładnością, różnych koryfeuszów nauki z bieżącéj doby.

Przedewszystkiém dr. Głąbiński analizuje tezy postawione przez słynnego L. Steina, a utrzymujące, że dwie kardynalne różnice panują między gospodarswem indywidualném a gospodarstwem państwowém. Podług Steina różnice te polegają na tém, że gospodarstwo prywatne w zasadzie gospodaruje dla siebie, państwowe zaś dla drugich, a następnie, że w gospodarstwie prywatném wydatki stosować się winny do dochodu, gdy tymczasem w gospodarstwie państwa dochód stosuje się do wydatków.

Autor utrzymuje, że gospodarstwo państwa służy celom tegoż samego organizmu państwowego, a więc celom własnym. Również i druga teza nie odznacza się ścisłością. W gospodarstwie prywatném potrzeby naturalne nie mogą się do dochodu stosować już dlatego, ponieważ zaspokojenie ich jest warunkiem życia człowieka. Potrzeby jednostki, o ile są jéj wymogami stanu, posiadają w sobie tak silną tendencyą do ich zaspokojenia, że zazwyczaj naginają dochód do siebie, czyli do wydatków. Twierdzenie Steina w pierwszéj części jest zatém wypływem powierzchownego, mechanicznego śledzenia toku produkcyi i konsumcyi dochodu, lecz nie zgłębia ekonomicznych pobudek procesu. Prawdą jest wprawdzie, że produkcya wyprzedza konsumcyą, ale w istocie konsumcya jest bodźcem i miarą produkcyi.

Co się tycze drugiéj części tezy, to autor przyznaje wprawdzie, że wzrostowi potrzeb państwowych towarzyszyć musi wzrost dochodów, pod grozą upadku gospodarczego, — czyli, że dochód stosować się musi do potrzeb państwa, lecz dowodzi jednocześnie, że zasada powyższa nie jest absolutną i ulega jeszcze większym zboczeniom, niż w gospodarstwach prywatnych. Nagięcie bowiem dochodów do zwiększonych potrzeb państwowych, jest nawet trudniejszém, bo ma granice w sile

podatkowéj ludności: granica ta jest względną i ruchomą, ponieważ owa siła podatkowa nie jest ilością stałą, lecz elastyczną, podobnie jak dochód indywidualny.

Dr. Głąbiński przychodzi téż do przekonania, że w obu formach gospodarczych, t. j. indywidualnéj i państwowéj, panuje we wzajemnym stosunku dochodu i potrzeb analogia. Mianowicie w obu tych formach istnieje: 1) tendencya do utrzymania równowagi między dochodem i potrzebami; 2) tendencya do stopniowego wzrostu potrzeb i dochodu; 3) wzajemne oddziaływanie dochodu na potrzeby i odwrotnie, pod wpływem obu powyższych tendencyi; 4) dochód nagina się do potrzeb, gdy ich zakres istotnie i trwale się zwiększy.

Źródła mylnéj zasady, powtórzonéj przez Steina, trzeba, zdaniem d-ra Głąbińskiego, szukać w rozwoju historycznym dochodów państwa. Wzrastające ciągle potrzeby musiały u polityków wywołać przekonanie, że niepodobna z góry oznaczyć stałéj miary podatków, lecz że podatki do potrzeb stosować się winny. Gospodarstwo państwowe, zdaniem autora, ma tylko jedyną charakterystyczną cechę, a jest nią podmiot tego gospodarstwa, państwo. Istota, idea, zadanie państwa stanowią o istocie gospodarstwa państwowego.

Gospodarstwo państwowe, zdaniem d-ra Głąbińskiego, jest nauką państwową, nie ekonomiczną. Jako nauka państwowa, różni się od nauki konstytucyjnéj i administracyi, chociaż z obiema zostaje w ścisłéj styczności. W systemie nauk państwowych należy się jéj więc oddzielne miejsce.

Pomijamy szczegółowe wywody zawarte w rozprawie, nadmieniając, że dowodzą one niewątpliwie oczytania się autora w literaturze przedmiotu oraz ścisłości znacznéj w argumentacyi. Z tém wszystkiém mniemamy, iż różnice poglądów między d-rem Głąbińskim a Steinem są więcéj pozornemi niż rzeczywistemi, albowiem niemieckiemu uczonemu było bardzo dobrze wiadomo, że w podmiocie, t. j. w państwie, leży główna treść gospodarstwa państwowego i różnice od gospodarstwa prywatnego z tego płyną źródła. Tezy téż Steina opierają się na téj zasadzie, że potrzeby gospodarstwa państwowego są publiczne, a prywatnego—indywidualne. Natura obu potrzeb wpływa na pewną modyfikacyę zasad w polityce, co nie przeszkadza bynajmniéj, że analogie ekonomiczne, odszukane starannie przez doktora Głąbińskiego, istnieją i tylko polityce ustępować muszą. Na ogólnikowe wyznaczenie miejsca samodzielnego, czy odrębnego, nauce gospodarstwa państwowego, wśród nauk państwowych, zgodzić się trudno. Przecież każdy dział nauki administracyi ma miejsce odrębne i pobratymstwo ścisłe z naukami, które stoją zupełnie po za obrębem nauk politycznych,

a jednakże wszystkie te działy stanowią jednę naukę administracyi, którą tenże Stein nazwał pandektami nauk politycznych.

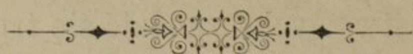
Definicye państwa i władzy państwowéj, podane przez dra Głąbińskiego, są nieco chwiejne, a szukanie początków nauki skarbowéj u św. Tomasza z Akwinu, nie wytrzymuje krytyki choćby dla téj prostéj przyczyny, że odkrycia, które autor przypisuje „anielskiemu doktorowi“ znajdują się już u Arystotelesa. Również zaznaczyć należy, że i Leszczyński nie był pierwszym w dawnéj Polsce, który pisał o skarbowości. Szereg jego poprzedników, choć nie długi lecz poważny.

Z tém wszystkiém praca d-ra Głąbińskiego posiada niewątpliwie dużo zalet i zawiéra niejedno cenne spostrzeżenie, które nakazuje w autorze powitać gruntownego i sumiennego pracownika. *A. R.*

= **Wielkiéj encyklopedyi** powszechnéj ilustrowanéj (wydawanéj nakładem S. Sikorskiego), ukazał się zeszyt 2-gi. Mamy tu dokończenie obszernego artykułu „Absorbcya fizyologiczna“, a z następujących po nim wymienimy jako obszerniejsze: Acacia, Achajowie, Achard L. A., Achenwall Gotfr., Achromatyzm, Acosta Uriel, Acton, Adam. Zeszyt ten, zawierający 8 arkuszy druku, a ozdobiony drzeworytami w tekście i dwoma tablicami litografowanemi, kosztuje kop. 50.

= Zakład Ossolińskich ogłosił **Sprawozdanie** z czynności swoich za rok 1889. Dowiadujemy się zeń, że liczba dzieł drukowanych wynosi 86150, rękopisów 3317, dyplomatów 964, rycin 24868, monet przeszło 20 tysięcy. W pracowni naukowéj było w ciągu roku 2904 czytelników, w czytelni zaś publicznéj wypadało dziennie 51 osób. W sprawozdaniu tém wydrukowana jest rozprawa W. A. Bruchnalskiego: „Geneza Grażyny“.

= Rozpoczęty przed laty kilku druk **Katalogu rękopisów** biblioteki Zakładu nar. im. Ossolińskich we Lwowie, posunął się znowu krok naprzód. W roku bież. dr. W. Kętrzyński wydał zeszyt 1-szy tomu III-go tego katalogu (str. 320), obejmujący rękopisy Nr. 562—937. Większa ich część odnosi się do dziejów Stanisława Augusta, mniejsza zaś pochodzi albo z wieku bieżącego, albo z dawniejszych stuleci; niektóre sięgają XIV wieku.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wybory czy dzieciobójstwo?—Votum nieufności dla krwi i żelaza.—Tryumf gnębionych.—W Prusach Zachodnich.—Na Warmii. — Smutna sława Warszawy. — Brak dozoru.—Spólnicy dzieciobójczyni.—Wina społeczeństwa.—Brak trybunów nędzy.—Kwestya szpitalna.—Ciężkie oskarżenia.—Dwie komisye.—Różnica majątkowa szpitali w Płocku. — Piękne zapewnienia o uczuciach dla dźwięku i pustki w sali odczytów.—Ospa.—Reforma pewna.—Zdanie organu urzędowego Min. Oświaty.

Wybory w Niemczech zbiegły się z wykryciem w Warszawie herodowéj działalności Skoblińskiéj i S-ki i dlatego nie znalazły może dość wolnéj uwagi publicznéj. A stało się to nie tylko u nas. W prasie petersburskiéj poświęcono zbrodni warszawskiéj daleko więcéj miejsca i artykułów, niż nadzwyczajnemu rezultatowi głosowania niemieckiego. Świéżo jeszcze, kiedy dzienniki nad porażką ks. Bismarka oddawna już przeszły do porządku dziennego, w n-rze „Now. Wrem.“ z 8 marca zamieszczono doskonałe portrety 5-ciu dzieciobójczyń i rysunek domu, który morderstwo osłaniał. Pisma angielskie téż podobno niemało zdenerwowały publiczność swojemi opisami i rysunkami strasznego odkrycia. W obec tego można się zawahać, który z dwu wypadków posiada większą doniosłość? Ponieważ jestto w znacznéj części rzecz gustu, ponieważ każde założenie da się bronić i może być przedmiotem nieskończonego sporu, więc pytanie to wyminę i zacznę od wyborów z niewinnego względu grzeczności dla sąsiada, a może trochę i z powodu słabości do polityki.

Stronnictwa podtrzymujące ks. Bismarka i podtrzymywane przezeń—zostały na głowę pobite. Wielki tryumf święcą socyaliści i postępowcy, a więc heretycy polityczni, których ks. kanclerz i bitne jego organy ogłaszały nieustannie za wrogów ojczyzny. Innemi słowy, mąż stanu, który Niemcy rozbite spajał krwią i żelazem, który urągał zasadom ludzkości, a wierzył tylko w brutalną siłę materyi, zdumiewał bez-

graniczną pewnością siebie, otrzymał dotkliwe *votum* nieufności od własnych rodaków. Bodaj czy może on dziś żywić i czy żywi nadzieję, aby system jego przetrwał dłużéj niż mu życia starczy, a bodaj nawet system ten skończy się prędzéj, niż dni jego starości dobiegną do kresu.

Jeżeli wybory ostatnie nie są rezultatem prądu chwilowego, jeżeli oznaczają zwrot poważny w opinii, to skutki ich czuć się dadzą wtedy jeszcze, kiedy pamięć o Skoblińskiéj zaginie nawet w tradycyach ulicy Śliskiéj,—a historya zanotuje je jako wypadek bardzo doniosły. Zaświadczą one dobitnie raz jeszcze, że blaskiem powodzeń zewnętrznych, mamidłami potęgi materyalnéj można przyćmić nabytki cywilizacyjne, ale te w końcu—tam naturalnie, gdzie wieki na nie pracowały—wezmą górę. Nie znaczy to wcale, aby obecny parlament zwalił, chciał lub mógł zwalić panujący system, aby pokonać zdołał ks. Bismarka. Wcale nie. Mając armię zjednoczonych Niemiec, a choćby tylko pruską na swoje skinienie, można pomiatać wszelką większością i wszelkim parlamentem. A ks. kanclerz dzisiejszy zaraz na wstępie do karyery ministeryalnéj złożył dowody, że to zrobić potrafi. Ale to zawsze tak się zaczyna, iż siła rodząca się lub odradzająca się jest słabszą od potęgi panującéj, co wcale jednak nie przesądza o przyszłości dalszéj.

W obec zmartwienia z powodu nowego parlamentu, a podobno także kłopotów z młodym cesarzem, ks. Bismark nie zwrócił prawdopodobnie uwagi, że Polacy od ostatnich wyborów, po 3-ch latach natężonéj pracy komisyi kolonizacyjnéj, landratów, żandarmów, sądów, nauczycieli, a gdzieniegdzie nawet księży, posiedli większą liczbę głosów i zdobyli nowe 3 krzesła. Stanowią też dziś partyę samodzielną, mają prawo stawiać wnioski i mogą wchodzić do komisyj. Co więcéj, niewiele brakowało, aby zjechali do Berlina jeszcze liczniéj, gdyż w paru okręgach chodziło tylko o drobnostkę kilkudziesięciu głosów. Cóż więc będzie, gdy wybory zostaną kiedy uwolnione z pod nacisku rządowego i pozostawione sobie samym!

Można przypuścić, że nawet junkier pruski, nawet godny naśladowca cynizmu fryderykowskiego, słyszy czasami, po przepełnieniu miary krzywd i gwałtów, głos protestu wewnętrznego. Łzy, wyciśnięte w Poznańskiém, nie zdołały przeważyć racyi stanu, ale może jednak kilkoma chociaż kroplami gryzącego wyrzutu spadły na serce kanclerza żelaznego. Udawał może tylko, że ich nie czuje, bo liczył, że to posunie na wschód granicę etnograficzną Niemiec. I oto karczowany las odrasta, pleni się, nie można znaleźć siekier tylu, aby wydołały sile żywiołu, czerpiącego soki z ziemi rodzinnéj. Zda się nawet, że posiew pruski nietylko zawiódł, lecz przyniósł owoce wprost przeciwne, niż oczekiwano w Berlinie. W Prusach Zachodnich, w okręgu susko-lu-

bawskim, gdzie dotąd zawsze wybierano Niemca, przeszedł dr. Rzepnikowski z Lubawy. Na Warmii, wcielonéj do Prus sto kilkanaście lat temu, w chwili najgorszego upadku, gdzie inteligencya jest germańską z ducha i mowy, gdzie ksiądz z ambony nakazywał głosować na Niemca, prości chłopi postawili po raz pierwszy kandydaturę swego rodaka i ten w pow. olsztyńskim otrzymał 4,625 głosów. Nie przeszedł, bo dawny wieloletni poseł, ks. kanonik Borowski (Niemiec), który miał wybór zapewniony, umarł na kilka tygodni zaledwie przed wyborami i agitacya nie miała czasu zajść dosyć daleko od miejsca swego powstania (wiec w Olsztynie 7 lutego), to też powiat reszelski głosował na Niemca. Korespondent jednak do „Kraju“, rodowity warmiak, niegrzeszący optymizmem, raczéj pessymista, który wcale przy tych wyborach nie przepowiadał tryumfu pana Szczepańskiego, zapewnia, iż w przyszłości kandydat chłopski może odnieść tryumf. A ten okręg raz zdobyty, już się chyba Niemcom napowrót nie dostanie. Komisya kolonizacyjna na Warmii nie zdołałaby może jednego kawałka ziemi zagarnąć, gdyż obywateli zrujnowanych tam niéma, a chłopi-„gbury“ mają się doskonale i gospodarstw swoich trzymają się mocno, żadna siła wyważyć ich nie zdoła.

A teraz z kolei przejdźmy do dzieciobójczyni, dzięki któréj Warszawa od pogromów żydowskich w r. 1881, po raz pierwszy używała szerokiego rozgłosu na szerokim świecie. Smutna sława, chociaż, co prawda, nie wyzyskano jéj w ten sposób, jakbyśmy to uczynili, gdyby spotkała sąsiada którego. Ani pisma zachodnie, ani wschodnie nie urągały nam, nie przypisywały winy zepsuciu obyczajów społeczeństwa całego, nie znaleźliśmy tam tych wykrzykników potępienia, jakie aż do przesytu mogliśmy czytać w pismach warszawskich, po drastycznych niegdyś odkryciach „Pall-Mall-Gazette“ i jakie zawsze gotowiśmy wygłaszać po każdém skandaliczném zajściu we Francyi. Różnicę w części przypisać należy większemu wyrobieniu i rozsądkowi, a może lepszemu wychowaniu ludzi zachodnich, w części zaś niezupełnéj zapewne czystości sumienia własnego, które szepcze obawy, czy jakiś dalszy lub bliższy pożar nie odkryje w innym kraju lub w innem mieście podobnego przytułku dzieciobójstwa.

Bardzo ważną stronę téj sprawy podniosły pisma ruskie. Mianowicie „Moskowskija Wiedomosti“ (nr. 43), oraz najbardziéj dziś może wpływowe „Nowoje Wremia“ (nr. 5,018), a za niemi inne zwracają uwagę na brak dozoru, a przypuszczając, że on istnieje również gdzieindziéj, domagają się ścisłéj rewizyi we wszystkich większych miastach. Wedle ich mniemania, procedery podobne praktykują się

wszędzie, a nazwisko Skoblińskiéj może być śmiało uważane za nazwę pospolitą zjawiska powszechnego.

Nie trzeba dowodzić, bo wszyscy to widzą, iż dach spadający na ulicy Śliskiéj odsłonił ranę społeczną, dotkliwą a trudną do wyleczenia. Przerażona opinia szuka ratunku i takowy dostrzega w publicznych przytułkach dla dzieci opuszczonych. Dzięki temu, powstało wiele różnorodnych projektów i pomysłów tego rodzaju instytucyj. Na szpaltach „Ateneum“ znaczenie społeczne przytułków roztrząsać będzie pióro od mego kompetentniejsze, ograniczam się więc na zaznaczeniu objawu, dodając, że chociaż w mniejszości stanowczéj, opozycya znalazła się jednak (np. „Prawda“) i że głosy jéj zasługują na poznanie i uwzględnienie.

Prócz tego, pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę, że trupiarnia Skoblińskiéj—to kwiat wyrastający z ziarna, rzuconego nie jedną ręką na glebę, uprawioną przez mnóstwo innych nadużyć, wskutek wielu przyczyn; do jaskini takiéj najczęściéj konieczność popycha matek tysiące. Jeżeli społeczeństwo nie wejrzy w przyczyny złego, będzie jak człowiek, który oszczędza sobie przykrości przez zatknięcie nosa i pozostawia nienaruszoném bagnisko, ziejące zarazą.

Skoblińska to tylko jedna ze spólniczek występku, to drobna cząstka zbrodniczéj mnogości. Po kraju całym liczne roje pająków snują siatkę, czyhają na nędzę, tworzą nędzę, aby żyć z niéj. Nietylko morderczyń ostatecznych szukać należy, bo to doprowadzi jedynie do zastąpienia jednéj megery drugą, jednéj nory inną, gorszą może. Spólniczkami Skoblińskiéj są szynkarze, żyjący ze zgubnych namiętności i paserstwa; są właściciele lombardów, którzy praktykują otwarcie, publicznie lichwę (96% patrz nr. 8 „Kraju“ r. b.); spólniczkami bezpośredniemi dzieciobójczyń są stręczycielki, których legion, które są bardziéj winne od nędzarki Skoblińskiéj, które życie pędzą wśród wygód, okupionych krzywdą jednostek i upadkiem społeczeństwa, które wreszcie drwią sobie z kontroli i zakazów, bo je zawsze osłoni można ręka wdzięcznych klijentów. Jestto straszny kontrast życia, że niejeden, co dzisiaj szczerze i z głębi serca oburzał się na potworne rzemiosło Skoblińskiéj, jutro, ba, za kilka godzin może, uśmiéchać się będzie słodko do stręczycielki. Gdyby kto zdołał kiedy odkryć i pokazać światu to bagnisko, straszne rozmiarami i głębokością, przekonalibyśmy się może, iż bez udziału stręczycielek, bez ich zapobiegliwości, bez ich energii i ostatecznego braku uczuć ludzkich, obyczaje nasze byłyby stokroć czyściejsze, a strasznych zbrodni dzieciobójstwa stokroć mniéj.

A jednak nie dzielą one i nie podzielą losu Skoblińskiéj!

Co więcéj, nikt chyba nie powié, że społeczeństwo całe wolne jest w tym razie od winy. Bodaj nawet, czy nie spada ona na nie przedewszystkiém. Pomiędzy obowiązkami téj cząstki ogółu, która korzysta z licznych przywilejów stanu, wygód życia i światła, do najpierwszych należy troska o dobrobyt powszechny, o pomyślność i zdrowie tych mas upośledzonych, które nie znają właściwych ścieżek postępowania, nie mają środków ratunku. A tymczasem my obojętném okiem spoglądamy na stan okropny klas niższych, tolerujemy wszelki wyzysk nędzy.

Wszędzie w większych miastach Europy postarano się o ludzkie mieszkania dla robotników, dostępne nawet dla zupełnego ubóstwa,—u nas tłumy robotnicze pozbawione są materyalnéj podstawy życia rodzinnego, marnieją w norach bez światła i ogniska (patrz „Kwestya mieszkań“ Suligowskiego).

Dopiéro téj zimy założona została pierwsza w Warszawie kuchnia prawdziwie ludowa na ulicy Piwnéj i projektowaną jest druga na Czerniakowskiéj. Przebieżmy wyobraźnią obszary robotniczych krańców Warszawy i Pragi, co za drobne znaczenie mieć mogą te dwa punkty, a jednego z nich przecie jeszcze niema, drugi ledwie że powstał.

Gdzie te tłumy spędzają chwile odpoczynku wieczorami i w święta, gdzie i jak się bawią setki tysięcy biedaków, co zajmuje ich umysł i serce—o tém, zdaje się, nikt dotąd nie myślał, lub jeżeli myślał, nie znalazł odgłosu wśród społeczeństwa, bo na seryo sprawa ta nie była u nas nigdy na porządku dziennym.

Zadawalniamy się mdłą i leniwą dobroczynnością biurową, która nic uczynić nie zdoła choćby dlatego, że środki jéj są niemal niedostrzegalne w obec potrzeb. Szuka ona zresztą i niesie pomoc tylko na krańce nędzy, zaognionéj nieszczęściem, a tu klasa cała, w najzwyklejszym stanie potrzebuje opieki i pomocy.

Nietylko nie wytężaliśmy sił wszystkich, aby zapobiegać złemu, ale bodaj czy dziś zapobiedz czemukolwiek potrafimy, bo bodaj czy kto zna dokładnie stan materyalny i duszę otaczającego nas biedactwa.

Za pewnik uznać należy, że poprawa rozpoczynać się winna nie od skutków, lecz od przyczyn. A przytém biurowo uorganizowana instytucya—to pomoc zawsze niedołężna; nie instytucye są głównie potrzebne, lecz ludzie, których pamięci nie opuszczałaby nigdy myśl o niedoli mas, którzyby życie swoje poświęcili niesieniu pomocy niedoli,

którzy byliby nieustannie pośrednikami pomiędzy społeczeństwem a nędzą: trybunami nędzy i organami działalności społecznéj.

A nie składajmy winy na ciężkie warunki, bo one wymagały większéj pracy i większéj energii, a na usprawiedliwienie nie mamy nawet starań powszednich.

Niejakie pokrewieństwo łączy kwestyę przytułków z kwestyą szpitali. A właśnie co do ostatniéj toczyły się w ubiegłym miesiącu po dwakroć bardzo ciekawe rozprawy w sekcyi technicznéj Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Na skutek odczytu p. Goldberga zebrani budowniczowie oraz lekarze (pp. Bujwid, Dunin, Natanson i inni) obradowali nad tém, jakie budynki szpitalne są w ogóle najodpowiedniejsze i o ile wymaganiom sanitarnym odpowiadają te budynki w Warszawie.

Aby dać czytelnikom poznać, na czém polega kwestya szpitali i jaką posiada doniosłość, oraz dlaczego może i powinna interesować szeroki ogół, przytoczę kilka cytat:

Przedewszystkiém poznajmy zdanie p. Diday, wypowiedziane w „*Gazette médicale de Lyon*“:

„Gdy robotnika rani maszyna, co się z nim dzieje? Zasada ogólna—oddają go do szpitala. Co znajduje on w szpitalu? Opiekę i dozór w każdéj chwili, biegłość najwyższą, współczucie najczynniejsze, ale zarazem atmosferę szpitalnianą, która z trzech nieszczęśliwych zatruwa co najmniéj jednego. Nauka stoi w obec tego bezsilna i biadać jedynie może, nietylko stwierdza ona klęskę istniejącą, ale pomimo wszelkich możliwych ulepszeń, rozpacza o przyszłości, widząc niemożliwość posunięcia tych ulepszeń po za pewną granicę. Jestto więc fakt stwierdzony, niezaprzeczalny, że na stu ranionych i odniesionych do szpitala, około trzydziestu umiera przez szpital, którzy, gdyby mieli środki leczenia się w domu, niewątpliwie byliby uratowani“.

Teraz posłuchajmy, co twierdzi Baron w dziele p. t. „*Le Paupérisme*“, uwieńczoném pierwszą nagrodą na konkursie Pereire'a w roku 1882:

„Zestawiając śmiertelność w szpitalach ze śmiertelnością ludności w ogóle w r. np. 1876 (we Francyi) znajdujemy, że prawdopodobieństwo śmierci w szpitalu jest czterdzieści dwa razy większe, niż przy zwyczajnych warunkach istnienia. Jeżeli porównamy średnią liczbę dni trwania choroby w szpitalu ze średnią liczbą dni choroby członków towarzystw wzajemnéj pomocy, leczących się w domu, przekonamy się, że dla szpitali wynosi ona 36 dni, zaś dla chorych, pielę-

gnowanych w domu, zaledwie 19. Wreszcie procent śmiertelności w szpitalach (z pomiędzy ogółu leczonych) wynosi 10%, pomiędzy zaś członkami towarzystw wzajemnéj pomocy (którym towarzystwo daje zapomogę na lekarza, na aptekę, jak również zasiłek na życie dla rodziny chorego) tylko 6%. Nie mówię już o epokach epidemii, podczas których szpital staje się grobem wszystkich, lub prawie wszystkich, co doń weszli. Jeżeli cyfry te są prawdziwe, szpital jest raną, którą należy jaknajprędzéj zamknąć. Najlepszy z nich pod względem materyalnym nie wart jest najsmutniejszego poddasza, najmarniejszéj lepianki".

Przechodząc do moralnych skutków szpitala, Baron mówi:

„Pod względem rodzinnym szpital również jest szkodliwy dlatego, że źle jest odzwyczajać członków rodziny od obowiązku solidarności, źle jest, gdy żona nie pielęgnuje męża, a dzieci—matki. Nie widzę nic, coby przemawiało za szpitalem, wszystko go potępia, nic go nie broni, chyba może interes pewnéj liczby ludzi bezżennych, którzy świat przebiegają bez rodziny i krewnych, a to zbyt mało dla utrzymania instytucyi, przynoszącéj szkodę pod wszystkiemi względami".

Daléj rozpatruje autor nakłady, jakie społeczeństwo ponosi dla wzniesienia i utrzymania szpitali. Powołując się na świadectwo d-ra Armanda Deprés, chirurga ze szpitala *de la Charité* w Paryżu, podaje wartość nieruchomości szpitali francuskich, ich dóbr ziemskich oraz kapitały w bankach na 2½ miliarda franków, co reprezentuje (według tegoż chirurga) dochód roczny 125 milionów, z tego na chorych przypada 85 milionów (reszta na przytułki dla starców i dzieci). Ponieważ przeciętnie szpitale posiadają 410,000 pacyentów rocznie, więc jedna choroba kosztuje przeszło 200 fr. Wedle tego rachunku, 220,000 chorych, członków towarzystw pomocy wzajemnéj, pochłonęłoby 44 miliony, a tymczasem kosztowali oni tylko 16 milionów. A przytem w liczbie ostatniéj znajduje się 5,246,000 fr. zapomogi dla chorych i 525,000 fr. wsparcia dla wdów i sierót.

Powyższe twierdzenia przytoczyłem bynajmniéj nie dlatego, aby je ogłosić za wyrok bezstronny i kompetentny, a więc słuszny. Pragnąłem tylko zwrócić uwagę na to, jakie istnieją podejrzenia (w najlepszym razie) co do szpitali. Chociażby głos Barona był tylko jednostronném oskarżeniem prokuratorskiém, zasługuje on na uwzględnienie, a obrona przez kogoś, widzącego rzeczy inaczéj, jużby całkowicie sprawę oświetliła. Zdaje się zaś, że opinia, która tak żywo wzięła do serca marnowanie się życia dziecinnego, powinna interesować się i wedle możności czuwać nad instytucyami, gdzie chodzi równie o życie i nie dziesiątek lub setek, lecz tysięcy, i nie opuszczonych niemowląt, lecz częstokroć ojców i matek rodzin.

Wątła jest jednak nadzieja, czy czarne malowidło Barona dałoby się bardzo osłabić. Też same dane u nas brzmiałyby jeszcze cmentarniéj. Przynajmniéj tak wnosić można ze świadectwa kompetentnych lekarzy, złożonego na zgromadzeniu wyżej wspomnianém w Tow. pop. przem. i handlu. Większość ich znaczna wielkie gmachy uznała za szkodliwe: przewietrzyć ich niepodobna, zarazków chorób wszelkich usunąć nie sposób. To téż jako ideał szpitala wskazano barak, który nietylko rozebrać, lecz w razie potrzeby spalić można i wybudować nowy. W najgorszym razie żądano przynajmniéj pawilonów na kilka lub kilkanaście łóżek. Zgromadzenie wybrało nawet komisyę, złożoną z lekarzy i budowniczych, którzy mają opracować wzorowe typy budynków szpitalnych.

Wszystko, co mówił Baron, stosowało się wyłącznie do gmachów dużych; baraki są, zdaje się, wynalazkiem nowym, o którym Baron prawdopodobnie jeszcze nie wiedział, a w każdym razie w dowodzeniach pod uwagę nie wziął. Stanowią zaś one ratunek na tę właśnie ranę, którą on wskazywał, ratunek zdaje się nietylko praktyczniejszy, lecz jedynie możliwy, gdyż bodaj czy nawet społeczeństwa z towarzystwami pomocy wzajemnéj, rozwiniętemi do ostatniéj granicy, mogłyby się obyć bez szpitali. Bądź co bądź, ucieczka do nowego typu szpitala dowodzi, że oskarżenia Barona nie były tylko wybuchem pesymizmu, że odpowiadały one choć w części rzeczywistości, kiedy inni ludzie—lekarze—również się o tém przekonali i szukają ratunku na klęskę gmachów szpitalnych. Cała ta sprawa nie jest bynajmniéj zagadnieniem teoretyczném, przeciwnie wiąże się ona jak najściśléj z życiem. Kwestya szpitali stoi w kraju całym na porządku dziennym, a u nas niéma przed niemi ucieczki do nieistniejących towarzystw pomocy wzajemnéj. Chodzi więc o rzecz bezpośrednio dotykającą dobrobytu całéj ludności miejskiéj.

W Warszawie szpital Dzieciątka Jezus ma być przeniesiony do nowego gmachu na t. zw. Folwarku Świętokrzyskim. W Płocku mają zamiar budować jeden lub dwa szpitale nowe. W Chełmie krzątają się koło czegoś podobnego. A bodaj zresztą czy jest w całém Królestwie choć jedno miasto gubernialne i większe powiatowe (w mniejszych niéma wcale szpitali), które byłoby zadowolone ze swego szpitala.

Narady więc i wnioski ludzi najkompetentniejszych w Warszawie przypadły jak najbardziéj w porę i wątpić niepodobna, aby one, jak również rezultat pracy komisyi, nie zostały wykonane, lub przynajmniej wzięte pod uwagę przy budowie nowego szpitała. Należy się tego spodziewać, témbardziéj, że komisya szpitalna (nie Tow. pop. przem. i handlu, lecz budowy nowego szpitala) zapowiedziała, iż prosić

będzie o radę i informacye ludzi kompetentnych; wysyła też ona podobno jednego z członków swoich za granicę, aby poznał ulepszenia już tam urzeczywistnione.

Czy prowincya zastosuje się do wskazówek powag krajowych— nic dotąd niewiadomo. Do Warszawy dochodzą z prowincyi (szczególniej z miast, które, jak Płock w téj chwili, nie posiadają własnego organu) tylko niedokładne pogłoski, mniéj pewne, niż z odległych stolic Europy. A przytém narada budowniczych i lekarzy odbyła się w karnawale, kiedy sprawozdania balowe zostawiały zbyt mało miejsca na sprawy mniéj wesołe.

W korespondencyi z Płocka, zamieszczonéj w nr. 50 „Słowa", jest wprawdzie mowa o „zastosowaniu najnowszych przepisów lekarskich i uwzględnieniu ostatnich w téj dziedzinie wynalazków i ulepszeń", ale sakramentalne te wyrażenia wyglądają trochę na przyniesienie przepisanéj ofiary bogom nieznanym, a daléj jest już mowa o względach całkiem innych. Dwa istniejące szpitale „Św. Trójcy" i „Św. Aleksego" posiadają fundusze niejednakowe. Pierwszy ma 99,400 rs. kapitału i 5,500 rs. dochodu, drugi—tylko 10,910 rs. kapitału i tylko 1,600 rs. dochodu. Czy więc należy łączyć biedaka z bogaczem? Zdania się podzieliły. Bardzo być może, iż istnieją jakieś poważne powody, stające na drodze połączenia gmachów, czy funduszów, korespondent jednak o nich nie wspomniał. Jako racyę, przemawiającą za połączeniem, podano w płockiéj radzie gubernialnéj dobroczynności publicznéj — oszczędność: jedna administracya, jedna kuchnia, jedna usługa, jedna apteka, taniéj kosztować będą. Gdyby twórcy projektów w Płocku wiedzieli, co w sprawie odnośnéj uradzono w Warszawie, oba względy dałyby się może pogodzić — wspólna administracya pawilonów lub baraków z odosobnieniem kapitałów—każdy szpital miałby liczbę budyneczków proporcyonalną do środków.

Byłoby bardzo pożądaném, aby lekarze nie ograniczali się w téj sprawie do przemówień w sali zamkniętéj i do referatów w pismach specyalnych, lecz aby objaśnili publiczność, jak ta rzecz stoi, w teoryi przynajmniej. Rozbudzenie opinii zawsze coś znaczy.

Coroczne odczyty na dochód „Tow. osad rolnych i przytułków rzemieśl." w sali ratuszowéj już się rozpoczęły. Przemawiał dr. Bujwid o chorobach zakaźnych i o szczepieniach ochronnych". Wprzód nim się ukazał na katedrze prelegent, wypadło obejrzéć audytoryum. Od niego też zaczniemy. Nadmierny zapał nasz do teatru tłómaczymy zwykle gorącém, entuzyastyczném przywiązaniem do dźwięków: ukochaliśmy teatr, bo tam je słyszéć możemy. Tymczasem sala ratuszowa

była zapełniona może w trzeciéj części, może nieco więcéj! A pamiętać należy, że Osady rolne cieszą się uznaniem publiczności warszawskiéj, że dr. Bujwid jest osobistością znaną i popularną, że bakterye są w modzie, mogą i powinny każdego interesować, a szczepienia ochronne obchodzą bezpośrednio tyle matek i ojców. Jeżeli dodamy, iż na innych odczytach bywa jeszcze mniéj osób, że dla półmilionowego miasta zapełnienie kilka razy do roku jednéj sali nie byłoby niczém nadzwyczajném, to oprzéć się niepodobna przypuszczeniu, że deklamacya o dźwięku jest blagą. Może to bluźnierstwo, ale co warte zapewnienia bez faktów!

Na odczycie widzieliśmy przedewszystkiém na widmie mikroskopu słonecznego bakterye: gangreny, karbunkułu, cholery i tak daléj; widzieliśmy je w stanie pomyślnego rozwoju i pochłonięte przez białe ciałka krwi — kiedy organizm wziął górę nad chorobą, zwycięsko odparł atak bakteryi. Dowiedzieliśmy się na czém polega, z punktu teoryi bakteryologicznéj, szczepienie ochronne. A nareszcie usłyszeliśmy fakt, że kiedy w r. z. był tydzień, przez ciąg którego ospa zabrała w saméj Warszawie 50 ofiar, w całych Niemczech, gdzie szczepienie (w wojsku i szkołach nawet podwójne) jest obowiązujące, przez rok cały straszna ta choroba spowodowała tylko 30 śmierci! Ponieważ zaś (o tém dr. Bujwid nie wspominał) spodziewany jest powrót epidemii na wiosnę, stąd więc wniosek, aby rodzice, którym życie dzieci miłe, nie ociągali się ze szczepieniem.

Wszyscy już zapewne czytelnicy „Ateneum“ słyszeli o zamierzonéj reformie programu gimnazyów w całém państwie. Główny punkt, zasadę niejako reformy stanowić ma zmniejszenie klasycyzmu, t. j. rozległości kursu języków starożytnych, wymagań egzaminowych, oraz naturalnie ilość godzin. Ostatnie zastąpione zostaną przez naukę języka ruskiego. Myśl reformy powstała bardzo niedawno, kilka miesięcy zaledwie temu, a wzięto się do dzieła, wskutek czynnéj inicyatywy samego p. Ministra Oświaty, bardzo energicznie; pracowało kilka komisyi i już z początkiem przyszłego roku szkolnego obowiązywać będzie nowy program.

Zamiarom i staraniom p. Ministra odpowiedziało jednozgodne echo pragnień ogółu w całéj Rosyi. W licznych i często bardzo gorących artykułach wszystkich niemal pism petersburskich i moskiewskich czuć, jak gdyby zwalenie się z piersi ciężkiego kamienia klasycyzmu. To też dzisiejszy system przejdzie do przeszłości, żałowany bardzo mało, lub wcale może przez nikogo nie żałowany. Co więcéj, panujący stan rzeczy w ostatnich dniach swego żywota doczekał bardzo dotkliwych zarzutów w piśmie urzędowém ministeryum oświaty —

w „*Żurnalu min. narod. proświeszczenija*“. Cios wypadł z pod pióra prof. uniwersytetu kijowskiego, p. Kułakowskiego. Żałuję mocno, iż brak mi tu miejsca na przytoczenie całego artykułu, bardzo ciekawego, opartego na znajomości rzeczy, obfitującego w uwagi niezmiernie trafne. Ograniczyć się muszę do wyjątków.

Prof. Kułakowski wielką część winy niepowodzenia klasycyzmu zwala na nauczycieli. Oto jak myśl jego streszcza „Now. Wrem. (Nr. 5019): „Dobry nauczyciel języka greckiego stanowi dosyć rzadki wyjątek, większość nie posiada ani wiedzy odpowiedniéj, ani taktu niezbędnego, nie okazuje ani gorliwości, ani sumienności w spełnianiu obowiązków; dla tego przy obecnym stanie rzeczy najważniejszą kwestyą stanowi: jak pedagog w klasie wykłada? Wykłada on wedle autora tak: nauczyciel nie uczy uczniów, lecz stara się zmusić ich do nauki, a środek do tego znajduje w zadawaniu lekcyi, a potém słucha; jest to wieczny egzaminator; całe zadanie zasadza on na łapaniu niewiedzy uczniowskiéj. Większość nauczycieli języków starożytnych z *praeceptores* przedzierzgnęła się w *inquisitores*, w sług ś. p. *sancti officii*“.

„Nigdzie — mówi autor — korepetytorstwo nie rozpowszechniło się tak jak u nas, tłómaczy się to tém, że nauczyciele języków starożytnych nie uczą, nie wykładają, lecz tylko zadają lekcye. Nie — przyczyna nadmiaru korepetytorstwa tkwi w spotęgowanych, sztucznych trudnościach, któremi przeładowany jest system cały i w tém, że z pomiędzy rodziców, czwarta część nawet nie jest w stanie okazać jakiejkolwiek pomocy dzieciom przy nauce języków starożytnych... Korepetytorów biorą zwykle do dzieci z klas niższych, którym wedle wskazówek planu nie należy dawać do domu jakiejkolwiek pracy bez należytego, uprzedniego wytłómaczenia. Ale wszystkie tłómaczenia nie pomagają, lekcye przechodzą siły dzieci wskutek zasad fałszywych, na jakich oparty został system“.

Bardzo ciekawe, pouczające są uwagi p. Kułakowskiego o szczegółach nauczania języków starożytnych.

„Praktyka szkoły europejskiéj — posługuję się streszczeniem „Dziennika łódzkiego“ (Nr. 56) — i teorya pedagogiczna wskazują, że celem nauczania języków starożytnych w gimnazyach, jest poznanie życia i literatury świata starożytnego. Tymczasem autorzy ustawy r. 1871 i obrońcy klasycyzmu mówili dużo, niestety zbyt dużo o formalnym rozwoju umysłowym, zapomocą nauczania gramatyki języków starożytnych. Rozumowania te streszczały się w wyrażeniu banalném „gimnastyka umysłu“. Frazes przypadł bardzo do smaku wielu osobom, nader płytko obznajmionym z pedagogiką. Obrońcy klasy-

cyzmu nie rozumieli, że przez tego rodzaju traktowanie sprawy tracili dużo na sile: oczywiście „gimnastyką umysłu“ może być gramatyk i każdego języka. Takie niezrozumienie wpłynęło na charakter planów naukowych w gimnazych i ujawniło się z całą siłą w „komentarzu do planu naukowego języków starożytnych“. A ponieważ „plany naukowe“ i „komentarz“ musiały nadać charakter wykładowi języków starożytnych, przeto na ostatnim odbiła się cała fatalność téj pomyłki. Tutaj kryje się źródło i główna przyczyna niepomyślnych rezultatów nauczania języków starożytnych w gimnazyach.

Gramatyka, któréj zadanie polega wyłącznie na umożliwieniu zrozumienia autorów, z przedmiotu pomocniczego mianowaną została przedmiotem niezależnym, głównym. „Wykład gramatyki, jako przedmiotu niezależnego — mówi organ urzędowy — prowadzony jest we wszystkich klasach gimnazyum, od najniższéj do najwyższéj i kończy się stwierdzeniem faktu powszechnego, że odpowiedzi piśmienne uczniów na egzaminie dojrzałości dowodzą ich nieobeznania z najelementarniejszemi zasadami gramatyki języków starożytnych“.

Ćwiczenia piśmienne w tłómaczeniu z języka ruskiego na łaciński lub grecki, tworzą także jakoby oddzielny przedmiot z oddzielnie wyznaczonemi godzinami. I nawet przedmiot ten zajął najwybitniejsze miejsce w kursie gimnazyów ruskich. „Nauczyciele gimnazyalni— mówi prof. Kułakowski — wiedząc, iż powodzenie nauczania gimnazyalnego mierzy się przedewszystkiem tłómaczeniami egzaminowemi z ruskiego na języki starożytne, używają często większéj części swych lekcyj na nieustanne powtarzanie gramatyki. Czytanie autora starożytnego często sprowadza się tylko do powtarzania oddzielnych reguł gramatycznych z powodu danego zdania, danego zwrotu, danéj formy, napotkanéj w czytanym tekscie. Treść tekstu znika zupełnie wobec objaśnień jego budowy i łapania uczniów na nieznajomości trudnéj dla nich gramatyki. Czytanie autorów jest zupełnie pochłonięte przez gramatykę i tłómaczenia piśmienne“.

Minął już bezpowrotnie czas, kiedy języki łaciński i grecki były dla nauki zawsze jeszcze językami żywemi; teraz przestały one być nawet językami nauki, ożywienie zaś ich jest niemożliwe i niepotrzebne. Tłómaczenia piśmienne mogą być żywym środkiem dydaktycznym, lecz tak jak obecnie stoją rzeczy w gimnazyach, zamiast korzyści, przynoszą szkodę niemałą. Wywierają one wpływ demoralizujący na uczących się i są jedną z głównych przyczyn niepomyślnego rezultatu zaprowadzenia klasycyzmu. Stanowią one oddzielny niezależny przedmiot nauczania, a przytém najtrudniejszy i niepokonalny;

w wyższych klasach tłómaczenia piśmienne wszędzie są jarzmem, ciążącém jednakowo na uczniach i na nauczycielach.

„Ogromna większość uczniów — zamyka prof. Kułakowski swój artykuł — kończy kurs, przesiadując po dwa lata w jednéj klasie i niepotrzebnie tracąc czas, przechodzi naukę byle jak i dociąga ją do końca tylko dzięki przywilejowi, jaki daje patent gimnazyalny, a mianowicie: prawu wstąpienia do uniwersytetu. Wprowadza to nienormalny i szkodliwy praktyczny pogląd na sprawę nauczania w szkole, która ze swego założenia winna urzeczywistniać piękną i czystą ideę wykształcenia humanitarnego“.

Lus.

NEKROLOGIA.

† **Bolesław Lutostański**, urodzony w Warszawie r. 1837, ukończywszy średnie wykształcenie w Królestwie, odbył studya medyczne w Heidelbergu; osiadłszy w Krakowie od r. 1867, brał bardzo żywy udział we wszystkich sprawach ogólniejszéj natury, należał do redakcyi dziennika „Kraj“, zajmował się zdrojowiskami galicyjskiemi, kreślił liczne artykuły publicystyczne i rozprawy naukowo-lekarskie, jako to: „Jad cholery i odtruwanie przenośników tegoż jadu“ (Kraków, 1867, str. 136), „Zbieranie szczegółów statystyczno-lekarskich i materyałów epidemiologicznych“ t. 1870, str. 180), „O księgach zejścia, studyum statystyczno-lekarskie“ (t. 1870, str. 32), „Działanie i użycie lecznicze kumysu“ (t. 1872), „Higiena zastosowana do potrzeb życia osobniczego i społecznego“ (t. 1873, 4), „Szczawnica“, „Żegiestów“ (t. 1874), „Iwonicz“ (1875—77). Zabiérał głos w sprawie reformy szkolnéj, w sprawie wodociągów m. Krakowa. Był jednym z najczynniejszych spółpracowników organu demokratycznego w Krakowie. W ostatnich latach był dyrektorem zakładu kąpielowego w Truskawcu, gdzie też umarł 25 lut. r. b. Cześć pamięci czynnego i zasłużonego męża.

† **Katarzyna z Lipińskich Lewocka**, siostra Tymoteusza Lipińskiego, ur. 1799 roku w Zelwie na Litwie, wyszedłszy za mąż za Onufrego Lewockiego, jeneralnego wizytatora szkół w Królestwie od r. 1829, należała do szczupłego naówczas kółka kobiét poświęcających się literaturze, a skromny jéj salonik zgromadzał w ciągu lat kilkunastu w piątki wszystkich wybitniejszych przedstawicieli piśmiennictwa

w Warszawie. Rozpoczęła zawód literacki od przekładu młodzieńczéj powieści W. Hugo „Bug Jargal albo Powstanie w St. Domingo“ (Warsz. 1829, str. 288). Następnie spróbowała sił swoich w dramacie, napisawszy w 3-ch aktach prozą „dramę z wydarzenia prawdziwego“ p. n. „Kasper Owczarek“ (Warsz. 1832); wreszcie przeszła do powieściopisarstwa dla młodzieży i ludu miejskiego, i skreśliła parę udatnych i w swoim czasie popularnych obrazków, jako to: „Bal w resursie i dworek na Topielu“ (Warsz. 1838), „Powiastki dla dzieci z prawdziwych wydarzeń“ (Warsz. 1837), „Powieści starego sługi dla swoich kolegów“ (Warsz. 1840, drugie wyd. we Lwowie, 1849), „Krótki rys życia św. Jadwigi“. Kiedy grono literatek, pod przewodnictwem Pauliny Kraków, zaczęło wydawać od 1838 noworocznik, wyłącznie z pism kobiecych złożony p. t. „Pierwiosnek“, Lewocka należała do najwytrwalszych jego spółpracowniczek aż do czasu, gdy wydawnictwo przerwane zostało w 1843. Potém brała udział w czasopiśmie dla młodocianego wieku „Zorza“ wydawaném przez P. Kraków i Walentynę Trojanowską, w „Przyjacielu ludu“, wychodzącym w Lesznie, w „Rozrywkach dla młodzieży“ S. Pruszakowéj, w „Czytelni niedzielnéj“ Petrowowéj, w „Kółku domowém“ Śmigielskiéj; pisywała téż do „Piśmiennictwa krajowego“, które w r. 1840 ogłaszał Skimborowicz, jako dodatek do „Gazety porannéj“, a potém pomieszczała artykuły w „Gazecie codziennéj“. Zmarła w Warszawie 23 lutego r. b.

† **Józefa z Wilmontów Chybińska,** ur. 1858 r., owdowiawszy w 20-ym roku życia, poświęciła dziesięć lat kształceniu się zagranicą w kierunku przyrodniczym; ukończywszy wydział matematyczno-przyrodniczy w Zurichu, otrzymała przed dwoma laty na konkursie w Sztokholmie 5,000 fr. nagrody za monografią o wynalazkach elektrotechnicznych. Mając nadwątlone nadmierną pracą zdrowie, wyjechała wówczas do brata, Teofila Wilmonta, właściciela majątku Kotulice pod Odesą. Tam po 2 latach ciężkich cierpień, 8 lutego r. b. krótkie swe życie zakończyła.

SPROSTOWANIA.

W zeszycie styczniowym

str. 41, u dołu,	zamiast	„verszte“ ma być	„verzerte“
— 45, wiersz 13 od dołu	—	„succubi“ —	„incubi“
— 51, — 21 —	—	„Madusze“ —	„Madurze“

Wydawcy **W. Spasowicz i Adolf Pawiński.**—Redaktor **P. Chmielowski.**

